

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Edgar Allan Poe

Opowieści niesamo- wite

Przekład
Bolesław Leśmian i Stanisław Wyrzykowski

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

William Wilson

Cóż powie – on? Co powie głos sumienia –
Ta zmora zmór, co za mną kroczy w ślad?

Chamberlayne: „Pharronida”.

Niechże mi wolno będzie do czasu nazywać się Wiliamem Wilsonem. Rzeczywiste moje nazwisko nie powinno pokalać leżącej oto przede mną, nie tkniętej jeszcze karty. Nazwisko owo aż nazbyt często było przedmiotem wzdryki i lęku – źródłem wstrętu dla mojej rodziny. Czyliż wzburzone wichry nie otrąbiły bezprzykładnej hańby tego nazwiska aż po najdalsze krańce kuli ziemskiej? O, najsamotniejszy ze wszystkich wygnańców! Czyliż nie umarłeś na zawsze dla świata – dla jego zaszczytów, dla kwiatów, dla złojących się urojeń? I czyliż chmura gęsta, ponura i bezkresna nie zawisała na wieki pomiędzy twoją nadzieją a niebem? Gdybym mógł nawet, nie chciałbym zawrzeć dzisiaj w tych kartach wspomnienia ostatnich lat trudnej do opisanego nędzy ducha i nieprzebaczalnej zbrodni. Ta ostatnia epoka mego życia spiętrzyła aż po kres ostateczny ilość hańbiących mnie występków i pragnę jedynie określić źródło ich pochodzenia. Jest to na razie mój zamiar wyłączny. Ludzie zazwyczaj nikczemnieją stopniowo. Co do mojej osoby – wszystka cnota w okamgnieniu, znienacka opadła ze mnie jako płaszcz. Od tuzinkowej mniej więcej rozpusty siedmiomilowym krokiem przetrząsnąłem się w świat zmór bardziej niż heliogabalowych. Pozwolę sobie w całej rozciągłości opowiedzieć, jaki traf, jaki jedyne w swym rodzaju mus pchnął mnie ku owym upadkom. Zbliża się śmierć i cień, który ją poprzedza, nakazem uciszeń dosięgnął mego serca. W moim pochodzie poprzez dolinę mroków pożądam współczucia – chciałbym rzecz – miłosierdzia mych bliźnich. Pragnąłbym ich przekonać, że byłem poniekąd niewolnikiem okoliczności, które się wymykają wszelkim dozorum ludzkim. Życzyłbym, aby w szczegółach, które im podam, wykryli na moją korzyść pewną maluczką oazę przeznaczenia wśród Sahary zgróź. Chciałbym, aby uznali, że chociaż ten padół słynie z wielkich pokus, nikt dotąd nigdy nie był kuszony w ten sposób i bez wątpienia nigdy w ten sposób nie uległ. Czyż nie dlatego, iż nikt nigdy nie doznał tych samych cierpień? Zaprawdę – czyliż nie żyłem we śnie? Czyliż oto nie ginę, jako ofiara zgrozy i tajemnicy najdziwaczniejszej ze wszystkich zmór podksiężycowych? Jestem potomkiem rasy, którą zawsze wyróżniał temperament zdolny do przywidzeń i łatwo zapalny, i pierwsze lata mego dzieciństwa są już dowodem, że całkowicie odziedziczyłem cechy mego rodu.

Z biegiem czasu cechy owe zarysowały się dosadniej i z wielu powodów stały się dla mych przyjaciół przedmiotem poważnych niepokojów, a dla mnie – źródłem istotnych krzywd. Stałem się – samowolny, pochopny do najdziwaczniejszych wybryków. Oddałem się na pastwę najbardziej nieposkromionym namiętnościom. Rodzice moi – ludzie słabego charakteru, dotknięci na domiar udęką przyrodzonych i organicznych niedoborów, niewiele mogli przedsięwziąć dla przytłumienia złych skłonności, które zdradzałem. Nie zaniedbali ze swej strony kilku słabych i nietrafnych wysiłków, które się zgola rozmięły z zamiarem i zakończyły całkowicie moim tryumfem. Odtąd słowo moje stało się w domu – rozkazem, i w wieku, gdy dzieci jeno wyjątkowo pozbywają się

swych wędzideł, przyznano mi wolną wolę i stałem się panem mych wszystkich, z wyłączeniem imienia – czynności.

Pierwsze moje z życia szkolnego wrażenia wiążą się z obszernym a dziwnym budynkiem w stylu Elżbiety, w głuchym zakątku Anglii, strojnym w niezliczoną olbrzymich, sękowatych drzew, a którego wszystkie domostwa były wyjątkowo zamierchłe. I, doprawdy, owo czcigodne a starożytne miasteczko było podobizną marzeń i miejscem oczarowań ducha. I nawet w tej chwili udziela się mej wyobraźni ożywczy dreszcz jego do głębi cienistych alei, i oddech mój napęła się powiewem jego tysięcznych gajów, i dotąd jeszcze z niewytłumaczoną rozkoszą drzę na wspomnienie piersiowych a głuchych brzmień dzwonu, który co godzina swym nagłym a gderliwym porykiem rozszarpał ciszę mglistej atmosfery, kędy grążyła się drzemotą zdjęta dzwonnica gotycka, cała zębami ozdobna.

Zaiste wszystek zasób dostępnego obecnie mym doznaniom szczęścia czerpię ze szczegółowych wspomnień życia szkolnego i właściwych mu mrzonek. Zatraconemu, jakom jest, w kłęsce – w kłęsce – niestety! – aż nazbyt rzeczywistej – wybaczą chyba, że szukam wielce kruchej i wielce przelotnej pociechy w tych dziecięcych i luźnych wspominkach. A chociaż zgoła pospolite i błahe same przez się, nabierają skądinąd w mej wyobraźni doniosłości przygodnej dzięki swemu ścisłemu związkowi z miejscem i epoką, w których z dzisiejszego oddalenia postrzegam pierwsze, niejasne przestrogi losu, co od owego czasu w tak głębokie spowinał mię cienie. Nie wzbraniajcież mi wspomnień!

Domostwo, jak rzekłem, stare było i bezładne. Podwórzec był obszerny, okolony wysokim a krzepkim murem z cegieł, zakończonym polepą z gliny i tłuczonego szkła. Ten szaniec, godny więzienia, znaczył granicę naszego państwa. Oczy nasze przedostawały się poza nią jeno trzy razy na tydzień – raz jeden co sobota, po południu, gdy w towarzystwie dwóch dozorców szkolnych wolno nam było odbywać społem krótkie spacerki do wsi sąsiedniej, i dwa razy – co niedziela – kiedy, uszykowani jak żołnierze na popisie, szliśmy do jedynej w miasteczku kościoła, aby wysłuchać porannego i wieczornego nabożeństwa. Rektorem naszej szkoły był pastor owego kościoła. Z jakim głębokim uczuciem podziwu i oszołomienia z naszej ku chórom oddalanej ławy przyglądałem mu się, gdy „wstępował na ambonę krokiem uroczystym a powolnym! Ta postać czcigodna, obdarzona obliczem tak łagodnym i dobrotliwym, przyodziana w szatę tak obficie połyskliwą i tak po kapłańsku rozwiewną – przybrana w perukę tak starannie upudrowaną, a tak wysztywnioną i sutą – czyliż mogła być tym samym człkiem, który przed chwilą, z twarzą surową i w odzieży zatabaczonej, z dyscypliną w ręku, czuwał nad wykonaniem drakońskiej ustawy szkolnej? O, wybujały to paradoks, którego potworność wyklucza wszelką odpowiedź na pytanie! W kącie masywnego muru tkwiły, jak na pokucie, jeszcze masywniejsze drzwi, szczelnie zamknięte, upstrzone zasuwami i zakończone u góry rozkrzewieniem się zębatego żelastwa.

Jakież głębokie uczucie strachu szerzyły owe drzwi! Rozwierały się jeno dla trzech periodycznych wycieczek i powrotów, o których już mówiłem – wówczas w każdym zgrzycie ich potężnych zawias, odsłaniał się nam nadmiar tajemnic – cały świat uroczystych postrzeżeń lub jeszcze uroczystszych rozmyślań.

Obszerna zagroda miała kształt nieprawidłowy i podział na kilka części, z których trzy czy cztery – największe – stanowiły miejsce dla zabaw. Miejsce owo było wyrównane i powleczone drobnym i ostrym szczykiem. Pamiętam dobrze, iż nie posiadało ani drzew, ani ławek, ani w ogóle nic w tym rodzaju. Ma się rozumieć, iż znajdowało się w tyle budynku. Od przodu widniał niewielki kwietnik, wysadzany bukszpanem i innymi krzewami, lecz ową świętą oazę wolno nam było przekraczać jeno w rzadkich wielce wypadkach, jak pierwszy wstęp do szkoły lub odjazd ostateczny, lub też, być może, w chwilach, gdy ktoś z przyjaciół lub krewnych kazał nas zawołać i wesoło ruszaliśmy w drogę do rodzinnych pieleszy na Boże Narodzenie lub na św. Jana.

Lecz dom! Co za osobliwą a starą budowlą był ów dom! Zaś dla mnie był istnym pałacem zakłętym! Końca nie było jego korytarzowym zakrętom i niezrozumiałym podziałom. Trudno było w tej lub innej, na chybił trafił wybranej chwili stwierdzić z całą pewnością, czy się jest na pierw-

szym, czy na drugim piętrze. Miało się za to pewność, iż w przejściu z jednego pokoju do drugiego stopa napotka trzy lub cztery stopnie w górę lub w dół. Prócz tego niezliczone i niedostępne pojęciu były boczne podziały, które tak się wsnuwały i wysnuwały ze siebie, iż najdokładniejsze ogarnięcie myślą całości gmachu niewiele się różniło od owej mrzonki, za której pomocą oglądamy nieskończoność. W ciągu lat pięciu mego pobytu nigdy nie potrafiłem dokładnie określić tej odległej okolicy gmachu, w której znajdowała się ciasna sypialnia, przeznaczona dla mnie i dla innych osiemnastu lub dwudziestu żaków.

Klasa była najobszerniejszą komnatą w całym domu, a nawet w całym świecie, w każdym razie nie mogłem się oprzeć takiemu na nią pogładowi. Bardzo długa, bardzo wąska i ponuro niska, z dwułukowymi oknami i z dębowym pułapem. W odległym kącie, który ział postrachem, tkwiła zagroda, mająca osiem do dziewięciu stóp kwadratowych, a stanowiąca w godzinach wykładów sanctum naszego zwierzchnika, przewielebnego doktora Bransby'ego. Była to krzepka budowa, z masywnymi drzwiami. Niżli je rozewrzeć w nieobecności Dominie, wszyscy byśmy raczej wybrali zgon od różgi i rzemienia. W dwu innych kątach wznosiły się dwie podobne zagrody – przedmioty o wiele, co prawda, mniejszej czci, ale w każdym razie źródła dość znacznego postrachu, jedna z nich była katedrą mistrza humaniorów, druga zaś – profesora języka angielskiego i matematyki. Rozsiane tam i sam po sali bezliki ław i pulpitów, straszliwie objuczone książkami z plamistym odwzorem palców, krzyżowały się w nieskończonym bezładzie – szerniałe, zgrzybiałe, zjedzone czasem i tak gruntownie pozłobione w kształty inicjałów, całkowitych imion, postaci groteskowych i innych licznych arcydzieł scyzoryka, że zgoła zatraciły i tę bylejącość formy, której im udzielono w czasach wielce zamierzchłych. Na jednym krańcu sali tkwił olbrzymi ceber wody, a na drugim – zegar niewiarogodnych rozmiarów.

Zamknięty w masywnych marach tej czcigodnej szkoły, spędziłem wszakże bez nudy i bez niesmaku trzecie pięciolecie mego żywota.

Płodny umysł dziecięcy nie wymaga od świata zewnętrznego pobudek dla swej pracy lub zabawy, i ponura na pozór jednostajność szkolnego istnienia obfitowała w podniety płomienniejsze aniżeli owe, których dojrzała moja młodość szukała w uciechach zmysłowych, a wiek męski – w zbrodni. Wszakże muszę wyznać, iż pierwszy mój rozwój umysłowy był pod wieloma względami niezbyt pospolity, a nawet ponad poziom wybiegający. Wypadki lat dziecinnych najczęściej nie pozostawiają w duszach ludzi dojrzałych zbyt wyraźnych śladów. Nic, jeno – cień mglisty, wątle a bezładne wspomnienie, mętna gmatwanina kruchego wesela i urojonych trosk. Inaczej rzecz miała się ze mną. Zapewne z dzielnością dojrzałego mężczyzny wyczuwałem w dzieciństwie to, co i dziś jeszcze ryje się w mej pamięci w konturach tak żywych, głębokich i trwałych, jak rysunki medali kartagińskich. A tymczasem – w rzeczy samej – z utartego punktu widzenia – jakże tam mało było treści dla wspomnień!

Ład porannych ocknień, nakaz udania się na spoczynek nocny, nauka lekcji, wygłaszanie ich z pamięci, periodyczne półurlupy i spacer, podwórzec dla zabaw wraz z jego kłótniami, wywczasami i intrygami – wszystko to, zniknione w magicznym śnie ducha, zawierało w sobie cały nadmiar wrażeń, przepych wypadków, nieskończoność najrozmaitszych wzruszeń i najbardziej płomiennych i upojnych podnięt. Hej! nie z gorzej się żyło w onym wieku żelaznym! W istocie – dzięki płomiennej, entuzjastycznej, władczej naturze – wyróżniłem się wkrótce spomiędzy reszty mych towarzyszków i z wolna a zgoła nieznacznie pozyskałem przewagę nad wszystkimi, którzy mię wiekiem nie prześcigali – nad wszystkimi, z wyjątkiem jednego.

Był to żak, wcale ze mną nie spokrewniony, nosił to samo imię i to samo nazwisko – okoliczność małej sama przez się wagi, gdyż, mimo dostojnego pochodzenia, nosiłem jedno z tych licznych nazwisk, które snadź od czasów niepamiętnych – prawem przedawnienia – stały się ogólną własnością motłochu. W niniejszym przeto opowiadaniu nadałem sobie przezwisko Williama Wilsona – przezwisko zmyślone, które niezbyt od rzeczywistego odbiega. Wśród tych, co, mówiąc szkolnym językiem, stanowili naszą bandę, jeden tylko mój imiennik miał odwagę współzawodnictwa ze mną w wiedzy szkolnej, w grach i dysputach podczas wolnych od nauki godzin –

oraz odmawiania ślepej wiary moim twierdzeniom i bezwzględnego poddania się mej woli – słowem – przeczenia mej dyktaturze przy każdej lada sposobności. Jeśli istnieje na ziemi despotyzm krańcowy i bez zastrzeżeń, jest nim właśnie despotyzm genialnego dziecka względem słabszych duchowo towarzyszków. Buntowniczość Wilsona była dla mnie źródłem najdotkliwszych zakłopotañ, tym bardziej że wbrew przechwałkom, których publiczne w stosunku do jego osoby i jej uroszczeń podkreślanie uważałem za swój obowiązek, czułem w głębi duszy strach przed nim i nie mogłem nie postrzec w tym, tak łatwo przezeń zachowywanym poziomie dorównywania mi wręcz i w oczy – dowodów prawdziwej wyższości, ponieważ sam – ze swej strony musiałem przykładać nieustannych starań, ażeby uniknąć porażki. Wszakże o tej wyższości lub raczej równości ja tylko jeden, właściwie, powziąłem wiadomość. Towarzysze nasi, dzięki niepojętej ślepotcie, zdawali się nawet nie podejrzewać jej istnienia.

I rzeczywiście – jego współzawodnictwo, wytrwałość i przede wszystkim jego zuchwałe a dotkliwe wtrącania się do wszystkich moich zamysłów nie sięgały ponad poziom spraw osobistych. Zdawał się przy tym pozbawiony miłości własnej, która mię pchała do władztwa, oraz owej namiętnej żywotności, która dostarczała mi środków po temu. Można było pomyśleć, że w swym współzawodnictwie powoduje się wyłącznie fantastyczną żądzą krzyżowania mych zamiarów, oraz zniewalania mnie do podziwu i do rozpacz, chociaż zdarzały się chwile, gdy nie mogłem nie zauważyć z powikłanym uczuciem zdumienia, poniżenia i gniewu, że do swych obelg, zniewag i zaprzeczeń dorzuca pewną domieszkę zbyt niewczesnej i – doprawdy – najnieznośniejszej pod słońcem przychylności. Owo dziwne zachowanie się mogę chyba wytłumaczyć sobie wyłącznie jako skutek bezwzględnej zarozumiałości, która samozwańczo posługuje się gminnym tonem orędownictwa i poparcia.

Zapewne ta ostatnia cecha postępowania Wilsona, łącznie z naszym współimiennictwem oraz z przypadkową zgoła jednoczesnością zjawienia się w gmachu Szkolnym, przyczyniła się do rozpowszechnionego wśród uczniów klas wyższych zdania, iż jesteśmy braćmi. Ci zazwyczaj niezbyt szczegółowo wglądali do życia młodszych kolegów. Wspomniałem, zda się, lub powinienem był wspomnieć, iż Wilson, w najdalszych nawet rozgałęzieniach nie był spokrewniony z moim rodem. Lecz – doprawdy – gdybyśmy byli braćmi, byłibyśmy jednocześnie bliźniętami, ponieważ po opuszczeniu zakładu doktora Bransby'ego dowiedziałem się przypadkiem, że mój imiennik urodził się 19 stycznia 1813 r. – godny uwagi zbieg okoliczności, gdyż ów dzień jest właśnie dniem moich urodzin. Dziwnym wydać się może ów fakt, że mimo nieustannych trwóg, o które przyprowadzało mię współzawodnictwo Wilsona i jego nieznośna przekora, nie mogłem dotrzeć do bezwzględnej dlań nienawiści.

Nieodwołalnie i niemal co dzień wszczynaliśmy kłótnię wzajemną, w której, przyznając mi publicznie palmę pierwszeństwa, starał się w ten lub inny sposób zaznaczyć, iż owa palma nie mnie, lecz jemu się należy.

Otóż moja duma a jego rzetelna godność trzymały nas zawsze w ścisłym zakresie przyzwoitości, a wszakże dusze nasze były sobie wzajem tak często podobne, iż tylko nasz stosunek przygodny wzbraniał, być może, obudzonemu we mnie uczuciu rozwinąć się w uczucie, przyjaźni. Trudno mi, doprawdy, określić, a nawet opisać rdzeń moich dlań uczuć, tworzyły one pstrokatą i różnorodną gmatwaninę – była w niej gwałtowna zawziętość, która nie przedzierzgnęła się jeszcze w nienawiść, tudzież ocena wartości, a raczej cześć dla osoby, sporo strachu i niepomierna a płochliwa ciekawość. Dla psychologów zbyteczny jest chyba dodatek, że obydwaj – Wilson i ja – byliśmy nierozłącznymi towarzyszami. Bez wątplenia osobliwość i dwuznaczność nowego stosunku wszystkie moje – szczerze czy udane, lecz w każdym razie liczne – przeciw niemu napaści przekształcała raczej w szyderstwa i utarczki (żart czyliż nie potrafi ranić doskonale?) aniżeli w poważną i określoną wrogość. Wszakże wysiłki moje w tym kierunku nie zawsze wieńczyły się tryumfem, nie wyłączając nawet chwil, gdy najprzebieglej knowałem swe plany, ponieważ mój

imiennik posiadał w swym charakterze sporo owej pełnej zastrzeżeń i spokoju surowości, która, igrając ostrzem własnego dowcipu, nie odsłania nigdy pięty Achillesowej i stanowczo wymyka się wszelkim śmiesznościom. Nie mogłem w nim znaleźć żadnej słabej strony, prócz jednej tylko, polegającej na szczególnie zewnętrznym, który, jako wynik ułomności organicznej, pominąłby milczeniem każdy – mniej niż ja – do kresów zaciekłości doprowadzony przeciwnik.

Mój współzawodnik miał niedobór w strunach głosowych, który nigdy mu nie pozwalał wybiegać głosem ponad poziom bardzo uciszonego szeptu. Nie omieszkałem wedle mej możliwości ciągnąć z owego kalectwa politowania godnych zysków.

Wilson pomstował rozmaicie, lecz jeden szczególnie rodzaj jego złośliwego odwetu zatrząwał mię nadmiernie. Nigdy nie umiał rozwiązać tej zagadki, do jakich przebiegłych środków uciekł się w zasadzie jego umysł, aby wykryć, iż drobiazg tak nieznaczny może mi przysparzać tyle udręki? Wszakże, zrobiwszy to odkrycie, stosował do mnie uporczywie owo narzędzie męczarni. Zawsze czułem wstręt dla mego nieudanego, bo tak niewytwornego nazwiska oraz dla gminnego, jeśli nie plebejuszowskiego zgoła, imienia. Dźwięki tych zgłosek zatruwały mi uszy – i kiedy, w dniu mego przybycia, wtóry William Wilson zjawił się w szkole, urągałem mu w duchu za owo imię i obrzydziłem je sobie podwójnie, ponieważ je nosił cudzoziemiec – cudzoziemiec, dzięki któremu miała mię ścigać dwukrotna sposobność chłonięcia uchem tych dźwięków, a którego osobę miałem nieustannie oglądać, wiedząc z góry, iż w zwykłym trybie szkolnego żywota, z powodu nienawistnego zbiegu okoliczności czyni jego będą przypisywane mojej osobie i odwrotnie. Uczucie rozdrażnienia, wynikłe z owej przyczyny, zaostrzało się z biegiem wypadków, które odsłaniały w całej pełni duchowe i cielesne podobieństwo pomiędzy mną a moim przeciwnikiem. Jeszcze nie wykryłem tego znamienego faktu, że jesteśmy rówieśnikami, a już postrzegłem, że jesteśmy jednakiego wzrostu, i zauważyłem szczególne nawet podobieństwo i w całości kształcie, i w rysach naszych twarzy. Doprowadzała mnie do wściekłości pogłoska o naszym pokrewieństwie, której zazwyczaj dawały posłuch klasy wyższe. Słowem – nic nie budziło we mnie poważniejszych niepokojów (choć ukrywałem najpilniej oznaki tych niepokojów), jak lada napomknięcie o naszym podobieństwie już to z ducha, już to z ciała, już to z daty urodzenia. Wszakże nie miałem doprawdy najmniejszego powodu do przypuszczeń, że owa tożsamość (z wyjątkiem faktu pokrewieństwa i owych szczegółów, które Wilson osobiście wypatrzyć potrafił) była kiedykolwiek przedmiotem roztrząsań, a nawet spostrzeżeń ze strony kolegów. Natomiast jasne było dla mnie, iż on; sam przez się oglądał owo podobieństwo we wszystkich przejawach: i z równą moją – bacnością. Wszakże tę okoliczność, iż w tego rodzaju przypadkach potrafił wynaleźć niewyczerpaną kopalnię udręczeń, mogłem przypisać, jak wyżej rzekłem, tylko wyższej nad zwykły poziom przenikliwości. Dawał mi odpowiedzi, doskonale przedrzeźniając moją osobę w ruchach i słowach, i przedziwnie grał swoją rolę.

Ubranie moje łatwym było do odwzorowania przedmiotem. Bez trudu też przywłaszczył sobie mój chód i ogólny charakter postawy. Nawet głos mój, mimo wspomnianych niedoborów organicznych, nie wymknął się jego zaborczości. Nie próbował, ma się rozumieć, podchwycenia dźwięków donośnych, lecz zachował tożsamość barwy – i głos jego, mimo uciszenia, stawał się doskonałym echem mego głosu.

Próżno bym starał się opisać, do jakiego stopnia dręczył mnie ów dziwaczny portret – mogę bowiem nazwać go portretem, nie zaś tylko karykaturą. Jedną tylko miałem pociechę, mianowicie tę, że naśladownictwa owego, jak mi się zdawało, nikt, prócz mnie, nie zauważył, i miałem przeto wyłącznie mus osobistego znoszenia tajemniczych i dziwnie sarkastycznych: uśmiechów mego imiennika.

Zadowolony, iż mu się udało wyrzucić na mnie wrażenie pożądane, zdawał się ciszkiem radować z zadanej mi rany i okazywał szczególną pogardę dla publicznego poklasku, który z taką łatwością mógłby pozyskać dzięki swym fortunnym pomysłom. Jak się to stało, że koledzy nasi nie domyślali się jego zamiarów, nie widzieli całej roboty wykonawczej i nie przyłączyli się do jego szydycznej radości? Przez szereg niepokoju pełnych miesięcy była to dla mnie zagadka nie

do rozstrzygnięcia. Być może, iż powolność stopniowań czyniła naśladownictwo mniej widocznym lub raczej swe bezpieczeństwo zawdzięczam pozorom mistrzostwa, którymi tak zręcznie przejmował się kopista, pogardzając martwą literą – jedynie pochwytną w obrazie dla umysłów tępych – i oddawał istotnego ducha oryginału ku tym większemu z mej strony zdziwieniu i ku tym większej goryczy osobistej.

Wspominałem już kilkakrotnie o powziętym przezeń względem mej osoby, a wielce dotkliwym tonie pobłażliwej opieki i o jego częstych a poufnych stróżowaniach mej woli. Stróżowania owe nabierały częstokroć przykrych zabarwień przestrogi – przestrogi, udzielanej nie otwarcie, jeno w domysłach i napomknieniach. Przyjmołem je z odrazą, która urastała w miarę, gdy i ja urastał. A jednak muszę mu oddać pełną uznanie i należną sprawiedliwość, iż nie przypominam sobie w owej odległej już epoce ani jednego wypadku, ażeby wpływy mego współzawodnika zawierały w sobie rodzaj błędów i szaleństw, tak właściwych jego wiekowi, pozbawionemu zazwyczaj dojrzałości i doświadczenia – iż, jeśli nie talentem i ogładą, to w każdym razie przewyższał mnie o wiele subtelnością wyczuć moralnych – i że wreszcie byłbym dzisiaj lepszym, a przeto szczęśliwszym człowiekiem, gdybym rzadziej odrzucał rady, zatajone w doniosłych szeptach, które wówczas nieciły we mnie jeno nienawiść tak głęboką i pogardę, tak pełną goryczy.

Koniec końcem zbuntowałem się doszczętnie przeciw tak potwornym czatom i z dniem każdym coraz otwarciej nienawidziłem tego, com uważał za nieznośną bezczelność. Wyżej rzekłem, iż w pierwszych latach naszego koleżeństwa uczucia moje względem Wilsona łatwo mogły przeobrazić się w przyjaźń, lecz w ostatnich miesiącach mego w szkole pobytu, pomimo niewątpliwie znacznej niżki w poziomie zwykłych zabiegów jego natręctwa, uczucia moje – w równej niemal mierze – zniżyły się do poziomu istotnej nienawiści. Zdaje mi się, iż zauważył to pewnego razu i odtąd unikał mnie lub udawał, że unika.

Jeśli mię pamięć nie myli, wypadło to w tym samym mniej więcej czasie, kiedy na tle jednej gwałtownej pomiędzy nami kłótni, w której mój przeciwnik zatracił właściwą sobie ogładność i dał gniewom, obcą niemal swej naturze folę, wykryłem lub przywidziało mi się, że wykryłem w jego tonie, wyrazie twarzy i w całej postaci coś, co mię na razie przejęło dreszczem, potem do głębi rozciekawilo, narzucając mej duszy niejasne widma wczesnego dzieciństwa – cudaczne, mętne a pilne wspomnienia owych dni, gdy pamięć moja jeszcze na świat nie przyszła. Nie potrafiłbym lepiej określić tłoczącego mnie wrażenia, jak podkreślając trudność pozbycia się tej myśli, że obecna mym oczom istotę znał już ongi – w epokach niezmiernie zamierzonych – w przeszłości bezkresnie nawet oddalonej. Wszakże przywidzenie owo pierzchnęło tak samo szybko, jak szybko powstało – i napomykam o nim jeno w tym celu, aby zaznaczyć dzień ostatniej rozmowy pomiędzy mną a mym osobliwym imiennikiem.

Stare i obszerne domostwo w swych niezliczonych skrzydłach zawierało kilka olbrzymich komnat, które łączyły się ze sobą i stanowiły sypialnie dla większości żaków. Ponadto, jak to musowo zdarza się w budynku, tak nieszczęśliwie pomyślanym, istniała cała ciżba kątów i zakątków – wyniki skrawków i narożnych obrównań budowy. Oszczędnościowa wynalazczość doktora Bransby'ego przedzierzgnęła je hurtem w sypialnie. Ponieważ jednak były to zaledwo szczupłe cele, mogły tedy dać pobyt jednej tylko osobie. Jeden z tych małych pokojów zajmował Wilson.

Pewnej nocy, na schyłku piątego roku zakostwa i bezpośrednio po wspomnianej kłótni, korzystając ze snu, który wszystkich ogarnął, wstałem z łóżka i z lampą w dłoni sunąłem poprzez labirynt wąskich korytarzy z mojej sypialni do sypialni mego przeciwnika. Długo kosztem swych wysiłków knułem jeden z tych złośliwych figłów, jedną z tych bolesnych zasadzek, w których dotychczas zawsze pudłowałem. Powziąłem myśl natychmiastowego wykonania mych zamierzeń i postanowiłem dać mu odczuć całą głąb owej złośliwości, która we mnie wezbrała. Dotarłem do jego celi, wszedłem bez szumu, pozostawiając u drzwi lampę, przesłoniętą abażurem.

Posuwałem się krok za krokiem, nasłuchując szmerów jego spokojnego oddechu. Pewny, że śpi głęboko, wróciłem do drzwi, ująłem lampę i ponownie zbliżyłem się do łóżka. Okalały je koutary. Uchyliłem ich z lekka i z wolna, aby wykonać mój zamiar, lecz jeden ruchliwy promień padł

wręcz na śpiącego i jednocześnie wzrok mój utkwił w jego twarzy. Jałem się przyglądać – i drętwota przerażeń, zimny dreszcz strachu przeniknęły mię błyskawicznie aż do szpiku kości. Serce zadygotało mi w piersi, kolana ugięły się pode mną, całą moją istotę ogarnął lęk ponad siły i ponad zrozumienie. Dyszałem konwulsyjnie, zniżając lampę jeszcze poziomiej do jego twarzy.

Takież to były – naprawdę takie rysy twarzy Williama Wilsona? Widziałem jak najwyraźniej, że to jego rysy, lecz dygotałem niby w febrze mającąc, że nie do niego należą. Cóż za powód, w tych rysach zatajony, potrafił w takim stopniu zmącić mój umysł? Przyglądałem, się nadal – i doznałem zawrotu głowy pod wpływem tysiąca bezładnych wniosków. Nie ukazywał mi się w takiej postaci, o, doprawdy, nie ukazywał mi się taki w godzinach czynnych, gdy czuwał. Tożsamość nazwiska! Tożsamość rysów! Jednoczesność przybycia do szkoły! A potem – owo zjadliwe i niepojęte przedrzeźnianie mego chodu, głosu, ubrania i sposobu bycia!

Dałaby się, doprawdy, w zakresie codziennych prawdopodobieństw pomieścić ta okoliczność, iż t o, com obecnie oglądał, było zwykłym wynikiem owego nałogu sarkastycznych małpowañ? Zdjęty przerażeniem, drżący na całym ciele zgasiłem lampę, ciszką wybrnąłem z pokoju i raz na zawsze opuściłem zgrzybiałe mury tej szkoły, aby już nigdy do nich nie powrócić.

Po upływie kilku miesięcy, spędzonych w ognisku rodzinnym w niepokalanej beczynności, oddano mnie do szkoły w Etonie. Ta krótka przerwa wystarczyła, aby przytłumić we mnie wspomnienia wypadków, zdarzonych w szkole Bransby'ego, a w każdym razie – aby odmienić istotę uczuć nieconych owymi wspomnieniami. Rzeczywistość, tragiczny podkład dramatu – pierzchły. Miałem obecnie kilka danych do powątpiewania o świadectwie mych zmysłów – i rządkom wspominał całe zajście bez podziwiania owego bezgranicza, którego osiągnąć może łatwowierność ludzka, oraz bez zaznaczenia uśmiechem niezwykłych zasobów odziedziczonej przeze mnie wyobraźni. Zresztą, gatunek życia, które pędziłem w Etonie, nie nadawał się do uszczuplenia tego rodzaju sceptycyzmu. Odmęty szалу, w których się pograżyłem niezwłocznie i bez namysłu, pochłoneły wszystko prócz szumowin ubiegłych dni – w okamgnieniu zatopiły wszelkie trwałe i poważne wrażenia i pozostawiły w pamięci jeno lekkomyślną powierzchnię minionego żywota. Nie mam wszakże zamiaru kreślenia tu całego przebiegu mych nikczemnych wybryków – wybryków, które urągając wszelkim prawom, wymykały się wszelkiej baczności. Trzy szaleńcze, na marne strwonione lata zdołały mię jeno umocnić w mych występnych nałogach i niemal anormalnie wzmogły moją dojrzałość fizyczną. Pewnego dnia, po całym, na zwierzęcych uciechach zamotrawionym tygodniu – gwoli potajemnej orgii zgromadziłem w mym mieszkaniu pewne kółko studentów. Zebraliśmy się o późnej godzinie nocnej, ponieważ rozpustę naszą mieliśmy nabożnie uprawiać aż do rana. Wino płynęło strumieniami, a nie zaniedbaliśmy i innych, niebezpieczniejszych, być może, pokus – tak, że w chwili, gdy świt od wschodu przejaśnił niebiosy, obłęd nasz i nasze wybryki doszły do szczytu. Wściekle podniecony grą w karty i winem, upierałem się przy jakimś cudacznie sprośnym toaście, gdy nagle skupienie moje rozproszył skrzyp gwałtownie a na wpół rozwartych drzwi i pilny głos służącego oznajmił mi, że ktoś – o pozorach niezwykłego pośpiechu – chce się ze mną rozmówić w przedpokoju.

Pod wpływem osobliwego upojenia ta niespodziana przerwa raczej uradowała mnie, niżeli zdziwiła. Porwałem się chwiejnie przed siebie i, uszedłszy kilka kroków, trafiłem do przedpokoju. W tym niskim i wąskim wnętrzu nie było ani jednego światła i rozwidniał je tylko niezwykle wątkły, a przez sklepienie okno przesiany promień świtu. Stanąwszy w progu – wypatrzyłem postać młodzieńca, mniej więcej mego wzrostu, przyodzianego po domowemu „w ubranie z białego kaźmirku, skrojone według nowej mody, jak to, które miałem w tej chwili na sobie.

Ów wątkły promień udzielił mi widzenia tych przedmiotów, lecz rysów twarzy rozróżnić nie mogłem. Zaledwom wszedł – młodzieniec rzucił się ku mnie i, chwyciwszy mię za ramię ruchem władczego zniecierpliwienia, szepnął mi do ucha te słowa: „William Wilson!”

Wytrzeźwiałem w okamgnieniu.

W postawie nieznanego, w nerwowym drganiu palca, który trzymał wzwyż pomiędzy moimi oczyma a brzaskiem zorzy, było coś, co napelniło mię do cna zdziwieniem, lecz nie stąd wynikło, że się wzruszył tak gwałtownie. Przyczyną była – powaga, uroczystość przestrogi zawartej w tym zdaniu szczególnym, uciszonym i podobnym do syku – a przede wszystkim – charakter, ton, barwa tych kilku zgłosek – prostych, poufnych, a jednak tajemniczo wyszeptanych, które, wraz z tysiącem nagromadzonych z przeszłości wspomnień, wstrząsnęły mą duszą jak dtyk stosu Wolty. Zanim zdążyłem oprzytomnieć;

młodzieniec – znikł z mych oczu.

Chociaż ten wypadek wywarł niewątpliwie bardzo żywe na mym nietrzeźwym umyśle wrażenie, wszakże wrażenie owo – tak żywe – wkrótce zamarło. I rzeczywiście przez kilka tygodni już to byłem oddany najpoważniejszym badaniom naukowym, już to trwałem w mglistej powłoce chorobliwych rozmyślań. Nie starałem się zatajać przed sobą tożsamości szczególnego osobnika, który tak natarczywie dręczył mnie swymi poradami. Lecz kim, lecz czym był ów Wilson? I skąd przybywał? I jakie miał zamiary? Na żadne z tych pytań nie mogłem dać wystarczającej odpowiedzi. Stwierdziłem jeno – w stosunku do jego osoby – że nagle katastrofa rodzinna zniewoliła go do opuszczenia zakładu doktora Bransby'ego w godzinach południowych owego dnia, który był dniem mojej ucieczki. Po pewnym jednak czasie przestałem myśleć o tym, i uwagę moją pochłonął całkowicie zamierzony wyjazd do Oksfordu. Tam – dzięki próżnej hojności rodziców, która mi pozwalała pędzić życie wystawne i otaczać się do woli tak upragnionym mi już od dawna przepychem, zdobyłem wkrótce możliwość prześcigania w zbytkach najdumniejszych nawet dziedziców najbogatszych hrabstw Wielkiej Brytanii.

Zachęcane do grzechu tak zasobnymi środkami, przyrodzone moje skłonności wybuchły z mocą podwójną i w szaleńczym opętaniu rozpusty deptałem najzwyczajniejsze zasady przyzwoitości. Szczegółowe zastanawianie się nad moimi wybrykami byłoby nonsensem. Dość, że w zbytkach prześcignąłem Heroda i dość, że darząc nazwami mnóstwo nowych szalów, przyrzuciłem obfity dodatek do długiego katalogu występków, rozpanoszonych wówczas w najrozpustniejszej w Europie wszechnicy.

Trudno, zda się, dać wiarę temu, że godność moją szlachecką poniżyłem aż do stopnia pilnego wtajemniczenia się w najnikczemniejsze fortele zawodowych karciarzy i że wreszcie, jako adept tej wiedzy haniebnej – zażyłem mych umiejętności w celu poszerzenia i poza tym olbrzymich dochodów na karb najsłabszych umysłowo kolegów. A wszakże tak było! Sama właśnie potworność tych na wszelką cześć i godność zamachów była widocznie głównym, jeśli nie jedynym powodem mej bezkarności. Bo i któż spośród najrozpustniejszych moich towarzyszy nie zaprzeczyłby raczej najoczywistszemu świadectwu własnych zmysłów, aniżeli podejrzewałby o podobne czyny wesołego, szczerego, wspaniałomyślnego Williama Wilsona – najszlachetniejszego i najhojniejszego kolegę w Oksfordzie – którego szaleństwa, zdaniem jego własnych pasożytów, były jego szaleństwami młodości i pozbawionej wędzideł wyobraźni, którego błędy były jeno nieporównanym wybrykiem, a najczarniejsze występki – beztrząską i wspaniałą buńczucznością?

Tym wesołym trybem spędziłem już dwa lata, gdy nagle wstąpił do wszechnicy pewien młodzieniec z niedojrzałej szlachty, nazwiskiem Gleudinning, według ogólnego zdania bogaty jak Herod Atycki, a któremu bogactwo własne ciążyło nie nazbyt. W bardzo krótkim czasie zmierkowałem, iż jest tępy na umyśle, i, ma się rozumieć, upatrzyłem go sobie jako doskonałą ofiarę mych uzdolnień. Często wciągałem go do gry i z właściwą graczom przebiegłością udzielałem mu starannie możliwości znacznych wygranych, ażeby tym skuteczniej uwikłać go w sieci. Wreszcie, gdy zamiar mój dojrzał, spotkałem się z nim w mieszkaniu jednego z naszych kolegów – niejakiego Prestona, zarówno z nami obydwoma zażyłego, który wszakże – muszę mu to przyznać – nie domyślał się wcale mych zamiarów. Dla nadania pozorów przyzwoitości przyczyniłem się do zaproszenia gromadki ośmiu czy dziesięciu osób i przyłożyłem osobliwych starań, ażeby ujęcie do rąk kart wydało się czynem zgoła przypadkowym – i powziętym jeno na żądanie upatrzonego w tym celu przeze mnie dudka...

Aby skrócić tak hańbiącą opowieść, nadmienię tylko, że nie zaniedbałem żadnego z owych nikczemnych wybiegów, których stosowanie w podobnych razach tak się już utarło, iż godna jest podziwu niewyczerpana nigdy obecność na ziemi głupców, przeznaczonych na ofiarę wspomnianych wybiegów.

Gra nasza przeciągnęła się do późna w noc, gdy wreszcie zdziałał, iż Gleudinning stał się jedynym moim partnerem. Była to właśnie moja ulubiona gra – ecarte. Reszta towarzystwa, rozciekawiona wybijającymi stawkami naszej gry, postroniła swe karty i otoczyła nas kołem. Nasz przybysz, którego w pierwszej połowie wieczoru chytrze skusiłem do grubej wypitki, tasował, rozdawał i grał z dziwną nerwowością, popartą poniekąd, lecz – zdaniem mojej – niezupełnie wytlumaczoną upojeniem. Stał się też wkrótce moim dłużnikiem na pokaźną sumę, gdy nagle, złopnąwszy olbrzymią szklenicę oporto, uczynił to, com z zimną krwią przewidział, a mianowicie zaproponował podwojenie już i dotychczas zbyt przesadnych stawek. Udając opór trafnie i wy czekawszy owej chwili, gdy ponowna moja odmowa pobudziła go do ostrych słówek, nadających mej zgodzie pozór ukrytej urazy – przystałem w końcu na jego żądanie. Stało się to, co stać się musiało: ofiara całkowicie uwikłała się w mych sieciach, w niespełna godzinę dług jego urósł czterokrotnie. Od pewnego czasu twarz jego pozbyła się barwnych, a winem przysporzonych rumieńców, lecz w tej chwili postrzegłem ze zdziwieniem, iż powlekła ją isticie przeraźliwa błądź. Mówię: ze zdziwieniem, gdyż zasięgnąłem o Gleudinningu starannych wiadomości. Przedstawiono mi go jako niezmiernego bogacza i sumy, które przegrał dotychczas, aczkolwiek naprawdę okazałe, nie mogły według moich przynajmniej przypuszczeń – zakłopotać go zbyt poważnie, a tym bardziej wzruszyć w sposób tak gwałtowny.

Najprostszy wniosek, który mi przyszedł do głowy, był ten, że wypite wino do cna zmaćliło mu umysł. I raczej dla poratowania swej osoby w oczach przyjaciół niż dla jakichkolwiek pobudek bezinteresownych zamierzyłem stanowczo nalegać na zaprzestaniu gry, gdy nagle kilka słów, które z ust obecnych padły w moim pobliżu, i okrzyk Gleudinninga, świadczący o rozpaczliwej bezwzględnej, uświadomiły mi, że go zrujnował doszczętnie w warunkach, które zeń uczyniły przedmiot ogólnej litości i uchroniłyby go nawet od złych zamiarów szatana.

Trudno by mi było powiedzieć, jak powinienem był w danym razie postąpić. Oplakane położenie mej ofiary ogarnęło wszystkich uczuciem, wstydu i smutku. Przez kilka minut trwało głębokie milczenie i w tym okresie czułem, że twarz moja – na przekór mym wysiłkom – drga pod wpływem dotkliwych, pogardy i wyrzutu pełnych spojrzeń, rzucanych na mnie przez najmniej zatwardziały sercem towarzyszy. Wyznam nawet, iż nieznośne brzemień twogi stoczyło mi się nagle z piersi na widok tego, które nastąpiło – nagłego a niezwykłego wtargnięcia do pokoju pewnej osoby.

Ciężkie skrzydła drzwi rozwarły się na oścież, od razu, z tak gwałtownym i porywczym rozpędem, że wszystkie świece pogasty jak zakłęte. Wszakże mrąca jaźń pozwoliła mi wypatrzeć wejście nieznanym postaci – postaci męskiej, mniej więcej mego wzrostu, owiniętej w płaszcz obcisły. Tymczasem nastąpiła ciemność zupełna i mogliśmy jeno wyczuwać jej pobyt wpośród nas.

Zanim otrząsnęliśmy się z nadmiaru zdumienia, którym nas przejął widok tej przemocy, posłyszeliśmy głos nieproszonego gościa: „Panowie! – rzekł głosem bardzo uciszonym, głosem niezapomnianym, który mię przeniknął aż do szpiku kości. – Panowie, nie pilno mi tłumaczyć się z mych czynów, gdyż tak, a nie inaczej postępując, spełniałem jeno swój obowiązek. Nie jesteście bez wątpienia należycie świadomi gatunku owego człowieka, który tej nocy ogrzał lorda Gleudinninga na niepomierną sumę. Chcę wam udzielić szybkich i stanowczych sposobów zdobycia tych wielce ważnych wiadomości. Zechciejcie oto zbadać podszewkę u wyłogów jego lewego rękawa oraz kilka drobnych paczek, które się znajdują w niezgorzej pojemnych kieszeniach jego haftowanej na domowy użytek odzieży”.

Gdy mówił te słowa, panowała tak głęboka cisza, iż posłyszalbyś zlot szpilki na dywan. Gdy skończył – wyszedł natychmiast tak samo nagle, jak nagle wszedł. Czyliż mogę opisać – czyliż opiszę moje wrażenia? Mamże potrzebę zaznaczenia, że doznał wszystkich przerażeń skazane-

go na śmierć? Miałem wprawdzie mało czasu do rozmyślań. Kilka rąk schwyciło mnie groźnie i – natychmiast zapalono światła. Nastąpiły poszukiwania. W podszewce mego rękawa znaleziono wszystkie najniezbędniejsze do gry w ecarte grupy, a w kieszeniach mego ubrania – kilka talii kart najzupełniej podobnych do tych, których używaliśmy podczas swych zebrań z tą różnicą, że moje należały do ściśle tak zwanego rodzaju poprawionych, to znaczy, iż honory miały nieznaczne wypuklizny u węższych krańców, a młódki niepostrzegalne wypuklizny u szerszych krańców. Dzięki takiemu podziałowi ofiara, zazwyczaj przekładając karty wzdłuż talii, czyni to w sposób, który niezmiennie dostarcza partnerowi jednego honoru, podczas gdy szuler, przekładając w poprzek, nigdy nie udzieli swej ofierze karty, którą by mogła zakarbować na swą korzyść.

Huragan oburzenia mniej by mnie poruszył niż wzgardliwe milczenie i sarkastyczna cisza, którymi powitano owo odkrycie.

–,Panie Wilsonie! – rzekł nasz gospodarz, pochylając się i unosząc z ziemi wspaniałą płaszcz, podszyty drogocennym futrem – panie Wilsonie! Oto pańska własność. (Dni były zimne i wychodząc z domu narzuciłem na mój poranny przyodziewek płaszcz, który zdjąłem, stanawszy na placu gry.) Przypuszczam – dodał, oglądając z gorzkim uśmiechem fałdy mego płaszcza – iż poszukiwanie tutaj nowych dowodów pańskiego mistrzostwa jest zgoła zbyteczne. Zaprawdę, mamy ich do syta. Ufam, że zrozumie pan konieczność opuszczenia Oksfordu – a w każdym razie niezwłocznego usunięcia się z mego domu”.

Oplwany, strącony aż do błota – byłbym prawdopodobnie ukarał sprawcę mych zniewag osobistym, natychmiastowym natarciem, gdyby nie to, że całkowitą moją uwagę pochłonął w tej chwili przypadek, wprost zdumiewający.

Płaszcz, w którym przyszedłem, był podbity futrem „wspaniałym – niewiarogodnie rzadkim i cennym, brak mi zresztą słów po temu. Krój jego był krojem fantastycznym – mego własnego wynalazku, ponieważ w tego rodzaju błahostkach byłem zaciekle wybredny i posuwałem szal dandyzmu aż do absurdu.

Otóż, gdy Preston podał mi ów, który podniósł z ziemi, z pobliza drzwi – ze zdziwieniem dosięgającym przerażenia postrzegłem, że mam już swój płaszcz na ramionach, bom bez wątpienia przywdział go bezwiednie – i że ten, który mi Preston podawał, był dokładną w najmniejszych szczegółach podobizną mego płaszcza. Dziwną istotę, która mię tak straszliwie zdradziła, spowiadałem – pamiętam to dobrze – płaszcz, i nikt z obecnych, okrom mnie, w płaszczu nie przyszedł. Zachowując resztę przytomności, wziąłem do rąk płaszcz, który podał mi Preston, i bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi narzuciłem go powierzch mego płaszcza. Wyszedłem z pokoju z wyzwaniem i pogroźką w oczach. Nazajutrz, zanim świt zaświtał, jak szalony uciekłem z Oksfordu na kontynent, śmiertelnie porażony lękiem i wstydem.

Nadaremnie uciekałem. Ścigał mię mój los przeklęty, tryumfu pełen, jakby chciał mi dowieść, że dotychczas jeno zapoczątkował działanie swych potęg tajemnych. Zaledwo dotknąłem stopą Paryża, a już miałem nowy dowód nienawistnego w mym życiu udziału Wilsona. Lata płynęły, a jam nie zaznał wytchnienia. Nikczemny! Z jakąż natarczywą służalczością, z jakimż widmowym przeczuleniem stanął w Rzymie pomiędzy mną a moją żądzą zaszczytów! A w Wiedniu – a w Berlinie – a w Moskwie! Byłże taki zakątek, gdzie nie miałbym bolesnej sposobności do miotania nań przekleństw ze dna mego serca? Gnany strachem panicznym, uciekałem w końcu od jego niedocieczonej tyranii jak od zarazy, uciekałem aż na krańce świata, uciekałem nadaremnie.

I nieustannie, nieustannie badając ukradkiem własną duszę, powtarzałem te same pytania: kto zacz jest? skąd przybywa? jakie knuje zamiary? Lecz znikąd nie było odpowiedzi. Z drobiazgową pilnością rozważałem – żdźbło po żdźbło – sposoby, metodę i najistotniejsze cechy jego zuchwałych czatowań. Lecz i tu jeszcze niewiele wykryłem z tego, co mogło stać się podłożem dla domysłów. Znamienna to była, zaiste, okoliczność, iż w tych częstych wypadkach, gdy niedawno jeszcze stawał mi w poprzek drogi, czynił to jeno w celu pokrzyżowania mych zamiarów i przeszkodzenia zamysłom, których wykonanie pociągnęłoby tylko za sobą gorzką klęskę.

Marne, doprawdy, usprawiedliwienie tak samozwańczo narzucającej się przemocy! Marne odszkodowanie przyrodzonych, a tak natarczywie, tak zuchwale odpartych zasad wolnej woli!

Miałem też sposobność zaznaczenia, że mój oprawca od dłuższego czasu starannie i z cudotwórczą zręcznością przestrzegając manii utożsamiania mi się w odzieży – potrafił zawsze, ilekroć czynił wstręty mej woli, pozbawić mnie możliwości oglądania rysów swej twarzy. Kimkolwiek był ów przekłety Wilson, tajemniczość tego rodzaju niezaprzeczenie była szczytem przesady i niedorzeczności. Czyż mógł na chwilę choćby przypuścić, że w moim doradcy z Etonu, w burzycielu mej czci z Oksfordu – w tym, który pogmatwałzamiary mych uroszczeń w Rzymie – plany mej zemsty w Paryżu, zamysły mych opętań miłosnych w Neapolu i knowania mylnie przezeń zrozumianej chciwości mojej w Egipcie – że w tej istocie, w tym zaciętym moim wrogu i złym duchu mego życia nie rozpoznałem owego ze szkolnych czasów – Williama Wilsona, mego kolegi, współmiejnika i współzawodnika ze szkoły Bransby'ego? Być to nie może! Wszakże niech mi wolno będzie dotrzeć do okropnej a ostatniej sceny dramatu.

Dotychczas byłem gnuśnie powolny jego władczej przemocy. Głęboka cześć, z jaką zwykłem rozważać wzniosły charakter, dostojną mądrość, widomą wszechobecność i wszechpotęgę Wilsona, w połączeniu z jakąś nieokreśloną trwogą, którą mi napelniały inne cechy i przywileje jego osoby, wytworzyły we mnie poczucie mej własnej słabości i niemocy i doradzały bezwzględne, aczkolwiek goryczy i odrazy pełnego posłuszeństwa jego samowolnej dyktaturze.

W ostatnich wszakże czasach całkowicie oddałem się winu i jego potężny wpływ na mój dziedziczny temperament był tak potężny, iż wszelki nadzór coraz bardziej mię niecierpliwił.

Zacząłem narzekać, wahać się – wreszcie stawić Opór. I nie wiem, czyli za przyczyną zwykłego przywidzenia doszedłem do wniosku, iż upór mego oprawcy słabnie pod wpływem mojej własnej nieugiętości. Tak czy owak, w każdym razie wstąpiła we mnie płomienna otucha i w końcu jałem w sobie żywić potajemnie posepny i rozpaczliwy zamiar pozbycia się tego jarzma.

Miało to miejsce w Rzymie, w czasie karnawału roku 18., – byłem na balu maskowym, w pałacu neapolitańskiego księcia Di Broglio. Nadużyłem wina więcej, niżli to było w mym zwyczajach i duszna atmosfera przeludnionych salonów podrażniała mię nieznośnie. Trudność utorowania sobie drogi poprzez ciżbę niemało się przyczyniła do rozjątrzenia moich dąsów, gdyż (pomijając nikczemność celu) szukałem z niepokojem młodej, wesołej, pięknej małżonki starego i zdziwaczałego Di Broglio. Z lekkomyślną ufnością powierzyła mi oznakę szaty, która ją miała przyoblec, i ponieważ postrzegłem z dala ową szatę, spieszo mi było zbliżyć się do niej.

W tej właśnie chwili uczułem, iż czyjaś dłoń łagodnie spoczęła na mym ramieniu, i niezwłocznie wniknął mi do uszu ów niezapomniany, ów głęboki a przekłety szept!

Rozszalały z gniewu, odwróciłem się nagle ku śmiałkowi, który mię tak zaniepokoił, i popędliwie chwyciłem go za kark. Zgodnie z mym przeczuciem – miał na sobie ubranie zupełnie podobne do mego: płaszcz hiszpański z błękitnego aksamitu, a wokół bioder – pas karmazynowy z przypiętym doń rapirem. Maską z czarnego jedwabiu przesłaniała do cna jego oblicze.

„Nędzniku! – krzyknąłem głosem, ochrypłym od wściekłości, a każda z piersi wyszarpięta zgłoska przyrzucała, zda się, strawy płomieniom mego gniewu. – Nędzniku! Oszuście! Zbrodniarzu nikczemny! Nie będziesz odtąd tropił moich śladów, nie będziesz mię dręczył aż do mojej śmierci! Idź, gdzie rozkażę, albo zabiję cię na miejscu!”

I, nieodparcie wlokąc go za sobą, przetłoczyłem się od sali balowej aż do przyległej, niewielkiej sieni.

Stanąwszy w sieni, odrzuciłem go ze wściekłością precz – od siebie. Potoczył się ku ścianie. Klnąc, zawarłem drzwi i kazałem mu broń obnażyć. Wahał się przez chwilę, po czym z nieznaczonym westchnieniem dobył, milcząc, swej szpady i stanął w pozycji. Walka wszakże trwała niedługo. Burzyły się we mnie najognistsze – wszelkiego chowu podniety, i w każdej z osobna dłoni czułem dzielność i potęgę całej zgrai. W okamgnieniu uderzeniem pięści przyparłem go do muru i tam, mając go w swej mocy, kilkakrotnie, cios za ciosem, zanurzałem mu w piersiach szpadę z bydlęcą drapieżnością.

W tej chwili ktoś dotknął klamki u drzwi. Pośpiesznie zapobiegłem natrętnemu najściu i niezwłocznie powróciłem do konającego wroga. Lecz jakież język ludzki podoła dość opisowi owego zdumienia, owego przestachu, który mię ogarnął na widok tego, co ujrzały wówczas oczy!

Przelotne mgnienie, stracone przeze mnie na zbliżenie się ku drzwiom, wystarczyło widocznie, aby u podstaw odmienić właściwy ład przeciwnych zakątków pokoju.

Olbrzymie zwierciadło – tak mi się wydało w mym popłochu – spiętrzyło się tam, gdzie przednio ani znaku po temu nie widział, i ponieważ, zdjęty przerażeniem, szedłem ku temu zwierciadłu, własne moje odbicie, z twarzą wszakże pobladłą i od krwi plamistą, szło ku mnie na spotkanie krokiem słabym i chwiejnym.

Tak mi się – powtarzam – zdawało, lecz było – nie tak! To – wróg mój, to – Wilson trwał przede mną w swej agonii. Maskę jego oraz płaszcz leżały na podłodze – tam, kędy je porzucił! W jego tak znamiennej a osobliwej twarzy – i w jego stroju – każdy rys, każda nitka – była moja, był mój! Był to – bezwzględny tryumf tożsamości!

Był to Wilson, lecz Wilson, wyzbyty na teraz szeptu w swym głosie, tak iż mogłem pomyśleć, że sam wymawiam te słowa, które on właśnie do mnie skierował:

„Z wyciężyłeś i przeto ulegam. Atoli odtąd umarłeś na równi ze mną – umarłeś dla Ziemi, dla Nieba i dla Nadziei! We mnie istniałeś i – spojrzysz w moją śmierć, spojrzysz wskroś tej, która jest twoją, postaci – jak doszczętnie zamordowałeś siebie samego!

Portret owalny

Zamek, do którego mój sługa, zamierzył raczej siłą się przedostać, aniżeli pozwolić mi, ciężko rannemu, na nocleg pod gołym niebem, należał do rodzaju tych ogromem i melancholią obciążonych budynków, które zarówno w rzeczywistości, jak w wyobraźni mistress Radcliffe wznosiły swe zasępione czoła wśród Apeninów. Według wszelkich pozorów – do czasu jeno i zgoła niedawno opuszczono ów zamek. Zajęliśmy jedną z najszczerplejszych i z najmniejszym przepychem umeblowanych komnat. Znajdowała się na wieży, przyległej budynkowi. Ozdoby miała bogate, lecz zgrzybiałe i zniszczone. Mury powlekało obicie i świetniały na nich obfite godła heraldyczne wszelakiego kształtu oraz godna zaiste podziwu ilość obrazów nowożytnych, pełnych stylu, w ramach złotych i po arabsku wzorzystych. Zaciekały mię do głębi – zapewne pod wpływem nawiedzającej mię gorączki – zaciekały mię do głębi owe obrazy, wiszące nie tylko na widocznych powierzchniach muru, lecz i po niezliczonych zakątkach, których nie mogła uniknąć dziwaczna architektura zamku.

Koniec końcem – ponieważ noc już nadchodziła – kazałem Pedrowi zawrzeć ciężkie okiennice komnaty, zapalić stojący u mego wezglowia olbrzymi, kilkuramienny świecznik i odsłonić całkowicie kotary z czarnego aksamitu, ozdobione frędzlami a okalające moje łóżko. Życzyłem sobie tych wszystkich przysposobień w tym celu, abym mógł w razie bezsenności uprzyjemnić sobie czas na przemian już to oglądaniem obrazów, już to odczytywaniem niewielkiej książki, którą znalazłem na poduszce, a która zawierała opis i ocenę wspomnianych obrazów.

Czytałem długo i długo. Oglądałem nabożnie i w skupieniu. Godziny upływały – odlatujące i uroczyste, i głucha północ nadeszła. Położenie świecznika zdało mi się niedogodne i, nie chcąc budzić pogrążonego we śnie sługi, wyciągnąłem z wysiłkiem dłoni i utwierdziłem świecznik tak, aby pełnią promieni rozwidniał karty książki.

Wszakże mój czyn wytworzył wręcz niespodziane skutki. Promienie mnóstwa świec (a była ich spora gromada) padły na wnękę komnaty, którą jedna z kolumn mego łóżka przesłaniała dotąd głębokim cieniem.

W rześmym świetle postrzegłem obraz, który uszedł dotąd mej uwadze. Był to portret młodej dziewczyny w okresie dojrzewania i posiadającej już niemal urok kobiety. Byстрыm rzutem oka dotknąłem malowidła i zwarłem powieki. Czemu? Na razie sam nie rozumiałem, czemu? Lecz podczas gdy powieki moje były zamknięte, badałem pośpiesznie przyczynę, która mię zniewoliła do zamknięcia powiek. Był to odruch mimowolny dla wygrania na czasie i pochwycenia myśli – dla upewnienia siebie samego, że oczy mię nie mylą, dla uciszenia i przysposobienia duszy do spokojniejszych i trafniejszych oglądań. Po kilku chwilach znów z uporczywością spojrzałem na obraz.

Nie mogłem wątpić, mimo żądzy zwątpienia, że go już uprzednio wypatrzyłem z niezmierną dokładnością. Pierwszy bowiem pocisk światła na owo płótno rozwiął skostniałość majaceń, która zawładnęła moimi zmysłami, i od razu mię wytrzeźwił.

Był to, jakom już powiedział, portret młodej dziewczyny. Była to jeno – głowa aż po ramiona włącznie, wszystko w tym stylu, który fachowcy nazywają stylem winietowym – sposób malowania przypominał wielce Sully'ego – w ulubionych jego głowach. Ramiona, piersi, a nawet kończyny prześwieconych włosów tajały niepochwytne w rozwiewnym, lecz głębokim cieniu, który stanowił tło całości. Rama była owalna, bogato złocona i ozdobna w stylu mauretańskim. Jako dzieło sztuki obraz ten był tak godny podziwu, że nie można było chyba znaleźć mu nic równego.

Lecz bardzo być może, iż ani wykonanie dzieła, ani nieśmiertelne piękno samej twarzy nie były tym, co mię tak nagle i tak gwałtownie wzruszyło. Jeszcze mniej mam powodów do przypuszczeń, że moja wyobraźnia, wymykając się swemu półsnowi, zwidziała w tej twarzy – twarz pewnej żyjącej osoby. Postrzegłem od razu, że odcienie rysunku, styl winiety i widok ramy rozwiałyby niezwłocznie podobną mrzonkę i uchroniłyby mnie od chwilowych nawet przywidzeń.

Bezpodzielnie i zapalczywie oddany tym rozmyślaniom, godzinę niemal całą trwałem, na wpół leżąc, na wpół siedząc, z oczyma przykutymi do portretu. Wreszcie – odgadłem istotną tajemnicę jego oddziaływań i upadłem na łóżko. Domyśliłem się, że czar malowidła polega na żywotności wyrazu, który jest bezwzględny równoważnikiem samego życia, a który od pierwszego wejrzenia przejął mię dreszczem i ostatecznie – stropił, ujarzmił, przeraził. Z głębokim strachem usunąłem świecznik na dawne miejsce.

Ująwszy w ten sposób oczom oglądania przedmiotu mych głębokich wzruszeń, chwyciłem gwałtownie do rąk książkę, która zawierała ocenę i opis obrazów.

Trafiwszy z miejsca na numer, którym był oznaczony portret owalny, przeczytałem niejasną i osobliwą opowieść, i tę poniżej podaję: „Była to młoda, niezmiernie rzadkiej urody dziewczyna – zarówno powabna, jak wesola. Przeklęty jest ów dzień, gdy ujrzała i pokochała, i poślubiła – malarza. On – zapalony, namiętnie oddany pracy, surowy i już w swej sztuce mający – oblubienicę. Ona – młoda dziewczyna, niezmiernie rzadkiej urody – zarówno powabna, jak wesola: nic, jeno światło i uśmiech, i swawolność młodego jelonka. Kochała i wielbiła rzecz wszelaką. Nienawidziła jeno sztuki – swojej rywalki. Przerazała ją jeno – paleta i pędzle, i inne dokuczliwe narzędzia, które ją pozbawiały widoku kochanka. Straszka były dla tej pani nawet te słowa malarza, w których zdradzał chęć utrwalenia na płótnie swojej młodej małżonki. Lecz była pokorna i posłuszna i całymi tygodniami trwała – przesłodka – w ciemnej a górnej komnacie na wieży, kędy światło jeno od sklepień sączyło się na błądź płótna. Wszakże malarz całą swą chlubę widział w swym dziele, które z godziny na godzinę, z dnia na dzień powstawało.

A był to człowiek – pelen zapału, i dziwny, i zamyślony, i tak zapodziały w marzeniach, że nie chciał postrzec, jak światło, tak ponuro wpadające do wnętrza tej samotnej wieży, niszczy zdrowie i ducha jego żony, która widomie nikła dla całego świata, z wyjątkiem jego osoby. Mimo to uśmiechała się wciąż i wciąż – bez skargi, gdyż widziała, że malarz (który wielką cieszył się sławą) z płomienną i żarliwą uciechą oddaje się swej pracy i trwa w niej nocami i dniami, aby przenieść na płótno tę, która go kocha, lecz która z dnia na dzień coraz bardziej niszczeje i marnieje. I doprawdy – ci, którzy oglądali portret, półgłosem zaznaczali podobieństwo, jako skutek wielmożnego cudu i jako dowód nie tylko niezmierniej potęgi samego mistrza, lecz i jego głębokiej miłości dla tej, którą tak przedziwnie odtwarzał na obrazie. Po pewnym jednak czasie, gdy trud dobiegał do końca, nikt nie miał dostępu do wieży, mistrz bowiem oszalał w swych wysiłkach i rzadko odrywał oczy od płótna, nawet w celu przyjrzenia się obliczu swej żony. I nie chciał dostrzec tego, że barwy, które gromadził na płótnie, były odjęte obliczu tej, co przed nim siedziała. A po upływie wielu tygodni, gdy już praca była na ukończeniu i brakło zaledwo jednego rzutu pędzlem po wargach i jednej plamy na oku, dusza w piersiach pani tliła się jeno jak płomyk w lampie. I wówczas pędzel dokonał swego rzutu – i plama na oku spoczęła – i przez jedno мгніenie; mistrz trwał w zachwyceniu przed dziełem spełnionym, lecz w chwilę potem, gdy przedłużył jeszcze swe oglądanie, zdrzął – i zbladł – i wręcz się przeraził! I głosem wzburzonym krzyząc: – „Zaiste! To życie samo!” – odwrócił się znienacka, aby zaoczyć swoją kochankę. Ta wszakże już nie żyła.

Prawdziwy opis wypadku z. P. Waldemarem

Trudno – doprawdy – dziwić się temu, że nadzwyczajny wypadek, jaki się zdarzył panu Waldemarowi, stał się przyczyną sporów. Cud by to był, gdyby się stało inaczej – szczególnie w takich, a nie innych okolicznościach. Chęć wszystkich stron zainteresowanych dochowania sprawie tajemnicy, przynajmniej na razie lub do czasu pozyskania sposobności nowych badań, oraz nasze ku ich skutecznieniu wysiłki dały powód do rozpowszechnionych wśród ogółu, nie uzasadnionych lub przesadnych pogłosek, które, ukazując sprawę w świetle najdotkliwiej mylnym, stały się, ma się rozumieć, źródłem głębokiej niewiary.

W chwili obecnej istnieje konieczność, abym podał fakty, w tej przynajmniej postaci, w jakiej sam je rozumiem.

Oto są – w streszczeniu:

W ostatnich trzech latach uwagę moją kilkakrotnie pociągały ku sobie zjawiska magnetyzmu¹ i mniej więcej dziewięć miesięcy temu niemal zniecka uderzyła mnie myśl, że w szeregu dotychczasowych doświadczeń popełniono jedną zastanawiającą i niewytłumaczoną lukę: nikogo nie poddano dotąd magnetyzmowi *in articulo mortis*. Wpadało tedy zbadać: po pierwsze – czy pacjent w tym stanie posiada jakąkolwiek wrażliwość na prąd magnetyczny; po wtóre – czy, w razie twierdzącym, wrażliwość owa pod wpływem danych warunków uszczupla się lub wzrasta.; po trzecie – w jakim stopniu i na jaki przeciąg Czasu można drogą owych doświadczeń powściągnąć zaborczość śmierci. Były i inne punkty do zbadania, lecz powyższe najbardziej podlegały moją ciekawość, szczególnie ów ostatni ze względu na niepomiarłą doniosłość wynikających zeń następstw.

Szukając wokół osobnika, za którego pomocą mógłbym wyjaśnić owe punkty, mimo woli zwróciłem uwagę na przyjaciela mego – Ernesta Waldemara, znanego kompilatora „Biblioteka Forensica” oraz autora (pod pseudonimem Issachara Marxa) polskich przekładów Walensteino. i Gargantuy. Waldemar, który ód roku 1839 przebywał głównie w Harlemie (Nowy Jork), jest lub był godny szczególnej uwagi z powodu swej niezwykłej chudości – dolną połową ciała przypominał niezmiernie Johna Randolpha – oraz z powodu białych baków, odrzynających się od czarnej czupryny w ten sposób, że każdy brał ową czuprynę za perukę.

Był wyjątkowo nerwowego usposobienia i dzięki temu stanowił doskonałe narzędzie dla doświadczeń magnetycznych. Po dwakroć lub po trzykroć przyprawiłem go o sen bez zbytnich wysiłków, lecz zawiodły mnie inne oczekiwania, powzięte na zasadzie osobliwej budowy jego ciała. Nigdy wola jego nie uległa mi istotnie i całkowicie, zaś pod względem Jasnowidzenia nie osiągnąłem skutków, na których mógłbym cokolwiek ugruntować. Moje w tym kierunku niepowodzenia przypisywałem zawsze chwiejnym stanom jego zdrowia. Na kilka miesięcy przed naszą znajomością lekarze stwierdzili w nim zgoła wyraźne suchoty. Miał niezaprzeczenie zwyczaj mówienia o swej bliskiej śmierci ze sporą obojętnością, jak o rzeczy nieuniknionej i nie nadającej się do żalu.

Nic więc dziwnego, że gdy wyżej skreślone myśli po raz pierwszy przysły mi do głowy, przypomniałem sobie Waldemara. Zbyt dobrze znałem poważny światopogląd tego człowieka,

¹ Za czasów Poego zjawiskom, które dzisiaj znane są pod nazwą hipnozy, przydawano jeszcze pierwotną nazwę mesmeryzmu lub magnetyzmu, używaną i obecnie dla określenia tzw. magnetyzmu zwierzęcego (p.t.).

ażebym obawiał się jakichkolwiek z jego strony przeszkód; przy tym nie miał on w Ameryce krewnych, którzy by mogli pod pozorem słuszności wtrącić się do sprawy.

Zgoła otwarcie wyznałem mu moje zamiary i, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, okazał w tym kierunku bardzo gorliwą ciekawość. Rzekłem: ku wielkiemu zdziwieniu, ponieważ pomimo zawsze łaskawego udzielania mi swej osoby, gwoli doświadczeń, nigdy nie zdradzał współczucia dla mych badań. Choroba jego należała do rodzaju tych, które pozwalają na dokładne przewidzenie chwili swego rozwiązania, i koniec końcem zapadł pomiędzy nami układ, że uprzedzi mnie na dwadzieścia cztery godziny przed owym. kresem, który lekarze zgonowi jego wyznaczają.

Siedem miesięcy upłynęło obecnie od czasu, gdy od Waldemara otrzymałem list następującej treści:

„Kochany P.

„Uczynisz chyba niezgorzej, jeżeli przyjdiesz teraz, D. i F. twierdzą zgodnie, iż nie prze-trwam jutrzejszej północy i – moim zdaniem – rachuby ich są trafne lub też niewiele od prawdy odbiegają.

Waldemar.”

Otrzymałem ów list w pół godziny po jego napisaniu i najwyżej w kwadrans potem. – byłem już w pokoju konającego. Nie widziałem go od dni dziesięciu i przeraziła mię straszliwa zmiana, która, w nim zaszła w tak krótkim okresie czasu.

Twarz jego miała barwę ołowiu, oczy zgoła wygasły, a wychudł tak znacznie, że skóra na policzkach popękała. Wydzieliny flegmy stały się niezwykle obfite, puls zaledwo wyczuwalny. Mimo to zachował w sposób dziwnie osobliwy wszystkie władze umysłowe oraz pewną dozę sił fizycznych. Mówił wyraźnie, sam bez niczyjej pomocy zażywał lekarstwa, które były jeno pół-środkami, i w chwili gdym wszedł do pokoju, był zajęty kreśleniem jakichś uwag w notatniku. Znajdował się w łożu, wsparty na poduszkach. Doktorzy D. i F. czuwali nad nim.

Uściskawszy dłoń Waldemara, wziąłem tych panów na stronę i otrzymałem od nich szczegółowe sprawozdanie ze stanu chorego.

Lewe płuco od osiemnastu miesięcy znajdowało się w stanie na wpół zwapniałym lub chrząst-kowym i całkowicie zatraciło zdolność jakiegokolwiek funkcji życiowej. Prawe zaś – w swej górnej okolicy było – jeśli nie doszczętnie – w każdym razie częściowo zwapniało, podczas gdy dolna jego połać była jeno miazgą ropnych, przenikających się nawzajem wrzodów.

Stwierdzono kilka głębokich rozpadów oraz w jednym miejscu – ścisły przyrost żeber. Te zmiany prawego płuca były stosunkowo świeżej daty. Wapnienie odbywało się z niezwykłą szybkością – miesiąc temu nie wykryto jeszcze jego śladów – zaś przyrost zauważono dopiero w ostatnich trzech dniach. Niezależnie od suchot domyślano się aneuryzmu aorty, lecz pod tym względem symptomy wapnienia wzbraniały dokładnej diagnozy. Zdaniem obydwu lekarzy śmierć p. Waldemara miała nastąpić nazajutrz, w niedzielę, około północy.

Była właśnie sobota, godzina siódma wieczorem. Opuszczając łoże konającego dla rozmowy ze mną, doktorzy D. i F. pożegnali go na zawsze. Nie zamierzali doń powrócić, lecz ustępując mym prośbom, zgodzili się odwiedzić chorego około godziny dziesiątej w nocy. Po ich wyjściu mówiłem z Waldemarem swobodnie o jego bliskiej śmierci i ze szczególnym naciskiem – o zamierzonym przez nas doświadczeniu.

Okazał, jak zawsze, szczerą ku temu gotowość, a nawet zdradził gorącą chęć poddania się do-świadczeniu i naglił mię do natychmiastowego wykonania. W pokoju do pomocy było dwoje służby – mężczyzna i kobieta, lecz nie czułem się dość na siłach, aby się podjąć tak poważnego zadania bez zapewnienia sobie skuteczniejszego współpracownictwa niżli to, którego mogłyby udzielić wspomniane osoby w razie niespodzianego wypadku. Odsunąłem tedy doświadczenie na godzinę ósmą, kiedy przybycie znajomego mi poniekąd Teodora L. – studenta medycyny – miało

mnie ostatecznie wybawić z mego zakłopotania. Pierwotnie postanowiłem wyczekiwać przyjścia lekarzy, lecz skłoniły mnie do natychmiastowego rozpoczęcia doświadczeń – po pierwsze – usilne prośby Waldemara, po wtóre zaś – moje własne przekonanie, iż nie mam chwili do stracenia, gdyż było jasne, że chory kona.

P. L... był tyle uprzejmy, iż zadośćuczynił wyrażonej przeze mnie prośbie notowania wszystkiego, cokolwiek się zdarzy. I właśnie na jego sprawozdaniu, że tak powiem, wzoruję moją opowieść. Pomijając skróty, przytaczam je dosłownie.

Było mniej więcej pięć minut do ósmej, gdy ujrawszy dłoń pacjenta prosiłem go, aby możliwie jasno stwierdził wobec p. L., że na jego – Waldemara – wyraźne życzenie mam go poddać doświadczeniom magnetycznym w takich a takich okolicznościach.

Odpowiedział cicho, lecz wyraźnie:

„Tak, pragnę poddać się doświadczeniom magnetycznym – i natychmiast dorzucił: – Obawiam się nie bez powodu, żeś zwlekał zbyt długo”.

Podczas gdy mówił, rozpocząłem ów rodzaj pasów, których skuteczność dla uspienia jego osoby była mi już wiadoma.

Pierwszy ruch mej dłoni, przesuniętej po jego czole, wywarł na nim wpływ widoczny, lecz pomimo zużycia całej mojej usilności, nie osiągnąłem żadnego innego, postrzegalnego skutku aż do godziny dziesiątej minut dziesięć, kiedy lekarze D. i F. przybyli zgodnie z umową. W kilku słowach wytłumaczyłem im moje zamiary i, ponieważ nie czynili mi żadnych przeszkód, twierdząc, iż pacjent jest w okresie agonii, bez wahania trwałem nadal w swej czynności, zastępując wszakże pasy poprzeczne – wzdłużnymi i skupiając wszystek mój wzrok w oku konającego.

W tym czasie puls jego stał się niewyczuwalny, zaś oddech utrudniony i nacechowany półminutowymi przerwami.

Stan ów trwał kwadrans niemal bez zmiany, po upływie tego czasu wszakże z piersi konającego wyrwało się jedno prawidłowe, chociaż straszliwie przepastne westchnienie, i chrapliwość oddechu minęła, a raczej chrapanie stało się niesłyszalne. Przerwy nie zmniejszyły się. Kończyny jego ciała były zimne jak lód.

O pięć minut do jedenastej zauważyłem nieomyślne oznaki przemocy magnetycznej. Szkliste migotania oka przybrały mozolny wyraz spojrzeń do wewnątrz, które się zdarzają jeno w wypadkach somnambulizmu i co do których nie można się pomylić. Za pomocą kilku poprzecznych, szybkich pasów zniewoliłem powieki do drgania, które nas zazwyczaj przed snem nawiedza, i przedłużając nieco tę czynność działałem, iż zamknęły się zupełnie. Nie poprzestałem na tym i nadal wykonywałem swe ruchy dosadniej i z bardziej natężonym wysiłkiem woli, aż całkowicie sparaliżowałem członki śpiącego, nadawszy im uprzednio wygodne według wszelkich pozorów położenie. Nogi były całkowicie wyprostowane wzdłuż. Ręce z lekka wyciągnięte, spoczywały na łóżku w umiarkowanej odległości od bioder. Głowa była bardzo nieznacznie wzniesiona.

Gdym tego dokonał, wybiła północ, i zwróciłem się do obecnych z prośbą zbadania stanu, w którym się znajduje Waldemar. Po kilku próbach stwierdzili, iż znajduje się w stanie niezwykle doskonałej katalepsji magnetycznej². Ciekawość obydwu lekarzy wielce urosła. Doktor D. postanowił niezwłocznie całą noc spędzić przy chorym – podczas, gdy doktor F. pożegnał nas, obiecując wrócić skoro świt. P. L. i służba zostali.

Pozostawiliśmy Waldemara w całkowitym spokoju aż do godziny trzeciej z rana – wówczas zbliżyłem się doń i znalazłem go ściśle w tym samym stanie, co w chwili odejścia doktora F. – to znaczy, iż trwał w tej samej pozycji, iż miał puls niewyczuwalny, oddech słaby, zaledwo pochwytany – dostępny jeno probierzowi zbliżonego do ust zwierciadła, oczy zamknięte, a ciało sztywne i zimne jak marmur. Wszakże wygląd ogólny bez wątpienia nie był wyglądem – trupa.

Zbliżając się do Waldemara, zrobiłem coś w rodzaju ja półwysiłku, aby zniewolić jego prawą dłoń do stowarzyszenia się z moją w ruchach, które z lekka kreśliłem ponad nim. Dawniej, pró-

² W procesie snu magnetycznego (hipnozy) wyróżniano trzy stany a) letarg, b) somnambulizm, c) katalepsję. (p. t.)

bując tych doświadczeń z chorym, nie osiągałem nigdy całkowitego skutku i doprawdy nie miałem nadziei, że tym razem uda mi się lepiej, lecz ku memu wielkiemu zdziwieniu, dłoń jego powtarzała bardzo łagodnie, chociaż z lekka jeno kreśląc, wszystkie dłońią moją wskazane kierunki. Postanowiłem narazić go na kilka słów rozmowy.

– Waldemarze – rzekłem – czy śpisz?

Nie odpowiedział, lecz zauważyłem dreszcz w jego wargach i byłem zmuszony powtórzyć moje pytanie po dwakroć i po trzykroć. Za trzecim razem nieznaczne drżenie poruszyło Jego ciałem, powieki uniosły się same przez się, jak gdyby po to tylko, aby odsłonić białe pasmo ocznej gałki – wargi poruszyły się leniwie i w zaledwo pochwytnym szepcie uroniły te słowa:

– Tak – śpię teraz. Nie budźcie mnie! Pozwólcie fiți umrzeć: w tyns stanie!

Dotknąłem ciała – było sztywne jak wprzód. Dłoń prawa, jak przed chwilą, ulegała wskazaniom mojej dłoni. Spytałem znowu śpiącego somnambulicznie:

– Czy zawsze czujesz ból w piersi, Waldemarze? Odpowiedź nastąpiła nie natychmiast, a była jeszcze mniej wyraźna niż pierwsza:

– Ból? – Bynajmniej. – Umieram.

Uważałem w danej chwili za niestosowne – niepokojenie nadal jego osoby, toteż nie przybyły żadne słowa ani czyny – aż do przyjścia doktora F., który uprzedził nieco wschód słońca i doznał zdziwienia bez granic, zastawszy chorego jeszcze przy życiu. Po zbadaniu pulsu śpiącego i zbliżeniu do ust zwierciadła, prosił mię, abym doń przemówił:

– Czy wciąż śpisz, Waldemarze?

Jak wprzód, upłynęło kilka minut bez odpowiedzi i – w przeciągu tego czasu – konający zdawał się skupiać wszystkie swe siły dla pozyskania mowy. Na powtórzone po raz czwarty przeze mnie pytanie odpowiedział bardzo cicho, prawie niesłyszalnie:

– Tak, wciąż – śpię – umieram.

Było to wnioskiem, a raczej życzeniem lekarzy, aby Waldemar pozostał – bez żadnych przeszkód – w obecnym stanie widomego spokoju aż do chwili, kiedy śmierć przyjdzie, a przyjść miała – według jednogłośnego zdania – w przeciągu minut pięciu. Postanowiłem wszakże raz jeszcze doń przemówić i powtórzyłem po prostu pytanie poprzednie.

Podczas gdy mówiał, w twarzy śpiącego odbyło się znaczne przeobrażenie. Oczy, z lekka widoczne spoza przesłaniających je powiek, zapadły się w swych orbitach – skóra nabrała trupich zabarwień przypominających nie tyle pergamin, ile biały papier, i dwa okrągłe suchotnicze wypieki, które dotąd tkwiły uporczywie na środku każdego policzka, zgasły znienacka. Używam tego określenia, ponieważ nagłość ich zaniku narzuciła mej wyobraźni raczej zgaszoną świecę, niżli wszelkie inne porównania. Jednocześnie górna warga skurczyła się, uchodząc wzwyż ponad zęby, które przed chwilą szczelnie przesłaniała, podczas gdy dolna szczęką w pochwytnych niemal dla ucha podrygach opadła, pozostawiając usta w zupełnym rozwarciu i odsłaniając w pełni szerniały i obrzmiały jęzor. Przypuszczam, iż wszyscy obecni oswojeni byli z okropnościami śmiertelnego łoża, lecz wygląd Waldemara był w tej chwili tak potworny, tak ponad wszelką wyobraźnię potworny, że wszyscy tłumnie cofnęli się precz – od obrębu łoża.

Czuję oto teraz, żem doprowadził moją opowieść do chwili, kiedy zbuntowany czytelnik odmówi mi wszelkiego zaufania. Mimo to – uważam za swój obowiązek – ciągnąć dalej opowieść.

Zanikła w Waldemarze najślabsza oznaka życia i, sądząc, że umarł, poleciliśmy go opiece służby, gdy nagle sprężysta fala ruchu zaznaczyła swą obecność w języku. Trwało to zapewne jedną chwilę. Po upływie tego czasu z wyważonych i znieruchomiałych szczęk wypłynął głos – głos taki, że próba określenia tego głosu byłaby szaleństwem. Są wszakże dwa lub trzy przymiotniki, które doń można w przybliżeniu zastosować: oto mogą powiedzieć, iż dźwięk ów był ostry, poszarpany i stłumiony, lecz potworna jego całość wymyka się określeniom, a to z powodu, że nigdy dźwięki podobne nie dotykały swym rykiem ucha ludzkiego. Były wszakże dwa szczegóły, którym, jak myślałem wówczas i myślę dotychczas, można było przypisać cechy charakterystyczne owego tonu i które zdolne były dać wyobrażenie o jego niezziemskiej poczwarności. Po

pierwsze – głos zdawał się dosięgać naszych, a w każdym razie moich uszu tak, jakby wybiegał z niezmiernie odległej przestrzeni lub z podziemnej przepaści. Po wtóre (obawiam się doprawdy nieuniknionej niezrozumiałości mych słów) wywierał na mnie takie wrażenie, jakie na zmysle dotyku wywiera lepka lub galaretowata miazga.

Mówię jednocześnie o dźwięku i o głosie. Otóż chcę zaznaczyć, iż dźwięk posiadał rozczłonkowanie wyraźne, a nawet straszliwie, przerażająco wyraźne. Waldemar zdobył się na mowę, najwidoczniej odpowiadając na zadane mu przeze mnie kilka minut temu pytanie. Czytelnik sobie przypomina, że go zapytałem, czy śpi nieustannie? Odpowiedź teraz brzmiała:

– Tak, nie – spałem, a teraz – teraz jestem martwy.

Nikt z obecnych nie próbował odeprzeć ani nawet przytłumić nieopisanego, pełnego zgrozy przerażenia, które tak nieodparcie wznieciły te nieliczne, a w ten sposób wymówione słowa. Student L. – stracił przytomność. Służba niezwłocznie pierzchła z pokoju i nic by jej nie zmusiło do powrotu. Co się zaś tyczy moich własnych wrażeń – tych nie próbuję nawet udostępnić zrozumieniu czytelnika. Godzinę niemal krzaliśmy się w milczeniu (nikt słowa nie uрониł) dokoła p. L., aby go ocucić. Gdy odzyskał zmysły, przystąpiliśmy ponownie do badań nad stanem Waldemara.

Stan ów pod każdym względem trwał w tej samej postaci, w jakiej opisałem go ostatnio, z tą jeno różnicą, że zwierciadło nie dawało już żadnej oznaki oddechu. Próba upustu krwi z ręki spełzła na niczym. Muszę też zaznaczyć iż wspomniana część ciała odmówiła posłuszeństwa mej woli. Na próżno próbowałem zaprawić ją do powtarzania ruchów mej dłoni.

Jedyna, rzeczywista oznaka magnetycznego wpływu ujawniała się obecnie w ruchliwym trzepotaniu się języka. Ilekroć zwracałem się do Waldemara z pytaniem, zdawało się, że czyni wysiłek w celu odpowiedzi, lecz że akt jego woli nie jest dość trwały. Na pytania, zadawane nie przeze mnie, jeno przez inne osoby, był bezwzględnie nieczuły, chociaż starałem się nawiązać styczność magnetyczną pomiędzy nim a każdym z obecnych. Przypuszczam, że podałem teraz wszystkie wiadomości, niezbędne dla zrozumienia w danym okresie stanu śpiącego snem somnambulicznym. Pozyskaliśmy innych pielęgniarzy i o godzinie dziesiątej opuściłem mieszkanie w towarzystwie obydwu doktorów oraz p. L.

W porze popołudniowej wszyscy ponownie odwiedziliśmy pacjenta. Stan jego był bezwzględnie jednaki. Wszczęliśmy spór na temat pomyślności i możliwości obudzenia go ze snu, lecz wkrótce przyszedliśmy do zgodnego wniosku, iż w ten sposób nią pozyskamy żadnych pożądaných skutków.

Było jasne, iż przemoc magnetyczna powściągnęła działanie śmierci lub tego, o czym zazwyczaj słowo śmierć napomyka. Stało się dla nas wszystkimi oczywistością, iż obudzenie Waldemara byłoby po prostu stwierdzeniem jego zgonu lub przyśpieszeniem śmiertelnego rozkładu.

Od owej chwili aż do końca zeszłego tygodnia – mniej więcej siedmiomiesięczny odstęp czasu – zbieraliśmy się codziennie w mieszkaniu Waldemara w towarzystwie innych jeszcze doktorów i znajomych. W przeciągu tego czasu śpiący trwał ściśle w jednakim, opisanym już przeze mnie stanie. Dozór pielęgniarzy trwał nieustannie.

W zeszły piątek postanowiliśmy ostatecznie poddać go ocknieniu lub przynajmniej próbie ocknienia i właśnie oplakane zapewne skutki tej ostatniej próby dały powód do tylu sporów wśród kół prywatnych oraz do tylu mylnych pogłosek, w których nie mogę się nie dopatrzeć wyniku niczym nie usprawiedliwionej łatwowierności tłumu.

Dla pozbawienia Waldemara katalepsji magnetycznej uciekłem się do zwykłych pasów. Przez czas pewien nie było żadnych skutków. Jedyną oznaką powrotu do życia był częściowy opad tęczówki. Zauważyliśmy jako zjawisko wielce odmienne, iż owej zniżce tęczówek towarzyszyły bardzo obfite wydzieliny żółtawej wilgoci (spod powiek) o zapachu ostrym i niezmiernie przykrym.

Wówczas poddano mi myśl wypróbowania mych wpływów magnetycznych na dłoni pacjenta, jak to uprzednio czyniłem. Jałem próbować, lecz nadaremnie. Doktor F. wyraził życzenie, abym zadał pacjentowi jakiegokolwiek pytanie. Uczyniłem temu zadość w sposób następujący:

– Waldemarze, czy możesz nas objaśnić, jakie uczucia lub pragnienia posiadasz obecnie?

Tu – nastąpił natychmiast powrót gorączkowych wypieków na policzki, język drgnął lub raczej zakłębił się gwałtownie w jamie ustnej (choćby szczęki i wargi zachowywały wciąż swój bezruch) i wreszcie ten sam straszliwy głos, o którym mówiłem, wyszarpnął się stamtąd:

– Na miłość Boga! prędzej – prędzej! pogrążcie mnie we śnie! – Lub – prędzej – zbudźcie mnie! Toć mówię wam, żem martwy!

Byłem do głębi wstrząśnięty i przez chwilę wahałem się, co mam czynić? Zrobiłem zrazu wysiłek, aby uspokoić pacjenta, lecz nie osiągnąwszy w tym kierunku skutków dla zupełnego braku woli, odwróciłem zamiar i starałem się co prędzej obudzić go ze snu. Postrzegłem wkrótce, iż ten zamiar uwieńczy się zupełnym tryumfem, lub raczej roilem, iż mój tryumf będzie zupełny, i jestem pewien, iż wszyscy obecni spodziewali się ocknienia śpiącego. Lecz żadna istota ludzka nie mogła się spodziewać tego, co się w rzeczywistości zdarzyło, wybiega to poza wszelką granicę prawdopodobieństwa. Gdy szybko czynił p a s y magnetyczne wśród okrzyków: „Martwy! martwy!”, którymi po prostu bluzgał język, nie zaś wargi śpiącego, całe jego ciało – od razu – w przeciągu minuty lub mniej niż minuty – obluźniło się – rozpadło się aa źdźbła – doszczętnie zgniło mi w rękach. Na łożu – w oczach wszystkich obecnych – leżała wstrętna, na wpół płynna miazga – coś w rodzaju potwornej zgnilizny.

Metzengerstein

Pestis eram Vivus – moriens tua mors ero.
Marcin Luter.

Zgroza, i przeznaczenie po wsze czasy – dłoń w dłoni – pędzą po swych ścieżkach. Dla jakich to powodów mam obciążać datą opowieść, którą zamierzam podać? Dość, jeśli powiem, iż w epoce, o której mowa, istniała na Węgrzech potajemna, lecz głęboko utwierdzona wiara w zasady metempsychozy. O samych zasadach, o ich błędności lub stopniu prawdopodobieństwa – zgoła przemilczę. Twierdzę wszakże, iż lwia część naszego niedowiarstwa pochodzi, mówiąc słowami la Bruyere'a, który tej jedynej przyczynie przypisuje całą naszą klęskę – pochodzi z niemożliwości przebywania sam na sam ze s o b a³. Lecz węgierska odmiana wspomnianego zabobonu posiada dwa punkty, które graniczą wręcz z absurdem. Węgrzy odbiegają bardzo zasadniczo od swych wschodnich pierwoźródeł. Na przykład – zgodnie z ich wiarą – przytaczam słowa pewnego wytwornego i bystrego paryżanina – dusza raz tylko jeden jedyny przebywa w danym kształcie zmysłowym. Przeto – koń, pies, a nawet człowiek są jeno znikomymi odwzorami tych istot.

Ród Berlifitzingów i ród Metzengersteinów w odwiecznej trwały waśni. Nigdy nie oglądano dwóch tak dostojnych rodów, tak zawziętych w swej śmiertelnejnienawiści. Nienawiść owa mogła się wywodzić od słów pewnej starożytnej przepowiedni: „Wielki ród pokala się upadkiem straszliwym, gdy jako rycerz na swym rumaku śmiertelność Metzengersteinów zagóruje nad nieśmiertelnością Berlifitzingów”.

Wprawdzie słowa te niewiele lub zgoła nic nie znaczą. Atoli przyczyny bardziej codzienne zrodziły – nie sięgając zbyt wysoko – następstwa brzemiennie w wypadki. Nadto obydwie sąsiadujące rody od dawna współubiegały się o przewagę w dziedzinie nieokiełznanego władztwa. Zresztą – sąsiedzi tak bliscy rzadko zdobywają się na przyjaźń, zaś ze szczytu swych ugrzęzłych we własnym ogromie tarasów – mieszkańcy pałacu Berlifitzingów mogli zanurzać spojrzenia w samych oknach pałacu Metzengersteinów. Słowem – rozblask bardziej niż feodalnego przepychu nie wystarczał dla uśmierzenia dąsów mniej starożytnego i mniej bogatego rodu Berlifitzingów. Możnaż się tedy dziwić, że słowa tej skądinąd cudacznej przepowiedni tak nieodparcie snuły i podsycaly niesnaski pomiędzy obojgiem rodów, pochopnych już do zwady dzięki wszelakim bodźcom – dziedzicznej zawiści? Przepowiednia zdawała się zawierać – jeśli w ogóle zawierała cokolwiek – ostateczny tryumf już przed czasem, potężniejszego domu i przeto tkwiła żywcem w pamięci słabszego i mniej możnego rodu, wypełniając tę pamięć pełną goryczy zawziętością.

Hrabia Wilhelm Berlifitzing mimo dostojnego pochodzenia w okresie niniejszej opowieści był jeno ułomnym gadułą i nie odznaczał się niczym – chyba przedawnioną i obłądną nienawiścią dla rodziny swego współzawodnika oraz tak niespożyтым zapałem dla koni i polowania, że ani braki fizyczne, ani powaga wieku, ani przyćmienie umysłu – nic zgoła nie mogło stanąć mu na przeszkodzie do codziennego narażania się na niebezpieczeństwa owych ćwiczeń. Z drugiej strony – baron Fryderyk Metzengerstein nie był jeszcze pełnoletni. Ojciec jego, minister G., umarł młodo.

³ Mercier w swym *Roku dwa tysiące czterdziestym* daje doktrynom metempsychozy poważne poparcie, zaś I. Israeli twierdzi, że nie ma systematu również prostego i mniej waśniącego się z rozumem. Pułkownik Ethan Allen – Green Mountain Boa – też uchodzi za poważnego zwolennika metempsychozy (E.A.P).

Matka, Maria, poszła wkrótce w jego ślady. Fryderyk w danym okresie czasu miał rok osiemnasty. W mieście – przeciąg lat osiemnastu nie stanowi rozległego okresu, lecz w samotni – w tak wielmożnej samotni, jaką było owo zamierzchłe lennictwo, zegar pogłębia i wzmacnia uroczystość swych godzin.

Wskutek zbiegu niektórych, rządami ojca przysporzonych okoliczności – młody baron niezwłocznie po jego śmierci wszedł w posiadanie dóbr obszernych. Rzadko się zdarza, aby szlachcicowi węgierskiemu przypadła w dziale tak świetna ojcowizna. Niepolicone były jego pałace. Najwspanialszym i największym był pałac Metzengersteinowski. Dobrom jego nie określono nigdy wyraźnej granicy – dość, że główny park zajmował przestrzeń pięćdziesięcimiłową.

Objęcie tak nieporównanej fortuny przez tak młodego i tak znanego ze swych skłonności właściciela niewiele miejsca pozostawiało domysłom co do prawdopodobnego na przyszłość rodzaju postępowania. I rzeczywiście w przeciągu dni trzech zachowanie się dziedzica zaćmiło rozgłos Heroda i chwalebnie prześcignęło oczekiwania najzapaleńszych jego wielbicieli, Bezwstydna rozpusta, jawna zdrada, niesłychane okrucieństwo przekonało wkrótce przerażonych wasalów, że ani ślepe z ich strony posłuszeństwo, ani jakiegokolwiek z jego strony odruchy sumienia – nic w ogóle nie zapewni im odtąd ucieczki przed bezczelnymi szponami tego Kaliguli – w zmniejszeniu. W noc – na czwartą dobę ujrzano pożar, który objął stajnię pałacu Berlifitzingów, i jednomyślne zdanie sąsiadów do straszliwego poza tym szeregu przestępstw i okrucieństw barona dorzuciło zbrodnię podpalacza.

Sam zaś młody szlachcic podczas zgiełku wytworzonego wspomnianym wypadkiem trwał, na pozór zadowolony w zadumie, na górnych piętrach pałacu Metzengersteinów – w obszernym i samotnym przybytku. Bogate, aczkolwiek spłowiałe obicia, melancholijnie zwisające wzdłuż murów, ukazywały fantastyczne i majestatu pełne postacie tysiąca dostojnych przodków. Tu – obficie strojni gronostajem kapłani, dostojnicy pontyfikalni, zasiadając poufale obok samowładcy lub księcia udzielnego przeciwstawiali swe veto dąsom świeckiego króla lub za pomocą wszechmogącego z ramienia papieża fiat znieruchomiali buntownicze berło Moźnego Wroga, księcia ciemności. Tam – pochmurne i okazałe oblicza książąt Metzengersteinów, których potężne rumaki bitewne tratowały poległego wroga, swym mocarnym wyrazem poruszały z posad serca najkrzepsze. Owdzie – z kolei – lubieżne i białe na kształt łabędzi postacie dam z dni zamierzchłych zwiewne unosiły się ku oddalom w wirach fantastycznego tańca w takt melodii domyślnej.

Wszakże, gdy baron nasłuchiwał lub udawał, że nasłuchuje wciąż wzrastającego zgiełku w stajniach Berlifitzingów – i knuł, być może, nowy jakiś zamach, nieodwołalnie powzięty zamach rozzuchwalonych namiętności, oczy jego padły mimo woli na wizerunek olbrzymiego, nierzezywistej maści rumaka, który zgodnie z układem malowidła należał do jednego ze starożytnych Saracenów wrogiemu rodu.

Rumak tkwił na pierwszym do obrazu wstępie – nieruchomy jako posąg – podczas gdy nieco opodal, poza nim – wysadzony z siodła jeździec konał pod mieczem jednego z Metzengersteinów. Wargi Fryderyka zadrgały obyczajem czartowskim, jak gdyby rozważał ów kierunek, który wzrok jego powziął bezwiednie. Mimo to nie odwrócił oczu. Przeciwnie – nie miał bynajmniej żadnego powodu do owej uciążliwej trwogi, która na kształt całunu, zdała się opadać na jego zmysły. Z trudem skupiał wrażenia bezładne jak od zmór mających nieodparte oznaki Rzeczywistości. Im dłużej się przyglądał, tym mocniejszy ogarniał go czar – tym niemożliwszym stawało się oderwanie źrenic od uroków owego malowidła. Atoli, gdy zgiełk od zewnątrz wzmógł się z nagłą gwałtownością, uczynił wreszcie, jakby ku własnemu żalowi, wysiłek i przerzucił swą uwagę na wybuchy szkarłatnego odbłasku, z całej mocy odstrzelone od płonących stajni ku oknom jego przybytku.

Odruch ten był wszakże jeno przelotny, wzrok jego mimo woli powrócił do ściany. Ku wielkiemu jego zdumieniu łeb olbrzymiego wierzchowca – straszno pomyśleć! – odmienił w ciągu tego czasu swój kierunek. Szyja zwierzęcia, dotychczas jakby mocą współczucia zgięta ku ciału zrzuconego na ziemię pana, wyciągnęła się teraz – prężnie i w całej swej długości – ku baronowi.

Ślepie, przed chwilą niewidzialne, patrzyły teraz usilnie i po ludzku, płomieniejąc żarliwą i nie-powszednią purpurą, a rozwarłe wargi tego rumaka o pysku rozjuszonym ukazywały w całej pełni kły kościotrupie i wstrętne.

Młody magnat, struchlały od przerażeń, krokiem chwiejnym cofnął się ku drzwiom. Gdy je otworzył, blask łuny zadrzał w dal po sali, wyraźnie odwzorowując swą poświatę na rozedrganych obiciach. Przez okamgnienie wahając się na progu, zadrzał baron na widok, iż owa poświata skupiła się bez reszty w obrębie postaci nieubłaganego i tryumfującego zabójcy Saracena – Berlifitzinga.

By przysporzyć otuchy przybladłemu duchowi, baron Fryderyk wybiegł co tchu na powietrze. U głównego wejścia do pałacu zastał trzech giermków. Ci – z wielką trudnością i narażeniem życia, hamowali konwulsyjne poskoki olbrzymiego płomiennej maści rumaka.

– Czyj to rumak? Gdzie wam się trafił taki znalazek? – spytał młody baron głosem szorstkim i zdławionym, miarkując niezwłocznie, iż tajemniczy wierzchowiec z malowidła był doskonałym wcieleniem rozszalałego zwierzęcia, które miał oto przed oczyma.

– Wasza to własność, Jaśnie Oświecony Panie – odpowiedział jeden z giermków – a w każdym razie żaden inny właściciel nie upomniał się o niego. Ujęliśmy go w chwili, gdy – cały dymiący i broczący pianą wściekłości wyszarpywał się z objętych pożarem stajni pałacu Berlifitzingów. Przypuszczając, że należał do stadniny cudzoziemskich okazów starego hrabiego, przyprowadziliśmy go jako rzecz niczyją. Atoli służba zgoła wypiera się tego zwierzęcia, co dziwnym się zdaje, ponieważ znaczą je widoczne poszlaki ognia, które dowodzą, iż uszło stamtąd cało.

– Litery W. V. B. również bardzo wyraźnie znaczone są na łbie jego żelazem – przerwał drugi giermek – sądziłem tedy, iż są to inicjały Wilhelma von Berlifitzinga, lecz wszystka ludność pałacu wręcz twierdzi, że wcale nie znała owego rumaka.

– Dziw niesłychany! – rzekł młody baron z zadumą i jakby zgoła nieświadom treści słów własnych. – Jest to waszym zdaniem, godny podziwu rumak, rumak cudowny! Chociażby miał, jak to słusznie sądzicie, niebezpieczne i nieprzeparowane narowy, nuże! – niechaj będzie moim rumakiem! Chcę tego! – dodał po chwili milczenia – Stać się może, iż rycerz tego, co Fryderyk Metzengerstein, pokroju zdoła poskromić samego nawet diabła ze stajni Berlifitzingów.

– Mylicie się, Jaśnie Oświecony Panie! Koń, jakośmy rzekli, nie pochodzi i na mój rozum ze stajni hrabiego. Gdyby tak było, zbyt dobrze znamy swój obowiązek, abyśmy go stawili przed oczy komukolwiek z dostojnych członków waszego rodu.

— Prawdać to – zauważył oschle baron. W tej właśnie chwili przyszedł z pałacu zgrzany od biegu i pełen pośpiechu młody kamerdyner. Szepem podał do ucha swemu panu wiadomość o nagłym zniknięciu części obicia w komnacie, którą stosownie określił, wchodząc przy tym w poufne i drobiazgowo szczegóły wypadku, lecz ponieważ z tych wszystkich zdarzeń zbyt cichym spowiadał się głosem, tedy nie uronił ani jednego słowa, które by mogło zaspokoić nastraszoną ciekawość giermków. W czasie tej rozmowy młody Fryderyk zdawał się rozmaite zdradzać wzruszenia. Wkrótce jednak odzyskał swój spokój i wyraz zawziętej złości utrwalił się już na jego obliczu w chwili, gdy wydał nieodwołalny rozkaz natychmiastowego zamknięcia owych komnat i oddania mu klucza do rąk własnych.

– Jestże wam wiadoma, Jaśnie Oświecony Panie, oplakana śmierć Berlifitzinga, starego myśliwego? – rzekł do barona jeden z jego wasalów po odejściu pazia, gdy olbrzymi wierzchowiec, którego baron, przed chwilą uznał za swego, ze zdwojoną wściekłością miotał się i poskakiwał wzdłuż głębokiej alei, wiodącej od pałacu ku stajniom Metzengersteinów.

– Bynajmniej! – odrzekł baron, gwałtownie zwracając się ku mówiącemu. – Umarł, powiadasz?

– Istna to prawda, Jaśnie Oświecony Panie! Sądzę, iż dla członka waszego rodu wiadomość owa nie jest zbyt przykra.

Przelotny uśmiech przemknął po twarzy barona.

– Jaką śmiercią zmarło mu się?

– W swych bezrozumnych zabiegach dokoła ocalenia najprzedniejszej połaci swej stadniny myśliwskiej – zginął marnie w płomieniach.

– Doprawdy! – wykrzyknął baron, zgłoskując – jakby z wolna i stopniowo wczuwał się w jakąś tajemniczą oczywistość.

– Doprawdy. – powtórzył wasal.

– Zmora! – rzekł młodzieniec z nie małym spokojem i bez troski wszedł do pałacu.

Odtąd znaczna zmiana zaszła w widomych czynach młodego rozpustnika – barona Fryderyka von Metzengerstina. W istocie – jego zachowanie się zaprzeczyło wszelkim przedwczesnym y/nioskom i pogmatwało zamysły niejednej matce. Jego obyczaje i rodzaj życia wyodrębniały się coraz dosadniej i nasuwały mniej niż kiedykolwiek pokrewnych zestawień z obyczajami szlachty okolicznej. Nie widziano go nigdy poza obrębem jego własnych majątkości i w szerokim

Świecie społecznym nikt mu bezwzględnie nie sprzyjał – chyba ów olbrzymi, rozhukany, nierzeczywisty, maści płomiennej rumak, którego odtąd nieustannie dosiadał, a który niezaprzeczenie miał niejaki tajemnicze prawo do godności druha.

Wszakże co pewien czas nawiedzali go sąsiedzi.

– Czy baron raczy naszą ucztę zaszczyścić swoją obecnością? – Czy baron raczy stowarzyszyć się z nami gwoli polowania na dzika?

– Metzengerstein nie poluje. – Metzengerstein przyjść nie raczy – takie były jego odpowiedzi – harde i krótkie.

Tym częstym zniewagom nie mogła folgować butna szlachta. Odwiedzano go nie tak przyjaźnie – nie tak pochopnie. Z biegiem czasu zaprzestano zgoła odwiedzin.

Wiadomo było, że wdowa po nieszczęsnym Berlifitzingu twierdzi stanowczo, iż barona nie ma w domu wówczas, gdy chce być nieobecny, ponieważ gardzi towarzystwem równych sobie – i że dosiada konia wówczas, gdy chce się uniedostępnić, ponieważ woli obcować z koniem niż z ludźmi. Słowa te były bezwarunkowo niedorzecznym zapędem dziedzicznej zawziętości i jednocześnie dowodem, że wnioski nasze stają się osobliwym absurdem w chwili, gdy chcemy je ująć w kluby niezwykłej stanowczości.

Ludzie dobrotliwi przypisywali jednak zmianę obyczajów młodego magnata słusznej rozpacz syna dotkniętego przedwczesną stratą rodziców – zapominali wszakże przy tym o jego okrutnym a beztroskim żywocie w dniach bezpośrednio po owej stracie nastających. Byli i tacy, którzy go po prostu posądzali o przesadne poczucie Własnej wagi i godności. Inni z kolei (a w ich liczbie wymienić możnadamowego lekarza) stwierdzali bez wahania chorobliwą melancholię i zboczenia dziedziczne – tymczasem bardziej tajemnicze i dwuznaczne pogłoski krążyły wśród tłumu.

W istocie – przewrotne przywiązanie barona do nowo nabytego wierzchowca – przywiązanie, które zdawało się wzrastać pod wpływem każdego nowego ze strony zwierzęcia dowodu drapieżnych i diabelskich nałogów – nabrało z czasem w oczach ludzi rozsądnych pozorów potwornej i zboczonej tkliwości. W olśnieniach południa, w przepastnych godzinach nocy, w chorobie czy w zdrowiu, w ciszy czy w burzy – młody Metzengerstein trwał przykuty do siodła olbrzymiego rumaka, którego nieposkromione narowy tak trafnie odpowiadały nastrojom jego własnej duszy.

...Istniały ponadto okoliczności, które – wobec świeżo zaszłych wypadków – przydawały nadprzyrodzonych i potwornych zabarwień opętaniem jeźdźca i potędze zwierzęcia. Przestrzeń, którą zwierzę zagarniało jednym skokiem i którą zmierzono dokładnie, godnym podziwu nadmiarem przekraczała granicę najzuchwalszych i najprzesadniejszych przypuszczeń. Baron ponadto nie używał w stosunku do zwierzęcia żadnego poszczególnego imienia, chociaż wszystkie rumaki swej stadniny wyróżniał nazwami charakterystycznymi. Rumak, o którym mowa, miał do swego użytku stajnię w pewnej odległości, w sprawach zaś opatrunków i innych posług niezbędnych – nikt prócz samego we własnej osobie właściciela nie śmiał dopełnić wspomnianych czynności ani nawet wkroczyć do zagrody, kędy piętrzyła się stajnia wyłączna. Nie uszło też uwagi powszechnej, że chociaż trzech giermkowie, którzy zawładnęli biegunem, gdy wymykał się pożarom Berlifitzingów, zdołali powściągnąć jego pęd za pomocą łańcucha z litą pętlicą, wszakże

żaden z trojga nie mógł twierdzić z zupełną pewnością, że w czasie niebezpiecznej walki lub kiedykolwiek potem – położył swą dłoń na grzbiecie zwierzęcia.

Dowody bystrej umysłowości, zdradzanej zachowaniem się szlachetnego i ognistego rumaka, nie wystarczyłyby do rozniecenia bezpodstawnej ciekawości, lecz istniały niektóre dane, zdolne zadać kłam najbardziej niedowierzczym i najleniwszym umysłom. Opowiadano, że niekiedy zwierzę rozsiewem postrachu zmuszało ciekawe tłumy do cofnięcia się przed głęboką a nieodpartą tajemnicą piętnujących je przeznaczeń – że niekiedy młody Metzengerstein blednął i unikał nągłych spojrzeń poważnych i człowieczych niemal oczu zwierzęcia.

Wszakże nikt ze służby barona nie wątpił o niezwyklej żarliwości owych uczuć, które w młodym szlachcicu budził dobór świetnych zalet rumaka – nikt prócz podrzędnego, ust niewiarogodnych pazika, który słynął wszędy z odrażającej brzydoty, a którego zdanie było do cna niepoważne. Ten twierdził bezczelnie – o ile pomysły jego warte są zachodu wzmiankowania – iż pan jego nigdy nie okracza siodła bez niewy tłumaczonego a prawie niepochwytne go drżenia, zaś po każdym powrocie ze swych długich i nałogowych wycieczek wyraz tryumfującej złowrogości kurczy wszystkie mięśnie jego oblicza.

Pewnej nocy burzliwej Metzengerstein, z ciężkiego snu ockniony, wybiegł jak obłądny z komnaty i, pośpiesznie dosiadłszy rumaka, zabrnął w poskokach do labiryntu lasu. Zdarzenie tak codzienne nie mogło zbudzić wyjątkowych niepokojów, lecz wszystka służba z natężoną trwogą wyczekiwała jego powrotu, gdy po kilku godzinach nieobecności cudowne i wspaniałe budowle pałacu Metzengersteinów jęły trzeszczeć i chwiać się w swych posadach pod przemocą nieogarnionego i nieokiełznanego ognia – jakiejś sinej a gęstej nawały.

Ponieważ płomienie, gdy je po raz pierwszy zauważono, dosięgły już tak straszliwego rozwoju, że wszelkie wysiłki ku ocaleniu jakiegokolwiek części zabudowań okazały się bezskuteczne, tedy cała ludność sąsiedzka trwała wokół bezczynnie w niemym, a może i w obojętnym zdętwieniu.

Lecz straszliwy a nowy widok skupił wkrótce bacność rzeszy dowodząc, ile potężniej wstrząsa ciekawością tłumu pokaz agonii ludzkiej niż najgroźniejsze zjawiska martwego żywiołu. W długiej alei zgrzybiałych dębów, które, poczynając od lasu, ciągnęły się ku głównemu do pałacu Metzengersteinów wejściu, wierzchowiec ponoszący jeźdźca z obnażoną głową i w beładzie ukazał się w opętańczym galopie, który urągał demonom samej burzy.

Jeździec nie był oczywiście panem tych rozhukanych lotów. Przerażenie w jego twarzy, kurczowe całym ciałem wysiłki świadczyły o walce nadludzkiej, ale żaden dźwięk prócz jednego – jedyne go okrzyku nie wyrwał mu się z warg zaciśniętych, które gryzł do krwi od natężeń trwogi. W okamgnieniu tętent kopyt zadzwonił ostrym i przenikliwym odgłosem, górującym nad rykiem płomieni i nad poświstem wichury – jeszcze okamgnienie – a jednym skokiem dotarłszy do wrót i fosy, biegun wpadł na chwiejne wschody pałacu i znikł wraz z jeźdźcem w rozklębach pogmatwanych płomieni.

Wściekłość burzy niezwłocznie ucichła i bezwzględna cisza uroczyście wstąpiła w swe prawa. Biały płomień na kształt całunu spowijał nieustannie budowle i, strumieniąc się w dal po spokojnym powietrzu, rzucał światło pełne olśnień nierzeczywistych, podczas gdy obłok dymu skupiał się ociężale ponad dachami w kształt wyraźny olbrzymiego r u m a k a .

Złoty żuk

Dawnymi laty nawiązałem zażyłą znajomość z Mr Williamem Legrandem. Pochodził on ze starodawnej, hugonockiej rodziny i był niegdyś zamożny, lecz cały szereg niepowodzeń zubożył go doszczętnie. Chcąc uniknąć przykrości, jakie stąd dlań wynikły, porzucił Nowy Orlean, gdzie znajdowało się gniazdo rodzinne jego przodków, i osiedlił się na wyspie Sullivan koło Charlestonu, w Karolinie Południowej.

Wyspa ta jest nader osobliwa. Składa się wyłącznie z piasków morskich i ma około trzech mil długości. Szerokość jej nie wynosi nigdzie więcej niż ćwierć mili. Od lądu dzieli ją zaledwie dostrzegalna cieśnina, pelzająca leniwie wśród bezmiaru trzciny i namułu i stanowiąca ulubione miejsce pobytu kurek wodnych. Roślinność jest skąpa i nikła. Drzew dorodniejszych nie widać wcale. U krańca zachodniego, gdzie wznosi się Fort Moultrie i stoi kilka nędznych klitek drewnianych, zamieszkiwanych w lecie przez przybyszów z Charlestonu, co uchodzą stamtąd przed malarią i kurzem, spotyka się, co prawda, szczeciniastą palmę karłowatą; natomiast całą wyspę, z wyjątkiem owego zachodniego skrawka, jako też przykraj, białawej smugi wybrzeża morskiego pokrywają gęste chaszczki wonnego mirtu, wielce cenione przez ogrodników angielskich. Krzew ten miewa tam często piętnaście do dwudziestu stóp wysokości i tworzy nieprzeniknione niemal gąszcze, które przesycają powietrze swym zapachem.

W najtajemniejszym ustroniu tych zarośli, opodal od wschodniego, czyli dalszego krańca wyspy, wybudował sobie Legrand własnoręcznie niewielką chatę, którą zamieszkiwał, kiedy po raz pierwszy przypadkowo zdarzyło mi się go poznać. Znajomość ta rychło przedzierzgnęła się w przyjaźń, gdyż pustelnik ów miał niejedną zaletę, zasługującą na cześć i uznanie. Przekonałem się, że był człowiekiem dobrze wychowanym i uposażonym niezwykle potężnym umysłem, lecz zatrutym mizantropią oraz podległym chorobliwym mrzonkom naprzemiennego entuzjazmu i melancholii. Miał u siebie wiele książek, ale zaglądał do nich rzadko. Głównym jego zajęciem było myślistwo i rybołówstwo jako też włóczęgi po wybrzeżu i wśród mirtów w poszukiwaniu muszli oraz okazów entomologicznych; zbiorów mógł mu pozazdrościć nawet Swammerdamm. Na tych wycieczkach towarzyszył mu zazwyczaj stary Murzyn, zwany Jupiterem, który odzyskał wolność jeszcze przed niepowodzeniami rodzinnymi Legrandów, lecz żadną groźbą ni obietnicą nie można go było skłonić do wyrzeczenia się tego, co uważał za swe prawo do czuwania nad postępami młodego – jak go nazywał – Massy Willa. Być może, iż krewni Legranda uważając go za człowieka o chwiejnym umyśle postarali się utwierdzić w tym uporze Jupitera mając nadzieję, że będzie on towarzyszem i opiekunem tułacza.

Pod szerokością geograficzną wyspy Sullivan zimy ostrzejsze należą do rzadkości i nieczęsto się zdarza, by pod koniec roku trzeba było zapalać ogień dla ciepła. Mimo to około połowy października 18.. r. nastął dzień nadzwyczaj chłodny. Na krótko przed zachodem słońca torowałem sobie drogę wśród wiecznie zielonych chaszczki do chaty mojego przyjaciela, którego nie widziałem już od kilku tygodni, mieszkałem podówczas w Charlestonie o jakie dziewięć mil od wyspy, a ułatwienia w podróży tam i z powrotem bynajmniej nie dorównywały jeszcze dzisiejszym. Stanąwszy przed chatą zastukałem swym. zwyczajem, a nie otrzymawszy odpowiedzi poszukałem klucza w wiadomej mi skrytce, otworzyłem drzwi i wszedłem do wnętrza. Na kominie rozkosznie płonął ogień. Była to niespodzianka – i trzeba przyznać, że nader miła. Zdjąłem płaszcz, przysunąłem sobie krzesło do trzaskających głowni i czekałem cierpliwie powrotu mych gospodarzy.

Pojawili się o zmierzchu i powitali mnie bardzo serdecznie. Jupiter szczerząc zęby od ucha do ucha zakrzętał się około przygotowania kurek wodnych na wieczerzę. Legrand był znów w przystępie – gdyż nie wiem, jak to inaczej nazwać – entuzjazmu. Znalazł nieznanego skorupiaka przedstawiającego nową odmianę i, co więcej, schwytał przy pomocy Jupitera jakiegoś żuka, który wedle niego był zupełną nowością, lecz co do którego pragnął jeszcze zasięgnąć nazajutrz mojego zdania.

– Czemuż nie dzisiaj? – spytałem zacierając ręce nad ogniem i cały gatunek żuków posyłając w duchu do diabła.

– Ach, gdybym był wiedział, że przyjdiesz! – odparł Legrand – lecz nie widziałem cię już tak dawno; jakże mogłem przypuszczać, że mnie odwiedzisz właśnie dzisiejszego wieczora? Idąc z powrotem spotkałem po drodze porucznika G. z fortu i zrobiłem to głupstwo, że pożyczyłem mu chrząszcza do obejrzenia; nie możesz go zatem wcześniej zobaczyć aż jutro rano. Przenocuj dziś u mnie, a o świcie Jup pójdzie po niego. To istne czarodziejstwo!

– Co? Świt?

– Nie pleć! Żuk. Lśni cały jak złoto, jest wielkości dużego orzecha, ma dwie ogromne czarne plamki po jednej stronie odwłoku i trzecią, nieco większą, po drugiej. Macki są...

– On nie ma nijakich macek, Massa Will, idę ozakład – przerwał Jupiter – ten chrząszcz to złoty chrząszcz: on cały ze szczerego złota i w środku, i wszędzie oprócz skrzydeł. Jeszczem w życiu nie widział takiego ciężkiego chrząszcza.

– Zgoda, przypuśćmy, że tak jest istotnie, Jup – odrzekł Legrand, jak mi się zdawało, nieco poważniej, niż tego wymagały okoliczności – ale czy dlatego masz przypalić nasze kurki? Barwa – mówił dalej zwracając się do mnie – przemawia rzeczywiście do pewnego stopnia za przypuszczeniem Jupitera. Nie zdarzy ci się chyba widzieć bardziej metalicznego połysku niżli na łuskach tego owada, lecz będziesz mógł o tym sądzić dopiero jutro. Tymczasem chciałbym ci dać wyobrażenie o jego kształcie. – Z tymi słowy usiadł przy naszym stoliku, na którym znajdował się atrament i pióro, lecz nie było papieru. Sięgnął po niego do szuflady, ale i tam nic nie znalazł.

– Co tam – rzekł w końcu – to wystarczy. – Wyjął z kieszonki od kamizelki jakiś świstek, który wydał mi się nadzwyczaj brudnym kawałkiem papieru welinowego, i piórem naszkicował rysunek. Kiedy to się działo, nie ruszałem się z miejsca, bo wciąż jeszcze było mi chłodno. Ukończony rysunek podał mi go nie powstając z krzesła. Miałem już szkic w ręku, gdy rozległo się głośnie skomlenie i coś zachrobotało za drzwiami. Otworzył je Jupiter i do izby wpadł wielki nowofundlandczyk będący własnością Legranda; wsparł się łapami na mych kolanach i nie szczędził mi pieszczot wywzajemniając się za pieczołowitość, jakiej już niejednokrotnie doznawał ode mnie poprzednio. Gdy przestał się łąsić, spojrzałem na papier i prawdę mówiąc byłem nieco zakłopotany dziwołagiem mojego przyjaciela.

– Hm! – rzekłem po kilku minutach – trzeba przyznać, że ten żuk istotnie jest niezwykle i stanowi dla mnie nowość; nie widziałem jeszcze niczego podobnego, chyba że byłaby to czaszka lub trupia głowa, którą bodaj przypomina najwięcej wśród widywanych przeze mnie przedmiotów.

– Co, trupia głowa? – zapytał Legrand. – Ach, tak, tak, bez wątpienia, jest niejako podobieństwo na papierze. Dwie górne, czarne plamki wyglądają jak oczy, nieprawdaż? A ta podłużna na odwłoku niby pyszczek? Przy tym kształt całości jest owalny.

– Być może – odparłem – ale coś mi się zdaje, że nieszczególnym jesteś artystą, poczekam, aż zobaczę tego owada na własne oczy i sam poweźmę wyobrażenie o jego wyglądzie.

– Zgoda, choć nie wiem... – rzekł z lekką w głosie urazą. – Rysuję znośnie lub przynajmniej powinien bym, miałem niezłych nauczycieli i pochlebiam sobie, że nie jestem w ciemną bitą.

– Ależ, mój drogi, ty chyba żartujesz – odezwałem się – to wcale poprawna czaszka, jeśli zgodzimy się na poglądy obowiązujące powszechnie w osteologii; to twój żuk musi być najosobliwszym żukiem na świecie, skoro jest do niej podobny. Można by na karb jego złożyć jaką zaboronną okropność. Myślę, że nazwiesz tego chrząszcza *scarabeus caput hominis*⁴ lub dasz mu inne

⁴ Scaratieus caput hominis(łac.)skarabeusz głowa ludzka.

zbliżone nazwanie, zwłaszcza że podobne miana spotyka się często w naukach przyrodniczych. Ale gdzie są macki, o których mówiłeś?

– Macki! – zachnął się Legrand, który, jak mi się zdawało, zapalił się niepomiernie do przedmiotu naszej rozmowy – musisz je widzieć, tego jestem pewny! Narysowałem je najdokładniej wedle oryginału i myślę, że to wystarczy.

– Nie przeczę, nie przeczę – powiedziałem – być może, iż narysowałeś, ale ja ich nie widzę – i wręczyłem mu papier nie dodając ani słowa, by nie podniecać jego rozdrażnienia; wszelako byłem niepomału zdziwiony tym obrotem rzeczy. Jego zły humor wprowadził mnie w zakłopotanie – co zaś do rysunku chrząszcza, macek na pewno nie było widać, a całość okazywała nadzwyczajne podobieństwo do zwykłych kształtów trupiej głowy.

Sięgnął po papier bardzo niechętnie i już miał zmiąć go chcąc zapewne rzucić w ogień, gdy przypadkowy rzut oka na rysunek przykuł nagle, jak mi się zdawało, całą jego uwagę. Poczerwienił zrazu na twarzy, po czym przybladł mocno. Przez kilka minut nie ruszając się z miejsca badał szczegółowo rysunek. W końcu wstał, wziął świecę ze stołu i odszedłszy opodał, usiadł na skrzyni w najdalszym kącie izby. Tu znowu jął oglądać drobiazgowo papier obracając go na wszystkie strony. Wszelako nie wyrzekł ani słowa ku wielkiemu mojemu zdziwieniu; zdawało mi się przeto, iż będzie najrozsądniej nie robić żadnych uwag i nie powiększać wzmagającego się rozstroju jego usposobienia. Ostatecznie wyjął z kieszeni portfel, włożył do niego starannie papier i schował do biurka, które zamknął na klucz. Znać było po nim niejakie uspokojenie, ale poprzedni jego zapał znikł doszczętnie. Mimo to wydawał mi się nie tyle zadowolony, co roztargniony. Z biegiem wieczoru coraz bardziej pograżał się w zadumie i nie dawał się z niej wyprowadzić żartami. Poprzednio miałem zamiar przenocować w chacie, jak to czyniłem już niejednokrotnie, ale widząc roztargnienie mojego gospodarza, uważałem za stosowne pożegnać się z nim. Nie nalegał wcale, bym pozostał, lecz na pożegnanie uściśnął mnie serdeczniej niż zwykle.

W jakiś miesiąc później (a przez cały ten czas nie miałem zgoła wieści od Legranda) odwiedził mnie w Charlestonie jego służący Jupiter. Nie widziałem przedtem nigdy poczciwego, starego Murzyna w podobnym przygnębieniu i jąłem się obawiać, czy jakie wielkie nieszczęście nie spotkało mojego przyjaciela.

– No, cóż, Jup! – zagadnąłem. – Co tam słyhać nowego? Co porabia twój pan?

– Żeby prawdę powiedzieć, Massa, nie wie dzie mu się tak dobrze, jakby powinno.

Niedobrze! Co ty mówisz? To mnie martwi. Cóż mu dolega?

– Otóż to! Nie skarży się na nic, ale jest bardzo chory.

– Bardzo chory, Jup? A czemużes tego nie powiedział od razu? Czy leży w łóżku?

– Ej, nie! Z nim nigdzie nie jest dobrze – i tu właśnie jest sęk – bardzo mi ciężko na duszy, bo mnie smuci Massa Will.

– Słuchaj no, Jup, chciałbym coś zrozumieć z tego, co pleciesz. Więc powiadasz, że twój pan niezdrów? Czy ci nie mówił, co go boli?

– Ej, Massa, nie warto łamać sobie nad tym głowy! Massa Will mówi, że mu nic nie jest, ale dlaczego łązi z kąta w kąt zamyślony, zgarbiony, ze spuszczoną głową i blade jak gęś? A potem dlaczego robi ciągiem te kulasy?

– Co robi, Jupiter?

– No, takie kulasy i figury na tabliczce – jeszcze takich figur nie widział. Aż skóra cierpnie na mnie, mówię panu. Nie mogę ani na chwilę spuścić go z oka. Onegdaj wymknął mi się przed wschodem słońca i poszedł gdzieś i nie było go przez cały święty dzionek. Jużem był sobie wyciął tęgi kij, żeby wygnać z niego te diabły, kiedy przyjdzie, alem był taki osioł, że mi nie stało kurazu... tak źle, biedactwo, wyglądał!

– Co ty mówisz, naprawdę? Mnie się jednak zdaje, że lepiej zrobisz, jeśli nie będziesz nazbyt srogi dla tego biedaka. Nie trzeba go tykać, Jup! Być może, iż nie zniósłby tego. Ale czy nie przy-

chodzi ci na myśl, co mogło spowodować tę chorobę, a raczej tę zmianę w usposobieniu twego pana? Czy nie miał jakiej przykrości od czasu, jak się z wami widziałem?

– Nie, Massa, potem nic przykrego się nie zdarzyło. Ale boję się, czy przedtem... tego samego dnia, kiedyście, panie, byli u nas.

– Co takiego? Co ci się zdaje?

– No, tak, Massa, myślę, że to ten chrząszcz.

– Co znowu? – Ten chrząszcz. Jestem przekonany, że mego Massę Willa ugryzł gdzieś w głowę ten złoty chrząszcz.

– Skądże ci przyszło do głowy takie przypuszczenie, Jup?

– Bo ma dosyć kleszczy, Massa, a ł pysk niezgorszy. Jeszcze w życiu nie widział takiego diabelskiego robaka – łapie i gryzie wszystko, co mu się nawinie. Massa Will pierwszy go chwycił, lecz wnet puścił, słowo daję... i to wtedy pewnikiem go ugryzł. Mnie się jakoś od razu nie podobał ten chrząszcz i jego pysk, toteż nie sięgnąłem po niego palcami, ale znalazłem kawałek papieru i takem go złapał. Owinąłem go w papier i wepchnąłem mu kawałek tego papieru do pyska – takem to zrobił!

– Więc myślisz, że twego pana naprawdę ugryzł ten owad i że od tego ukąszenia on się rozchorował?

– Ja nic nie myślę – gdzie by tam! Ino dlaczego, śni mu się ciągiem o złocie, jeśli go nie ugryzł ten złoty chrząszcz? Ja jużem niejedno słyszał o tych złotych chrząszczach...

– Skądże ty wiesz, że mu się śni o złocie?

– Skąd ja wiem? Bo ciągiem przez sen o nim gada – stąd wiem.

– Hm, Jup, być może, iż masz słuszność, ale jakiejże to szczęśliwej okoliczności zawdzięczam, żeś raczył dziś mnie odwiedzić?

– He, co Massa gada?

– Czy masz jakie wieści od Mr Legranda?

– Nie, Massa, przyniosłem ino ten kwitek – ta Jupiter podał mi list, który brzmiał, jak następuje:

„Mój Drogi!

Dlaczego nie zagładasz do mnie już od dawna? Myślę, że nie byłbyś zdolny obrazić się na mnie za jakąś tam przymówkę – nie, to niepodobna.

Nie zachodziłeś do mnie, a ja tu przeżywam tymczasem ciężką rozterkę. Miałbym coś do opowiedzenia, lecz doprawdy nie wiem, jak to powiedzieć i czy w ogóle powiedzieć.

Byłem w ostatnich dniach trochę niezdrów; starowina Jup nudzi mnie nieznośnie swą poczciwą troskliwością. Czy byś uwierzył? Kilka dni temu przygotował sobie spory kij, żeby mnie skarcić za to, iż dałem przed nim nura i przewałęsałem się samotnie cały dzień wśród wzgórz, na łądzie. Coś mi się zdaje, że tylko dzięki memu złemu wyglądowi zdołałem ujść cięgow.

Od naszego ostatniego spotkania nie przybyło nic do mych zbiorów. Przybądź do mnie wraz z Jupiterem, jeśli tylko możesz i jeśli nie będzie to dla ciebie zbyt niedogodne. Przyjedźże! Chciałbym widzieć się z tobą dzisiejszego wieczora w pewnej ważnej sprawie. Zapewniam cię, że to sprawa nadzwyczaj ważna.

Szczerze ci oddany

William Legrand”

Było coś w tonie tego listu, co mnie dotknęło nader nieprzyjemnie. Cały jego styl różnił się tak bardzo od stylu Legranda. Co mu się roilo? Jaki nowy bzik załagał się w tym niespokojnym mózgu? Do jakiej to „nadzwyczaj ważnej sprawy” miał zamiar przystąpić? Opowiadanie Jupitera nie zapowiadało niczego dobrego. Jąłem się obawiać, czy nieustanny ucisk niedoli nie wykoleił w końcu umysłu mojego przyjaciela. Nie zwlekając przeto ani chwili wybrałem się w drogę z nieodstępnym Murzynem.

Kiedy przybyliśmy do przystani, spostrzegłem na dnie oczekującej nas łodzi kosę i trzy łopaty, zupełnie nowe.

– Co to wszystko znaczy, Jup? – zagadnąłem.

– To kosa, Massa, i łopaty.

– Wiem, ale skąd one się tu wzięły?

– Massa Will kazał kupić dla siebie w mieście tę kosę i te łopaty, i diablo dużo to kosztowało.

– Lecz, na wszystkie tajemnice, co ten twój Massa Will zamierza począć z kosą i z łopatami?

– Niby to ja wiem wszystko? I niech mnie diabli wezmą, jeśli on wie więcej ode mnie. Ale to wszystko przez tego chrząszcza!

Widząc, że niczego więcej nie dowiem się od Jupitera, którego umysł kołował widocznie tylko dokoła „chrząszcza”, wszedłem do łodzi i rozpiąłem żagiel. Sprzyjał nam rzeźwy i dość silny wietrzyk; rychło zawiniliśmy do niewielkiej zatoki na północ od Fortu Moultrie, skąd pieszo podążyliśmy do chaty oddalonej o niespełna dwie mile. Była trzecia po południu, gdy stanęliśmy na miejscu. Legrand oczekiwał nas z ogromną niecierpliwością. Podał mi dłoń nerwowym ruchem, który mnie zaniepokoił i utwierdził w powziętych już podejrzeniach. Twarz miał bladą jak upiór, a jego głęboko osadzone oczy jarzyły się niezwykłym blaskiem. Najpierw zapytałem go o zdrowie, po czym nie wiedząc, jak nawiązać rozmowę, zagadnąłem, czy odebrał już żuka od porucznika G.

– O, tak – odparł mieniąc się na twarzy – otrzymałem go nazajutrz rano. Za nic w świecie nie rozstałbym się z tym żukiem! Czy wiesz, że Jupiter co do niego miał zupełną słusność?

– Jak to? – zapytałem pełen smutnych przeczuć.

– Bo przypuszczał, że ten chrząszcz jest szczerozłoty! – Powiedział to z głębokim przekonaniem, które sprawiło mi niewymowną przykrość.

– Ten chrząszcz przyniesie mi szczęście – mówił dalej z tryumfującym uśmiechem – i odda mi z powrotem dobra rodzinne. Cóż więc dziwnego, że go cenisz? Skoro fortuna uważała za stosowne dać mi go w ręce, trzeba będzie tylko odpowiednio nim się posłużyć, a znajdę złoto, którego jest zwiastunem. Jup, przynies mi tego żuka!

– Co, żuka, Massa? Wolę ja nie mieć z nim nijakiej sprawy! Niech go Massa sam weźmie. – Na te słowa Legrand podniósł się z miejsca poważnym i wyniosłym ruchem i wyjął chrząszcza ze szklanego naczynia, gdzie go trzymał w zamknięciu. Był to piękny skarabeusz, podówczas nie znany jeszcze przyrodnikom i posiadający dlatego istotną, naukową wartość.

Miał dwie czarne cećki po jednej stronie odwłoku, a trzecią podłużną po drugiej. Łuski jego były nadzwyczaj twarde i lśniące i miały wygląd polerowanego złota. Ciężar owada był nader znaczny, biorąc przeto wszystko pod uwagę trudno było mieć za złe Jupiterowi jego poglądy; natomiast za cenę życia żadną miarą nie zdołałbym być podówczas pojąć, jak Legrand mógł go dzić się na nie.

– Posłałem po ciebie – odezwał się pompatycznym tonem, gdy ukończyłem badanie chrząszcza – posłałem po ciebie, bo mi będzie potrzebna twa rada i pomoc, kiedy poczniesz się łączyć z Przeznaczeniem i żuka...

– Mój drogi – przerwałem – tyś zapewne niezdrów i powinien byś mieć się nieco na baczności. Połóż się do łóżka, a ja zostanę przy tobie, aż to przejdzie. Masz gorączkę i...

– Zbadajże mi tętno – odpowiedział. Wziąłem go za rękę i prawdę mówiąc nie wyczułem najmniejszych oznak gorączki.

– Ale ty możesz być chory i nie mieć gorączki. Pozwól mi tym razem zająć się tobą. Po pierwsze, połóż się do łóżka. Następnie...

– Mylisz się – wtrącił. – Czuję się o wiele lepiej, niżli można by wnioskować z mojego podniecenia. Jeśli naprawdę pragniesz mojego dobra, ulżyj mi w nim!

– A jakże tego dokonać?

– Bardzo łatwo. Wybieram się wraz z Jupiterem na wyprawę śród wzgórz, na stałym lądzie, i potrzebuję do pomocy kogoś, na kim można by polegać. Jesteś jedynym człowiekiem, któremu

mogę zaufać. Podniecenie, które we mnie dostrzegasz, ustąpi bez względu na to, czy spotka mnie zawód, czy tryumf.

– Dopomogę ci chętnie we wszystkim – odrzekłem – ale czy twoim zdaniem ten piekielny owad pozostaje w jakimś związku z twą wyprawą do wzgórz?

– Oczywiście.

– W takim razie nie mogę wziąć udziału w tym niedorzecznym przedsięwzięciu.

– Przykro mi, bardzo mi przykro! Zatem będziemy

Musieli próbować sami.

– Co... sami? Czyś ty istotnie oszalał? Zaczekaj no!

Na jak długo się wybierasz?

– Prawdopodobnie na całą noc. Wyruszymy natychmiast, a o świcie będziemy z powrotem.

– A kiedy ta twoja chimera minie i kiedy ta zabawka z chrząszczem (mój ty Boże!) skończy się dla ciebie pomyślnie, czy mi zaręczysz słowem honoru, że powrócisz do domu i będziesz słuchał ślepo mych rad, jak gdybym był twoim lekarzem?

– Zgoda, przyrzekam, a teraz dalej w drogę, bo nie mamy czasu do stracenia!

Z ciężkim sercem podążyłem za mym przyjacielem. Wyruszyliśmy po czwartej – Legrand, Jupiter, ja i pies. Jupiter zabrał kosę i łopaty i uparł się, że to wszystko sam poniesie, więcej, jak mi się zdawało, z obawy, by które z tych narzędzi nie dostało się w ręce jego pana, niżli z nadmiernej gorliwości i pilności. Był po prostu w psim usposobieniu i poza słowami „ten diabelski chrząszcz” nie powiedział nic przez całą drogę. Mnie dostały się przy podziale dwie ślepe latarki, natomiast Legrand zadowolił się samym tylko żukiem, którego przytwierdził na końcu sznurka i potrząsał nim idąc z miną spiskowca. Patrząc na ten oczywisty dowód zbrodni umyślowego mojego przyjaciela zaledwie zdołałem powściągnąć łzy, które cisnęły mi się do oczu. Zdawało mi się jednakże, iż postąpię właściwiej, gdy będę pobrażał jego urojeniom, przynajmniej na razie lub do czasu, gdy będzie można zastosować energiczniejsze środki zaradcze, nie narażając się na niepowodzenie. Tymczasem czyniłem nadaremne usiłowania, by dowiedzieć się odeń czegoś dokładniejszego o celu tej naszej wyprawy. Udało mu się wymóc na mnie, że będę mu towarzyszył, ale widocznie nie chciał wdawać się w rozmowę o jakichkolwiek szczegółach podrzędniejszego znaczenia i na wszystkie moje zapytania nie raczył dawać innej odpowiedzi prócz „zobaczymy”. Przeprawiliśmy się czołnem u przylądka wyspy na wybrzeże stałego lądu i pnąc się wciąż w górę, w kierunku północno-zachodnim, szliśmy przez okolicę nadzwyczaj dziką i pustynną, gdzie zgoła nie było śladów ludzkiej stopy. Legrand prowadził nas nadzwyczaj pewnie, zatrzymując się tylko od czasu do czasu, by rzucić okiem na jakieś widocznie znane mu znaki, które zapewne przy innej sposobności zakarbował sobie w pamięci.

Szliśmy tak ze dwie godziny i słońce miało się już ku zachodowi, kiedy otoczyło nas pustkowie, nieskończenie posepniejsze od okolic, które pozostały za nami. Był to jakby płaskowyż położony u szczytu niedostępnego niemal wiszaru, zalesiony gęsto od dołu do samej góry i usiany ogromnymi złomami, które zdawały się leżeć luźno na ziemi i niejednokrotnie nie staczały się w dół jedynie dlatego, że stały oparte o drzewa. Głębokie jary przebiegające w różnych kierunkach przymnażały jeszcze krajobrazowi wyrazu uroczyściej głuszy.

Wyżynę, na którą wspięliśmy się w końcu, porastały tak gęsto chaszczce jeżyny, iż wnet przekonaliśmy się, że nie utworzymy sobie drogi bez kosy. Jupiter na rozkaz swego pana jął trzebić ścieżkę do stóp ogromnego tulipanowca, który wznosił się na płaszczyźnie w otoczeniu ośmiu czy dziewięciu dębów i przewyższał je, podobnie jak wszystkie inne drzewa, które kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć, krasą ulistnienia i kształtu, rozłożystością konarów oraz okazałością wyglądu. Gdy stanęliśmy pod drzewem, Legrand zwrócił się do Jupitera i zapytał go, czy potrafi wejść na nie. Stary Murzyn zawahał się nieco na to pytanie i na razie nic nie odpowiedział. Po chwili zbliżył się do potężnego pnia, obszedł go z wolna wokoło i obejrzał bardzo dokładnie. Ukończywszy te badania rzekł krótko:

– Juźcić, Massa, nie ma takiego drzewa, na które Jup nie wlezie.

– Zatem włącz co rychlej, bo wnet się ściemni i nie będziesz widział, co robimy.
– Jak wysoko trzeba wleźć, Massa? – zagadnął Jupiter.
– Wespnij się najpierw na pień, a potem ci powiem, którędy masz wspinać się dalej. Zaczekaj no jeszcze! Weź ze sobą chrząszcza!

– Chrząszcza, Massa Will? Złotego chrząszcza? – zawołał Murzyn cofając się lekliwie. – Po cóż mam zabierać tego chrząszcza na drzewo? Niech mnie piorun trzaśnie, jeśli go wezmę!

– Co, Jup, ty, taki wielki, silny Murzyn, boisz się wziąć ze sobą nieszkodliwego, martwego chrząszczyka, którego można ponadto nieść jeszcze na tym sznurku? No, jeśli ty go tak lub owak nie weźmiesz, to doprowadzisz mnie do ostateczności i rozwalę ci łeb tą łopata!

– Co też Massa gada! – odezwał się Jup, widocznie zawstydzony i skłonny do uległości. – Massa musi zawsze gderać na starego Murzyna! To był tylko żart! Ja bym bał się chrząszcza? Ja kpię z niego! – z tymi słowy ujął ostrożnie sam koniec sznurka i trzymając owada możliwie daleko od siebie począł wspinać się na drzewo.

Tulipanowiec, czyli Liriodendron tulipiferum, jest najwspanialszym drzewem borów amerykańskich. Za młodu pień jego bywa nadzwyczaj gładki, a boczne konary poczynają się nieraz dopiero na znacznej wysokości. Ale z latami kora staje się sękata i chropawa, i mnóstwo krótkich gałązek pojawia się na pniu. Trudność zatem wejścia na to drzewo była raczej pozorna niż rzeczywista. Obejmując możliwie mocno ramionami i kolanami potężny trzon drzewny, czepiając się rękami sęków i wpijając bosc stopy w zagłębienia, piął się Jupiter w górę i narażając się kilkakrotnie na niebezpieczeństwo upadku wśliznął się w końcu w pierwsze wielkie rozwidlenie, gdzie, jak się zdawało, uznał swe dzieło za skończone. Jakoż wielkie trudności istotnie były już pokonane, jakkolwiek Murzyn zawisł na wysokości sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu stóp nad powierzchnią ziemi.

– Którędy leżać teraz, Massa Will? – zapytał.

– Wspinaj się po najgrubszym konarze z tej strony pnia! – rzekł Legrand. Murzyn usłuchał go chętnie i bez żadnego już wysiłku pełzał coraz wyżej, aż w końcu krzepka jego postać znikła zupełnie wśród gęstego listowia. Głos jego dolatywał z wysoka niby nawoływanie:

– Czy leżać jeszcze wyżej?

– A gdzież ty jesteś? – zapytał Legrand.

– Tak wysoko – odrzekł Murzyn – że widzę już niebo przez wierzchołek drzewa.

– Tu nie chodzi o niebo, ale o to, co ci powiem. Spójrz w dół na pień i policz konary pod sobą po tej stronie. Ile masz konarów pod sobą?

– Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć – mam już pod sobą pięć grubych konarów, Massa, po tej stronie.

– Zatem wleźć jeszcze o jeden konar wyżej. Po chwili Jupiter zawiadomił, że dotarł już do siódmego konara.

– No, a teraz, Jup – krzyknął Legrand z niehamowanym już uniesieniem – posuwaj się po tej gałęzi tak daleko, jak tylko możesz. A gdy zobaczysz coś niezwykłego, daj mi znać!

Jeśli miałem dotychczas jeszcze jakieś wątpliwości co do stanu umysłowego mego biednego przyjaciela, to w tej chwili pierchły one zupełnie. Z konieczności trzeba było go uznać za obłąkanego i już naprawdę niepokoiłem się myślą, w jaki sposób odprowadzę go do domu. Kiedy rozmyślałem, jak należy postąpić, głos Jupitera rozległ się znowu:

– Boję się leżeć za daleko po tej gałęzi, prawie cała uschnięta!

– Powiadasz, że ta gałąź jest uschnięta, Jup? – zawołał Legrand drżącym głosem.

– Tak jest, Massa, sucha jest jak pieprz – całkiem na pewno, nie ma w niej ani krzty życia.

– Na miłość Boską, co teraz począć? – zapytał Legrand upadając widocznie na duchu.

– Pytasz, co począć? – podchwyciłem korzystając ze sposobności, bym mógł wreszcie zabrać głos w tej sprawie. – Pójść do domu i położyć się do łóżka! Chodźże! Bądź grzeczny, mój drogi! Pora już późna, a przy tym chciej pamiętać o swej obietnicy.

– Jup! – krzyknął nie zwracając zgoła na mnie uwagi – słyszysz mnie?

– Tak jest, Massa, słyszę doskonale.

– Zatnij tę gałąź nożem i zobacz, czy drzewo już bardzo spróchniało?

– Spróchniało – odparł Murzyn po chwili – ale trzyma się lepiej, niż myślałem. Mógłbym jeszcze poleźć trochę dalej po tej gałęzi, ale sam.

– Sam! Co to znaczy?

– Bo mam chrząszcza. To bardzo ciężki chrząszcz! Gdybym go cisnął w dół, to pewno ta gałąź nie ułamałaby się pod takim jak ja Murzynem.

– Ty diabli synu! – krzyknął Legrand z widoczną ulgą. – Co ty mi pleciesz? Spróbuj tylko rzucić chrząszcza, a dostaniesz ode mnie po łbie. Hej, Jup! Czy mnie słyszysz?

– Juźcić! Massa znów gdera na biednego Murzyna.

– Nie pleć i słuchaj! Posuń się po tej gałęzi, jak daleko będzie można, i nie upuść przy tym chrząszcza, a dam ci srebrnego dolara, gdy zejdziesz na dół.

– Dobrze, Massa Will! Ja nie od tego – odrzekł Murzyn ochoczo – zaraz będę na końcu.

– Na końcu! – odezwał się żałośnie Legrand. – Czy jesteś już na końcu gałęzi?

– Zaraz będę. Massa – ooch! Chryste Panie, zmiłuj się nade mną! Co to takiego na tym drzewie?

– Aha! – odkrzyknął Legrand rozradowany. – Cóż tam takiego?

– Ej! Co by tam jak nie czaszka! Ktoś zostawił głowę na tym drzewie, a kruki obskubały ją z mięsa.

– Czaszka, mówisz? Doskonale! Jak jest przytwierdzona do gałęzi? Co ją przytrzymuje?

– Juźcić trzyma się dobrze. Zaraz zobaczą. A to d dziwo, dają słowo! W czaszce tkwi wielki gwóźdź, którym jest przybita do drzewa.

– Bardzo dobrze, Jup. Zrób dokładnie, co ci każe! Słyszysz mnie?

– Tak jest, Massa.

– No, to uważaj! Poszukaj lewego oka u tej czaszki.

– Hm, to dobre! Ale ona nie ma lewego oka. — Bodaj cię lichy wzięło z twoją głupotą! Czy możesz odróżnić swą prawą rękę od lewej?

– Juźcić, że wiem – ja wszystko wiem. Moja lewa ręka to ta, którą łupię drzewo.

– Dobrze mówisz, bo jesteś mańkut; otóż twe lewe oko jest po tej samej stronie, co twa lewa ręka. A teraz myślę, że potrafisz znaleźć lewe oko u tej czaszki albo też miejsce, gdzie ono kiedyś być musiało. Czy znalazłeś?

Nastąpiło długie milczenie. W końcu Murzyn zapytał:

– Czy lewe oko tej czaszki jest po tej samej stronie, co lewa ręka tej czaszki? Cóż, kiedy ta czaszka nie ma wcale rąk – ani jej się śni! Ale to nie szkodzi! Mam już lewe oko, dalibóg, mam! A teraz, co z nim zrobić?

– Przesuń przez nie chrząszcza i spuszcza go na sznurku w dół aż do samego końca. Tylko pamiętaj, żebyś nie wypuścił sznurka z ręki!

– Jużem gotów, Massa Will! To nie sztuka puścić chrząszcza przez dziurę – zaraz go Massa zobaczy.

Jupitera podczas tej rozmowy wcale nie było widać, natomiast spuszczały przezeń w dół owad ukazał się po chwili na końcu sznurka i niby bryłka polerowanego złota zamigotał w pierzchającej jaśni zachodzącego słońca, co nikłymi promieniami rozwidniało jeszcze okoliczną wyżynę. Żuk zawisł wolno wśród gałęzi i gdyby miał spaść, byłby upadł tuż u naszych stóp. Legrand pochwycił kosę i wytrzebił nią kolistą przestrzeń o średnicy do czterech jardów, tuż poniżej owada. Po czym dokonawszy tej pracy kazał Jupiterowi puścić z ręki sznurek i zejść z drzewa.

Dokładnie w tym samym miejscu, gdzie chrząszcz upadł, wbił mój przyjaciel w ziemię drewniany kołek i wyjął z kieszeni taśmę mierniczą. Przytwierdziwszy jeden jej koniec do pnia tulipanowca w miejscu, skąd było najbliżej do kołka, jął ją rozwijać, aż dosięgła tegoż kołka, i rozwijał dalej w kierunku wytyczonym przez pień drzewa i kołek, na odległość piętnastu stóp. Jupiter zaś tymczasem wycinał krzewy kosą. Osiągnąwszy ten najdalszy punkt Legrand wbił tam

drugi kołek i posługując się nim jako środkiem opisał dokoła niego pobieżnie koło, którego średnica miała mniej więcej cztery stopy długości. Następnie ujął Legrand jedną łopate, podał drugą Jupiterowi, a trzecią mnie i prosił nas, byśmy zabrali się skrzętnie do kopania.

Wyznaję szczerze, iż nie czułem nigdy nadzwyczajnego zamięłowania do podobnych rozrywek i właśnie wtedy byłbym najchętniej od tej pracy się wymówił, gdyż noc zapadała i dolegało mi już znużenie po przebytych trudach; ale nie wiedziałem, do jakich uciec się pozorów, a przy tym obawiałem się, by odmowa nie wytrąciła znów z równowagi mego biednego przyjaciela. Gdybym był wiedział, że mogę liczyć na pomoc Jupitera, nie wahałbym się ani chwili i przemocą byłbym zabrał szaleńca do domu; zbyt jednak dobrze znałem charakter Murzyna i musiałem wyrzec się nadziei, by kiedykolwiek stanął po mej stronie w zatargu ze swym panem. Nie wątpiłem, że Legrand dał się opętać zabobonnym wierzeniom, które krążą na Południu o zakopanych skarbach, i że utwierdził się w tych mrzonkach znalazłszy żuka lub też może uległ wpływowi Jupitera, który uporczywie utrzymywał, że „ten chrząszcz jest ze szczerego złota”. Umysł skłonny do obłądu poddaje się łatwo podobnym podszeptom, zwłaszcza jeżeli schlebiają one wprzód powziętym, ulubionym ideom. Ponadto przyszło mi na myśl, co ten nieszczęśnik powiedział o żuku, iż „wskaze mu drogę do fortuny”. Słowem, byłem ogromnie zakłopotany i udręczony, lecz ostatecznie postanowiłem z konieczności poświęcić się i zabrałem się ochoczo do kopania, by tym rychlej przekonać naocznie szaleńca o płonności jego urojeń.

Zapaliliśmy latarnie i jeliśmy się pracy z gorliwością godną rozsądniejszego celu; kiedy zaś zamigotało światło na naszych osobach i narzędziach, nie mogłem oprzeć się myśli, że tworzymy nadzwyczaj malowniczą grupę i że przygodnemu wędrowcowi, który by nas przypadkiem dostrzegł, zajęcie nasze wydałoby się zapewne nader podejrzane i dziwne.

Kopaliśmy wytrwale ze dwie godziny. Mówiliśmy niewiele, a najczęściej naprzykrzało się nam ujadanie psa, który z niesłychanym zajęciem śledził przebieg naszej pracy. Stał się w końcu do tego stopnia hałaśliwy, iż zlekliśmy się, by nie obudził czujności okolicznych włóczęgów. Takie przynajmniej były obawy Legranda, bowiem dla mnie wszelkie zamieszanie byłoby wówczas bardzo pożądane, gdyż pozwoliłoby mi doprowadzić mego niepoczytalnego przyjaciela do domu. Ujadanie to poskromił w końcu nader skutecznie Jupiter, który z diabelnie stanowczą miną wyskoczył z jamy, zawiązał psu pysk swą szelką i z pełnym godności uśmiechem zabrał się znowu do roboty.

Po upływie oznaczonego czasu wkopaliśmy się w ziemię do głębokości pięciu stóp, lecz skarbów nie było ani śladu. Nastąpiła dłuższa przerwa i już począłem radować się nadzieją, że cała ta krotochwila ma się wreszcie ku końcowi. Atoli Legrand, jakkolwiek widocznie przygnębiony, otarł w zamyśleniu czoło i jął się pracy na nowo. Cały okrąg o średnicy czterech stóp był już rozkopany; poszerzyliśmy go zatem z wolna i pogłęбилиśmy jeszcze na dwie stopy. Nic jednak nie znaleźliśmy. W końcu szukający skarbów marzyciel, którego było mi serdecznie żal, z wyrazem gorzkiego rozczarowania na twarzy wygramolił się z jamy i począł opieszale wdziewać na siebie zdjętą poprzednio kurtkę. Nie rzekłem na to ani słowa. Jupiter na znak swego pana pozbierał narzędzia. Gdy to się stało, zdjęliśmy psu więzy z pyska i w głębokim milczeniu szliśmy ku domowi.

Nie odeszliśmy wszakże dalej niż na jakieś dwanaście kroków, gdy Legrand z głośnym przekleństwem rzucił się na Jupitera i porwał go za kołnierz. Oslupiały Murzyn wytrzeszczył oczy, otworzył szeroko usta, upuścił łopaty i padł na kolana.

– Ty, hultaju! – krzyczał Legrand przez zaciśnięte zęby. – Ty diabelski powsinogo! Mów, odpowiedz mi natychmiast bez wykrętów, które... które jest twe lewe oko?

– Och, mój złoty Massa Will! Toć to jest na pewno moje lewe oko! – zaskrzeczał, przerażony Jupiter kładąc rękę na swym prawym narzędzie wzroku i przyciskając ją z rozpaczliwą zawziętością, jak gdyby się obawiał, że jego pan wydrze mu to oko.

– Tak też sobie myślałem! To od razu przyszło mi do głowy! Hura! – darł się Legrand, puszczając Murzyna i wykonując jakieś łamańce i skoki ku zdumieniu swego służącego, który po-

dźwignąwszy się z ziemi wodził kolejno oczyma od swego pana do mnie, to znów ode mnie do swego pana.

– Chodź! Wracajmy! – odezwał się tenże. – Jeszcze nie po wszystkim! – i poprowadził nas znowu w stronę tulipanowca.

– Jup! – zawołał, gdyśmy stanęli pod drzewem. – Chodź no tutaj! Czy ta czaszka zwrócona była twarzą ku górze, czy też twarzą ku gałęzi?

– Twarz była zwrócona ku górze, Massa, dlatego kruki mogły z łatwością wydziobać jej oczy.

– No, dobrze; a przez które oko przesunąłeś chrząszcza, przez to czy przez to? – pytał Legrand dotykając na przemian oczu Murzyna.

– Przez to, Massa, przez lewe oko, jak Massa rozkazał – tłumaczył się służący wskazując wciąż na prawe oko.

– Zobaczymy! Spróbujmy jeszcze raz!

Z tymi słowy mój przyjaciel, w którego szaleństwie jałem teraz, jak mi się przynajmniej zdawało, dostrzegać niejaki oznaki celowości, wyjął z ziemi kołek tkwiący w miejscu, gdzie chrząszcz upadł, i przesunął go o trzy cale dalej ku zachodowi. Następnie przeciągnął taśmę mierniczą od najbliższego punktu pnia do tego kołka, podobnie jak poprzednio, i poprowadził ją dalej w linii prostej na odległość pięćdziesięciu stóp; w ten sposób znalazł punkt, oddalony o kilka jardów od miejsca, gdzie kopaliśmy poprzednio.

Dokoła tego nowego środka opisał koło, nieco większe od dawniejszego, i znowu zabraliśmy się do łopat. Znużony byłem niewymownie, lecz w umyśle moim, nie wiadomo dlaczego, dokonała się zmiana i nie odczuwałem już nazbyt wielkiej odrazy do tej narzuconej mi pracy. Zaciekawilem się nią niesłychanie, co więcej, zapaliłem się do niej. Być może, iż w chimerycznym zachowaniu się Legranda taił się jakiś zamysł czy zamierzenie, któremu poddałem się poniewolnie. Kopalem skrzętnie i od czasu do czasu zdawałem sobie sprawę, iż z uczuciem bardzo podobnym do oczekiwania poszukuję oto urojonego skarbu, którego wizja opętała mego nieszczęsnego towarzysza. Minęło blisko półtorej godziny i moje myśli jęły właśnie wałęsać się wśród mglistych rozmarzeń, kiedy ponownie przerwało nam pracę donośne naszczekiwanie psa. Jego niepokój, który za pierwszym razem był po prostu objawem rozhukania czy rozbawienia, stał się teraz przykrzejszy i poważniejszy. Kiedy Jupiter chciał mu znowu nałożyć kaganiec, opierał się ze wszystkich sił i wskoczywszy do jamy dał zapamiętałe ziemie łapami. W okamgnieniu wygrzebał mnóstwo ludzkich kości, tworzących dwa całkowite szkielety, wśród których znaleźliśmy kilka metalowych guzików oraz coś, co wydawało się nam jakby resztkami zetłonej wełny. Za jednym zamachem łopaty wydobyliśmy brzeszczot wielkiego, hiszpańskiego noża, a potem dokopaliśmy się jeszcze trzech czy czterech złotych i srebrnych monet, luźno leżących w ziemi.

Na ich widok radość Jupitera nie miała granic, ale z oblicza pana nie schodził wyraz gorzkiego rozczarowania. Mimo to przynaglał nas do pracy, lecz zaledwie dokończył swych słów, kiedy potknąłem się i upadłem przed siebie, zaczepiwszy końcem buta o wielki, żelazny pierścień, który tkwił jeszcze na poły w mialkim piasku.

Pracowaliśmy tedy dalej ze zdwojoną gorliwością i nie zdarzyło mi się odtąd przeżyć drugich dziesięciu minut równie potężnego uniesienia. Wnet zdążyliśmy odwalić ziemię z podłużnej, drewnianej skrzyni, której ściany były tak znakomicie zachowane i tak przedziwnie twarde, iż zapewne musiała być kiedyś impregnowana jakimś rozczynem mineralnym – prawdopodobnie dwuchlorkiem rtęci. Skrzynia ta miała półczwartej stopy głębokości. Umocniono ją silnymi wstęgami z kowanego żelaza, które tworzyły jakby kratę pospajaną na skrzyżowaniach nitami. Po obu jej stronach, bliżej wieka, znajdowały się po trzy pierścienie żelazne – było ich zatem sześć – przy pomocy których mogło skrzynię podźwignąć sześć osób. Dołożywszy wszystkich sił zdołaliśmy zaledwie poruszyć ją nieco w łożysku. Przekonaliśmy się rychło, iż żadną miarą nie sprostamy takiemu ogromnemu ciężarowi. Na szczęście, wieko przytrzymały tylko dwa wrzeciądze. Odezwaliśmy je drząc i dysząc z uniesienia. Mignął przed nami skarb nieocenionej wartości. Gdy

światło latarni rozwidniło nieco jamę, olśniła nasze oczy promienista roztecz nagromadzonego bezładnie złota i klejnotów.

Nie zdołam wysłowić wrażeń, jakich doznałem na ten widok. Oczywiście górowało nad wszystkimi osłupienie. Legrand był widocznie wyczerpany nadmiarem wzruszeń i nie odzywał się prawie. Twarz Jupitera powlokła się na chwilę taką śmiertelną bladością, jakiej nie widywałem jeszcze u Murzyna. Skamieniał i wyglądał jak spiorunowany. Potem rzucił się w jamie na kolana i zanurzył obnażone ramiona aż po łokcie w złocie, jakby lubując się rozkoszą kąpeli. W końcu z głębokim westchnieniem zawołał niby przemawiając do siebie:

– A wszystko to zrobił ten złoty chrząszcz, mój śliczny złoty chrząszcz! Mój biedny, złoty chrząszczu k, którego przeklinałem i obmawiałem! Czy nie wstyd ci, Murzynie? Powiedz sam!

Ostatecznie nie było innego sposobu, jak wezwać do opamiętania pana i służącego, i zwrócić im uwagę, iż należałoby zabrać się co rychlej do uprzątnięcia skarbu. Pora była już późna i wypadało się śpieszyć, jeżeli mieliśmy wszystko poznosić przed świtem do domu. Niełatwo przyszło nam zdać sobie sprawę z tego, co należało uczynić, i zmarnowaliśmy mnóstwo czasu na naradach – do tego stopnia nie mogliśmy zebrać myśli. Wreszcie postanowiliśmy wyjąć ze skrzyni dwie trzecie zawartości, ażeby była lżejsza, i dopiero wówczas udało się nam, acz nie bez trudu, wydzwignąć ją z jamy. Przedmioty, wyjęte poprzednio, ukryliśmy w krzakach i pozostawiliśmy przy nich na straży psa, któremu Jupiter nakazał surowo, by pod żadnym pozorem nie oddalał się z miejsca i nie ważył się otwierać pyska aż do naszego powrotu. Po czym podążyliśmy pośpiesznie ze skrzynią do domu; przybyliśmy do chaty bez przygód, lecz znużeni niesłuchanie, o pierwszej w nocy. Zmęczenie nasze przewyższało ludzkie siły, więc niepodobna było myśleć o natychmiastowym powrocie. Pozostaliśmy przeto do drugiej i spożyliśmy wieczerzę. Wnet potem szliśmy znowu ku wzgórzom, zaopatrzeni w trzy spore worki, które, na szczęście, znaleźliśmy w chacie. Na kilka minut przed czwartą stanęliśmy na miejscu, podzieliliśmy między siebie możliwie równo resztę łupu i nie zasypawszy jam wyruszyliśmy z powrotem do siedziby Legranda, gdzie złożyliśmy po raz wtóry swe drogocenne brzemiona, kiedy już pierwsze, nikłe smugi brzasku jęły się jarzyć nad drzewami od wschodu.

Byliśmy wyczerpani doszczętnie, lecz przemożne podniecenie nie pozwoliło nam na dłuższy spoczynek. Po niespokojnej, kilkugodzinnej drzemce pozrywaliśmy się jak umówieni i przystąpiliśmy do obejrzenia naszych skarbów.

Skrzynia była napełniona po brzegi; potrzeba było całego dnia i znacznej części następnej nocy, by rozejrzeć się w jej zawartości. Nie było w niej ładu ni składu. Snadź wrzucono do niej wszystko nie dbając o porządek. Podzieliliśmy zatem różne przedmioty wedle ich jakości i przekonaliśmy się, że weszliśmy w posiadanie znacznie większego skarbu, niżeli na razie nam się zdawało. Same monety przedstawiały wartość przeszło czterystu pięćdziesięciu tysięcy dolarów – a oceniliśmy je możliwie dokładnie wedle bieżących kursów giełdowych. Nie było wśród nich ani odrobiny srebra. Wyłącznie złoto, bardzo stare i nader rozmaite: pieniądze francuskie, hiszpańskie i niemieckie, trochę gwinei angielskich jako też kilka liczmanów, jakich dotychczas nikt z nas nie widział. Znaleźliśmy także kilka monet bardzo wielkich i ciężkich, lecz tak już uszkodzonych, że nie mogliśmy odczytać napisów. Pieniądzy amerykańskich nie było wcale. Trudniej przyszło nam oznaczyć wartość drogich kamieni. Naliczyliśmy sto dziesięć diamentów, wśród nich kilka nadzwyczaj wielkich i pięknych, zaś ani jednego małego; osiemdziesiąt wspaniałych rubinów; trzysta dziesięć cudownych szmaragdów; dwadzieścia jeden szafirów i wreszcie jeden opal. Wszystkie te kamienie wyłamano z opraw i wrzucono bezładnie do skrzyni. Oprawy znaleźliśmy oddzielnie wśród innych złotych przedmiotów, lecz pogruchothane młotem, jakby z rozmysłem, by nikt ich nie rozpoznał. Ponadto było tam niesłuchane mnóstwo szczerozłotych klejnotów; blisko dwieście kosztownych pierścieni i kolczyków, trzydzieści – jak mi się zdaje – wspaniałych łańcuchów; osiemdziesiąt trzy nadzwyczaj wielkich i ciężkich krucyfiksów; pięć złotych kadzielnic nadzwyczajnej wartości: ogromna, złota waza ponczowa, szczerze ozdobiona misternie cyzelowanymi liśćmi winnymi i korowodem bachantek; dwie przedziwnie rzeźbione rękojeści mieczów tudzież

bardzo wiele innych drobniejszych przedmiotów, których już nie pamiętam. Waga tych kosztowności wynosiła przeszło trzysta pięćdziesiąt funtów nie wliczając do nich trzystu dziewięćdziesięciu siedmiu drogocennych złotych zegarków, z których trzy były warte co najmniej po pięćset dolarów. Niektóre z nich były nader stare i jako czasomierze nie nadawały się już do użytku, gdyż mechanizmy ich ucierpiały wielce od rdzy – ale wszystkie były szczerze ozdobione drogimi kamieniami i mieściły się w ogromnie cennych kopertach. Całą zawartość skrzyni oceniliśmy tej nocy na półtora miliona dolarów; wszelako później, gdyśmy jeszcze raz przejrżeli wszystkie kosztowności i klejnoty, przekonaaliśmy się, o ile nie doceniliśmy wartości naszego skarbu, aczkolwiek niektóre przedmioty przeznaczyliśmy oddzielnie do własnego użytku.

Przyszedeł wreszcie czas, że ukończyliśmy obliczenia i że niezmiernie nasze podniecenie nieco się ukoilo. Legrand widział, że umieram z niecierpliwości szukając rozwiązania tej zdumiewającej zagadki, i wyjaśnił mi ją szczegółowo wraz ze wszystkimi okolicznościami.

– Pamiętasz – mówił – ów wieczór, kiedy podałem ci pobieżnie nakreślony szkic, co miał przedstawiać żuka. I przypominasz sobie zapewne, iż po prostu uraził mnie upór, z jakim utrzymywałeś, że mój rysunek ma podobieństwo do trupiej głowy. Gdyś to powiedział po raz pierwszy, sądziłem, że żartujesz; lecz potem przysły mi na myśl osobliwsze cętki na odwłoku chrząszcza i wydało mi się, że twe spostrzeżenie jest poniekąd uzasadnione. Mimo to twe kpiny z mych zdolności graficznych rozdrażniły mnie – gdyż uchodzę za dobrego rysownika – i dlatego, gdyś mi podał ów pergaminowy świstek, chciałem ze złości zmiąć go i rzucić w ogień.

– Ale to chodziło o papierowy świstek – odezwałem się.

– Nie, miał on wygląd papieru i zrazu uważałem go za papier, ale kiedy zacząłem na nim rysować, przekonałem się, że mam do czynienia z kawałkiem bardzo cienkiego pergaminu. Jak wiesz, był on bardzo brudny. Otóż kiedy miałem go już zmiąć, spojrzałem na szkic, który oglądałeś przede mną, i wyobraź sobie moje zdumienie, gdy zobaczyłem istotnie rysunek trupiej głowy na tym samym miejscu, gdzie – jak mi się zdawało – naszkicowałem owada. Przez chwilę nie mogłem się opamiętać i skupić myśli. Wiedziałem jużć, iż mój rysunek różnił się wielce w szczegółach od tego, na który patrzyłem, aczkolwiek było niejaki podobieństwo w najogólniejszych zarysach. Wziąłem tedy świecę i usiadłszy w najdalszym kącie izby zabrałem się do ściślejszego zbadania pergaminu. Odwróciwszy go ujrzałem swój szkic na przeciwnej stronie, na pewno ten sam. Pierwsze me wrażenie streszczało się wyłącznie w zdumieniu nad istotnie zastanawiającym podobieństwem konturów jako też nad szczególniejszym zbiegiem okoliczności, że po drugiej stronie pergaminu mogła widnieć nie znana mi czaszka, tuż pod moją podobizną żuka, i że ta czaszka nie tylko konturem, ale także rozmiarem mogła tak bardzo upodobnić się do mojego rysunku. Jak już powiedziałem, ten osobliwszy zbieg okoliczności wprawił mnie na razie w osłupienie. Jest to zwykłe w takich razach zjawisko. Umysł sili się, by wykazać związek, mianowicie łączność przyczyny i skutku, i nie mogąc temu podołać ulega jakby chwilowemu obezwładnieniu. Otrząsnąwszy się jednak z tego bezwładu jałem stopniowo nabierać przeświadczenia, które przeniknęło mnie nierównie silniej niż ów zbieg okoliczności. Uprzytomniłem sobie bowiem dokładnie i szczegółowo, że na pergaminie nie było ani śladu jakiegokolwiek rysunku, gdy przystępowałem do szkicowania żuka. Nabierałem pewności, że tak było istotnie, gdyż pozostało mi to w pamięci, że spojrzałem najpierw na jedną stronę, a potem na drugą szukając możliwie najczystszej miejsca. Gdyby podówczas widniała tam czaszka, byłbym na pewno ją zauważył. Była w tym jużć jakaś zagadka, ale czułem, że nie podołam jej rozwiązaniu; wszelako już wówczas, w tej wczesnej chwili, w najodleglejszych i najtajniejszych skrytkach mojego umysłu zamigotało nagle, na podobieństwo robaczka świętojańskiego, poczucie tej prawdy, która w przygodach ubiegłej nocy znalazła takie świetne potwierdzenie. Zerwałem się nagle z miejsca i chowając starannie pergamin, odłożyłem dalsze rozmyślenia do czasu zupełnej samotności.

Po twym odejściu, kiedy Jupiter usnął jak zabity, zabrałem się do metodycznego rozpatrzenia tej sprawy. Przede wszystkim zdałem sobie sprawę, w jaki sposób przyszedłem do posiadania owego pergaminu. Miejsce, gdzie dostrzeżliśmy żuka, znajdowało się na wybrzeżu stałego lądu,

o jaką milę na wschód od wyspy i bardzo blisko od granicy najwyższego przyływu morza. Kiedy sięgnąłem po niego, ugryzł mnie mocno i musiałem wypuścić go z ręki. Jupiter ze swą zwykłą ostrożnością, zanim przystąpił do schwytania uciekającego przed nami owada, obejrzał się za liściem lub czymś podobnym, przez co byłoby można go ująć. Otóż w tej chwili ujrzelśmy obaj równocześnie ów skrawek pergaminu, który zresztą wydał mi się papierem. Był on na pół zagrzebany w piasku i wystawał zeń tylko jednym rożkiem. Opopadał od miejsca, gdzie go znaleźliśmy, zauważyłem szczątki kadłuba, który kiedyś był zapewne częścią wielkiej, okrętowej łodzi. Ten gruchot, jak mi się zdawało, musiał tam leżeć już od dawna, gdyż niełatwo dawało się w nim dostrzec podobieństwo do wiązania łodzi.

Jupiter podniósł tedy pergamin, owinął weń chruszcza i podał mi go. Wnet potem szliśmy z powrotem do domu i spotkaliśmy po drodze porucznika G. Pokazałem mu owada, on zaś poprosił mnie, żebym mu pozwolił wziąć go ze sobą do fortu. Kiedy się zgodziłem, włożył go natychmiast do kieszonki swej kamizelki bez pergaminu, w który zawinałem żuka i którego przez cały czas naszej rozmowy nie wypuszczałem z ręki. Być może, iż obawiał się, bym nie zmienił zdania, i sądził, że najlepiej będzie wejść od razu w posiadanie zdobyczy – wiesz przecie, jak on się zapala do wszystkiego, co pozostaje w związku z wiedzą przyrodniczą. Równocześnie snadź musiałem bezwiednie włożyć pergamin do kieszeni.

Może pamiętasz jeszcze, że kiedy usiadłem przy stole, by narysować żuka, nie znalazłem papieru na zwykłym miejscu. Zajrzałem do szuflady, ale i tam go nie było. Przeszukiwałem kieszenie, by znaleźć jakiś beużyteczny list, i wtedy nawinął mi się pod rękę pergamin. Rozwodzę się tak szczegółowo nad sposobem, w jaki przyszedłem do jego posiadania, gdyż te okoliczności wywarły na mnie nadzwyczaj silne wrażenie.

Pomyślisz sobie zapewne, że narwaniec, lecz zdążyłem już dopatrzeć się pewnego związku. Społem dwa ogniwa wielkiego łańcucha. Na brzegu morskim leżała łódź, a opodał od niej ten pergamin – nie papier! – z rysunkiem przedstawiającym czaszkę. Oczywiście spytasz: gdzież jest ten związek? Odpowiem na to, że czaszka, czyli trupia głowa, jest powszechnie znanym godłem korsarzy. Podczas swych wypraw wywieszali oni zawsze flagę z trupią głową.

Wspomniałem już, że ów świstek był z pergaminu, nie z papieru. Pergamin jest bardzo trwały – niemal niezniszczalny. Rzeczywiście wagi rzadko powierzano pergaminowi, ile że do zwykłego pisania czy rysowania nadaje się on o wiele mniej od papieru. Ta refleksja poddała mi myśl, że trupia głowa nie może być bez znaczenia. Zwróciłem również uwagę na kształt pergaminu. Wprawdzie jeden z jego rogów uległ, skutkiem jakiegoś wypadku, zniszczeniu, mimo to widziało się od razu, że pierwotny jego format musiał być podłużny. Był to zatem kształt karty, jakiej używano ongi do dokumentów – do upamiętnienia czegoś, co jest bardzo ważne i winno być troskliwie przechowywane.

– Ależ – przerwałem – powiedziałaś, że czaszki nie było na pergaminie, kiedy zaczynałaś rysować żuka. Jakże mogłaś dopatrywać się związku między czaszką i łodzią, skoro, jak sam twierdzisz, pojawiła się ona (Bóg tylko wie, w jaki sposób i za czyją sprawą!) dopiero w jakiś czas potem, gdy szkic twój był JUŻ ukończony?

– Ach, to właśnie jest osią całej tajemnicy, aczkolwiek ten zagadkowy szczegół nie nastęrczał mi przy rozwiązywaniu większych trudności. Mój pochód był pewny i zmierzał wprost do celu. Rozumowałem mniej więcej w ten sposób: kiedy rysowałem żuka, czaszki na pergaminie nie było. Ukończywszy rysunek podałem ci go i nie spuszczałem cię z oka aż do chwili, gdy mi go zwróciłaś. Zatem ty nie narysowałaś czaszki i nie było tam nikogo innego, kto by mógł ją narysować. Nie powstała więc za ludzkim przyczynieniem. A jednak, mimo wszystko, istniała.

Dotarłszy w mych rozumowaniach do tego punktu, starałem się przypomnieć i z całą dokładnością przypomniałem sobie istotnie wszystko, co zaszło w tym czasie. Było chłodno (co za niezwykły i szczęśliwy wypadek) i na kominku gorzał ogień. Byłem zgrzany po wycieczce i usiadłem przy stole. Ty natomiast przysunęłaś sobie krzesło aż do samego ogniska. Kiedy podałem ci pergamin i kiedy jałeś go oglądać, wpadł do pokoju mój nowofundlandczyk, Wilk, i wsparł ci się

łapami na ramionach. Lewą ręką głaskałeś i odpychałeś go równocześnie, natomiast prawą rękę, w której trzymałeś pergamin, opuściłeś niedbale na kolana, bezpośrednio w pobliżu ognia. Była chwila, kiedy mi się zdawało, że pergamin zajmie się od płomienia, i chciałem cię przestrzec, lecz zanim zdążyłem odezwać się, już rękę cofnąłeś i zabrałeś się do oglądania rysunku. Rozważywszy wszystkie te okoliczności, przyszedłem natychmiast do przekonania, że gorąco było tym czynnikiem, który wywołał na pergaminie ową czaszkę. Wiesz dobrze, iż istnieją obecnie i że zawsze istniały odczynniki chemiczne, za pomocą których można pisać na papierze lub welinie w ten sposób, iż nakreślone litery występują na jaw dopiero pod działaniem silniejszego ciepła. Używano w tym celu niekiedy szafranu, rozczynionego w aqua regia⁵ i rozpuszczonego następnie w cztery razy większej ilości wody; otrzymywano tym sposobem atrament zielony. Sól kobaltowa, rozpuszczona, w spirytusie saletrowym, daje atrament czerwony. Barwy te zanikają po pewnym czasie, gdy tkanka, na której nimi pisano, ulegnie oziębieniu, i ukazują się znowu po ponownym zastosowaniu ciepła.

Poddałem z kolei trupią głowę drobiazgowemu badaniu. Zewnętrzne jej zarysy – to znaczy, zarysy bliższe krańców welinu – były znacznie wyraźniejsze niż inne kreski. Z tego wywnioskowałem, że działanie ciepła było albo niepełne, albo też niejednostajne. Zapaliłem niezwłocznie ogień i ogrzałem mocno całą powierzchnię pergaminu. Jedynym na razie następstwem było wzmocnienie się nikłych linii czaszki; powtarzając atoli tę próbę dostrzegłem wreszcie w kącie owego świstka, wprost naprzeciw miejsca, gdzie widniała trupia głowa, coś, co w pierwszej chwili wydało mi się rysunkiem kozy. Po dokładniejszym jednakże obejrzeniu przekonałem się, że miało to przedstawiać koźlę.

– Cha, cha! – odezwałem się. – Nie mam już cię prawa natrzęsać się z ciebie – półtora miliona dolarów, to nie kpiny! Ale coś mi się zdaje, że nie uda ci się włączyć trzeciego ogniwa do twego łańcucha; bo czyż zdołasz wykazać, że istnieje jakiś szczególniejszy związek między twymi korsarzami a kozą? Korsarze, jak wiesz, nie mają nic wspólnego z kozami, które należą do dziedziny gospodarstwa wiejskiego.

– Ależ powiedziałem ci, że ów rysunek nie przedstawiał kozy!

– Zatem koźlę – to na jedno wychodzi.

– Już cię, że wychodzi, ale nie zawsze – odparł Legrand. – Może obilo ci się o uszy nazwisko niejakiego kapitana Kidda⁶? Otóż rysunek tego zwierzęcia wydał mi się od razu rodzajem logograficznego lub hieroglificznego podpisu. Powiadam: podpisu, bowiem w takim miejscu znajdował się na welinie, że nasunęła mi się ta myśl. Trupia czaszka umieszczona w rogu przeciwległym z tego samego względu wywoływała wrażenie pieczęci czy godła. Ale było mi markotno, że nie mogłem znaleźć reszty – mianowicie treści marzonego przeze mnie dokumentu – tekstu zgodnego z moją myślą.

– Przypuszczam, iż spodziewałeś się jakiegoś pisma między godłem a podpisem.

– Czegoś podobnego. To pewna, iż nieodparcie przenikało mnie przecucie jakiegoś zbliżającego się, niezmiernego szczęścia. Nie umiem ci powiedzieć, dlaczego. Być może zresztą, iż było to raczej pragnienie niż istotna wiara; lecz czybyś uwierzył, że niedorzeczna gadanina Jupitera, jakoby ów żuk był szczerozłoty, oddziałała silnie na moją wyobraźnię? A potem to mnóstwo przypadków i zgodnych okoliczności, czyż nie było naprawdę nadzwyczajne? Czyż nie zdajesz sobie sprawy, jak dalece było to przypadkiem, że wszystko to przydarzyło się właśnie w tym jednym dniu całego roku, kiedy było lub mogło być chłodno, by trzeba było zapalić w kominku, i że bez ognia tudzież bez udziału psa właśnie w tej chwili, kiedy wpadł do izby, nigdy nie byłbym dostrzegł trupiej czaszki i co za tym idzie, nigdy nie byłbym posiadał owych skarbów?

– Mówże dalej! Czekam niecierpliwie.

– No, dobrze; oczywiście musiało obić ci się o uszy mnóstwo rozpowszechnionych pogłosek – tysiące niejasnych wieści, krążących o skarbach, zakopanych gdzieś na wybrzeżu atlantyckim

⁵ Aqua regia (tac.) – woda królewska

⁶ Kid po angielsku: koźlę (przyp. tłum.).

przez Kidda i jego towarzyszy. Te pogłoski musiały jużcić opierać się na rzeczywistości. Istniały one od tak dawna i powtarzały się tak uporczywie, iż nie mogłem tłumaczyć sobie tego inaczej, jak tylko tą okolicznością, że zakopane skarby wciąż jeszcze spoczywały w ziemi. Gdyby Kidd był ukrył swe łupy tylko na jakiś czas i później je wydobył, pogłoski te nie docierałyby do nas w bieżącej, nie zmienionej formie. Może zdarzyło ci się zauważyć, że tego rodzaju opowieści mówią zawsze o ludziach, którzy szukają skarbów, nigdy zaś o tych, którzy je znajdują. Gdyby korsarz był odzyskał swe mienie, sprawa ta byłaby przycichła. Mnie się zdaje, że jakiś wypadek – powiedzmy, utrata dokumentu, który wskazywał miejsce, gdzie je ukryto – uniemożliwił mu wydobycie skarbu. Sądzę również, że o tym wypadku doszły słuchy do jego towarzyszy, którzy w przeciwnym razie nic w ogóle nie wiedzieliby o zakopanych kosztownościach, i że to oni po nadaremnych, bo pozbawionych wskazówek poszukiwaniach, najpierw skrycie, a potem zupełnie jawnie jęli rozpowszechniać wieści, znajdujące się obecnie w obiegu. Czy słyszałeś już kiedy o jakim wielkim skarbie, wykopanym na wybrzeżu?

– Nie, nigdy.

– Otóż wiadomo powszechnie, że bogactwa Kidda były ogromne. Dlatego wydawało mi się rzeczą pewną, iż spoczywają jeszcze w ziemi; i nie zdziwisz się zapewne, gdy ci powiem, że żywiłem nadzieję, spotęgowaną niemal do zupełnego przeświadczenia, iż ów w tak osobliwy sposób znaleziony pergamin zawiera zaginione wskazówki o miejscu, gdzie te bogactwa ukryto.

– Cóż więc zrobiłeś dalej?

– Ogrzewałem welin coraz silniej nad ogniem, ale nic nie ukazało się. Pomyślałem sobie zatem, iż kto wie, czy powłoka brudu nie jest przyczyną tego niepowodzenia; oplukałem więc pergamin starannie polewając go ciepłą wodą, a potem włożyłem do cynowego rondla, czaszką na dół, i postawiłem rondel na piecu, w którym napaliłem węglem drzewnym. Po kilku minutach, kiedy rondel dobrze się rozgrzał, wyjąłem ów świstek i przekonałem się ku nieopisanej swej radości, że w kilku miejscach wystąpiły na nim plamki, które wydawały mi się znakami, połączonymi w rządkie. Włożyłem go znów do rondla na parę minut. Po wyjęciu zobaczyłem już wszystko i zaraz ci to pokażę.

Po tych słowach Legrand ogrzał na nowo pergamin i podał mi go do obejrzenia. Między trupa czaszką a koźlciem ujrzałem następujące znaki, nakreślone nieudolnie czerwonym atramentem:

53W«i< 305) 6x; 4826) 4)4 V); 806x;48>i< 8160)) 85; iy(;'yx8'i<83(88)5x>i<; 46(,88x96x ?;8) XT (;485) ;5x»i< 2: x T (;4956x 2 (5x4) 818x;

4069285) ;) 6<8) 4 TT; 1 C? 9; 48081; 8 8'P 1; 48 *85;4) 485 528806x81 (T 9; 48; (88; 4(T?34;48) 4; 161;188;?;

– Mój drogi – rzekłem oddając mu świstek – wciąż jeszcze jestem jak tabaka w rogu. Gdybym w zamian za rozwiązanie tej zagadki miał posiadać wszystkie skarby Golkondy, nie zdołałbym na pewno dokazać tego.

– A jednak – odpowiedział Legrand – rozwiązanie to bynajmniej nie jest tak trudne, jakby za pierwszym pobieżnym obejrzeniem tych znaków wydawać się mogło. Te znaki, jak łatwo się domyślić, są szyfrem, to jest, mają pewne znaczenie; wszelako z tego, co wiem o Kiddzie, nie sądzą, żeby był zdolny do obmyślenia zawilszych kryptogramów. Od razu przyszło mi na myśl, że muszą być nader proste – oczywiście, w tej mierze, iż nieokrzesany umysł marynarza bez pomocy klucza przenigdy rozwiązać ich nie zdoła.

– A czy ty je istotnie odczytałeś?

– Z łatwością; odczytywałem już inne, tysiąc razy zawilsze. Okoliczności a także pewna skłonność umysłu sprawiły, iż zajmowałem się podobnymi łamigłówkami, i wątpię bardzo, czy bystrość ludzka może obmyślić taką zagadkę, której przenikliwość innego człowieka przy pomocy odpowiednich sposobów rozwiązać by nie mogła. Skoro więc powiodło mi się wykryć czytel-

ne i połączone ze sobą znaki, nie myślałem już wcale o trudnościach, jakie nastęrczały się przy ich odczytaniu.

W danym wypadku – podobnie zresztą jak wszędzie, gdzie chodzi o pismo tajemne – pierwszym zagadnieniem jest język szyfru, ponieważ zasady rozwiązania, zwłaszcza gdy ma się do czynienia z mniej zawiłymi szyframi, pozostają w związku i mogą ulegać zmianom zależnie od ducha tego języka. Na ogół nie ma innego sposobu, jak kierując się możliwościami próbować po kolei wszystkich znanych języków, aż znajdzie się ten, o który chodzi. W szyfrach, które mamy przed sobą, usuwa wszelkie trudności podpis. Łamigłówa ze słowa Kidd jest możliwa tylko w języku angielskim. Gdyby nie ta okoliczność, byłbym rozpoczął poszukiwania od hiszpańskiego i francuskiego, gdyż korsarz, rozbijający na wodach hiszpańskich, napisałby oczywiście swą tajemnicę w jednym z tych dwu języków. Wyszedłem atoli z założenia, że kryptogram ten jest angielski.

Jak widzisz, nie ma w nim odstępów między słowami. Gdyby one były, zadanie byłoby bez porównania łatwiejsze. Byłbym zaczął w takim razie od zestawienia i rozbioru krótszych słów, a napotkawszy słowo o jednej tylko literze, na przykład „a” lub „I”, byłbym uważał rozwiązanie za rzecz pewną. Ponieważ odstępów nie ma, zacząłem od oznaczenia głosek, zarówno tych, które najczęściej, jako też tych, które najrzadziej się powtarzają. Zliczywszy wszystkie zestawilem następującą tablicę:

Znak 8 powtarza się 33 razy

„ ; „ „ 26 „
„ 4 „ „ 19 „
„ ψ) „ „ 16 „
„ x „ „ 13 „
„ 5 „ „ 12 „
„ 6 „ „ 11 „
„ ±1 „ „ 8 „
„ 0 „ „ 6 „
92 „ „ 5 „
„ :3 „ „ 4 „
„ ? „ „ 3 „
„ I „ „ 2 „
„ – „ „ 1 raz

Otóż w języku angielskim spotyka się najczęściej głoskę „e”. Po niej następują z kolei: „a o i d h n r s t u y c f g l m w b k p q x z”. „E” ma taką przewagę, iż trudno jest znaleźć jakiś dłuższy zwrot, gdzie by go nie było.

Od samego więc początku mamy zasadę, która nadaje się do czegoś więcej niżli do płonnych tylko przypuszczeń. Powszechny użytek, jaki można mieć z tej tablicy, jest widoczny, wszelako w szczególności przy tym szyfrze będzie nam ona niezbyt pomocną. Ponieważ przeważa wśród nich 8, przeto zaczniemy od przypuszczenia, że jest to „e” naturalnego abecadła. By sprawdzić to przypuszczenie, zobaczymy, jak często znak 8 Spotyka się parami – gdyż „e” nader często pojawia się w języku angielskim w takich słowach, jak na przykład: meet, feet, speed, see, agree⁷ itd. W danym wypadku podwaja się ono aż pięć razy, aczkolwiek cały kryptogram jest krótki.

Przyjmijmy zatem, że 8 oznacza „e”. Ze wszystkich słów w języku angielskim najczęściej używa się the; zobaczymy przeto, czy nie uda nam się znaleźć kilkakrotnie powtórnego zestawienia trzech znaków, z których 8 będzie na końcu. Jeśli spotkamy kilkakrotnie takie zestawienie znaków, to nader prawdopodobnie będzie to oznaczało aż siedem takich zestawień, złożonych ze

⁷ Meet, feet, speed, see, agree (ang.)spotkać, stopy, szybkość, widzieć, zgodzić się.

znaków; 48. Możemy więc przypuścić, że ; oznacza „t”, 4 oznacza „h”, a 8 oznacza „e” – przy czym ostatecznie znaczenie potwierdza się już stanowczo. Zrobiliśmy przeto krok naprzód. Oznaczając w ten sposób jedno słowo, będziemy mogli z kolei oznaczyć rzecz nader ważną, mianowicie kilka początków i zakończeń innych słów. Weźmy bodaj jeden taki przykład, w którym spotyka się zestawienie; 48 niedaleko od końca szyfru. Wiemy, że znak; który następuje bezpośrednio potem, jest początkiem słowa i że z sześciu znaków, które następują po owym the, pięć jest już nam znanych. Zastąpmy teraz te znaki literami, których mamy znaczenie, pozostawiając dla nieznanych wolne miejsce:

t eeth

Od razu możemy odrzucić th, jako nie wchodzące w skład słowa, zaczynającego się od pierwszego t, gdyż przeglądając cały alfabet w poszukiwaniu litery, którą można by wstawić w wolne miejsce, przekonywamy się, iż niepodobna jest utworzyć takiego słowa, w którym to th mogłoby stanowić część składową. Ograniczymy się zatem tylko do:

t ee

i przeszukując znów, w razie potrzeby, cały alfabet, dojdziemy do słowa tree (drzewo) jako jedynego możliwego rozwiązania. Uzyskujemy przy tym inną literę, a mianowicie „r” oznaczone znakiem (jako też skojarzenie słów *the tree*).

Nieco dalej spotykamy znów zestawienie ;48 i posługujemy się nim jako zakończeniem tego, co je bezpośrednio poprzedza. Otrzymamy w ten sposób kombinację następującą:

the tree ;4) ?34 the,

i podstawiając w miejsce wiadomych znaków odpowiednie litery odczytujemy:

the tree thr ψ?3h the Jeżeli teraz zamiast znaków nieznanych pozostawimy wolne miejsca lub wstawimy miast nich kropki, to otrzymamy:

the tree thr ... h the,

przy czym słowo through (przez) natychmiast przychodzi na myśl.

Odkrycie to zapoznaje nas ponadto z nowymi trzema literami o, u, g, oznaczonymi V? oraz 3.

Szukając dalej w szyfrze zestawień wiadomych znaków, spotykamy niedaleko od początku kombinację taką:

83)88 czyli egree,

co oczywiście jest zakończeniem słowa degree (stopień) i poddaje nam znowu jedną literę, mianowicie

„d” oznaczone †

O cztery litery dalej za słowem degree znajdujemy zestawienie:

;46(;48.

Przekładając znane znaki i zastępując, jak poprzednio, kropkami znaki nieznanne, otrzymamy:

th . rtee.

Jest to „kombinacja, która natychmiast podsuwa domyślności naszej słowo thirteen (trzyście) i dorzuca nam dwie nowe głoski „i, n” oznaczone 6 i x.

Wracając następnie do początku kryptogramu widzimy zestawienie:

53 ΨΨ†

Przełożywszy je, jak to czyniliśmy poprzednio, dostajemy:

good,

co zarazem upewnia nas, że pierwszą literą jest A i że dwa pierwsze słowa brzmią: A *good* (dobry).

By uniknąć zamieszania, należałoby teraz zestawić w jedną tablicę nasz klucz, o ile jest już nam znany. Będzie przedstawiała się ona tak:

5oz
n.a

†,,d

8,,e

3,,g

4,,h

6,,i

x,,n

Ψ,,o

(,,r

?,,u

Mamy już zatem aż dziesięć najważniejszych liter i nie potrzebujemy dalej gromadzić szczegółów, by dotrzeć do rozwiązania. Wykazałem ci dostatecznie, że szyfry tego rodzaju są łatwe do odczytania, i zapoznałem cię po trosze z rozumową metodą ich odgadywania. Wiedz atoli, iż okaz, który mamy przed sobą, należy do najłatwiejszego rodzaju kryptogramów. Pozostaje mi tylko dać ci zupełny przekład znaków, widniejących na pergaminie, jakby były już rozwiązane. Brzmi on, jak następuje:

A good glass in the bishop's hostel in the devil's seat forty one degrees and thirteen minute. northeast and by north main branch seventh limb east side shoot from the left eye of the death's-head a beeline from the tree through the shot fifty feet out.

(Dobre szkła w hotelu biskupa na siedzeniu. diabła czterdzieści jeden stopni i trzystaście minut północnowschód i na północ główny pień siódmy konar od

wschodu spuścić z lewego oka trupiej czaszki linię prostą od drzewa przez kulę piętnaście stóp dalej).

– Ależ – rzekłem – ta łamigłówka jest mi jeszcze tak samo niejasna, jak poprzednio. Bo czyż można dorozumieć się czegoś z tego galimatiasu, z tych „diablich siedzeń”, „trupich głów” i „biskupich hotelów”?

– Przyznaję – odrzekł Legrand – że na pierwszy rzut oka wygląda to wszystko jeszcze dość zawile. Toteż pierwszym, moim staraniem było dokonać naturalnego rozdziału zdań, zgodnie z zamierzeniami tego, co je układał.

– To znaczy położyć znaki pisarskie, nieprawdaż?

– Coś w tym rodzaju.

– W jakież sposób można to zrobić?

– Pomyślałem sobie, że piszący umyślnie zaniedbał podziału na zdania, by utrudnić rozwiązanie. Wszelako człowiek nie wyposażony nadzwyczajną bystrością, który podejmie się takiego zadania, na pewno popadnie w przesadę. Kiedy bowiem układając swój kryptogram dojdzie do przerwy wśród zdań, która z natury rzeczy wymagałaby kropki lub pauzy, wówczas nie zdoła oprzeć się pokusie, by właśnie w tym miejscu nie skupić swych znaków gęściej niż zazwyczaj. Obejrzyj rękopis, o którym mówimy, a z łatwością znajdziesz aż pięć takich objawów niezwyklego nagromadzenia. Powodując się tą wskazówką, dokonałem podziału w następujący sposób:

A good glass in the bishop's hostel in the devil's seat – forty one degrees and thirteen minutes – northeast and by north – main branch seventh limb east side – shoot from the left eye of the dea-t'shead a beeline from the tree through the shot fifty feet out.

(Dobre szkła w hotelu biskupa na siedzeniu diabła – czterdzieści jeden stopni i trzynaście minut – północno-wschód i na północ – główny pień siódmy konar od wschodu – spuścić z lewego oka trupiej czaszki – linię prostą od drzewa przez kulę piętnaście stóp dalej).

– Nawet przy tym podziale – odezwałem się – wciąż jeszcze nic nie wiem.

– Ja także nic nie wiedziałem. – odrzekł Legrand – ale tylko przez kilka dni. Spędziłem je na skrzętnych poszukiwaniach w okolicy wyspy Sullivan wywiadując się o budynek, który by nosił nazwę Bishop's Hotel (hotel biskupi), gdyż oczywiście nie dałem się stropić przestarzałemu słowu hostel⁸. Nie dowiedziawszy się niczego, zamierzałem już rozszerzyć zakres moich poszukiwań i prowadzić je nadal bardzo systematycznie, gdy pewnego poranku strzeliło mi nagle do głowy, że ten Bishop's Hostel może pozostawać w związku ze starożytną rodziną Bessopów, która w zamierzchłych czasach posiadała odwieczne zamczysko o cztery mile na północ od wyspy. Udałem się więc na plantację i jałem wypytywać najstarszych z okolicznych Murzynów. W końcu pewna sędziwa staruszka powiedziała mi, że słyszała o miejscu zwanym Bessop's Castel (zamek Bessopa) i że mogłaby mnie tam zaprowadzić, lecz że nie jest to zamek ani gospoda, ale wysoka skała.

Obiecałem, że ją hojnie wynagrodzę, więc po chwili namysłu podjęła się być moją przewodniczką. Dotarliśmy na miejsce bez trudu. Odprawiłem babinę i począłem się rozglądać. „Zamek” składał się z bezładnego nagromadzenia wiszarów i skał, z których jedna wyróżniała się wielce zarówno wysokością, jak odosobnieniem i jak gdyby sztucznym wyglądem. Wspiąłem się na jej szczyt i byłem bardzo zakłopotany, co dalej czynić należy.

Kiedy pograżyłem się w myślach, oczy moje padły na wąski brzezek u wschodniego zbocza skały, położony o jaki jard niżej wierzchołka, na którym stałem.

Brzezek ten sterczał zaledwie na osiemnaście cali i miał niespełna stopę szerokości, zaś wnęka w wiszarze, która widniała tuż ponad nim, czyniła go poniekąd podobnym do owych krzeseł z wygłębionym oparciem, którymi posługiwali się nasi przodkowie. Nie wątpiłem ani przez chwilę,

⁸ Hostel – dawna pisownia hotel (przyp. tłum.).

że jest to owo „siedzenie diabła”, o którym znajdowała się wzmianka w rękopisie, i utwierdziłem się w przeświadczeniu, że uda mi się w zupełności rozwiązać tę zawiłą łamigłówkę.

Wiedziałem, iż przez „dobre szkła” należy rozumieć tylko teleskop, gdyż marynarze słowa „szkła” rzadko kiedy w innym używają znaczeniu. Zdałem sobie natychmiast sprawę, iż trzeba będzie uciec się do pomocy teleskopu i posłużyć się nim z pewnego, ściśle określonego punktu, nie dopuszczając żadnego zboczenia. Nie powątpiewałem również iż zwroty: „czterdzieści jeden stopni i trzynaście minut” jako też „północno-wschód i na północ” są wskazówkami, jak należy skierować teleskop. Podniecony niezmiernie tymi odkryciami, pośpieszyłem do domu, postarałem się o teleskop i powróciłem z nim na skałę.

Zsunąłem się po niej na ów brzeżek i przekonałem się, że można tam usiąść tylko w pewnej określonej pozycji. Ta okoliczność potwierdziła moje poprzednie przypuszczenia. Zabrałem się z kolei do teleskopu. Słowa „czterdzieści jeden stopni i trzynaście minut” mogły, oczywiście, odnosić się tylko do elewacji powyżej widzianego widnokregu, natomiast kierunek poziomy wyraźnie podawała wzmianka „północno-wschód i na północ”. Oznaczyłem ten kierunek za pomocą kompasu kieszonkowego, następnie ustawiłem możliwie najdokładniej mój teleskop pod czterdziestym pierwszym kątem elewacji i dopóty poruszałem nim ostrożnie w górę i na dół, aż dostrzegłem kolisty otwór, czyli jakby okienko wśród listowia wielkiego drzewa, które górowało w od dali nad wszystkimi innymi. W środku tego okienka zauważyłem białą plamę, lecz nie mogłem zrazu rozpoznać, co to było. Dopiero nastawiwszy ostrzej soczewkę, przekonałem się, że była to trupia czaszka.

Po tym odkryciu zagadka wydała mi się już rozwiązana, gdyż zwroty „główny pień, siódmy konar, od wschodu” mogły jużcić odnosić się tylko do umieszczenia czaszki na drzewie, zaś „spuścić z lewego oka trupiej czaszki” tylko poszukiwanie zakopanego skarbu mogło mieć na względzie. Dorozumiałem się, iż rzecz polega na tym, ażeby z lewego oka czaszki spuścić jakąś gałkę i przeprowadzić linię prostą od najbliższego punktu pnia przez „kulę” (to znaczy, przez miejsce, gdzie owa gałka upadnie), a następnie prowadzić ją dalej na odległość pięćdziesięciu stóp i w ten sposób otrzymać określony punkt, gdzie, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, ukryto skarb ów w ziemi.

– Wszystko to – przemówiłem – jest nadzwyczaj jasne i olśniewa swą pomysłowością zachowując przy tym prostotę i dokładność. Cóż stało się dalej, gdy powróciłeś z Bishop's Hotel?

– Zanim poszedłem do domu, zapamiętałem sobie dokładnie owo drzewo. Było to potrzebne, gdyż zeszedłszy z „diabelskiego siedzenia” straciłem zaraz owo koliste okienko z oczu i z żadnego innego miejsca dojrzeć go już nie mogłem. Jak mi się zdaje, całe mistrzostwo tej zagadki da się sprowadzić do tej okoliczności, iż okienko to widne jest tylko z wąskiego brzeżka u skalnej ściany.

Na wyprawę do „Biskupiego Hotelu” zabrałem ze sobą Jupitera, który zapewne już na kilka tygodni przedtem zauważył moje roztargnienie i dokładał wszelkich starań, żebym nie był sam. Lecz zaraz następnego dnia wstałem bardzo wcześnie, wymknąłem się przed nim po kryjomu i poszedłem na wzgórze, by odszukać owo drzewo. Zmitrężyłem niemało czasu, zanim zdołałem je znaleźć. Gdy nocą powróciłem do domu, mój służący miał chętkę mnie obić. Co dalej się stało, wiesz równie dobrze, jak ja sam.

– Sądzę – odezwałem się – iż twoja pomyłka przy pierwszym kopaniu wyniknęła z głupoty Jupitera, który spuścił żuka przez prawe, a nie przez lewe oko czaszki.

– Tak też było istotnie. Błąd ten spowodował różnicę półtrzecia cala u „kuli” – to znaczy, w miejscu gdzie tkwił palik, wbity najbliżej drzewa; gdyby skarb znajdował się tuż pod „kulą”, pomyłka ta nie miałaby znaczenia; atoli ta „kula” wraz z najbliższym punktem pnia były jedynie dwiema wytycznymi kierunkami: przeto błąd, aczkolwiek zrazu nieznaczny, powiększał się w miarę przedłużania linii i kiedy przeprowadziliśmy ją na odległość piętnastu stóp, stał się przyczyną nader znacznego zboczenia. Gdyby nie moje głębokie przeświadczenie, że gdzieś w pobliżu skarb ten przecież znajdować się musi, wszystka nasza praca byłaby poszła na marne.

– A ta twoja pompatyczność, te twoje igraszki z żukiem – cóż to było za dziwactwo? Byłem przekonany, że oszalałeś. I dlaczego upierałeś się tak bardzo, żeby z oka czaszki spuścić tego chrząszcza, zamiast użyć do tego jakiej gałki?

– Mój drogi, wyznam ci szczerze, iż drażniły mnie nieco twoje powątpiewania o moim zdrowiu, więc postanowiłem skarcić cię moim zwyczajem spokojnie i obmyśliłem na chłodno tę maleńką mistyfikację. Dlatego wymachiwałem żukiem i kazałem spuścić go z drzewa. Pomysł ten poddało mi twoje spostrzeżenie, że jest bardzo ciężki.

– Rozumiem cię. A teraz jeszcze jedna rzecz, która mnie zaciekawia! Co myślisz o szkieletach, które znaleźliśmy w jamie?

– Na to pytanie nikt z nas nie zdołał odpowiedzieć. Wszelako zdaje mi się, iż dałoby się to wytłumaczyć tylko w jeden sposób – jakkolwiek moje przypuszczenie jest tak okropne, iż trudno w nie uwierzyć. To pewna, że Kidd – oczywiście, jeśli to Kidd zakopywał te skarby, o czym zresztą nie wątpię – otóż to pewna, że musiał mieć pomocników przy pracy. Kiedy jednak była już na ukończeniu, uznał zapewne za rzecz potrzebną pozbyć się swych towarzyszy, którzy znali jego tajemnicę. Być może, iż wystarczyły dwa krzepkie uderzenia motyką, gdy jego pomocnicy byli jeszcze zajęci w dole. A może tych uderzeń trzeba było znacznie więcej – kto to wie?

Rękopis znaleziony w butli

Kto ma za chwilę umrzeć, Ten nie ma już nic do zatajenia.

Quinault: „Alys”.

O mojej ojczyźnie i o mojej rodzinie niewiele mam do powiedzenia. Powikłania życiowe i przedział czasu zdziałały, iż jedna i druga zarówno są mi – obce. Otrzymana spuścizna ułatwiła mi pozyskanie niezgorszego wykształcenia, a skłonność umysłu do pogłębień umożliwiła ujęcie w ład metody całego dobytku wiedzy, pilnie nagromadzonej przedwcześnie dojrzałą usilnością. Ponad wszystko – dzieła filozofów niemieckich były dla mnie źródłem najwyższej rozkoszy, a przyczyniał się do tego nie podziw płochy dla ich wymownych szalów, jeno, poparta nawykiem do surowej analizy uciecha z powodu wyławiania ich błędów. Zarzucano mi częstokroć oschłość mego geniuszu, brak wyobraźni poczytano mi za zbrodnię i słynałem zawsze jako niedowiarek. W rzeczy samej – żarliwy pęd do filozofii przyrodoznawczej przesycił – niestety – mój umysł najpowszechniejszymi błędami wieku – mam na myśli nałóg warunkowania zasadami tej wiedzy zjawisk, nawet w najmniejszym stopniu nie podległych tego rodzaju warunkom. Przede wszystkim nikt nie był mniej ode mnie narażony na zatracenie surowych probierzy prawdy w pogoni za błędnymi ognikami zabobonu. Uważałem za stosowne obwarowanie się tą przedmową w obawie, aby niewiarogodnej opowieści, którą poniżej przytoczę, nie posądzono raczej o szaleńczy wytwór bezładnej wyobraźni, zamiast w niej dostrzec wynik ścisłych doświadczeń umysłu, dla którego mrzonki wyobraźni są literą martwą i znikomą.

Po kilku latach, spędzonych w dalekiej podróży, wsiałem na okręt w r. 18... w Batawii, stolicy bogatej i ludnej Jawy, aby odbyć wycieczkę po Archipelagu Sundajskim. Wyruszyłem w drogę jako włóczęga, nie mając innych pobudek prócz nerwowej żądzy zmian, która mię nagliła jako zły duch.

Okręt nasz miał około czterechset ton pojemności, obity był miedzią i zbudowany w Bombaju z malabarskiej tekhy. Wiózł ładunek wełny, bawełny i oliwy indyjskiej. Mieliśmy też na pokładzie powrozy z włókien kokosowych, cukier palmowy, zapasy topionego masła, orzechy kokosowe i kilka skrzyń makowca. Obładowano go nieodpowiednio, toteż chylił się hurtem ku wodzie.

Podaliśmy żagle prądowi wiatru i przez dni kilka trzymaliśmy się wzdłuż wschodniego brzegu Jawy. Żaden przypadek nie przerwał monotonii naszej podróży prócz chyba kilku drobnych, spotkanych po drodze odnóg Archipelagu, do którego granic okręt nasz dotarł.

Pewnego wieczoru, wsparty na parapecie strażnicy, postrzegłem na północozachodzie wielce osobliwy, samotny obłok. Zwracał na się uwagę zarówno barwą, jak i tą okolicznością, że był pierwszym obłokiem, któryśmy postrzegli od czasu naszego odjazdu z Batawii. Badałem go uważnie aż do zachodu słońca. W tym okresie – rozsnął się nagle od wschodu do zachodu, obszczając widnokrąg szczelnym pasmem tumanów i przybierając kształt długiego pasma o nisko zwisających pobręczach. Wkrótce potem uwagę moją przykuł brunatnopurpurowy brzask księżycyca i szczególny wygląd morza. To ostatnie podlegało szybkiej zmianie i woda zdawała się bardziej niż zazwyczaj przejrzyste.

Mogłem wyraźnie oglądać dno, chociaż zarzucony przeze mnie zgłębnik wskazał, iż znajdujemy się na wysokości piętnastu sążni. Powietrze zaprawiło się nieznosnym upałem i przepelniło się spiralnie rozedrganymi podmuchami żaru na wzór tych, które unoszą się ponad rozpalonym

do czerwoności żelazem. Z nadejściem nocy wszelki powiew ustał i ogarnęła nas cisza tak całkowita, że niedostępna zrozumieniu. Płomień świecy jarzył się na przedzie bez pochwytnej dla oka ruchu, a długi włos – włos ujęty wskazującym i dużym palcem, padał poziomo bez najmniejszego drgnienia.

Wszakże, ponieważ kapitan twierdził, iż nie widzi żadnych oznak niebezpieczeństwa i ponieważ zboczyliśmy z drogi do lądu w kierunku poprzecznym, tedy rozkazał zwinąć żagle i zarzucić kotwicę. Nikogo ze straży okrętowej nie postawiono na czatach, i załoga, złożona przeważnie z Malajczyków, bez troski pokładła się na pomoście. Zszedłem do kajuty nie bez wyraźnego przeczcucia jakiejś klęski. I rzeczywiście – wszystkie te znamiona budziły we mnie obawy – samumu. Zwierzyłem się z mych obaw kapitanowi, lecz nie zwrócił uwagi na moje słowa i odszedł, nie racząc odpowiedzieć. Wszakże niepokój zakłócał mi sen i około północy wyszedłem na pokład.

Gdy postawił stopę na ostatnim szczeblu przesłoniętej brezentem drabiny, przeraził mię głuchy zgiełk, podobny do tego, który wytwarza bystry obrót koła młyńskiego, i zanim zdołałem zbadać przyczynę, uczułem, że okręt dygoce od – wewnątrz. W tej samej niemal chwili nawała morska odrzuciła nas na bok i, rwąc ponad nami, wymiotła wszystek pokład od końca do końca.

Zapalczywy rzut wichru w sporej części przyczynił się do ocalenia okrętu. Chociaż całkowicie pogrążony w wodzie, tak że masztami dosięgał jej powierzchni, w chwilę potem podniósł się powoli i, przez mgień kilka kołyszając się pod potężną przemocą burzy, utwierdził się ostatecznie w swych posadach. Nie mogę wytłumaczyć, jakim cudem uszedłem śmierci? Ogłuszony pociskiem wody, znalazłem się po odzyskaniu przytomności pomiędzy tramem a sterem. Z wielkim trudem powstałem na nogi i, obłędnie poglądając wokół, pomyślałem z przerażeniem, żeśmy wpadli na rafy – tak dalece bowiem, ponad wszelką wyobraźnię, był pełen grozy wir tego olbrzymiego i spienionego morza, w którym zaprzepaściliśmy się zgoła. Po kilku chwilach doleciał mię głos starego Szweda, który wsiadł na nasz okręt w chwili, gdyśmy opuszczali przystań. Jąłem go nawoływać z całej mocy, aż chwiejnym krokiem przywłókł się do mnie – na tył okrętu. Zrozumieliśmy wkrótce, że jesteśmy jedynymi świadkami klęski. Woda, prócz nas, zmiotła z pokładu do morza wszystko, cokolwiek się na nim znajdowało. Kapitan i marynarze zginęli w czasie snu, ponieważ morze zatopiło kajuty. Pozbawieni pomocy, nie mogliśmy zbyt wielkiej pokładać nadziei w naszych ku ocaleniu okrętu wysiłkach, i zabiegi nasze paraliżowało poczucie tej pewności, że lada chwila utoniemy. Lina nasza pękła, jak szpagat, pod pierwszym naciskiem huraganu, w przeciwnym razie morze pochłonięłoby nas natychmiast.

Mknęliśmy przodem fal z przeraźliwą szybkością i woda przysparzała nam szczerb widocznych. Tylny kościec okrętu był do cna nadwreżony i pod każdym niemal względem doznaliśmy szkód krwawych, lecz ku wielkiej radości stwierdziliśmy, iż pompy nie były zatkałe mułem i że nasz ładunek nie poniósł strat zbyt wielkich. Najsrozsza wściekłość burzy minęła i mogliśmy już nie obawiać się przemocy wichrów, lecz z przerażeniem myśleliśmy o chwili, gdy wicher zgoła ustanie, w tym przeświadczeniu, iż po doznanych szkodach nie zdołamy oprzeć się straszliwym rozchwiejom wodnym, które po burzy nastąpią. Wszakże chwila, gdy obawy nasze miały się sprawdzić, była, zda się, niezbyt bliska. Przez pięć nocy i pięć dni całkowitych, w których czasie żywiliśmy się kilkoma kawałkami cukru palmowego, z wielkim wysiłkiem dobywanego z przedniej na pokładzie powały, okręt nasz mknął z nieobliczalną szybkością pod naporem wicheru, które szybko następowały po sobie, a które, nie dorównywając pierwotnym szalom samumu, były wszakże straszliwsze, niż wszelka dotychczas zaznana przeze mnie burza.

Przez pierwsze cztery dni droga nasza, pomijając bardzo nieznaczne odskoki, zdążyła na południo-wschód z uchyleniem ku południu, i w ten sposób dotarliśmy do brzegów Nowej Holandii.

Piątego dnia chłód wzmógł się do najwyższego stopnia, chociaż wiatr odwrócił się nagle ku północy. Słońce, wschodząc, żółtym i schorzałym tliło się pobrzaskiem i, wspiąwszy się za ledwo na kilka stóp ponad widnokretem, nie wydało ani jednego szczerzego promienia. Nie było żadnego na pozór obłoku, lecz mimo to wiatr zrywał się i zrywał, poświsując w napadach wściekłości. Około południa lub, ileśmy mogli sądzić, mniej więcej w tym czasie uwagę naszą znów przykuł

widok słońca. Zamiast promieni, w ścisłym tego słowa znaczeniu, wylaniało ze siebie rodzaj mroczącego się i posepnego żaru bez odbłasku, jakby wszystkie promienie były spolaryzowane. Właśnie w chwili, gdy się pograżało we wzbierającym morzu, jego rdzeń ognisty znikł nagle, jakby go znieacka zdmuchnęła jakaś tajemna potęga. A gdy już je chłonał ocean niezgłębiony, było jeno bladą, srebrnej barwy obręczą.

Nadaremnie wyczekiwaliśmy świtu dnia szóstego. Dzień ów dla mnie jeszcze nie nastał – dla Szweda nie nastał nigdy. Byliśmy pogrzebani w ciemnościach tęgich jak smoła, tak że nie widzieliśmy przedmiotów odległych o dwadzieścia kroków od okrętu. Spowijała nas noc wiekuista, nie łagodzona nawet fosforycznym pobrzaskiem morza, do którego przyzwyczailiśmy się pod zwrotnikiem. Postrześliśmy też, że chociaż burza i nadal szaleje bez przerwy, wszakże nie znajdujemy żadnych śladów pluskających fal oraz tzw. baranków, które nam dotąd towarzyszyły w drodze.

Wokół nas nie było nic prócz grozy, zgęszczonego mroku i czarnej pustyni płynnego hebanu. Strach zabobonny wnikał kropla po kropli do piersi starego Szweda, mój zaś duch pograżył się w niemym zdrętwieniu.

Poniechaliśmy wszelkich dokoła okrętu zabiegów dla ich zbyteczności i, uczepieni z całych sił za odłamek przedniego masztu, z rozpaczą wodziłiśmy oczyma po bezmiarach oceanu.

Nie mieliśmy żadnych środków obliczenia czasu i nie mogliśmy zgoła połapać się w naszym położeniu. Mimo to byliśmy aż nadto pewni, iż posunęliśmy się na północ dalej, niż jakikolwiek z żeglarzy – naszych poprzedników, i dziwił nas wielce brak po drodze zwykłych zapór lodowych. A tymczasem każda chwila tała groźbę chwili ostatniej – każda olbrzymia fala biegła, aby nas zmiażdżyć. Niepokój fal po burzy przeszedł wszelkie możliwe mrzonki mojej wyobraźni, i był to cud, co chwila wznawiany, żeśmy nie zatnęli.

Towarzysz mój mówił o lekkości ładunku i przypominał mi doskonale zalety naszego okrętu, lecz nie mogłem nie doznawać zgoła na wszystko ślepej rozpacz i melancholijnie sposobielem się do śmierci, której przyjscia najdalej za godzinę nic opóźnić nie mogło, ponieważ z każdym sążnieniem, który okręt przebiegał, niepokój fal po burzy na tym czarnym i dziwnym morzu nabierał coraz posepniejszej grozy. Częstokroć na wysokościach, do których albatros nie dolata, zatracaliśmy dech – a kiedy indziej chwycił nas zawrót głowy, gdyśmy ze straszliwą szybkością spadali w czeluście piekieł wodnych, gdzie był zastój powietrza i gdzie żaden dźwięk nie mógł zakłócić drzemoty polipów.

Byliśmy właśnie w padolach jednej z owych otchłani. gdy nagły krzyk mego towarzysza zło-wróźnie zabrzmiał w mroku.

– Spójrz, spójrz! – krzyczał mi w same uszy. – Na Boga, spójrz, spójrz!

Gdy tak mówił, postrzegłem światło szkarłatne o mroczącym się i posepnym blasku, które chwiała się u wylotu bezdennej, wchłaniającej nas czeluści i miało na nasz pokład pełgające smugi rozwidnień. Uniósłszy do góry oczy, ujrzałem widok, który krew mi zmroził.

Na wysokości przeraźliwej, tuż ponad nami i na samym obrzeżu otchłani bujał okręt olbrzymi – pojemności zapewne czterech tysięcy ton. Chociaż zagnieżdżony na grzbiecie wału morskiego, który go stokrotnie ogromem przerastał, zdawał się rozmiarami przekraczać zakres liniowca lub okrętów Towarzystwa Indyjskiego. Jego niewiarogodnie olbrzymi kadłub miał barwę głęboko czarną, której nie ożywiała żadna ze zwykłych ozdób okrętowych. Pojedynczy szereg dział dłużył się w rozwartych strzelnicach i miało przed się, odbity od swych szklistych powierzchni, poblask nieuczonych latarni wojennych, które się chwiałały w swych obsadach. Lecz najbardziej zdjęła nas przerażeniem, i podziwem ta Okoliczność, że płynął na wszystkich żaglach wbrew temu, wszelkiej rzeczywistości przeczącemu morzu i wbrew tej burzy rozszałałej. Początkowo, gdyśmy go zoczyli, mogliśmy oglądać tylko jego dziób, ponieważ powoli wypełzał z czarnej i straszliwej otchłani, którą pozostawił w tyle.

Na jedną chwilę – chwilę nateżonych przerażeń – przystanął na tym zawrotnym wierzchole, jakby odurzony własnym wniebowstąpieniem, potem drgnął – pochylił się – i wreszcie stoczył się wzdłuż po skłonie.

Nie wiem, co za nagły spokój opanował w tej chwili mego ducha. Odskoczywszy możliwie najdalej – ku tyłom okrętu, wyczekiwałem bez drżenia klęski, która nas miała zmiażdżyć. Nasz własny okręt – koniec końcem – zaprzestał walki z morzem i szedł na dno brzemieniem swego dziobu. Cios rozpędnej bryły ugodził go przeto w zatopioną część kadłuba i w nieuniknionym następstwie przerzucił mię w sieć obcego okrętu.

Gdym upadł, okręt ów, dotarłszy do punktu martwego, wspiał się ku górze i przewalił się na tamtą stronę. Sądzę, iż tylko dzięki zamieszaniu, które powstało, zdołałem ująć baczności załogi.

Niewiele miałem przeszkód po temu, aby niepostrzeżenie utorować sobie drogę do głównych drzwi na pokładzie, które tkwiły w miejscu widocznym, i zdarzyła mi się wkrótce pomyślna sposobność ukrycia się na spodzie okrętu. Nie umiałbym wytłumaczyć, dlaczego tak uczyniłem? Przyczyną, która mnie do ukrycia się zniewoliła, był zapewne nieokreślony lęk, który mnie w pierwszej chwili ogarnął na widok nowych żeglarzy. Ani mi w głowie było zdać się na łaskę okazów ludzkich, które na pierwszy a doraźny rzut oka zdradzały cechy niepochwytniej dziwaczności i dały mi tyle powodów do obaw i uprzedzeń. Dlatego też uważałem za stosowne sporządzenie dla się skrytki na spodzie okrętu. Zerwałem część poszycia okrętowego w ten sposób, aby utworzyć sobie schronienie bezpieczne pomiędzy olbrzymimi członkami okrętu.

Zaledwom dokonał mej pracy, odgłos kroków w piwnicznych izbach okrętowych zagnił mię do wyzyskania mej czatowni. Ktoś przechodził koło mej kryjówki słabym i niezbyt pewnym krokiem. Nie mogłem dojrzeć jego twarzy, lecz z łatwością oglądałem całokształt jego postaci. Miał wszelkie pozory niemocy i zgrzybiałości. Kolana jego ugięły się pod brzemieniem lat i cała jego istota dygotała od starości. Mówił sam do siebie, pomrukiwał głosem cichym i złamanym jakieś słowa w języku, którego nie mogłem zrozumieć – i szperał w kącie, gdzie spiętrzonego pozorze narzędzia i zmurszałe mapy morskie. Była w nim osobliwa gmatwanina dąsów powtórnego dzieciństwa i uroczystej godności boga. Po pewnym czasie – wrócił na pokład i straciłem go z oczu.

Uczucie, dla którego nie znajduję wysłowień, ovladnęło mym duchem – uczucie, które się wzbrania analizie, które nie ma swych określeń w słownikach przeszłości, a którego i przyszłość nawet – obawiam się, że nie zdoła odcyfrować. Dla umysłu tego co mój pokroju owo ostatnie przypuszczenie było istną męczarnią. Nigdy nie zdołałem – czułem, że nie zdołałem nigdy zbadać istoty mych myśli! Nie dziw jednak, że myśli owe nie poddawały się tłumaczeniom jako zaczerpnięte ze źródeł tak całkowicie nowych. Nowe uczucie – nowa treść wzbogaciła mego ducha.

Już kawał czasu upłynął od chwili, gdy po raz pierwszy dotknąłem stopą pokładu tego strasznego okrętu, a promienie mych przeznaczeń zbiegały się snadź i wyczerpywały w jednym ognisku.

Nieodgadnieni ludzie! Spowinięci w zadumę, której treści domyśleć się nie mogłem, przechodzili obok mnie nie postrzegając mej osoby. Trwanie w ukryciu było z mej strony istnym szaleństwem, gdyż ów rodzaj ludzki nie chce widzieć. Nie dalej jak chwilę temu przesunąłem się tuż przed oczyma drugiego z kolei. Niedawno zapędziłem się aż do kajuty samego kapitana i tam właśnie zaopatrzyłem się w środki niezbędne dla spisania bieżących i ubiegłych zdarzeń. Od czasu do czasu będę uzupełniał mój dziennik. Wprawdzie nie mogę znaleźć żadnych sposobów przekazania go światu, wszakże nie zaniedbam wszelkich po temu prób. Gdy przyjdzie chwila ostatnia, zawrę rękopis w butli i wrzucę wszystko do morza.

Zaszła pewna okoliczność, która znów mi dała pole do rozmyślań. Czy podobne zdarzenia są wynikiem dowolnego przypadku?

Wbiegłem na pokład i, nie zwracając niczyjej uwagi, wyciągnąłem się na stosie powrozów i starych żagli, zgromadzonych na dnie czółna. Pochłonięty zadumą o dziwach mych przeznaczeń, bezmyślnie bazgrałem pędzlem od smoły po rąbkach starannie zwiniętego półżagla, który leżał w

mym poblizu na becze. Półzagiel obecnie powiewa na swym drzewcu, a bezwiedne rzuty pędzlem ułożyły się w słowo: O d k r y c i e.

Poczyłem świeżo kilka postrzeżeń w sprawie budowy okrętu. Myślę, że, pomimo pilnego uzbrojenia, nie jest to okręt wojenny. Jego strój, jego budowa, cały jego rynsztunek wykluczają tego rodzaju przypuszczenie. Z łatwością zgaduję – czym nie jest. Wszakże boję się, iż nie potrafię określić, czym jest. Nie wiem, jak się to stało, lecz badając jego dziwaczny ustrój i osobliwe kształty masztów, jego rozmiary olbrzymie, niezwykle zespoły żagli, jego dziób, z surową wykonaną prostotą, i jego tył w stylu pradawnym – czułem chwilami, że duszę mą przenika na kształt błyskawicy wrażenie czegoś, co nie jest mi nie znane – i zawsze do owych rozwiewnych cieni wspomnień przysnuwał się nieokreślony sen o prastarych, zamorskich legendach i o niezmiernie zamierzchłych wiekach.

Uważnie przyjrzałem się kośćcowi okrętu. Sklecono go z niewiadomego mi budulca. Zastanowiła mnie ta okoliczność, iż drzewo jego posiada przymioty, czyniące go niezdatnym do użytku, który stanowi jego przeznaczenie. Mam na myśli jego niezmierną porowatość, stwierdzoną niezależnie od wyźłobień robactwa, które są wynikiem żeglugi po tych morzach, oraz od próchna spowodowanego starością.

Postrzeżenie moje spotka się zapewne z zarzutem zbyt małej nieco przenikliwości, lecz zdaje mi się, że drzewo owo ma wszelkie cechy dębu hiszpańskiego, o ile dąb hiszpański można sztucznie zolbrzymić.

Odczytując zdanie ostatnie, przypomniałem sobie osobliwe przysłowie pewnego Holendra, starego wilka morskiego.

„Jest to pewnik – mawiał zawsze, ilekroć powątpiewano niejako o jego prawdomówności – tak samo, jak jest pewnikiem to, że istnieje morze, na którym okręt tyje niegorzej od żywego cielska marynarza.”

Mniej więcej przed godziną zdobyłem się na odwagę zmieszania się z gromadką ludzi należących do załogi. Nie mieli pozoru istot, które widzą moją osobę, i chociaż tkwiłem tuż w pośrodku nich, zdawali się zgoła nieświadomi mej obecności. Podobnie jak ów, którego po raz pierwszy ujrzałem na spodzie okrętu, mieli na sobie szczerby głębokiej starości. Ich kolana drżały od niemocy, ramiona garbiły się pod brzemieniem zgrzybiałości, powiędła skóra kurczyła się na wietrze – ich głos był cichy, drżący i złamany, z ich oczu sączył się połyskliwy śluz starości, a ich siwe czupryny straszliwie rozwiewały się na wicherze. Wokół nich, po każdej stronie pokładu, leżały w bezładzie narzędzia matematyczne wielce zamierzchłego ustroju, który zgoła wyszedł z obiegu.

Wspomniałem nieco wyżej o półzagli, który przytwierdzono do masztu. Od owej chwili okręt, wichrem gnany, nie zaprzestawał swych straszliwych wprost ku północy rozpędów, zbarczony wszystkimi, jakie miał w rozporządzeniu, żaglami, poczynając od skuwek na masztach, a kończąc na rejach najniższych – i zanurzał przy tym kończyny rej znad bocianiego gniazda w piekielnym odmiecie, którego groza prześcigała wszelkie możliwe pomyślenie ludzkie.

Opuściłem przed chwilą pokład, nie mogąc ustać na żadnym jego miejscu, wszakże załoga nie zdradzała zbytnej troski. Zdaniem moim jest to cud nad cudami, że ciężar tak olbrzymi nie zatonął natychmiast i na zawsze. Byliśmy niewątpliwie skazani na to, aby wiekuiście płynąć pobrzeżem wieczności i nigdy niełać ostatecznego nura w bezdeni. Mknęliśmy ze szparkością jaskółki morskiej po falach tysiącokrotnie groźniejszych niż te, które kiedykolwiek widywałem – olbrzymie wały wodne wspinały swe lby powyżej nas jak demony otchłani, lecz jak demony działające jeno w ścisłym zakresie pogroźek, a którym zakazano niszczenia. Jestem zmuszony do przypisania nieustannych omijań kłęski jedynej przyrodzonej przyczynie, która zdoła uzasadnić tego rodzaju zjawisko. Przypuszczam, że okręt trzymał się na powierzchni dzięki jakimś potężnym prądom lub wirom podwodnym.

Widziałem kapitana oko w oko i w jego własnej kajucie, lecz, jak się tego spodziewałem, nie zwrócił na mnie żadnej uwagi. Chociaż w całokształcie jego postaci na pierwszy rzut oka nie ma

nic z tego, co by zdradzało wyższość lub niższość jego istoty, wszakże do zaznanego przeze mnie na jego widok zdziwienia dołączyło się uczucie czci i niepokonanego strachu.

Jest on mniej więcej mego wzrostu, to znaczy około pięciu stóp i ośmiu cali wysokości. Jest bardzo kształtny i dobrze zbudowany, lecz owa budowa nie zdradza mi szczególnej krzepkości, ani w ogóle żadnych niezwykłych znamion. Wszakże osobliwość wyrazu panującego na jego obliczu oraz nieodparta, straszliwa, oszalamiająca oczywistość tak całkowitej, tak bezwzględnej starości – były właśnie przyczyną, która narzuciła mej duszy uczucie – wrażenie nieopisane. Czoło jego, aczkolwiek niewiele pomarszczone, zdawało się nosić pieczęć miriadów lat. Jego siwe włosy były zabytkami przeszłości, a oczy, jeszcze siwsze, były Sybillami przyszłości. Pułap jego kajuty był zawałony cudacznymi o żelaznych klamrach foliarami, przestarzałymi narzędziami wiedzy i zamierzchłymi mapami w stylu zgoła zapomnianym. Głowę wsparł na dłoniach, a żarliwym i niespokojnym wzrokiem pożerał pismo, które wziąłem za jakieś zlecenie, a które w każdym razie nosiło pieczęć królewską. Mówił sam do siebie jak ów pierwszy marynarz, którego widziałem na spodzie okrętu, i głosem cichym a smutnym wymrukiwał jakieś sylaby w języku nieznanym. A chociaż byłem tuż obok niego, zdawało mi się, że głos jego dolata mnie z odległości milowej.

Okręt wraz z całą swoją zawartością na wskroś jest przeniknięty duchem czasów zamierzchłych. Załoga snuje się na kształt cieni wieków poległych w mogile. W ich oczach płonie zaduma żarliwa i niespokojna i gdy dłonie ich grzęzną w obłędnym świetle latarni rozwidniających drogę mym oczom, doznaję uczuć, których nigdy dotąd nie doznawałem, chociaż przez całe życie miałem zapał szaleńczy dla zabytków starożytności i chociaż nurzałem się w cieniu ruin Balbeku, Tadmoru i Persepolisu tak, że w końcu duch mój sam w sobie stał się ruiną.

Gdy się rozglądałem wokół, wstydzę się mych poprzednich lęków. Jeżeli burza, która nas dotąd ściagała, zniewoliła mię do strachu, czyliż nie winienem doznać przerażeń wobec tego najazdu wichury i oceanu, o którym zwykle określenia, jak wir i samum nie mogą dać najmniejszego pojęcia? Okręt, ściśle mówiąc, pogrzebał się w ciemnościach nocy wiekuistej i w chaosie wód, które już stały się – bezpieczne. Lecz od każdej strony na odległości mniej więcej jednej mili dano nam było niewyraźnie i chwilami oglądać niewiarogodnie olbrzymie szańce lodowe, które się piętrzą ku pustyni podniebnej i zdają się przedmurzem wszechświata!

Zgodnie z moim domysłem okręt znajduje się widocznie w dziedzinie prądu, jeśli, ściśle mówiąc, można tym słowem nazwać wezbranie wód, które wyjąc i rycząc rwą wskroś białe widma lodowców, zwiastując swój, pęd od południa piorunem wścieklejszym niżli huk pionowo spadającej katarakty.

Zrozumienie przerażeń, które padły na me zmysły, uważam za niemożliwość, a jednak ciekawość zajrzenia do tajemnic tych straszliwych dziedzin przewyższa jeszcze samą rozpacz i wystarcza, abym się pogodził z najpotworniejszym widziadłem śmierci. Było to oczywistością, że mkniemy na oślep ku jakiemuś porywającemu odkryciu – ku jakiejś niewysłownej tajemnicy, której świadomość jest brzemienią śmiercią. Być może, iż prąd uniósł nas aż na sam biegun południowy. Trzeba przyznać, iż owo tak dziwne na pierwszy rzut oka przypuszczenie ma wszelkie dane za sobą.

Załoga przechadza się po pokładzie krokiem chwiejnym i niespokojnym, lecz na wszystkich obliczach panuje raczej wyraz płomiennej nadziei niż skamieniałej rozpacz.

Wszakże wiatr wciąż nas gna naprzód i dzięki gromadzie żagli okręt chwilami polata zgoła nie tykając morza.

O, zgrozo zgróż! Lodowce ukazują się nagle na prawo i lewo, i kołujemy zawrotnie w olbrzymich koncentrycznych okręgach wokół brzegów olbrzymiego amfiteatru, który wierzchołki swych murów zatracza w ciemności i bezmiarze. Wszakże zostaje mi jeno okruczeństwo czasu dla rozmyślań o własnym losie. Okręgi; zwężają się raptownie, zanurzamy się na oślep w cieśninie wirów i wśród wycia, ryku i huku oceanu okręt drży – na Boga – zapada się – tonie!⁹

⁹ Rękopis, w butli znaleziony zjawił się w druku po raz pierwszy w r. 1831, a dopiero po upływie lat wielu zapo-

Serce – oskarżycielem

Bez wątpienia – jestem zbyt nerwowy, strasznie nerwowy, zawszem był taki... Na jakiej wszakże zasadzie chcecie koniecznie upatrzeć we mnie szaleńca? Choroba zaostrzyła moje zmysły – nie zniestwiła ich – nie przytłumiła. Ponad innymi zmysłami – słuch mój górował niezwykłą czujnością. Słyszałem wszystko, cokolwiek działo się w niebiosach i na ziemi. Słyszałem wiele z tego, co się działo w piekle. Skądże mi do szaleństwa? Chwila uwagi! Baczcie jeno, z jakim nadmiarem zdrowia i pogody ducha mogę wam opowiedzieć wszystko, co się stało.

Określenie tego, jakim sposobem wiadoma myśl powstała pierwotnie w mym mózgu, wymyka się wszelkim możliwościom. Wszakże od chwili powstania myśl ta przebywała we mnie dniem i nocą. Przedmiot? Myśl była bez przedmiotu. Była pozbyta wszelkiej namiętności.

Lubiłem poczciwego starucha. Nigdy mi nic złego nie uczynił. Nigdy mnie nie uraził. Nie pożądałem zgoła jego złota. Przypuszczenia moje dotyczą raczej jego oka... Tak, to było to! Miał jedno oko podobne do sępiego – oko płowoniebieskie, bielmem przysłonięte. Ilekroć to oko zwracało się ku mnie, tylekroć krew we mnie stygła, i oto – z wolna – stopniowo – uknuła mi się w głowie zachcianka odebrania starcowi życia, aby w ten sposób raz na zawsze uwolnić się od jego oka.

Otóż właśnie, tu tkwi sęk! Sądźcie mnie szalonym. Szaleni nie wiedzą nic a nic. Gdybyście mogli jednak podpatrzeć, jak sprawnie działałem! – jak ostrożnie, jak zapobiegliwie, jak przebiegle zakrzętnąłem się dokoła mej roboty! Nigdy nie byłem dla starucha tak uprzejmy, jak w ciągu całego tygodnia, który poprzedzał spełnienie morderstwa. I co noc – około północy – pokręcałem zasuwę jego drzwi – i otwierałem je – o, jakże bezszmernie! I w chwili, gdym uchylał drzwi na objętość mej głowy, wsuwałem ślepą latarnię, zamkniętą szczelnie, szczelnie zamkniętą, wzbrańającą przepustu najmniejszemu promieniowi – w ślad za nią wtlaczałem głowę. O, moglibyście się uśmieć, widząc, jak zręcznie wtlaczałem głowę. Nadawałem jej ruch powolny, bardzo, bardzo powolny, by nie zakłócić snu starca. Dobrą godzinę musiałem tracić na przewleczenie mej głowy poprzez otwór tak daleko w głąb, aby go oglądać zmożonego snem na łożu. Szaleniec – czyż zdobyłby się na taki rozsądek? I w chwili, gdy głowa moja przebywała goła w pokoju, odsłaniałem latarnię spokojnie, ostrożnie – o, jakże ostrożnie, jak ostrożnie! Zawiasa bowiem powrzaskiwała. Odsłaniałem jeno tyle, ile było trzeba, ażeby jedna, niepochwytna nić światła trafiła do sępiego ślepie. I w tej czynności ćwiczyłem się przez siedem długich nocy – co noc – o samej północy, lecz zastawałem zawsze ślepie zamknięte, nie mogłem przeto dopełnić mego zamiaru, nie starzec bowiem mnie męczył, lecz jego Złe Oko. I co rano, gdy dzień świtał, wchodziłem bezczelnie do jego pokoju, zawiązywałem z nim śmiało rozmowę, nazywając go po imieniu głosem serdecznym i zapytując, jak spędził noc. Owóż – wyznajcie, że staruch – zaprawdę – musiałby chyba posiadać duszę nadzwyczaj przenikliwą – aby wpaść na domysł, że co noc o samej północy badam go, zdjętego snem.

Ósmej nocy powziąłem większą jeszcze bacność przy rozwieraniu drzwi. Mniejsza wskazówka zegara szybciej się porusza, niżli wówczas dłoń moja. Nigdy, do czasu tej nocy, nie od-

znałem się z mapami Mercatora, na których widać ocean czworgiem ujść wpadający do polarnych otchłani (na północy) i znikający we wnętrzach ziemi – sam biegun przedstawiono w kształcie czarnej skały, która wznosi się na wysokość niepomierną (E.A.P).

czułem tak w pełni mych sił – bystrości mego umysłu. Pomyśleć jeno, że był tuż, ja – cierpliwy rozwieracz drzwi – a jemu nawet nie śniło się o tym, co czynię i co zamierzam potajemnie! Na myśl o tym – uroniłem nieco śmiechu – i, być może, starzec mnie posłyszał, gdyż znieacka poruszył się na łożu, jakby się ocknął. W takiej chwili – sędzicie zapewne, że się cofnąłem? – Bynajmniej! Pokój jego był czarny niby smoła – tak się w nim zagęstiły cienie – okiennice bowiem z obawy złodziei były starannie zamknięte; tedy wiedząc, że starzec nie może dojrzeć półrozwarcia drzwi, rozchylałem je nadal coraz więcej, coraz szerzej. Przesunąłem już mą głowę i dotarłem do chwili odsłonięcia latarni, gdy duży mój palec pośliznął się na blaszanym zamku i starzec, wyprostowawszy się na łożku, zawołał: „Kto tam?” Znieruchomiałem całkowicie i nie odrzekłem nic. Przez godzinę całą nie poruszyłem ani jednym ścięgnem i przez cały ten czas nie słyszałem, aby się do snu ponownie układał. Trwał wciąż w postawie siedzącej, na czatach – zupełnie tak samo jak ja, gdy po całych nocach nasłuchiwałem świerszcza, ukrytego w murze.

Lecz oto posłyszałem wątły jęk i wnet poznałem, że był to jęk śmiertelnego przerażenia. Nie był to jęk bólu ani rozpacz – o, nie! Był to głuchy i zdławiony wydech, który się dobywa ze dna duszy, zmiażdżonej przestachem. Znałem dobrze ów wydech. Przez wiele nocy o samej północy, gdy spał świat wszystkim, wyrywał się on z mej własnej piersi, wyotchłaniając swym straszliwym echem widma trawiących mię przerażeń. Powtarzam: znałem go dobrze. Wiedziałem, czego doznawał starzec, i czułem dlań litość, chociaż się śmiało coś w mym sercu. Wiedziałem, że trwockniony od chwili pierwszego, maluczkiego szmeru, gdy się przewracał na łożu.

Lęk jego wciąż się wzmacniał. Starzał się, ale nie mógł przekonać siebie samego, że lęk to bez przyczyny. Mówił sam w sobie: „To nic innego, jeno wiatr w kominie – to tylko mysz przemknęła wzdłuż podłogi” – albo: „to tylko świerszcz zazgrzytał”.

Tak, silił się dodać sobie otuchy takimi domysłami, tle to wszystko było nadaremne. Wszystko było nadaremne, albowiem śmierć, która się zbliżała, przeszła obok niego ze swym wielkim, czarnym cieniem i spowiła weń swoją ofiarę. I właśnie żalobna i rzemoc niewidzialnego cienia działała, iż wyczuł chociaż starzec nic nie widział i nie słyszał) pobyt mej głowy w pokoju.

Przeczekawszy czas długi – bardzo cierpliwie i nie słysząc, aby się do snu ponownie układał, postanowieni odsłonić z lekka latarnię; lecz tak z lekka, tak z lekka, jakby wcale nic. Odsłoniłem ją wreszcie tak niepostrzeżenie, tak niepostrzeżenie, że trudno to sobie nawet wyobrazić, aż w końcu samotny, blady pronień, na kształt nici pajęczej, wysnuł się ze szczeliny padł na sępie oko.

Rozwarte było, na oścież rozwarte i wpadłem we wściekłość w tej samej chwili, gdy je ujrzałem. Ukazało mi się z doskonałą jasnością – całe – w zadymie błękitnej i powleczone pokalaną błoną, której widok zmroził mnie aż do szpiku kości. Z całej twarzy jednak i z całej postaci starucha nie mogłem dojrzeć nic, prócz tego, com zobaczył. Skierowałem bowiem promień, jakby pod wpływem instynktu, nie gdzie indziej, jeno właśnie w samo sedno przeklętego miejsca.

Otóż tedy – czyż wam nie nadmieniałem, że to, co uważacie za szaleństwo, jest jeno przeczułaniem zmysłów?

Otóż – powiadam wam – dotknął mych uszu głuchy, zdławiony, częstotliwy szmer, podobny do tego, który wytwarza zegarek, owinięty w watę. Dźwięk ów – poznałem tak samo i niezgorzej... Było to bicie serca w piersi starucha. Dźwięk ów wzmógł moją wściekłość, na kształt uderzeń bębna, które podjudzają odwagę żołnierza. Wszakże pohamowałem się raz jeszcze i trwałem nadal bez ruchu.

Oddychałem z trudnością. Znieruchomiłem w dłoni latarnię. Sposobiłem się do utrwalenia promyka wręcz – na samym ślepiu. A jednocześnie serce biło na alarm coraz mocniej. Uderzenia jego nabierały co chwila pośpiechu i nabierały co chwila odgłosu. Według musowego prawdopodobieństwa – przerażenie starca dosięgało kresów ostatecznych. Odgłos owych uderzeń z każdą chwilą – powtarzam – stawał się mocniejszy i mocniejszy? Uważnie mnie słuchacie? Wszakże was uprzedziłem, że jestem nerwowy, i rzeczywiście – jestem nerwowy.

I oto – w pełni nocy, wpośród przeraźliwego milczenia tego starego domostwa – ów tak osobliwy szmer poraził mnie niepokonanym lękiem. W przeciągu kilku mgnień następnych wścią-

gałem się i trwałem nieporuszenie. Lecz odgłos uderzeń wciąż wzmagał się i wzmagał. Zdawało mi się, że serce pęknie. I oto ogarnęła mnie troska nowa! Dźwięk ów mógł dolecieć uszu sąsiada! Godzina starca wybiła! Wyjąc wniebogłosy, odsłoniłem nagle latarnię i wdarłem się do pokoju. Staruch wydał jeden tylko okrzyk – jeden – jedyny. W okamgnieniu cisnąłem nim na oślep o podłogę i przytłoczyłem go całym miążdzącym ciężarem łoża. I tu się dopiero uśmiechnąłem radośnie na widok tak wynagrodzonych trudów. Lecz przez kilka minut serce się ożywało zakapturzonym wydźwiękiem. Ta wszakże okoliczność nie trwożyła mię zgoła, nikt bowiem nie mógł poprzez mury dosłyszeć owego wydźwięku. A i ten się z wolna uciszył. Staruch był martwy. Podniosłem łożo i zbadalem ciało. Tak, na miejscu padł trupem – na miejscu. Przyłożyłem mu dłoń do serca i przetrzymałem ją tam kilkanaście minut. Ani śladu tętna. Padł trupem na miejscu. Odtąd już jego ślepie nie będzie mnie dręczyło.

Jeśli trwacie w przekonaniu, że jestem szalony – przekonanie owo pierzchnie, gdy wam opiszę, jakich przebiegłych sposobów użyłem dla ukrycia trupa. Noc nadchodziła, a ja pracowałem pośpiesznie, chociaż w milczeniu. Odciąłem głowę, a potem ręce – a portem – nogi.

A potem wyłamałem trzy deski z podłogi i złożyłem wszystkie zespół pomiędzy dranicami. A potem przystosowałem deski do dawnego miejsca tak zręcznie, tak chwacko, że żadne oko ludzkie – nawet jego oko – nie mogłoby dojrzeć nic podejrzanego. I nic nie było do zmycia, ani jednej plamy, ani jednego śladu krwi. Byłem zbyt z tym zapobiegliwy. Nic nie zostało na dnie pełnego przed chwilą cebrzyka! Cha, cha!

Gdy dokonałem tych wszystkich zabiegów, była godzina czwarta i ciemno, jak o północy. Podczas gdy zegar wydzwaniał godzinę, zapukano do drzwi od ulicy. Lekko mi było na sercu, gdy szedłem otworzyć – Czegóż bowiem bać się mogłem – obecnie? Weszło trzech ludzi, którzy z przedoskonalonym ugrzecznieniem przedstawili mi się jako urzędnicy policyjni. Pono ktoś z sąsiadów słyszał nocą jakiś okrzyk, dzięki temu powstało podejrzenie, że zaszło coś złego – podano wiadomość do biura policji – i ci panowie (urzędnicy) przybyli właśnie, jako wysłańcy, gwoli zbadania miejsca.

Uśmiechnąłem się – jakież bowiem miałem powody do obaw? Gościnnie powitałem tych jęgościów. „Co do krzyku – rzekłem – sam właśnie przez sen krzyknąłem. Stary zaś człeczyna – dorzuciłem – udał się w podróż po kraju.” Oprowadziłem mych gości po całym domu. Prosiłem, aby wszędzie zajrzeli i aby zajrzeli dokładnie. Wreszcie wprowadziłem ich do jego pokoju. Pokazałem im cały jego dobytek w zgoła bezpiecznym schronieniu i w bezwzględny ładzie. Przesadzając w zapale ufność we własne siły, wniosłem krzesła do pokoju i prosiłem ich, aby spoczęli, podczas gdy sam z zawrotną odwagą zupełnego tryumfu utwierdziłem swe krzesło w tym samym właśnie miejscu, gdzie były ukryte zwłoki ofiary. Urzędnicy wykazali zadowolenie. Przekonało ich moje postępowanie. Czułem osobliwy błogostan. Usiedli i zagaili rozmowę byle jakiej treści, ja zaś wesoło im odpowiadałem. Lecz po upływie pewnego czasu poczułem, że błędę, i pożądałem w duszy ich odejścia. Począł mię dręczyć ból głowy i zdawało mi się, że mi dzwoni w uszach. Oni wszakże nie powstali z swych siedzeń i rozmawiali nieustannie. Dzwonienie wyraźniało. Trwało wciąż i wyróżniało coraz bardziej. Wzmogłem swoją gadatliwość, aby się odczepić od owego wrażenia. Lecz dzwoniło dobitnie i przybrało cechy zgoła nieodparte, aż w końcu wykryłem, że to nie w uszach moich dzwoni.

Bez wątpienia – bardzo wówczas pobladłem. Lecz gawędziłem ze zdwojoną jeszcze płynnością i głosem podniesionym. Dźwięk wciąż się rozrastał – co miałem począć? Był to szmer głuchy, zdławiony, częstotliwy, szmer niezwykle podobny do tego, który wytwarza zegarek, owinięty w watę.

Oddychałem z trudnością. Urzędnicy nie słyszeli jeszcze. Zacząłem gadać szybciej i z większą gwałtownością, ale szmer wzmagął się nieustannie. Wstałem i wszcząłem spór o jakieś drobnostki w tonie wielce wzniosłym, z przydatkiem gestów popędliwych, lecz szmer się wzmagał – wzmagał nieustannie. Czemuż ci ludzie nie chcą stąd odejść? Tam i sam – ciężkimi i wielkimi krokami zacząłem odmierzać pokój, jakby rozjątrzony uwagami moich rozmówców. Lecz szmer

wzrastał miarowo. O, Boże! Cóż miałem począć? Burzyłem się – plotłem trzy po trzy – przeklinałem. Poruszałem krzesłem, na którym siedziałem, szurałem nim po podłodze. Wszakże szmer wciąż trwał i wzrastał się bez końca. Krzepnął coraz bardziej – coraz bardziej i wciąż coraz bardziej. A goście wciąż gadali – i uśmiechali się – i żartowali. Możliweżto, że nic nie usłyszeli? Boże wszechmogący! Nie, nie! Słyszeli! – Domyślali się! – Wiedzieli! Bawili się jeno moim przerażeniem! Tak pomyślałem – i dotąd jeszcze tak myślę. Wszystko byłoby łatwiejsze do zniesienia, okrom tego pośmiewiska. Nie mogłem znieść dłużej tych uśmiechów! Uczułem, że albo krzyżeć muszę, albo skonać! I teraz jeszcze – czy słyszycie? – Nasłuchujcie! Coraz głośniej, coraz głośniej, wiecznie głośniej, wiecznie głośniej!

– „Nikczemni! – krzyknąłem – Nie udawajcie dłużej! Wyznaję wszystko! Zerwijcie te deski! To – tam! To – tam! To –trzepot jego straszliwego serca!”

Beczka Amontillada

Tysiące krzywd, zadanych mi przez Fortunata, zniosłem cierpliwiej, niżli to było w mej mocy, lecz gdy doszło do zniewagi, poprzysiągłem sobie zemstę. Wy wszakże, którzy dobrze znacie mój charakter, nie pomyślicie chyba, że się zdradziłem choćby jedną pogroźką. Prędzej, później pomsta nadejść musiała – było to postanowienie, które zapadło ostatecznie. Sama jednak doskonałość powziętego pomysłu wykluczała wszelką myśl o narażeniu go na niebezpieczeństwo. Winie-
nem był nie tylko ukarać, lecz ukarać bezkarnie. Nie wytępi obelgi ta kara, która tępicieła dosięga. Nie wytępi i wówczas, gdy pomstujący zaniedba odsłonięcia swej osoby przed tym, kto go zelżył.

Niechże będzie wiadomo, że ani słowem, ani czynem nie przysporzyłem Fortunatowi najmniejszego powodu do powątpiewania o mojej życzliwości. I nadal, jak dawniej, uśmiechałem się doń – twarz w twarz – on zaś nie domyślał się, że uśmiech mój obecny jest jeno wynikiem zadumy o jego zniestwieniu.

Miał on jedną słabą stronę – ów Fortunato, który jednak pod każdym innym względem budził szacunek, a nawet postrach. Otaczał siebie sławą znawcy win.

Wśród Włochów rzadko który posiada rzetelny pęd do znawstwa. Ich entuzjazm jest najczęściej zapożyczony, przystosowany do czasu i do potrzeby; jest on – czynnością szarlatańską, gwoli łudzenia angielskich i austriackich milionerów.

W dziedzinie malarstwa i wycucia kamieni drogocennych był Fortunato, jak przystało jego współziomkom – szarlatanem, lecz w sprawie oceny starych win posiadał rzetelność. I ja pod tym względem nie odbiegałem odeń zasadniczo. Sam osobiście wielce bytem świadom rodzimych win włoskich i korzystałem z każdej sposobności, aby nabywać ich pod dostatkiem. Pewnego wieczoru, o zmierzchu, w najgorętszej chwili karnawałowych opętań, spotkałem mego druha. Powitał mnie z niezmierną serdecznością, gdyż podpiał sobie obficie. Był mój gagatek w przebra-
niu. Wdział na siebie szatę obcisłą, której jedna połowa różniła się od drugiej, a głowę nakrył stożkowatym kołpakiem z brzękadłami. Taką radością przejął mnie jego widok, że pomyślałem, iż nie zaniecham uściskać mu dłoni.

Rzekłem doń: – Bracie Fortunata, dobrze, że cię spotykam. Jakże wspaniale dziś wyglądasz! – Ale właśnie otrzymałem beczkę Amontillada, a w każdym razie – wina, którego mi pod tą nazwą dostarczono, i jestem pełen wątpliwości.

– Jak to? – zawołał – Amontillado? Beczkę? nie wierzę! I na domiar w środku karnawału!

– Jestem pełen wątpliwości – odrzekłem – a bytem tyle głupi, że opłaciłem całą wartość Amontillada bez porozumienia się z tobą. Nie mogłem cię znaleźć, a bałem się, że stracę tymczasem sposobność.

– Amontillado!

– Jestem pełen wątpliwości.

– Amontillado!

– I chcę je wyjaśnić.

– Amontillado!

– Ponieważ jesteś do kogoś zaproszony, więc poszukam Luchesięgo. Posiada on doskonały węch probierczy. Od niego się dowiem...

– Niezdolen jest Luchesi odróżnić Amontillada od Xeresu.

– A mimo to są głupcy, którzy twierdzą, że zmysłem smaku tobie dorównywa.

– A więc w drogę!

– Dokąd?

– Do twoich piwnic.

– Nie, mój drogi! Nie chcę nadużywać twej dobroci. Domyślam się, że masz jakieś zaproszenie. Luchesi...

– Nie jestem nigdzie zaproszony. Dalej więc!

– Nie, mój drogi! Nie idzie mi o zaproszenie, lecz o ziąb okrutny, którego, jak zauważyłem, doznajesz. Piwnice są wilgotne nie do zniesienia, są tam całe pokosty saletry.

– Drobnostka! Chodźmy! Chłód nic nie znaczy. Amontillado! Oszukano ciebie! A co się tyczy Luchesiego – ten nie potrafi odróżnić Xeresu od Amontillada.

To mówiąc, Fortunato chwycił mnie za rękę. Wdziałem maskę z czarnego jedwabiu i, starannie otulony płaszczem, nie przeciwiełem mu się, gdy włókł mnie do mego pałacu.

Służby w domu nie było. Zaprzepaściła się kędyś w celu uczczenia stosowną pohulanką czasu, który się nadarzał. Oznajmiłem służbie, że nie wrócę do domu przed ranem, i dałem rozkaz wyraźny, aby nikt się z domu nie wydał. Wiedziałem, iż ten rozkaz wystarczy, aby wszystka służba – do ostatniego człowieka natychmiast wyległa gromadnie z domu w chwili, gdy stopę na progu postawię.

Dobylem dwu pochodni z kandelabrow, jedną z nich wręczyłem Fortunatowi i skierowałem go uprzejmie poprzez szeregi komnat aż do przedsionka, który prowadził do podziemi.

Poprzedziłem go na długich a krętych schodach i, odwracając się ku niemu, doradzałem baczności usilnej. Dobrnęliśmy nareszcie do ostatnich stopni i stanęliśmy jednocześnie na wilgotnej glebie katakumb Montresorsów. Chwiejne były kroki mego druha, brzękadła na jego kołpaku grzechotały przy każdym stąpieniu.

– A baryła Amontillada? – zapytał.

– Dalej! – odrzekłem. – Przyjrzyj się jednak 4ym białym wzorzystościom, które skrzą się na murach podziemi.

Odwrócił się ku mnie i zajął mi w oczy dwiema szklistymi gałami, z których się sączyła wilgoć pijackich przełzawień.

– Saletra? – spytał po chwili.

– Odkąd to dostałeś tego kaszlu?

– Kche, kche! kche! – kche! kche! kche! – kche! kche! – kche! kche!

Biedaczysko przez kilka minut nie mógł się zdobyć na odpowiedź.

– To nic! – odrzekł nareszcie.

– Nuże! – zawołałem stanowczo. – Uchodźmy stąd precz! Zdrowie twoje jest cenne. Jesteś bogaty, Otoczony czcią, podziwem i miłością. Jesteś szczęśliwy jako ja – niegdyś byłem. Jesteś człowiekiem, którego brak – da się we znaki. Co innego – ja i moja osoba. Precz stąd, uchodźmy! Wpadniesz w chorobę. Mam zresztą Luchesiego...

– Dość! – zawołał – kaszel to – głupstwo! Nie pozbawi mnie życia! Nie zemrę od kataru.

– Bez wątpienia, bez wątpienia – odrzekłem – i właściwie anim chciał niepokoić cię po próżnicy – lecz winienes mieć się na baczności. Jeden łyk tej oto małmazji zapobiegnie przeziębieniu.

Ująłem właśnie jednej butli długiemu rzędowi poległych na ziemi współtowarzyszek i nadłamałem jej gardzieli. – Pij! – rzekłem, podając mu wino.

Podźwignął butlę do ust, zerkając na mnie półbrzeżem ślepią. Zwlekał przez chwilę, skłonił mi się przyjaźnie (brzękadła zadzwoniły) i rzekł:

– Piję za umarłych, którzy wokół nas zażywają spoczynku!

– A ja – za twoje długie życie!

Wziął mnie znowu pod rękę i szliśmy nadal.

– Te podziemia – zauważył – są nazbyt obszerne.
– Rodzina Montresorsów – odrzekłem – wielka była i liczna.
– Zapomniałem twego herbu.
– Olbrzymia stopa złota na lazurowym polu. Stopa miażdży pełzającą żmiję, której kły grążą się w pięcie.

– A godło?
– Nemome impune lacessit.
– Przepysznie! – zawołał.

Wino skrzyło się w jego ślepiach, a brzękadła podzwaniały. I moim myślom małmazja dostarczyła zagrzewku.

Poprzez wały zrzeszonych kości, przerywanych beczkami i butlami wina, dotarliśmy do ostatnich głębi katakumb.

Zatrzymałem się znowu i pozwoliłem sobie tym razem pochwycić Fortunata za ramię powyżej łokcia.

– Saletra! – rzekłem. – Uważ, jak to narasta! Na kształt mchu zwisa wzdłuż sklepień. Znajdujemy się pod łożyskiem rzeczonym. Skroplona wilgoć sączy się poprzez kościotrupy. Nuże, póki czas jeszcze – uchodźmy! Twój kaszel...

– To – głupstwo! – odrzekł w odpowiedzi. – Idźmy dalej! Lecz – przede wszystkim, – jeszcze jeden łyk małmazji.

Ukręciłem łąba butelczynie wina G r a v e i wyciągnąłem ją ku niemu. Opróżnił ją jednym tchem. Ślepie jego zapłonęły ogniem trawiącym. Zaczął chichotać i podrzucił butelkę w powietrze ruchem, którego znaczenia pochwycić nie mogłem. Przyglądałem mu się – zdziwiony. Powtórzył ów ruch – ruch pocieszny.

– Nie rozumiesz? – zapytał.
– Nie! – odrzekłem.
– Nie jesteś tedy bratem łoży?
– Co?
– Nie jesteś wolnomularzem.
– Jestem, jestem! – zawołałem. – Jestem, jestem!
– Ty? To niemożliwe! Ty – wolnomularzem?
– Tak, wolnomularzem – odpowiedziałem.
– Znak! – zawołał.

– Oto jest – odrzekłem, wyciągając kielnię z przegubów mego płaszcza.

– Żartujesz chyba! – zawołał, cofając się o kilka kroków. – Chodźmy jednak do Amontillada.

– Dobrze – rzekłem, ukrywając narzędzie pod płaszczem i podając mu znowu ramię. Wsparł się na nim ociężałe. Szliśmy dalej w pogoni za Amontilladem. Przesunęliśmy się pod szeregiem bardzo niskich sklepień. Zeszliśmy w dół. Uczyniliśmy kilka kroków i, schodząc w dół jeszcze, dotarliśmy do głębokiego grobowca, w którego zaduchu pochodnie nasze purpurowiały raczej, niżli płonęły. W samej głębi tego grobowca widniał inny, mniej obszerny. Mury jego przesłonięte były szczątkami ludzkimi, spiętrzonymi w podziemiach ponad nami, na kształt wielkich katakumb Paryża. Jeszcze trzy inne ściany owego wtórego grobowca w ten sam sposób były przystrojone. Od czwartej ściany kości były odrzucone i leżały bezładnie na ziemi, tworząc w jednym miejscu szaniec dość wysoki. W murze, obnażonym w ten sposób dzięki odsunięciu kości, postrześliśmy jeszcze jedną wnękę głębokości około stóp czterech, szerokości – trzech, zaś wysokości – sześciu lub siedmiu. Nie była – zda się, zbudowana dla jakiegoś wyłącznego celu, jeno po prostu stanowiła przerwę pomiędzy dwoma olbrzymimi słupami, dźwigającymi sklepienie katakumb, i wspierała się na jednym z tych szczelnie granitowych murów, które dopełniały całości.

Na próżno Fortunata, podnosząc wątłą pochodnię, silił się zgruntować głąb wnęki. Schorzały płomień nie pozwolił nam dojrzeć krańca.

– Naprzód – rzekłem – tam właśnie tkwi Amontillado! Co się zaś tyczy Luchesiego...

– To – nieuk! – przerwał mi mój przyjaciel, wyprzedzając mnie i idąc na przełaj, podczas gdy kroczyłem za nim w ślady. W okamgnieniu dotarł do końca wnęki i, stwierdziwszy, że ściana skalna wzbrania mu' dalszych kroków, znieruchomiał w osłupieniu. W chwilę potem – przykułem go do granitów. W ścianie tkwiły dwie kluby żelazne, jedna od drugiej mniej więcej na dwie stopy w linii poziomej odległa. Na jednej z nich wisiał łańcuch zwięzły, a na drugiej – kłódka. Okolenie łańcuchem kibici Fortunata i obezwładnienie jego osoby – było dziełem kilku sekund. Zbyt był zdziwiony, aby się przeciwzić. Wyjąłem klucz i wycofałem się z wnęki wstecz o kilka kroków.

– Przesuń dłonią po murze – rzekłem – nie możesz nie wyczuć saletry. W istocie – jest bardzo wilgotno. Pozwól mi raz jeszcze cię błagać, abys opuścił to miejsce. Nie? A więc stanowczo musisz cię porzucić. Lecz wprzód okażę ci wszelkie względy, na jakie mię stać.

– Amontillado! – zawołał mój druh, który dotąd jeszcze nie otrząsnął się ze zdziwienia.

– Masz słuszość – odrzekłem – Amontillado. Wymawiając właśnie te słowa, zakrzatnąłem się dokoła stosu kości, o którym już wspominałem. Odgarniając je na ubocze, odsłoniłem sporą ilość szczerku i zaprawy wapiennej. Z pomocą tych przedmiotów oraz mojej kielni począłem pilnie zamuroвывать wnijście do wnęki.

Zaledwom stanął u pierwszych podwalin mej pracy wolnomularskiej, postrzegłem, że wino znacznie wywietrzało z głowy Fortunata.

Pierwszą poznaką trafności mego postrzeżenia był okrzyk głuchy, jęk, który się z głębi wnęki wydobył. Pijany tak nie krzyczy!

Po czym nastąpiło długie, uporczywe milczenie. Utwierdziłem drugi pokład kamieni, potem – trzeci, potem – czwarty. Wówczas posłyszałem dźwięki opętańczych wstrząsów łańcuchem. Zgiełk trwał przez minut kilka i w ciągu tych minut dla tym łacniejszego upojenia – poniechałem pracy i przykucnąłem na kościach. Wreszcie, gdy łoskot ucichł, zabrałem się ponownie do kielni, bez przerwy dokonałem, piątego, szóstego i siódmego pokładu. Mur właśnie dosięgał niemal mej piersi. Uczyniłem jedną jeszcze przerwę i, wznosząc pochodnię ponad obmurowanie, rzuciłem kilka nadwątlonych promieni na żywą zawartość muru.

Szereg tęgich krzyków, krzyków przenikliwych, wybuchnął nagle z gardzieli uwięzionej postaci – i, że tak powiem, wstecz mię przemocą odrzucił. Wahaniem się przez chwilę – dreszcz mię przejął. Obnażyłem szpadę i jałem nią wnękę na wskroś pustoszyć... Chwila wszakże zastanowienia wystarczyła, abym się uspokoił.

Położyłem dłoń na litym murze podziemi i wróciła mi pewność całkowita. Zbliżyłem się do muru. Wynałazłem odpowiedź zwrotną na wycia mego ptaszka. Stowarzyszyłem się z nimi echem i wtórem – prześcignąłem je w rozmiarach i napięciach. Oto – na jaki wpadłem pomysł – i krzykacz – zamilkł.

Była północ – i trud mój dobiegał do końca. Dopełniłem ósmego, dziewiątego i dziesiątego pokładu. Wykończyłem część jedenastego i ostatniego. Pozostało roi – przystosowanie i zasklepienie jednego tylko kamienia. Podźwignąłem go z wysiłkiem – i umieściłem mniej więcej na stanowisku upatrzonym. Lecz w tej właśnie chwili z wnęki wybuchnął śmiech zdławiony, na którego dźwięk włosy dęba stały mi na głowie. W ślad za owym śmiechem zabrzmiał głos smutny, w którym zaledwo poznałem głos szlachetnego Fortunata. Głos brzmiał:

– Cha, cha, cha! – He, he! Doprawdy, wcale dobry figiel! Wyśmienita krotofila! Będziemyż się z niej śmieli do rozpuku – w pałacu – he, he! – z tego winka bożego – he, he, he!

– Z Amontillada! – rzekłem.

– He, he! – He, he! Tak, z Amontillada. Lecz – czyśmy się nie zapóźnili? A nuż wyczekują nas w pałacu signora Fortunata i inni?... Pójdźmy więc.

– A tak – rzekłem – pójdźmy więc.

– Na miłość Boga, Montresorsie!

– A tak – rzekłem – na miłość Boga! Lecz po tych słowach – żadnej odpowiedzi. Nadaremnie nastawiałem uszu, niecierpliwilem się, wołałem bardzo głośno:

– Fortunata! Żadnej odpowiedzi. Wołałem znowu:

– Fortunata!

Nic. Włożyłem pochodnię do pozostałego otworu i upuściłem ją wewnątrz. I ten sposób nie dał mi żadnej odpowiedzi, prócz chyba szczęku brzękadeł. Doznałem zawrotu głowy bez wątpienia z powodu panującej w katakumbach wilgoci.

Przyśpieszyłem pracę, by się już raz jej pozbyć. Zdobyłem się na wysiłek i przystosowałem kamień ostatni – powlokłem go wapnem. Nowo powstałemu murowi przywróciłem dawny szaniec kości. Od pół wieku żaden śmiertelnik nie zakłócił ich spokoju. In pace requiescat.

Czarny kot

Nie spodziewam się i nie wymagam wiary dla wielce dziwnej i wielce skądinąd poufnej opowieści którą chcę pismem utrwalić. Byłbym, doprawdy, szaleńcem, gdybym się tego spodziewał w chwili, gdy własne moje zmysły odmawiają mi swego świadectwa. Szaleńcem jednak nie jestem – i mam zupełną pewność, że nie majaczą. Przecież jutro – umieram, dziś tedy pragnąłbym ulżyć swej duszy spowiedzią.

Moim zamiarem bezpośrednim jest – jasne, treściwe i bezstronne podanie do wiadomości powszechnej szeregu nagich zdarzeń z zakresu życia domowego. Zdarzenia owe w swych skutkach – przeraziły mnie – wzięły na męki – zniściły. Mimo to nie będę próbował wyświecenia ich istoty. Dla mnie osobiście ukazały się od strony przerażenia – wiele osób ujrzy w nich mniej zgrozy, więcej baroku. Kiedyś, być może, znajdzie się umysł, który zmorem moją sprowadzi do poziomu zjawisk oklepanych – umysł pogodniejszy, logiczniejszy i o wiele mniej od mego płomienny, który w wypadkach ze zgrozą przeze mnie głoszonych wykryje jeno zwykłą następcość przyczyn i skutków, niezmiernie zgodnych z ładem codziennym.

Od dziecka zdradzałem miękkość i ludzkość uczuć. Tkliwość mego serca była tak znamienna, że dzięki niej stałem się kozłem ofiarnym mych kolegów. Szczególniej przepadałem za zwierzętami i za zgodą rodziców posiadałem wielce różnorodny zespół ulubieńców. Cały niemal czas spędzałem w ich towarzystwie i nigdy nie czułem się tak szczęśliwy, jak wówczas gdy je darzyłem pokarmem i pieszczotą.

Ta osobliwość mego przyrodzenia wzrastała wraz z wiekiem i gdym zmężniał, stąd głównie czerpałem moje uciechy. Tym, którzy darzą uczuciem wiernego i zmyślnego psa, nie mam potrzeby tłumaczenia istoty i stopnia zadowoleń płynących z owego źródła.

W bezinteresownej miłości zwierzęcia, w jego nie szczędzącym własnego życia poświęceniu tkwi coś, co bezpośrednio porusza serce ludzi, którzy częstokroć mieli sposobność stwierdzenia wątpliej przyjaźni i słomianej wierności człowieka w oryginale.

Ożeniłem się wcześniej i z radością wykryłem w żonie mej zgodność upodobań. Zauważywszy mój pociąg do tych domowych pieszczochów, nie przeoczyła nigdy sposobności dostarczenia mi okazów najbardziej uroczych. Mieliśmy – ptaki, rybę złotą, pięknego psa, króliki, małą małpkę i kota.

Ten ostatni był okazem zastanawiające krzepkim i wspaniałym, całkowicie czarnego futra i przedziwnej zmyślności. Mówiąc o jego inteligencji, żona moja, nie pozbawiona w głębi duszy zabobonów, częstokroć napomykała o rozpowszechnionym w starożytności wierzeniu, które we wszystkich czarnych kotach widziało przerzucone czarownice. Nie znaczy to wszakże, aby zawsze w takich razach zachowywała p o w a g ę – i jeśli czynię ową wzmiankę, czynię ją po prostu dlatego, że w tej właśnie chwili przyszła mi do głowy.

Pluton – tak się nazywał kot – był moim ulubieńcem, moim towarzyszem. Sam osobiście podawałem mu pokarm – włóczył się za mną wszędzie, gdziekolwiek poszedłem. Nie bez trudności wymogłem na nim posłuszeństwo zakazowi włóczenia się za mną po ulicach. Przyjaźń nasza trwała w tym stanie lat kilka, w których czasie całokształt mego charakteru i usposobienia pod wpływem Demona Niewstrzeźliwości – rumienię się na owo wyznanie – uległ zasadniczym zmianom na gorsze. Z dnia na dzień stawałem się coraz pochmurniejszy, coraz skorszy do gniewów, coraz obojętniejszy na uczucia innych ludzi. Pozwalałem sobie na używanie słów grubiań-

skich w stosunku do mojej żony. W końcu – gwałciłem nawet nietykalność jej osoby. Zmiana mego usposobienia, ma się rozumieć, dała się we znaki moim nieszczęsnym ulubieńcom. Nie tylko ich zaniedbywałem, lecz i dręczyłem. Wszakże – co do Plutona – miałem dla niego sporo jeszcze względów, które mi wzbraniały złego z nim obejścia, podczas gdy nie doznawałem żadnych skrupułów w dręczeniu królików, małpy, a nawet psa, jeśli przypadkowo lub przyjaźnie stawały mi na drodze. Atoli zło moje coraz bardziej zuchwalało się we mnie – któreż bowiem zło dorówna Alkoholowi! – i wreszcie sam Pluton, który obecnie starzał się i, co idzie za tym, nieco zeszkaraśniał – sam Pluton zaczął wyczuwać skutki znikczemnienia mego charakteru.

Pewnej nocy, gdy powróciłem do domu z jednej nałogowo przeze mnie odwiedzanej nory zamiejskiej, uroiłem sobie, iż kot unika mojej obecności. Schwyciłem go za kark – on zaś, spłoszony moją przemocą, z lekka poranił mi zębami rękę. Owładnęła mną nagle wściekłość demona. Straciłem przytomność. Zdawało się, iż duch mój przyrodzony zniemacka wymknął mi się z ciała i przepojona ginem, nadszatańska złość przenikła każde włókno mej istoty. Z kieszeni kamizelki wyszarpnąłem szczyryk i otworzyłem. Porwałem biedne zwierzę za gardło i śmiało wyważyłem mu z orbity jedno ślepie! Rumienię się, płonę od wstydu, drzę opisując to piekła godne okrucieństwo!

Gdy ze świtem rozum odzyskałem – gdy wytchnąłem czad mej hulaszczey nocy – doznałem z powodu popełnionej zbrodni uczucia, które było na wpół zgrozą, a na wpół wyrzutem sumienia, lecz było to co najwyżej – słabe i niewyraźne uczucie i duch mój nie ukorzył się przed owym ciosem. Oddałem się ponownie swym chuciom i wkrótce zatopiłem w winie wspomnienie mego czynu.

Tymczasem kot powoli wracał do zdrowia. Orbita pozbawiona ślepie miała wprawdzie pozór straszliwy, lecz kot zdawał się już nie cierpieć. Swoim zwyczajem chodził tam i z powrotem po pokoju, wszakże, jak winienem był tego oczekiwać, za moim zbliżeniem się uchodził z najwyższą trwogą. Dość mi jeszcze pozostało z mych dawnych uczuć, aby początkowo doznać goryczy na widok tak jawnej odrazy ze strony stworzenia, które mię niegdyś tak miłowało. Owo jednak uczucie ustąpiło wkrótce gniewowi. I wówczas, jakby dla ostatecznego i nieodwołalnego pchnięcia mię do upadku, zjawił się duch Przekory. Filozofia nie zdaje sobie żadnej z tego ducha sprawy. A jednak wierzę w to święcie, jak w istnienie własnej duszy, że przekora jest jednym z pierwotnych popędów ludzkiego serca – jedną z niepodzielnych, pierwiastkowych władz lub uczuć, które nadają kierunek charakterowi danego człowieka.

Któż, popełniając czyn niedorzeczny lub nikczemny, nie dziwił się po stokroć tej prostej oczywistości, iż wiedział, że winien go był nie popełniać? Czyż pomimo doskonałości naszego rozsądku nie mamy nieustannych zakusów do naruszania tego, co jest Prawem, dla tej po prostu przyczyny, iż wiemy właśnie, że jest to – Prawo? Powtarzam – ów duch przekory przyczynił się do ostatecznego mego upadku.

Ten to żarliwy, niezgłębiony popęd duszy ku dręczeniu siebie samej – ku gwałceniu własnej natury, ku złoczyńieniu dla samej miłości złego – skłonił mię do snucia w dalszym ciągu i ostatecznie do całkowitego wypełnienia męczarni, którą zgotowałem dla bezbronnego zwierzęcia.

Pewnego poranku – z zimną krwią – zadzierzgałem wokół szyi kota pętlicę i powiesiłem go na gałęzi drzewa. Powiesiłem ze łzami w oczach – z najsroźszymi wyrzutami sumienia. Powiesiłem, ponieważ wiedziałem, że mnie kochał i ponieważ czułem, że nie dał mi żadnego do gniewu powodu. Powiesiłem, ponieważ wiedziałem, że, czyniąc tak, popełniam grzech – grzech śmiertelny, który hańbi nieśmiertelną duszę moją aż do stopnia wyświecenia jej – jeśli to jest możliwe – poza obręby nieskończonego miłosierdzia Wszechmiłosiernego i Wszechstrasznego Boga. W nocy, która nastąpiła po dokonaniu owego okrutnego czynu, zbudził mię ze snu okrzyk: Pożar! Kotary mego łóżka były w ogniu. Dom cały płonął. Kosztem niemałych wysiłków uszliśmy płomieniom – moja żona – służący i ja. Ruina była doszczętna. Pożar pochłonił wszystką moją fortunę i odtąd oddałem się rozpacz.

Nie pragnę nawiązać łańcucha przyczyn i skutków pomiędzy mym okrucieństwem a klęską – jestem wyższy ponad tego rodzaju słabostki.

Lecz zdaję sobie sprawę z łańcucha zdarzeń i nie chcę przeoczyć ani jednego ogniwa. Odwiedziłem zgłiszcza w dniu, który nastąpił po pożarze. Mury z wyjątkiem jednego runęły, zaś ów jedyny wyjątek był właśnie przepierzeniem wewnętrznym, niezbyt grubym, położonym mniej więcej w miejscu, na którym wspierało się wezgiłowie mego łóżka. Większość muru w tym miejscu oparła się działaniu ognia – wypadek, który przypisywałem świeżo wykonanej jego odnowie. Wokół tego muru zgromadził się tłum gęsty, a ci i owi szczegółowo i z ożywieniem zdawali się badać upatrzony jego zakątek.

Wyrazy: Dziwne! Szczególne! – i tym podobne okrzyki wzmogły moją ciekawość. Zbliżyłem się i ujrzałem, niby płaskorzeźbę uwypukloną na białej powierzchni, postać gigantycznego kota.

Kształt jego był odtworzony z czarodziejską zaiste ścisłością. Na szyi zwierzęcia zwisał – powróż.

W pierwszej chwili, gdy zjaw ów oglądał – mogłem to bowiem tylko za zjaw uważać – zdumienie moje i przestrach nie miały granic. Lecz rozum przyszedł mi wreszcie z pomocą. Kot – pamiętałem to dobrze – został powieszony w przyległym budynkowi ogrodzie. Na okrzyk trwogi tłum niezwłocznie wtargnął do ogrodu i zapewne znalazł się ktoś, co kota od drzewa odczepił i przez otwarte okno wrzucił do mego pokoju. Uczyniono to niewątpliwie w celu zbudzenia mnie ze snu. Brzemie innych murów zasklepiło ofiarę mego okrucieństwa w miążdze świeżych pokładów gipsu. Wapno tego muru, przesycone płomieniem padliny, utworzyło podobiznę taką, jaką właśnie oglądałem.

W ten sposób – wobec dziwnego a opisanego powyżej trafu – jeśli nie ukoilem całkowicie sumienia, zaspokoilem zdawkowo mój rozum, mimo to wszakże traf ów głęboką bruzdą wyrył się w mej wyobraźni. Przez kilka miesięcy nie mogłem się pozbyć zmory kociej, i w tym okresie czasu ponownie zakradło się do mej duszy półuczucie, które miało pozory, lecz nie było wyrzutem sumienia. Posunąłem się aż do oplakiwania straty zwierzęcia i do poszukiwania wszędy – w najnikczemniejszych zakamarkach, które obecnie odwiedzam nałogowo, innego ulubieńca tegoż gatunku i pozorów mniej więcej podobnych, aby mieć zastępcę.

Pewnej nocy, gdy na wpół obłądnie siedziałem w jednej bardziej niż zatraconej norze, uwagę moją przykuł nagle przedmiot czarny, tkwiący na wierzchu jednej z olbrzymich beczek ginu czy też rumu, które stanowiły główną ozdobę sali. Od kilku minut przyglądałem się uporczywie górnemu dnu tej beczki, a obecnie zdziwiła mię przede wszystkim ta okoliczność, że dotąd nie spostrzegłem tkwiącego na nim przedmiotu. Zbliżyłem się i zmacałem go dłonią. Był to kot czarny, bardzo duży kot – pojemności co najmniej Plutona, podobny doń bezwzględnie, z wyjątkiem jednej różnicy. Pluton na całym ciele nie miał ani jednego białego włosa; ten zaś był posiadaczem szerokiej i białej, aczkolwiek nieokreślonego kształtu pręgi, która przesłaniała cały niemal zakres piersi.

Zaledwo go dotknąłem – powstał nagle, zamruczał głośno, otarł się o moją dłoń i zdawał się wyrażać swój zachwyt z powodu okazanych mu przeze mnie względów. Był to właśnie ów wierny okaz, którego poszukiwałem. Natychmiast zaofiarowałem się właścicielowi z kupnem tego kota, lecz ten nie uznał w nim swojej własności, nie znał go – nigdy go dotąd nie widział. W dalszym ciągu darzyłem go pieczyotami i gdy zamierzałem wrócić do domu, zwierzę wykazało chęć towarzyszenia mej osobie. Pozwoliłem mu iść za sobą i, schylając się od czasu do czasu, głaskałem je mimochodem. Wszedłszy do domu, zachował się jak na swych własnych śmieciach i natychmiast zapłonął wielką przyjaźnią dla mej małżonki.

Co do mnie – poczułem wkrótce rodzącą się w mej duszy odrazę do niego. Był to skutek wprost przeciwny spodziewanemu przeze mnie. Nie wiem jak i dlaczego się to stało, lecz jego widoczna dla mnie czułość napawała mię niemal wstrętem i nużyła. Z wolna i stopniowo uczucia wstrętu i nudy wezbrały aż po gorzki kres nienawiści. Unikałem zwierzęcia. Niejasne poczucie wstydu i wspomnienie pierwszego czynu okrucieństwa wzbraniały mi dręczenia tego zwierzęcia.

Przez kilka tygodni powściągałem się od bicia kota lub od popędliwych względem niego postępów, atoli stopniowo – nieznacznie – zacząłem nań pogiądać z niewysłowionym przestachem i milcząc uchodzić przed jego nienawistną obecnością jak przed podmuchem dżumy. Do mej nienawiści dla zwierzęcia przyczyniło się niewątpliwie odkrycie, którego dokonałem rankiem, nazajutrz po sprowadzeniu go do domu, a mianowicie – tak samo, jak Plutonowi, brakowało mu jednego ślepia. Z tego wszakże powodu zwierzę nabrało jeno tym większej wartości w oczach mojej żony, która, jak już wspominałem, w wysokim stopniu posiadała tkliwość serca, stanowiącą niegdyś moją cechą charakterystyczną oraz częstokroć źródło najprostszyc i najczystszych radości.

Wszakże przywiązanie do mnie kota wzrastało na przekór mej do niego odrazy. Chodził krok w krok za mną z uporem, który trudno by było przekazać zrozumieniu czytelnika.

Ilekoć siadłem, związał się w kłębek pod moim krzesłem lub wskakiwał mi na kolana, obdarzając mię straszliwymi pieszczotami. Jeśli powstawałem z siedzenia, wściubiał mi się między nogi i przyprawiał mię niemal o upadek lub, zanurzając w mym ubraniu długie i ostre pazury, wpelzał mi tym sposobem aż na piersi. W takich chwilach, pomimo żądzy zabicia go na miejscu, hamowałem się po części na skutek wspomnienia mojej pierwszej zbrodni, lecz głównie – muszę to wyznać co prędzej – z powodu rzetelnego przed zwierzęciem strachu.

Strach ów nie był właściwie obawą bólu fizycznego, a jednak znalazłbym wielkie przeszkody do określenia go w sposób inny. Ze wstydem niemal wyznaję – tak, nawet w tej celi zbrodniarza wyznaję niemal ze wstydem, że strach i przerażenie, którymi napełniało mnie zwierzę, wzrosły dzięki jednej z najwierutniejszych mrzonek, na jakie tylko zdobyć się można. Żona moja nieraz zwracała mi uwagę na zarys białej pręgi, o której mówiłem, a która stanowiła jedyną widomą różnicę pomiędzy tym dziwnym a owym zamordowanym przeze mnie okazem. Czytelnik bez wątpienia przypomina sobie, iż owa oznaka, mimo sporych rozmiarów, miała pierwotnie kształt nieokreślony, lecz z wolna – w miarę stopniowań – niepochwytnych stopniowań, w których mój rozum przez czas długi chciał się koniecznie dopatrzeć urojeń – nabrała wreszcie nieodpartej jasności zarysów. Stała się teraz odwzorem przedmiotu, którego nie mogę bez zgrozy nazwać po imieniu, a tu właśnie i tu przede wszystkim tało się to, co mnie zmuszało do powzięcia strachu i wstrętu względem potwora i co skusiłoby mnie do pozbycia się go na zawsze, gdybym miał śmiałość po temu. Obecnie – powtarzam – była to podobizna ohydneho, zwłowieszczego narzędzia – podobizna szubienicy. O, grobowe i straszliwe narzędzie! Narzędzie zgrozy i zbrodni – agonii i śmierci!

Byłem oto zaiste nieszczęśliwy ponad miarę nieszczęścia dostępnego Człowiekowi. Bydlę przyziemne, którego brata znicestwiłem wzgardliwie – bydlę przyziemne zgotowało dla mnie – dla mnie, istoty, stworzonej na wzór i podobieństwo Boga Najwyższego, klęskę tak wielką i tak ponad siły! Niestety, ni dniem, ni nocą nie zaznałem odtąd słodczy spoczynku! Dniem zwierzę nie opuszczało mię ani na mgnienie, a nocą – co chwila – po to się jeno budziłem z niewypowiedziane trwożnych snów, aby wyczuwać na twarzy ciepły oddech owej n a m a c a l n o ś c i i jej wiekuiście utrwalane na mym sercu niepomierne brzemię – wcielenie Zmory, z której nie mogłem się otrząsnąć!

Pod uciskiem takich męczarni żdźbło pozostałych we mnie dobrych uczuć – szczęło. Złe tylko myśli poufaliły się z mym duchem – najmroczniejsze i na j– nikczemniejsze ze wszystkich myśli. Właściwa memu usposobieniu posepność urosła aż do rozmiarów nienawiści dla wszelkiej rzeczy i wszelkiej istoty ludzkiej. Tymczasem żona moja, która się nigdy nie skarżyła, stała się – niestety – moim codziennym kozłem ofiarnym, najcierpliwszym łupem nagłych, częstych i nieposkromionych wybuchów wściekłości, której się odtąd oddawałem na ośle. Pewnego dnia – gwoli jakiejś domowej potrzeby – towarzyszyła mi w zejściu do piwnic starego domostwa, gdzie zamieszkałiśmy pod musem nędzy. Kot szedł za mną po stromych stopniach schodów i, na wstępie, omal nie wywróciwszy mnie na głowę – rozjątrzył mój gniew aż do obłędu. Uniósłszy topora i zapomniawszy w mej wściekłości dziecinnego strachu, który dotąd dłoń moją hamował, wymie-

rzyłem w zwierzę cios, który byłby śmiertelny, gdyby padł jakom chciał. Wszakże cios ów powściągnęła dłoń mej żony. To pośrednictwo podjudziło mię aż do szatańskich rozścierwień. Wyszarpnąłem dłoń z jej uścisku i zanurzyłem topór w jej czaszce. Padła trupem na miejscu, nie wydawszy jęku.

Spełniwszy tę zbrodnię straszliwą, natychmiast i z wielką przytomnością umysłu zakrzętałem się dokoła ukrycia zwłok. Zmiarkowałem, że ani w dzień, ani w nocy nie zdołam wynieść ich z domu, nie narażając się na niebezpieczeństwo zwrócenia bacności sąsiadów. Kilka pomysłów przemknęło mi przez głowę. Była chwila, że zamierzyłem pokrajać ciało na drobne kawałki i zniszczyć je ogniem. Potem postanowiłem wyłobić jamę w gruncie piwnicznym. Potem chciałem wrzucić ciało do studni podwórzowej – potem zapakować je do skrzyni, niby towar na sprzedaż, z przestrzeżeniem wszelkich stosownych pozorów i polecić posłańcowi, aby je wyniósł gdzieś – na miasto. Ostatecznie zatrzymałem się na pomysle, który, moim zdaniem, był najlepszy ze wszystkich. Zdecydowałem się zamurować je w piwnicy na wzór mnichów średniowiecznych, którzy podobno zamuroвывali swe ofiary.

Piwnica bardzo odpowiadała wykonaniu podobnego zamiaru. Mury były zbudowane niedbale i świeżo powleczone grubym pokostem tynku, któremu wilgoć atmosfery nie dała stwardnieć. Ponadto – w jednym z murów tkwił występ, utworzony ślepym kominkiem czy też rodzajem jaskini, pokostowanej i murowanej tak samo, jak reszta piwnicy. Nie wątpiłem, iż uda mi się z łatwością wyważyć w tym miejscu cegły, wtłoczyć tam ciało i zamurować wszystko w taki sposób, ażeby niczyje oko nie zdołało wykryć nic podejrzanego.

I nie pomyliłem się w mych rachubach. Z pomocą obcęgow, bez żadnego trudu, wyszarpnąłem cegły i, starannie przystosowawszy zwłoki do wewnętrznego muru, utrzymałem je w tym położeniu aż do chwili, gdy całemu obmurowaniu przywróciłem pozór pierwotny. Zaopatrzywszy się ze wszelkimi możliwymi środkami ostrożności w zaprawę wapienną, piasek i szczerk, urobiłem tynk, którego nie można było odróżnić od dawnego, i bardzo pilnie powlokłem nim nowo powstały mur. Dokonawszy pracy, zauważyłem z zadowoleniem, iż wszystko udało się jak najlepiej. Mur nie zdradzał najmniejszych śladów uszkodzenia. Z największą starannością usunąłem wszelki gruz, odarłem – że tak powiem – ziemię ze skóry. Z tryumfem rozglądałem się na okół i mówiłem sam do siebie: „Tu przynajmniej trud mój nie pójdzie na marne!”

Pierwszym moim odruchem było – wypatrzenie zwierzęcia – przyczyny tak wielkich nieszczęść, gdyż w końcu postanowiłem nieodwołalnie pokarać je śmiercią. Gdybym je w tej chwili przyłapał, los jego byłby rozstrzygnięty. Lecz zmyślne zwierzę zlekło się snadź wybuchów mego przed chwilą gniewu i postarało się o to, aby nie napatoczyć mi się na oczy w obecnym stanie mego usposobienia. Ani opisowi, ani wyobrażeniu nie podda się głębokie i błogie uczucie ulgi, którą nieobecność nienawistnego zwierzaka wytworzyła w moim sercu. Nie zjawił się przez noc cała, a przeto – od czasu sprowadzenia go do domu – była to pierwsza dobra noc, gdy zasnąłem krzepkim i spokojnym snem. Tak, wyspałem się współ z ciężką zmorą zbrodni w duszy!

Przeминаł drugi i trzeci dzień, a kot mój nie powracał. Raz jeszcze westchnąłem jak wyzwolencie. Potwór, gnany przestrachem, opuścił te miejsca raz na zawsze! Nigdy go już nie zobaczę!

Wesele moje nie miało granic! Zbrodnictwo potajemnego czynu niepokoiła mię aż nazbyt niewiele. Dokonano dokładnie jakiegoś tam badania, lecz zaspokojono się byle czym. Zarządzono nawet śledztwo, które – ma się rozumieć – nic wykryć nie mogło. Uważałem moją przyszłą szczęśliwość za pewnik. Na czwarty dzień po zabójstwie gromada agentów policyjnych nadspodziewanie wkroczyła do domu i ponownie dokonała dokładnego przeglądu miejsca zbrodni. Ufny wszakże w niedostępność skrytki, nie doznałem żadnego niepokoju. Urzędnicy zniewolili mnie do towarzyszenia im w ich poszukiwaniach. Nie pominęli badaniem ani jednego zakrętu, ani jednego kąta. Wreszcie po raz trzeci czy czwarty zeszli do piwnicy. Żaden muskuł nie drgnął mi w twarzy. Serce moje uderzało spokojnie jak serce nowo narodzonego. Szerokim krokiem zmierzylem piwnicę od końca do końca, skrzyżowałem dłonie na piersi i z ochotą przechadzałem się tu i tam. Policja była najzupełniej zadowolona i sposobila się do wyjścia. Radość mego serca była

zbyt wielka, abym podołał jej stłumieniu. Pałałem żądzą uronienia choćby jednego słówka, jednego tylko słówka, aby w ten sposób zatryumfować i podwoić ich przekonanie o mojej niewinności.

– Panowie – rzekłem wreszcie, gdy społem wchodzili na schody – jestem oczarowany tym, że uciszyłem wasze podejrzenia. Życzę wam wszystkim pomyślnego zdrowia i nieco większych zasobów ugrzecznienia. Mimochodem, panowie, dorzucę, iż oto – oto przed wami dom krzepko zbudowany (pod wpływem rozjuszonej żądy wygłoszenia czegokolwiek z miną zuchwałą zaledwo wiedziałem, co mówię). – Mogę twierdzić, iż jest to dom przedziwnie krzepko zbudowany. Te mury – czy odchodzicie, panowie? – te mury są szczelnie spojone!

I tu przez rozszalałą do obłędu przekorność – uderzyłem z mocą laską, którą miałem w ręku, akurat po tej części muru, kędy tkwił trup wybranki mego serca.

O! niechże przynajmniej Bóg ma mię w swej opiece i niech mię broni przed pazurami Arcydemonia! Zaledwo echo mych uderzeń rozległo się w ciszy, a jakiś głos odpowiedział mi z wnętrza grobu – początkowo była to skarga stłumiona i przerywana jak szloch dziecięcy, który wkrótce potem wezbrał w krzyk przeciągły, donośny i nieprzerwalny, zgoła przeciwny wszelkiemu przyrodzeniu i nieludzki, w wycie i skomlenie, na wpół pełne zgrozy, a na wpół tryumfu, jafcie może się wyłonić jeno z czeluści Piekieł – potworne pianie, wydzierające się jednocześnie z krtań męczonych skazańców i z gardzieli demonów zdjętych weselem potępienia!

Byłaby szaleństwem próba wysłowienia tego, co się działo we mnie. Uczulem, że tracę zmysły i chwiejnym krokiem doznałem do przeciwległego muru.

Przez mgnienie urzędnicy, stojąc na schodach, trwali nieruchomi, drętwi od przerażenia. W chwilę potem tuzin rąk mocnych wściekłym rzutem dopadł do muru. Mur runął jako jeden strzęp. Ciało, już sporo napoczęte rozkładem i poplamione skrzeplą krwią, stało sztywnie przed oczyma widzów. Na jego głowie z krwawą, na oścież rozwartą paszczą i z jedynym skrzącym się ślepiem – gnieździło się wstrętne zwierzę, którego podstęp zniewolił mnie do zbrodni, a którego głos zdradziecki wydał mię w ręce kata. Zamurowałem potwora w mogilnej wnęce!

Przedwczesny pogrzeb

Istnieją pewne tematy przejmujące do głębi, wszelako nazbyt okropne, iżby mogły stać się przedmiotem rzetelnej literatury powieściowej. Rzetelni pisarze muszą ich unikać, jeśli nie chcą wywoływać zgorszenia lub niesmaku. Godzi się je podejmować tylko w takich razach, gdy uświęca je i usprawiedliwia surowe dostojeństwo prawdy. Drżymy, na przykład, wstrząsani przenikliwym dreszczem „zachwycającej męki”, gdy czytamy o przejściu przez Berezynę, o trzęsieniu ziemi w Lizbonie, o dżumie w Londynie, o nocy św. Bartłomieja albo o uduszeniu stu dwudziestu trzech więźniów w Czarnej Jaskini w Kalkucie. Wszelako w tych opowieściach wstrząsają nami zdarzenia, rzeczywistość, historia. Gdyby były zmyślane, przejmowałyby nas tylko odrazą.

Przytoczyłem kilka najznamienitszych i najszczytniejszych klęsk, jakich zaznała pamięć ludzka; rozplamieniają one wyobraźnię zarówno rozmiarami, jak i swoim charakterem. Nie uważam za potrzebne zaznaczać, że z długiego i złowrogiego korowodu nieszczęść ludzkich mógłbym wybrać wiele przykładów poszczególnych, nierównie więcej obarczonych istotną męką niż wszystkie te ogromy niedoli zbiorowej. Nędza istotna, rozpacz ostateczna – bywają, zaiste, udziałem jednostki, nie zbiorowości. Dziękujemy miłosierdziu boskiemu, iż upiornych męk konania doznaje jednostka ludzka, a nie ludzka gromada!

Być pogrzebanym za życia jest niewątpliwie najostateczniejszą okropnością, jaka może przydarzyć się człowiekowi śmiertelnemu. Że zdarzała się często, bardzo często – temu zapewne nie zaprzeczą ludzie myślący. Rubieże, które dzielą życie od śmierci, są co najmniej mroczne i nieokreślone. Któż może powiedzieć, gdzie pierwsze się kończy, a drugie zaczyna? Wiemy, iż istnieją choroby, w których przejawia się zupełny zastój wszystkich widomych czynności życiowych, wszelako jest on tylko tym, co zwykliśmy nazywać zahamowaniem. Są to tylko chwilowe przerwy w niedocieczonym mechanizmie. Po pewnym czasie jakiś nieuchwytny, tajemniczy czynnik znów wprawia w ruch magiczne sprężyny i zakłete koła. Srebrny wątek nie rozsnął się na wieki i nie roztrzaskała się bezpowrotnie złota czara. Lecz co podówczas działo się z duszą?

Pomijając atoli nieunikniony wniosek a priori, że podobne przyczyny muszą wywoływać podobne skutki – że znane powszechnie przykłady takiego zahamowania czynności życiowych muszą powodować od czasu do czasu przedwczesne pogrzeby – pomijając, powtarzam, te teoretyczne wnioski, posiadamy bezpośrednie świadectwa lekarzy oraz innych osób, które stwierdzają, że takie pogrzeby zdarzały się nader często. Mógłbym przytoczyć niezwłocznie, jeżeli zachodziłaby potrzeba, setki wypadków niezawodnie autentycznych. Jeden, nadzwyczaj osobliwy, którego szczegóły nie zatarły się zapewne jeszcze w pamięci mych czytelników, zdarzył się nie tak dawno temu w sąsiednim mieście Baltimore i stał się przyczyną silnego, przykrego i powszechnego wzburzenia. Małżonka jednego z najszanowniejszych obywateli – znakomitego prawnika i członka Kongresu – uległa jakiejś nagłej i niepojętej chorobie, wobec której okazała się najzupełniej bezsilna wszelka umiejętność lekarska. Po wielu cierpieniach umarła lub przynajmniej wydawało się, że umarła. Nikt nie podejrzewał i nie miał powodu do podejrzeń, że zgon jej istotnie nie nastąpił. Okazywała wszystkie zwykłe oznaki śmierci. Rysy zaostrzyły się i twarz zapadła. Usta powlokły się bladeścią marmuru. Oczy zgasły. Chłód ogarnął członki. Tętno ustało. Zwłoki spoczywały przez trzy dni nie pogrzebione i przybrały stęślałość kamienia. Przyśpieszono obchód żałobny, gdyż szybko dokonywało się to, co wydawało się rozkładem.

Złożono tę panią w grobowcu rodzinnym, do którego nie zajrzano następnie przez trzy lata. Otwarto go dopiero wówczas, gdy było trzeba wstawić sarkofag; lecz jakież straszliwy wstrząs przeniknął małżonka, który sam otworzył drzwi! Kiedy podwoje rozwarły się na zewnątrz, jakiś obleczony w biel przedmiot obsunął mu się w ramiona. Był to kościotrup jego żony w nie zbudowanym jeszcze całunie.

Staranne badania wykazały, iż powróciła do życia w jakieś dwa dni po złożeniu do grobu; skutkiem jej szamotań trumna spadła ze skraj podwyższenia na posadzkę i rozbiła się, umożliwiając jej wyzwolenie. Lampa, którą przypadkiem pozostawiono w grobowcu napełnioną olejem, była pusta; co prawda, płyn mógł wyparować. Na najwyższym stopniu schodów, prowadzących do żałobnego przybytku, znaleziono duży odłamek trumny, którym zapewne kołatała w żelazne drzwi, by zwrócić na siebie uwagę. Prawdopodobnie postradała przy tym przytomność lub może nawet wyzionęła ducha z samego tylko lęku. Kiedy padała, całun jej zaplątał się w żelazną kratę, której nierówności wystawały do wewnątrz. Pozostała tak, wyprostowana, i tak uległa rozkładowi.

W roku 1810 pogrzebano we Francji osobę żyjącą wśród okoliczności, które dowodzą, iż rzeczywistość bywa dziwniejsza od zmyślenia. Bohaterką tego zdarzenia była Mademoiselle Victoire Lafourcade, młoda dziewczyna ze znakomitej rodziny, bogata i bardzo piękna. Do licznych Jej wielbicieli należał także Julien Bossuet, ubogi litterateur czy dziennikarz paryski. Zdolnościami swymi i pogodą swej natury zwrócił na siebie uwagę panny, która, jak się zdaje, szczerze go pokochała; wszelako za podszeptem dumy rodowej wyrzekła go się w końcu i poślubiła niejakiego Monsieur Renelle'a, bankiera i dość cenionego dyplomata. Ożeniwszy się, jął ją zaniedbywać, a nawet prawdopodobnie źle z nią się obchodzić. Po kilkoletnim nieszczęśliwym pożyciu umarła – lub przynajmniej stan jej był tak podobny do śmierci, iż złudził całe jej otoczenie. Pochowano ją, atoli nie w sklepionym grobowcu, lecz w zwykłej mogile, na cmentarzu jej wsi rodzinnej. Zrozpaczony i z duszą rozgorzałą wspomnieniami głębokiego uczucia kochanek wyjeżdża ze stolicy w dalekie strony, gdzie leży owa wioska, zamierzając odgrzebać jej zwłoki i wejść w posiadanie szczodrych jej warkoczy. Odnajduje grób. O północy odkopuje trumnę, otwiera ją i ma przystąpić do ucięcia włosów, gdy otwierają się ukochane oczy. Kobietę tę pochowano żywcem. Wszelako życie nie wygasło w niej zupełnie; z letargu, który wydawał się śmiercią obudziły ją pieszczoty kochanka. Wprost nieprzytomny zaniósł ją do swego mieszkania we wsi. Dzięki swej niemałej wiedzy lekarskiej umiejętnie zastosował lekarstwa pokrzepiające. Ostatecznie powróciła do życia. Poznała swego zbawcę. Pozostała z nim i z wolna, stopniowo odzyskała w zupełności zdrowie. Jej kobiece serce nie było z diamentu i rozrzewniła się tym dowodem miłości. Oddała je Bossuetowi. Nie powróciła już do męża, lecz zataiwszy swe zmartwychwstanie wyjechała z kochankiem do Ameryki. W dwadzieścia lat później powrócili oboje do Francji w przeświadczeniu, że czas zmienił zupełnie wygląd owej pani i że znajomi nie będą mogli jej poznać. Wszelako się pomylili, gdyż przy pierwszym spotkaniu Monsieur Renelle poznał swoją żonę i upomniał się o nią. Oparła się jego żądaniom, a sąd przyznał jej słuszność orzekłszy, iż wyjątkowe okoliczności oraz długi przeciąg czasu unieważniły nie tylko ze względów godziwości, lecz także w znaczeniu prawnym wszelkie zobowiązania małżeńskie.

„Czasopismo Chirurgiczne” lipskie – które posiada takie zasługi i znaczenie, iż należałoby je przetłumaczyć i wydać – opowiada w swym ostatnim numerze o godnym ubolewania wypadku tego samego rodzaju.

Pewien oficer artylerii, człowiek olbrzymiego wzrostu i żelaznego zdrowia, spadł z narowistego konia i doznał tak ciężkich uszkodzeń głowy, iż wystąpiły u niego od razu oznaki obłądu. Czaszka była lekko nadwerężona, wszelako nie zachodziła obawa niezwłocznego niebezpieczeństwa. Dokonano trepanacji, która się powiodła. Puszczono mu krew i zastosowano inne środki kojące. Mimo to pograżał się coraz bardziej w beznadziejnym stanie odrętwienia i w końcu zdało się, że umarł.

Panowały gorąca, pochowano go przeto z niewłaściwym pośpiechem na jednym z cmentarzy publicznych. Pogrzeb odbył się w czwartek. W niedzielę cmentarz zapełnił się, jak zwykle, ciżbą ludzką. Około południa wywołał ogromne zamieszanie jakiś chłop, który jął opowiadać, iż siedząc na grobie owego oficera uczuł wyraźnie, że ziemia pod nim się porusza, jak gdyby ktoś tam się szamotoł. Zrazu na słowa te niewielką zwracano uwagę. Wszelako widoczne przerażenie i zawzięty upór, z jakim podtrzymywał prawdziwość swego opowiadania, wywarły w końcu wrażenie na tłumie. Przyniesiono pośpiesznie łopaty i w kilka minut rozkopano haniebnie płytki grób, z którego ukazała się głowa nieboszczyka. Miał wygląd nieżywego, jednakże niemal prosto siedział w trumnie, której wieko, szamocząc się wściekle, zdołał częściowo podnieść w górę.

Odstawiono go natychmiast do najbliższego szpitala, gdzie okazało się, iż żyje jeszcze, aczkolwiek bliski uduszenia. Po kilku godzinach odzyskał przytomność, jął poznawać znajomych i urywanymi zdaniem opowiadać o swej mecie w grobie.

Z opowiadania jego wynikało, iż był przytomny przez jakąś godzinę, kiedy go grzebano, i dopiero później postradał świadomość istnienia. Grób wypełniono niedbale luźną i mocno rozpulchnioną ziemią, skutkiem czego dopływało nieco powietrza. Słyszał stapanie ciżby nad sobą i robił wysiłki, by go wzajem usłyszano. Zgiełk tłumu – jak mówił – obudził go z głębokiego uśpienia; obudziwszy się, zdał jasno sobie sprawę ze straszliwej grozy swego położenia.

Chory ten miał się dobrze i był – jak się zdaje – bliski zupełnego wyzdrowienia, lecz padł ofiarą niedorzecznych eksperymentów lekarskich. Zastosowano baterię galwaniczną i wyzionął nagle ducha w przystępie ekstazy w ten sposób wywołanej.

Bateria galwaniczna wiąże się ze wspomnieniem powszechnie znanego i nadzwyczaj dziwnego wypadku; mianowicie przy jej pomocy przywołano do życia pewnego młodego adwokata londyńskiego, który przez dwa dni przebywał w grobie. Wypadek ten zdarzył się w 1831 r., wieść o nim wywołała wszędzie głębokie wrażenie.

Chory, Mr Edward Stapleton, zmarł rzekomo na gorączkę tyfoidalną, połączoną z jakimiś niezwykłymi objawami, które wielce zaciekały czuwających nad nim lekarzy. Po jego pozornym zgonie domagano się od rodziny, by zezwoliła na sekcję zwłok, ale pozwolenia nie otrzymano. Jak często się zdarza w podobnych wypadkach, lekarze postanowili odkopać zwłoki i dokonać sekcji po kryjomu. Wszelkie przygotowania poczyniono z łatwością przy pomocy nader licznych w Londynie złodziei, którzy kradną trupy. Trzeciej nocy po obchodzie żałobnym wydobyto domniemane zwłoki z dołu, głębokiego na osiem stóp, i złożono je w sali operacyjnej pewnej lecznicy prywatnej.

Dość duże cięcie, wykonane w okolicy jamy brzusznej, pozwoliło stwierdzić, iż trup jest jeszcze świeży i nie dotknięty rozkładem; postanowiono zatem zastosować baterię. Odbywały się doświadczenia jedno po drugim, występowały zwykłe objawy, nie wykazujące atoli niczego charakterystycznego prócz dwu czy trzech wzmożonych skurczów, które były jakby oznaką życia.

Noc była późna. Miało się już ku świtaniu, więc obecni postanowili dłużej nie zwlekać i przystąpić od razu do sekcji całkowitej. Wszelako pewien student, pragnąc stwierdzić swą teorię, nalegał, by poddano działaniu baterii któryś z mięśni piersiowych. Zrobiono głębokie cięcie i połączono pośpiesznie mięsień z baterią, gdy przedmiot badań ruchem nagłym, lecz bynajmniej nie kurczowym, zerwał się ze stołu, postąpił na środek sali, rozejrzał się błędnie dookoła i przemówił. Niepodobna było zrozumieć, co mówił, ale wymawiał jakieś słowa i zgłoski brzmiały wyraźnie. Przemówiwszy, powalił się ciężko na posadzkę.

Zrazu wszystkich obezwładniła groza – lecz opamiętali się rychło, gdyż nie było ani chwili do stracenia. Przekonali się, że Mr Stapleton jest żywy, jakkolwiek nieprzytomny. Otrzeźwiony eterem, wnet odzyskał zdrowie i powrócił do rodziny, którą o jego zmartwychwstaniu zawiadomiono dopiero wówczas, kiedy wszelkie niebezpieczeństwo minęło. Nietrudno wyobrazić sobie jej zdumienie – jej osłupiałą radość.

Wszelako najbardziej wstrząsające szczegóły zawierały się w tym, co sam Mr Stapleton opowiadał. Utrzymywał on, że ani przez jedno мгновение nie był zupełnie nieprzytomny, że niejasno i

beładnie wiedział o wszystkim, co z nim się działo od chwili, kiedy lekarze orzekli, że jest martwy, aż do utraty przytomności w szpitalu. „Jestem żywy” – brzmiały owe niezrozumiałe słowa, które cisnęły mu się na struchlałe usta, kiedy zobaczył, że znajduje się w sali prosektoryjnej.

Z łatwością mógłbym przytoczyć jeszcze mnóstwo podobnych przykładów, lecz nie czynię tego, gdyż, zaprawdę, nie są one potrzebne, by dowieść, że przedwczesne pogrzeby się zdarzają. Jeżeli zważymy, jak niezmiernie rzadkie z natury rzeczy są okoliczności, które pozwalają nam je odkryć, to musimy przypuścić, iż zdarzają się one często bez naszej wiedzy. Jakoż prawie zawsze przy uprzątnięciu cmentarzy na znaczniejszych przestrzeniach spotyka się kościotrupy, których postawy nasuwają najstraszniejsze przypuszczenia.

Straszliwe, zaiste, przypuszczenie, lecz stokroć straszliwszy los! Można zapewnić bez wahania, iż nie ma nieszczęścia, które by mogło w tak okropnej mierze pognać do ostateczności ciało i duszę, jak przedwczesne złożenie do grobu. Nieznośny ucisk płuc, duszące wyziewy wilgotnej ziemi, wpijanie się rąk w pośmiertne całuny, nieubłagana cieśń szczupłego pomieszczenia, mrok wiekistej nocy, cisza jak ogłuszające morze, niewidzialna wprawdzie, lecz dająca się wyczuć obecność robaka zwycięzcy – wszystko to w połączeniu z myślami o powietrzu i zieleni rozpostartej hen w górze, ze wspomnieniami o ludziach nam bliskich, którzy by pośpieszyli z pomocą, gdyby wiedzieli, co z nami się dzieje, ze świadomością, iż oni o tym nigdy dowiedzieć się nie mogą, że beznadziejnym udziałem naszym jest nieunikniona śmierć – myśli te napawają serce, co jeszcze bije, takim ogromem przerażenia i nieuskromionej twogi, iż cofa się z drżeniem przed nimi nawet najśmielsza wyobraźnia. Nie znamy niczego równie rozpaczliwego na ziemi, nie możemy wyśnić niczego bodaj na poły równie potwornego w otchłani najostateczniejszych piekieł; i dlatego opowieści z tej dziedziny są tak ogromnie zajmujące. Jest to następstwem świętej grozy, jaką wywołuje sam przedmiot, iż zajęcie to pozostaje w najzupełniejszej i najściślejszej zależności od naszego przeświadczenia o prawdzie rzeczy opowiadanej. To, co zamierzam opowiedzieć obecnie, jest mi doskonale znane – polega na mym osobistym i rzeczywistym doświadczeniu.

Od kilku lat doznawałem objawów jakiegoś dziwnego niedomagania, które lekarze uznali zgodnie za katalepsyę, nie mogąc się zdobyć na ściślejsze określenie. Aczkolwiek predyspozycja, przyczyny bezpośrednie, a nawet rozpoznanie bieżące tej choroby przedstawiają się jeszcze nader niejasno, to przecież widoczne i charakterystyczne jej przejawy są już dostatecznie znane. Odmiany jej zależą głównie od nasilenia. Niekiedy chory tylko dzień jeden lub nawet krócej znajduje się w stanie jakby wzmożonego letargu. Jest bez czucia i zewnętrznie bez ruchu, lecz słabe tętno serca daje się wciąż jeszcze wyczuwać; ciepłota w zupełności nie zanika; nikły ślad rumieńca mży jeszcze pośrodku policzków; przyłożwszy mu lusterko do ust można zauważyć opieszalą, chwiejną i nierówną czynność płuc. Innym razem odrętwienie to może trwać całymi tygodniami lub nawet miesiącami, najdokładniejsze badania, najprzenikliwsze dociekania lekarskie nie mogą wówczas wykryć istotnej różnicy między stanem, w którym znajduje się chory, a między tym, co nazywamy śmiercią. Przedwczesnemu jego pogrzebowi zapobiega zwykle tylko to, że najbliżsi wiedzieli już od dawna o jego niedomaganiu kataleptycznym, więc mają się na baczności, zaś przede wszystkim to, że nie występują oznaki rozkładu. Rozwój choroby odbywa się, na szczęście, stopniowo. Pierwsze objawy, aczkolwiek zmienne, są niedwuznaczne. Paroksyzmy zaznaczają się coraz wyraźniej; każdy następny przeciąga się dłużej od poprzedzającego. Na tym polega przede wszystkim zabezpieczenie przed złożeniem do grobu. Nieszczęśliwy, u którego pierwszy paroksyzm przejawiłby się od razu w formie najkrańcowszej, jak to niekiedy się zdarza, zostałby na pewno pochowany żywcem.

Mój wypadek różnił się wcale znacznie od przytaczanych w podręcznikach lekarskich. Niekiedy bez widocznej przyczyny zapadałem z wolna jak gdyby w nieprzytomność, w połowiczne omdlenie. Pozostawałem w tym stanie, nie doznając bólu, nie mogąc się ruszać ani też – by wyrazić się ściśle – myśleć, zachowując jednakże niejasne, letargiczne poczucie życia jako też osób otaczających moje łóżko, aż do chwili, kiedy w chorobie następowało przesilenie i nagle powracała

mi zupełna świadomość. Innym razem ulegałem jakby spiesznemu i natarczywemu porażeniu. Przychodziły zawroty i mdłości, zastygałem, krzepłem i padałem bezwładnie na ziemię. Potem następowały długie tygodnie, kiedy wszystko ziało czczością, czernią i milczeniem, a nicłość stawała się wszechświatem. Nie byłoby snadź niczym innym zupełne unicestwienie. Paroksyzmy tego rodzaju mijały się tym wolniej, im poczynały się nagiej. Podobnie jak świta dzień opuszczonemu, bezdomnemu żebrakowi, co przez całą długą, beznadziejną noc zimową błąkał się po ulicach – tak samo opieszale, tak samo smętnie, tak samo radośnie rozwidniała się znów we mnie światłość duszy.

Poza tą skłonnością do paroksyzmów zdrowie moje na ogół zdawało się niezłe i nie byłbym nawet zauważył wcale, że je podkopuje jakaś ciężka choroba, gdyby nie pewne właściwości mojego snu, które wystąpiły jako objaw dodatkowy. Po przebudzeniu się nie odzyskiwałem nigdy od razu pełnego posiadania mych zmysłów tudzież pozostawałem zawsze przez czas jakiś w stanie silnego rozstroju i odurzenia, przy czym władze umysłowe w ogólności, zaś pamięć w szczególności pograżały się w zupełnym bezwładzie i zastoju.

We wszystkich tych niedomaganiach nie było wcale cierpień fizycznych, przygnębiał mnie natomiast cały bezmiar udręczeń psychicznych. Wyobrażenia moja oblekała się całunem. Mówiłem o robakach, o mogiłach, o napisach na grobach. Zaprzepaszczałem się w marzeniach o śmierci, zaś myśl o przedwczesnym pogrzebie nieustannie snuła mi się po głowie. Czyhało na mnie upiorne niebezpieczeństwo, prześladowało mnie dniem i nocą. Za dnia tortura myśli była ogromna – w nocy stawała się bezmierną. Gdy posepne mroki zalegały ziemię i ogarniała mnie ostateczna groza mych rozmyślań, drżałem – drżałem jak chwiejne pióropusze na pojazdach żałobnych. Kiedy moje ciało nie mogło znieść dłużej bezsenności, opierałem się mimo to uśpieniu, gdyż przerażała mnie myśl, iż po przebudzeniu mogę ujrzeć się w grobie. Kiedy zaś w końcu pograżyłem się we śnie, zapadałem natychmiast w świat widziadeł, nad którym na olbrzymich, złowieszczych, przyćmiewających wszystko skrzydłach unosiła się przemożna i jedyna świadomość żaloby.

Z niezliczonych smętnych zwidzeń, które udręczały mnie we śnie, przytoczę tylko jedno. Zdawało mi się, iż nurzam się w odrętwieniu kataleptycznym, nierównie przewleklejším i głębszym niż zazwyczaj. Nagle czyjaś lodowata ręka spoczęła na moim czole i jakiś niecierpliwy, szwargoczący głos słowo: „Wstań” szepnął mi do ucha.

Zerwałem się. Ciemność była nieprzebita. Nie mogłem dostrzec, kto mnie obudził. Nie mogłem zdać sobie sprawy, ani kiedy zapadłem w odrętwienie, ani gdzie obecnie przebywam. Siedziałem nieruchomo i starałem się zebrać myśli, gdy owa mroźna dłoń ujęła mnie za rękę i potrząsnęła nią zuchwale, zaś ów szwargoczący głos odezwał się znowu:

– Wstań! Czyż ci już nie mówiłem, żebyś wstał?

– Ale kto – pytam – kto ty jesteś?

– W krainie, gdzie przebywam obecnie, nie mam imienia – odparł głos posepnie. – Byłem człowiekiem, lecz jestem demonem. Byłem bezlitosny, lecz jestem pełen miłosierdzia. Czy nie czujesz, że drzę cały? Szczękają mi zęby, gdy mówię do ciebie, wszelako nie z zimna tej nocy – lecz nocy, co nie ma końca. Ta ohyda jest nie do zniesienia. Jak możesz spać spokojnie? Wołania tych mąk bezgranicznych nie pozwalają mi usnąć. Te widoki są nad moje siły. Wstawaj! Pójdź ze mną w tę noc zagrobową, a odsłonię ci tajnie. Czyż to nie obraz żalości? Patrz!

Spojrzałem; za sprawą niewidzialnej postaci, co wciąż jeszcze trzymała mnie za rękę, otwarły się przede mną groby całej ludzkości. Promieniowały wszystkie fosforyczną poświatłą rozkładu, mogłem więc zajrzeć aż do najtajemniejszych podziemi i zobaczyłem tam spowite w całuny ciała, co swe uroczyste, mętne odpoczywanie dzieliły z robactwem. Ale, niestety! Tych, którzy spali, było niewiele w porównaniu z milionami tych, którzy usnąć nie mogli. Pełno tam było słabych wysiłków; i wszędzie żaloszny panował niepokój; i w głębi niezliczonych dołów szemrały posepnie czechła umarłych. I dostrzegłem, że wielu z tych, którzy leżeli spokojnie, zmieniło mniej lub

więcej niewygodną, sztywną pozycję, w jakiej pierwotnie złożono ich do grobu. Kiedym tak patrzył, głos ów odezwał się znów:

– Cóż... czy nie jest to żalony widok? – zanim jednak zdążyłem odpowiedzieć, postać owa puściła mą rękę, fosforyczne światła pogasły i zatrzasnęły się nagle groby, z których zawtórował zgłęb rozpaczy okrzyków: – Nie jestże to, o Boże, przeżalony widok?

Złowieszczy wpływ tych zwidzeń nawiedzających mnie nocą przenikał także głęboko w moje życie jak na jawie. Nerwy moje uległy zupełnemu rozstrojowi i stałem się postawą niewygasającej trwogi. Unikałem jazdy konnej, przechadzek, słowem wszystkiego, co mogłoby mnie oddalić od domu. Po prostu nie odważyłem się przebywać z dala od osób, które wiedziały o mojej skłonności do katalepsji, obawiałem się bowiem, iż gdyby zdarzyło mi się ulec zwykłemu paroksyzmowi, mógłbym zostać pogrzebany, zanim zdołano by sprawdzić mój stan istotny. Powątpiewałem o troskliwości, o przywiązaniu najmilszych przyjaciół. Wzdrygałem się na myśl, iż w razie dłuższego niż zwykle paroksyzmu mogliby zachwiać się w swoim przeświadczeniu i uznać mnie za ostatecznie straconego. Posunąłem się nawet tak daleko, iż jąłem się lękać, by korzystając z jakiego przewlekłego paroksyzmu nie byli radzi, że mogą uwolnić się od wielu trosk których byłem przyczyną, i nie uważali ich za dostateczne usprawiedliwienie, żeby pozbyć się mnie na zawsze. Na próżno starali się mnie uspokoić uroczystymi przyrzeczeniami. Wymogłem na nich najświętszą przysięgę, iż nie złożą wcześniej zwłok moich do grobu, aż zupełny rozkład uniemożliwi dalsze ich przechowywanie. Wszelako nawet wówczas mój lęk śmiertelny nie chciał słuchać głosu rozumu, nie dawał się ukoić żadnym pocieszeniem. Poczyniłem zatem mnóstwo nadzwyczaj starannie obmyślonych zarządzeń. Między innymi kazałem w ten sposób przebudować grobowiec rodzinny, żeby go można było z łatwością otworzyć od wewnątrz. Najlżejszy nacisk na długą dźwignię, sięgającą daleko w głąb sklepu grobowego, wystarczał, by żelazne podwoje otwały się na oścież. Były tam także urządzenia umożliwiające swobodny dopływ światła i powietrza jako też odpowiednie schowki na pokarm i wodę, znajdujące się w bezpośrednim pobliżu trumny przeznaczonej na moje przyjęcie. Trumna ta była miękko i ciepło wystłana. Posiadała wieko urządzone w taki sposób, jak podwoje grobowca, z dodatkami sprężyn, które przy najlżejszym poruszeniu ciała uwalniały je z zamknięcia. Ponadto na dachu grobowca kazałem zawiesić wielki dzwon, od którego przez otwór w trumnie miano przeprowadzić linę łączącą go z ręką trupa. Ale niestety, czyż może mierzyć się czujność ludzka z przeznaczeniem? Mimo tych urządzeń, zapewniających zupełne bezpieczeństwo, nic nie mogło ocalić od ostatecznych mąk mnie, nieszczęsnego, skazanego przedwiecznym wyrokiem na pochowanie żywcem w grobie!

Przyszła chwila – jak to niejednokrotnie bywało już wcześniej – iż śród zupełnej nieprzytomności jęło mi świtać nikłe, nieokreślone poczucie istnienia. Z wolna – żółtym krokiem – zbliżały się mdłe, szare brzaski psychicznego rozwidnienia. Odrętwiałość niedomagania. Bezwolne podanie się głuchej męce. Stan próżen troski, wysiłku, nadziei. Po długiej przerwie – dzwonienie w uszach; po czym, po jeszcze dłuższej – pieczenie i klucie w kończynach; następnie pozornie wiekiasty okres rozkosznego spokoju, podczas którego budzące się odczuwania siłą się, by stać się myślami; potem krótkie, ponowne zaprzepaszczenie się w niebycie, a po nim nagłe ocknienie. W końcu lekkie drgnienie powiek i w okamgnieniu elektryczny wstrząs grozy, śmiertelnej i nieokreślonej, co sprawia, iż krew przelewa się strumieniami ze skroni ku sercu. I oto pierwszy, rzeczywisty odruch myśli. I oto pierwsze drgnienie pamięci. I oto powodzenie częściowe i pierzchliwe. I zaraz potem pamięć, odzyskująca w tym stopniu swą władzę, że mogę w pewnej mierze zdać sobie sprawę z mego stanu. Czuję, iż nie budzę się ze zwykłego snu. Przypominam sobie, że jestem chory na katalepsyję. I w końcu jakby ocean mnie przywalał, bo oto mój spiorunowany duch gnie się pod brzemieniem jedyne go potwornego niebezpieczeństwa – jedynej, upiornej i wiekiście władczej idei.

Opełniony przez to urojenie, leżałem czas jakiś nieruchomo. I dlaczego? Nie mogłem zdobyć się na odwagę, by się poruszyć. Nie śmiałem uczynić wysiłku, który by mi dał świadomość mego losu; a jednak było coś w moim sercu, co szeptało, iż był nieuchronny. Rozpacz, jakiej niezdolna

jest wzniecić żadna inna niedola – rozpacz tylko zniewoliła mnie po długim wahaniu, bym rozwarł ciężkie powieki. Rozwarłem je. Było ciemno – wszędzie ciemno. Wiedziałem, że paroksyzm minął. Wiedziałem, że przesilenie mej niemocy dawno się skończyło. Wiedziałem, że odzyskałem w zupełności zdolność widzenia, a jednak było ciemno – wszędzie ciemno – głęboka, nieprzenikniona ciemność nocy wygasłej na wieki!

Chciałem krzyknąć; wargi moje i spieczony język drgały kurczowym wysiłkiem, ale z czeluści płuc nie dobył się głos. Jakby przywalone brzemieniem jakiejś góry, dyszały i dygotały wraz z sercem przy każdym uciążliwym i wysiłonym oddechu.

Ruch szczęk, które rozwarłem, by krzyknąć głośno, uświadomił mnie, że były podwiązane, jak zwykle u umarłych. Uczułem również, że leżę na czymś twardym i że coś podobnego zawiera się ciasno koło mnie z obu stron. Dotychczas nie śmiałem drgnąć żadnym członkiem, lecz teraz mocno szarpnąłem rękami, które spoczywały wyciągnięte i skrzyżowane powyżej dłoni.

Uderzyły o jakąś silną, drewnianą zaporę, która wy. sklepiła się nade mną o jakie sześć cali od twarzy. Nie mogłem już wątpić dłużej, iż spoczywałem wreszcie w trumnie.

I oto wśród bezmiarów męczarni zaszemrał mi słodko cherub nadziei – gdyż pomyślałem o moich urządzeniach. Wiłem się i prężyłem z całej siły, by podnieść wieko – ani drgnęło! Macałem rękami szukając sznura od dzwonu; nie było go! Jakoż pierchnął na zawsze mój pocieszyciel i zawiodła tryumfująco jeszcze okrutna rozpacz; nie mogłem bowiem znaleźć wyściółki, którą tak starannie przygotowałem, a ponadto nagle uczułem w nozdrzach dziwnie mocny zapach wilgotnej ziemi. Wniosek był nieodparty. Nie znajdowałem się w sklepie grobowym. Uległem paroksyzmowi gdzieś poza domem – wśród obcych ludzi. Jak i kiedy, nie mogłem sobie przypomnieć. Oni to pochowali mnie jak psa – zabili gwoździami w byle jakiej trumnie i zagrzebali głęboko, głęboko i na zawsze w pierwszym lepszym, bezimiennym dole.

Gdy to bolesne przeświadczenie wtargnęło do najgłębszych tajni mej duszy, wyteżyłem znów wszystkie siły, by krzyknąć na całe gardło, i tym razem mi się udało. Długi, przeciągły, dziki wrzask, a raczej potępieńcze wycie rozległo się w przestworzach podziemnej nocy.

– A co tam takiego? – odpowiedział szorstko jakiś głos.

– Co mu u diabła, się dzieje? – odezwał się drugi.

– Cicho być! – odezwał się trzeci.

– Co on sobie myśli, że drze się jak dzikie zwierzę? – rzekł czwarty, po czym szajka jakichś nieokrzesanych postaci przystąpiła do mnie i jęła mnie tarmosić bez ceremonii przez kilka minut. Nie obudzili mnie – gdyż nie spałem już wcale, kiedy krzyknąłem – lecz pomogli mi się opamiętać.

Zdarzyło mi się to w pobliżu Richmond w Virginii. W towarzystwie jednego z przyjaciół wybrałem się na polowanie o kilka mil poniżej mielizn na rzece James. Noc zbliżała się, kiedy zaskoczyła nas burza. Kabina małej szalupy, stojącej u brzegu na kotwicy i naładowanej ziemią ogrodową, była jedynym pobliskim schronieniem. Urządziliśmy się możliwie najwygodniej i spędziliśmy noc na pokładzie. Ułożyłem się do snu na jednym z dwu posłań, jakimi rozporządzała załoga statku, a nie potrzebuję chyba nadmieniać, czym są posłania w szalupie o pojemności szesnastu czy siedemnastu ton. Na tym, które zająłem, nie było wcale pościeli. Największa jego szerokość wynosiła zaledwie osiemnaście cali, zaś odległość tego tapczanu od wysklepiającego się nad nim pomostu była dokładnie taka sama. Wcisnąłem się na to łóżko z największą trudnością. Mimo to spałem jak kamień. Zwidzenie moje – nie był to bowiem sen ani nocna zmora – było naturalnym następstwem nader niewygodnej pozycji. Ponadto wynikło z nawykowych skłonności mojego umysłu jako też ze wspomnianej już opieszałości, z jaką odzyskiwałem władzę nad mymi zmysłami, zwłaszcza zaś, z jaką powracała mi pamięć po przebudzeniu. Ludzie, którzy mnie tarmosili, należeli do załogi szalupy, lecz było wśród nich także kilku robotników zajętych przy jej wyładowaniu. Zapach ziemi pochodził od ładunku. Opaską dokoła szczęk była jedwabna chustka, którą zawiązałem sobie, głowę nie mając pod ręką używanej zazwyczaj czapki nocnej.

Męczarnie, jakich podówczas doznałem, nie różniły się na pewno od rzeczywistych. Były straszliwe – były bezgranicznie ohydne; wszelako zło było początkiem dobrego, gdyż pod ich uciskiem ocknęła się odporność mych władz duchowych. Dusza moja nabrała krzepkości – nabrała hartu. Począłem dużo chodzić. Jąłem się usilnie ćwiczeń fizycznych. Oddychałem powietrzem przestworów niebieskich. Myślałem o innych rzeczach – nie o śmierci. Buchana rzuciłem w ogień. Zarzekłem się podręczników lekarskich. Nie czytywałem Myśli nocnych ani bajan o cmentarzach, ani karawaniarskich opowiadań, takich jak niniejsze. Słowem, stałem się nowym człowiekiem i żyłem jak człowiek. Od owej pamiętnej nocy wyzbyłem się na zawsze żalobnych przywidzeń, a wraz z nimi znikły niedomagania kataleptyczne, które prawdopodobnie były raczej ich następstwem niżeli przyczyną.

Bywają chwile, kiedy nawet dla trzeźwych oczu rozumu świat naszego nieszczęsnego człowieczeństwa staje się podobny do piekła; atoli wyobraźnia ludzka nie może, jak Carathis, badać bezkarnie wszystkich jego czeluści. Niestety! straszliwy korowód lęków pogrzebowych nie jest tylko urojeniem. Niby owe demony, które towarzyszyły Afrasiabowi w jego podróży przez Oxus, muszą one spoczywać we śnie albo nas pochłonąć – trzeba je uśpić, jeśli nie chcemy zginąć.

Zabójstwo przy Rue Morgue

Jałcie pieśni śpiewały Syreny lub jakie imię przybrał Achilles, gdy ukrywał się między kobietami? Są to zagadnienia wprawdzie kłopotliwe, ale nie leżące poza obrębem wszelkich przypuszczeń.

Sir Thomas Browne: „*Urn Burial*”

Zdolności umysłowe zwane analitycznymi nie nadają się w swej istocie zbytnio do analizy. Oceniamy je tylko wedle ich wyników. Wiemy o nich, między innymi, iż dla osób, które posiadają je w niepowszednim stopniu, bywają one zawsze źródłem najżywszej radości. Podobnie jak człowiek silny cieszy się awą cielesną krzepkością i lubuje w ćwiczeniach, które wymagają sprawności jego mięśni, tak samo analityk szuka chluby w czynności umysłowej, która polega na rozwikływaniu. Lubuje się nawet w zajęciach najpospolitszych, które nastroczają mu sposobność do zastosowania swych uzdolnień. Przepada za łamigłówkami, zagadkami, hieroglifami. Okazuje we wszystkich swych rozwiązaniach tyle przenikliwości, iż w pojmowaniu zwyczajnym wydaje się ona nadprzyrodzona. Wyniki jego, osiągnęte przez najistotniejszą treść i ducha metody, mają rzeczywiście wszystkie znamiona intuicji.

Ta zdolność rozkładania zjawisk złożonych wzmagą się wielce pod wpływem wiedzy matematycznej, w szczególności zaś pod wpływem najznamienitszej jej gałęzi, nazywanej niesłusznie i jedynie ze względu na jej działanie wsteczne analizę, jak gdyby to była analiza par excellence. Bowiern kalkulacja nie jest w swej istocie analizą. Na przykład szachista stosuje pierwszą nie uciekając się wcale do pomocy drugiej. Wynika stąd, iż wpływu gry w szachy na podłoże psychiczne zupełnie się nie rozumie. Nie piszę obecnie rozprawy, lecz zwykłą przedmowę do nieco osobliwej opowieści i rzucam pobieżne spostrzeżenia. Korzystam zatem ze sposobności, by zapewnić, że subtelniejsze władze intelektu refleksyjnego o wiele istotniejsze i o wiele pożyteczniejsze znajdują zastosowanie przy niepozornej grze w warcaby niż przy pracowitej czczości szachów. W grze ostatniej, w której figury mogą wykonywać ruchy rozmaite i dziwaczne oraz posiadają różną i zmienną wartość, złożoność uchodzi mylnie (błąd nader pospolity!) za głębokość. Uwaga ma w niej ogromne znaczenie. Dość, by osłabła na chwilę, by coś się przeoczyło, a wyniknie stąd porażka lub przegrana. Ponieważ posunięcia możliwe są nie tylko różnorodne, lecz także niejednakie co do swego znaczenia, przeto prawdopodobieństwo owych przeoczeń wielce się pomnaża; i w dziewięciu wypadkach na dziesięć wygrywa raczej gracz uważniejszy niż bystrzejszy. Natomiast w warcabach, gdzie ruchy są proste i przedstawiają niewiele odmian, prawdopodobieństwa nieuwagi się zmniejszają, zaś sama tylko baczność względnie niewielkie ma zastosowanie, skutkiem czego przewaga bywa po stronie przenikliwości bystrzejszej. Pomińmy te ogólniki i wyobraźmy sobie grę w warcaby, gdzie figury są ograniczone do czterech królów, więc na przeoczenie liczyć nie można. Ponieważ żaden z graczy nie ma przewagi, przeto o zwycięstwie ostatecznym może rozstrzygnąć tylko przezorna taktyka, będąca wynikiem potężnego wysiłku intelektualnego. Pozbawiony zwykłych środków pomocniczych analityk wnika w ducha swego przeciwnika, utożsamia się z nim i niejednokrotnie od pierwszego rzutu oka odkrywa sposób (niekiedy do niedorzeczności prosty), jak go wciałeś gnać w zasadzkę lub popchnąć w błędne obliczenia.

Wist od dawna już jest znany ze swego wpływu na zdolności kalkulacyjne i bywają ludzie, uposażeni najlotniejszą inteligencją, którzy znajdują w nim niezrozumiałe na pozór upodobanie, a natomiast lekceważą szachy jako grę błahą. Jakoż bez wątplenia nie ma podobnej rozrywki, która by w równej mierze zaprzętała zdolność analityczną. Najlepszy w całym chrześcijaństwie szachista nie może być niczym innym, jak tylko najlepszym szachistą, gdy tymczasem pomysłowość w wiście zawiera zapowiedź powodzenia w tych wszystkich nierównie ważniejszych przedsięwzięciach, gdzie umysł pasuje się z umysłem. Mówiąc o pomysłowości, mam na myśli ową doskonałą umiejętność gry, która mieści w sobie znajomość wszystkich źródeł, mogących zapewnić rzetelne korzyści. Są one nie tylko różnolite, lecz także różnorodne i kryją się często w głębiach myślowych najzupełniej niedostępnych dla pospolitego pojmowania. Czynić spostrzeżenia uważnie, jest to przypominać sobie dokładnie; z tego względu szachista bardzo uważny będzie również dobrze grał w wista, ile że reguły Hoyle'a (opierające się na najprostszym mechanizmie gry) są łatwe i powszechnie zrozumiałe. Dość zatem mieć dobrą pamięć i, trzymać się podręcznika, żeby wedle przyjętego mniemania osiąść to wszystko, co jest potrzebne do dobrej gry. Atoli dopiero w szczegółach, które wybiegają poza obręb reguł, przejawia się pomysłowość analityka. W milczeniu gromadzi on spostrzeżenia i wnioski. Być może, iż w podobny sposób postępują także jego towarzysze, zaś różnicę w nabytej przez nich znajomości rzeczy stanowi nie tyle wartość wniosków, co jakość spostrzeżeń. Najważniejszą rzeczą jest wiedzieć, co należy obserwować. Nasz gracz nie ogranicza się tylko do siebie i jakkolwiek gra jest przedmiotem jego uwagi, nie pomija wniosków z rzeczy, które z grą nie mają nic wspólnego. Przygląda się twarzy swego partnera i porównywa jej wyraz starannie z wyrazem każdego z jego przeciwników. Zastanawia się nad sposobem rozdawania kart przez każdego partnera i często ze spojrzeń, rzucanych na karty, liczy kolejno wszystkie atuty i wszystkie honory. Zwraca uwagę na wszystkie zmiany, jakie zachodzą w wyrazach twarzy w miarę postępu gry, gromadząc zasób myśli z naprzemiennych przejawów pewności siebie, niespodzianki, tryumfu lub przygnębienia. Ze sposobu zagarniania lewy wnioskuje, czy zagrywającemu uda się wziąć następną. Poznaje kartę zagrąną na podrywkę ze sposobu rzucenia jej na stół. Mimowolne lub nierozważne słowo; przypadkowo odwrócona lub upuszczona karta, którą podnosi się pośpiesznie lub niedbale; liczenie lew oraz porządek, w jakim je się układa; zakłopotanie, wahanie, zapalczywość lub lekliwość – wszystko to objaśnia go o istotnym stanie rzeczy i sprzyja jego przenikliwości, na pozór intuicyjnej. Po dwu lub trzech pierwszych kolejkach wie on już dokładnie, co jest w czyich rękach, i może odtąd wygrywać swe karty z taką ścisłością zmierzając do celu, jak gdyby wszyscy inni gracze pokazali mu swoje.

Zdolności analitycznej nie należy mieszać ze zwykłą bystrością, gdyż o ile analityk jest nieodzownie bystry, o tyle człowiek bystry bywa często najzupełniej niezdolny do analizy. Zręczność konstruktywna lub kombinacyjna – którą ta bystrość zazwyczaj się objawia i której frenologowie wyznaczili (zdaniem moim błędnie) osobny narząd, uważając ją za władzę pierwszorzędną – spotykana jest tak często u osobników, których intelekt graniczy poza tym z matołkowatością, iż zwróciło to już powszechną uwagę psychologów. Między bystrością a uzdolnieniem analitycznym istnieje, zaiste znacznie większa różnica aniżeli między fantazją a wyobraźnią, aczkolwiek co do charakteru są one najzupełniej podobne. Jakoż można sprawdzić, iż ludzie bystry powodują się zawsze fantazją, gdy ludzie uposażeni istotną wyobraźnią stale bywają analitykami.

Opowieść następująca będzie dla czytelnika niejako homentarzem rozwidniającym zasady co tylko wyluszczone.

Spędzając w Paryżu wiosnę i część lata 18.. r. zawarłem znajomość z niejakim C. Augustem Dupinem. Wytworny ten młodzieniec pochodził z poważanej – ba, nawet znakomitej rodziny, atoli całe mnóstwo niepomyślnych wydarzeń pogrążyło go w takim ubóstwie, iż ugięła się moc jego charakteru i przestał torować sobie drogę w życiu, nie troszcząc się już o odzyskanie swych majątkości. Uprzejmość wierzycieli pozostawiła mu niewielkie szczęty dziedzicznego mienia. Były one dla niego źródłem dochodów, które, przy zachowaniu najściślejszej oszczędności, wy-

starczały mu na najkonieczniejsze potrzeby życia, a o rzeczy zbyteczne zgoła się nie troszczył. Toteż książki były jedynym jego zbytkiem, o który w Paryżu nietrudno.

Spotkaliśmy się po raz pierwszy w podrzędnej księgarni przy rue Montmartre; poszukiwaliśmy obaj tego samego, nadzwyczaj rzadkiego i cennego dzieła i to nas zbliżyło. Później widywaliśmy się coraz częściej. Wielce zajęła mnie pewna historia z życia jego rodziny, o której opowiadał mi szczegółowo i najzupełniej szczerze, jak to zazwyczaj czynią Francuzi, gdy mówią o swych osobistych sprawach. Zadziwiła mnie wszechstronność jego odczytania, zaś przede wszystkim ujęła mnie za serce dziwna ognistość i bujna świeżość jego wyobraźni. Szukając w Paryżu pewnych rzeczy, które podówczas jedynie mnie obchodziły, zrozumiałem, iż towarzystwo takiego człowieka może się stać dla mnie bezcennym skarbem, i wyznałem mu otwarcie, co myślę o nim. Postanowiliśmy tedy, że będziemy żyli razem przez cały czas mego pobytu w stolicy; a ponieważ moje sprawy doczesne nieco mniej wtedy były zawile aniżeli jego, przeto podjąłem się wynająć i urządzić w stylu fantastycznej melancholii współczesnych naszych upodobań odwieczne i dziwaczne domostwo, opustoszałe od dawna skutkiem jakichś zabobonów – o które wcale nie dowiadywaliśmy się – chylące się do upadku i położone w ustronnej i odludnej połaci Faubourg St. Germain.

Gdyby wiedziano o trybie naszego życia w tym domu, byłibyśmy uważani za szaleńców – aczkolwiek, być może, za nieszkodliwych. Osamotnienie nasze było zupełne. Nikt u nas nie bywał. Zachowywaliśmy w najgłębszej tajemnicy miejsce naszego pobytu przed dawniejszymi moimi znajomymi. Dupin już wiele lat temu przestał znać kogokolwiek i być znany w Paryżu. Poprzestawaliśmy wyłącznie na sobie samych.

Dziwacznym wybrykiem (nie wiem zresztą, jak to nazwać) wyobraźni mojego przyjaciela było jego umiłowanie nocy dla niej samej; poddałem się spokojnie temu dziwactwu, podobnie zresztą jak wszystkim innym, zupełnie ulegając osobliwym jego zachciankom. Posępne bóstwo nie mogło przecież stale przebywać z nami, ale było w naszej mocy wywołać sztucznie jego obecność. Z pierwszym brzaskiem zamykaliśmy szczelnie okiennice naszej starożytnej rudery, po czym zapalaliśmy parę nasyconych wonnościami gromnic, jarzących się ogromnie nikłą i bladawą poświatą. Zagłębialiśmy się przy tym świetle w marzeniach, czytając, pisząc lub rozmawiając aż do chwili, kiedy zegar zwiastował nam nastanie rzeczywistej ciemności. Wziąwszy się wzajem pod ramię, zaprzepaszczaliśmy się wtedy w gmatwaninie ulic, snuliśmy dalej wątek naszych dziennych rozmów i wałęsaliśmy się do późnej nocy, szukając w igraszce światła i cieni ludnego miasta tej nieskończoności pobudzeń umysłowych, których doznać można jedynie przez spokojną obserwację.

W podobnych chwilach zastanawiała mnie i napełniała podziwem osobliwsza zdolność analityczna Dupina, aczkolwiek znając już jego szczodry idealizm, mogłem jej po nim się spodziewać. Zdawało się, iż wykazywanie jej – jeżeli nawet nie popisywanie się nią – sprawiało mi jakąś żywą rozkosz, której zresztą nie tał i przyznawał otwarcie, że jest pod jej urokiem. Chełpił się przede mną głosem, w którym odzywał się poszmer radosnego Śmiechu, iż większość ludzi miewa dla niego w swych piersiach okienka, i miał zwyczaj stwierdzać prawdziwość swoich słów bezpośrednimi zdumiewającymi dowodami dokładnej znajomości mej własnej natury. Zachowanie się jego w takich chwilach bywało ozięble i roztargnione; oczy pozbywały się wyrazu; piękny, tenorowy jego głos przedzierzgał się w dyszkant i byłby się stawał niemal wyzywający, gdyby nie posiadał akcentu rozwagi tudzież ogromnej wyrazistości wysłowienia. Rozmyślając o tych jego właściwościach, pogrążałem się nieraz w zadumie nad starodawną teorią Duszy Dwoistej i snulem marzenia o Dupinie podwójnym – twórcy i analityku.

Niechaj nikt sobie nie wyobraża po tym, co powiedziałem, że zamierzam zgłębiać jakąś tajemnicę lub pisać powieść. To, co było godne zastanowienia w moim przyjacielu Francuzie, wynikało z inteligencji podnieconej do najwyższego stopnia, a może nawet chorobliwej. Atoli przykład da lepsze wyobrażenie o charakterystycznych właściwościach jego ówczesnych spostrzeżeń.

Pewnej nocy szliśmy długą i brudną ulicą przebiegającą w pobliżu Palais Royal. Pograżeni w myślach nie przemówiliśmy do siebie ani słowa co najmniej przez jakieś piętnaście minut. Naraz Dupin przerwał milczenie słowami:

– Masz słuszność, to istny karzeł i nadawałby się raczej do Theatre des Varietes.

– O tym chyba nikt nie wątpi – odparłem bezwiednie, nie zdając sobie zrazu sprawy (tak bardzo byłem pograżony w zadumie) ze szczególniejszej zgodności, jaka zachodziła między tymi słowami a moimi myślami. Lecz wnet opamiętałem się i moje osłupienie nie miało granic.

– Dupin – rzekłem poważnie – to przechodzi moje pojęcie. Wyznaję otwarcie, że jestem zdumiony i nie wiem, czy mam ufać mym zmysłom. Skąd ty możesz wiedzieć, że myślałem o...?

Nie dopowiedziałem umyślnie, by upewnić się, że wie istotnie, o kim myślałem.

– O Chantiii – rzekł. – Dlaczego nie kończysz? Pomyślałeś sobie, że jego niepozorna postać nie nadaje się do tragedii.

Właśnie dokoła tego tematu snuły się moje rozmyślenia. Chantiii był podrzędnym szewczykiem z rue StDenis, dostał bzika teatralnego, porwał się na rolę Kserksesa w tragedii Crebillona i stał się przedmiotem powszechnego pośmiewiska.

– Wyjaśnij mi, na miłość boską, metodę – zawołałem – jeżeli w tym jest jaka metoda, za pomocą której zdołałeś przeniknąć mą duszę!

Istotnie byłem znacznie więcej stropiony, aniżeli chciałem mu to okazać.

– To przekupień z owocami – odparł mój przyjaciel – naprowadził cię na wniosek, że ten ła-tacz obuwia nie ma odpowiedniego wzrostu na Kserksesa et id *genus omne*¹⁰.

– Przekupień! Co ty mówisz! Nie znam żadnego przekupnia!

– Człowiek, który wpadł na ciebie, gdyśmy skręcali w tę ulicę przed jakimiś piętnastu minutami.

Przypomniałem sobie istotnie jakiegoś niezdarne-go przekupnia, który niósł na głowie wielki kosz jabłek i omal mnie nie przewrócił, gdyśmy skręcali z rue C... w bocznice, na której zatrzymaliśmy się. Lecz co to miało wspólnego z Chantiii, nie mogłem żadną miarą zrozumieć.

W Dupinie nie było ani cienia szarlatanerii.

– Wytlumaczę ci – powiedział. – Chcę jednak, żebyś zrozumiał wszystko dokładnie, wyłuszczyć ci przede wszystkim kolejny przebieg twoich rozmyślań od chwili, kiedy mówiłem do ciebie, aż do zderzenia z owym przekupniem. Dalsze ogniwa łańcucha są następujące: Chantiii, Orion, dr Nichols, Epikur, stereotomia, kamienie brukowe, przekupień. Niewiele jest osób, które by w pierwszym okresie swego życia nie zabawiały się odnajdywaniem śladów, co je doprowadziły do takich lub owakich wniosków. Zajęcie to miewa niekiedy duże znaczenie; podejmując je po raz pierwszy, nie można się dość nadziwić pozornej niespójności i bezgranicznej oddali, która dzieli punkt wyjścia od celu. Jakież zatem było moje osłupienie, gdy usłyszałem słowa wypowiedziane przez Francuza i musiałem przyznać, że mówił prawdę. Tymczasem ciągnął on dalej:

– Pamiętam dokładnie, iż wychodząc z nie C... mówiliśmy o koniach. Był to ostatni przedmiot naszej rozmowy. Gdyśmy skręcili w ulicę, którą idziemy obecnie, jakiś przekupień z wielkim koszem na głowie, przechodząc spiesznie obok nas, popchnął cię na kupę kamieni, przygotowanych w tym miejscu do naprawy bruku. Nastąpiłeś na jakiś chwiejący się kamień, pośliznąłeś się, z lekka wywichnąłeś sobie nogę, wyglądałeś na podrażnionego czy rozgniewanego, mruknąłeś kilka słów, odwróciłeś się, by spojrzeć na kamienie, a potem szedłeś dalej w milczeniu. Nie zwracałem zbytnio uwagi na to, co robiłeś, ale obserwacja jest dla mnie ostatnio po prostu koniecznością.

Oczy utkwiełeś w ziemię i spoglądałeś jak gdyby gniewnie na koleiny i wyboje w bruku (a miałeś przy tym taką minę, iż mogłem wywnioskować, że wciąż jeszcze myślisz o kamieniach), aż doszliśmy do niewielkiej ulicy, zwanej Lamartine, wybrukowanej na próbe kostkami drewnianymi, ściśle i spójście ze sobą połączonymi. Tu twarz ci się rozjaśniła, zauważyłem, że poruszasz ustami, i nie wątpiełem ani przez chwilę, że szepczesz słowo „stereotomia”, używane nader preten-

¹⁰ Et id genus omne (łac.) – i to jest cały rodzaj.

sjonalnie na określenie tego rodzaju bruku. Wiedziałem, że nie mógłbyś wymówić słowa „stereotomia”, nie pomyślawszy przy tym o atomach, a następnie o teoriach Epikura, ponieważ rozmawialiśmy niedawno o tym przedmiocie, przy czym zdarzyło mi się zauważyć, że luźne przypuszczenia znakomitego Greka, nie zwróciwszy niemal niczyjej uwagi, znalazły jednak przedziwne potwierdzenie w nowoczesnej kosmogonii mgławicowej, przeto wyczułem, że nie zdołasz się powstrzymać od spojrzenia na wielką mgławicę Oriona, i oczekiwałem na pewno, że to uczynisz. Jakoż spojrzaleś w górę; miałem więc wszelką pewność, że podążam istotnie twoim śladem. Zaś w złośliwej kpinie z Chantilly'ego, która pojawiła się we wczorajszym Musee, satyryk, czyniąc uszczypliwe aluzje do zmiany nazwiska przez szewca, co włożył koturny, przytacza wiersz łaciński, o którym niejednokrotnie zdarzało się nam rozmawiać. Mam na myśli wiersz:

Perdidit antiquum littera prima sonum¹¹

Powiedziałem ci, iż odnosi się on do Oriona, pierwotnie pisanego Urion, i z utarczki wywołanej tym wyjaśnieniem wyniosłem przeświadczenie, że nie mogłeś o tym zapomnieć. Było zatem rzeczą oczywistą, iż niezawodnie skojarzysz pojęcia Oriona i Chantilly'ego. Żeś je istotnie skojarzył, poznałem z uśmiechu, którym drgnęły twe usta. Myślałeś o unicestwieniu biednego szewczyka. Do tej chwili stąpałeś przygarbiony, lecz potem wyprostowałeś się w całej okazałości swego wzrostu. Nabrałem przeto pewności, że zastanawiasz się nad pokraczną figurką Chantilly'ego. Wówczas to przerwałem twą zadumę uwagą, że ten Chantilly to istny karzeł i że nadawałby się raczej do Theatre des Varietes.

W jakiś czas potem, przeglądając wieczorne wydanie „Gazette des Tribunaux”, znaleźliśmy wzmiankę następującą:

„NIEZWYKŁE ZABÓJSTWO. Dziś około godziny trzeciej z rana mieszkańców dzielnicy SaintRoch obudziły przeraźliwe krzyki rozlegające się, jak się zdawało, z czwartego piętra domu przy rue Morgue, zamieszkałego w całości przez jakąś Madame L'Espanaye oraz jej córkę, Mademoiselle Camille L'Espanaye. Po niejakiej zwłoce, wywołanej daremnymi usiłowaniami, by wejść do domu w zwykły sposób, wyważono bramę drągiem żelaznym i ośmiu czy dziesięciu sąsiadów w towarzystwie dwu żandarmów wtargnęło do kamienicy. Tymczasem krzyki ucichły; kiedy jednak przybysze wdarli się na pierwsze piętro, dosłyszeli zawziętą kłótnię dwu czy więcej chrapliwych głosów, które zdawały się dolatywać z górnej części domu. Gdy weszli na drugie piętro, zgiełk ten również ustał i zaległa zupełna cisza. Obecni rozproszyli się, przetrząsając pokój po pokoju. Gdy dotarli do obszernej komnaty położonej od tyłu na czwartym piętrze i wyważyli drzwi zamknięte na klucz od wewnątrz, ukazał się im widok przejmujący zarówno grozą, jak osłupieniem.

Pokój znajdował się w najdzikszym nieładzie; meble były pogruchotane i porozrzucane na wszystkie strony. Było tam tylko jedno łóżko, z którego pościel wyjęto i rzucono na posadzkę. Na krześle leżała brzytwa, zboczona krwią. W kominku spostrzeżono dwa czy trzy długie i grube pasma siwych, ludzkich włosów, które były także okrwawione i wyglądały, jak gdyby mocnym szarpnięciem wyrwano je wraz z korzeniami. Na posadzce znaleziono cztery napoleony, kolczyk z topazem, trzy duże łyżki srebrne, trzy mniejsze z tak zwanego metal d'Alger oraz dwie sakiewki, zawierające prawie cztery tysiące franków w złocie. Szuflady komody stojącej w kącie były otwarte i, jak się zdaje, ograbione, aczkolwiek pozostało w nich jeszcze wiele przedmiotów. Nie wielką żelazną szkatułkę znaleziono pod pościelą (nie pod łóżkiem). Była otwarta; klucz tkwił jeszcze w zamku. Nie było w niej nic prócz kilku starych listów tudzież kilku innych, niezbyt ważnych papierów.

Śladów Madame L'Espanaye niepodobna było zrazu odszukać, wszelako zauważono niezwykłą ilość sadzy na palenisku, zaczęto szukać w kominie i w końcu

¹¹ Perdidit antiquum Uttera prima sonum (łac.) pierwsza litera straciła dawne brzmienie.

(strach powiedzieć!) wydobyto stamtąd trupa jej córki, wtłoczonego przez ciasny otwór głową na dół i wsuniętego dość znacznie w górę. Zwłoki były jeszcze zupełnie ciepłe. Przy badaniu okazało się, że skóra była w wielu miejscach pocierana, co było bez wątpienia następstwem silnego wtłaczania i niemniej z kolei silnego wyciągania trupa z komina. Twarz była mocno podrapana, a na szyi widniały ciemne i głębokie ślady paznokci, jak gdyby zmarła padła ofiarą uduszenia.

Po najstaranniejszym przetrząśnięciu całego domu, które jednakże nie dostarczyło żadnych dalszych poszlak, zebrani wybiegli na niewielkie brukowane podwórze, okalające budynek od tyłu. Leżały tam zwłoki staruszki, której szyja była przecięta tak głęboko, iż kiedy chciano trupa podnieść, głowa odpadła od tułowia. Całe ciało wraz z głową było straszliwie pokaleczone i zaledwie zachowało podobieństwo kształtów ludzkich.

Do rozwikłania tej okropnej tajemnicy nie ma dotychczas, o ile nam wiadomo, żadnych poszlak.”

Nazajutrz w tymże samym dzienniku znajdowały się następne szczegóły dodatkowe:

„TRAGEDIA PRZY RUE MORGUE. Przesłuchano wiele osób celem wyświecenia tej osobliwej i przerażającej zbrodni, wszelako nie dowiedziano się niczego, co by mogło dostarczyć jakichkolwiek poszlak. Podajemy poniżej zeznania świadków.

Paulina Dubourg, praczka, zeznaje, iż od trzech lat znała obie nieboszczki, gdyż najmowały ją do prania. Wzajemne stosunki między staruszką a jej córką były> Jak się zdaje, dobre – kochały się bardzo. Płaciły hojnie. Nie może nic powiedzieć o ich sposobie życia ani o środkach utrzymania. Przypuszcza, że Madame L'Españaye dla zarobku trudniła się wróżbiarstwem. Mówiono o niej, że zebrała oszczędności. Praczka nie spotykała nigdy w tym domu nikogo, gdy zabierała lub odnosiła bieliznę. Wie na pewno, iż nie było tam służby. Zdaje się jej, że – prócz czwartego piętra – mebli nie było w całym domu.

Piotr Moreau, właściciel sklepiku z tytoniem, zeznaje, iż od niespełna czterech lat dostarczał Madame L'Españaye niewielkich ilości tytoniu i tabaki. Urodził się w sąsiedniej dzielnicy i stale w niej mieszka. Nieboszczka oraz jej córka od przeszło sześciu lat mieszkały w domu, w którym znaleziono ich zwłoki. Poprzednio zajmował go pewien jubiler, który odnajmował górne piętra różnym osobom. Dom był własnością Madame L'Españaye. Niezadowolona z lokatora, który rujnował jej kamienicę, sprowadziła się na jego miejsce sama i przestała odtąd wynajmować mieszkania. Staruszka była zdiecinniała. Świadek widział jej córkę może pięć czy sześć razy przez całe sześć lat. Obie żyły nadzwyczaj samotnie – i uchodziły za bogate. Sąsiedzi powiadali, jakoby Madame L'Españaye zajmowała się wróżbiarstwem – ale on temu nie wierzył. Nie zdarzyło mu się widzieć, by ktokolwiek wchodził do bramy tego domu prócz staruszki i jej córki; ponadto zachodził tam ze dwa razy jakiś posługacz i z osiem lub dziesięć razy lekarz.

Wiele innych osób z sąsiedztwa potwierdza powyższe zeznania. Nie widywano nigdy, by ktokolwiek bywał w tym domu. Nikt nie widział, czy Madame L'Españaye i jej córka miały jakich krewnych. Okiennice od strony frontowej rzadko stały otworem, od podwórka bywały zawsze zamknięte, prócz okiennic wielkiego pokoju położonego od tyłu na czwartym piętrze. Dom jest niezły i niezbyt stary.

Izydor Muset, żandarm, zeznaje, iż wezwano go do tego domu około trzeciej z rana i że przed bramą zastał ze dwadzieścia lub trzydzieści osób, które chciały wejść do wnętrza. Otworzył ją w końcu bagnetem, a nie drągiem żelaznym. Przyszło mu to nietrudno, gdyż brama ta składa się z podwoi i nie była zamknięta na zasuwę ani od góry, ani od dołu. Krzyki trwały do chwili otwarcia bramy, po czym nagle ucichły. Były to jakby wrzaski jednej czy kilku osób katowanych – głośne i przeciągłe, a nie krótkie i urywane. Świadek wbiegł na schody. Na pierwszym piętrze usłyszał dwa głosy ścierające się w donośnej i gniewnej sprzeczce – jeden chrapliwy, drugi znacznie ostrzejszy – dziwny jakiś głos. Udało mu się rozróżnić kilka słów głosu pierwszego, który brzmiał z francuska. Nie był to na pewno głos kobiety. Usłyszał słowa *sacre* i *diable*. Głos przenikliwy

brzmiał z cudziemska. Nie jest pewny, czy był to głos męski, czy kobiecy. Słów nie mógł się dorozumieć, lecz przypuszcza, że były hiszpańskie. To, co świadek zeznaje o pokoju i zwłokach, nie różni się niczym od naszego opisu wczorajszego.

Henryk Duval, sąsiad, z zawodu złotnik, zeznaje, iż należał do osób, które najpierw wtargnęły do domu. Potwierdza na ogół zeznania Museta. Kiedy wraz z innymi wpadł do sieni, zamknął bramę, by nie wpuścić tłumu, który jął się gromadzić mimo wczesnej godziny. Głos przenikliwy, zdaniem tego świadka, brzmiał z włoska. Na pewno nie był to głos Francuza. Nie jest pewien, czy był to głos męski. Mógł być także kobiecy. Świadek nie zna włoskiego języka. Nie mógł rozróżnić słów, lecz z intonacji odniósł wrażenie, że były wyrzeczone przez Włocha. Znał Madame L'Espanaye i jej córkę. Często rozmawiał z nimi. Jest przekonany, że głos przenikliwy nie był głosem ani matki, ani córki.

Odenheimer, restaurator. Zgłosił się na świadka nie wzywany. Nie umie po francusku i był przesłuchiwany za pośrednictwem tłumacza. Pochodzi z Amsterdamu. Przechodził obok owego domu, kiedy rozległy się krzyki. Trwały kilka minut – może do dziesięciu. Były przeciągłe i głośne – żałosne i rozdzierające. Należał do tych, którzy weszli do kamienicy. Potwierdził zeznania poprzednie, wszelako z jednym zastrzeżeniem. Jest pewien, że głos ostry był głosem mężczyzny – Francuza. Słów wyrzeczonych rozróżnić nie mógł. Były głośne i prędkie – brzmiały nierówno – jakby rzucane w trwodze i zarazem w gniewie. Głos był szorstki – nie tyle przenikliwy, co szorstki. Nie mógłby go nazwać głosem przenikliwym. Głos chrapliwy powtórzył kilkakrotnie *sacre, diable*, oraz powiedział *mon Dieu*.

Juliusz Mignaud, bankier z firmy Mignaud et Pils, rue Deloraine. Jest starszym z braci Mignaudów. Madame L'Espanaye posiadała pewien kapitał. Miała w jego banku otwarty rachunek od wiosny roku... (od jakichś lat ośmiu). Często składała w banku niewielkie sumy, nie wybierała natomiast nic. Dopiero na trzy dni przed swą śmiercią podjęła osobiście cztery tysiące franków. Pieniądze te wypłacono w złocie i polecono woźnemu, aby je odniósł do mieszkania Madame L'Espanaye.

Adolf Le Bon, woźny domu bankowego Mignaud et Fils, zeznaje, że w przeddzień zbrodni, około południa, odprowadzał Madame L'Espanaye do jej mieszkania, niosąc cztery tysiące franków w dwu woreczkach. Po otwarciu bramy ukazała się Mademoiselle L'Espanaye która wzięła od niego jeden woreczek; drugi oddał staruszce, ukłonił się i odszedł. Nie widział o tej porze na ulicy nikogo. Jest to zaułek bardzo odludny.

William Bird, krawiec, zeznaje, iż należał do tych, którzy weszli do kamienicy. Jest Anglikiem. Przebywa w Paryżu od dwu lat. Jeden z pierwszych wbiegł na schody. Słyszał, jak się kłóciły owe głosy. Głos chrapliwy brzmiał z francuska. Zdołał dosłyszeć kilka słów, ale nie wszystkie już pamięta. Słyszał wyraźnie *sacre* i *mon Dieu*. Doleciał go wówczas zgiełk, jak gdyby kilka osób się mocowało – była to niby bójka i szarpanina. Głos przenikliwy był bardzo donośny – donośniejszy niż chrapliwy. Jest pewien, że nie był to głos Anglika; raczej Niemca. Mógł to być głos kobiecy. Nie umie po niemiecku.

Czterech z wymienionych świadków na ponowne wezwanie oświadczyło, iż drzwi pokoju, w którym znaleziono zwłoki Mademoiselle L'Espanaye, były zamknięte na klucz od wewnątrz, kiedy ludzie nadbiegli. Panowała tam zupełna cisza – ani szmerów, ani jęków. Po wywaleniu drzwi nie zastano nikogo. Oba okna, zarówno frontowe, jak tylne, były szczelnie zamknięte od wewnątrz. Drzwi prowadzące z pokoju do pokoju były zamknięte, ale nie na klucz. Drzwi, którymi wychodziło się z pokoju frontowego na korytarz, były zamknięte na klucz, który tkwił od wewnątrz. Pokoik frontowy na czwartym piętrze, u wejścia na korytarz, stał otworem; drzwi były uchylone, pełno w nim było starych łóżek, kufrów i tym podobnych przedmiotów. Poodsuwano je i przetrząsnęto bacznie. Przeszukano jak najstaranniej cał po cału wszystkie części domu. Polecono przetrzeć miotłami kominy. Dom był czteropiętrowy i miał pokoje na poddaszu. Drzwiczki prowadzące na dach były przybite mocno gwoździami i prawdopodobnie nie otwierane od lat. Czas, jaki upłynął od chwili, kiedy usłyszano spierające się głosy, do wyłamania drzwi od pokoju,

był różnie podawany przez świadków. Wedle jednych wynosił nie więcej niż trzy minuty, wedle innych przeszło pięć. Drzwi wyważono z niemałą trudnością.

Alfonzo Carcio, przedsiębiorca pogrzebowy, zeznaje, iż mieszka przy rue Morgue. Pochodzi z Hiszpanii. Należał do tych, którzy weszli do kamienicy. Na schody nie wchodził. Jest nerwowy i obawiał się następstw podniecenia. Słyszał kłótnię głosów. Głos chrapliwy był głosem Francuza. Słów rozróżnić nie mógł. Głos przenikliwy brzmiał z angielska – jest tego pewien. Nie zna języka angielskiego, ale sądzi z intonacji.

Alberto Montani, cukiernik, zeznaje, iż jeden z pierwszych wbiegł na schody. Słyszał owe głosy. Głos chrapliwy był głosem Francuza. Rozróżnił kilka słów. Były to jakby napomnienia. Słów przenikliwego głosu nie dosłyszał. Był on przyspieszony i nierówny. Sądzi, że był to głos Rosjanina. Zeznania innych świadków na ogół potwierdza. Jest Włochem. Nie rozmawiał nigdy z rodowitym Rosjaninem.

Kilku świadków, zapytywanych ponownie, zeznaje, iż we wszystkich pokojach czwartego piętra kominy były za wąskie, by mogły przepuścić istotę ludzką. Miotły, o których mówili poprzednio, były to walcowate szczotki, używane przez kominiarzy. Szczotki te przeciągano przez wszystkie dymniki. Nie ma tylnego wyjścia, którym by mógł ktoś uciec, gdy ludzie wbiegli na schody. Zwłoki Mademoiselle L'Espanaye były tak mocno wtłoczone w komin, iż zdołało je wyciągnąć dopiero kilka osób.

Paweł Dumas, lekarz, zeznaje, iż wezwano go do obejrzenia ciał nad ranem. Oba trupy leżały na łóżku w pokoju, w którym znaleziono Mademoiselle L'Espanaye. Ciało dziewczyny znaczyły liczne otarcia i zmiżdżenia. Tłumaczą się one dostatecznie wtłoczeniem zwłok w komin. Skóra na szyi była zdarta. Tuż pod brodą widniało kilka głębokich zadraśnień oraz szereg zabiegłych krwią plam, które były niewątpliwie następstwem ucisku palców. Twarz była straszliwie bezbarwna; gałki oczne wysadzone na wierzch. Język był częściowo przecięty. W okolicy dołka podsercowego zaznaczał się ogromny siniec, wywołany prawdopodobnie uciskiem kolana. Wedle mniemania Monsieur Dumasa Mademoiselle L'Espanaye została uduszona przez jedną lub kilka nieznaną osobą. Ciało matki uległo potwornemu zniekształceniu. Wszystkie kości prawej nogi i ramienia były mniej lub więcej pogruchothane. Lewa goleń zmiżdżona, tak samo wszystkie żebra lewej strony. Całe ciało okropnie pokaleczone i zmienione. Niepodobna powiedzieć, w jaki sposób dokonano tych uszkodzeń. Ciężka pałka drewniana, wielki drąg żelazny, stołek, jakaś duża, ciężka i tępa broń – mogłyby wywołać takie następstwa, gdyby dostały się w ręce nadzwyczaj silnego mężczyzny. Kobieta nie zdołałaby zadać takich ciosów żadną bronią. Głowa zmarłej, gdy ją świadek zobaczył, była zupełnie oddzielona od tułowia i również pogruchoтана. Gardziel była przecięta jakimś ostrym narzędziem – prawdopodobnie brzytwą.

Aleksander Etienne, chirurg, wezwany wraz z Monsieur Dumasem do obejrzenia zwłok. Przyłącza się do zeznania Monsieur Dumasa.

Ponadto nie dowiedziano się niczego ważniejszego, raczkolwiek przesłuchiowano jeszcze kilka innych osób. Równie tajemnicze i równie zawiła w szczegółach zabójstwo nie zdarzyło się jeszcze dotychczas w Paryżu – jeżeli w ogóle może być mowa o zabójstwie. Policja zupełnie straciła głowę – niezwykle wypadek w sprawach podobnego rodzaju. Co prawda, nie ma ani cienia jakichkolwiek poszlak.”

Wieczorne wydanie dziennika donosiło, iż w dzielnicy Saint-Roch panuje w dalszym ciągu ogromne wzburzenie, że miejsce zbrodni poddano ponownemu starannemu badaniu, że zarządzono powtórne przesłuchanie świadków, lecz na darmo. Dopisek nadmieniał, iż aresztowano i uwięziono Adolfa Le Bon, aczkolwiek poza przytoczonymi już szczegółami nic nie przemawiało przeciw niemu.

Dupin zdawał się z niezmiernym zajęciem śledzić przebieg tej sprawy – tak przynajmniej sądziłem z jego zachowania, gdyż nie wspominał o niej ani słowem. Dopiero po przeczytaniu wiadomości, że Le Bona uwięziono, zapytał mnie, co myślę o tej zbrodni.

Mogłem tylko podzielić zdanie całego Paryża, że jest to niedocieczona tajemnica. Nie pojmowałem zgoła, w jaki sposób można by wytropić zabójcę.

– Nie należy wnioskować o sposobach – rzekł Dupin – z tego powierzchownego śledztwa. Policja paryska, którą tak bardzo wychwala się za jej przenikliwość, jest przebiegła, nic więcej. Kieruje się w swym postępowaniu tylko metodą dyktowaną przez okoliczności. Lubi popisywać się rozległością swych zarządzeń, ale niejednokrotnie są one tak niewłaściwie zastosowane do sprawy, o którą chodzi, iż przypomina się wyrażenie Monsieur Jourdaina, który domagał się swej robe de chambre – pour mieux entendre la musique¹². Wyniki przez nią osiągnięte bywają nieraz zdumiewające, lecz przeważnie są one owocem zwyczajnej zapobiegliwości i sprężystości. Gdzie te zalety nie wystarczają, system zawodzi. Vidocq, na przykład, miał zmysł śledczy i dużą wytrwałość. Ale nie wyćwiczony w myśleniu, popełniał nieustannie błędy, wynikające właśnie z usilności jego śledczych poszukiwań. Umniejszył swą zdolność widzenia, patrząc na przedmioty z nazbyt bliskiej odległości. Był snadź zdolny dostrzec jeden lub dwa szczegóły z niepospolitą bystrością, lecz skupiając uwagę na nich, tracił oczywiście z oczu rzecz w całości. Tak to bywa, gdy ktoś chce być za głęboki. Prawda nie zawsze znajduje się w studni. Toteż mniemam, iż poszlaki większej wagi leżą zawsze na wierzchu. Prawdy szuka się w dolinach, ale znajduje się ją na wysokościach gór. Przy badaniu ciał niebieskich objawiają się typowe źródła i właściwości błędów tego rodzaju. Spoglądając na gwiazdę przelotnie – patrząc na nią ukośnie, mianowicie w ten sposób, iż zwraca się ku niej boczną częścią siatkówki (znacznie wrażliwszej na słabe oddziaływanie światła niżeli jej ośrodek), dostrzega się ową gwiazdę dokładnie – ocenia się najwłaściwiej jej świetlistość, która słabnie, w miarę jak zwracamy ku niej spojrzenie na wprost. Wprawdzie w drugim wypadku pada na oko więcej promieni, ale za to w pierwszym istnieje subtelniejsza pobudliwość na wrażenia wzrokowe. Nadmierne pogłębienie osłabia i mąci jasność myśli. Jakoż byłoby rzeczą możliwą, że nawet Venus znikłaby nam z roztoczy niebieskiej, gdybyśmy jęli śledzić ją z usilnością zbyt skupioną, zbyt wyteżoną, zbyt bezpośrednią.

Zastanówmy się nieco nad owymi zabójstwami, zanim ustalimy nasze poglądy. Śledztwo będzie dla nas rozrywką (w zestawieniu z tragizmem zdarzenia określenie to wydało mi się dziwaczne, ale nie rzekłem ani słowa), przy tym Le Bon wyświadczył mi raz pewną przysługę, za którą chciałbym się mu wywdziękzyć. Pójdziemy przyjrzeć się domostwu własnymi oczyma. Znam prefekta policji i sądzę, że otrzymamy bez trudu potrzebne pozwolenie.

Pozwolenia nam udzielono i udaliśmy się niezwłocznie na rue Morgue. Jest to jedna z owych nędznych przecznic, łączących rue Richelieu z rue SaintRoch. Było już pod wieczór, gdyśmy tam przybyli, jako że owa dzielnica znajduje się w znacznej odległości od naszej. Dom odszukaliśmy z łatwością, gdyż po przeciwnej stronie ulicy wciąż jeszcze gromadziło się mnóstwo przechodniów gapiących się na zamknięte okiennice z bezmyślną ciekawością. Była to zwyczajna kamienica paryska z bramą wjazdową, obok której znajdowała się oszklona nisza, a w niej ruchome okienko, świadczące, że mieściła się tu loge du concierge¹³. Zanim weszliśmy do bramy, chodziliśmy czas jakiś po ulicy i bocznym zaułkiem okrążyliśmy dom dokoła. Dupin przyglądał się mu i całemu otoczeniu z wyteżoną uwagą, ja natomiast nic ciekawego dostrzec nie mogłem.

Następnie zawróciliśmy, podeszliśmy ku domostwu od strony frontowej, zadzwoniliśmy i pokazaliśmy nasze upoważnienia agentowi, który nas wpuścił do wnętrza. Po schodach weszliśmy do pokoju, gdzie znaleziono zwłoki Mademoiselle L'Españaye i gdzie leżały jeszcze obie zmarłe. Nieladu, panującego w pokoju, nie tknięto, jak to zazwyczaj czyni się w podobnych wypadkach. Nie zauważyłem niczego więcej ponadto, o czym już czytałem w „Gazette des Tribunaux”. Dupin badał wszystko – nie wyłączając zwłok ofiar. Obejrzeliśmy z kolei inne pokoje, a potem zeszliliśmy na podwórze. Żandarm nie odstępował nas ani na krok. Śledztwo trwało do zmierzchu, po czym powróciliśmy do naszego mieszkania. Po drodze mój towarzysz wstąpił do biura jednego z pism codziennych.

¹² Robe de chambre pour. (te.) – szlafroka, aby leptej słuchać muzyki.

¹³ Loge du concierge (fr.) – stróżówka, portiernia.

Wspomniałem już, że mój przyjaciel miał mnóstwo dziwactw. *Je les menageais*¹⁴ (wyrażam się po francusku, gdyż na to określenie nie mogę znaleźć odpowiednika). Strzeliło mu coś do głowy i nie chciał rozmawiać ze mną o owych zabójstwach aż do południa następnego dnia. Wówczas zagadnął mnie, czy nie zauważyłem niczego osobliwego na miejscu zbrodni. Słowo „osobliwego” wymówił tak dziwnie, iż drgnąłem, sam nie wiedząc dlaczego.

– Nie, nic osobliwego – odparłem – przynajmniej nic innego, niż to, o czym obaj czytaliśmy w dzienniku.

– Lękam się – rzekł na to – iż „Gazette” nie wniknęła należycie w niewysłowioną groźbę tego zdarzenia. Lecz dajmy pokój gazetarskiej, czezej gadaninie. Sądzę, iż ta tajemnica uchodzi za niemożliwą do rozwikłania właśnie z tego powodu, dla którego należałoby ją uważać za łatwą do rozwiązania – a mianowicie z powodu niesłychaności swych objawów. Policję stropił oczywisty brak motywów nie samego zabójstwa, lecz okrucieństwa tegoż zabójstwa. Wprawiła ją również w zakłopotanie pozorna niemożliwość pogodzenia kłótni owych głosów z tą okolicznością, iż na górze nie znaleziono nikogo prócz nieżywej *Mademoiselle L'Españaye* oraz że niepodobna było umknąć stamtąd bez wiedzy osób wbiegających na schody. Dziki nieład w pokoju; zwłoki wtłoczone głową na dół w komin; straszliwie pokaleczone ciało staruszki – te okoliczności, skojarzone z już przytoczonymi jako też tymi, o których mówić nie potrzebuję, wystarczyły, by ubezwładnić władze i zmylić najzupełniej sławioną przenikliwość agentów państwowych. Popelnili oni grubą, lecz pospolitą pomyłkę pomieszania niezwykłości z niedocieczonością. Wszelako, właśnie dzięki tym odstępstwom od powszedniego porządku rzeczy, rozum może wysledzić drogę – o ile ona w ogóle istnieje – która wiedzie do prawdy. Prowadząc śledztwo takie jak obecne, nie tyle należy zwracać uwagę na to, „co się stało”, ile na to, „czego dotychczas nigdy jeszcze nie było”. Jakoż łatwość, z jaką przeniknę lub już przeniknąłem tę tajemnicę, pozostaje w prostym stosunku do oczywistej niemożności jej rozwikłania w mniemaniu policji.

Patrzyłem na mówiącego z niemym osłupieniem.

– Oczekuję obecnie – mówił dalej, spoglądając, ku drzwiom naszego pokoju – oczekuję obecnie osoby, która prawdopodobnie nie była sprawcą tej rzezi, ale w pewnej mierze musiała w niej uczestniczyć. Najcięższe brzemie odpowiedzialności za popełnione zbrodnie snadź na nią nie spada. Mam nadzieję, że moje przypuszczenia nie zawiodą, gdyż na nich to właśnie oparłem przewidywania, iż uda mi się rozwiązać całą zagadkę. Oczekuję tego człowieka tutaj – w tym pokoju – lada chwila. Może, co prawda, nie przyjdzie; istnieje jednakże prawdopodobieństwo, że przyjdzie. O ile by przyszedł, musi tu pozostać. Oto pistolety; a obaj wiemy, jak się z nimi obchodzić w razie potrzeby.

Wziąłem pistolety za ledwie wiedząc, co czynię, i nie dowierzając niemal własnym uszom. Tymczasem Dupin mówił dalej, jak gdyby sam do siebie. Napomknąłem już o jego roztargnieniu w podobnych chwilach. Zwracał swe słowa do mnie, ale głos jego, acz bynajmniej nie donośny, miał tę intonację, jakiej używa się zazwyczaj mówiąc do kogoś na znaczną odległość. Oczy jego straciły wyraz i patrzyły tylko na ścianę.

– Iż spierające się głosy, które słyszeli ludzie na schodach, nie były głosami owych kobiet, to w zupełności wykazało dochodzenie. Nie może być zatem mowy o pytaniu, czy przypadkiem staruszka nie zabiła najpierw córki, a potem nie popełniła samobójstwa. Poruszam tę wątpliwość jedynie ze względu na metodę, gdyż siły *Madame L'Españaye* nie mogłyby żadną miarą podolać tak silnemu wtłoczeniu trupa córki w otwór komina; ponadto rodzaj ran na jej własnym ciele nie dopuszcza zupełnie myśli o samobójstwie. Zabójstwo to popełniły zatem jakieś istoty trzecie i właśnie kłótnia tych trzecich była słyszana przez ludzi na schodach. Niechaj mi będzie wolno zwrócić teraz twoją uwagę nie na całość zeznań, dotyczących owych głosów, lecz na pewną osobliwość tych zeznań. Czy nie zauważyłeś w nich niczego osobliwego?

¹⁴ *Je les menageais* (fr.) – oszczędzałem ich.

Odpowiedziałem, że o ile wszyscy świadkowie przypuszczali zgodnie, iż głos chrapliwy był głosem Francuza, o tyle różnili się wielce co do głosu przenikliwego, który jeden z nich nazwał szorstkim.

– To było oczywiste – rzekł Dupin – ale nie na tym polegała osobliwość tej oczywistości. Nie zauważyłeś rzeczy najznamienniejszej; a jednak można ją zauważyć. Świadkowie, jak powiedziałeś, nie różnili się co do głosu chrapliwego; zeznali zgodnie. Natomiast o ile chodzi o głos przenikliwy, istnieje pewna osobliwość; polega ona nie na rozbieżności zeznań, lecz na tym, iż Włoch, Anglik, Hiszpan, Holender i Francuz, kiedy chcieli go określić, wszyscy wyrażali się o nim jako o głosie cudzoziemca. Każdy z nich jest pewien, że nie był to głos ziomka. Każdy porównywa go nie z głosem przedstawiciela obcego narodu, którego język jest mu znany, lecz wręcz przeciwnie. Francuz przypuszcza, że był to głos Hiszpana, i „mógłby był rozróżnić niektóre słowa, gdyby umiał po hiszpańsku”. Holender utrzymuje, że był to głos Francuza, wszelako stwierdzono, że świadek ten nie umie po francusku i był przesłuchiwany za pośrednictwem tłumacza. Anglikowi się zdaje, że był to głos Niemca, ale nie zna języka niemieckiego. Hiszpan „jest pewien”, że brzmiał z angielska, lecz „sądzi z intonacji”, gdyż nie zna języka angielskiego. Włoch mniema, że był to głos Rosjanina, lecz nie rozmawiał nigdy z rodowitym Rosjaninem. Drugi Francuz różni się od pierwszego i wie na pewno, że był to głos Włocha, wszelako nie znając włoskiego języka, „odnosi wrażenie” – podobnie jak Hiszpan – „z intonacji”. Otóż jak dziwnie niezwykły musiał być ten głos, skoro takie o nim zebrano zeznania – skoro w jego tonach mieszkający pięciu wielkich połaci Europy nie mogli dosłyszeć niczego swojskiego! Mógłbyś odpowiedzieć, że może był to głos Azjaty lub Afrykanina. Azjatów i Afrykanów nie ma zbyt wielu w Paryżu; atoli, nie przecząc tej możliwości, chciałbym zwrócić twą uwagę na trzy punkty. Jeden ze świadków określa głos ten jako „raczej szorstki niż przenikliwy”. Dwu innych wyraża się o nim, że był „przypieszony i nie równy”. Żaden z nich nie mógł rozróżnić ani słów” ani dźwięków, które by były do słów podobne. Nie wiem – ciągnął dalej Dupin – co myślisz o dotychczasowych mych wywodach, lecz mimo to nie waham się twierdzić, że uzasadnione wnioski bodaj z tej części zeznań – mianowicie części dotyczącej głosu chrapliwego i przenikliwego – już wystarczają, by powziąć podejrzenie, które winno by stać się myślą przewodnią dalszych dochodzeń w tajemniczej sprawie. Powiedziałem: wnioski uzasadnione, ale zwrot ten nie odpowiada w zupełności mojemu mniemaniu. Chciałem zaznaczyć, iż tylko te wnioski są słuszne i że to podejrzenie jest ich nieodzownym następstwem jako jedyny ich wynik. Nie powiem ci jednak od razu, na czym podejrzenie owo polega. Chciałbym tylko przekonać ciebie, że to podejrzenie było najzupełniej wystarczające, by nadać poszukiwaniom moim na miejscu zbrodni pewną dążność – określoną celowość.

Przenieśmy się teraz myślą do owego pokoju. Czegóż będziemy tam szukali? W jaki sposób zdołali ująć zabójcy? Byłoby chyba rzeczą zbyteczną nadmieniać, że obaj nie wierzymy w zdarzenia nadprzyrodzone. Madame i Mademoiselle L'Espanaye nie zginęły z ręki duchów. Sprawcy czynu byli materialni i umknęli w sposób najzupełniej materialny. Lecz jak? Na szczęście, w tej sprawie można rozumować tylko na jedną modłę, i to musi nas doprowadzić do ostatecznego rozstrzygnięcia. Zbadajmy kolejno wszystkie możliwe sposoby ucieczki. To pewne, iż zabójcy byli w pokoju, gdzie znaleziono Mademoiselle L'Espanaye, lub może w pokoju sąsiednim, gdy tłum wbiegał na schody. Tylko w tych dwu pokojach należy zatem szukać wyjścia. Policja porzywała posadzki, poobijała wszędzie z tynku sklepienia i ściany. Żadne wyjście tajne nie mogło ująć jej bacności. Nie dowierzając wszakże cudzym oczom, przyglądałem się wszystkiemu własnymi. Otóż nie ma tam ukrytego wyjścia. Dwoje drzwi, prowadzących z pokojów na korytarz, było mocno zamkniętych na klucz od wewnątrz. Przyjrzyjmy się kominom. Mają one zwykłą szerokość do wysokości jakichś ośmiu lub dziesięciu stóp ponad paleniskiem i nie zdołałby się przecisnąć przez nie nawet duży kot. Ujść jedną z dróg tylko co wymienionych jest rzeczą bezwarunkowo niemożliwą; pozostają więc tylko okna. Frontowymi nie mógł nikt umknąć, gdyż dostrzegłby go tłum zgromadzony na ulicy. Zabójcy uciekli zatem przez okna pokoju tylnego. Otóż

doszedłszy w tak niezawodny sposób do tego wniosku, nie możemy pominąć go, jako zwolennicy ścisłego rozumowania, ze względu na pozorne niemożliwości. Pozostaje nam tylko dowieść, że te pozorne „niemożliwości” bynajmniej nimi nie są.

W pokoju tym są dwa okna. Jedno z nich nie jest zastawione meblami i jest całkiem widoczne. Dolną część drugiego zasłania szczelnie do niego przysunięte, wielkie wezglowie łóżka. Jak się okazało, pierwsze było mocno zamknięte od wewnątrz. Oparło się wszystkim wysiłkom osób, które chciały je podnieść. W lewej jego ramie zauważono wielki otwór wywiercony świdrem, a w nim duży gwóźdź, wbity niemal aż po łepkę. Przy oglądaniu drugiego okna dostrzeżono także gwóźdź wbity w podobny sposób; mimo wyłożenia wszystkich sił nie udało się go również podnieść w górę. Policja była zatem najzupełniej przekonana, iż ucieczka nie nastąpiła w tym kierunku. I dlatego wydało się rzeczą zbyteczną wyjąć gwoździe i otworzyć okna.

Moje badania były nieco szczegółowsze, a to z powodów tylko co przytoczonych – mianowicie wiedziałem, iż chodzi o to, aby wykazać, że wszystkie pozorne niemożliwości bynajmniej niemożliwymi nie są.

Rozumowałem przeto dalej a posteriori. Zabójcy uszli przez jedno z tych okien. Uczyniwszy to, nie mogli z powrotem przytwierdzić ram od wewnątrz, jak je zastali przytwierdzone. Było to tak oczywiste, że położyło kres dalszym badaniom policyjnym w tym zakresie. A jednak ramy były przytwierdzone. Musiały zatem zamykać się same. Wniosku tego uniknąć nie było podobna. Podszedłem do okna nie zastawionego, wyciągnąłem gwóźdź z niejaką trudnością i próbowałem podnieść je w górę. Oparło się wszystkim moim wysiłkom, jak zresztą przewidywałem. Pojąłem tedy, iż musi istnieć ukryta sprężyna; to potwierdzenie mojej myśli zasadniczej przekonało mnie co najmniej o słuszności moich założeń, aczkolwiek wciąż jeszcze niejasna była sprawa gwoździ. Staranne poszukiwania doprowadziły rychło do wykrycia tajnej sprężyny. Nacisnąwszy ją i zadowolony się odkryciem, nie uważałem już za potrzebne podnosić okna.

Włożyłem następnie gwóźdź z powrotem na jego miejsce i przyglądałem się mu uważnie. Osoba, wychodząca przez okno, mogła je zamknąć i sprężyna byłaby chwyciła; ale gwoździa nie było można umieścić z powrotem. Wniosek był ścisły i znów zwęził zakres moich poszukiwań. A więc zabójcy musieli ujść przez drugie okno. Wychodząc z założenia, iż sprężyny u obu okien były takie same, trzeba było przyjąć, iż zachodziła różnica między gwoździami lub przynajmniej między sposobami ich wbicia. Stanąwszy na łóżku, uważnie przyglądałem się sponad wezglowia ramie okiennej. Przesunąwszy następnie rękę poza skraj łóżka, z łatwością odszukałem i nacisnąłem sprężynę, która – jak przypuszczałem – nie różniła się niczym od sąsiedniej. Przyjrzałem się potem gwoździowi. Był tak samo duży jak poprzedni i wbity na pozór w ten sam sposób, niemal aż po łepkę.

Zapewne wyobrażasz sobie, iż byłem zakłopotany; jeżeli jednak sądzisz w ten sposób, to chyba nie zdajesz sobie sprawy z natury moich wnioskowań. Mówiąc gwarą myśliwską, nie „zmyliłem tropu ani razu”. Węch nie zawiódł mnie ani na chwilę. Nie było skazy na żadnym ogniwie łańcucha. Prześledziłem tajemnicę aż do jej krańcowego punktu, a tym punktem był ów gwóźdź. Jak już wspomniałem, nie różnił się on niczym w wyglądzie od gwoździa z drugiego okna. Wszelako nie miało to żadnego znaczenia (jakkolwiek wydawało się zakończeniem wszystkiego) w porównaniu z przeświadczeniem, że punkt ten był kresem ostatecznym. „Coś tu musi być nie w porządku – powiedziałem sobie – z tym gwoździem”. Dotknąłem go i główka wraz z calowym odłamkiem została mi w palcach. Reszta ułamanego gwoździa pozostała w wywierconym otworze. Złamanie musiało nastąpić już dawno (gdyż brzegi pokrywała rdza) i pochodziło zapewne od uderzenia młota, które zagłębiło częściowo łepkę w brzegu ramy. Włożyłem znowu odłamek gwoździa, zakończony główką, starannie w zagłębienie, z którego wyjąłem, i podobieństwo do gwoździa całkowitego było zupełne – złamanie nie było widać. Nacisnąwszy sprężynę, podniosłem z lekka ramę na kilka cali w górę; główka gwoździa uniosła się wraz z nią, lecz ani nie drgnęła w swym łożysku. Zamknąłem okno i podobieństwo do nie naruszonego gwoździa znów było zupełne.

Powiodło mi się zatem dokonać rozwiązania zagadki. Zabójca uciekł przez okno przytykające do łóżka. Nie wiadomo, czy po jego ucieczce zatrzasnęło się samo, czy też zatrzasnęła je czyjaś ręka; to pewne, iż sprężyna zaskoczyła na swe miejsce. I ona to przytrzymała okno, a nie gwóźdź, jak mylnie sądziła policja, uważając z tego powodu dalsze dochodzenia za niepotrzebne.

Nasunęło się z kolei zagadnienie, w jaki sposób zabójca spuścił się na dół. Rozwiązałem je przechadzając się z tobą dokoła domu. Na jakie półszosta stopy od owego okna przebiega linia druciana od gromochronu. Z liny tej niepodobieństwem jest dosięgnąć okna ani też wejść na nie. Zauważyłem jednakże, iż okiennice czwartego piętra są tego szczególniejszego rodzaju, który stolarze paryscy nazywają ferrades; okiennic takich rzadko używa się obecnie, ale widuje się je często w prastarych domostwach Lyonu i Bordeaux. Mają one kształt zwyczajnych drzwi (całkowitych, a nie złożonych z podwoi), od których różnią się tylko tym, iż część dolna jest powyrzynana na wylot, podobnie jak dzierzgana krata, i dzięki temu stanowi doskonałe oparcie dla rąk. W wypadku, o którym mowa, szerokość okiennic wynosi przeszło półczwartej stopy. Gdyśmy patrzyli na nie z dołu, były one uchylone do połowy, to znaczy tworzyły z murem kąt prosty. Prawdopodobnie urzędnicy policyjni oglądali kamienicę także od tyłu, podobnie jak ja; jednakże patrząc na te ferrades od strony ich szerokości (bo niemogli patrzeć inaczej), nie zwrócili uwagi na rozmiary tejsze szerokości lub – co na jedno wychodzi – nie wzięli ich należycie pod rozwagę. Przyszedłszy bowiem do przekonania, iż ucieczka z tej strony była niemożliwa, zadowolili się oczywiście tylko pobieżnym obejrzeniem. Dla mnie natomiast było rzeczą jasną, iż gdyby okiennicę od okna u węzłowia łóżka odchylić aż do samego muru, to znalazłaby się ona o jakie dwie stopy od drucianej liny gromochronu. Zdawałem sobie również sprawę, iż istota, wyposażona niepoślednią przedsiębiorczością i odwagą, mogłaby w ten sposób przedostać się z owej liny na okno. Znalazłszy się bowiem w odległości półtrzeciej stopy (o ile przyjmiemy, że okiennica była otwarta w zupełności), złoczyńca mógł się uchwycić mocno dzierzganej kraty. Puściwszy się następnie liny, zaparłszy się nogami w ścianę i odepchnąwszy od niej, mógł silnym szarpnięciem spowodować zamknięcie się okiennicy i wskoczyć do pokoju, jeżeli okno było podówczas otwarte.

Pragnąłbym, byś przede wszystkim zapisał sobie głęboko w pamięci to, co powiedziałem o arcy niepospolitym stopniu energii, jaka była potrzebna do pomyślnego wykonania tak trudnego i karkołomnego przedsięwzięcia. Zamierzam najpierw dowieść ci, iż było ono możliwe, następnie zaś – i o to głównie mi chodzi – zwrócić twoją uwagę na niesłychany i niemal nadnaturalny charakter zręczności, która zdołała się go podjąć.

Powiesz zapewne, posługując się wyrażeniem prawniczym, iż chcąc „rozdać sprawę”, powinien bym raczej umniejszać znaczenie energii okazanej w tym wypadku, niż dokładać starań, aby wyszła na jaw w całej pełni. Być może, iż tak bywa w sądach, ale inne są wymagania rozumu. Moim ostatecznym celem jest czysta prawda. Bezpośrednim zaś moim zamierzeniem jest skłonić cię do zestawienia tej nader niezwyklej energii, o której przed chwilą wspomniałem, z owym arcyprzenikliwym (czy szorstkim) i nierównym głosem, którego narodowości nie zdołały oznaczyć zgodnie bodaj dwie osoby i w którego brzmieniunikt nie mógł dosłyszeć podziału na zgłoski.

Pod wpływem tych słów mglista i jeszcze nie ukształtowana świadomość poglądu Dupina zaświtała mi w mózgu. Zdawało mi się, że jestem na pograniczu zrozumienia, wszelako zrozumieć nie mogłem, podobnie jak to bywa czasem z ludźmi, którzy wahają się już na skraju przypomnienia, a jednak w zupełności przypomnieć sobie nie są zdolni. Tymczasem mój przyjaciel mówił dalej:

– Jak widzisz, zagadnienie, w jaki sposób odbyła się ucieczka, przekształciłem w zagadnienie, jak nastąpiło wtargnięcie. Zamierzeniem moim było wykazać, iż zarówno wejście, jak wyjście dokonało się w ten sam sposób i na tym samym miejscu. Wróćmy teraz do wnętrza pokoju. Rozejrzyjmy się w jego wyglądzie. Szuflady komody rzekomo uległy grabieży, chociaż pozostało w nich jeszcze wiele przedmiotów wchodzących w skład kobiecego stroju. Wnioskowanie to jest niedorzeczne. To tylko przypuszczenie – niemądre przypuszczenie – nic więcej. Skądże wiado-

mo, iż przedmioty, znalezione w szufladach, nie stanowiły całkowicie pierwotnej ich zawartości? Madame L'Esplanade i jej córka żyły samotnie – nie bywały w towarzystwach – rzadko wychodziły z domu – nie miały potrzeby zmieniać często swych strojów. Te, które znaleziono, nie ustępowały bynajmniej jakością innej odzieży, stanowiącej własność tych pań. Jeżeli złoczyńca zabrał cokolwiek, to czemuż nie wziął rzeczy najcenniejszych – czemu nie zabrał wszystkich? Słowem, dlaczego porzucił cztery tysiące franków w złocie, a obarczył się pękiem bielizny? Złoto pozostało. Niemal całą sumę, o której wspominał bankier, M. Mignaud, znaleziono w workach na posadźce. Pragnąłbym więc wypłenić z twych myśli bałamutną ideę zysku, wylęgłą w mózgach policji pod wpływem zeznań o pieniądzach, doręczonych u bramy kamienicy. Zbieżności, dziesięciokrotnie ważniejsze od przytoczonej (doręczenie pieniędzy i zbrodnia, popełniona po upływie trzech dni na osobie, która je odebrała), zdarzają się co godzina w naszym życiu, a jednak nawet przelotnie nie zwracają na siebie niczyjej uwagi. Zresztą zbieżności są w ogóle wielkimi kamieniami obrazy, zawałającymi drogę tej kategorii myślicieli, którzy nie mają pojęcia o teorii możliwości – a jej to właśnie najszczytniejsze dziedziny badań ludzkich zawdzięczają chwałę swych rozwidnień. Gdyby w wypadku, który nas obchodzi, złoto było znikło, to okoliczność doręczenia go na trzy dni przedtem byłaby czymś więcej niż zbieżnością. Stanowiłaby potwierdzenie owej idei zysku. Jeżeli wszakże, mając rzeczywisty stan rzeczy na uwadze, przypuścimy, iż złoto było powodem tej napaści, to musimy również przyjąć, że sprawca był do tego stopnia niezdarą i matołkiem, iż wyrzekł się złota oraz motywu, który nim powodował.

Nie zapominając tedy ani przez chwilę o szczegółach, które ci wyluszczyłem – a więc o owym osobliwym głosie, o nadzwyczajnej zręczności jako też o tym, iż ta wyjątkowo potworna zbrodnia wykazuje zastanawiający brak motywów – pozwól, iż przyjrzymy się z kolei samej rzezi. Oto czyjeś ręce zadławiły na śmierć kobietę i wtłoczyły ją w komin, głową na dół. Zbrodniarze zwyczajni nie posługują się podobnymi sposobami zabójstwa. Przede wszystkim zaś nie obchodzą się tak dziwnie ze zwłokami swych ofiar. Ze sposobu, w jaki wtłoczono trupa w przewód komina, wywnioskujesz przecie, iż zaszło coś bezgranicznie dziwaczne – coś bezwarunkowo nie dającego się pogodzić z właściwym nam pojmowaniem czynności ludzkich, nawet w takim razie, jeżeli przypuścimy, iż sprawcy byli najostatniejszymi wyrzutkami ludzkości. Zastanów się ponadto, jak olbrzymia musiała być siła, która zdołała wtłoczyć zwłoki w przewód z taką mocą, iż zaledwo połączone wysiłki kilku osób zdołały je wydobyć z powrotem!

Zwróćmy następnie uwagę na inne oznaki tej nieuskromionej siły. Na palenisku znajdowały się grube pasma – bardzo grube pasma – siwych, ludzkich włosów. Wyrwano je wraz z korzonkami. Wiesz dobrze, jak znacznej siły potrzeba, by wyrwać na raz z głowy chociażby tylko dwadzieścia lub trzydzieści włosów. Widziałeś te kłaki tak samo, jak ja. U nasady (co za ohydny widok!) były pozlepiane krwawymi strzępami skóry – niezawodna oznaka zdumiewającej mocy, jakiej użyto, by wyrwać wraz z korzonkami za jednym zamachem jakie pół miliona włosów. Gardziel staruszki była w ten sposób przecięta, iż głowa po prostu odpadła od tułowia – a narzędziem była zwykła brzytwa. Pragnąłbym, byś uprzytomnił sobie zwierzęcą dzikość tych czynów. Obrażenia na ciele Madame L'Esplanade pominię. Monsieur Dumas i jego szanowny asystent, Monsieur Etienne, orzekli, iż zadano je jakimś tępym narzędziem, ł mieli najzupełniejszą słuszność. Owym tępym narzędziem był kamienny bruk podwórka, na które spadła ofiara z okna przytykającego do łóżka. Pomysł ten, choć na pozór najzupełniej zwyczajny, nie powstał w mózgach policji dla tego samego powodu, dla którego szerokość okiennic uszła jej uwagi: tak szalenie zagwoździły jej zdolność pojmowania owe gwoździe, iż nie przypuszczała, by okna w ogóle mogły być otwierane.

Jeżeli na domiar wzięłeś należycie pod rozwagę cudaczny nieład w pokoju, to będziemy mieli wszystkie dane, by skojarzyć pojęcia przedziwnej zręczności, nadludzkiej siły, zwierzęcej dzikości, bezcelowej zbrodni, cudactwa, którego groteskowa groza nie ma nic wspólnego z człowieczeństwem, a także głosu, którego ton brzmiał obco w uszach ludzi wielu narodowości i był najzupełniej pozbawiony wyraźnego i zrozumiałego podziału na zgłoski. Do jakiegoż zatem docho-

dzisz wniosku? Jakie wrażenie wywarłem na twojej wyobraźni? Dreszcz jakiś przebiegł moje ciało, gdy Dupin postawił mi to pytanie.

– Szalenciec – rzekłem – dopuścił się tego czynu;

jakiś obłąkany maniak, co zbiegł z pobliskiego domu wariatów.

– Są okoliczności – odparł – które przemawiają za twoim zdaniem. Wszelako głosy szaleńców, nawet w chwilach najdzikszego ich rozpetania, nie dadzą się żadną miarą pogodzić z owym szczególniejszym głosem, zasłyszonym na schodach. Każdy wariat należy do jakiegoś narodu, a język jego, acz bezładny w słowach, wykazuje zawsze ład w zgłoskowaniu. Ponadto włosy szaleńców różnią się od tych, które w tej chwili trzymam w dłoni. Wyskubałem ten oto mały kosmyk z odrętwiałych i zaciśniętych palców Madame L'Españaye. Powiedz mi, co sądzisz o nich?

– Dupin! – rzekłem wstrząśnięty do głębi – to jakieś dziwne włosy – to nie są ludzkie włosy!

– Bynajmniej tego nie utrzymywałem – odezwał się – zanim jednak coś o nich postanowimy, chciałbym, byś rzucił okiem na rysunek, skreślony przeze mnie na tym oto papierze. Jest to rysunkowa podobizna tego, co jedni świadkowie określili jako „ciemne sińce i głębokie ślady paznokci” na gardzieli Mademoiselle L'Españaye, inni zaś (mianowicie Messieurs Dumas i Etienne) jako „szereg nabiegłych krwią plam, które były niewątpliwie następstwem ucisku palców”.

– Jak widzisz – mówił dalej mój przyjaciel, rozpościerając papier na stole – rysunek ten daje wyobrażenie krzepkiego i pewnego chwytu. Jakichkolwiek ześliznień nie widać. Każdy palec wytrwał – prawdopodobnie aż do zgonu ofiary – w straszliwym ucisku, z jakim pierwotnie się zagłębił. Spróbujże teraz umieścić od razu swe palce w odpowiednich śladach, które tu masz zaznaczone. Spróbowałem, ale nadaremnie.

– Być może, iż zabieramy się do rzeczy w niewłaściwy sposób – powiedział. – Papier ten leży na powierzchni płaskiej, a gardziel ludzka jest walcowata. Oto walec drewniany, który ma ten obwód, co szyja ludzka. Owiń dokoła niego rysunek i spróbuj raz jeszcze.

Postąpiłem wedle jego wskazówek, lecz trudność jeszcze się wzmogła.

– Nie, to nie są ślady ręki ludzkiej – rzekłem.

– Przeczytajże teraz – odparł Dupin – ten ustęp z Cuviera.

Był to drobiazgowy opis anatomiczny wielkiego brunatnego orangutana z Archipelagu Wschodnioindyjskiego. Olbrzymia postawa, niesłychana zręczność i siła, niepohamowana dzikość i właściwości naśladowcze tego ssaka są wszystkim dostatecznie znane. Pojąłem od razu całą potworność zabójstwa.

– Opis palców – powiedziałem skończywszy czytać – wykazuje najzupełniejszą zgodność z tym rysunkiem. Przekonywam się, że żadne inne zwierzę prócz orangutana z wymienionego tu gatunku nie mogło pozostawić śladów uwidoczniomych na twoim rysunku. Także ten kosmyk brunatnej sierści odpowiada najzupełniej potworowi z opisu Cuviera. Wszelako żadną miarą nie mogę zdać sobie sprawy ze szczegółów tej przerażającej tajemnicy. Przy tym słyszano sprzeczkę dwu głosów, z których jeden był na pewno głosem Francuza.

– To prawda – i przypominasz sobie zapewne wykrzyknik, przypisywany przez świadków niemal jednomyślnie owemu głosowi; miał on brzmieć: mon Dieu! Słowa te, ze względu na towarzyszące okoliczności, słusznie określił jeden ze świadków (cukiernik Montani) jako wyraz wyrzutu czy upomnienia. Na nich to polegała przede wszystkim moja nadzieja zupełnego rozwiązania zagadki. Jakiś Francuz wiedział o tym zabójstwie. Jest rzeczą możliwą – a nawet więcej niż prawdopodobną, iż jest najzupełniej nie winien współdziałania w krwawym dziele. Być może, iż orangutan mu uciekł. Być również może, iż podążył jego śladem, lecz wśród wstrząsających okoliczności, jakie tam nastąpiły, nie zdołał pojmać go z powrotem. Zwierzę jest jeszcze na wolności. Nie będę snuł dalej tych przypuszczeń, gdyż nie mam prawa odwoływać się do nich – jako mgławice rozumowań, które służą im za podstawę, sięgają zaledwie tak głęboko, iż mogą być ocenione tylko przez mój własny rozum; nie mogę zatem dążyć do uprzystępnienia ich zrozumieniu cudzemu. Nazywajmy je tedy tylko przypuszczeniami i nie uważajmy ich za nic innego. Je-

żeli ów Francuz, jak mniemam, istotnie jest nie winien tego okrucieństwa, to ogłoszenie, które wczoraj wieczorem, gdyśmy wracali do domu, oddałem do zamieszczenia w redakcji „Le Monde” (dziennik poświęcony sprawom żeglarskim i czytany powszechnie przez marynarzy), powinno go sprowadzić w nasze progi. Wręczył mi dziennik, w którym przeczytałem:

„NADZWYCZAJ DUŻEGO ORANGUTANA z gatunku żyjącego na Borneo schwymano wczesnym rankiem dnia... (tu następowała data morderstwa) w Bois de Boulogne. Właściciel jego (o którym wiadomo, iż jest marynarzem i należy do załogi statku maltańskiego) może go odebrać po dostatecznym stwierdzeniu tożsamości i uiszczeniu niewielkiego wynagrodzenia za schwytanie i żywienie zwierzęcia. Wiadomości zasięgnąć można pod nrem... przy rue..., Faubourg Saint-Germain, trzecie piętro.”

– Skądże ty możesz wiedzieć – zagadnąłem – że ów człowiek jest marynarzem i należy do załogi maltańskiego statku?

– Toteż nie wiem tego – odparł Dupin. – Przynajmniej nie jestem pewien. Lecz spójrz, proszę cię, na ten strzęp wstążki, która – jak domyślam się z kształtu i zatłuszczonego wyglądu – służyła zapewne do wiązania włosów w owe długie harcapy, stanowiące chlubę marynarzy. Ponadto takiego węzła nikt nie zdoła zawiązać prócz marynarzy, w szczególności zaś Maltańczyków. Znalazłem tę wstążkę pod gromochronem. Nie należała na pewno do ofiar wypadku. Zresztą, jeżeli nawet się mylę, wnioskując z tej wstążki, iż ów Francuz należy do załogi maltańskiego statku, to ogłoszenie moje nie wyrządzi przecież krzywdy nikomu. Gdybym pobłądził, pomyśli sobie po prostu, iż wprowadziła mnie w błąd jakaś okoliczność, i nie zechce trudzić się poszukiwaniem. Jeżeli natomiast mam słuszość, to wygrałem wielką stawkę. Wiedząc o zabójstwie, Francuz, acz niewinny, będzie się wahał, czy usłuchać wezwania – czy domagać się zwrotu orangutana. Będzie rozumował w ten sposób; jestem niewinny; jestem biedny; mój orangutan ma wielką wartość – dla człowieka w moich warunkach to niemal majątek – czemuż mam go się pozbyć dla jakichś urojonych niebezpieczeństw? Jest do odebrania. Znalaziono go w Bois de Boulogne – bardzo daleko od widowni krwawego wypadku. Czyż ktoś może przypuszczać, by nierozumne zwierzę było sprawcą tego czynu? Policja jest w błędzie – nie zdołała znaleźć najłżejszej poszlaki. Gdyby nawet wytropiono zwierzę, to jeszcze byłoby rzeczą niemożliwą dowieść mi, że wiem o zbrodni lub poczytać mi za winę, że o niej wiedziałem. To jednak pewne, iż ktoś wie o mnie. Ogłoszenie w dzienniku wyraża się o mnie jako o właścicielu zwierzęcia. Nie jestem pewien, jak daleko te wiadomości sięgają. Jeżeli zaniedbam się upomnieć o tak cenną własność, o której wiadomo, że do mnie należy, to zwierzę może stać się przyczyną podejrzeń. Nie wyszłoby mi na dobre, gdyby zwrócono uwagę czy to na mnie, czy też na małpę. Pójdę za wezwaniem, odbiorę orangutana i będę go trzymał w zamknięciu, aż cała sprawa przycichnie.

W tej chwili usłyszeliśmy stapanie na schodach. – Miej pistolety w pogotowiu – rzekł Dupin – ale ich nie pokazuj i nie strzelaj, dopóki nie dam znaku. Brama domu stała otworem, przybysz wszedł przeto nie dzwoniąc i jął wstępować na schody. Wnet jednak jakby się zawahał. Po chwili począł schodzić na dół. Dupin szybko podbiegł ku drzwiom, wszelako tejże samej chwili nieznamy zmienił kierunek; podążył znowu w górę. Nie zawrócił ponownie, lecz stąpił dalej stanowczym krokiem i zapukał w końcu do drzwi naszego pokoju.

– Proszę! – odezwał się Dupin pogodnym i serdecznym głosem.

Nieznamy wszedł do pokoju. Był to niewątpliwie marynarz – człowiek rośli, barczysty i muskularny, z miną zadzierzystą, jakby kpił sobie z wszystkich diabłów, nie pozbawioną jednak ujmującego wyrazu. Twarz jego, mocno opalona, zatracala się na poły w gęstwinie wąsów i bokobrodów. Dzierżył potężny kij dębowy, lecz nie miał zapewne przy sobie innej broni. Skłonił się niezgrabnie i powitał nas słowami:

„dobry wieczór”, z francuskim akcentem, skażonym nieco neufchatelskim nalotem, lecz świadczącym mimo to dostatecznie o pochodzeniu paryskim.

– Proszę siadać – rzekł Dupin. – Przychodzi pan zapewne po swego orangutana? Niemal go panu zazdroszczę; daję słowo! Nadzwyczaj piękne i niewątpliwie bardzo cenne zwierzę. Jak pan przypuszcza, w jakim może być wieku?

Marynarz odetchnął głęboko, jak człowiek, któremu ciężki kamień spadł z serca, i odparł pewnym głosem:

– To trudno powiedzieć, lecz nie może mieć więcej niż cztery lub pięć lat. Czy ma go pan tutaj?

– O nie, nie było tu dla niego pomieszczenia. Trzymam go w wynajętej stajni, tuż obok, przy rue Dubourg. Mogę go oddać panu jutro rano. Czy potrafi pan udowodnić, iż jest pańską własnością?

– To się rozumie.

– Nielatwo mi przyjdzie rozstać się z nim – odezwał się Dupin.

– Nie żądam przecie usług za darmo – rzekł nieznamy. – Ani mi przez myśl nie przeszło coś podobnego! Zapłacę chętnie wynagrodzenie za schwytanie zwierzęcia – ma się rozumieć, umiarkowane.

– Zgoda! – odparł mój przyjaciel. – To bardzo pięknie z pańskiej strony. Co by tu zażądać? Zaraz... już wiem. Moje wynagrodzenie będzie polegało na tym, iż dowiem się wszystkiego, co tylko pan wie, o zabójstwie przy rue Morgue.

Ostatnie słowa wyrzekł Dupin bardzo cicho i bardzo spokojnie. Z nie mniejszym spokojem podszedł do drzwi i zamknął je na klucz, który włożył do kieszeni. Po czym wyjął pistolet z zanzardza i nie spiesząc się położył go na stole.

Marynarzowi krew uderzyła do głowy, jak w przystępie duszności. Zerwał się z miejsca i zaciął kij w pięści, lecz po chwili powalił się znów ciężko na krzesło, drżąc na całym ciele. Z rysów jego wyzierało Śmiertelne przerażenie. Nie rzekł ani słowa. Żal mi go było serdecznie.

– Mój przyjacielu – rzekł Dupin dobrotliwie – niepotrzebnie pan się niepokoi, naprawdę niepotrzebnie! Nie chcemy sprawić panu przykrości. Daję słowo uczciwego człowieka i Francuza, że nie wyrządzimy panu krzywdy. Wiem najzupełniej dokładnie, że okrucieństwa przy rue Morgue nie były pańskim dziełem. Nie znaczy to jednak, jakobym przeczył, iż w pewnej mierze pan w nich uczestniczył. Z tego, co już powiedziałem, domyśli się pan zapewne, iż mam sposoby, za pomocą których udało mi się zasięgnąć o tej sprawie wiadomości – sposoby, o jakich panu nigdy się nie śniło. Otóż rzecz przedstawia się tak: nie uczynił pan nic takiego, czego można było uniknąć, i na pewno nie dopuścił się pan niczego, co by czyniło pana winowajcą. Nie popełnił pan nawet kradzieży, jakkolwiek mógł pan kraść bezkarnie. Nie ma pan nic do ukrycia. Nie ma pan powodu do ukrywania. Jest więc najprostszym obowiązkiem honoru wyznać wszystko, co panu wiadomo. Uwięziono niedawno niewinnego człowieka, podejrzanego o zbrodnię, której sprawcę pan może wskazać.

Podczas przemówienia Dupina marynarz odzyskał w znacznej mierze przytomność umysłu, atoli dawniejsze jego zuchwalstwo znikło zupełnie.

– Bodajby mnie Bóg skarał – rzekł po krótkiej chwili – jeśli nie powiem panu wszystkiego, co wiem o tej sprawie; wszelako nie spodziewam się, żeby mi pan uwierzył, chociażby w połowie; byłbym wariatem, gdybym spodziewał się czegoś podobnego. Atoli jestem niewinny i wyznam wszystko, nawet gdybym miał to przyplacić życiem.

Opowieść jego brzmiała w streszczeniu następująco. Niedawno odbywał podróż po Archipelagu Indyjskim. Gromada marynarzy, do której należał, wylądowała na Borneo i wybrała się na wycieczkę w głąb wyspy. Przy pomocy jednego z towarzyszy udało mu się schwycić orangutana. Towarzysz ten zmarł i zwierzę stało się wyłączną jego własnością. Po wielkich przykrościach, spowodowanych podczas podróży powrotnej nieuskromioną dzikością małpy, powiodło mu się w końcu umieścić ją w swym mieszkaniu w Paryżu. By uniknąć nieznośnej ciekawości sąsiadów, trzymał zwierzę w zamknięciu, co miało trwać aż do wygojenia mu się rany w nodze skaleczonej drzazgą na pokładzie okrętu. Ostatecznie zamierzał je sprzedać.

Powróciwszy z jakiejś koleżeńkiej hulanki do domu nocą, a raczej wczesnym rankiem tego dnia, kiedy nastąpiło zabójstwo, zastał małpę w swej sypialni, do której włamała się z przyległej komórki, gdzie – jak mu się dotychczas zdawało – przebywała w bezpiecznym zamknięciu. Z brzytwą w ręce i cała umazana mydłem siedziała przed lustrem i próbowała się golić, w czym zapewne podpatrzyła poprzednio swego pana przez dziurkę od klucza. Struchlały na widok tego niebezpiecznego narzędzia w rękach tak dzikiego zwierzęcia, które znakomicie umiało się nim posługiwać, marynarz nie wiedział zrazu, co począć. Przyzwyczajony jednakowoż do poskramiwania nawet najwściekłych wybuchów małpy za pomocą bata, zamierzał posłużyć się nim i tym także razem. Na widok bata orangutan wybiegł przez otwarte drzwi pokoju, stoczył się po schodach i wyskoczył na ulicę przez okno, które na nieszczęście stało otworem.

Zrozpaczony Francuz puścił się w pogoń; małpa, nie wypuszczając brzytwy z ręki, zatrzymywała się co chwila, by spojrzeć poza siebie, i stroiła miny do swego prześladowcy; kiedy zaś już ją dopędzał, uciekała dalej. Pościg ten trwał dość długo. Na ulicach panowała głęboka cisza, gdyż była zaledwie trzecia rano. W wąskiej uliczce, co przebiega tuż obok rue Morgue, zauważyła uciekająca małpa światło jarzące się z otwartego okna pokoju, który Madame L'Españaye zajmowała na czwartym piętrze swego domu. Podbiegłszy do muru dostrzegła linę gromochronu, wspięła się na nią z niepojętą zręcznością, uchwyciła się okiennicy uchylonej aż do samego muru i przy jej pomocy wskoczyła na wezłowie łóżka. Wszystko to nie trwało nawet minuty. Orangutan, wdzierając się do pokoju, kopnięciem nogi znów otworzył na oścież okiennice.

Tymczasem marynarz zarazem cieszył się i trwożył. Miał bowiem niepłonną nadzieję, iż oto uda mu się odzyskać zwierzę, które wpadło w pułapkę i mogło wydostać się z niej tylko po linie, gdzie było nietrudno przeszkodzić jego ucieczce. Równocześnie ogarniał marynarza niepokój, gdy nasuwało mu się pytanie, co małpa może spłatać w tym domu. Myśl ta kazała mu nie ustawać w pościgu. Wspiąć się na linę gromochronu nie jest zbyt trudno, zwłaszcza dla marynarza. Kiedy jednak znalazł się na wysokości okna, które znajdowało się na lewo od niego, musiał się zatrzymać; mógł uczynić zaledwie tyle, by wyprostować się i zajrzeć do wnętrza pokoju. Zajrzawszy jednak, omal nie postradał równowagi z przerażenia. Było to wówczas, kiedy wśród ciszy nocnej rozległy się straszliwe krzyki, budząc ze snu struchlałych mieszkańców rue Morgue. Madame L'Españaye i jej córka, obie ubrane do snu, były – jak się zdaje – zajęte porządkowaniem jakichś papierów we wspomnianej już żelaznej szkatułce, wyciągniętej na środek pokoju. Była otwarta, a jej zawartość leżała obok na posadzce. Ofiary siedziały zapewne odwrócone od okna, zaś z czasu, jaki upłynął między wtargnięciem zwierzęcia a krzykami wynika, że nie dostrzegły go od razu. Stuknięcie okiennicy przypisywały zapewne wiatrowi.

Kiedy marynarz zajrzał do środka, potworne zwierzę ujęło Madame L'Españaye za włosy (które były rozpuszczone, gdyż właśnie się czesała) i jęło wymachiwać brzytwą dokoła jej twarzy, naśladując ruchy golarza. Córka leżała nieruchomo na posadzce; postradała przytomność. Pod wpływem krzyków i szamotania się staruszki (której małpa wyrwała przy tym włosy) – pokojowe – jak się zdaje – zamiary orangutana zamieniły się we wściekłość. Stanowczym ruchem potężnego ramienia odcięła niemal jej głowę od tułowia. Na widok krwi gniew jego rozplomieniał się do szału. Zgrzytając zębami i sypiąc skrami z oczu rzucił się na ciało dziewczyny, wpił straszliwe szpony w jej gardło i zadławił ją na śmierć. Jego błędne i dzikie spojrzenie zwróciło się w tej chwili ku wezłowiu łóżka, znad którego wyjrzała właśnie twarz jego pana, zakrzepła z przerażenia. Wściekłość potwora, który bez wątpienia nie zapominał jeszcze okrutnego bata, przedzierzgnęła się natychmiast w trwożę. Wiedząc, iż zasłużył na karę, i jak gdyby pragnąc ukryć swe krwawe czyny, miotał się w przystępie nerwowego podniecenia po pokoju, przewracał i druzgotał co krok meble i powyrzucał materace z łóżka. W końcu porwał najpierw trupa dziewczyny i wtłoczył w komin, gdzie go znaleziono, następnie zaś zwłoki staruszki, które głową na dół niezwłocznie wyrzucił przez okno.

Gdy małpa z okaleczonym ciałem podbiegła do okna, struchlały marynarz przylgnął znów do liny i ślizgając się raczej niż czepiając opuścił się na ziemię – po czym natychmiast pobiegł do

domu i wzdrygając się na myśl o następstwach tej rzezi wyrzekł się, strwożony, dalszych poszukiwań orangutana. Słowa zasłyszane na schodach były to okrzyki, którymi Francuz wyrażał swą grozę i przerażenie i na które odpowiadały mu szatańskie skowyty potwora.

Niewiele pozostaje mi do nadmienienia. Orangutan uciekł zapewne z pokoju po linie, kiedy przystępowano do wyłamania drzwi. Wyskakując z okna, zatrzasnął je snadź za sobą.

Ostatecznie zdołał go pojmać sam właściciel, który sprzedał go drogo do Jardin des Plantes. Le Bon został wypuszczony natychmiast z więzienia, gdyśmy w biurze prefekta policji opowiedzieli, co zaszło, a Dupin oświetlił wypadki po swojemu. Prefekt, acz nader życzliwie usposobiony do mojego przyjaciela, nie mógł mimo to całkiem ukryć niezadowolenia z takiego obrotu sprawy i pozwolił sobie na jedną czy dwie złośliwości o osobach, co wtrącają się do nie swoich rzeczy.

– Niechaj sobie gada – rzekł Dupin, który nie uważał za stosowne mu odpowiedzieć. – Niechaj się wyskarży! To ulży jego sumieniu. Jestem zadowolony, iż zwyciężyłem go w jego własnej dziedzinie. Nie pojmuję tylko, dlaczego tak bardzo wydziwia, iż nie powiodło mu się rozwiązać tej zagadki, gdyż mówiąc prawdę – nasz przyjaciel prefekt zbyt jest szczywany, aby mógł być głęboki. Jego znajomość rzeczy nie ma kręgosłupa. Jest tylko głową, a nie ciałem, jak wizerunki bogini Laverny – lub, co najwyżej, głową i ramionami na podobieństwo dorsza. Lecz, mimo wszystko, to człowiek wcale przyzwoity. Lubię go za przedziwny w jego naturze rys cantu, któremu zawdzięcza wygórowane mniemanie o swych zdolnościach. Mam mianowicie na myśli jego właściwość de nier ce qui est, et d'expliquer ce qui n'est pas¹⁵.

¹⁵ de nier ce qui est... (tr.) – przeczenie temu, co jest, i tłumaczenie tego, czego nie ma.

Tajemnica Marii Roget¹⁶

Es gibt eme Reihe idealistischer Begebenheiten, die der Wirklichkeit parallel Iduft. Selten fal-
len sie zusammen. Menschen und Zufalle modifizieren gewöhnlich die idealistische Begebenheit,
so dass sie unvollkommen erscheint, und ihre Folgen gleichfalls unvollkommen sind. So bei der
Reformation; statt des Protestantismus kam das Lutherthum hervor.

Istnieje szereg zjawisk natury idealistycznej, które przebiegają równolegle do rzeczywistości.
Rzadko się z nią zbiegają. Ludzie i przypadki wywierają zwykle swój wpływ na tego rodzaju
zjawisko, tak że występuje ono w formie niezupełnie prawidłowej; tak że jego skutki również są
nieprawidłowe. Podobnie było z Reformacją: zamiast protestantyzmu nastąpił luteranizm.

Noyalis: „Morale Ansichten”

Niewiele jest osób, nawet wśród najspokojniejszych myślicieli, które by w pewnych razach nie
ulegała przyływowi nieuchwytny, lecz niemniej wstrząsającej do rdzenia, połowicznej wiary w
rzeczy nadprzyrodzone, gdy jakiś zbieg okoliczności przybierze tak osobliwy na pozór charakter,
że intelekt nie może pogodzić się z wnioskiem, jakoby to był tylko zbieg okoliczności.

Odczuwania tego rodzaju – gdyż połowiczne wierzenia, o których mowa, nie miewają nigdy
pełnej mocy myśli – odczuwania takie rzadko kiedy dają się całkowicie stłumić, i to tylko przy
pomocy teorii przypadkowości, czyli – jak brzmi nazwa techniczna – rachunku prawdopodobień-
stwa. Rachunek ten jest w swej istocie wyłącznie matematyczny; i oto mamy do czynienia z taką
osobliwością, iż surowa ścisłość wiedzy znajduje zastosowanie do świata cieniów i do duchowo-
ści zjawisk, najbardziej nieuchwytnych w dziedzinie spekulacji.

¹⁶ Przy pierwotnym ogłoszeniu drukiem opowiadania o Marii Roget dołączone obecnie przy-
piski mogły wydawać się zbyt liczne. Upłynęło już jednak kilka lat od czasu, kiedy zdarzyła się
tragedia, która posłużyła temu opowiadaniu za ośnowę, i okazała się potrzeba umieszczenia ich
jako też dodania kilku słów wyjaśniających myśl przewodnią. W pobliżu Nowego Jorku padła
ofiara zbrodni młoda dziewczyna, Maria Cecylia Rogers, i aczkolwiek śmierć ta wywołała silne i
długotrwałe zaniepokojenie, spowijającej ją tajemnicy nie zdołano przeniknąć do chwili, kiedy
niniejsza nowela została napisana i pojawiła się w druku (listopad 1842). Pod płaszczykiem opo-
wieści o losach gryzетки paryskiej autor wdał się tu w drobiazgowy wywód szczegółów istotnych,
jako też równoległych z nimi szczegółów nieistotnych rzeczywistego zabójstwa Marii Rogers. W
ten sposób wszelkie dowodzenie, oparte na zmyśleniu, daje się zastosować do prawdy, zaś celem
było właśnie poszukiwanie prawdy.

Tajemnica Marii Roget była pisana z dala od widowni zbrodni i bez żadnych innych środków śledczych prócz
zebranych przygodnie dzienników. Wiele zatem szczegółów uszło uwagi autora, który byłby się z nimi zapoznał,
gdyby był na miejscu i zajął osobiście do wszystkich zakątków. Wypada jednakowoż nadmienić, że zeznania
dwu osób (z których jedną jest Madame Deluc z noweli), poczynione w różnych czasach i na długo przed ogłosze-
nieniem opowieści, potwierdziły w zupełności nie tylko wniosek ostateczny, lecz bezwzględnie wszystkie waż-
niejsze szczegóły hipotetyczne, które do wyprowadzenia tego wniosku posłużyły (E. A. P.).

Nadzwyczajne zdarzenia, które na życzenie podaję obecnie do wiadomości publicznej, tworzą – jak to się okaże z kolejności czasu – pierwsze odgałęzienie szeregu zaledwie przystępnych pojmowaniu ludzkiemu zbiegów okoliczności, którego następczą, czyli ostana część znajdują czytelnicy w opowieści o zabójstwie Marii Cecylii Rogers w Nowym Jorku.

Gdy przed jakimś rokiem w pracy, zatytułowanej Zabójstwo przy rue Morgue, przystępowałem do skreślenia kilku nader znamiennych rysów umysłowości mojego przyjaciela, Chevaliera C. Augusta Dupina, ani nie przechodziło mi przez myśl, że mogę jeszcze powrócić do tego przedmiotu. Odmalowanie tej umysłowości było jedynym moim celem, a cel ten został zupełnie osiągnięty w toku szczególniejszych okoliczności, rozwidniających właściwości psychiczne Dupina. Mógłbym być przytoczyć jeszcze inne przykłady, nie byłbym jednak wykazał niczego więcej. Atoli ostatnie wypadki oraz ich osłupiający przebieg rozbudziły nagle we mnie wspomnienia dalszych zdarzeń, które wniosą do mej opowieści jakby nastrój wymuszonego wyznania. Dowiedziawszy się jednak tego, co niedawno słyszałem, byłbym zaprawdę, postąpił dziwnie, gdybym dłużej milczał o tym, co widziałem i słyszałem tak dawno już temu.

Po rozwikłaniu tragedii, co osnuwała śmierć Madame L'Esplanade i jej córki, Chevalier przestał nagle zajmować się tą sprawą i pogrążył się znowu w swym dawnym nawyku posępnego marzycielstwa. Mając zawsze skłonność do abstrakcyjności, przystosowałem się z łatwością do jego usposobienia. Mieszkaliśmy (dalej w naszych pokojach na Faubourg Saint-Germain, zdaliśmy przyszość na cztery wiatry i śniliśmy spokojnie w teraźniejszości, omotując marzeniami czczość otaczającego nas świata.

Wszelako w marzeniach tych zdarzały się przerwy. Jak łatwo się domyślić, współdziałanie mego przyjaciela w dramacie przy rue Morgue nie pozostało bez wpływu na wyobraźnię policji paryskiej. Nazwisko Dupina i nabrało rozgłosu wśród jej agentów. Prostota wnioskowań, za pomocą których zdołał przeniknąć tę tajemnicę, nie była znana prefektowi ani też nikomu innemu prócz mnie samego; nie było zatem nic dziwnego w tym, że sprawę tę rozdęto niemal do rozmiarów cudu, a zdolności analityczne Chevaliera wywołały podziw dla jego intuicji. Właściwa mu szczerść byłaby go skłoniła niewątpliwie do prostowania tych mylnych mniemań o nim, ale niedbałość jego usposobienia nie pozwalała mu nadal zajmować się przedmiotem, który już od dawna przestał go obchodzić. Zdarzyło się zatem, iż sam nie wiedząc kiedy stał się jakby gwiazdą przewodnią policyjnych oczu i niejednokrotnie zwracano się do niego, by przyjął służbę w prefekturze. Jednym z najbardziej pamiętnych zdarzeń było zabójstwo młodej dziewczyny, nazwiskiem Maria Roget.

Wypadek ten nastąpił w jakieś dwa lata po okropnościach przy rue Morgue. Maria, której imię chrzestne i nazwisko rodowe przypomni niewątpliwie niefortunną „robotnicę z fabryki cygar”¹⁷, była jedyną córką wdowy, Estelli Roget. Ojciec odumarał ją w dzieciństwie. Odtąd matka i córka mieszkały razem przy rue Pavée Saint-André¹⁸, skąd dziewczyna wyprowadziła się dopiero na osiemnaście miesięcy przed zabójstwem, które stanowi przedmiot niniejszego opowiadania. Matka przy pomocy Marii utrzymywała pensjonat. Trwało to aż do czasu, kiedy dziewczyna ukończyła dwudziesty pierwszy rok życia i kiedy wielka jej uroda zwróciła uwagę pewnego właściciela perfumerii. Miał on sklep w suterrenach Palais Royal, a klientela jego składała się przeważnie z zuchwałych rzezimieszków, niepokojących sąsiednie dzielnice miasta. Monsieur Le Blanc¹⁹ zdawał sobie sprawę z korzyści, jakie mogły wynikać dla niego z obecności pięknej Marii w sklepie. Nie skąpił obietnic, które bardzo podobały się dziewczynie, natomiast u matki spotkały się z pewnym niedowierzaniem.

Zabiegi sklepikarza odniosły w końcu skutek i jego firma nabrała wkrótce rozgłosu dzięki powabom uroczej gryzетки. Była u niego zajęta przez jakiś rok, po czym znikła nagle, co wywołało wielkie zaniepokojenie wśród jej wielbicieli. Monsieur Le Blanc nie umiał nic powiedzieć o powo-

¹⁷ Ofiara zbrodni wspomnianej w przypisku autora

¹⁸ Nassau Street w Nowym Jorku.

¹⁹ Andersen.

dach jej nieobecności; a Madame Roget szalała z niepokoju i przerażenia. Dzienniki zajęły się natychmiast tą sprawą, zaś policja zamierzała już przystąpić do ścisłego śledztwa, gdy pewnego pięknego poranku, po upływie tygodnia, Maria, najzupełniej zdrowa, acz nieco smutniejsza niż zazwyczaj, zajęła znowu swe miejsce przy kasie sklepowej. Wszystkie wywiady, prócz poufnych, natychmiast ustały. Monsieur Le Blanc tak samo nic nie wiedział, jak poprzednio. Maria i jej matka odpowiadały na wszystkie pytania, iż ubiegłego tygodnia przebywała na wsi, k u swych krewnych. Sprawa ta przycichła i poszła w zapomnienie, gdyż dziewczyna, chcąc widocznie ująć natrętnej ciekawości, rozstała się wkrótce ze swym pracodawcą i powróciła do mieszkania przy rue Pavee SaintAndre.

W jakieś pięć miesięcy po tym powrocie pod dach rodzicielski znowu znikła nagle ku zaniepokojeniu swych przyjaciół. Trzy dni upłynęły, a nie było o niej wieści. Czwartego dnia znaleziono jej zwłoki, pływające po Sekwanie²⁰ w pobliżu brzegu, położonego naprzeciw dzielnicy, do której należy rue SaintAndre, opodal odludnej połaci Barriere du Roule²¹.

Okrucieństwo zabójstwa (gdyż od razu było widoczne, że popełniono zabójstwo), młodość i uroda ofiary, zaś przede wszystkim rozgłos, jaki zdążyła pozyskać, złożyły się na wywołanie silnego wzburzenia umysłów wśród wrażliwej ludności paryskiej. Nie przypominam sobie, by jaki inny podobny wypadek wywołał odruch równie „aowszechny i równie potężny. Przez kilka tygodni nawet najważniejsze, bieżące sprawy polityczne gubiły się w dyskusjach nad tym wszechpochlaniającym zagadnieniem. Prefekt zdobył się na niezwykłą energię, a władze całej policji paryskiej rozwinęły nadzwyczaj sprężystą działalność.

Po znalezieniu zwłok zrazu nie przypuszczano, by zabójca mógł długo ukrywać się przed dochodzeniami, które niezwłocznie wdrożono. Nie wcześniej niż dopiero po jakimś tygodniu uznano za właściwe ogłosić nagrodę za wykrycie zbrodniarza; wszelako nagroda ta wynosiła zaledwie tysiąc franków. Równocześnie dochodzenia odbywały się energicznie, acz nie zawsze roztropnie, i przesłuchano mnóstwo osób, ale bezskutecznie. Tymczasem ta niemożność znalezienia jakichkolwiek poszlak, zmierzających do rozwidnienia tajemnicy, podniecała wielce wzburzenie tłumu. Pod koniec dziesiątego dnia uznano za konieczne podwoić wyznaczoną pierwotnie sumę, kiedy zaś po upływie dwu tygodni niczego nie udało się wykryć i kiedy uprzedzenie, które istnieje zawsze w Paryżu względem policji, znalazło upust w kilku poważniejszych zajściach ulicznych, prefekt z własnego popędu postanowił ofiarować sumę dwudziestu tysięcy franków za „wskazanie zbrodniarza” lub, gdyby się okazało, że było ich więcej, za „wskazanie jednego ze zbrodniarzy”. W ogłoszeniu urzędowym, zawiadamiającym o wyznaczeniu tej nagrody, przyręczone ponadto zupełną bezkarność tym uczestnikom zbrodni, którzy by zechcieli wydać swych towarzyszy. Obok tych ogłoszeń porozlepiano wszędzie prywatne plakaty komitetu obywatelskiego, który do sumy wyznaczonej przez prefekturę dodawał od siebie dziesięć tysięcy franków. W całości wynosiła zatem nagroda aż trzydzieści tysięcy franków, co było sumą wprost niesłychaną, jeżeli się zważy, iż chodziło o dziewczynę z ludu, i jeżeli się uwzględni, że zabójstwa tego rodzaju nader często zdarzają się w wielkich miastach.

Nikt już nie wątpił, iż tajemnica tej zbrodni niezwłocznie wyjdzie na jaw. Jakoż uwięziono jedną czy dwie osoby, których zeznania miały rzekomo rozwidnić tę ciemną sprawę, lecz okazało się, że podejrzenia o współudział były niesłuszne, i natychmiast zarządzono uwolnienie. Mogłoby się wydawać rzeczą dziwną, iż trzy tygodnie upłynęły już od znalezienia zwłok, nie rzucając żadnego światła na to zagadnienie, a jednak nawet najpobieżniejsza pogłoska o wypadku, który tak bardzo roznamiętniał umysły publiczności, nie dotarła do uszu Dupina i moich. Zajęci badaniami, które pochłaniały nas całkowicie, niemal od miesiąca nie wychodziliśmy z domu i nie przyjmowaliśmy gości, a w dziennikach przeglądaliśmy zaledwie naczelne artykuły polityczne. Pierwszą wiadomość o tej zbrodni przyniósł nam prefekt G. we własnej osobie. Zawitał do nas zaraz po południu 13 lipca 18.. r. i pozostał do późnej nocy. Był do żywego dotknięty niepowodzeniem

²⁰ Hudson.

²¹ Weehawken.

wszystkich swych wysiłków, zmierzających do wytropienia zabójców. Jego reputacja – jak utrzymywał w tonie iście paryskim – była narażona. Nawet jego honor był zagrożony. Cała publiczność miała zwrócone oczy na niego i zaiste, nie było ofiary, na którą by się nie zdobył dla przeniknięcia tej tajemnicy. Swe nieco zabawne przemówienie zakończył komplementem na cześć tego, co podobało mu się nazwać taktem Dupina, i bez ogródek uczynił mu bezsprzecznie ponętą propozycję, o której szczegółowiej mówić mi nie wypada, tym bardziej że nie należy ona właściwie do zakresu mego opowiadania.

Za komplement wywzajemnił się mój przyjaciel nie mniejszą uprzejmością, wszelako propozycję przyjął bez wahania, aczkolwiek jej korzyści były tylko przejściowe. Doszedłszy do porozumienia, prefekt jął od razu roztaczać swe poglądy, przeplatając je rozwlekłymi komentarzami do materiału śledczego, którego jednakowoż jeszcze nam nie dostarczył. Mówił długo i bez wątpienia uczenie, pozwoliłem sobie atoli wtrącić Uwagę o senności, jaka zwykła towarzyszyć późniejszej porze. Dupin, nie ruszając się ze swego fotela, zdał się uosobieniem skupionej uwagi. Nie zdejmował okularów, odkąd zaczęła się rozmowa. Ukradkowe spojrzenia, które rzucałem od czasu do czasu za zielone szkła, przekonały mnie w zupełności, iż spał sobie głęboko i najspokojniej przez siedem czy osiem godzin, które wlokły się jak po smole, zanim prefekt uznał za właściwe nas pożegnać.

Nazajutrz rano wydostałem w prefekturze cały materiał śledczy, zaś w redakcjach dzienników wszystkie numery, zawierające ważniejsze wiadomości o tej przykrej sprawie. Po odrzuceniu naleciałości, na pewno niewiarygodnych, ogrom tych informacji dał się streścić, jak następuje:

Maria Roget wyszła z mieszkania swej matki przy rue Pavee SaintAndre około dziewiątej rano w niedzielę, dwudziestego drugiego czerwca 18... Wychodząc powiedziała Monsieur Jacques SaintEustache²², i tylko jemu jednemu, że wybiera się na cały dzień do ciotki, mieszkającej przy rue des Drômes. Rue des Drômes jest krótkim i wąskim, lecz ludnym zaułkiem, przebiegającym w pobliżu pobrzeża rzeki i oddalonym, w możliwie najkrótszej linii, o jakie dwie mile od pensjonatu Madame Roget. SaintEustache był po słowie z Marią, mieszkał i jadał w pensjonacie. Umówili się, że przyjdzie po swą narzeczoną o zmierzchu i odprowadzi ją do domu. Wszelako po południu jęło lać jak z cebra; przypuszczając zatem, iż pozostanie na noc u swej ciotki (jak to nieraz czyniła przedtem w podobnych okolicznościach), nie uważał za potrzebne dotrzymać obietnicy. Gdy noc zapadła, Madame Roget (siedemdziesięcioletnia zniedołężniała staruszka) wyraziła obawę, iż „już Marii więcej nie zobaczy”, ale na te słowa nikt podówczas nie zwrócił uwagi.

W poniedziałek przekonano się, iż dziewczyny przy rue des Drômes nie było, i dopiero kiedy cały dzień minął, a wieści o niej nie nadchodziły, zarządzono spóźnione poszukiwania w kilku punktach miasta i okolicy. Jednakże zaledwie na czwarty dzień po jej zniknięciu udało się zasięgnąć pewniejszych wiadomości. Dnia tego (we środę, dwudziestego piątego czerwca) niejaki Monsieur Beauvais²³, który wraz ze swym przyjacielem poszukiwał Marii w pobliżu Barriere du Roule, po drugiej stronie Sekwany, naprzeciw rue Pavee SaintAndre, dowiedział się, iż jakiś rybak tylko co wyłowił trupa, którego ponosił prąd rzeki. Ujrawszy zwłoki, Beauvais, po niejakiemu namyśle, rozpoznał w nich pannę z perfumerii. Jego przyjaciel doszedł do tego rozpoznania rychlej.

Twarz była umazana czarną krwią, co sączyła aię i po części z ust. Nie zauważono piany, którą widuje się u topielców. Tkanka komórkowa nie uległa odbarwieniu. Dokoła gardzieli widniały sińce i odciski palców. Ręce były sztywne i złożone na piersiach. Prawa dłoń była zaciśnięta, lewa częściowo otwarta. Powyżej przegubu lewej zaznaczały się dwa koliste otarcia pochodzące widocznie od powrozów lub jednego powrozu okręconego kilka razy. Część prawej pięści wykazywała również mocne uszkodzenie naskórka, podobnie jak całe plecy, przede wszystkim zaś łopatki. Wyciągając trupa na brzeg rybak obwiązał go powrozem, ale owe uszkodzenia nie pochodziły od tego powroza. Kark był silnie obrzękły. Skaleczeń lub sińców spowodowanych ude-

²² Payne.

²³ Crommelm.

rzeniami nie dostrzeżono. Natomiast znaleziono kawałek sznurka, tak mocno okręconego dokoła szyi, iż na razie nie było go widać. Wrzynał się on głęboko w ciało i był zawiązany na węzeł poniżej lewego ucha. Wystarczyło to jedno, by spowodować śmierć. Orzeczenie lekarskie stwierdziło nienaganne prowadzenie się zmarłej dziewczyny. Miano dopuścić się na niej zwierzęcego gwałtu. Zwłoki, gdy je znaleziono, były w takim stanie, iż znajomi poznali ją z łatwością.

Odzież była poszarpana i w zupełnym nieładzie. Z odzienia zwierzchniego wydarto od samego dołu aż do pasa strzęp szerokości jednej stopy, ale go nie oderwano. Był on okręcony trzy razy dokoła kibici i zadzierzgnięty na krzyżu jak gdyby w pętlę. Bezpośrednio pod suknią zmarła miała na sobie spódniczkę z cienkiego muślinu. Wydarto z niej również, lecz już całkowicie, strzęp na osiemnaście cali szeroki; wydarcia dokonano bardzo równo i nadzwyczaj starannie. Strzęp ten wisiał luźno dokoła jej szyi i był zawiązany na mocny węzeł. Ów strzęp muślinu i kawałek sznurka kryły się pod wstążką, na której zwisał kapelus. Końce wstążki były zawiązane na węzeł, jakim nie posługują się kobiety; znać po nim było rękę marynarza.

Po rozpoznaniu zwłok nie odesłano ich do kostnicy (gdyż ta formalność była zbyteczna), lecz pogrzebano pospiesznie opodal wybrzeża, gdzie je znaleziono. Dzięki zabiegom Beauvais'go, dokładano w miarę możliwości starań, by sprawa nie nabrała rozgłosu, i dopiero po kilku dniach powstało zaniepokojenie wśród publiczności. W końcu zajął się nią pewien tygodnik²⁴. Dokonano ekshumacji zwi»lok i zarządzono ponowne dochodzenia, nie osiągnięto jednak żadnych innych wyników prócz tych, które były już znane. Uznano jednak za potrzebne pokazać odzież matce i znajomym zmarłej i okazało się, że była ta sama, w której dziewczyna wyszła z domu.

Tymczasem rozdrażnienie wzmagало się z godziny na godzinę. Kilka osób uwięziono i wypuszczono znów na wolność. Zwłaszcza SaintEustache wydawał się mocno podejrzany; zrazu nie umiał zdać szczegółowo sprawy z tego, co porabiał tej niedzieli, kiedy Maria

wyszła z domu. Wszelako później przedłożył prefektowi G. najszczególowsze i poparte dowodami affidavity ze wszystkich godzin owego dnia. W miarę jak czas mijał, a śledztwo nic nie wykrywało, jęło krążyć tysiące najsprzecznieszych pogłosek, a dziennikarze wysilali się na sugestie. Śród nich jedna zwróciła powszechną uwagę; ktoś utrzymywał, iż Maria Roget żyje, a z Sekwany wyłowiono zwłoki jakiejś innej nieszczęśliwej. Nie od rzeczy może będzie przytoczyć kilka ustępów, nadmienających o tym przypuszczeniu. Przełożono je dosłownie z „L'Etoile”²⁵, dziennika redagowanego na ogół nader umiejętnie.

„Mademoiselle Roget wyszła z mieszkania swej matki w niedzielę rano, dwudziestego drugiego czerwca 18... Jak się wyraziła, miała zamiar odwiedzić swą ciotkę lub innych krewnych, mieszkających przy rue des Drómes. Od tej chwili podobno nikt jej nie widział. Wszelki ślad po niej zaginął... Nikt się nie zgłosił, kto by poświadczył, iż zdarzyło się mu widzieć ją tego dnia, od kiedy przestąpiła próg mieszkania swej rodzicielki... Nie mamy wprawdzie dowodu, że w niedzielę, dnia dwudziestego drugiego czerwca, po godzinie dziewiątej rano Maria Roget znajdowała się wśród żywych, lecz wiemy na pewno, że do tej godziny jeszcze żyła. We środe około południa dostrzeżono ciało kobiece, unoszone przez fale koło wybrzeża Barriere du Roule. Otóż gdybyśmy nawet przypuścili, że Marię Roget wrzucono do rzeki w trzy godziny po wyjściu jej z domu, to od tej chwili upłynęłoby zaledwie trzy dni – ani godziny więcej! Atoli byłoby niedorzecznością mniemać, aby zabójstwo – jeśli w ogóle padła ona ofiarą zabójstwa – mogło odbyć się tak pospiesznie, iż zabójcy zdążyli wrzucić zwłoki do rzeki przed północą. Kto obarcza swe sumienie taką potworną zbrodnią, ten woli mroki nocne niż światło dzienne... Z tego widzimy, że jeżeli zwłoki znalezione w rzece były istotnie ciałem Marii Roget, to przebywały w wodzie półtrzecia dnia lub co najwyżej trzy dni. Doświadczenie poucza, iż trupy topielców lub zwłoki osób, wrzucanych do wody bezpośrednio po śmierci gwałtownej, dopiero po sześciu lub nawet dziesięciu dniach ulegają do tego stopnia rozkładowi, iż mogą wypłynąć na powierzchnię. Nawet gdy do trupa wystrzeli się z działa i kiedy wynurzy się on z wody, zanim minie pięć lub sześć dni od jego

²⁴ „The New York Mercury”.

²⁵ Nowojorski „Journal of Commerce”.

utopienia, to znów pójdzie na dno, jeśli pozostawi się go sobie samemu. Zapytujemy tedy, co w tym wypadku mogło wywołać odstępstwo od naturalnego porządku rzeczy?... Gdyby te pokaleczone zwłoki przebywały na brzegu do wtorku wieczorem, to znaleziono by tam jakiś ślad zabójców. Jest także rzeczą nader wątpliwą, żeby trup mógł tak rychło wypłynąć na powierzchnię, nawet jeżeli się przypuści, iż wrzucono go do wody w dwa dni po śmierci. Ponadto wydaje się najzupełniej nieprawdopodobne, żeby złoczyńcy, którzy rzekomo dopuścili się tej zbrodni, mogli wrzucić ciało do wody nie obciążwszy go przedtem celem zatopienia, skoro ta przezorność była tak łatwa do wykonania”.

Autor artykułu usiłuje dowieść dalej, iż zwłoki musiały przebywać w wodzie „nie trzy dni, ale co najmniej pięć razy po trzy dni”, ponieważ rozkład ich był posunięty tak daleko, iż Beauvais z niemałą trudnością zdołał je rozpoznać. Szczegół ostatni był jednakże najzupełniej niezgodny z prawdą. Przytaczani dalszy ciąg wywodów:

„Na czym tedy opiera Monsieur Beauvais swe oświadczenie, iż owe zwłoki są niewątpliwie trupem Marii Roget? Odwinął rękaw u sukni i znalazł – jak utrzymuje – znamiona, które miały dowieść mu identyczności. Publiczność przypuszczała powszechnie, iż owe znamiona stanowiły jakieś bliźny. Przesunął ręką po ramieniu i znalazł na nim włosy – coś tak, naszym zdaniem, nieokreślonego, jak tylko można sobie wyobrazić – coś równie mało znaczącego, jak znalezienie rękawa u sukni. Monsieur Beauvais nie powrócił na noc do domu, lecz o godzinie siódmej we środę wieczorem posłał do Madame Roget zawiadomienie, iż śledztwo dotyczące jej córki jest jeszcze w toku. Jeżeli nawet przyjmiemy, że Madame Roget, przyciśniona wiekiem i bólem, nie mogła udać się na miejsce wypadku (a dalej w swych przypuszczeniach pójść i nie możemy!), to na pewno byłby się znalazł ktoś, kto i uważałby, iż warto pójść tam i być obecnym przy śledztwie, gdyby nasuwała się myśl, że owe zwłoki mogą być ciałem Marii. Ale nikt nie przyszedł. W mieszkaniu przy rue Pavée SaintAndré ani nie i mówiono o tej sprawie, ani nawet nie słyszano o pogłoskach, które krążyły wśród mieszkańców tego samego domu. Monsieur SaintEustache, wielbiciel i narzeczony Marii, który mieszkał w pensjonacie jej matki, zeznaje, iż o znalezieniu zwłok swej narzeczonej dowiedział się dopiero nazajutrz rano, kiedy Monsieur Beauvais wpadł do jego pokoju i opowiedział mu o tym zdarzeniu. Zastanawia nas niepomału, iż tak ważna wiadomość spotkała się z takim chłodnym przyjęciem”.

Dziennik usiłuje wywołać w ten sposób wrażenie, jakoby rodzina i znajomi Marii zachowywali się apatycznie, co oczywiście nie godziłoby się z przypuszczeniem, jakoby wierzyli, iż zwłoki te są istotnie zwłokami Marii. Wygląda to, jakby chciano wmówić, iż Maria w porozumieniu ze swymi najbliższymi znikła z miasta dla powodów uwłaczających jej czci dziewiczej i że ci najbliżsi, kiedy w Sekwanie znaleziono zwłoki nieco podobne do niej, korzystając z tej okoliczności, starali się rozpowszechnić wśród publiczności przeświadczenie o jej zgonie. Wszelako L'Etoile przebrała z pośpiechu miarę. Okazało się niezawodnie, iż rzekoma apatia nie istniała; mianowicie staruszka była zbyt osłabiona i popadła w taki rozstrój, iż nie była zdolna do niczego, zaś SaintEustache nie tylko że nie przyjął owej wiadomości obojętnie, lecz wprost szalał z bólu i zachowywał się do tego stopnia niepoczytalnie, że Monsieur Beauvais poprosił jednego ze swych krewnych, z którym żył w przyjaźni, by czuwał nad nim i nie pozwolił mu być obecnym przy sekcji zwłok po ich ekshumacji. Aczkolwiek L'Etoile utrzymywała ponadto, jakoby powtórne pochowanie zwłok odbyło się na koszt publiczny, jakoby uczynionej propozycji pogrzebienia zmarłej prywatnie rodzina bezwarunkowo przyjąć nie chciała i jakoby nikt z rodziny nie był obecny na obchodzie żałobnym; jakkolwiek – powtarzam – „L'Etoile” podawała te wiadomości jako zupełnie pewne, by w ten sposób wzmocnić jeszcze wrażenie, które zamierzała wywołać, to jednak okazały się one nieprawdziwe. W dalszych numerach tegoż samego dziennika jęto podawać w podejrzenie nawet Beauvais'go. Publicysta pisze:

„W sprawie tej zaszła obecnie zmiana. Słyszeliśmy, iż pewnego razu, kiedy u Madame Roget znajdowała się Madame B., Monsieur Beauvais, który zabierał się do wyjścia, powiedział jej, że lada chwila nadejdzie żandarm i żeby ona, Madame B., nic żandarmowi nie mówiła, aż on po-

wróci, i pozostawiła wszystko jemu... W obecnym stanie rzeczy Monsieur Beauvais zasklepił – jak się zdaje – całą tę sprawę we własnym mózgu. Niepodobna zrobić kroku bez Monsieur Beauvais'go; gdziekolwiek się obrócić, wszędzie się go spotyka... Nie wiadomo czemu postanowił, iż nikt nie ma brać udziału w śledztwie prócz niego samego, zaś krewnych – jak sami utrzymują – w nader osobliwy sposób odsunął na bok. Podobno czynił wszystkie wysiłki, by rodziny nie dopuszczono do obejrzenia zwłok²⁶.

Podejrzenia rzucane na Beauvais'go nabrały barw nieco żywszych skutkiem następującego wypadku: na kilka dni przed zniknięciem dziewczyny zaszedł ktoś do jego biura i nie zastawszy go tam zauważył w dziurce od klucza różę, zaś na podręcznej tabliczce wypisane słowo „Maria”. Powszechnie przeświadczenie, o ile zdołaliśmy wyłowić je z dzienników, zdawało się streszczać w tym, iż Maria padła ofiarą szajki bandytów, którzy przewieźli ją przez rzekę, zbezczceni i zabili. Wszelako „Le Commercial”, dziennik nader wpływowy, zwalczał ten rozpowszechniony pogląd. Przytoczę jeden czy dwa ustępy z jego artykułów:

„Jesteśmy przekonani, iż pościg podążał dotychczas mylnym tropem, gdyż zwracał się w stronę Barriere du Roule. Jest rzeczą niemożliwą, by osoba, tak dobrze znana tysiącom ludzi, jak ta młoda kobieta, mogła minąć trzy domy i nie być widzianą przez nikogo; gdyby zaś ktokolwiek był ją zobaczył, to pamiętałby o tym na pewno, gdyż budziła zajęcie wśród wszystkich swych znajomych. Ulice roiły się od ludzi, kiedy wyszła z domu... Niepodobna, żeby idąc w stronę Barriere du Roule lub na rue des Drômes nie była poznana przez jaki tuzin osób, a jednak nikt się nie zgłosił, kto by ją widział poza obrębem rodzicielskiego mieszkania, i prócz jedynego świadectwa, które stwierdza, iż mówiła o swym zamiarze, nie ma nawet pewności, tezy w ogóle wyszła z domu. Kawalek jej sukni oddarto, okręcono dokoła jej kibici i zawiązano w ten sposób, iż trupa było można nieść jak pakunek. Gdyby zabójstwa dokonano koło Barriere du Roule, to takie przygotowania byłyby niepotrzebne. Ta okoliczność, iż zwłoki znaleziono koło Barriere, nie wyjaśnia bynajmniej, gdzie je wrzucono do wody... Kawalek spódniczki nieszczęśliwej dziewczyny, długi na dwie stopy i szeroki na jedną, oddarto, okręcono dokoła szyi i zawiązano na karku prawdopodobnie w tym celu, by stłumić jej krzyki. Uczynili to złoczyńcy, którzy nie mieli przy sobie nawet chustki do nosa”.

Wszelako na dzień czy dwa przed pojawieniem się u nas prefekta policji udało się zasięgnąć nader ważnej wiadomości, która zdawała się obalać najważniejszą część argumentacji „Le Commercial”. Dwaj malcy, synowie niejakiej Madame Deluc, wałęsając się po zaroślach w pobliżu Barriere du Roule, zabłąkali się przypadkiem w gęstwinie, gdzie leżały trzy czy cztery duże kamienie, tworzące jakby krzesło z oparciem i podnóżkiem. Na kamieniu górnym leżała biała spódniczka; na innym szarfa jedwabna. Znaleziono tam również parasolkę, rękawiczki i chustkę do nosa. Chustka była naznaczona napisem „Maria Roget”. Na pobliskich krzakach cierniowych odkryto strzępy ubrania. Ziemia była zdeptana, krzewy połamane, słowem, znać było wyraźne ślady walki. Między gęstwiną a rzeką parkan był powalony, a na ziemi widniał ślad jak gdyby od jakiegoś wielkiego ciężaru, który wleczono tamtędy.

Tygodnik „Le Soleil²⁶” dodał do opisu tego odkrycia następujący komentarz, który był jakby echem poglądów całej prasy paryskiej:

„Rzeczy te leżały tam widocznie co najmniej trzy lub cztery tygodnie; wszystkie zbutwiały od deszczu i pozlepiały się pleśnią. Dokoła wybujała trawa i po części je zakryła. Jedwab na parasolce był mocny, ale szwy puściły. Część górna pokrycia w tym miejscu, gdzie tkanina miała podkładkę i była sfałdowana, zbutwiała i przegniła do tego stopnia, iż rozdarła się, kiedy parasolkę otworzono... Strzępy odzieży, zwieszające się z krzewów, miały około trzech cali szerokości i sześciu cali długości. Jeden z nich był kawałkiem rąbka od sukni i wykazywał ślady naprawek; drugi był zakładką, nie rąbkiem. Wyglądały jak oddarte i wisały na cierniach na jaką stopę od ziemi... Nie ulega wątpliwości, iż powiodło się odkryć widownię tej ohydnej zbrodni”.

²⁶ Filadelfijski „Saturday Evening Post”.

Bezpośrednio po tym odkryciu pojawił się nowy świadek. Madame Deluc zeznała, iż jest właścicielką przydrożnej gospody położonej niedaleko brzegu rzeki, naprzeciw Barriere du Roule. Okolica jest odludna, bardzo odludna. W niedzielę zwykły tam bywać wyzutki miejskie przepływające się przez rzekę łodziami. Około trzeciej po południu pamiętnej niedzieli przybyła do gospody młoda dziewczyna w towarzystwie młodzieńca o smagłej cerze. Para ta zatrzymała i się tam czas jakiś. Odchodząc poszli drogą wiodącą w głąb pobliskich gąszczy. Madame Deluc zwróciła i uwagę na suknię dziewczyny, gdyż była podobna do stroju jej zmarłej kuzynki. Zwłaszcza zapamiętała dokładnie szarfę. Wnet po odejściu tej pary pojawiła się szajka opryszków, którzy zachowywali się hałaśliwie, nie zapłacili za potrawy i napoje, poszli tą samą drogą, co młodzieniec i dziewczyna, powrócili do gospody, kiedy miało się ku zmierzchowi, i przeprawili się z powrotem przez rzekę jak gdyby z wielkim pośpiechem.

Wnet po nastaniu ciemności tego samego wieczora Madame Deluc oraz jej najstarszy syn usłyszeli krzyki kobiece w pobliżu gospody. Krzyki te były przeraźliwe, lecz trwały krótko. Madame Deluc rozpoznała nie tylko szarfę znaną w gęstwinie, lecz także suknię, w której wyłowiono zwłoki.

Konduktor omnibusu, Valence²⁷, zeznał również, iż widział owej niedzieli Marię Roget, jak w towarzystwie młodzieńca o smagłej cerze przepływała Sekwanę promem. Ów Valence znał Marię i nie mógł pomylić się co do jej osoby. Przedmioty znalezione w gęstwinie rozpoznała z łatwością rodzina Marii.

To mnóstwo zeznań i wiadomości, zebranych przez mnie z dzienników na życzenie Dupina, uzupełniało się jeszcze jednym szczegółem – wszelako był to szczegół ogromnie ważny. Oto wnet po odkryciu odzieży w sposób poprzednio opisany znaleziono w pobliżu domniemanego miejsca zbrodni nieżywe lub raczej bliskie zgonu ciało SaintEustache'a, narzeczonego Marii. Obok niego leżała próżna flaszeczka z napisem laudanum. Z oddechu można było wnioskować, że zażył truciznę. Umarł w milczeniu. Miał przy sobie list, w którym wyznawał pokrótce swą miłość do Marii i zamiary samobójcze,

– Nie potrzebuję ci mówić – rzekł Dupin skończywszy przegląd mych notatek – iż jest to wypadek o wiele bardziej zawiły niż zabójstwo przy rue Morgue, od którego różni się pod jednym nader ważnym względem. Chodzi tu mianowicie o zabójstwo okrutne, lecz zwyczajne. Nie ma w nim niczego, co by było outre²⁸. Jak widzisz, z tego względu tajemnica ta wydawała się rzeczą łatwą, tymczasem właśnie z tego względu powinna była uchodzić za niezmiernie trudną do rozwiązania. Dlatego to na razie nie uważano za potrzebne wyznaczyć nagrody. Podwładni prefekta G. zdołali zrozumieć od razu, w jaki sposób i dla czego mógł się takiego okrucieństwa ktoś dopuścić. Zwidywał się im w wyobraźni sposób – wiele sposobów, i motyw – wiele motywów; a ponieważ nie było rzeczą niemożliwą, żeby jeden z tych mnogich sposobów mógł być właśnie tym jedynym, przeto uważali za rzecz dowiedzioną, że jeden z nich być nim musi. Tymczasem łatwość, z jaką te różne domysły snuto, oraz pozory słuszności, jakie miał każdy z nich, winny były ostrzegać, iż rozwiązanie zagadki będzie raczej trudne niż łatwe. Zauważyłem, iż rozum w poszukiwaniu prawdy winien torować sobie drogę tylko szczytami, co wznoszą się ponad poziom zwyczajności, i że w podobnych wypadkach nie tyle właściwe jest pytanie: co się stało?, ile pytanie: co się stało takiego, czego przedtem nigdy jeszcze nie było? Podczas śledztwa w domu Madame L'Esplanaye agenci prefekta G. byli zakłopotani i zniechęceni niezwykłością wypadku, która dla prawidłowego intelektu była właśnie najniezawodniejszą zapowiedzią powodzenia; natomiast tenże sam intelekt mogłaby przyprawić o rozpacz zwyczajność tego wszystkiego, co objawia się w zdarzeniu z dziewczyną z perfumerii i z czego dotychczas nie wynikało nic prócz płonnych tryumfów urzędników prefektury. Kiedy chodziło o Madame L'Esplanaye i jej córkę, to już od samego początku śledztwa nie ulegało wątpliwości, iż popełniono zabójstwo. Od razu dało się wykluczyć przypuszczenie samobójstwa. W obecnym wypadku możemy być również pewni, iż

²⁷ Adam.

²⁸ Outre(fr.) – przesadne.

zmarła nie targnęła się na swe życie. Znalaziono jej zwłoki przy Barriere du Roule w takich okolicznościach, iż nie potrzebujemy łamać sobie głowy nad tym ważnym szczegółem. Wszelako poddawano myśl, że trup ten nie jest zwłokami Marii Roget. Za wykrycie zabójcy czy zabójców wyznaczono nagrodę i ona to stanowi jedyną podstawę umowy naszej z prefektem. Dobrze znamy obaj tego pana. Nie należy na nim zbyt po legać. Jeżeli zaczniemy nasze śledztwo od znalezionej trupa i tropiąc następnie zbrodniarza odkryjemy, że są to zwłoki innej osoby, a nie Marii, lub jeżeli przyjmujemy, że Maria żyje, i znajdziemy ją istotnie żywą – to w obu wypadkach praca nasza pójdzie na marne, gdyż trzeba pamiętać, z jakim to panem mamy do czynienia. W imię więc własnego dobra, jeśli już nie w imię sprawiedliwości, jest rzeczą niezbędną, byśmy zaczęli od stwierdzenia, iż owe zwłoki są zwłokami zaginionej Marii Roget.

Wśród publiczności wywody zamieszczone w „L'Etoile” nie przeszły bez wrażenia. Ze redakcja tego dziennika sama jest przeświadczona o ich ważności, widać to z tonu, w jakim rozpoczyna jeden ze swych artykułów omawiających tę sprawę: „Kilka dzienników porannych – brzmi ten początek – wspomina o rozstrzygnięciu sprawy artykuł, który pojawił się w naszym numerze poniedziałkowym”. Dla mnie artykuł ten rozstrzyga za ledwie o pochoptości do oskarżeń. Nie zapominajmy, iż na ogół dążeniem dzienników naszych jest raczej pościg za sensacją, łechtanie ciekawości niż

Sprzyjanie prawdzie. To ostatnie tylko wówczas ma tę na uwadze, gdy daje się pogodzić z pierwszym. Pimio, które pozostaje w zgodzie z poglądem utartym (choćby najlepiej uzasadnionym), nie znajduje uznania wśród tłumu. W pojmowaniu gawiedzi głębokość polega tylko na jaskrawym przeciwieństwie do powszechnego zdania. W dziedzinie rozumowania, podobnie zresztą jak w literaturze, najbezpośredniejsze i najpowszechniejsze powodzenie miewa epigram. Tymczasem zarówno w jednej, jak w drugiej zajmuje on miejsce najpośledniejsze.

Chciałbym przez to powiedzieć, iż pomysł, jakoby Maria Roget jeszcze żyła, przemówił do przekonania redakcji „L'Etoile” i spotkał się z przychylnym przyjęciem publiczności raczej dlatego, iż jest mieszaniną epigramu i melodramatu, niż dla swej rzeczywistej słuszności. Przyjrzyjmy się wytycznym rozumowania tego dziennika i miejmy się na baczności przed bezładem, który w nich zasadniczo się przejawia.

Pierwszym zamierzeniem publicysty jest wykazać na podstawie krótkości czasu między zniknięciem Marii a znalezieniem pływającego trupa, iż nie mogą to być zwłoki Marii. Sprowadzenie tej odległości czasu do możliwie najniklejszych rozmiarów staje się przede wszystkim przedmiotem jego rozumowania. W rączym pościgu za tym przedmiotem zaprzepaszcza się na ślepo w czczych domysłach. „Byłoby niedorzecznością mniemać – powiada – aby zabójstwo, jeśli w ogóle padła ona ofiarą zabójstwa, mogło odbyć się pospiesznie, iż zabójcy zdążyli wrzucić zwłoki do rzeki przed północą”. Zapytujemy od razu i najzupełniej po prostu: dlaczego? Dlaczego niedorzecznością byłoby przypuszczać, iż zabójstwa dokonano w pięć minut po wyjściu dziewczyny z domu? Dlaczego niedorzecznością byłoby przypuszczać, że zabójstwa dokonano o każdej dowolnej porze dnia? Zdarzały się zabójstwa w różnych porach. Skoro jednak zabójstwo nastąpiło w jakiejś chwili między dziewiątą w niedzielę rano a trzy kwadransy na dwunastą przed północą, to zawsze znalazło się dość czasu, by „wrzucić zwłoki do rzeki przed północą”. Ten domysł zmierza zatem prostą drogą do wniosku, że zabójstwa w niedzielę w ogóle nie dokonano; jeżeli zaś zgodzimy się na ten wniosek redakcji „L'Etoile”, to moglibyśmy zgodzić się również na wszystkie inne. Można by sobie wyobrazić, iż ustęp zaczynający się od słów: „Byłoby niedorzecznością mniemać, aby zabójstwo” itd., acz ogłoszony drukiem w tej formie, przedstawiał się rzeczywiście w mózgu autora, jak następuje: „Byłoby niedorzecznością mniemać, aby zabójstwo – jeśli w ogóle padła ona ofiarą zabójstwa – mogło odbyć się tak pospiesznie, iż zabójcy zdążyli wrzucić zwłoki do rzeki przed północą. Byłoby niedorzecznością – powtarzamy – mniemać coś podobnego, a równocześnie przypuszczać (jak postanowiliśmy), iż zwłok nie wrzucono wcześniej jak dopiero po północy”. – Zdanie, na ogół niezbyt logicznie zbudowane, lecz mimo to nie wyssane tak bardzo z palca, jak to, które pojawiło się w druku.

Gdyby mym zamierzeniem – mówił dalej Dupin – było tylko wykazanie nicości tego ustępu w rozumowaniach publicysty z „L'Etoile”, to na pewno pozostawiłbym go w spokoju. Wszelako nie chodzi nam o „L'Etoile”, lecz o prawdę. Zdanie rzeczono ma w swym brzmieniu tylko jedno znaczenie, które ustaliłem dokładnie; jest atoli rzeczą istotną, byśmy pod pokrywką słów poszukali myśli, którą te słowa usiłowały nam podsunąć, acz bez powodzenia. Publicysta pragnął powiedzieć, iż bez względu na to, o jakiej porze dnia lub nocy owej niedzieli zabójstwa tego dokonano, było jednakże niepodobieństwem, żeby zabójcy odważyli się zanieść trupa do rzeki przed północą. I na tym właśnie polega domysł, nad którym ubolewam. Przypuszcza się mianowicie, jakoby zabójstwo popełniono w takim miejscu i w takich okolicznościach, iż trzeba było zanieść zwłoki do rzeki. Otóż zabójstwo mogło nastąpić albo na brzegu rzeki, lub też wprost na rzece; wrzucenie zatem trupa do wody mogło odbyć się o każdej porze dnia czy nocy, jako przejaw najprostszej i najbezpośredniejszej czynności. Pojmujesz zapewne, iż nie staram się podać niczego, co by było w mym przekonaniu prawdopodobniejsze lub zgodniejsze z moimi poglądami. Dotychczasowe moje zamierzenia nie dotyczą wcale faktów tej sprawy. Pragnę tylko, byś miał się na baczności przed tenem, który sugestywnie rozbrzmiewa z „L'Etoile”, i zwrócił uwagę na charakterystyczny partz pris²⁹, objawiający się od samego początku.

Określiwszy tedy granice, przystosowane do swych z góry powziętych poglądów; przypuściwszy następnie, iż jeżeli istotnie były to zwłoki Marii, to mogły pozostawać w wodzie tylko bardzo krótko – dziennik pisze dalej: „Doświadczenie poucza, iż trupy topielców lub osób, wrzuconych do wody bezpośrednio po śmierci gwałtownej, dopiero po sześciu lub nawet dziesięciu dniach ulegają do tego stopnia rozkładowi, iż mogą wypłynąć na powierzchnię. Nawet gdy do trupa wystrzeli się z działa i kiedy wynurzy się on z wody, zanim minie pięć lub sześć dni od jego utopienia, to znów pójdzie na dno, jeśli pozostawi się go sobie samemu”.

Zapewnienia te przyjęły w milczeniu wszystkie dzienniki paryskie prócz „Le Moniteur”²⁹. Pismo to zwalcza tylko tę część ustępu, która odnosi się do „topielców”, przytaczając pięć czy sześć przykładów dowodzących, iż zwłoki osób, o których wiadano na pewno, że utonęły, wypływały na powierzchnię w krótszym czasie, aniżeli podaje „L'Etoile”. Atoli jest coś krańcowo niefilozoficznego w dążności „Le Moniteur, który zasadnicze twierdzenia redakcji „L'Etoile” chce zwalczać przykładami poszczególnymi. Gdyby nawet udało się przytoczyć piętnaście przykładów, a nie pięć, zwłok, które wypłynęły na powierzchnię wody pod koniec drugiego czy trzeciego dnia, to te piętnaście przykładów należałoby właściwie uważać tylko za wyjątki z reguły wygłoszonej przez „L'Etoile”, aż do chwili, kiedy samą regułę powiodłoby się obalić. O ile przyjmie się tę regułę (a „Le Moniteur” jej nie przeczy, upierając się tylko przy wyjątkach), to argument redakcji „L'Etoile” nie postrada nic ze swej mocy, gdyż argument ten ma na celu tylko jedno zagadnienie, mianowicie zagadnienie, czy zwłoki mogą wypłynąć na powierzchnię w czasie nie przekraczającym trzech dni; zaś możliwość ta wychodzi na korzyść poglądów redakcji „L'Etoile”, ile że przykłady, które przytoczono w tak dziecinny sposób, są dość liczne, by ustalić regułę wręcz przeciwną.

Pojmiesz zapewne od razu, iż wszelka argumentacja tego rodzaju winna się zwracać przeciwko tejże samej regule, zaś w tym celu należy dokonać analizy rozumowej tej reguły. Otóż ciało ludzkie nie jest na ogół ani lżejsze, ani cięższe niż woda w Sekwanie, to znaczy, iż ciężar gatunkowy ciała ludzkiego w normalnych warunkach równa się mniej więcej ciężarowi słodkiej wody przez nie wypartej. Ciała osób otyłych i mięsistych o drobnych kościach, przede wszystkim zaś kobiet, są lżejsze niż ciała osób szczupłych i grubokościstych, osobliwie mężczyzn; zaś ciężar gatunkowy wody rzecznej podlega niejakim wahaniom, o ile daje się w niej odczuwać przyływ od morza. Pomijając jednakże sprawę przyływu, można powiedzieć, iż bardzo niewiele ciał ludzkich idzie na dno, nawet w wodach słodkich, z powodu swych właściwości przyrodzonych. Wszyscy ludzie, którym zdarzy się wpaść do rzeki, mogliby utrzymywać się na powierzchni, gdyby starali się wyrównać ciężar gatunkowy wody z ciężarem gatunkowym własnym – to zna-

²⁹ „The New York Commercial Advertiser”.

czy, gdyby dokładali starań, żeby, o ile to możliwe, prawie całe ciało było pod wodą. Właściwą pozycją dla człowieka nie umiejącego pływać jest prostopadła postawa ludzi stających po suchym lądzie, przy czym głowa winna być odrzucona wstecz i tak zanurzona, by tylko usta i nozdrza znajdowały się ponad powierzchnią. Po przystosowaniu się do tych warunków możemy pływać bez trudności i bez wysiłku. Rozumie się samo przez się, iż ciężar ciała i ciężar wypartej wody znajdują się podówczas w stanie doskonałej równowagi i dość jest drobnostki, by przeważało ciało lub woda. Wystarczy, na przykład, wynurzyć ramię z wody i pozbawić go w ten sposób oparcia, żeby ten dodatkowy ciężar spowodował zanurzenie całej głowy; odwrotnie, pomoc przypadkowo spotkanego najmniejszego kawałka drewna pozwala wynurzyć głowę z wody i rozjechać się dokoła. Otóż ludzie nie obeznani z pływaniem, kiedy pasują się z wodą, wyrzucają zawsze ramiona w górę i równocześnie starają się utrzymać głowę w zwykłej pozycji pionowej. Skutkiem tego ulegają zanurzeniu usta i nozdrza, zaś odruchy, by odetchnąć pod powierzchnią, wprowadzają wodę do płuc. Wiele jej wnika również do żołądka i całe ciało staje się cięższe z powodu różnicy, jaka zachodzi między ciężarem powietrza, które pierwotnie napełniało te narządy, a ciężarem napełniającej je teraz wody. Różnica ta wystarcza w zasadzie, by ciało poszło na dno; wszelako nie jest ona dostateczna, gdy chodzi o osoby z drobnymi kośćmi lub też wyróżniające się nadmierną obfitością pulchnych i tłustych tkanek. Takie osoby pływają nawet po utopieniu.

Trup znajdujący się przypuszczalnie na dnie rzeki pozostaje tam aż do chwili, kiedy dla tych lub owych powodów jego ciężar stanie się mniejszy od ciężaru wypartej przez niego wody. Może to nastąpić skutkiem rozkładu lub innych przyczyn. Rozkład powoduje wywiązanie się gazów, które rozpulchniają tkanki, wypełniają jamy i wnętrza i są przyczyną potwornego dla oczu naszych obrzęku. Gdy to rozdęcie poczyni takie postępy, iż objętość zwłok znacznie się powiększy, wszelako bez równoczesnego przyrostu miąższości, czyli wagi, to ich ciężar gatunkowy staje się mniejszy od ciężaru wypartej wody i natychmiast pojawiają się na powierzchni. Atoli w rozkładzie wywołują zmiany nieprzeliczone okoliczności – przyspiesza się on lub opóźnia pod wpływem przemennych czynników. Zależy to, na przykład, od ciepłoty pory roku; od tego, czy woda jest czysta lub też nasycona składnikami mineralnymi; czy jest głęboka lub płytka; czy jest bieżąca lub stojąca; od właściwości przyrodzonych ciała, wreszcie od tego, czy było przed zgonem zdrowe, czy też dotknięte jakimś zakażeniem. Z tego widać, iż niepodobna jest dokładnie określić czasu, kiedy zwłoki wypłyną na powierzchnię pod wpływem rozkładu. W pewnych razach może to nastąpić już po godzinie, w innych może nie nastąpić wcale. Istnieją rozczyiny chemiczne, za pomocą których można na zawsze uchronić organizm przed rozkładem; należy do nich dwuchloran rtęci. Wszelako niezależnie od rozkładu może się wytwarzać i wytwarza się nader często gaz w żołądku skutkiem fermentacji kwaśnej składników roślinnych (w innych zaś jamach wskutek innych przyczyn); jest on wystarczający, by wywołać rozdęcie, które wynosi zwłoki na powierzchnię wody. Następstwa spowodowane wystrzałem działowym są po prostu przejawem wstrząsu. Może on uwolnić zwłoki, które ugrzęzły w pokładzie sypkiego osadu czy namułu, i ułatwić im wydobycie się na powierzchnię, o ile inne czynniki już je do tego przygotowały; albo też rozluźnić spoistość jakiejś przegniłej tkanki i przyczynić się w ten sposób do rozdęcia jam wewnętrznych pod ciśnieniem gazu.

Posiadłszy tedy całkowitą filozofię tego przedmiotu, możemy z łatwością sprawdzić twierdzenia publicystów z „L'Etoile”. Doświadczenie poucza – powiada jeden z nich – iż trupy topielców lub zwłoki osób wrzuconych do wody bezpośrednio po śmierci gwałtownej dopiero po sześciu lub nawet dziesięciu dniach ulegają do tego stopnia rozkładowi, iż mogą wypłynąć na powierzchnię. Nawet gdy do trupa wystrzeli się z działa i kiedy wynurzy się on z wody, zanim minie pięć lub sześć dni od jego utopienia, to znów pójdzie na dno, jeśli pozostawi się go sobie samemu.”

Cały ten ustęp przedstawia się nam obecnie jako gmatwanina bezładu i niekonsekwencji. Doświadczenie wcale nas nie poucza, jakoby „trupy topielców” dopiero po sześciu lub nawet dziesięciu dniach ulegały do tego stopnia rozkładowi, iżby mogły wypłynąć na powierzchnię. Zarówno nauka, jak doświadczenie wykazują, iż czas, w jakim one pojawiają się na powierzchni, jest i z

konieczności musi być nieokreślony. Ponadto, jeśli zwłoki wypłyną na wierzch skutkiem wystrzału działowego, to nie „pójdą znów na dno, jeśli pozostawi się je sobie samym”, o ile rozkład nie postąpił tak daleko, iż ujście nagromadzonych gazów jest możliwe. Wszelako pragnąłbym zwrócić twą uwagę na rozróżnienie, jakie uczyniono między „trupami topielców” a „zwłokami osób wrzuconych do wody bezpośrednio po śmierci gwałtownej”. Aczkolwiek autor uwzględnia tę różnicę, to jednak zalicza jedne i drugie do tej samej kategorii. Wykazałem, w jaki sposób ciało tonącego człowieka staje się gatunkowo cięższe od ciężaru wody; wykazałem również, że nie zagłębiałoby się ono wcale w wodę, gdyby nie szamotania, przy których ramiona wynurzają się z wody, i gdyby nie chwywanie oddechu pod jej powierzchnią – skutkiem czego dostaje się ona do płuc i wypiera stamtąd powietrze. Atoli te szamotania i to chwywanie powietrza nie odbywają się w „zwłokach osób wrzuconych do wody bezpośrednio po śmierci gwałtownej”. Toteż w takich razach zwłoki w zasadzie nie powinny wcale iść na dno – jest to zjawisko, o którym publicyści z „L'Etoile” widocznie wcale nie wiedzą. Gdy rozkład poczyni bardzo znaczne postępy – gdy powłoka mięsna w znacznej mierze odpadnie z kości – wówczas dopiero, ale nie wcześniej, trup niknie nam z oczu pod wodą.

Cóż teraz pocznijemy z argumentem, iż zwłoki znalezione nie mogą być trupem Marii Roget, ponieważ wypłynęły na wierzch już po trzech dniach? Gdyby ją utopiono, mogłaby, jako kobieta, w ogóle nie pójść na dno lub gdyby poszła na dno, mogłaby wypłynąć znowu na powierzchnię w dwadzieścia cztery godziny lub nawet w krótszym czasie. Wszelako nikt nie przypuszcza, że ją utopiono; skoro zaś wrzucono ją do rzeki już nieżywą, to można było znaleźć ją później na powierzchni w czasie dowolnym.

„Ale – pisze L'Etoile – gdyby te pokaleczone zwłoki przebywały na brzegu do wtorku wieczorem, to znaleziono by tam jakiś ślad zabójców”. Zrazu trudno jest przeniknąć intencję tego rozumowania. Otóż autor jego stara się zapobiec temu, co jak mu się zdaje, mogłoby być zarzutem przeciw jego teorii – mianowicie, że zwłoki; pozostawione przez dwa dni na brzegu, mogły ulec szybkiemu rozkładowi – znacznie szybszemu, niż gdyby znajdowały się w wodzie. Przypuszcza, że gdyby to zaszło, to byłyby mogły ukazać się na powierzchni we środę, i sądzi, że tylko pod tym warunkiem mogły istotnie się ukazać. Pośpiesza zatem, by wykazać, że zwłoki te nie przebywały na brzegu, gdyby bowiem tak było, „to znaleziono by tam jakiś ślad zabójców”. Uśmiechniesz się zapewne z tego wnioskowania. Nie zdoła ci się pomieścić w głowie, dlaczego samo tylko pozostawienie zwłok na brzegu miałoby przyczyniać się do pomnożenia śladów po zabójcach. Mnie się nie mieści także.

„Ponadto wydaje się najzupełniej nieprawdopodobne – brzmią dalej słowa owego dziennika – żeby złoczyńcy, którzy rzekomo dopuścili się tej zbrodni, mogli wrzucić ciało do wody nie obciążwszy go przedtem celem zatopienia, skoro ta przezorność była tak łatwa do wykonania”. Zwróć, proszę cię, uwagę na to zabawne poplątanie myśli. Nikt – nawet „L'Etoile” – nie zaprzecza, iż na zwłokach znalezionych dopuszczono się zbrodni. Oznaki gwałtu zbyt są wyraźne. Zadaniem rozumującego publicysty jest po prostu dowieść, iż zwłoki te nie są zwłokami Marii. Chodzi mu o to, by wykazać, że Maria nie padła ofiarą zabójstwa – nie zaś o to, że padł jego ofiarą ów trup. Tymczasem jego rozumowania dowodzą właśnie tego ostatniego. Oto zwłoki, do których nie przytwierdzono ciężaru. Zabójcy, wrzucając je do rzeki, bylitoy niezawodnie przytwierdzili ciężar. Z tego wynika, iż nie wrzucili ich zabójcy. Oto wszystko, czego dowiedziono, jeśli w ogóle było czego dowodzić. Zagadnienia identyczności nawet nie poruszono i „L'Etoile” była w wielkim kłopotcie, gdy trzeba było zaprzeczyć temu, co utrzymywało się przed chwilą. „Jesteśmy najzupełniej przekonani – pisze – iż zwłoki znalezione są zwłokami zabitej kobiety”.

I nie jest to odosobniony przykład, nawet w jednej i tej samej części wywodów, że rozumujący publicysta zwraca się bezwiednie w swych rozumowaniach przeciwko sobie samemu. Oczywiście jego zadaniem jest – jak już wspomniałem – zmniejszyć możliwie najbardziej przedział czasu między zniknięciem Marii a znalezieniem trupa. Atoli przekonaliśmy się, iż obstałe przy tym, jakoby nikt nie widział dziewczyny od chwili, kiedy przekroczyła próg mieszkania. „Nie mamy

dowodu – powiada – że w niedzielę, dnia dwudziestego drugiego czerwca, po godzinie dziewiątej rano, Maria Roget znajdowała się wśród żywych”. Ponieważ jego rozumowanie świadczy wyraźnie o *parti pris*, przeto byłby lepiej zrobił, gdyby ten szczegół pominął milczeniem; gdyby bowiem znalazł się ktoś, kto by zeznał, iż widział Marię w poniedziałek lub we wtorek, to wspomniany przedział mógłby doznać znacznego uszczuplenia i wedle jego własnego wnioskowania wielce zmniejszyłoby się prawdopodobieństwo, że owe zwłoki nie są zwłokami gryzетки. Zabawną wszelako jest rzeczą, gdy się widzi, że „L'Etoile” upiera się przy tym szczególe w niewzruszonym przeświadczeniu, iż wychodzi on na korzyść rozumowania zasadniczego.

Przejrzyj teraz powtórnie tę część wywodów, która odnosi się do rozpoznania zwłok przez Beauvais'go. Co się tyczy owych włosów na ramieniu, to „L'Etoile” objawia najwyraźniej złą wolę. Monsieur Beauvais nie jest idiotą i stwierdzając tożsamość zwłok, nie mógł żadną miarą wnioskować o tym tylko na podstawie włosów na ramieniu. Nie ma ramienia bez włosów. Ogólnikowość wyrażen w „L'Etoile” jest po prostu przekręcaniem słów świadka. Niewątpliwie mówił on o jakiejś szczególniejszej właściwości tych włosów. Musiała to być właściwość barwy, ilości, długości lub rozmieszczenia.

„Stopy miała drobne – powiada dziennik – ale stóp takich jest tysiąc. Jej podwiązki nie dowdzą niczego, tak samo jej obuwie, gdyż podwiązek i obuwia sprzedaje się na tysiące. To samo dałoby się powiedzieć o kwiatach przy jej kapeluszu. Monsieur Beauvais upiera się zawzięcie przy tej okoliczności, iż, jak okazało się, podwiązki były zwiężone skutkiem przesunięcia sprzączki. Nie upoważnia to do żadnych wniosków, gdyż większość kobiet woli zabrać kupione podwiązki do domu i poczynić w nich zmiany odpowiednio do objętości swych nóg, niż przymierzać je w sklepie.” Zaiste, trudno jest przypuścić, by mógł ktoś w ten sposób rozumować poważnie. Skoro Monsieur Beauvais, poszukując zwłok Marii, zdołał znaleźć trupa, przypominającego z ogólnych kształtów i wyglądu zaginioną dziewczynę, to miał wszelkie powody mniemać (nawet nie biorąc pod uwagę odzieży), iż poszukiwania jego nie poszły na marne. Jeżeli prócz ogólnego zarysu kształtów znalazł na ramieniu osobliwsze, kosmate znamię, które zdarzyło mu się zauważyć u Marii, kiedy była jeszcze żywa – to mógł słusznie utwierdzić się w swym przeświadczeniu, zaś przyrost jego pewności pozostawał zapewne w prostym stosunku do osobliwości czy niezwykłości owego kosmatego znamienia. Jeżeli Maria miała drobne stopy, zaś stopy trupa były również drobne, to przyrost przeświadczenia, że owe zwłoki są zwłokami Marii, mógł wzmocnić już nie w stosunku arytmetycznym, lecz nawet geometrycznym, czyli spotęgowanym. Dodaj do tego wszystkiego obuwie, najzupełniej nie różniące się od tego, które widziano na jej stopach w dniu, kiedy wyszła z domu, a przeświadczenie twoje, lubo takie obuwie sprzedaje się podobno „na tysiące”, stanie u granicy pewności. To, co samo przez się nie stanowiłoby jeszcze oznaki identyczności, nabiera dzięki swemu znaczeniu pomocniczemu mocy dowodu. Uwzględnij na ostatek kwiaty u kapelusza, zgodne z kwiatami, które nosiła zaginiona gryzетка, a dalsze poszukiwania okażą się zbyteczne. Gdyby chodziło tylko o jeden kwiat, to już nie pozostawałoby nic do życzenia – cóż zatem powiedzieć, jeśli ma się ich dwa, trzy lub więcej? Każdy następny jest dowodem zwielokrotnionym – nie dowodem dodanym do dowodu, lecz stokrotnie czy tysiąckrotnie pomnożonym. Na domiar widzimy u zmarłej podwiązki podobne do tych, jakich używała żywa – i zaiste, dalsze poszukiwania wydają się szaleństwem! Aliści okazuje się, że te podwiązki są zacieśnione przez przesunięcie sprzączek właśnie w ten sposób, jak to ze swoimi uczyniła Maria na krótko przed wyjściem z domu. Dalsze wątplenie byłoby matołkowatością lub obłudą. To, co „L'Etoile” powiada o zacieśnieniu tych podwiązek, które jakoby miało być czymś powszechnie przyjętym, dowodzi tylko uporczywości w błędzie. Elastyczność podwiązek tego rodzaju świadczy wymownie o wyjątkowości ich zacieśnienia. Przedmiot sporządzony w ten sposób, iż sam się przystosowuje, nader rzadko potrzebuje pomocy do swego przystosowania. Widocznie zaszło coś takiego, iż zacieśnienie tych podwiązek okazało się potrzebne. One jedne wystarczałyby w zupełności, by ustalić identyczność Marii. Wszelako nie stało się w ten sposób, żeby znaleziony trup miał oddzielnie czy to podwiązki zaginionej dziewczyny, czy jej obuwie, czy jej kapelusze, czy

kwiaty u jej kapelusza, czy jej stopy, czy osobliwsze znamię na ramieniu, czy wreszcie jej ogólny kształt i wygląd – lecz okazało się, że ów trup nie tylko że ma te cechy, lecz że ma je wszystkie razem. Gdyby można było dowieść, iż publicysta z „L'Etoile” mimo tych okoliczności naprawdę wątpi, to nie trzeba by zwoływać dla niego komisji de lunatico inquirendo. Zdawało mu się, że dowiedzie przenikliwości, gdy stanie się echem gawęd prawników, którzy przeważnie zadowolają się tym, iż wtórują prostolinijnym orzeczeniom trybunałów sądowych. Pozwolę sobie nawiasowo zauważyć, iż bardzo wiele z tego, co dla sądów nie ma mocy dowodu, jest właśnie najlepszym dowodem dla intelektu. Pochodzi to stąd, iż sądy, kierując się ogólnymi zasadami dowodzenia – zasadami uznanymi i skodyfikowanymi – są przeciwne wszelkim odchyleniom ku dowodom faktów poszczególnych. To niezłomne przestrzeganie zasady ze ścisłym pomijaniem sprzecznych wyjątków jest na dłuższy przeciąg czasu niezawodnym sposobem osiągnięcia tego maksimum prawdy, jakie dano nam osiągnąć³⁰. Praktyka *en masse* jest zatem filozoficzna; nie da się jednakże zaprzeczyć, iż wynikają stąd wielkie pomyłki w razach wyjątkowych.

Jeżeli weźmie się pod uwagę podejrzenia, zwrócone przeciw Beauvais'mu to dość jest dmuchnąć, aby rozwiały się wniwecz. Przeniknąłeś już zapewne właściwy charakter tego pocziwca. To wartogłów o zapędach nader romantycznych i o kiepskiej głowie. Ludziom o takim stroju psychicznym, kiedy są naprawdę wzburzeni, zdarza się zachowywać w ten sposób, iż narażają się na podejrzenia lisów zbyt szczwanych lub osób niechętnych. Monsieur Beauvais (jak okazuje się z twych notatek) rozmawiał kilkakrotnie z redaktorem „L'Etoile” i dotknął go, pozwalając sobie wyrazić pogląd, iż ów trup wbrew teorii tego publicysty jest niezawodnie zwłokami Marii. „Upiera się – pisze dziennik – utrzymując, iż zwłoki te są zwłokami Mani, ale prócz szczegółów już przemas oświetlonych nie umie przytoczyć niczego, co by mogło utwierdzić innych w tym przeświadczeniu”. Otóż pomijając już, iż niepodobna jest przytoczyć bardziej niezbitych dowodów, które by mogły „utwierdzić innych w tym przeświadczeniu”, bez trudności można wyobrazić sobie człowieka, który w podobnych razach sam jest najmocniej przekonany, a mimo to nie jest zdolny przytoczyć ani jednego argumentu dla przekonania innych. Nic nie jest bardziej nieuchwytnie od wrażenia czyjejś identyczności. Każdy z nas rozpoznaje swego sąsiada, a jednak tylko w rzadkich wypadkach jesteśmy w możności uzasadnić to nasze rozpoznanie. Publicysta z „L'Etoile” nie ma zatem prawa czuć się urażony nieuzasadnionym przeświadczeniem Monsieur Beauvais'go.

Podejrzane okoliczności, w których się zagmatwał, o wiele lepiej dadzą się pogodzić z moją hipotezą romantycznego wartogłowstwa niż z zarzutem winy, o którą go posądza rezonujący publicysta. Wyszedłszy z pobłażliwego założenia, bez trudności zdamy sobie sprawę z róży w dziurce od klucza; ze słowa „Maria” na tabliczce; z „usuwania krewnych na bok”; „z niedopuszczenia rodziny do obejrzenia zwłok”; z polecenia danego Madame B., by nie mówiła z żandarmem, dopóki on, Beauvais, nie powróci; wreszcie z postanowienia, iż „nikt nie ma brać udziału w śledztwie prócz niego samego”. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że Beauvais był wielbicielem Marii, że go kokietowała i że pochlebiał sobie, jakoby był jej najbliższy i posiadał zupełne jej zaufanie. Nie będę rozwodził się dłużej nad tym szczegółem; ponieważ zaś zeznania świadków obaliły w zupełności twierdzenie publicysty z „L'Etoile”, jakoby matka i inni krewni okazywali apatię (która zresztą nie godzi się z przypuszczeniem, iż nie wierzyli, jakoby owe zwłoki były zwłokami panny z perfumerii) – przeto będziemy odtąd prowadzili nasze badania w ten sposób, jak gdyby sprawa identyczności była załatwiona ku najzupełniejszemu naszemu zadowoleniu.

– A co myślisz – zagadnąłem – o zapatrywaniach „Commercial”?

³⁰ Teoria oparta na właściwościach jednego przedmiotu nie może osiągnąć rozwoju, który Sy pozwolił jej ogarnąć wszystkie wchodzące w skład jej przedmioty; kto zaś porządkuje zjawiska wedle ich przyczyn, ten przestaje je oceniać wedle ich wyników. Jakoż dowodzi prawodawstwo wszystkich narodów, iż prawa przestają być sprawiedliwością, kiedy staną się nauką i systemem. Błędy, w jakie ślepa uległość względem zasad klasyfikacji wtrącała prawo zwyczajowe, nietrudno jest dostrzec, kiedy się zważy, jak często władze ustawodawcze musiały spieszyć z pomocą słuszności, która zdążyła się zatracić w swych, schematach (Landor).

– Że w zasadzie zasługują więcej na uwagę niż wszystkie inne. Wnioski, wysnute z założeń, są filozoficzne i świadczą o przenikliwości; atoli założenia, przynajmniej w dwu wypadkach, opierają się na niedokładnych spostrzeżeniach. „Le Commercial” podsuwa myśl, jakoby Marię pojmą jakąś szajka znikczemiałych hulaków opodal mieszkania jej matki. „Jest rzeczą niemożliwą – powiada – by osoba tak dobrze znana tysiącom ludzi, jak ta młoda kobieta, mogła minąć trzy domy i nie być widzianą przez nikogo”. Jest to rozumowanie człowieka od dawna mieszkającego w Paryżu – rozgłośnego działacza, którego wędrówki po mieście ograniczały się przeważnie do sąsiednich urzędów publicznych. Wie, iż rzadko zdarza mu się oddalić o dwanaście domów od swego biura, by go ktoś nie poznał i nie pozdrowił. I mając na myśli, jak wiele osób sam zna tudzież jak wielu jest znany, porównywa swą wziętość z wziętością panny z perfumerii, nie widzi między nimi wielkiej różnicy i od razu dochodzi do wniosku, iż chodząc po mieście równie łatwo podlegała rozpoznaniu, jak on sam. Byłoby to słuszne tylko w takim razie, gdyby jej wędrówki miały również ten sam niezmienny, metodyczny charakter i gdyby się odbywały – podobnie jak to z nim bywa – w tym samym ograniczonym zasięgu. Idzie i wraca w odstępach regularnych, nie przekracza ograniczonego terenu, gdzie pełno jest ludzi, którzy zwracają uwagę na jego osobę, gdyż jego zajęcia są pokrewne z ich zajęciami. Natomiast wędrówki Marii – jak trzeba przypuszczać – miały na ogół charakter raczej wałęsania się. W wypadku, który przede wszystkim nas zajmuje, należy uważać za rzecz nader prawdopodobną, iż wybrała drogę odbiegającą wielce od tych, którymi zwykła była chodzić. Równorzędność, która zdaniem moim, wytworzyła się w umyśle publicysty z „Le Commercial”, mogłaby mieć uzasadnienie tylko w takim razie, gdyby wzięło się pod uwagę dwie osoby chodzące po całym mieście. W tym wypadku, jeżeli przyjmiemy, że liczba ich znajomości jest równa, istnieje prawdopodobieństwo, iż liczba spotkań znajomych będzie także równa. Osobiście uważałbym za rzecz nie tylko możliwą, lecz nawet więcej niż prawdopodobną, iż Marii zdarzyło się: chodzić o różnych porach i różnymi drogami prowadzącymi z jej mieszkania do mieszkania jej ciotki i nie spotykać przy tym ani jednej osoby, którą by знаła lub przez którą byłaby znana. Chcąc ujrzyć to zagadnienie w pełnym i właściwym świetle, nie można zapominać ani na chwilę o bezmiernej różnicy, jaka zachodzi między ilością znajomych najbardziej nawet znanego w Paryżu człowieka a liczbą wszystkich mieszkańców tej stolicy.

Jeżeli jednak domysł „Le Commercial” może przedstawiać jeszcze jaką wartość, to zmniejszy się ona wielce, gdy weźmiemy pod uwagę godzinę, o której dziewczyna wyszła na miasto. „Ulice roiły się od ludzi – pisze Le Commercial – kiedy wyszła z domu”. Tymczasem stało się inaczej. Była dziewiąta rano. Otóż o dziewiątej każdego dnia w tygodniu, prócz niedzieli, ulice miasta istotnie roją się od ludzi. O dziewiątej w niedzielę mieszkańcy są przeważnie w domu i przygotowują się, by pójść do kościoła. Człowiek nie pozbawiony zmysłu spostrzegawczego musi zauważyć szczególnie opustoszały wygląd miasta od ósmej do dziesiątej rano co niedziela. Od dziesiątej do jedenastej rano ulice są zatłoczone, nie dzieje się to atoli o tak wczesnej porze, jak w dzienniku podano.

Jest jeszcze inny szczegół, co do którego spostrzegawczość „Le Commercial” nie dopisała. „Kawałek spódniczki nieszczęśliwej dziewczyny – powiada on – długi na dwie stopy i szeroki na jedną oddarto, okręcono dokoła jej szyi i zawiązano na karku, prawdopodobnie w tym celu, by stłumić krzyk. Uczynili to złoczyńcy, którzy nie mieli przy sobie nawet chustki do nosa”. O ile ten pogląd jest lub nie jest

uzasadniony, przekonamy się później; jednakże publicysta mniema, iż owymi „złoczyńcami, którzy nie mieli nawet chustki do nosa” były najnędrniejsze rzezimieszki. Tymczasem ci właśnie należą do ludzi, którzy nawet wówczas posiadają chustki do nosa, gdy nie mają na grzbiecie koszuli. Zauważyłeś zapewne, jak od pewnego czasu chustka do nosa stała się wprost niezbędną dla skończonych opryszków.

– A cóż należy myśleć – zapytałem – o artykule w „Le Soleil”?

– Jaka to szkoda, że redaktor tego czasopisma nie urodził się papugą, gdyż byłby niewątpliwie znakomitością wśród tej ptasiej odmiany. Powtórzył on po prostu poglądy już ogłoszone, szperając za nimi z chwalebą zapobiegliwością po różnych dziennikach. „Rzeczy te leżały tam widocznie – powiada on – co najmniej ze trzy lub cztery tygodnie” i „nie ulega wątpliwości, iż powiodło się odkryć widownię tej ohydnej zbrodni”. Szczegóły, przytoczone ponownie przez „Le Soleil”, nie nadają się, zaiste, do rozproszenia mych wątpliwości w tej sprawie i przyjdzie nam je szczegółowiej zbadać w związku z innym działem tego zagadnienia.

Obecnie musimy się zająć odmiennymi dochodzeniami. Niepodobna, żebyś nie zauważył, jak pobieżnie dokonano badania zwłok. Zapewne, iż zagadnienie identyczności nie przedstawiało lub przynajmniej nie powinno było przedstawiać większych trudności; atoli pozostawały jeszcze inne szczegóły do sprawdzenia. Czy dopuszczono się na tych zwłokach jakiej grabieży? Czy zmarła miała na sobie jakie kosztowności, gdy wychodziła z domu? Jeżeli zaś miała, to czy je odnalaziono? Są to zagadnienia wielkiej wagi, zupełnie pominięte przy śledztwie; a znalazłyby się inne, niemniej ważne, na które nie zwrócono uwagi. Poczynimy starania, by dowiedzieć się o tym wszystkim na własną rękę. Sprawę SaintEustache'a należy poddać ponownemu zbadaniu. Nie mam go w podejrzeniu, ale należy działać metodycznie. Musimy się upewnić ponad wszelką wątpliwość co do wiarygodności affidavitów zaświadczających, gdzie przebywał kolejno owej pamiętnej niedzieli. Dokumenty tego rodzaju bywają niejednokrotnie środkiem mistyfikacji. Jeżeli okażą się bez zarzutu, to pominiemy SaintEustache'a przy dalszych dochodzeniach. Jego samobójstwo, które przyczyniałoby się do wzmocnienia podejrzeń, gdyby w owych affidavitach odkryto jakieś kręctwa, nie jest – o ile się ich nie znajdzie – bynajmniej czymś nieprzeniknionym lub czymś, co by zniewalało nas do zboczenia od zwyczajnej analizy.

W tym, co obecnie mam na celu, zamierzam pominąć wewnętrzne szczegóły tej tragedii, a skupić całą uwagę na jej zarysach zewnętrznych. W dochodzeniach takich jak niniejsze popełnia się zazwyczaj ten błąd, iż ogranicza się śledztwo do szczegółów bezpośrednich, a nie dba się zupełnie o zdarzenia uboczne lub okolicznościowe. Jest to nader niewłaściwe ze strony sądów, iż zacieśniają zeznania i dyskusję do tego, co namacalnie mieści się w zakresie danej sprawy. Bowiem doświadczenie już wykazało, a prawdziwa filozofia będzie zawsze wykazywała, że znaczna, może nawet większa część prawdy wynika z okoliczności pozornie ze sprawą nie związanych. Z ducha tej zasady, jeżeli niekoniecznie z jej litery, pochodzi to zjawisko, że wiedza nowoczesna skłonna jest do rozumowania na nieprzewidziane. Ale może ty mnie nie pojmujesz? Dzieje wiedzy ludzkiej dowodziły z taką nieprzerwaną ciągłością, iż zdarzeniom ubocznym, przypadkowym i nieistotnym zawdzięczamy najliczniejsze i najważniejsze odkrycia, że w końcu trzeba było, licząc się z przyszłością dalszego postępu, poczynić nie tylko wielkie, ale nawet bardzo wielkie ustępstwa dla wynalazków poczynających się z przypadku i znajdujących się poza obrębem oczekiwań zwyczajnych. Niefilozoficznie już jest szukać oparcia dla minionej wizji tego, co być powinno. Trzeba pozwolić, by przypadek stał się częścią podwalin. Dla ias jest on przedmiotem ścisłego rozumowania. Podporządkujemy to, co jest niedościgłe dla wyobraźni, czemu nie może sprostać przewidywanie, matematycznym formułom naukowym.

Jest już więcej niż pewnikiem – powtarzam raz jeszcze – iż większa część wszelkiej prawdy bierze początek ze zjawisk ubocznych. Będzie to więc najzupełniej zgodne z duchem zasady zawartej w tym twierdzeniu, gdy w sprawie, która nas obchodzi, odstąpię od badań na ubitym i dotychczas jałowym gruncie samego zdarzenia i zwrócę się do współczesnych okoliczności, których jest ono ośrodkiem. Ty zabierzesz się do sprawdzania wiarygodności affidavitów, o których mówiliśmy, ja zaś zajmę się zbadaniem dzienników nieco szczegółowiej, niż ty to czyniłeś. Dotychczas rozglądaliśmy się tylko po polu badania; lecz byłoby, zaiste, rzeczą dziwną, gdyby rozumowy przegląd pism codziennych, którego się podejmę, nie dostarczył nam kilku drobnych wskazań, pomocnych do ustalenia kierunku dochodzeń.

Wywiązując się z zadania poruczonego mi przez Dupina, poddałem dokładnemu badaniu sprawę affidavitów. Wynikiem było niewzruszone przeświadczenie o ich wiarygodności i – co za

tym idzie – o niewinności SaintEustache'a. Tymczasem mój przyjaciel pograżył się z drobiazgowością, która wydawała mi się najzupełniej zbyt, w przeglądaniu wycinków z różnych dzienników. Pod koniec tygodnia przedłożył mi wypisy następujące:

„Mniej więcej półczwarta roku temu powstało zamieszanie, nader podobne do obecnego, wywołane zniknięciem tejże samej Marii Roget z perfumerii Monsieur Le Blanca w Palais Royal. Wszelako pod koniec tygodnia pojawiła się znowu przy kasie sklepowej, najzupełniej zdrowa, acz nieco bledsza niż zazwyczaj. Monsieur Le Blanc i jej matka rozgłaszali, iż przebywała na wsi u jakiejś przyjaciółki, i cała ta sprawa rychło przycichła. Przypuszczamy, iż nieobecność terazniejsza jest podobnym wybrykiem i że po upływie tygodnia lub może miesiąca znowu do nas zawita. („Evening Paper”³¹ z poniedziałku 23 czerwca).

Jedten z dzienników wieczornych w nrze wczorajszym napomyka o poprzednim, zagadkowym zniknięciu Mademoiselle Roget. Wiadomo powszechnie, iż zniknąwszy z perfumerii Le Blanca przebywała przez tydzień w towarzystwie młodego oficera marynarki, znanego rozpustnika. Podobno jakaś sprzeczka sprowadziła ją z powrotem do domu. Znamy nazwisko rzeczonego Lotharia, który obecnie przebywa w Paryżu, lecz dla łatwo zrozumiałych powodów nie uważamy za właściwe podawać go do wiadomości publicznej. („Le Mercure”³², środa rano, 24 czerwca).

Ohydnej drożności dopuszczono się przedwczoraj rano w pobliżu miasta. Pewien pan, w towarzystwie swej żony i córki, ugodził się o zmierzchu z sześciu młodzieńcami, których łódź krążyła bez celu w pobliżu mielizn na Sekwanie, iż przewiozą go przez rzekę. Podpłynąwszy do przeciwległego brzegu troje pasażerów wysiadło i odeszło tak daleko, iż łodzi nie było już widać, kiedy dziewczyna zauważyła, iż zapomniała parasolki. Wróciła po nią, lecz wpadła w ręce owych złoczyńców, którzy zabrali ją ze sobą na rzekę, związali, nikczemnie sponiewierali i w końcu wysadzili na ląd opodal miejsca, gdzie poprzednio wsiadła do łodzi ze swymi rodzicami. Niegodziwcom udało się ujsć na razie, ale policja jest na ich tropie i wkrótce kilku z nich uwięzi. („Morning Paper”³³, 25 czerwca).

Otrzymaliśmy jeden czy dwa listy, które chcą zwalić na Mennais'go³⁴ ohydę niedawno popełnionej zbrodni; ponieważ jednak śledztwo sądowe wykazało zupełną jego niewinność, zaś argumenty niektórych korespondentów naszych wynikają – jak się zdaje – raczej z zapalczywości niż rozważli, przeto nie uważamy za właściwe podawać ich do wiadomości publicznej („Morning Paper”, 28 czerwca).

Otrzymaliśmy kilka energicznie brzmiących komunikatów, pochodzących zapewne z różnych źródeł. Utrzymują one z całą stanowczością, iż nieszczęśliwa Maria Roget padła ofiarą jednej z licznych szajek opryszków, wałęsających się co niedziela w pobliżu miasta. Wedle naszego mniemania przypuszczenia te są najzupełniej słuszne. Postaramy się wkrótce omówić szerzej niektóre z podanych argumentów (Evening Paper³⁵, wtorek 31 czerwca).

W poniedziałek jeden z przewoźników, pozostających na służbie władz skarbowych, zauważył na Sekwanie pustą łódź, ponoszoną prądem rzeki. Na dnie tej łodzi leżały żagle. Przewoźnik zawlókł ją na linie do urzędu portowego. Następnego ranka zabrał ją ktoś stamtąd bez wiedzy urzędników. Ster pozostał w urzędzie portowym („La Diligence”³⁶ czwartek 6 czerwca).

Czytając te wypisy, doznawałem wrażenia, iż nie mają nic wspólnego ze sprawą, i nie mogłem zrozumieć, w jaki sposób można by je z nią powiązać. Oczekiwałem zatem wyjaśnień od Dupina.

– Nie jest obecnie moim zamierzeniem – odezwał się – kłaść nacisk na pierwsze dwa wypisy. Przepisałem je głównie w tym celu, by wykazać ci krańcowe niedbalstwo policji, która – o ile dowiedziałem się od prefekta – nie postarała się bynajmniej o wywiad w sprawie wzmiankowa-

³¹ „New York Express”.

³² „New York Herald”.

³³ „New York Courier and Inquirer”.

³⁴ Mennais był jedną z osób, zrazu podejrzaných i aresztowanych; rychło go jednak uwolniono dla zupełnego braku dowodów.

³⁵ „New York Evening Post”.

³⁶ „New York Standard”.

nego oficera marynarki. Ależ to istne szaleństwo utrzymywać, iż między jednym a drugim zniknięciem Marii nie ma przypuszczalnego związku! Wyjdźmy z założenia, iż pierwsza ucieczka skończyła się sprzeczką między kochankami i powrotem pod dach rodzicielski zawiedzionej dziewczyny. Pozwoli nam to uważać powtórna ucieczkę (o ile uznamy, iż była to ucieczka) raczej za wskazówkę wznowionych starań uwodziciela niż za wynik umizgów jakiegoś nowego wielbielcy – czyli jesteśmy przygotowani do poglądu, iż było to raczej „sklejenie” dawniejszej miłości niż nawiązanie nowej. Przemawia za tym dziesięć przeciw jednemu, że człowiek, który już raz uciekał z Marią, mógł ją łatwiej namówić do podobnej ucieczki, niż żeby Maria, którą namówił przedtem do ucieczki jeden człowiek, dała się do niej nakłonić drugiemu. Tutaj pozwolę sobie zwrócić twoją uwagę na tę okoliczność, iż przedział czasu między pierwszą sprawdzoną a drugą domniemaną ucieczką różni się zaledwie o parę miesięcy od okresu, w jakim zwykły przebywać na pełnym morzu nasze okręty wojenne. Czy owemu kochankowi w jego pierwszej niegodziwości przeszkodziła konieczność wyjazdu na morze i czy po powrocie skorzystał z pierwszej sposobności, by wznowić swe nikczemne zabiegi, jeszcze niezupełnie zakończone? Nic o tym wszystkim nie wiemy.

Mógłbyś jednak powiedzieć, że w drugim wypadku mamy do czynienia tylko z domniemaną ucieczką. Zapewne – lecz czyż możemy utrzymywać, że nie było zamiarów udaremnionych? Poza SaintEustache'em i może Beauvais'm nie wiemy nic o uznanych, jawnych, godnych wielbielcach Marii. Nie mówiono o nikim innym. Któż zatem jest owym tajemniczym kochankiem, o którym krewni (przynajmniej ich większość) nic nie wiedzą, lecz z którym Maria spotyka się w niedzielę rano i w którym takie pokłada zaufanie, iż nie waha się przebywać z nim aż do samego zmierzchu w ustronnych zagajnikach przy Barriere du Roule? Któż jest – powtarzam – owym tajemniczym kochankiem, o którym przynajmniej większość krewnych nic nie wie? I co znaczyła osobliwsza przepowiednia Madame Roget, która rano, po odejściu Marii, powiedziała: „Obawiam się, że Marii już nigdy nie zobaczę”.

Skoro jednak niepodobna podejrzewać, że Madame Roget wiedziała o zamiarze ucieczki, to czyż przynajmniej nie można przypuszczać, iż zamiar ten dziewczyna powzięła? Wychodząc z domu uprzedziła, iż wybiera się do swej ciotki przy rue des Drômes, zaś SaintEustache miał przyjść po nią o zmierzchu. Otóż, na pierwszy rzut oka, okoliczność ta pozostaje w jaskrawej sprzeczności z moim przypuszczeniem; ale zastanówmy się dokładniej! Wiadomo jest, iż znalazła po drodze jakiegoś towarzysza, że przeprowiła się z nim przez rzekę i wysiadła na ląd koło Barriere du Roule późno, gdyż dopiero około trzeciej po południu. Wszelako zgadzając się towarzyszyć owemu osobnikowi (dla jakiegoś celu – znanego lub nie znanego jej matce), myślała niewątpliwie o tym, co powiedziała wychodząc z domu, tudzież o zdumieniu i podejrzeniach, jakie musiałyby żałac się w umyśle jej narzeczonego, SaintEustache'a, gdyby, przyszedłszy o umówionej godzinie na rue des Drômes, nie zastał jej tam i gdyby na domiar, powróciwszy do pensjonatu z tą niepokojącą wiadomością, dowiedział się, że wciąż jeszcze jest nieobecna. Powtarzam, iż musiała myśleć o tym. Musiała przewidywać zmartwienie SaintEustache'a i podejrzenia całej swej rodziny. Niepodobna, żeby nie myślała, iż po powrocie narazi się na te podejrzenia, które natomiast stawały się dla niej czymś nader błahym, jeżeli przyjmujemy, iż nie zamierzała powrócić.

Można by sobie wyobrazić, iż tok jej myśli był następujący: „Mam się spotkać z kimś celem ucieczki lub dla jakichś innych powodów, znanych tylko mnie samej. Trzeba urządzić się tak, żeby nic nie stanęło na przeszkodzie – trzeba zyskać na czasie, byśmy mogli ująć pościgu – rzucę od niechcenia, że wybieram się aa cały dzień do mej ciotki przy rue des Drômes –powiem narzeczonemu, żeby przyszedł po mnie dopiero o zmierzchu – w ten sposób nieobecność moja przeciągnie się możliwie długo, nie budząc zaniepokojenia i podejrzeń, ja zaś więcej zyskam na czasie, niż gdybym postąpiła inaczej. Jeżeli poproszę SaintEustache'a, by przyszedł po mnie o zmierzchu, to na pewno nie przyjdzie wcześniej; jeżeli natomiast nie poproszę go o to wcale, to czas nadający się do ucieczki znacznie się zmniejszy, gdyż wszyscy będą oczekiwali, że powrócę wcześniej, a nieobecność moja rychlej wywoła zaniepokojenie. Gdybym w ogóle zamierzała po-

wrócić, gdybym chciała tylko odbyć wycieczkę z osobą mi wiadomą – to nie byłoby dowcipnie z mojej strony prosić SaintEustache'a, by przyszedł po mnie, gdyż przyszedłszy, dowiedziałby się na pewno, że wyprowadziłam go w pole – o czym mógłby zupełnie nie wiedzieć, gdybym wyszła z domu nie mówiąc mu o swych zamiarach, powróciła przed zmierzchem, a następnie opowiedziała, iż byłam u ciotki przy rue des Drômes. Ponieważ jednak nie zamierzam wcale powrócić – lub też powrócę po kilku tygodniach albo wówczas, kiedy zdążę się z czymś ukryć – zysk na czasie jest jedynym względem, o który muszę się troszczyć.

Zaznaczyłeś w swych notatkach, iż powszechnie mniema się i mniemało od samego początku, jakoby ta dziewczyna padła ofiarą szajki opryszków. Otóż opinii powszechnej nie należy w pewnych razach lekceważyć. Jeżeli poczyna się sama przez się, jeżeli objawia się wprost odruchowo, trzeba uważać ją za przejaw podobny do intuicji, która jest właściwością jednostek genialnych. W dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto polegałbym na jej orzeczeniach. Wszelako jest rzeczą ważną, by nie nosiła śladów jakiejś sugestii. Opinia winna być ściśle własnym odruchem publiczności i niejednokrotnie jest nader trudno wyczuć tę różnicę i ją określić. Zdaje mi się, iż w wypadku obecnym ta „opinia publiczna”, o ile chodzi o swoją szajkę, dała się powodować zdarzeniu ubocznemu, przytoczonemu w trzecim moim wypisie. Cały Paryż jest podniecony odkryciem zwłok Marii, dziewczyny młodej, pięknej i znanej. Zwłoki te, sponiewierane znamionami okrucieństwa, znaleziono pływające po rzece. I oto rozchodzi się wiadomość, iż w tym samym lub niemal w tym samym czasie, kiedy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa na dziewczynie tej dopuszczono się zabójstwa, zdarzyła się inna niegodziwość, podobna do tej, której uległa zmarła, aczkolwiek nie tak potworna, i że sprawcami jej była szajka młodych złoczyńców, zaś ofiarą również młoda kobieta. Czyż jest w tym coś dziwnego, iż znane szkaradzieństwo może oddziaływać na opinię publiczną także w stosunku do nieznanego? Opinia ta domagała się wskazówek, a owa zbrodnia znana nastręczała je tak pochopnie! Przy tym Marię znaleziono w rzece, zaś owej zbrodni znanej dokonano nad tą samą rzeką! Łączność, zachodząca między tymi dwoma zdarzeniami, była tak bardzo namacalna, iż byłoby dziwem nad dziwami, gdyby lud zaniedbał pochwycić ją i ocenić. Tymczasem rzecz przedstawia się tak, że jedna okropność, o której wiadomo, w jaki sposób została dokonana, jest niemal niezawodną wskazówką, że druga okropność, której dopuszczono się prawie równocześnie, nie będzie dokonana w ten sam sposób. Byłoby zaiste cudem, gdyby nastąpił taki zbieg okoliczności, iż kiedy jedna szajka złoczyńców popełnia w danej miejscowości niesłychaną niegodziwość, omal równocześnie pojawia się inna, podobna szajka, w podobnej miejscowości w tym samym mieście, w tych samych okolicznościach, rozporządzająca takimi samymi środkami i posługująca się nimi w ten sam sposób dla dokonania jota w jotę podobnej ohydy! W cóż jednak każe nam wierzyć przypadkowo zasugerowana opinia publiczna, jeśli nie w taki osłupiający zbieg okoliczności?

Zanim podążymy dalej, zastanówmy się nad domniemaną widownią zabójstwa, w gęstwinie koło Barriere du Roule. Zarośla te, aczkolwiek gęste, rozpościerają się tuż obok gościńca. W ich głębi leżą trzy czy cztery wielkie kamienie, tworzące jakby krzesło z oparciem i podnóżkiem. Na kamieniu górnym znaleziono białą spódniczkę, zaś na innym szarfę jedwabną. Leżała tam również parasolka, rękawiczki i chustka do nosa. Chustka była naznaczona napisem „Maria Roget”. Na pobliskich krzakach widniały strzępy odzieży. Ziemia była zdeptana, krzewy połamane, słowem, znać było wyraźne ślady zacieklej walki.

Mimo poklasku, z jakim odkrycie tej gęstwiny przyjęła prasa, i mimo jednomyślności, z jaką przypuszczano, iż stanowi ona właściwą widownię zbrodni, trzeba przyjąć, iż istnieje sporo niebyle jakich względów, które każą o tym wątpić. Iż była widownią, można wierzyć lub nie wierzyć, ale wątpieniu oprzeć się nie można. Jeżeli rzeczywista widownia znajdowała się – jak domyśla się „Le Commercial” – w pobliżu rue Pavee SaintAndre, to sprawców tej zbrodni, którzy wedle mojego przypuszczenia przebywają wciąż jeszcze w Paryżu, ogarnęło niezawodnie przerażenie, gdy przekonali się, iż uwaga publiczna zdołała z taką przenikliwością zwrócić się we właściwe łożysko; zaś w pewnego rodzaju umysłach „mogło od razu rozbudzić się poczucie, iż trzeba

coś uczynić, by odwrócić tę uwagę w inną stronę. A ponieważ gęstwina koło Barriere du Roule wydawała się już podejrzana, przeto mógł zrodzić się pomysł umieszczenia tam przedmiotów, które później znaleziono. Wbrew temu, co „Le Soleil” przypuszcza, nie ma istotnych dowodów, że przedmioty znalezione leżały dłużej niż kilka dni w zaroślach; natomiast więcej przemawia za tym, iż nie mogły pozostawać tam, nie zwracając niczyjej uwagi, przez dwadzieścia dni, które upłynęły między fatalną niedzielą a owym popołudniem, kiedy znaleźli je chłopcy. „Wszystkie zbutwiały od deszczu – wyraża się «Le Soleil» przywłaszczając sobie mniemania swych poprzedników – i pozlepiały się pleśnią. Dokoła wybujała trawa i po części je zakryła. Jedwab na parasolkę był mocny, ale szwy puściły. Część górna pokrycia w tym miejscu, gdzie tkanina miała podkładkę i była sfałdowana, zbutwiała i przegniła do tego stopnia, iż rozdarła się, kiedy parasolkę otworzono”. Jeżeli jest mowa o tym, że trawa „wybujała dokoła i po części je zakryła”, to oczywista, że szczegół ten mógł znaleźć potwierdzenie tylko w słowach, którymi przejawily się wspomnienia dwu malców, gdyż ci malcy zabrali owe przedmioty i zanieśli je do domu, zanim zdążył zobaczyć je ktoś trzeci. Przy tym trawa, jeśli pogoda jest ciepła i wilgotna (a taka właśnie była w okresie owego zabójstwa), może urósć w przeciągu jednego dnia na dwa do trzech cali. Parasolka, położona na świeżo kielkującej murawie, może zniknąć zupełnie sprzed oczu w przeciągu tygodnia pod bujnie rozwijającą się zielenią. Co zaś do owej pleśni, przy której publicysta z „Le Soleil” obstaje z taką uporczywością, iż używa tego słowa, aż trzy razy w krótkim ustępie, tylko co przytoczonym, to czyż podobna, żeby naprawdę nie zdawał sobie sprawy z rodzaju tej pleśni? Czy trzeba go pouczać, iż jest to jedna z licznych odmian grzybka, którego najpospolitsza właściwość polega na tym, iż pleni się i zanika w przeciągu dwudziestu czterech godzin?

Widzimy zatem od pierwszego wejrzenia, iż to, co tak tryumfująco przytaczano na poparcie poglądu, jakoby owe przedmioty leżały „co najmniej trzy lub cztery tygodnie” w gęstwinie, jest skończoną niedorzecznością, o ile chodzi o jakiegokolwiek uzasadnienie. Z drugiej strony jest nadzwyczaj trudno uwierzyć, żeby owe przedmioty mogły leżeć w rzeczonym gęstwinie dłużej niż tydzień – dłużej niż od jednej niedzieli do drugiej. Kto zna trochę okolice Paryża, ten wie, jaką ogromną trudność przedstawia znalezienie ustronia, o ile go się nie szuka w znacznej odległości od krańców miasta. Zakątek nie zbadany lub bodaj nieczęsto odwiedzany w tych lasach i zagajnikach nie da się wprost pomyśleć. Jeżeli jakiś szczerzy miłośnik przyrody, uwięziony swymi obowiązkami wśród kurzu i skwaru tej wielkiej metropolii, zechce, chociażby w dzień powszedni, ugasić pragnienie samotności wśród zmiennych uroków przyrody, która bezpośrednio nas otacza – to nie zdąży postąpić nawet dwu kroków, żeby wszczynającego się zakłęcia nie rozproszyło nawoływanie lub osobiste pojawienie się jakiegoś hultaja czy szajki zapitych opryszków. Będzie szukał zacisza wśród najgęstszego listowia, ale na próżno. Właśnie w tych ustroniach roi się po prostu od ludzkiego niechłujstwa – są to najbardziej zbezczeszczone świątynie. Z niesmakiem w duszy wróci wędrowiec pośpiesznie do Paryża, by zapaść w stek ohydy, wszelako mniej odrażającej, gdyż nie tak bezecnej. Skoro więc okolice podmiejskie w dni powszednie są tak nawiedzane, to cóż dopiero mówić o niedziel! Jest to dzień, kiedy, wyzwolone z pęt pracy lub pozbawione zwykłej sposobności do występku, wszelkie szumowiny miejskie wyruszają za miasto, nie z upodobania do uroków sielskich, którymi w głębi duszy gardzą, lecz żeby uniknąć przymusów i nawyków kulturalnych. Pożądają one nie tyle świeżego powietrza i zieleni drzew, co nieskrępowanej swawoli, jakiej używa wieś. Tutaj, w przydrożnej karczmie lub w cieniu drzew, czując, że nie śledzi ich już spojrzenie niczyje prócz oczu godnych towarzyszy, pograżają się te wyrzutki w rozpasaniu kłamanej wesołości – co jest pomiotem rumu i swobody. Nie nadmienię nic ponad to, co każdemu nie uprzedzonemu a spostrzegawczemu człowiekowi po prostu rzuca się w oczy, wszelako powtarzam, iż byłoby niemal cudem, gdyby zdarzyło się, że rzeczony przedmioty pozostawałyby nietknięte, w jakiegokolwiek gęstwinie tuż pod Paryżem dłużej niż od jednej niedzieli do drugiej.

Atoli istnieją jeszcze inne powody do przypuszczeń, iż owe przedmioty umieszczono w gęstwinie celem odwrócenia uwagi od właściwej widowni zbrodni. Przede wszystkim pozwolę so-

bie zwrócić twą uwagę na datę znalezienia tych przedmiotów. Zestaw ją z datą piątego mojego wypisu z dzienników. Przekonasz się, że odkrycie to nastąpiło niemal bezpośrednio po rozesłaniu natarczywych komunikatów do dzienników wieczornych. Komunikaty te, aczkolwiek różne i na pozór z różnych pochodzące źródeł, zmierzają wszystkie ku temu samemu celowi – mianowicie, by zwrócić uwagę na szajkę sprawców zbrodni i na okolicę Barriere du Roule jako domniemaną jej widownię. Otóż podejrzenie polega nie na tym, iż skutkiem owych komunikatów czy też uwagi publicznej, przez nie pokierowanej, malcy znaleźli te przedmioty; lecz mogłoby i może polegać na tym, że dzieci nie znalazły wcześniej tych przedmiotów, ponieważ ich w zaroślach nie było. Umieścili je tam równocześnie z datą lub na krótko przed datą owych komunikatów ich winni autorzy.

Te zarośla były osobliwe – nader osobliwe. Odznaczały się nadzwyczajną gęstością. W okolu ich samorodnych ścian znajdowały się trzy szczególniejsze kamienie, tworzące jakby krzesło z oparciem i podnóżkiem. Zaś gęstwina ta, pełna uroków przyrodzonego artyzmu, znajdowała się w bezpośrednim pobliżu, o kilka prętów od mieszkania Madame Deluc, której malcy mieli zwyczaj starannie przetrząsać chaszczę, poszukując kory sassafras. Czyż nie można by iść o zakład – postawić tysiąc przeciw jednemu – iż nie było dnia, żeby przynajmniej jeden z tych chłopców nie ukrywał się w tym cieniście przybytku, nie zasiadał na tym naturalnym tronie? Kto by wahał się iść o zakład, ten albo nigdy nie był chłopcem, albo zapomniał chłopięcej natury. Powtarzam, iż jest niesłychanie trudno pojąć, w jaki sposób owe przedmioty mogły pozostawać niepostrzeżone w gęstwinie dłużej niż jeden lub dwa dni; istnieją zatem, wbrew dogmatycznej bezmyślności publicysty z „Le Soleil”, wszelkie powody do przypuszczeń, iż je tam względnie dość późno umieszczono.

Istnieją wszelako jeszcze inne argumenty, znacznie mocniejsze od już przytoczonych, które każą wierzyć, że je tam podłożono. Zwróć, proszę cię, uwagę na nader sztuczne rozmieszczenie tych przedmiotów. Na górnym kamieniu widniała biała spódniczka; na drugim szarfa jedwabna; porozrzucane dokoła leżały rękawiczki, parasolka i chustka z napisem „Maria Roget”. Jest to właśnie takie rozmieszczenie, jakiego naturalnie dokonałby ktoś niezbyt przenikliwy, a chcący porozkładać te przedmioty naturalnie. Atoli nie jest to bynajmniej rozmieszczenie naprawdę naturalne. Wolałbym raczej widzieć wszystkie te rzeczy leżące na ziemi i podeptane nogami. W ciśniecie tego ustronia byłoby rzeczą prawie niemożliwą, aby spódniczka i szarfa pozostały nie poruszone na kamieniach wśród kotłowaniny, wynikłej z szamotania się wielu osób. „Znać było – jak powiadają – ślady walki; ziemia była zdeptana, krzewy połamane”, ale spódniczka i szarfa leżały, gdy je znaleziono, jak na półkach. „Strzępy odzieży, zwieszające się z krzewów, miały około trzech cali szerokości i sześciu cali długości. Jeden z nich był kawałkiem rąbka od sukni i wykazywał ślady naprawek. Wyglądały jak oddarte”. W tym miejscu „Le Soleil” posługuje się bezwiednie zwrotem nader podejrzanym. Opisane kawałki wyglądają istotnie „jak oddarte”, ale ręcznie i umyślnie. Jest to wypadek nadzwyczaj rzadki, by pod działaniem jakiegoś kolca taki kawałek jak ten, o którym mowa, „oddzierał się” od odzieży. Z właściwości naturalnych wszelkiej tkaniny wynika, że gwoździec lub kolec, który o nią zaczepi, rozdziera ją prostokątnie – rozdziela ją dwiema szczelinami podłużnymi, pozostającymi w stosunku do siebie pod kątem prostym i stykającymi się u wierzchołka, to jest w tym miejscu, gdzie kolec zaczepił; natomiast jest rzeczą prawie niemożliwą wyobrazić sobie kawałek „oddarty”. Czegoś podobnego jeszcze nie widziałem, i ty także. By odedrzeć kawałek tkaniny, trzeba niemal zawsze dwu sił określonych, działających w różnych kierunkach. Jeżeli tkanina ma dwa brzegi – jak na przykład chustka do nosa – i chce się udrzeć z niej kawałek, to w takim razie, lecz tylko w takim razie, wystarcza jedna siła. Wszelako w wypadku obecnym chodzi o suknię, która ma tylko jeden brzeg. Wydrzeć kawałek ze środka, gdzie nie ma brzegu, można by tylko jakimś cudownym sposobem przy współdziałaniu wielu kolców, nigdy zaś jednego. Atoli nawet tam, gdzie jest brzeg, potrzeba by dwu kolców, z których jeden działałby w dwu kierunkach określonych, a drugi w jednym. Przy tym należy przyjąć, że brzeg jest nie obrębiony. Jeżeli jest obrębiony, to prawie nie ma o czym mówić. Wi-

dzimy zatem, jak znaczne i liczne nastęrczają się przeszkody, gdy chodzi o oddarcie kawałka przez zwyczajne „ciernie”; tymczasem żąda się od nas, byśmy uwierzyli, że w ten sposób oddarł się nie jeden kawałek, lecz kilka. Przy tym jeden z nich był rąbkiem od sukni! Zaś drugi częścią zakładki, nie rąbkiem – to znaczy, że był wydarty zupełnie przez ciernie ze środka, a nie ze skraja spódnicy. Są to, zdaniem moim, rzeczy takie, że można wybaczyć, jeśli im się nie wierzy; wszelako, razem wzięte, stanowią snadź mniej zastanawiający motyw podejrzenia, niż ta osłupiająca okoliczność, że przedmioty owe mogły być pozostawione w chaszczach przez zabójców, którzy byli o tyle przezorni, iż usunęli zwłoki. Nie zrozumiałeś mnie jednakowoż, jak należy, jeżeli przypuszczasz, jakobym przeoczył, iż gęstwina ta była widownią zbrodni. Mogło tam stać się coś złego lub, co prawdopodobniejsze, zaszło coś u Madame Deluc. Lecz w zasadzie jest to szczególniego podzrędnieszego znaczenia. Podjęliśmy się odszukać nie miejsce, ale sprawców zbrodni. Wszystko to, co przytoczyłem, aczkolwiek było nader drobiazgowo, nie miało przecież nic innego na celu, jak wykazać ci najpierw nedorzecznosc stanowczych i pochopnych zapewnień publicysty z „Le Soleil”, następnie zaś, i przede wszystkim, poprowadzić cię jak najprostszą drogą ku dalszemu, wątpliwemu zagadnieniu, czy to zabójstwo było dziełem szajki, czy też nie było.

Ograniczę się w tej sprawie do napomknienia wstrząsających szczegółach, zeznanych przez chirurga na śledztwie. Dość powiedzieć, iż jego wnioski, które dostały się do wiadomości publicznej, a dotyczyły ilości rzezimieszków, przez wszystkich wybitniejszych anatomów paryskich zostały słusznie ośmieszone jako błędne i wszelkiej pozbawione podstawy. Nie dlatego, żeby nie mogło się stać, jak wywnioskował, lecz że nie było przesłanek do tego wniosku – a czyż nie było ich więcej do innego?

Zastanówmy się teraz nad, śladami walki i zapytajmy, czego tymi śladami chciano by nam dowiedzieć. Szajki. Lecz czyż nie dowodzą one raczej nieobecności szajki? Jakaż to walka – walka tak zacięta i przewlekła, iż pozostawiła ślady na wszystkie strony mogła się odbyć między słabą i bezbronną dziewczyną a szajką domniemanych rzezimieszków? Ujęłoby ją w milczeniu kilka tęgich ramion i wszystko byłoby skończone. Ofiara musiałaby poddać się z bezwzględną uległością ich woli. Uprzytomnijże sobie teraz, iż argumenty, przemawiające przeciwko temu, jakoby ta gęstwina była widownią zbrodni, tylko o tyle mają zastosowanie, o ile mówi się o niej jako o widowni zbrodni, popełnionej przez więcej niż jednego osobnika. Skoro jednak wyobrazimy sobie tylko jednego napastnika, to wówczas – lecz jeno wówczas – możemy zrozumieć walkę tak zacięta i tak upartą, iż mogła pozostawić widoczne „ślady”.

I jeszcze jedno. Napomknąłem już o podejrzeniach, jakie wynikają z tej okoliczności, iż rzeczony przedmioty mogły pozostać nietknięte w gęstwinie, gdzie je znaleziono. Wydaje się rzeczą prawie niemożliwą, by te dowody winy pozostawiono tam przypadkowo. Nie zbywało na przytomności umysłu (jak się przypuszcza), by zabrać zwłoki; natomiast dowody, bardziej istotne niż te zwłoki (których rysy mogły szybko zmienić się pod wpływem rozkładu), porzucono wyzywająco na widowni zbrodni: mam na myśli chustkę z nazwiskiem zmarłej. Jeżeli zdarzył się taki przypadek, to nie szajce. Możemy go sobie wyobrazić tylko jako przypadek, który spotkał jednostkę. Zastanówmy się! Jakiś osobnik dopuścił się zbrodni. Jest sam z widziadłem zmarłej. Przejmuje go grozą to, co leży przed nim nieruchomo. Szał namiętności minął i w jego opustoszałym sercu jawi się odruchowy lęk przed popełnionym czynem. Nie ma tej otuchy, jaką napawa zawsze obecność towarzyszy. Jest sam z zabita. Drży i truchleje. Trzeba jednakże zająć się trupem. Niesie go ku rzece, lecz pozostawia za sobą inne dowody winy, gdyż jest rzeczą trudną, a nawet niemożliwą zabrać wszystko od razu. Łatwiej będzie wrócić po to, co jeszcze zostało. Wszelako trwoga jego zwielokrotnia się w tym uciążliwym pochodzie. Dokoła niego szemrzą głosy życia. Raz po raz słyszy lub zdaje się mu, że słyszy stąpanie jakiegoś przechodnia. Przerazają go nawet światła, co jarzą się od strony miasta. Jednakże w końcu, po długich i częstych przystankach, pełnych niewysłowionej grozy, staje nad zbrzeżem rzeki i pozbywa się swego upiornego brzemienia, posługując się zapewne łodzią. Ale teraz – czyż są takie skarby świata, czy istnieją takie groźby zemsty, które by mogły skłonić tego samotnego zbrodniarza, żeby tą samą

znojną i niebezpieczną ścieżyną powrócił do owej gęstwiny i do wylęglých w niej wspomnień, co mrozą krew w żyłach? Nie, niechaj będzie, co chce – on nie wróci! Nie mógłby powrócić, chociażby nawet chciał. Jedyna jego myśl – to myśl o natychmiastowej ucieczce. Odwraca się raz na zawsze od tych straszliwych zarośli i pierzcha, jak przed pościęciem zbliżającej się kaźni.

Jakże inaczej działałoby się z szajką! Sama ilość dodawałaby im odwagi, jeżeli w ogóle zbywało jej kiedykolwiek skończonym szubienicznikom, a tylko z takich skończonych szubieniczników mogła się składać owa domniemana szajka. Sama ich ilość – powtarzam – zapobiegłaby owej osłupiałej i nieopamiętanej grozie, która, wedle mego mniemania, ubezwładniłaby odosobnioną jednostkę. Jeżeli przypuścimy, że nie dopatrzyl czegoś jeden, nie dopatrzyl dwu lub trzech, to na pewno dopatrzyl czwarty. Nie pozostawiliby nie po sobie, gdyż było iete tylu, że mogli od razu zabrać wszystko. Nie byliby potrzebowali wracać.

Zastanów się teraz nad tą okolicznością, że ze zwierzchniego odzienia trupa „wydarto od samego dołu aż do pasa strzęp szerokości jednej stopy, który okręcono trzy razy dokoła kibici i zadziergnięto na krzyżu jak gdyby w pętlę”. Uczyniono to w oczywistym zamiarze sporządzenia czegoś w rodzaju rączki, za którą było można nieść zwłoki. Czyżby kilku ludziom przyszło do głowy posługiwać się podobnym urządzeniem? Dla trzech czy czterech członki trupa przedstawiałyby ujęcie nie tylko dostateczne, lecz możliwie najdogodniejsze. Jest to pomysł jednostki, który naprowadza nas na ten szczegół, że, między gęstwiną a rzeką parkan był powalony, a na ziemi widniał ślad jak gdyby od jakiegoś wielkiego ciężaru, który wleczono tamtędy”. Ale czyżby kilku ludzi zadawało sobie zbyteczny trud walenia parkanu, by przeciągnąć na drugą stronę trupa, skoro mogli w okamgnieniu podnieść go w górę i przerzucić przez każdą zaporę? I czyżby kilku ludziom chciało się wlec w ten sposób zwłoki, by pozostały po nich widoczne ślady?

Wypadnie nam tu wziąć pod uwagę pewien szczegół z „Le Commercial”. Nad szczegółem tym już nieco się zastanawiałem. „Kawałek spódniczki nieszczęśliwej dziewczyny – pisze ów dziennik – długi na dwie stopy i szeroki na jedną, oddarto, okręcono dokoła jej szyi i zawiązano na karku, prawdopodobnie w tym celu, by stłumić jej krzyki. Uczynili to zbrojcy, którzy nie mieli przy sobie nawet chustki do nosa”.

Zaznaczyłem już przedtem, że skończony opryszek nie obywa się nigdy bez chustki do nosa. Wszelako nie o to obecnie mi chodzi. Że nie dla braku chustki posłużono się tą opaską – jak sobie wyobraża, „Le Commercial” – świadczy dostatecznie chustka pozostawiona w gęstwinie. Że nie zamierzano „tłumić” w ten sposób, krzyków”, dowodzi ta okoliczność, iż użyto opaski zamiast użyć czegoś, co by znacznie lepiej odpowiadało temu zamierzeniu. Natomiast zeznania śledcze wyrażają się o owym strzępie, iż „wisiał luźno dokoła jej szyi i był zawiązany na mocny węzeł”. Słowa te są dość ogólnikowe, lecz różnią się istotnie od określeń „Le Commercial”. Strzęp ten miał osiemnaście cali szerokości, więc złożony lub skręcony podłużnie mógł utworzyć mocną taśmę, aczkolwiek był z muślinu. Jakoż przekonano się istotnie, że był skręcony. Mój wniosek brzmi, jak następuje. Samotny zbrodniarz, poniósłszy zwłoki (z gęstwiny czy skądinąd, przy pomocy opaski okręconej dokoła kibici) na pewną odległość, przekonał się, że ten sposób dźwigania przewyższa jego siły. Postanowił zatem wlec swe brzemie – a są ślady, że wleczono jakiś ciężar. By ten zamiar wykonać, trzeba było przytwierdzić coś w rodzaju powroza do którejś kończyny. Najwłaściwiej było uwiązać dokoła karku, gdyż nie mógł ześliznąć się przez głowę. Zabójca zamierzał niewątpliwie posłużyć się opaską, okręconą dokoła łędźwi. I byłby jej użył, gdyby nie to, że opasywała trupa, że przeszkadzała mu pętla, na którą ją zadzierzgnął, i że „niezupełnie była oddarta” od odzieży. Łatwiej było udrzeć nowy pas ze spódniczki. Udarł go, uwiązał dokoła szyi i powlókł w ten sposób swą ofiarę aż na brzeg rzeki. Że tej „opaski”, jedynej, jaka dała się sporządzić z trudem i stratą czasu, a jednak niezupełnie odpowiadała swemu celowi – że tej opaski w ogóle użyto, świadczy to, iż konieczność jej użycia wyniknęła z okoliczności, które się wytworzyły, kiedy chustki do nosa nie było już pod ręką, to znaczy, kiedy winowajca – jak to wyobrażaliśmy sobie – wynurzył się już z gęstwiny (o ile z niej wyszedł) i znajdował się w drodze między gęstwiną a rzeką.

Ale odpowiesz na to, iż Madame Deluc wyraźnie nadmienia w swych zeznaniach o obecności szajki w pobliżu tej gęstwiny i mniej więcej o tej samej porze, kiedy nastąpiło zabójstwo. Przyznaję. Nie wątpię nawet, iż cały tuzin szajek, podobnych do opisanej przez Madame Deluc, mógł wałęsać się w pobliżu Barriere du Roule podczas owej tragedii. Atoli szajka, która ściągnęła na siebie stanowczą niechęć, objawioną w nieco spóźnionych i mocno podejrzanym zeznaniach Madame Deluc, wedle oświadczenia tej zacnej i w rzeczach sumienia nader drażliwej matrony, jedynie najadła się u niej ciastek i pokrzepiła się u niej wódką, nie pomyślawszy o zapłacie. Et hinc Ulae irae!³⁷.

Jakież jest dokładne brzmienie zeznania Madame Deluc? „Pojawiła się szajka opryszków, którzy zachowywali się hałaśliwie, nie zapłacili za potrawy i napoje, poszli tą samą drogą co młodzieniec i dziewczyna, powrócili do gospody, kiedy miało się ku zmierzchowi, przeprawili się z powrotem przez rzekę jak gdyby z wielkim pośpiechem.”

Otóż ten, wielki pośpiech wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wydał się jeszcze większy oczom Madame Deluc, kiedy rozmyślała, smętna i bolejąca, o pochłoniętych ciastkach i piwie, do ostatniej chwili żywiąc nikłą nadzieję na zapłatę. Bo w innym razie dlaczego by, kiedy miało się ku zmierzchowi, przejmowała się tak bardzo tym pośpiechem? Zaiste, nie można się dziwić, że nawet szajka opryszków spieszy się z powrotem do domu, gdy trzeba przepłynąć wielką rzekę w wątych łodziach przy zapadającej nocy i nadciągającej burzy.

Powiadam: zapadającej, gdyż noc jeszcze nie zapadła. Miało się dopiero ku zmierzchowi, kiedy nieprzyzwoity pośpiech tych „oprysków” skaził czyste spojrzenie Madame Deluc. Aliści wmawia się w nas, że właśnie tego samego wieczora Madame Deluc i jej najstarszy syn, usłyszeli krzyki kobiece w pobliżu gospody”. A jakimiż to słowy określa Madame Deluc tę chwilę wieczorną, kiedy owe krzyki się rozległy? Było to wnet po nastaniu ciemności. Jednakże „wnet po nastaniu ciemności” oznacza co najmniej ciemność, natomiast przez słowa „miało się ku zmierzchowi” należy bezsprzecznie rozumieć światło dzienne. Jest zatem rzeczą najzupełniej jasną, iż szajka opuściła już Barriere du Roule, kiedy Madame Deluc „przesłyszały się” owe krzyki. I aczkolwiek we wszystkich licznych sprawozdaniach ze śledztwa te dwa powiedzenia powtarzają się nieodmiennie i jota w jotę tak samo, jak je przytoczyłem w rozmowie z tobą, to jednak żaden dziennik ani żaden urzędnik policyjny nie zauważył dotychczas ogromnej sprzeczności, jakamiędzy nimi zachodzi.

Dorzucę jeszcze tylko jeden argument przeciwko owej szajce; wszelako jest to argument, który, przynajmniej w moim przekonaniu, jest wprost nieodparty. Jeżeli się zważy szczerą nagrodę i zupełną bezkarność, przyrzeczoną publicznie za wydanie w ręce władz zbrodniarzy, to niepodobna ani przez chwilę pomyśleć, by nie znalazł się ktoś wśród szajki spodlonych rzezimieszków czy też innej gromady ludzkiej, który by nie zdradził swych współwinowajców. Uczestnicy takich szajek nie tyle nie dbają o nagrody i drżą o swe ocalenie, co lękają się zdrady. Zdradzają sami chętnie i rychło, by nie być zdradzonymi. Że i tajemnicy nie ujawniono, jest to najlepszym dowodem, iż istotnie jest ona tajemnicą. Okropność tego' piekielnego czynu znana jest jednej lub dwu istotom ludzkim i Bogu.

Streścimy teraz szczerą, lecz niezawodny plon naszej długiej analizy. Doszliśmy do przesłuchania, iż albo targnięto się na życie pod dachem Madame Deluc, albo dopuszczono się zbrodni w gęstwinie koło Barriere du Roule i że sprawcą był kochanek lub przy najmniej zaufany i tajny towarzysz zmarłej. Ma on cerę śniadą. Ta cera, pętla opaski oraz „węzeł” zadziergnięty na wstążce od kapelusza każą domyślać Siałę marynarza. Poufalskość jego ze zmarłą, lekko-myślną, lecz bynajmniej nie znikczemniałą dziewczyną i dowodzi, iż jest czymś więcej niż zwykłym marynarzem. Za przypuszczeniem tym również przemawiają dobrze napisane i natarczywe komunikaty, rozesłane do dzienników. Przypomniany przez „Le Mercure” szczegół o pierwszej ucieczce każe skojarzyć tego marynarza z owym „oficerem marynarki”, o którym wiadomo, iż pierwszy sprowadził nieszczęśliwą na złe drogi.

³⁷ Et hinc illae (łac) i stiaąd owe gniewy.

I oto, we właściwą porę, nasuwa się pytanie, czym tłumaczyć sobie przewlekłą nieobecność tego człowieka o śniadej cerze. Trzeba tu zaznaczyć, iż cera jego jest smagła i śniada; nie była to zwykła śniadość, skoro zarówno dla Valence'a, jak dla Madame Deluc stanowiła jedyny szczegół zapamiętany. Ale dlaczego ten człowiek jest nieobecny? Czy zginął z rąk szajki? Jeżeli tak, to czemuż pozostały ślady tylko po zabitej dziewczynie? Widownia obu zabójstw musiałaby być oczywiście ta sama. I gdzie są jego zwłoki? Zabójcy byliby z obojgiem postąpili najprawdopodobniej w ten sam sposób. Atoli mógłby ktoś powiedzieć, że ten człowiek żyje, lecz nie chce, żeby wiadano o nim, z obawy, iż mógłby być posądzony o zabójstwo. Względ ten mógłby oddziaływać na niego teraz – w obecnym, późnym okresie – kiedy w śledztwie się okazało, iż widziano go w towarzystwie Marii, ale nie mógł mieć dlań znaczenia w okresie zbrodni. Pierwszy odruch niewinnego człowieka nakazywałby mu donieść o przestępstwie, przyczynić się do odszukania złoczyńców. Skłoniłaby go do tego bodaj roztropność. Widziano go z dziewczyną. Przepływał z nią rzekę na odkrytym promie. Wskazanie zabójców wydawałoby się w takich okolicznościach nawet idiotycznie najpewniejszym i jedynym sposobem uniknięcia podejrzeń. Nie możemy przypuścić, żeby nocą owej pamiętnej niedzieli nie tylko był niewinny, lecz także nic nie wiedział o popełnionej zbrodni. A jednak tylko w takim razie można by zrozumieć, dlaczego zaniedbał, jeżeli żyje, wskazać zabójców.

Jakimiż środkami rozporządzamy, by dowiedzieć się prawdy? Środki te będą się pomnażały i nabierały wyrazistości w miarę dalszych naszych postępów. Przesiejmy przez gęste sito historię pierwszej ucieczki. Poznajmy dokładnie owego „oficera”, okoliczności, w jakich obecnie się znajduje, i co porabiał, kiedy dokonywała się zbrodnia. Porównajmy starannie rozesłane do wieczornych dzienników różne komunikaty, których zadaniem było zwalić odpowiedzialność na szajkę. Zrobiwszy to, porównajmy styl, pismo i wygląd ich rękopisów z rękopisami listów rozesłanych poprzednio do dzienników porannych, a oskarżających zapamiętałe Mennais'go. Kiedy zaś to wszystko już będzie zrobione, przystąpmy do porównania tych komunikatów ze znanymi rękopisami tegoż oficera. Przesłuchajmy ponownie Madame Deluc, jej malców i konduktora omnibusu, Valence'a, ażeby dowiedzieć się więcej o powierzchowności i zachowaniu się „człowieka o śniadej cerze”. Za pomocą pytań umiejętnie zadawanych wydobędzie się niewątpliwie od któregoś z tych świadków wiadomości dotyczące tego szczegółu (albo też innych) – wiadomości, z których posiadania ci świadkowie sami nie zdają sobie sprawy. Zajmijmy się potem sprawą łodzi złowionej przez przewoźnika w poniedziałek rano, dnia dwudziestego trzeciego czerwca, a zabranej następnie przez kogoś z urzędu portowego bez wiedzy służbowego urzędnika i bez steru, na krótko przed znalezieniem trupa. Przy odpowiedniej przezorności i wytrwałości zdołamy niezawodnie wyśledzić tę łódź, gdyż pozna ją zapewne przewoźnik, który ją znalazł, a ponadto mamy ster w ręku. Steru żaglowej łodzi nie pozostawiłby na przepadło człowiek, który ma czyste sumienie. Nasuwa się tu jeszcze jedno zagadnienie. Nie było zawiadomienia publicznego o znalezieniu tej łodzi. Po cichu ją sprowadzono do urzędu portowego i po cichu ją stamtąd zabrano. Czymże to jednak wytłumaczyć sobie, iż jej właściciel czy dzierżawca zdołał już we wtorek rano, bez zawiadomienia publicznego, dowiedzieć się, gdzie znajduje się łódź złowiona w poniedziałek – jeżeli nie przyjmiemy, że pozostaje on w jakimś stosunku do marynarki – w jakimś stosunku, osobistym i stałym, ułatwiającym znajomość drobiazgowych spraw i miejscowych nowinek? Mówiąc o samotnym złoczyńcy, wlokącym swe brzemień ku rzece, napomknąłem już, że prawdopodobnie posłużył się łodzią. Możemy więc dorozumiewać się, że Marię Roget wyrzucono z łodzi. Odbyło się to najzupełniej po prostu. Zwłok niepodobna było powierzyć płytkim wodom przybrzeżnym. Osobliwsze znamiona na plecach i barkach ofiary przypominają żebrowania na dnie łodzi. Umacnia w tym przeświadczeniu także ta okoliczność, iż do zwłok nie przywiązano ciężaru. Byłyby obciążone, gdyby je wrzucono z brzegu. Nie przytwierdzono ciężarów prawdopodobnie dlatego, iż zabójca nie był dość przezorny, by zaopatrzyć się w nie, zanim odbił od brzegu. Wrzucając trupa do wody, zauważył niezawodnie swe przeoczenie, ale nie miał nic pod ręką, by temu zaradzić. Wolał narazić się na wszelkie niebezpieczeństwa, niż powrócić do strasz-

liwego brzegu. Pozbywszy się swego upiornego brzemienia zabójca podążył pośpiesznie ku miastu. Wylądował zapewne w jakiejś niepozornej przystani. Czy jednak pomyślał o zabezpieczeniu łodzi? Zbyt się spieszył, żeby zajmować się takimi rzeczami. Przy tym, przywiązując łódź w przystani, byłby doznawał wrażenia, iż przytwardza oto dowód, Mory go obwini. Najprostszą jego myślą było odtrącić możliwie najdalej od siebie wszystko, co miało jakąkolwiek łączność z jego zbrodnią. Nie tylko sam pragnął ujsć z przystani, ale też nie mógł pozwolić, żeby tam łódź pozostała. Najpewniej odepchnął ją od brzegu i puścił z prądem.

Podążajmy dalej za naszą wyobraźnią. Nazajutrz rano nikczemnika ogarnął niewysłowiony lęk, gdy zobaczył, że łódź przytrzymano i odstawiono do miejsca, dokąd codziennie uczęszczał – do miejsca, w którym snadź musiał bywać z obowiązku. Następnej nocy zabrał ją nie odważając się upomnieć o ster. Gdzież jest zatem ta łódź, pozbawiona steru? Najpierwszym naszym zadaniem będzie ją odszukać. Zaświta jutrzeńka naszego powodzenia, skoro tylko czegoś się o niej dowiemy. Z chyżością, która nas samych zadziwi, poprowadzi nas łódź ta do człowieka, który posłużył się nią w nocy owej złowrogiej niedzieli. Dowody będą wynikały z dowodów i wpadniemy na trop zbrodniarza.

Dla powodów, Których nie wymieniamy, lecz które są aż nadto jawne dla całej rzeszy naszych czytelników, pozwalamy sobie pominąć tę część dostarczonego nam rękopisu, która zawiera szczegółowy opis śledztwa, przeprowadzonego wedle nikłych na pozór poszlak. wykrytych przez Dupina. Uważamy tylko za właściwe nadmienić, że cel pożądaný osiągnięto i że prefekt wywiązał się sumiennie, acz niechętnie, ze swej umowy z Chevalierem. Mr Poe kończy swą pracę następującymi słowy³⁸.

Rozumie się samo przez się, iż mówię o zbiegu „okoliczności i niczym więcej. To, co powiedziałem poprzednio o tym przedmiocie, winno wystarczyć. W głębi duszy nie wierzę w rzeczy nadprzyrodzone. Żaden człowiek myślący nie zaprzeczy, iż czym innym jest Bóg, a czym innym przyroda. Że Bóg, stworzywszy przyrodę; może nią wedle swej woli władać i ją przekształcać, to nie ulega również wątpliwości. Powiadam „wedle swej woli”, gdyż jest to zagadnienie woli, nie zaś, jak nedorzeczna logika przypuszcza, potęgi. Nie chodzi o to, jakoby Bóstwo nie mogło zmieniać swych praw, lecz o to, iż bluźnimy Mu, wyobrażając sobie, jakoby zmiany były potrzebne. Od samego początku prawa te były postanowione w ten sposób, iż ogarniały wszechmożliwości, jakie by mogła przynieść z sobą Przyszłość. Dla Boga wszystko jest Teraźniejszością.

Powtarzam zatem, iż mówię o tych rzeczach jedynie jako o zbiegach okoliczności. I dodam jeszcze: opowieść moja wykazuje, iż między dolą nieszczęsnej Marii Cecylii Rogers, przynajmniej o ile dola ta jest nam znana, a dolą niejakiej Marii Roget aż po pewien okres jej historii zachodzi tak przedziwnie dokładna równoległość, iż rozum, pogrąża się w zakłopotaniu. Powiadam, iż zaznacza się to nader wyraziście. Wszelako niechaj nikt ani na chwilę nie przypuszcza, iż snując żalostną opowieść o Marii od chwili co tylko wspomnianej i śledząc osłaniającą ją tajemnicę aż do jej rozwikłania, zamierzałem skrycie uwytatnić rozciągłość tej równoległości lub chociażby poddać myśl, jakoby zarządzenia, poczynione w Paryżu celem wykrycia zabójcy gryzетки albo też zarządzenia, oparte na jakichkolwiek podobnych podstawach rozumowych, mogły dać podobne wyniki.

Albowiem, o ile chodzi o drugą część tego przypuszczenia, trzeba zważyć, iż najdrobniejsza odmienność okoliczności w obu zdarzeniach mogłaby stać się przyczyną najzupełniej błędnego wnioskowania, gdyż wywołałaby zupełną rozbieżność między dwoma prądami wypadków. Stałoby się podobnie jak w arytmetyce, gdzie błąd, który sam w sobie może być nieznaczny, w dalszym przebiegu skutkiem oddziaływania wielokrotności staje się w końcu przyczyną wyniku niezmiernie odbiegającego od prawdy. Jeżeli zaś powrócimy jeszcze do części pierwszej, to nie można zapominać, że tenże sam rachunek prawdopodobieństwa, na który się powoływałem, zabrania wszelkiej myśli o rozciąganiu tej równoległości – zabrania jej ze stanowczością niezłomną

³⁸ Przypisek redakcji czasopisma, w którym ta praca po raz pierwszy się ukazała

i surową, ile że zgodność ta posiadała już swą ścisłość i rozciągłość. Jest to jedna z tych zasad nieprawidłowych, które pozornie odwołują się do myśli nie mającej nic wspólnego z matematyką, a jednak w całej pełni uznane być mogą przez matematyków. Nie ma nic, na przykład, trudniejszego, niż przekonać nie wtajemniczonego w te zagadnienia czytelnika, że jeżeli komuś grającemu w kości zdarzy się wyrzucić raz po raz szóstkę, to można założyć się o największą stawkę, iż za trzecim, razem szóstki nie da się wyrzucić. Pomysł takiego następstwa zazwyczaj odtrąca intelekt od razu. Nie wydaje się rzeczą możliwą, żeby dwa rzuty, już dokonane i pogrążone bezwzględnie w Przeszłości, mogły mieć wpływ na rzut, który istnieje dopiero w Przyszłości. Traf wyrzucenia szóstki wydaje się dokładnie takim samym, jak kiedy indziej – to znaczy, zależnym tylko od wpływu różnych innych rzutów, które można wykonać kością. Refleksja ta ma pozory takiej niezawodnej oczywistości, iż przecząc jej, spotyka się częściej drwiący uśmiech niż odruch pełnej poszanowania uwagi. Tego błędu – grubego błędu, tracącego szkodliwością – nie mogę wykazać w granicach, które na teraz sobie wytyczyłem; zresztą umysłem filozoficznym nie potrzeba go wykazywać. Dość będzie, gdy powiem, że stanowi on cząstkę nieskończonych szeregów pomyłek, które powstają na drodze Rozumu skutkiem właściwej mu skłonności do szukania prawdy w szczegółach.

Skradziony list

Nil sapientiae acumine nimio.³⁹

Seneka

Było to w Paryżu, jesienią 18.. r. Pewnego burzliwego wieczora, wnet po nastaniu ciemności, zażywałem podwójnej rozkoszy zadumy i fajki piankowej, siedząc w towarzystwie mojego przyjaciela C. A. Dupina, w jego niewielkiej bibliotece lub raczej zapełnionej książkami pracowni, na trzecim piętrze domu nr 33 przy rue Donot, Faubourg SaintGermain. Już od jakiejś godziny zachowywaliśmy głębokie milczenie. Komuś, kto by nas wówczas przypadkowo podpatrzył, mogłoby się wydawać, iż jesteśmy wyłącznie i skrzętnie zajęci kłębiącymi się odmętami dymu, który przesycił atmosferę pokoju. Jeśli jednak chodzi o mnie, to roztrząsałem w duszy pewne zagadnienia, o których rozmawialiśmy poprzednio owego wieczora. Mam mianowicie na myśli zbrodnię przy rue Morgue oraz tajemnicę zabójstwa Marii Roget. Dopatrywałem się właśnie w nich niejakich zbieżności, gdy drzwi się otwały i wszedł do pokoju dawny nasz znajomy, Monsieur G., prefekt policji paryskiej.

Powitaliśmy go serdecznie; człowiek ten miał bowiem w swej naturze tyleż właściwości ujmujących, co niegodnych, i nie widzieliśmy go już od kilku lat. Siedzieliśmy po ciemku, więc Dupin podniósł się z miejsca, by zapalić lampę, lecz usiadł znowu, gdy <5. oznajmił, iż przyszedł poradzić się nas, a raczej zasięgnąć zdania mojego przyjaciela w pewnej sprawie urzędowej, która czyni mu mnóstwo kłopotu.

– Jeżeli jest to coś, co wymaga skupienia – powiedział Dupin powstrzymując się od zapalenia światła –

to będzie lepiej zastanowić się po ciemku.

– Jak widzę, uroił pan sobie jeszcze jedną dziwaczną mrzonkę – rzekł prefekt, dla którego wszystko, co nie mieściło się w jego pojęciu, było „dziwaczne”, „więc plątał się przez całe życie wśród nieprzebranego mnóstwa „dziwaczności”.

– Istotnie – odparł Dupin częstując swego gościami fajką i podsuwając mu wygodny fotel.

– A jakież to ma pan kłopot? – zapytałem. – Spodziewam się, iż nie chodzi o nowe zabójstwo?

– Oh, nie, nic podobnego! Sprawa jest w rzeczywistości nader prosta i nie wątpię, iż poradzilibyśmy „S. nią sobie sami; ale przyszło mi na myśl, że Dupina zaciekawiałyby jej szczegóły, ponieważ jest ogromnie dziwaczna.

– Prosta i dziwaczna – odezwał się Dupin.

– Ależ tak, chociaż, mówiąc ściślej, nie w jednakiej

mierze. To pewna, iż jesteśmy nieco zakłopotani, ponieważ ta sprawa, aczkolwiek taka prosta, zupełnie biją nas z tropu.

– A może nadzwyczajna jej prostotą wprowadza nas w błąd? – zagadnął mój przyjaciel.

– Co za głupstwa pan gada! – odparł prefekt śmiejąc się serdecznie.

– Może tajemnica jest nieco za przejrzysta? – rzekł Dupin.

– Na miłość boską! Czy kto słyszał kiedy coś podobnego?

– Może za bardzo leży jak na dłoni? – Cha, cha, cha, cha, cha, cha! Ho, ho, hę! – rżał nasz gość, niezmiernie ubawiony. – Oh, Dupin, ja umrę kiedyś przez pana!

- O cóż jednakże w końcu chodzi? – zapytałem.
- Owszem, powiem panom – odpowiedział prefekt i puszczając w zadumie nieustanne i gęste kłęby dymu zasiadł na fotelu. – Opowiem wszystko w kilku słowach; lecz zanim rozpocznę, uważam za konieczne ostrzec panów, iż jest to sprawa wymagająca najgłębszej tajemnicy i że straciłbym najprawdopodobniej moje stanowisko, gdyby się dowiedziano, że mówiłem o niej komukolwiek.
- Proszę przystąpić do rzeczy – odezwałem się.
- Albo nie – rzekł Dupin.
- Więc będę mówił! Zawiadomiono mnie, i to z bardzo wysokich sfer, iż z pokoiów królewskich skradziono nadzwyczaj ważny dokument. Wiadomo, kto skradł; nie ulega to wątpliwości; widziano, jak go zabrał. Wiadomo również, iż dokument ten znajduje się wciąż jeszcze w jego posiadaniu.
- Skądże to wiadomo? – zapytał Dupin.
- Wynika to niezawodnie z treści dokumentu oraz stąd, iż nie było pewnych następstw, które musiałyby od razu się objawić, gdyby przestał znajdować się w posiadaniu złodzieja – to znaczy, gdyby został tak użyty, jak tenże w końcu użyć go zamierza.
- Proszę wyrazić się jaśniej – rzekłem.
- Dobrze, posunę się tak daleko, iż dodam, że ten papier użycza osobie, która nim się wykaże, pewnej władzy w pewnym miejscu, gdzie ta władza jest niezmiernie cenna.
- Prefekt był wielbicielem cantu dyplomatycznego.
- Niezupełnie jeszcze rozumiem – przemówił Dupin.
- Nie? A więc, o ile by dokument ten stał się dostępny komuś trzeciemu, którego nazwiska nie wymienię, to mógłby wyniknąć stąd uszczerbek czci dla osoby wysoce dostojnej; skutkiem tej okoliczności przywłaszczyciel tego dokumentu ma przewagę nad ową dostojną osobą, której spokój i cześć są wielce narażone.
- Wszelako ta przewaga – przerwałem – zależy od tego, czy złodziej wie, że jako sprawca tej kradzieży jest znany osobie okradzonej. Któż by śmiał...
- Złodziejem, odparł prefekt – jest minister D., który odważa się na wszystko... na rzeczy godne i niegodne mężczyzny. Sposób kradzieży był nie mniej pomysłowy jak zuchwały. Dokument ów – powiedzmy otwarcie, list – okradzona osoba otrzymała, kiedy znajdowała się sama w buduarze królewskim. Zajęta była właśnie czytaniem tego listu, gdy przeszkodziło jej nagłe wejście innej dostojnej osoby, przed którą przede wszystkim pragnęła go ukryć. Na próżno starała się pośpiesznie wrzucić go do szuflady i musiała w końcu położyć go na stole tak, jak był otwarty. Wszelako odwróciła go adresem do góry, treść zatem nie była widoczna i nie zwracała uwagi. Kiedy to się działo, wszedł minister D. Jego rysie oczy natychmiast dostrzegły ten papier; poznał pismo na adresie, zauważył zmieszanie osoby, do której list był pisany, i przeniknął jej tajemnicę. Załatwiwszy na łeb, na szyję, jak to zwykł czynić, kilka spraw, wyjął jakiś list, nieco podobny do leżącego na stole, otworzył go, udał, że czyta, i położył tuż obok poprzedniego. Po czym znów rozmawiał przez jakieś piętnaście minut o sprawach publicznych. W końcu pożegnał się i wziął ze stołu list, który do niego nie należał. Widziała to osoba poszkodowana, ale nie śmiała przeciw mówić o tym, co się stało, w obecności osoby trzeciej, stojącej u jej boku. Minister wyszedł, pozostawiając na stole swój list, pisany w jakiejś błahej sprawie.
- Masz zatem – rzekł Dupin do mnie – właśnie to, o co ci chodzi, by przewaga była zupełna; mianowicie złodziej wie, iż jako sprawca tej kradzieży jest znany osobie okradzonej.
- Tak jest – potwierdził prefekt – zaś władzę, w ten sposób zdobytą, wyzyskuje od kilku miesięcy dla swych celów politycznych w rozmiarach wprost niebezpiecznych. Osoba poszkodowana z dnia na dzień utwierdza się w przekonaniu, iż trzeba będzie odzyskać ten list. Nie można jednak zrobić tego jawnie. W końcu, doprowadzona do rozpacz, zwróciła się w tej sprawie do mnie.
- Bo czyż można było – rzekł Dupin nurzając się w istnym obłoku dymu – wyszukać lub bodaj wyobrazić sobie urzędnika równie roztropnego?

– Pochlebia mi pan – odpowiedział prefekt – wszelako jest rzeczą możliwą, iż istotnie utarła się o mnie taka opinia.

– To pewne – powiedziałem – iż spostrzeżenie pańskie jest słuszne i że list ten znajduje się jeszcze w posiadaniu ministra; bowiem posiadanie tego listu, nie zaś jego użycie, zapewnia władzę. Gdyby go zużytkował, władza by pierzchła.

— Istotnie – odparł G. – i w tym przeświadczeniu przystąpiłem do rzeczy. Zająłem się przede wszystkim przeszukaniem pałacu ministra, zaś kłopot sprawiała mi głównie konieczność szukania bez jego wiedzy. Poza tym musiałem się mieć na baczności przed niebezpieczeństwem, jakie by wynikło, gdyby dostarczyło się mu powodu do podejrzewania naszych zamiarów.

– Ależ – napomknąłem – w tej dziedzinie jest pan jak u siebie w domu! Policja paryska niejednokrotnie już czyniła takie poszukiwania.

– Właśnie, i dlatego nie zwątpiłem. Przy tym nawyknięcia ministra wielce ułatwiają mi zadanie. Często nie bywa w domu całymi nocami. Służbę ma niezbyt liczną. Sypia ona dość daleko od pokojów samego pana i składa się głównie z neapolitańczyków, których łatwo spoić. Wiecie panowie zapewne, iż mam klucze, którymi można otworzyć wszystkie pokoje i skrytki w całym Paryżu. Od trzech tygodni nie było ani jednej nocy, żebym osobiście nie szperał w pałacu D. Chodzi tu o mój honor, a przy tym – wyznam panom w wielkiej tajemnicy – nagroda jest olbrzymia. Toteż nie ustawałem w poszukiwaniach, aż przekonałem się niezawodnie, iż złodziej jest przebieglejszy ode mnie. Mniemam, iż przetrząsnąłem w całym domu wszystkie kąty i zakamarki, w których można ukryć papier.

– Czy wszakże nie byłoby rzeczą możliwą – zauważyłem – żeby ten list, acz znajdujący się niewątpliwie w posiadaniu ministra, był jednakże schowany gdzie indziej niż w jego własnym mieszkaniu?

– Nie, to niemożliwe! – odezwał się Dupin. – Szczególniejszy obecnie stan spraw dworskich, przede wszystkim zaś intryg, w które D., jak wiadomo, jest wplątany, sprawia, iż natychmiastowe zużytkowanie tego dokumentu – możliwość okazania go każdej chwili – jest niemal równie ważne, jak samo posiadanie. – Możliwość okazania go każdej chwili? – zagadnąłem,

– Aby można go zniszczyć, gdy zajdzie potrzeba – odpowiedział Dupin.

– To prawda – rzekłem – papier znajduje się zatem niewątpliwie w mieszkaniu. Bo żeby minister; przechowywał go przy sobie, o tym. chyba nie może być mowy.

– Istotnie – odezwał się prefekt – dwukrotnie! był zatrzymywany, niby to przez rzezimieszków, przy czym przetrząsnięto dokładnie całą jego odzież pod moim osobistym nadzorem.

– Mógł pan sobie oszczędzić tego kłopotu – powiedział Dupin. – D., jak sądzę, jeszcze nie całkiem ma; bzika, przewidział zatem, te napaści, jako rzecz nieuniknioną. – Jeszcze nie całkiem ma bzika – powtórzył G. – ale jako poeta niedaleki jest od niego. – Zapewne – odparł Dupin puszczając po długim namyśle kłąb dymu z fajki – aczkolwiek ja także mam na sumieniu jakieś tam wierszydła.

– Czy mógłby pan nam opowiedzieć szczegółowo o swych poszukiwaniach? – spytałem.

– Mogę zareczyć, że nie marnowaliśmy czasu i szokaliśmy wszędzie. Nabrałem dużo doświadczenia w tych sprawach. Przetrzęsaliśmy budynek, pokój po pokoju, poświęcając na każdy wszystkie noce całego tygodnia. Zbadaliśmy najpierw meble. Pootwieraliśmy wszystkie możliwe szuflady, a zapewne wiecie panowie, iż dla dobrze wyćwiczonego agenta policyjnego skrytki nie istnieją. Byłby kpem, gdyby przy podobnych szperaniach jaka skrytka uszła jego uwagi. To rzecz taka prosta! W każdym pokoju ma się do obliczenia pewną ilość brył – przestrzeni. Są na to dokładne prawidła. Nie można się omylić ani na włos. Po pokojach przyszła kolej na krzesła. Poduszki przeszukaliśmy za pomocą cienkich, długich igieł. Pokazywałem już panom, jak to się robi. Ze stołów zdejmowaliśmy wierzchy.

– Po co?

– Zdarza się, iż ludzie, chcący coś ukryć, zdejmują wierzch stołu lub podobnie sporządzonego mebla, po czym wydrążają nogę, chowają ów przedmiot w wydrążeniu i przytwierdzają wierzch z powrotem. W podobny sposób przeszukuje się również od góry i dołu nogi u łóżek.

– A czy nie można znaleźć takiego wydrążenia za pomocą opukiwania? – zapytałem.

– Bynajmniej, jeśli ktoś wkładając przedmiot, owinie go grubo watą. Przy tym musieliśmy unikać wszelkiego hałasu.

– Przecież nie mogliście rozbierać – nie mogliście rozkładać na kawałki wszystkich mebli, które nadawałyby się do urządzenia schowka w sposób przez pana wspomniany! List można zwinąć w cienką rurkę spiralną, nie różniącą się kształtem ni rozmiarem od wielkiej iglicy do dzierzgania, i umieścić, na przykład, w poręczy krzesła. Czyście rozbierali wszystkie krzesła?

– Oczywiście że nie; lecz poradziliśmy sobie inaczej – zbadaliśmy poręcze wszystkich krzesel w pałacu oraz spojenia wszystkich mebli za pomocą silnych szkieł powiększających. Wszelkie ślady jakichkolwiek niedawnych zmian bylibyśmy dostrzegli niezawodnie. Jedna drobna trocinka, pozostała po użyciu świderka, byłaby przybrała rozmiary jabłka. Dość byłoby najmniejszej niedokładności w sklejeniu – jakiegokolwiek nieszczelności w spojeniu, a bylibyśmy zaraz odnaleźli skrytkę.

– Przypuszczam, że obejrzelście lustra, zwłaszcza w tych miejscach, gdzie zachodzą za ramy, że przeszukaliście łóżka, kapy jako też portiere i dywany. – Oczywiście, kiedy zaś przejrzelśmy najdokładniej całe urządzenie mieszkania, przystąpiliśmy do zbadania samego domu. Podzieliliśmy całą powierzchnię na odcinki i oznaczyliśmy je liczbami, aby żadnego nie pominąć; po czym badaliśmy kolejno za pomocą szkieł powiększających każdy cal kwadratowy pałacu oraz obu domów przyległych.

– Obu domów przyległych? – zawołałem. – Ależ to było połączone z ogromnym trudem!

– Zapewne, lecz nagroda, którą mi obiecano, jest także ogromna.

– A nie pominęliście ziemi dokoła domów? – Wszystkie podwórza są wybrukowane ceglami. Nie mieliśmy z nimi zbyt wiele kłopotu. Zbadaliśmy mech między ceglami i przekonaliśmy się, że był nietknięty.

– Przejrzelście oczywiście papiery ministra i książki w bibliotece?

– Tak jest, przeglądaliśmy wszystkie zвитki i pliki; otwieraliśmy wszystkie książki i odwracaliśmy kartkę po kartce w każdym tomie, nie zadowolając się bynajmniej samym tylko potrząśnięciem, jak to czynią niektórzy oficerowie naszej policji. Mierzyliśmy również najdokładniej grubość każdej okładki i poddawaliśmy je nieubłaganemu badaniu przez szkła powiększające. Gdyby w którejkolwiek okładce umieszczono jakiś przedmiot, to nie byłby on na pewno uszedł naszej uwagi. Pięć czy sześć tomów, które tylko co wyszły z pracowni introligatorskiej, przeszukaliśmy iglicami. – Czy badaliście posadzki pod kobiercami?

– Niewątpliwie. Zdejmowaliśmy wszystkie dywany i oglądaliśmy deski przez szkła powiększające.

– A tapety na ścianach?

– Tak jest.

– Zajrzeliście do piwnic?

– Oczywiście.

– Zatem – rzekłem – jest pan na błędnym tropie; tego listu nie ma w pałacu, jak panu się zdaje.

– Obawiam się, że ma pan słuszość – odparł prefekt. – Cóż teraz robić, panie Dupin?

– Przeszukać jeszcze raz cały pałac.

– Ależ to jest najzupełniej bezcelowe! – zawołał G. – Ręczę własną głową, że tego listu nie ma w pałacu.

– Nie mogę dać panu lepszej rady – rzekł Dupin. – Zapewne ma pan dokładny opis tego listu?

– O, tak! – I wyjąwszy notatnik z kieszeni, prefekt jął czytać głośno szczegółowy opis wewnętrznego, zaś przede wszystkim zewnętrznego wyglądu zaginionego dokumentu. Przeczytaw-

szy ten opis pożegnał się wkrótce i odszedł z takim wyrazem przygnębienia, jakiego przedtem nie zdarzyło się u niego widzieć.

W jakiś miesiąc później odwiedził nas powtórnie i zastał mnie więcej przy tych samych zajęciach. Przyjął podaną fajkę i usiadłszy w fotelu, jął gawędzić o rzeczach potocznych. W końcu zagadnąłem:

– No, a cóż słyhać o skradzionym liście? Sądzę, iż w końcu pogodził się pan z myślą, że to niełatwa rzecz podolać ministrowi.

– Bodaj go licho wzięło! Wszelako zrobiłem, co radził Dupin, i przetrząsałem wszystko raz jeszcze – ale cała praca poszła na marne, jak to zresztą przewidywałem z góry.

– Ile wynosiznaczona nagroda? Pan coś mówił. – rzekł Dupin.

– No... jest duża, bardzo hojna – ale nie mogę dokładnie powiedzieć... To tylko powiem, że gotów byłbym dać czek na pięćdziesiąt tysięcy franków człowiekowi, który by mi postarał się o ten list. Z dnia na dzień nabiera on coraz większego znaczenia. Nagrodę w ostatnich czasach podwojono. Lecz gdyby ją nawet potrojono, nie mógłbym nic więcej zrobić, niż zrobiłem.

– Czemu by nie? – mówił Dupin przeciągle, pykając swą piankową fajkę. – Naprawdę, mnie się zdaje, że pan się nie wyteżył, nie dotarł do dna tej sprawy. Mógł pan. zrobić... nieco więcej. Tak mi się zdaje, Inie? –Co? W jaki sposób? – Ależ – puf, puf – mógłby pan – puf, puf zasięgnąć rady, he? – puff, puff, puff. – Pamięta pani anegdotkę o Abernethym!

– Nie! Do diabła z Abernethym!

– Nic nie mam przeciw temu! Niechaj będzie do diabła, jeśli pan tak chce. Otóż zdarzyło się raz, że pewien bogaty skąpiec powziął zamiar wykpienia od tegoż Abernethy'ego porady lekarskiej. By cel ten osiągnąć, zawiązał z nim w przygodnym towarzystwie rozmowę, w której opowiedział mu o swych własnych niedomaganiach, mówiąc niby to o jakimś zmyślonym chorym. „Przypuśćmy – mówił skąpiec – że objawy są takie a takie. Cóż by pan przepisał, panie doktorze?” „Co? – odparł Abernethy. – Poradziłbym mu oczywiście, żeby się poradził”.

– Ależ – odezwał się prefekt nieco zmieszany – jestem najzupełniej gotów zasięgnąć porady i za nią zapłacić. Ofiarowałbym naprawdę pięćdziesiąt tysięcy franków osobie, która by mi dopomogła w tej sprawie.

– W takim razie – odparł Dupin otwierając szufladę i wyjmując z niej książeczkę czekową – niechże pan wypełni mi czek na tę sumę. Skoro pan go podpisze, wręcę panu list.

Oślupiałem. Prefekt był po prostu spiorunowany. Na chwilę znieruchomiał i oniemiał. Rozchyliwszy usta spoglądał niedowierzająco na mojego przyjaciela, a oczy jego zdawały się występować z orbit. Po tym, odzyskawszy w niejkiej mierze panowanie nad sobą, uchwycił pióro, zaważał się, spojrzął kilka razy czczym wzrokiem, lecz w końcu wypełnił i podpisał czek na pięćdziesiąt tysięcy franków. Dokonawszy tej formalności, podał go przez stół Dupinowi. Ten przejrzał go uważnie i włożył do swego portfela. Następnie otworzył sekretarzyk, wyjął stamtąd list i wręczył go prefektowi. Urzędnik uchwycił go, nieprzytomny z radości, rozłożył drżącymi rękami, powiódł oczyma po jego treści, rzucił się z rozmachem ku drzwiom i wybiegł bez ceremonii z pokoju, nie rzekłszy ani słowa od chwili, kiedy Dupin zagadnął go o podpisanie czeku.

Po jego odejściu przyjaciel mój jął wyluszczać przebieg sprawy.

– Policja paryska jest nadzwyczaj biegła w swym zawodzie. Urzędnicy jej są wytrawni, pomysłowi, chytry i doskonale obeznani z tymi gałęziami wiedzy, które należą do zakresu ich obowiązków. Toteż gdy G. opowiedział nam, w jaki sposób przetrząsano pałac D., byłem najzupełniej przeświadczony, że poszukiwania odbyły się należycie – w tej mierze, na jaką było go stać.

– W tej mierze, na jaką było go stać? – zagadnąłem.

– Tak jest – odparł Dupin – poczynione zarządzenia były nie tylko najlepsze w swoim rodzaju, lecz także doprowadzone do ostatecznej doskonałości. Gdyby list ów znajdował się w zasięgu poszukiwań, to byliby go niewątpliwie znaleźli.

Uśmiechnąłem się tylko, aczkolwiek zdawał się mówić to najzupełniej poważnie.

– Zarządzenia zatem – mówił dalej – były dobre w swym rodzaju i dobrze wykonane; wadliwość ich polegała na tym, iż nie dawały się zastosować ani do człowieka, ani do wypadku, o który chodziło. Pewien zestrój nadzwyczaj pomysłowych środków stanowi dla prefekta rodzaj łoża Prokrusta, w które wtlacza przemocą swe zamierzenia. Wszelako myli się nieustannie, gdyż jest albo za głęboki, albo za płytki dla sprawy, którą się zajmuje, i wielu uczniów rozumuje lepiej od niego. Znałem pewnego ośmioletniego chłopca, którego powodzenia w odgadywaniu przy grze „para, nie para” wywoływały podziw powszechny. Gra ta jest łatwa, używa się do niej krągłych kamyczków. Jeden z graczy trzyma w garści pewną ilość tych kamyczków i zapytuje drugiego, czy liczba ich jest parzysta, czy nieparzysta. Jeśli zgadujący odpowie trafnie, to zyskuje jeden kamyczek, jeśli zaś się pomyli, to jeden traci. Chłopczyk, o którym nadmieniałem, wygrał wszystkie kamyczki w całej szkole. Odgadywał on wedle pewnej zasady, która polegała tylko na spostrzegawczości i na przystosowaniu się do bystrości swych przeciwników. Kiedy, na przykład, przeciwnik jego był skończonym głuptasem i podniósłszy rękę, pytał: „Para czy nie para”, dzieciak odpowiadał: „Nie para” i przegrywał. Wszelako za następnym razem już wygrywał, gdyż powiadał sobie w duszy: „Głuptas przy pierwszej kolejce wziął w rękę parzystą ilość kamyczków, ale jego przebiegłość sięga zaledwie tak daleko, iż za drugą kolejką weźmie nieparzystą, powiem zatem nie para”; mówi tak i wygrywa. Natomiast mając do czynienia z przeciwnikiem nie tak ograniczonym, rozumował w ten sposób: „Ten chłopiec wie, iż za pierwszym razem powiedziałem: „nie para”, kiedy więc kolej przyjdzie na drugi, zaświta mu w pierwszej chwili myśl najprostszej odmiany, mianowicie, by po parze wziąć nie parę, jak to uczynił pierwszy głuptas; wszelako później pomyśli sobie, że ta odmiana zbyt jest prosta, i ostatecznie weźmie ilość parzystą, jak poprzednio. Będę zatem zgadywał: para. Powiada: „para” i wygrywa. Otóż ten sposób rozumowania, którzy koledzy uczniaka nazwali „szczęściem” – czymże jest, gdy go wyluskamy do ostatka?

– Jest to po prostu – rzekłem – identyfikowanie się umysłu rozumującego ze swym przeciwnikiem.

– Istotnie – odparł Dupin – kiedy zaś zapytałem tego chłopca, w jaki sposób osiąga tę zupełną identyfikację, która stanowi o jego powodzeniu, odpowiedział: „Gdy chcę wiedzieć, w jakim stopniu jest ktoś mądry czy głupi, dobry lub zły, i co myśli w danej chwili, staram się możliwie najdokładniej uzgodnić wyraz mojej twarzy z wyrazem jego twarzy, a następnie śledzę, jakie myśli i uczucia rozbudza się w moim mózgu i moim sercu i niejako uzgodnią się i upodobnią do wyrazu przeze mnie przybranego”. Ta odpowiedź dziecka sięga dużo głębiej niż kłamane głębie, przypisywane La Rochefoucauldowi, La Bruyere'owi, Machiavellemu i Campanelli.

– Zaś ta identyfikacja umysłu rozumującego z umysłem swego przeciwnika zależy – o ile dobrze cię pojmuję – od ścisłości, z jaką ocenia się intelekt tegoż przeciwnika.

– Praktycznie jej znaczenie zależy od tego warunku – odpowiedział Dupin. – Prefekt i jego podwładni myślą się tak często dlatego, iż, po pierwsze, nie są zdolni do owej identyfikacji, po wtóre zaś, że przystosowują się niewłaściwie lub raczej nie przystosowują się wcale do intelektu, z którym mają do czynienia. Mają na oku tylko swe własne, przebiegłe pomysły „i kiedy szukają czegoś ukrytego, myślą tylko o tyra, w jaki sposób oni by je ukryli. Mają słusność o tyle, że ich pomysłowość jest wiernym obrazem pomysłowości tłumu; kiedy jednak chytrłość występnej jednostki różni się swymi właściwościami od ich chytrości, złoczyńca bierze nad nimi górę. Zdarza się to zawsze, gdy przewyższa ich przebiegłością, i nader często, gdy im w niej nie dorównywa. Nie umieją zmieniać zasad, na których opierają swe dochodzenia śledcze; w najlepszym razie, kiedy przynagli ich jakaś ostateczna konieczność, jakaś niezwykła nagroda, przechodzą do przesady swe dawne sposoby praktyczne, nie tykając przy tym swych zasad. Co, na przykład, uczyniono, kiedy chodziło o sprawę Ministra D., by zastosować zmienione zasady działania? Czymże jest to wiercenie, przetrząsanie, sondowanie, badanie za pomocą szkieł powiększających, rozkładanie powierzchni budynku na ponumerowane całe kwadratowe – czymże jest to wszystko, jeśli nie przesadą w zastosowaniu jednej zasady czy też całej więzi zasad śledczych, opartych na

jedynym skojarzeniu pojęć o pomysłowości ludzkiej, do którego prefekt nawykł w długoletniej rutynie służbowej? Czyś nie zauważył, iż dla niego jest rzeczą dowiedzioną, jakoby wszyscy ludzie, którzy chcą ukryć jakiś list, posługiwali się – jeśli nie koniecznie otworem wywierconym w nodze od krzesła, to przynajmniej jakimś otworem czy kryjówką nadzwyczaj osobliwą, a podsunętą przez to samo skojarzenie myśli, które zniewala do chowania listów w otworach wywierconych w nodze od krzesła? I czy nie zdajesz sobie sprawy, że takie wyszukane skrytki bywają używane w pospolitych okolicznościach i przez umysły pospolite, gdyż ilekroć chodzi o jakąś rzecz ukrytą, wszelki wyszukany sposób jej ukrycia od razu daje się odgadnąć i bywa też zawsze odgadywany; toteż znalezienie jej bynajmniej nie zależy od przenikliwości, lecz tylko od pilności, cierpliwości i stanowczości szukającego. Kiedy jednak chodzi o rzecz ważną lub coś, co w oczach policji ma to samo znaczenie, mianowicie o szczerą nagrodę, wszystkie te zalety na pewno zawiodą. Sądzę, iż zrozumiesz teraz, co miałem na myśli, powiadając, iż gdyby skradziony list był ukryty w zasięgu poszukiwań prefekta – czyli, wyrażając się innymi słowy – gdyby zasada jego ukrycia mieściła się w zasadach prefekta, to odszukanie jego nie nasuwałoby bynajmniej wątpliwości. Tymczasem urzędnik ten dał się najzupełniej zbić z tropu, a pierwotnej przyczyny jego porażki należy szukać w przeświadczeniu, że minister ma bzika, ponieważ dał się poznać jako poeta. Wszystkie półgłówki są poetami wedle mniemania prefekta – i cała jego pomyłka polega na *non distributio medii*⁴⁰, na wysnutym stąd wniosku, iż wszyscy poeci są półgłówkami.

– Jestże on naprawdę poetą? – spytałem. – O ile wiem, ma brata, który również zasłynął na polu literackim. Minister podobno znany jest z cennej pracy o rachunku różniczkowym. Jest zatem matematykiem, a nie poetą.

– Mylisz się, znam go dobrze; jest jednym i drugim. Jako poeta i matematyk nawykł do ściślego rozumowania. Gdyby był tylko matematykiem, nie rozumowałby wcale i byłby zdany na łaskę prefekta.

– Zdziwiasz mnie – rzekłem – tymi poglądami, które pozostają w sprzeczności z powszechnie przyjętą opinią. Sądzę, iż nie zamierzasz unicestwić przeświadczeń ustalonych przez wieki. Rozum matematyczny uchodzi od dawna za rozum *par excellence*.

– *Il y a a parier* – odparł Dupin, cytując Chamforta – *que toute idee publique, toute convention recue, est une sottise, car elle a convenu au plus grand nombre*⁴¹. Zgadzam się z tobą, że matematycy przyczynili się wielce do rozpowszechnienia utartego błędu, o którym mówisz, a który mimo to jest błędem, uważanym za prawdę. Z artyzmem godnym lepszej sprawy przyzwyczaili nas, na przykład, do używania słowa „analiza” w zastosowaniu do algebry. Francuzi pierwsi dali początek temu pomieszaniu pojęć, a jednak, jeżeli słownictwo ma jakiegokolwiek znaczenie, jeżeli słowa wyprowadzają swą wartość z zastosowania, to analiza odpowiada algebrze mniej więcej w tej samej mierze, co łacińskie słowo *ambitus* – ambicji, religio – religii lub *homines honesti* – zespołowi ludzi szanowanych.

– Coś mi się zdaje, że będziesz miał zatarg z niejednym algebraikiem paryskim, ale mów dalej.

– Podaję w wątpliwość znaczenie, a wraz z nim wartość rozumu kształconego w jakiś inny sposób niż abstrakcyjnologiczny. W szczególności zaś podaję w wątpliwość rozum wykształcony na studiach matematycznych. Wiedza matematyczna jest nauką formy i wielości, zaś rozumowanie matematyczne najzwyczajniejszą logiką, zastosowaną do badania kształtu i wielości. Wielki błąd tkwi w mniemaniu, jakoby pewniki algebry – tak zwanej czystej – były pewnikami abstrakcyjnymi czy powszechnymi. Zaś błąd ten jest tak ogromny, iż słuپیę nad jednomyślnością, z jaką go przyjęto. Pewniki matematyczne nie są pewnikami prawdy powszechnej. Co jest prawdą względności – formy i wielości – to bywa często grubym błędem, na przykład w dziedzinie nauk moralnych. W dziedzinie tej zazwyczaj jest nieprawdą, iż części składowe równają się całości. W chemii pewnik ten również zawodzi. Nie dopisuje także, gdy chodzi o czynniki ruchowe, jeżeli

⁴⁰ *Non distributio medii* – nie dzielenie środka

⁴¹ *Il y a a parier...* (fr.) – można Iść o zakład, że wszelka myśl powszechna, wszelkie dziedziczone przekonanie jest głupie, ponieważ dogadzało większości.

bowiem dwa czynniki | ruchowe, których siły są znane, połączymy razem, to otrzymana w ten sposób siła wypadkowa niekoniecznie musi się równać sumie sił składowych. Jest jeszcze wiele innych prawd matematycznych, które są prawdziwe tylko w granicach względności. Atoli matematyk wnioskuje nawykowo wedle swych prawd ograniczonych, jak gdyby miały one zastosowanie absolutne i nieograniczone – co zresztą powszechnie im się przyznaje. Bryant w swej nader cenionej Mitologii wspomina o podobnym źródle błędu, mówiąc, że „jakkolwiek nikt nie wierzy w baśnie pogańskie, to jednak zapomina się o tym nieustannie i wyprowadza się z nich wnioski, jak gdyby z istniejącej rzeczywistości”. Jakoż algebraicy, którzy sami są poganami, wierzą w „baśnie pogańskie” i wyprowadzają z nich wnioski, nie tyle dlatego, że im pamięć nie dopisuje, ile z powodu niepojętej zaśniedziałości mózgow. Słowem, nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać czystego matematyka, na którym można by polegać poza jego równaniami i pierwiastkami lub który by nie uznawał potajemnie za dogmat swej wiary, iż $x^2 + px$ równa się bezwarunkowo i absolutnie q . Spróbuj powiedzieć któremuś z tych panów, jeżeli cię to bawi, iż zdaniem twoim mogą zająć okoliczności, kiedy $x^2 + px$ niekoniecznie równać się będzie q , jednakże powiedziawszy, co masz na myśli, usuń się mu co rychlej i najuprzejmiej spod ręki, gdyż na pewno będzie chciał cię grzmotnąć.

– Chcę przez to powiedzieć – mówił dalej Dupin – któremu przerwałem na chwilę, śmiejąc się z tych jego spostrzeżeń – iż gdyby minister był tylko matematykiem, to prefekt nie byłby musiał wręczyć mi tego czeku. Wiem jednakże, iż jest matematykiem i zarazem poetą, więc przystosowałem swe postępowanie do jego uzdolnień, uwzględniając przy tym okoliczności, w jakich się znajdował. Wiem również, iż jest dworakiem i zuchwałym intrygantem. Niepodobna, żeby taki człowiek – pomyślałem sobie – nie znał zwyczajnych, policyjnych metod działania. Zapewne przewidział – a wypadki późniejsze potwierdziły, iż przewidział istotnie – przygotowane na niego zasadzki. Musiał się liczyć – rozumowałem – z tajemnymi poszukiwaniami w swym pałacu. Nie bywał często nocami w domu, co prefekt powitał jako niezawodną zapowiedź swego powodzenia, ja zaś uważałem tylko za podstęp zmierzający do tego, by ułatwić policji szczegółowe szperanie i tym rychlej wpoić w nią przeświadczenie, do którego G. istotnie doszedł, iż listu w pałacu nie ma. Wyczułem również, iż cały ten tok myśli, o których ci tylko co nadmieniałem, a które odnoszą się do nieodmiennych zasad czynności policyjnych przy poszukiwaniu ukrytych przedmiotów – wyczułem, powtarzam, iż cały ten tok myśli przemknął niezawodnie przez umysł ministra. Musiało go to stanowczo skłonić do wyrzeczenia się wszelkich kryjówek zwyczajnych. Niepodobna – rozumowałem – żeby był taki słaby i nie wiedział, iż najnieodstępniejsze i najtajemniejsze skrytki jego pałacu będą równie jawne, jak najpospolitsze schowki dla oczu, iglic, świrdrów i szkieł powiększających prefekta. W końcu uświadomiłem sobie, że nieodzownie będzie musiał dążyć do prostoty, jeżeli nie rozmyślnie, ta z wrodzonego upodobania. Może jeszcze pamiętasz, jak do rozpuku śmiał się prefekt, kiedy za pierwszą jego bytnością wyraziłem się, że owa zagadka może dlatego jest tak bardzo kłopotliwa, iż zanadto leży jak na dłoni.

– Tak jest – odparłem – przypominam sobie, jaką miał uciechę. Myślałem już, że dostanie drgawek.

– Świat materialny – wyłuszczał dalej Dupin pełen jest nader ścisłych analogii ze światem niematerialnym i stąd to pochodzi, iż niejaki zabarwienie prawdy posiada ów dogmat retoryczny, który utrzymuje, iż przenośnia czy porównanie nadają się równie

dobrze do poparcia jakiegoś argumentu, jak do upiększenia jakiegoś opisu. Zasada tak zwanej *vis inertiae*⁴² jest na przykład, jak się zdaje, jednakowa w dziedzinie fizycznej i metafizycznej. Niemniej jest ona prawdziwa, kiedy utrzymuje, iż ciało większe trudniej jest puścić w ruch niż ciało mniejsze i że wynika stąd momentum jest wprost proporcjonalne z ową trudnością – jak kiedy twierdzi, iż umysły o rozleglejszej zdolności pojmowania, ponieważ są zarazem możniejsze, krzepsze i bardziej nieobliczalne w swych poruszeniach niż umysły niższego rzędu, trudniej też dają się wprawić w ruch oraz większym ulegają wahaniom i nieomogom w pierwszych początkach swe-

⁴² *Vis inertiae* (tac.) – siła bezwładności.

go postępu. Albo też: czyś kiedy zastanawiał się, jakie godła sklepowe najczęściej zwracają uwagę? – Nie przyszło mi to nigdy na myśl – odparłem. – Istnieje gra polegająca na odgadywaniu, do której używa się mapy. Jeden z graczy domaga się od drugiego, by odnalazł jakieś słowo – nazwę miasta, rzeki, kraju lub państwa – na prostej i pogmatwanej płaszczyźnie mapy. Ktoś, kto jeszcze nie umie grać, na ogół stara się wprowadzić w zakłopotanie swych przeciwników zadając im do odgadnięcia nazwy uwidocznione najdrobniejszym drukiem, natomiast gracz doświadczony wybiera słowa rozwleczone, nakreślone wielkimi literami od jednego krańca mapy do drugiego. Uchodzą one uwagi podobnie jak godła i plakaty uliczne wypisane nadmiernie wielkimi głoskami, gdyż są zanadto widoczne. Otóż to przeoczenie fizyczne jest jota w jotę podobne do roztrągnięcia psychicznego, które sprawia, iż umysł nie ogarnia spostrzeżeń zbyt namacalnie i wyraźnie oczywistych. Wszelako jest to przejaw, który – jak się zdaje – znajduje się powyżej czy poniżej umysłowości prefekta. Nie wydawało mu się nigdy rzeczą prawdopodobną lub bodaj możliwą, żeby minister mógł umieścić ów list wprost na oczach całego świata i w ten sposób najzawodniej uczynić go niewidzialnym dla pewnych jednostek, zaliczających się do tegoż świata.

W miarę jednak jak zastanawiałem się nad śmiałą, rzutką i przezorną umysłowością ministra D., nad tym, iż dokument ów musiał mieć zawsze pod ręką, o ile chciał go użyć we właściwej chwili, wreszcie nad niewzruszoną pewnością, z jaką utrzymywał prefekt, iż nie jest on dostępny dla zwykłych jego poszukiwań – tym silniejszego nabierałem przeświadczenia, iż minister, chcąc ukryć ów list, wpadł na przenikliwy i roztropny pomysł, aby nie ukrywać go wcale.

Mając głowę nabitą tymi refleksjami, zaopatrzyłem się w zielone okulary i pewnego pięknego poranku zaszedłem niby to przypadkiem do pałacu ministerialnego. D. był w domu – jak zwykle ziewający, rozleniwiony i rozpróżniaczony. Udawał, że po prostu zatracą się w bezmiarze nudy. Tymczasem jest to może najenergiczniejszy człowiek, jaki obecnie żyje na świecie – ale tylko wówczas, gdy nikt go nie widzi.

Żeby mu dorównać, jałem uskarżać się na słaby wzrok i ubolewać, że muszę używać okularów. Zajęty pozornie rozmową z mym gospodarzem, rozglądałem się spoza nich bacznie i skrzętnie po całym mieszkaniu.

Szczególniejszą baczność zwróciłem na duże biurko, przy którym siedział, zavalone bezładnie wszelkiego rodzaju listami oraz innymi papierami. Spomiędzy nich wyzierało kilka książek tudzież jeden czy dwa instrumenty muzyczne. Mimo długich i nader uważnych badań nie dostrzegłem tam jednak niczego, co by mogło wydawać się podejrzanym.

W końcu wzrok mój, błądząc po całym pokoju, zatrzymał się na niepozornym portecartes⁴⁴, ozdobionym świecidełkami i zawieszonym za pomocą przybrudzonej, niebieskiej wstążki na gwoźdźniku mosiężnym, który wysterczał nad gzymsem kominka. Ów portecartes miał trzy czy cztery przegródki, zawierające pięć lub sześć biletów wizytowych i jeden jedyny list. Był on mocno zabrudzony i pomiętoszony. Przedarto go przez środek niemal na dwoje i wyglądał, jak gdyby w pierwszej chwili chciano go podrzeć zupełnie niby rzecz bezwartościową, lecz później zamiar ten zmieniono lub niezupełnie go wykonano. Miał wielką, czarną pieczęć, na której zaznaczał się bardzo wyraźnie monogram ministra, i był zaadresowany do tegoż drobnym, kobiecym pismem. Wtłoczono go niedbale i nawet – jak się zdawało – nieco pogardliwie w jedną z przedziałek górnych.

Rzuciwszy okiem na ten list, wywnioskowałem natychmiast, że jest to przedmiot moich poszukiwań. Nie da się zaprzeczyć, iż z wyglądu różnił się najzupełniej od dokumentu opisanego nam tak drobiazgowo przez prefekta. Ten miał pieczęć wielką i czarną z monogramem D., tamten zaś miał małą i czerwoną z książęcymi herbami rodziny S. Na tym adres do ministra był nakreślony drobnym pismem kobiecym; tamten zaadresowany był do pewnej osoby z domu królewskiego ręką śmiałą i stanowczą. Podobne były do siebie jedynie z rozmiaru. Atoli krańcowa sprzeczność tych różnic: przedarcie, niechlujny i pomiętoszony wygląd tego papieru, nie dający się pogodzić z isticie pedantycznymi nawykami ministra D. i jakby zmierzający do wprowadzenia widza w błędne mniemanie o błahości tego dokumentu – wszystko to wraz z natrętnym po prostu

jego umieszczeniem, rzucającym się w oczy każdego przybysza i przeto najzupełniej zgodnym z poprzednimi moimi wnioskami – wszystko to, powtarzam, mogło wielce utwierdzić w podejrzeniach człowieka, który przyszedł już pełen podejrzliwości.

Przewlekalem moją wizytę możliwie najdłużej i podtrzymując nader ożywioną rozmowę o przedmiocie, który – jak już i ja wiedziałem – ministra bardzo; obchodzi, skupiałem wyteżoną uwagę na owym liście. Przy tym oglądaniu zakarbowałem sobie w pamięci jego zewnętrzny wygląd oraz przegródkę, w której go umieszczono; w końcu zaś zdążyłem dokonać spostrzeżenia, które rozproszyło do ostatka moje, nikłe już zresztą, wątpliwości. Przypatrując się mianowicie brzegom papieru, zauważyłem, iż są więcej poprzecie' ranę, niż to widuje się zazwyczaj. Wyglądały jak prze' łamane, co dzieje się tylko wówczas, kiedy sztywny papier złoży się i przygniecie mocno jakimś narzędziem, po czym znów się rozłoży i pozagina na wyrót, ale w ten sposób, aby nowe zgięcia czy brzegi odpowiadały dokładnie załamaniom poprzednim. Odkrycie to zadowoliło mnie zupełnie. Widocznie list wywrócono jak rękawiczkę, złożono na nowo i nową zaopatrzone pieczęcią. Pożegnałem ministra i odszedłem spiesźnie, pozostawiając na stole złotą tabakierkę.

Nazajutrz zaszedłem po tabakierkę i znów wdaliśmy się w zajmującą rozmowę z dnia poprzedniego. Byliśmy już w niej pogrążeni, kiedy rozległ się donośny huk, jak gdyby wystrzał pistoletowy, tuż pod oknami pałacu, a hukowi temu zawtórowały wrzaski i okrzyki przerażonego tłumu. D. podbiegł do okna, otworzył je i wyrzwał na ulicę. Równocześnie przystąpiłem do portecartes, wyjąłem z przegródki list, schowałem go do kieszeni, a na jego miejsce włożyłem podobny (przynajmniej co do wyglądu zewnętrznego), który zawczasu przygotowałem w domu, naśladowując nader udatnie pieczęć z monogramem D. takąż pieczęcią z chleba.

Zajście na ulicy wywołał swoim niepoczytalnym zachowaniem się jakiś człowiek uzbrojony w muszkiet. Wystrzelił z niego w ciżbę dzieci i kobiet. Jednakże okazało się, że strzał był ślepy, więc puszczono wolno tego draba, uważając go za pijaka lub wariata. Kiedy poszedł, D. oddalił się od okna, dokąd podążyłem za nim zapewniwszy sobie posiadanie listu. Wnet potem pożegnałem się z nim. Rzekomy wariat był przekuipiony przeze mnie.

– Lecz w jakim celu – spytałem – zastąpiłeś ów list podobizną? Czyż nie było można, już za pierwszym razem, zabrać go bez ogródek i pójść sobie?

– D. – odparł Dupin – jest człowiekiem porywczym i zdolnym do wszystkiego. Przy tym w pałacu ma służbę nader sobie oddaną. Gdybym był postąpił, jak powiadasz, mógłbym być swe odwiedziny u ministra przyplacić życiem. Poczciwy ludek paryski nie usłyszałby już o mnie. Ale poza tymi względami miałem na oku jeszcze coś innego. Znasz moje sympatiepolityczne. W sprawie tej działałem jako zwolennik kobiety poszkodowanej. Przez osiemnaście miesięcy minister miał nad nią przewagę. Teraz ona ma ją nad nim – ponieważ nie wiedząc, że listu już nie posiada, będzie dopuszczał się dalej swych nadużyć, jak gdyby go posiadał. To musi przyprawić go niezwłocznie o zgubę polityczną. Przy tym upadek jego będzie nie tylko nagły, ale także niezdar-ny. Łatwo to mówić o *facilis descensus Averni*⁴³, atoli przy wszelkiego rodzaju wspinaniach, można by powiedzieć to, co Catalani mówiła o sztuce śpiewania, mianowicie, iż łatwiej jest wznieść się, niż zejść na dół. W obecnym wypadku nie mam wcale sympatii – ba, nawet współczucia dla tego, który stacza się na dół. To *monstrum horrendum*⁴⁴ – człowiek genialny, ale wyzuty z wszelkich zasad. Wyznaję jednakże, iż bardzo rad bym wiedzieć, co też sobie pomyśli, gdy wyzwany do walki przez kobietę, którą prefekt nazywa „pewną osobą”, będzie musiał poprzestać na otworzeniu listu, który mu pozostawiłem w przegródce portecartes.

– Co? Czy list ten zawiera coś osobliwszego?

– No, nie wydawało mi się rzeczą właściwą, by nic nie zawierał w swym wnętrzu; wyglądałoby to na obelgę. D. wypłatał mi w Wiedniu złośliwego psikusą;

⁴³ *Facilis descensus Averni* (łac.) łatwe (ale powrót trudny).

⁴⁴ *Monstrum horrendum* (łac.) okropny potwór.

powiedziałem mu wówczas z całą pogardą ducha, że tego mu nie zapomnę. A ponieważ wiem, że będzie nieco ciekaw dowiedzieć się, kto go tak wyprowadził w pole, więc pomyślałem sobie, iż szkoda byłoby nie udzielić mu pewnych wskazówek. Zna on dobrze charakter mego pisma, więc pośrodku białej karty wypisałem słowa:

un dessein si funeste, S'il n'est digne d'Atree, est digne de Thyeste⁴⁵.

Możesz je znaleźć w L'Atree Crebillona.

⁴⁵ Un dessein si funeste... (tr.) – zamiar tak zgubny, o ile nie jest godny Atreusza, godny jest Thyesta.

Ligeja

I jest w tym wola, co nie umiera. Któż zbadał tajemnice woli oraz jej moce? Albowiem Bóg jest tylko mozną wolą, dzięki swemu nateżeniu przenikającą wszech rzeczy. Człowiek nie ustępowałby aniołom i nie podlegałby wcale śmierci, gdyby nie słabość wątej jego woli.

Joseph Glanville

Klnę się na mą duszę, iż nie mogę sobie przypomnieć, jak, kiedy, a nawet gdzie poznałem po raz pierwszy Lady Ligeję. To już tyle lat temu i nadmiar cierpień zwałił moją pamięć! A może i dlatego nie umiem uprzytomnić sobie teraz tych szczegółów, że charakter mej umiłowanej, niezwykle wykształcenie, dziwny, choć spokojny typ jej urody jako też przenikliwa i ujarzmiająca wymowa jej niskiego, melodyjnego głosu tak z wolna, tajemnie i stopniowo torowały sobie drogę do mojego serca, iż szczegóły te przeszły nieznanne i nie postrzeżone. Wszelako sądzę, iż poznałem i spotykałem ją najczęściej w jakimś wielkim; starożytnym, opustoszałym mieście, gdzieś nad Renem. To pewna, iż opowiadała mi o swej rodzinie, która wywodziła się niewątpliwie z czasów niezmiernie odległych. Ligeja! Ligeja! Pograżyłem się w badaniach, które są tego rodzaju, iż więcej niż wszystko inne znieczulają na wrażenia świata zewnętrznego, a jednak dość mi jest tego jedynego, słodkiego słowa: Ligeja! – by przed oczyma mej wyobraźni przesunął się obraz tej, co już odeszła... Kiedy to piszę, przychodzi mi na myśl, iż nie znałem nigdy rodowego miana istoty, co była mą przyjaciółką i mą narzeczoną, co brała udział w mych dociekaniach i została w końcu mą ślubną oblubienicą. Byłoby to następstwem żartobliwego nakazu mej Ligei czy też świadectwem siły mych uczuć, iż nigdy nie zasięgnałem o tym wiadomości? Lub czy nie wynikało to z własnej mej zachcianki i nie stanowiło rozkiełznania romantycznej ofiary na ołtarzu bezgranicznego umiłowania? Szczegół ten niewyraźnie majaczy w mych wspomnieniach; cóż więc dziwnego, iż zapomniałem zupełnie okoliczności, co go wywołały i z nim się skojarzyły? I zaiste, jeżeli kiedykolwiek Wid Baśni, jeżeli kiedykolwiek błada, uskrzydłona mrokami Asztofet bałwochwalczego Egiptu dziewosłębila – jak powiadają – złowróbnym zaślubinom, to na pewno dziewosłębila moim.

Pozostało wszakże pewne drogie wspomnienie, co do którego pamięć mnie nie zawodzi. Odnosi się ono do osoby Ligei. Z postawy była smukła, nieco szczupła, zaś pod koniec życia nawet wychudła. Daremnie siliłbym się na opis dostojęstwa i spokojnej swobody jej zachowania się jako też niezrównanej lekkości i sprężystości jej chodu. Jawiła się i znikwała na kształt cienia. Nie wiedziałem nigdy, kiedy wchodziła do mojej pracowni, i o jej obecności dawała mi znać dopiero miła muzyka jej słodkiego, głębokiego głosu oraz marmurowa jej dłoń, którą kładła na moim ramieniu. Pięknością twarzy nie dorównywała jej żadna kobieta. Był to niby rozblask snów, wykołysanych przez opium, niby napowietrzna, wyszczytniająca ducha zjawa, cudniej boska niż zwidzenia, co snuła się nad uspionymi duszami dziew delijskich. Wszelako jej rysy nie okazywały bynajmniej owej prawidłowości, którą mylnie nauczono nas wielbić w klasycznych dziełach świata pogańskiego. „Nie masz doskonałego piękna – powiada Bacon, lord z Yerulamu, zastanawiając się szczegółowo nad wszelakimi kształtami i rodzajami piękna – bez pewnej niezwykłości w umiarach”. Jakkolwiek więc widziałem, iż rysy Ligei nie posiadają klasycznej prawidłowości, jakkolwiek zdawałem sobie sprawę, iż uroda jej była istotnie „dokonała”, i czułem, że jest w niej coś „niezwykłego”, i mimo to na próżno starałem się odkryć tę nieprawidłowość i określić ściśle własne me poczucie jej „niezwykłości”. Przyglądałem się liniom wyniosłego, bladego czoła: było

nieskazitelne; lecz jak zimne jest to słowo w zastosowaniu do tak nadludzkiego dostojeństwa! Skronie władcze, szerokie, spokojne, o łagodnych wyniosłościach i lśniące, szczodre, sfalowane warkocze, godne najzupełniej homeryckiego określenia: hiacyntowe! Patrzyłem na misterną rzeźbę nosa – i krom przedziwnych medalionów hebrajskich nie znajdowałem nigdzie podobnej doskonałości. Okazywał on tę samą bujną płynność linii, miał tę samą, zaledwie dostrzegalną, orlą krzywiznę i te same harmonijnie wysklepione nozdrza, świadczące o niezależności ducha. Brałem pod rozwagę słodkie usta. Tchnęły one tryumfem rzeczy niezemskich: wyniosły zakrój krótkiej wargi górnej; senna, rozkoszna miękkość dolnej; rozigrane dołeczki; wyraziste barwy; zęby o połysku niemal olśniewającym, rozwidniane wniebowziętym jaśnieniem jej spokojnych, łagodnych, lecz radośnie promiennych uśmiechów. Zastanawiałem się nad kształtami brody i znajdowałem wdzięk umiaru, słodycz i majestat, pełnię i przeduchowanie helleńskie; były to kształty, które Bóg Apollo ukazał, lecz tylko we śnie, Kleomenesowi, synowi niewiasty ateńskiej. A potem zatapiałem spojrzenie w wielkich źrenicach Ligei.

Dla oczu nie znajdujemy wzorów w odległej starożytności. Być może, iż to właśnie w oczach mej miłej kryła się tajemnica, o której wspomina lord Verulam. Moim zdaniem były one znacznie większe, niż zazwyczaj bywają oczy ludzkie, i ognistsze, niżli oczy gazeli z doliny Nurzuhad. Wszelako ta właściwość zaznaczała się u Ligei tylko niekiedy, w chwilach wzmożonego podniecenia. Wówczas jej piękność bywała, a może tylko wydawała się mej rozplomienionej wyobraźni, pięknnością istot zabłąkanych z zaświata, piękni ilością hurys, sławionych przez mity tureckie. Skrzącą czerń źrenic ocieniały rzęsy krucze i nadzwyczaj długie. Niemniej czarne były brwi, nieco chwiejnie zarysowane. „Niezwykłość”, którą zauważyłem w tych oczach, nie wynikała wszakże ani z ich kształtu, ani z ich barwy, ani z ich blasku i polegała najprawdopodobniej na ich wyrazie. Ach, jakież beztreściowe słowo! Za szumną rozlewnością tego pustego dźwięku skrywa się nasza nieznajomość wielu zjawisk duchowych. Wyraz oczu Ligei! Ileż to razy rozmyślałem o nim! Na próżno trawiłem całe noce letnie, by go przeniknąć. Co to było w oczach mej miłej – to coś, głębsze niż studnia Demokryta? Co to było? Uwziąłem się, chcąc odgadnąć. Te oczy! Te wielkie, świetliste, niezemskie źrenice! Stały się dla mnie bliźniaczymi gwiazdami Ledy – ja zaś byłem najzbożniejszym ich astrologiem.

Śród wielu niepojętych dziwów psychicznych najbardziej zaciekawiającym i niepokojącym, acz pomijanym – jak mi się zdaje – dotychczas przez naukę, jest zjawisko, iż chcąc sobie coś dawno zapomnianego przypomnieć, stajemy niejednokrotnie tuż u rubieży przypomnienia, a jednak przypomnieć sobie nie możemy. Ileż to razy zatapiając się w rozmyślaniach nad oczyma Ligei czułem, iż jestem bliski pełnego poznania ich wyrazu, czułem bliskość tego poznania, lecz zarazem stwierdzałem, że nie jest ono jeszcze moje, i w końcu doszczętnie gubiłem jego wątek! I (o tajnio nieogarniona!) w najpospolitszych przedmiotach wszechistnienia dopatrywałem się całych kręgów podobieństw do tego wyrazu. Chcę przez to powiedzieć, iż z chwilą, kiedy piękność Ligei wtargnęła do mej duszy i zajęła w niej miejsce gdyby w relikwiarzu, z wielu jestestw świata widomego wyczuwałem to samo uczucie, jakiego doznawałem w sobie i dokoła siebie pod wpływem jej wielkich, promienistych źrenic. Mimo to nie mogłem określić tego uczucia ani go zbadać, a chwilami nawet traciłem je z oczu. Powtarzam, iż rozpoznawałem je niekiedy, pazurek na szybki wzrost winogrodu lub zastanawiając się nad ćmą, nad motylem, nad przeobrażeniem się oczwarki, nad biegiem wartkiej wody. Wyczuwałem je w oceanie i w spadaniu meteorów. Wyczuwałem je w spojrzeniach zgrzybiałych starców. Znam na skleceniu niebieskim jedną czy dwie gwiazdy (zwłaszcza jedną, gwiazdę szóstej wielkości, zmienną i dwoistą, majdującą się w pobliżu wielkiej gwiazdy Liry), które, oglądane przez teleskop, przywoływały mi na myśl to uczucie. Odnajdowałem je w pewnych brzmieniach ostrunionych instrumentów muzycznych, a czasem w ustępach niektórych książek. Śród nieprzebranego mnóstwa innych przykładów przypominam sobie ustęp z jakiegoś dzieła Józefa Glanyilla, który – (kto wie? – może dla swej cudaczności) zawsze rozbudzał we mnie to uczucie:

„I jest w tym wola, co nie umiera. Któż zbadał tajemnicę woli oraz jej moce? Albowiem Bóg jest tylko możliwą wolą, dzięki swemu nateżeniu przenikającą wszechświaty. Człowiek nie ustępowałby aniołom i nie podlegałby wcale śmierci, gdyby nie słabość wątłej ego woli.”

W przebiegu lat i na podstawie poniższych spostrzeżeń udało mi się istotnie wykryć pewną daleką łączność między tym ustępem angielskiego moralisty a jedną połącją charakteru Ligei. Nasilenie myśli, czynu i słowa było w niej prawdopodobnie wynikiem lub przynajmniej oznaką tego przepotężnego chcenia, copodczas długiego naszego obcowania w inny i wiecej bezpośredni sposób zdołało dowieść swej obecności. Śród wszystkich znanych mi kobiet jedynie ona, ta zewnętrznie spokojna i zawsze panująca nad sobą ligeja, bywała najbezwzględniej ofiarą sępich zawichrzeń okrutnej namiętności. Ale z namiętności tej zdawałem sobie sprawę tylko na podstawie cudownej rozprężności tych rozpajających i przerażających zarazem źrenic, na podstawie czarodziejskiej niemal wdzięczności, gibkości, wyrazistości i słodczy jej niezmiernie głębokiego głosu jako też na podstawie nieskiełzanej mocy (zdwajanej jeszcze przez przeciwieństwo z właściwościami jej wysłowienia) szczególniejszych poglądów, które zdarzało się jej wygłaszać.

Wspomniałem o wykształceniu Ligei: było niezmiernie – nie spotykałem podobnego u innych kobiet. Posiadała głęboką znajomość języków klasycznych i – o ile mogłem sprawdzić – władała biegle nowoczesnymi językami europejskimi. I czy zdarzyło się kiedy, by Ligeja pomyślała się w jakiejkolwiek dziedzinie nauki, tak bardzo podziwianej i uwielbianej, a jednak tak mętnej? Przede wszystkim ten rys w naturze mojej żony tak dziwnie, tak przejmująco narzucał się mej baczności w ostatnim zwłaszcza okresie. Powiedziałem, iż żadna kobieta nie dorównywała jej wykształceniem, lecz czyż istnieje mężczyzna, któremu powiodło się zbadać nieprzejrzane przestwory wiedzy filozoficznej, przyrodniczej i matematycznej? Nie rozumiałem wówczas tego, co teraz jasno pojmuję, iż wiadomości Ligei były bezgraniczne, osłupiające; ale zdawałem sobie sprawę z jej ogromnej przewagi i z dziecięcą ufnością powodowałem się wskazówkami śród chaosu dociekań metafizycznych, które w pierwszych latach naszego małżeństwa pochłaniały mnie całkowicie. Kiedy zagłębiałem się w tych zagadnieniach, tak mało zbadanych a jeszcze mniej znanych, i kiedy ona pochylała się nade mną, z jakimś światowładnym tryumfem, z jakimś radosnym zachwytem, z jakąż wniebowstępną nadzieją doznawałem wrażenia, iż oto z wolna rozstępują się przede mną te przedziwne widnokreśli i ukazuje się w głębi przejasna, długa i nie udeptana stopą ludzką ścieżka, mająca mnie zaprowadzić hen, wzwyż, ku celom Wiedzy, co zbyt jest cenna i zanadto boska, by nie miała być zabroniona!

Lecz z jakimś krwawym bólem spostrzegłem po kilku latach, iż moje najniezawodniejsze oczekiwania rozwijają skrzydła i gotują się do odlotu! Bowiem bez Ligei byłem tylko dzieckiem zbłąkanym śród ciemności. Już sama jej obecność i sposób czytania rozwidniały niejedną tajemnicę transcendentalizmu, co nas pochłaniał. Bez promiennego blasku jej oczu umiejętność ta, złota i skrzydlata, mierzła gdyby saturnowe ołowię. Otóż te oczy coraz rzadziej i rzadziej jęły spoglądać na karty, co były przedmiotem mych zadum. Ligeja zaniemogła. Zbyt – ach, zbyt świetnymi ogniami pałały dziwne jej źrenice; białe palce nabrały woskowej przejrzystości grobu, a błękitne żyłki na wyniosłym czole wznosiły się i opadały szybko za najlżejszym wzruszeniem. Widziałem, że musi umrzeć, i rozpaczliwie pasowałem się w duchu z okrutnym Azraelem. Lecz walka, którą podjęła ta namiętna istota, ku mojemu zdumieniu była jeszcze zapamiętalesza. Na podstawie pewnych właściwości jej głębokiej natury przypuszczałem, iż śmierć oszczędzi jej swych prerażeń, ale tak się nie stało. Nie ma słów na okresienie nieugiętości oporu, jaki stawiała Widowi Cieniów. Skowytałem z żalości, patrząc na to bolesne widowisko. Chciałem pocieszać, chciałem koić rozumowaniem; lecz jej nieskiełznana żądza życia, życia i tylko życia była tak przepotężna, iż pociechy i rozumowania wydawały się istnym szaleństwem. Mimo to do ostatniej chwili, śród mąk, co targały hardą jej duszą, nie postradała swej zewnętrznej pogody. Słodszym stał się jej głos, co jeszcze się pogłębił – wołałem jednak nie rozmyślać nad tajnym znaczeniem

słów, spokojnie wypowiedzianych. Mózg mój nurzał się w obłądnie, gdym słuchał tej nieziemskiej melodii, tych zachceń i uroszczeń, o jakich przedtem nie śniła ludzkość.

Że mnie kochała, to nie ulegało wątpliwości; i łatwo przyszło mi zdać sobie sprawę, że miłość, co włada w duszy tej miary, nie może być zwyczajną namiętnością. Lecz dopiero w obliczu śmierci pojąłem w całej pełni siłę jej uczuć. Trzymając mnie za rękę, całymi godzinami darzyła mnie szczerze nadmiarem swego serca, którego przenamiętna czułość graniczyła z ubóstwieniem. Czymże zasłużyłem na szczęście takich wyznań? Czymże zasłużyłem na przekleństwo utraty mej miłej w chwili, kiedy do nich przyszło? Lecz mówić o tym dłużej jest nad moje siły. Pragnąłbym tylko nadmienić, iż to niekobiece już zapamiętanie się Ligei w miłości, co, niestety, była darem nie zasłużonym i niegodnej ofiarowanym duszy, naprowadziło mnie w końcu na źródło jej tęsknoty oraz nieskieleznanie dzikiej żądzy życia, które tak szybko gasło. Dać wyobrażenie o tej nieukozonej tęsknicy, o tym rozpętanym do szaleństwa pragnieniu życia, i tylko życia – nie jest w mej mocy i słów mi już nie staje.

O północnej godzinie, kiedy duch jej gotował się już do odlotu, przyzywała mnie skinieniem jeszcze raz ku sobie i prosiła, bym odczytał jej wiersze, które ułożyła na kilka dni przedtem. Uczyniłem zadość jej życzeniu. Brzmiały one następująco:

Oto godowa noc Śród lat, co w smętnych zgasły snach!
Skrzydlatych, jasnych duchów moc,
W zasłonach i we łzach,
Patrzy na dramat, który gra
Nadzieja, to znów strach,
A gęźbą sfer rozbrzmiewa donośną
Wszystek teatru gmach.

Aktorzy – z kształtów ni to Bóg,
Jak pszczelny szemrzą ul,
Błądnie szukając dróg.
Te kukły swych się jęły ról
Z woli bezkształtnych jakichś Uch,
Co sieją w tłumy, jak w skiby pól,
Z sępich, rozwitych skrzydeł swych
Niewidzialny ból.

Pstry dramat? Lecz po wieków wiek Nie zginie o nim wieść:
Wiecznie trwać będzie Widziadła bieg
I tłumy za sobą wieść Po kole... krążże więc, koło, krąż, By znów się w siebie wpleść! Te same
szwały i winy wciąż I groza... dramatu w niej treść!

Lecz patrz! w poblize płochych rzesz
Potwór się chyłkiem wkradł –
Z wolna na scenę pełźnie od dźwierz
Ohydny, krwawy gad. Już wpelź! Już straszny zaczął łów Śród trwożnych ludzkich stad.
Łkają serafy widząc, jak z kłów
Sączy posokę i jad.

Już koniec – światła już mrą...
Na ból, co każdy pręży nerw,
Z szelestem jak śmiertelne gzło
Spada zasłona – ale wpierw

Anioły w męce podnoszą głos,
Bładości swych nie kryjąc lic,
Że dramat ten – to człowieczy los,
W którym mogilny zwycięża czerw.

– O, Boże! – zawołała Ligeja, kiedy skończyłem czytanie, i zrywając się z łóżka kurczowym ruchem wyciągnęła ku niebu ramiona. – O, Boże! Ojczy Niebieski! Czyż tak być musi nieodmiennie? Czyż tego pogromcy nigdy nie uda się pogromić? Czyliż nie jesteśmy częścią i działką Twoją? Kto, kto zbadał tajemnice woli oraz jej moce? „Człowiek nie ustępowałby aniołom i nie podlegałby wcale śmierci, gdyby nie słabość wątlej jego woli”.

Po czym, jak gdyby wyczerpana nadmiarem wzruszeń, opuściła swe białe ramiona i powróciła w skupieniu na łożo śmierci. Wydając ostatnie tchnienie, | cichym szeptem drgnęły jej usta. Nachyliłem się ku mej i znów doleciały mnie końcowe słowa z przytoczonego ustępu Glanyilla: „Człowiek nie ustępowałby aniołom i nie podlegałby wcale śmierci, gdyby nie słabość wątlej jego woli”.

Umarła, ja zaś, strącony w proch bólem, nie mogłem znieść dłużej beznadziejnej samotności pobytu w mglistym, opustoszałym mieście nad Renem. Nie zbywało mi na tym, co świat zowie bogactwem. Ligeja wniosła mi w posagu znacznie więcej, o wiele więcej, niż zazwyczaj dostaje się w udziale ludziom śmiertelnym. Jakoż po kilku miesiącach utrudzającej i bezcelowej tułaczki nabyłem i podźwignąłem z upadku pewne (nazwę jego przemilczę) opactwo w najdzikszej i najodludniejszej okolicy pięknej Anglii. Posepny i smętny majestat budowli, dziki niemal wygląd włości tudzież żalosne i czcigodne a związane z nimi podania godziły się przedziwnie z uczuciem zupełnego osamotnienia, co mnie zagnało w te odległe i nie zamieszkane strony. Nie tykając niemal opactwa od zewnątrz i pozostawiając mu pozory zagrzeźłej w zieleni ruiny, z dziecięcą jakąś przewrotnością, a może też ze słabą nadzieją ukojenia swych smutków, jałem urządzać je wewnątrz z nieledwie królewskim przepychem. Od dzieciństwa nabrałem upodobania do podobnych szaleństw, a teraz powróciły one niby mrzonka zgryzoty. Niestety, sam czułem, ile zawiązków obłędu taילו się we wspaniałych, fantastycznych oponach, w hieratycznych rzeźbach egipskich, w dziwacznych gzymsach i sprzętach tudzież w chimerycznej wzorzystości kobierców, przetykanych złotymi kwiatami! Opętało mnie opium i uczyniło swym niewolnikiem, a moje prace i zamiary nabrały zabarwienia mych snów. Lecz wolę nie rozpatrywać szczegółowo tych niedorzeczności. Chciałbym tylko wspomnieć o pewnej komnacie, którą przekląłem na wieki, a do której poprowadziłem od ołtarza jako mą oblubienice, jako następczynię niezapomnianej Ligei – jasnowłosą i błękitnooką Lady Rowenę Trevanion z Tremaine.

Wszystkie szczegóły architektoniczne i zdobnicze tej ślubnej komnaty stanęły mi w tej chwili przed oczyma. Co się działo w duszach dostojnej” rodziny panny młodej, gdy oślepią blaskiem złota pozwoliła swej ukochanej córce przekroczyć progi mieszkania, w ten sposób urządzonego? Powiedziałem, że pamiętam ten pokój do najdrobniejszych szczegółów, a jednak ze zgryzoty zapomniałem rzeczy bardzo ważnych, w tym zaś fantastycznym kramie nie było ładu ni składu, które by narzucały się pamięci. Komnata owa znajdowała się w wysokiej wieży warownego opactwa, była znacznych rozmiarów i miała kształt pięcioboku. Południową ścianę tego pięcioboku tworzyło okno – olbrzymia szyba z weneckiego szkła, jednolita płyta o zabarwieniu ołowianym, które sprawiało, iż wpadające do wnętrza promienie słońca lub księżyca nadawały przedmiotom połysk widmowy. Górną część tego ogromnego okna ocieniała krata, upowita latoroślami prastarego winogrodu, rozpiętego na potężnych murach wieżycy. Strop z poczerńiałego dębu był nadzwyczaj wysoki, sklepiony i suto ozdobiony najosobliwszymi i najpotworniejszymi rzeźbami w stylu na poły gotyckim, a na poły druidycznym. Z kasety, znajdującej się w samym środku tego posepnego sklepienia, na pojedynczym, złotym, o wydłużonych ogniach łańcuchu zwisała olbrzymia panew, wykonana na wzór saraceński z tego samego kruszczu i opatrzona licznymi

otworami, rozmieszczonymi w ten sposób, iż z wężową jak gdyby rącością nieustannie przewijały się przez nie różnobarwne płomienie.

W różnych miejscach stało kilka otoman oraz kilka złotych wschodnich świeczników; ponadto znajdowało się tam łoże – ślubne łoże, niskie, wyrzeźbione z hebanu na modłę hinduską i osłonięte baldachimem, podobnym do całunu. We wszystkich kątach komnaty wznosiły się ogromne sarkofagi, wydobyte z grobów królewskich opodal Luxoru i nakryte starożytnymi wiekami, na których widniały niepamiętne rzeźby. Najwyższe wszakże rozkiełznanie wyobraźni przejawiało się, niestety, w obiciach komnaty. Przeogromne, aż rażąco wysokie ściany były okryte od góry do dołu sutymi fałdami grubych, ciężkich opon, sporządzonych z tej samej tkaniny, co kobierzec na posadzce, co powłoki na otomanach i hebanowym łożu, co baldachim nad łożem i co okazałe zwoje portier, przysłaniających w części okno. Tkaniną tą był drogocenny złotogłów. W nierównych odstępach widniały na nim arabeskowe figury, mające mniej więcej stopę średnicy, a występujące z tła niezmiernie głęboką wzorów swoich czernią. Wszelako figury te zachowywały właściwy charakter arabesek tylko z jednego punktu widzenia. Za pomocą wynalazku, znanego w naszych czasach powszechnie, a sięgającego odległej starożytności, zmieniały się one w wyglądzie. Kiedy wchodziło się do komnaty, sprawiały wrażenie zwykłych potworności; lecz w miarę jak postępowało się dalej i przechodziło z miejsca na miejsce, wrażenie to stopniowo pierzchało, a poczynił natomiast zewszed stron kołować nieskończony korowód upiornych kształtów, należących do kręgu zabobonów normandzkich lub poczętych w zbrodniczych snach mnichów. Za oponami krążył nieustannie sztucznie tam wprowadzany silny prąd powietrza i wzmagał jeszcze widmowość wrażeń, darząc wszystko rozedrganym, ohydnyim życiem.

W takiej to świetlicy, w takiej to ślubnej komnacie spędzałem z Lady z Tremaine bezecne chwile pierwszych poślubnych miesięcy, a spędzałem je, próżen niemal troski. Nie mogłem nie spostrzec, że żona moja lękała się dzikości posępnego mego usposobienia, że unikała mnie i zbyt nie kochała, lecz sprawiało mi to poniekąd przyjemność. Nienawidziłem jej nienawiścią raczej demona niż człowieka. Pamięć moja pierzchała (och, z jakimż nieukojonym żalem!) w przeszłość, ku Ligei, ku tej pięknej, ku tej dostojnej, ku tej jedynej, ku tej umarłej. Lubowałem się rozpamiętywaniem jej czystości, jej wiedzy, jej szczytnej, przeduchowionej natury, jej przenaomicznej, rozmodlonej miłości. I stało się, że wszystek duch mój samorzutnie zajął się płomieniem, co z większą grzał mocą niż wszystkie jej ognie. W rozkołysaniu snów opiumowych (gdyż dałem się opętać zupełnie obierzom tej trucizny) zdarzało się, iż wśród ciszy nocnej powtarzałem głośno jej imię lub całymi dniami błąkałem się z nim na ustach po zacisznych ustroniach parowów, jak gdyby dzika zgryzota, wniebowzięta czułość i zabójczy żar mej tęsknicy za umarłą mogły przywołać ją z powrotem na szlaki ziemskie, które opuściła – ach, czyż podobna, by na zawsze?

Z początkiem drugiego miesiąca naszego pożycia małżeńskiego Lady Rowena zachorowała nagle i nieprędko powróciła do zdrowia. Trapiła ją nocami nie wygasająca gorączka; w niespokojnym półśnie majaczyła o jakichś ruchach i szmerach, co rozlegały się w pokoju na wieży, a były – jak sądziłem – wytworem jej; chorobliwej wyobraźni i poczyniały się prawdopodobnie z magicznych uroków komnaty. Po pewnym czasie jęła odzyskiwać siły i w końcu wyzdrowiała. Lecz wnet potem druga, jeszcze groźniejsza niemoc powaliła ją znowu na łoże cierpienia; spod tego ciosu jej organizm nigdy nie podźwignął się zupełnie. Choroba jej przybrała odtąd zwrot niepokojący, zaś jeszcze bardziej niepokojąca była jej przewlekłość, urągająca wiedzy i staraniom lekarzy. W miarę jak wzmagala się ta długotrwała niemoc, co zapewne zbyt już głęboko zakorzeniła się w jej organizmie, by mogły przyjść jej z pomocą zabiegi ludzkie, zauważyłem, iż wzrasta również nerwowe rozdrażnienie jej temperamentu jako też pobudliwość, posunięta do tego stopnia, iż najpowszedniejsze nawet przyczyny przyszmowały ją lękiem. Z jeszcze większą stanowczością i częściej niż poprzednio jęła znowu mówić o szmerach – o lekkich szmerach – i tajnych jakichś wśród opon poruszeniach, o których wspominałem już za pierwszym razem.

Pewnej nocy, pod koniec września, z większym niż zazwyczaj naciskiem starała się zwrócić moją uwagę na te niemiłe przywidzenia. Obudziła się właśnie z niespokojnego snu, ja zaś z uczu-

ciem na poły lęku, na poły nieokreślonej grozy śledziłem wyraz jej wynędzniałej twarzy. Siedziałem na otomaniu indyjskiej obok jej hebanowego łoża. Dźwignąwszy się nieco, mówiła przyciszonym, strwożonym głosem o szmerach, które co tylko usłyszała, a których ja słyszeć nie mogłem – o ruchach, które co tylko zobaczyła, a których ja dostrzec nie mogłem. Szybko wiatr krążył za oponami, chciałem ją przeto przekonać (w co zresztą – wyznając otwarcie – sam niezupełnie wierzyłem), iż te nie ujęte omal szemrania jako też te niedostrzegalne prawie zmiany w poruszeniach figur na ścianach były po prostu następstwem zwykłego prądu powietrza. Wszelako śmiertelna bladość, co oblokła jej lica, dała mi do poznania, że moje zabiegi, by ją uspokoić, spełzną na niczym. Zdawało się, że zemdleje, a służby w pobliżu nie było. Przypomniałem sobie, gdzie stała karafka lekkiego wina, przepisanego jej przez lekarzy, i pobiegłem po nie w głąb komnaty. Kiedym wszakże mijał światło panwi, dwie przerażające okoliczności zwróciły moją uwagę. Najpierw uczułem, iż musnął mnie z lekka w przejściu jakiś przedmiot dotykalny, lecz niewidzialny; po czym Ha złotym kobiercu, wśród promienistego kręgu, utworzonego przez panew, ujrzałem cień, nikły, nieokreślony cień o anielskim wyglądzie – coś, jak gdyby poczęty w urojeniu wid cienia. Lecz nadmierna dawka opium podnieciła mnie do tego stopnia, iż nie zastanowiłem się nad tymi zjawiskami dokładniej i nie wspominałem o nich Rowenie. Znalazłszy wino przebiegłem z powrotem komnatę, napełniłem nim kubek i przybliżyłem go do ust bliskiej omdlenia kobiety. Kiedy przysłała nieco do siebie, wzięła z rąk mych kubek, ja zaś rzuciłem się na pobliską otomanę, nie odwracając od niej oczu. I wtedy to usłyszałem wyraźnie, że ktoś stąpa z cicha po kobiercu w pobliżu łoża, w chwilę zaś później, kiedy Rowena podnosiła wino do ust, dostrzegłem, lub może mi się śniło, że dostrzegłem, iż do kubka, jak gdyby z jakiegoś niewidzialnego źródła, znajdującego się w atmosferze pokoju, padły trzy czy cztery wielkie krople przejrzystego, rubinowego płynu. Widziałem to – lecz nie widziała tego Rowena. Bez wahania wypita wino, ja zaś nie uważałem za stosowne opowiadać jej o tym zdarzeniu, które po dokładniejszej rozwadze wydało mi się wytworem niepowściągliwej wyobraźni, rozkołysanej chorobliwie przerażeniem mej żony, nadmiarem opium i spóźnioną porą.

Nie mogę atoli wyzbyć się przeświadczenia, iż po wpuszczeniu rubinowych kropli do kielicha w niedomaganiu mej żony zaszła niezwłocznie nagła zmiana na gorsze. Jakoż trzeciej z kolei nocy ręce służebnic stroiły ją do trumny, czwartej zaś siedziałem samotnie nad jej przyobleczonymi w całuny zwłokami w owej fantastycznej komnacie, do której weszła niegdyś jako moja oblubienica. Potworne, wywołane przez opium wizje gdyby cienie płaśły przede mną. Spoglądałem niespokojnie na stojące w kątach sarkofagi, na zmienne figury opon i na różnobarwne ognie, co wiły się dokoła panwi nad moją głową. Potem przyszły mi na myśl zdarzenia nocy minionych i wzrok mój padł na miejsce, rozwidnione łuną panwi, gdzie dostrzegłem wówczas zwiewne zarysy cienia. Już go tam nie było; oddychając przeto swobodniej, podniosłem oczy na bladą, stężałą postać, spoczywającą na łożu. I zaroiły się me myśli tysiącem wspomnień o Ligei, a o me serce z gromkim rozpędem powracającej fali uderzył powtórnie ów niewysłowiony ból, jakiego doznałem, kiedym ją ujrzał podobnie spowitą w całuny. Noc była późna; z duszą pełną gorzkiej zadumy o niej jedynej i o niej najmilszej nie ruszałem się z miejsca, zapatrzywszy się w zwłoki Roweny.

Około północy, a może nieco wcześniej lub nieco później, gdyż nie uważałem, która była godzina, jakies ściszone, głuche, lecz najzupełniej wyraźne łkanie obudziło mnie nagle z zamyślenia. Czułem, iż pochodziło z hebanowego łoża – z łoża śmierci. Nadśluchiwałem, truchlejąc z przesądnej trwogi – lecz szmer się nie powtórzył. Przyglądałem się bacznie, czy trup się nie rusza, ale nie dostrzegłem najlżejszego drgnienia. Mimo to nie pomyliłem się na pewno. Doleciał mnie szmer, jakkolwiek słaby, i duch mój uzbroił się w czujność. Zawzięcie i wytrwale skupiałem całą uwagę, przykutą do zimnego ciała. Nierychło zaszły objawy, mogące rozwidnić tę tajemnicę. Okazało się mianowicie, iż niezmiernie nikły i zaledwie dostrzegalny nalot rumieńca owiał policzki i wzdłuż drobnych, zakłęsłych żyłek spłynął na powieki. Uczułem, iż za sprawą nieogarnionego przerażenia i grozy, na którą w języku ludzkim nie ma dość silnych wyrazów, serce me

stygnie i członki me tężeją. Wszelako poczucie obowiązku pozwoliło mi w końcu zapanować nad sobą. Nie ulegało wątpliwości, iż przedwczesne były nasze przygotowania – że Rowena jeszcze żyła. Trzeba było pospieszyć niezwłocznie z pomocą; atoli wieża zbyt była oddalona od skrzydła opactwa zamieszkałego przez służbę – dowołać się jej nie było można – i nie było sposobu zawezwania jej nie wychodząc na czas jakiś z komnaty, a na to odważyć się nie mogłem. Sam przeto usiłowałem zapobiec odlotowi kołatającej się jeszcze duszy. Jednakże w chwilę później nabrałem pewności, iż życie doszczętnie wygasło; rumieńce na powiekach i na policzkach zanikły, ustępując miejsca nieledwie marmurowej bieli; w dwójnasób przywiedły wargi i rozchyliły się, przybierając upiorny wygląd śmierci; odrażający chłód i śliskość rozpostarły się szybko na powierzchni ciała, które stężało i zastygło w bezwładzie. Z drzeniem rzuciłem się na wezglowie, z którego niedawno powstałem, i znów pogрузyłem się na jawie w namiętych snach o Ligei.

Minęła w ten sposób godzina, gdy (czyż podobna?) jakiś nieokreślony szmer doleciał mnie powtórnie od strony łoża. Jałem nadśłuchiwać, nie posiadając się z przerażenia. Szmer wionął znowu – było to westchnienie. Podbiegłem do trupa i widziałem – na własne oczy widziałem – jak usta jego drgnęły. W chwilę później obwisły, odsłaniając rząd lśniących jak perły zębów. Oslupienie jęło w mej duszy pasować się z niezgłębioną grozą, co dotychczas władała w niej niepodzielnie. Uczułem, że w oczach mi ciemnieje, a w mózgu się mąci; długo walczyłem ze sobą, zanim powiodło mi się zebrać siły, potrzebne do spełnienia narzucającego się ponownie obowiązku. Bowiem nikła łuna rumieńca pojawiła się znowu na czole, licach i gardzieli; wyczuwałem ciepło, co przeniknęło zwłoki; nawet serce z lekka w nich drgnęło. Lady żyła; ze zdwojoną gorliwością starałem się ją ocucić. Zwilżałem i nacierałem ręce i skronie, nie pominając żadnego zabiegu, znanego mi z doświadczenia i z niemałego odczytania w dziełach lekarskich. Ale nadaremnie. Nagle rumieńce pierzchły, tętno przycichło, wypelzł na usta wyraz śmierci, a w chwilę później (Zwłoki zlodowaciały, pośmiały i zakrzepły, przybierając ohydny wygląd trupa, co od wielu dni przebywał w grobie.

I znowu zaprzepaściłem się w marzeniach o Ligei – i znowu (cóż dziwnego, że z drzeniem kreślę te słowa?), znowu doleciało mnie głuche łkanie od strony hebanowego łoża. Lecz po cóż rozwodzić się szczegółowo nad niewysłowioną grozą tej nocy? Czyż mam opowiadać, jak raz po raz, niemal do samego brzasku, powtarzał się ten potworny dramat odżywiania; jak każdy straszliwy podryw rozpręgał się w tym okropniejszej i pozornie tym niezawodniejszej śmierci; jak każde konanie było niby walką z jakimś niewidzialnym wrogiem; i że każda taka walka kończyła się wprost niepojętą zmianą w wyglądzie trupa? Pragnę co rychlej dobiec do końca.

Minęła znaczniejsza część tej strasznej nocy, gdy zmarła drgnęła ponownie i mocniej niż przedtem, jakkolwiek budziła się z rozkładu nierównie beznadziejniejszego od wszystkich dawniejszych. Już od dawna zaprzestałem wszelkich wysiłków i znieruchomiałem (na otomanie, pograżając się w odmęcie unicestwiających wrażeń, wśród których ostatecznie przerażenie było może najmniej okropne i najmniej dławiące. Trup – powtarzani – drgnął, i to z większą siłą niż poprzednio. Łuna życia z niezwykłą mocą ubarwiła policzki, ustąpiło stężenie członków – i gdyby nie zaciśnięte szczelnie powieki, gdyby nie chusty i czechła pośmiertne, co użyczały jej kształtom wyglądu grobowego, mógłbym być mniemać, iż Rowena wyzwoliła się zupełnie z oków śmierci. Nie dowierzałem na razie temu przypuszczeniu, lecz przestałem wątpić, gdy ujrzałem na własne oczy, jak upowita w całuny postać podniosła się z łoża i niby człowiek, co błąka się we śnie, z zamkniętymi oczyma postąpiła chwiejnym, niepewnym krokiem na środek komnaty.

Nie zadrzałem, nie porwałem się z miejsca, gdyż tłum niewysłowionych przywidzeń, wywołanych ruchami, postawą i zachowaniem się postaci, zakotłował nagle w mym mózgu, obezwładnił mnie i okamienił. Nie drgnąłem, zapatrzony w widziadło. Beładnie, w błędnej rozterce wichrzyły się moje myśli. Czy to możliwe, by żywa Rowena istotnie stała przede mną? Czy to w ogóle mogła być Rowena, jasnowłosa, modrooka Lady Rowena Trevanion z Tremaine? Skąd, dlaczego nasunęły się mi te wątpliwości? Przepaska ciężko przysłaniała usta – wszelako czyż nie były to usta Lady z Tremaine? A lica – różane jak w pełni rozkwitu – to zapewne cudne lica ży-

wej Lady z Tremaine? A broda z dołeczkami jak wówczas, kiedy była zdrowa, to przecież jej broda? Lecz cóż to, czy urosła podczas choroby? Na myśl tę opętało mnie niepojęte szaleństwo. Zerwałem się i przypadłem do jej stóp. Targnęła się, by uniknąć mojego dotknięcia, przy czym obsunęło się upiorne czechło, co osłaniało wolno jej głowę, i skroś rozmigotanego powietrza komnaty wionęła ogromna smuga długich, rozpuszczonych włosów; były one czarniejsze niżli krucze skrzydła północy! I rozwarły się z wolna oczy stojącej przede mną postaci.

– Teraz – zawołałem na cały głos – teraz na pewno już się nie mylę! To wyraziste, czarne, nieodgadnione oczy miłości, co mnie odeszła – to oczy Lady – LADY LIGEI.

Berenice

Dicebant mihi sodales, si sepulchrum amicae visitarem, curas meas aliquantulum fore levatas.⁴⁶

Ebn Zaiat

Nieszczęście ma postać rozmałą. Wielokształna jest marność tej ziemi. Na wzór tęczy, rozpostarta pod rozległym widnokręgiem posiada barwy tak samo różnorodne, tak samo poszczególne odmienne, a przecież tak samo ścisłym spojone węzłem. Rozpostarta nad rozległym widnokręgiem na wzór tęczy! Jakim Sposobem godło piękna mogłem przedzierzgnąć w symbol brzydoty? Ze znamienia zgody i pokoju uczynić Smutkom przenośnię? Lecz jako w świecie etycznym ełe jest wynikiem dobrego, tak samo w świecie rzeczywistym z radości rodzą się bóle. Albo wspomnienie minionego szczęścia rozpaczą napelnia dzień dzisiejszy, albo męka, która się staje, ród swój wywodzi od uniesień, które stać się mogły. Zamierzam opowiedzieć zdarzenie, którego treść jest pełna zgrozy. Przemilczałbym je chętnie, gdyby nie było raczej kroniką wrażeń niż zdarzeń. Na imię mam Egeusz, nazwisko – pomnę milczeniem. Nie ma w kraju pałacu bardziej obciążonego sławą i wiekiem niż moje melancholijne i stare gniazdo rodzinne. Ród nasz od dawna przeżywano rodem wizjonerów, i rzeczywiście, w niektórych zastanawiających szczegółach – w charakterze naszego magnackiego domu – we freskach głównej sali – w obiciach komnat sypialnych, w rytowniczych ozdobach słupów zbrojowni, a przede wszystkim w galerii starych obrazów, w zewnętrznym pozorze biblioteki i wreszcie w zgoła osobliwej zawartości owej biblioteki – tkwi coś, co aż nadto usprawiedliwia owo mniemanie.

Wspomnienia moich lat młodocianych wiążą się ściśle z ową komnatą i z jej foliarami, których treść zgoła przemilczę. Tam właśnie umarła moja matka. Tam właśnie przyszedłem na świat. Wszakże nadaremnie by twierdzono, że nie istniał uprzednio – że duch mój nie posiadał trwania przedstworzonego. Przeczyście temu? Poniechajmy wszelkich pod tym względem sporów. Mam przekonanie osobiste i nie zamierzam przekonywać innych. Istnieje zresztą pewne wspomnienie kształtów bezcielesnych, oczu niewidzialnych a wymownych, dźwięków melodyjnych, a pełnych melancholii – wspomnienie, które się wzbrania wszelkim odłotom, rodzaj pamięci podobnej do mętnego, zmiennego, nieokreślonego cienia, i dopóki mój duch będzie słoneczniał, dopóty nie mogę się zgodzić na rozłąkę z tym cieniem, który jest rzeczywistością.

W tej to właśnie komnacie przyszedłem na świat. Z odmętów długiej nocy, która miała pozór, lecz nie była nicością, wyłoniłem się po to, aby wkroczyć nagle w krainę baśni, w pałacowe przepychy fantazji, w dziwaczne dziedziny myśli i wiedzy klasztornej. Nie dziw tedy, że przerażonym a płomiennym wzrokiem badałem świat dookolny, że dzieciństwo spędziłem wśród ksiąg, a młodość roztrwoiłem na marzeniach; lecz zastanawia ta okoliczność, że gdy lata upływały i południe dojrzalego wieku zastało mnie jeszcze żywcem w gnieździe mych przodków – zastanawia, powtarzam, ta okoliczność, że bijące źródła mojego życia zaprawiły się nagłym zastojem, że w kierunku najwłaściwszego mi myślenia stał się przewrót zupełny. Zjawiska rzeczywistości potraçały o mnie jak sny, tylko jako sny, podczas gdy szaleńcze pomysły krainy snów stały się w zamian nie tylko strawą ego codziennego istnienia, lecz stanowczo jedynym całkowitym istnieniem w samym sobie.

⁴⁶ Umart syn Boży – jest to prawdopodobne dlatego właśnie, że niedopuszczalne; I pogrzebiony zmartwych” wstata – jest to pewne dlatego właśnie, że niemożliwe.

Z Berenice łączyły mnie węzły pokrewieństwa wzrastaliśmy razem w gnieździe ojczystym. Lecz wzrastaliśmy odmiennie, ja – chorowity i spowinięty r melancholię, ona zwinna, urocza i obdarzona nadniarem sił żywotnych; jej działem była włóczęga po wzgórzach, moim – samotnicze zgłębianie ksiąg; jam ył sam w sobie, ciałem i duchem oddany najusilniejszym i najmozolniejszym rozmyślaniom – ona bez roski szła przez życie, nie myśląc o cieniach tkwiących na drodze i o niemym odlocie kruczo oskrzydłonych godzin.

Berenice! Wymawiam jej imię – Berenice! – i ze pnurszałych ruin mej pamięci na skiniecie tego Dźwięku wynika tysiąc burzliwych wspomnień!

Ach, postać jej żywcem stoi mi w oczach, jak v pierwszych dniach naszych uniesień i naszego wesela! O, wspaniałe, a jednak fantastyczne piękno, o, sylfida z gajów Arnheimskich! O, najada wpośród kaskad! A potem – a potem wszystko staje się tajemnicą i zgrozą, powieścią, która się nie chce wypowiedzieć. Choroba, choroba złowieszczą dopadła jej eiała jak samum i nawet wówczas, gdy ją oglądałem, uch przemian snuł się po niej i opanowywał ją, przenikając na wskroś jej duszę, jej nawyki, jej charakter i zakłócając w sposób najniepochwytniejszy i nastraszliwszy nawet tożsamość jej istoty! Niestety, oprawca przyszedł i odszedł, lecz ofiara, lecz istotna Berenice – kędyż się podziała? Tej, która trwała, nie Bałem, a w każdym razie nie poznawałem już w niej perenice.

Nieodparta i zasadnicza niemoc, która tak straszliwym przewrotem dotknęła jej ciała i ducha, przyprawiła ją jednocześnie o liczny szereg chorób. Wśród nich muszę wymieniç; jako najsmutniejszy i najuporczywszy objaw, rodzaj epilepsji, która często kończyła się katalepsją – katalepsją mającą całkowity pozór śmierci, a z której Berenice ocykała się niekiedy gwałtownym i nagłym ocknieniem. W tym samym czasie moja choroba – gdyż zdaniem ogólnym nie mogłem innym nazwać jej imieniem – moja choroba wzrastała szybko i, wskutek pogorszenia objawów pod wpływem nadużycia opium, nabrała ostatecznie cech nowej i niezwyklej monomanii, z godziny na godzinę, z minuty na minutę szerzyła się z większą mocą i wreszcie pozyskała nade mną zbyt osobiwą i niepojętą władzę. Monomania owa, jeśli koniecznie mam używać tej nazwy, polegała na chorobliwej podnieśliwości władz umysłowych, które język filozoficzny określa słowem: uwaga. Jest to bardziej, niż prawdopodobne, że nie jestem zrozumiąły, lecz obawiam się doprawdy, że zgoła nie potrafię udzielić przeciętnemu czytelnikowi dokładnego pojęcia o tym nerwowym natężeniu bacności, dzięki której zdolności myślenia – że uniknę tutaj fachowej terminologii – skupiały się i zaprzepaszczwały w oglądaniu najcodzienniejszych przedmiotów.

Niestrudzone i wielogodzinne rozmyślania z uwagą, przykutą do byle jakiego błahego przypisu na marginesie lub w tekście książki, skupione tkwienie duchem przez większą część dnia letniego w dziwacznym cieniu, który ukosem wydłużał się na ścianach lub na podłodze, zapamiętałe przez noc całą wpatrywanie się w sztywny płomień lampy lub w żużle kominka, całodzienna zaduma o woni jakiegoś kwiatu, jednostajne powtarzanie jakiegokolwiek potocznego słowa aż do chwili, gdy jego dźwięk pod przymocą powtarzań przestawał udzielać myślom jakiegokolwiek treści, ztracanie wszelkiego poczucia ruchu lub istnienia fizycznego za pomocą bezwzględnych i uporczywie przedłużanych znieruchomień – oto niektóre z najogólniejszych i najmniej groźnych zbroczeń mego umysłu, zbroczeń, które z pewnością nie były całkiem pozbawione uzasadnień, lecz bezwarunkowo urągały wszelkim tłumaczeniom i wszelkiej analizie.

Jeszcze jeden szczegół – chcę bowiem, aby mnie dobrze zrozumiano. Nienormalna, natężona i chorobliwa uwaga, budzona błahymi skądinąd przedmiotami, posiada tego rodzaju pozory, iż nie należy jej mieszać z właściwą każdemu człowiekowi skłonnością do marzeń, którym przede wszystkim hołdują osoby obdarzone płomienną wyobraźnią. Nie tylko nie jest ona, jak to można na pierwszy rzut oka przypuścić, najwyższym stopniem i wyolbrzymieniem owej skłonności, lecz przeciwnie, posiada źródłowe i rdzenne różnice. W pierwszym wypadku marzyciel, posiadacz wyobraźni, pociągnięty przedmiotem zazwyczaj niebłahym, z wolna traci z oczu ów przedmiot pod nawalą wysnutych zeń wniosków i napomknień tak, że przy końcu swych marzeń, częstokroć pełniących się rozkoszą, całkowicie ztraca i zapomina pobudkę, czyli pierwoprzyczynę zadumy.

W moim zaś wypadku punkt wyjścia bywa stale błahy, chociaż w środowisku chorobliwych przywidzeń nabiera urojonej i widmowej doniosłości. Wniosków wyprowadzam mało, jeśli je w ogóle wyprowadzam, i w danym razie zdążają one powrotnie do głównego przedmiotu jak do ogniska. Zaduma nigdy nie dostarcza rozkoszy i przy końcu marzeń pierwsza pobudka, daleka od zniknięcia mi z oczu, dosięga tej nadprzyrodzonej wyolbrzymiałej baczności, która stanowi główną cechę mej choroby. Słowem, władza umysłowa, która we mnie szczególniejszej podlega podnieceniu, jest zdolnością uwagi, podczas gdy u zwykłego marzyciela jest ona zadumą.

Książki, które w tym okresie czasu czytałem, jeśli nie syciły bezpośrednio mej choroby swą treścią, w każdym razie, jak to łatwo zgadnąć, swym kierunkiem marzeniowym i bezrozumnym zadość przytakiwały głównym cechom samej choroby. Przypominam sobie bardzo dokładnie między innymi traktat dostojnego Włocha Coeliusa Secundusa Curiona *De Amplitudine Beati Regni Dei* – wielkie dzieło świętego Augustyna pt. *Gród Boży* oraz *De Carne Christi* Tertuliana, którego niepojęte zdanie: *Mortuus est Dei Filius, Ctedibile est quia ineptum est; et sepultus resurrexit, certum est quia impossibile est*⁴⁷ – pochłonęło wyłącznie całą moją usilność w ciągu kilku tygodni pilnych i bezpłodnych badań.

Ci i owi bez wątpienia pomyślą, że mój rozum, tracący równowagę pod wpływem błahostek, był poniekąd pokrewny owej skale morskiej, o której Ptolemeusz Hefestion opowiada, że opierała się niewzruszenie wszelkim napaściom ludzkim i straszliwszym jeszcze wściekłościom wałów wodnych i wichrów, a drżała jedynie pod dotykiem kwiecica zwanego asfodelą. Umysł mało spostrzegawczy uważałby za rzecz zgoła prostą i niewątpliwą, że straszliwa zmiana, która pod wpływem nieszczęsnej choroby zaszła w stanie duchowym Berenice, winna była dostarczyć mi niejednej pobudki do owych natężonych i nienormalnych rozmyślań, których istotę z pewnym trudem odsłoniłem. Otóż nic podobnego nie miało wcale miejsca. W przestankach mej choroby jej klęska sprawiała mi wprawdzie ból, często i z goryczą rozmyślałem o tajemniczych i dziwnych drogach, na których mógł się odbyć tak cudaczny i nagły przewrót. Lecz rozmyślania owe nie miały nic wspólnego z idiosynkrazją mej choroby; były tego rodzaju, że mogłyby w podobnych okolicznościach nawiedzić pierwszego lepszego śmiertelnika. Co się tyczy choroby, wiernej swym własnym zamysłem, znalazła ona strawę w zmianach mniej ważnych, lecz bardziej uderzających, które się zaznaczały w istocie fizycznej Berenice, w szczególnym a straszliwym rozprzeżeniu jej tożsamości osobistej. W najsłodszych dniach rozkwitu jej nieporównanego piękna nie kochałem jej nigdy, jestem tego aż nadto pewien. W moim dziwnie zбочonym życiu nie doznawałem nigdy uczuć z serca pochodzących i namiętności moje zawsze wylegały się w mrokach rozumu. Poprzez biel zmierzchową – w południe, wpośród zwiłanych cieniów leśnych, i noca w ciszy mej biblioteki – jawiła się mym oczom i oglądałem ją – nie jako Berenice żywą i dyszącą, lecz jako Berenice w snach przywidzianą, nie jako istotę ziemską, istotę cielesną, lecz jako widmo owej istoty – nie jako zdobycz ukochań, lecz jako powód do rozmyślań tyleż zawiłych, ile błędnych. A obecnie – obecnie drżałem na jej widok, bladłem, gdy się zbliżała. Wszakże, gorzkim lamentem oplakując w duchu jej zgubę, pomny byłem na to, że kochała mnie długo, i w złej chwili napomknąłem jej o ślubie. Zbliżał się wreszcie dzień naszego ślubu, gdy w zimowe popołudnie, podczas jednego z tych samozwańczo ciepłych, cichych i omglonych dni, które nianczą piękną Halcyonę – siedziałem, sądząc się samotnym, w gabinecie bibliotecznym. Lecz, uniósłszy wzwyż oczu, postrzegłem Berenice, która stała przede mną.

Byłże to skutek zbyt rozżarzonej wyobraźni, czy też wpływ mgieł dookolnych, czy raczej działanie mętnych zmierzchów komnaty – lub może oblekająca jej ciało mglista szata udzieliła drżenia i nieokreśloności zarysom jej postaci? Nie umiem na to odpowiedzieć. Być może urosła od czasu swej choroby. Nie rzekła ani słowa, ja zaś za nic w świecie nie chciałem uronić jednej zgłoski. Zimny dreszcz przeniknął moje ciało, przytłoczyło mnie uczucie trwogi nie do zniesienia. Pochłonna ciekawość ogarnęła mą duszę i na opak odwróciwszy się w fotelu, trwałem czas pewien bez tchu i bez ruchu, ze wzrokiem przykutym do tej osoby. Niestety, zmarniała doszczętnie i

⁴⁷ Przekład Antoniego Langeego.

ani jeden pozór jej dawnego kształtu nie przetrwał i nie przechował się ani w jednym zarysie postaci. Wreszcie wzrok mój żarliwie zdążył do jej twarzy. Czoło wysokie i bardzo blade jaśniało niezwykłym spokojem, a włosy niegdyś czarne jak węgiel przesłaniały je częściowo i ł ociemniały zapadłe skronie bezlikiem kędziorów, obecnie znojnje złocistych, których powab fantastyczny wyprzysięgał się uparcie panującej na obliczu melancholii. Oczy były bez życia i bez blasku, jak gdyby pozbawione źrenic, tak że mimo woli odwróciłem się od ich szklistych zniechęcomieli, aby przenieść wzrok na zwężone i pokurczone wargi. Te rozwarły się i w dziwnie porozumiewawczym uśmiechu odsłoniły z wolna mym oczom zęby tej nowo powstałej Berenice. O, gdybyż Bóg zwolił, abym ich nigdy nie widział lub, raz ujrzawszy, skonał!

Zaniepokoił mnie skrzyp drzwi zamykanych i, podnosząc oczy, stwierdziłem, że moja krewna opuściła alkowę. Lecz białe i straszliwe widmo jej zębów nie opuściło i nie chciało opuścić obłąkanej alkowy mego mózgu. Nie było ani jednego szczerbu na ich powierzchni, ani jednej skazy na ich emalii, ani jednej cętki na ich krawędzi, której by ów uśmiech przelotny nie zdążył zakarbować w mej pamięci!

Teraz właśnie widziałem je daleko wyraźniej niż i przed chwilą. – Zęby! – Zęby! – Były tu, były tam – były wszędzie – widzialne, namacalne, tuż przede mną. Długie, wąskie i niezwykle białe z pokurczonymi wokół bladymi wargami, które rozwarły się straszliwie, jak to czyniły uprzednio. Wówczas szał mej monomanii objawił się w pełni i nadaremnie borykałem się z jej niepokonanym i cudacznym wpływem. Wśród niezliczonych przedmiotów świata zewnętrznego nie znalazłem dla swej myśli innej ostoi prócz owych zębów. Pałałem ku nim żądzą rozszalałą. Wszelkie przedmioty, wszelką ku różnym rzeczom ciekawość pochłonał ten jedyny sen o zębach. One i tylko one stały przed oczami mego ducha i ich wyłączna odrębność przedzierzgnęła się w treść mego życia duchowego. Po całych dniach miałem je w oku. Oglądałem je na wszelkie sposoby. Badałem ich swoistość. Wypatrywałem ich szczególne oznaki. Rozmyślałem o ich kształcie. Zastanawiałem się nad zmiennością ich natury. Drżałem w chwili, gdy w wyobraźni przypisywałem im wrażliwość i uczuciowość, a nawet zdolność odzwierciedlania stanów ducha bez pomocy ust. Bardzo trafnie powiedział ktoś o pannie Salle, że każdy jej krok był wzruszeniem, w stosunku zaś do Berenice byłem głębiej jeszcze przeświadczony, że każdy jej ząb był zagadką. Zagadką! – Oto myśl niedorzeczna, która mnie zgubiła! Zagadką! – Oto więc przyczyna, dla której tak obłądnie pożądałem tych zębów! Czułem, że jedynie posiadanie ich może mi przywrócić spokój i rozum.

I tak zadumanego dosięgną! mnie wieczór – i cienie przyszły, utrwaliły się i odeszły, nastął dzień nowy; i mgły następnej nocy spiętrzyły się wokół mnie – a ja wciąż trwałem nieruchomy w tej komnacie samotnej, wciąż w postawie siedzącej, wciąż pogrążony w zadumie – i wciąż widmo zębów dzierżyło swą władzę straszliwą z najżywszą i najpotworniejszą wyrazistością, majacząc tam i sam wskroś zmienne światła i cienie komnaty. I wreszcie wśród ostępów mych marzeń rozległ się wielki krzyk zgrozy i przerażenia, i po krótkiej chwili nastąpił po nim zgiełk głosów złamanych, przerywanych głuchymi jękami bólu czy też żałoby. Wstałem, i otworzywszy drzwi biblioteki, znalazłem w sieni sługę całą we łzach, która mi oświadczyła, że Berenice już nie żyje! Epilepsja zaskoczyła ją nad ranem i teraz z nadejściem nocy mogiła wyczekiwała swej przyszłej mieszkanki, i wszystkie przedwstępne do pogrzebu czynności były już dopełnione

Z sercem pełnym trwogi i obarczony obawami, z odrazą podążyłem do sypialni zmarłej. Pokój był obszerny i bardzo ciemny i na każdym kroku potykałem się o sprzęty pogrzebowe. Kotarami łóżka, jak mi rzekł służący, osłonięte trumnę i w tej trumnie, jak dorzucił głosem cichym, tkwiło to wszystko, co zostało z Berenice. Któż to był, co się mnie spytał, czyli chcę widzieć zwłoki? Nie postrzegłem, aby się poruszyły czyjekolwiek wargi. A jednak pytanie zadane było wyraźnie i echo ostatnich zgłosek trwało jeszcze w komnacie. Nie mogłem dać odpowiedzi odmownej i z uczuciem zgębienia przywlekłem się do krawędzi łoża. Uchyliłem z lekka posepnych fałd zasłony, lecz, umknąwszy mym dłoniom, spadły mi na plecy i, dzieląc mnie od świata żyjących, zespoliły mnie najściślejszym węzłem komunii ze zmarłą.

Całe wnętrze komnaty tchnęło śmiercią, lecz osobliwy zaduch trumny przyprowadził mnie o zawrót głowy i zdawało mi się, że śmiertelne wyziewy dobywają się już z trupa. Oddałbym świat cały za możliwość ucieczki, za możliwość pozbycia się jadowitych wpływów śmierci, za jeden choćby łyk świeżego powietrza, zaczerpniętego z wiecznotrwałych niebiosów. Lecz nie miałem już sił poruszyć się z miejsca, kolana uginały się pode mną i wrosłem, zda się, w ziemię, nieruchomo wpatrując się w sztywnego trupa, poległego wzdłuż na dnie rozwartej trumny.

Boże w niebiosach! Czyliż to możliwe? Czy rozum mi się obłąkał, czy też palec zmarłej zakrzętała się w białym płótnie, które ją oblekało? Zdjęty dreszczem niewypowiedzianego strachu, uniosłem z wolna oczu, aby się w twarzy trupa rozejrzeć. Opaską przewiązano mu szczęki, lecz nie wiem, jakim sposobem opaska zdołała się rozwiązać! Zsiniałe wargi kurczyły się w rodzaj uśmiechu i spoza ich posępnej ramy białe, połyskliwe, straszne zęby Berenice wpatrywały się we mnie, aż nadto jeszcze żywe w swej nieodpartej jawie. Konwulsyjnie odrzuciłem się od łoża i, nie mówiąc ani słowa, uciekłem jak szalony z tego przybytku tajemnicy, zgrozy i śmierci.

Ujrzałem się znów w bibliotece. Trwałem siedząc – byłem sam. Zdawało mi się, że ocknąłem się z mętnych i niespokojnych snów. Postrzegłem, że była północ, a przyłożyłem wszelkich zabiegów, aby Berenice pochowano po zachodzie słońca. Lecz nie zachowałem dość trwałego i dość określonego wspomnienia tych zdarzeń, które zaszły w tej posępnej przerwie. A mimo to wspomnienia owe pełne były zgrozy, zgrozy tym straszliwszej, że nieokreślonej, przerażeń tym straszliwszych, że mglistych. Była to jakby krwawa karta w kronice mego istnienia, zapisana od końca do końca wspomnieniami ciemnymi, potwornymi i niepojętymi. Starłem się ją odcyfrować, lecz na próżno. Wszakże od czasu do czasu, na kształt duszy przebrzmiałego dźwięku, zdawał się dzwonić w mych uszach krzyk słaby i przenikliwy – krzyk kobiecy. Popełniłem coś, co się już nie odstanie – lecz cóż by to było? Głośno zadawałem sam sobie owo pytanie i echo komnaty szeptało w odpowiedzi: cóż by to było?

Na stole przede mną płonęła lampa i w jej pobliżu stała mała szkatułka hebanowa. Styl tej szkatułki nie był godzien uwagi i już ją częstokroć widywałem, ponieważ była własnością lekarza domowego. Lecz jakim trafem zjawiała się tu, na moim stole, i czemu drżałem na jej widok. Były to błahostki, na które nie warto zwracać uwagi, lecz wzrok mój upadł wreszcie na kartę jednej książki otwartej i na zdanie podkreślone. Były to osobliwe, lecz proste słowa poety Ebna Zaiata:

Dicebant mihi sodales, si sepulchrum amicae visitarem, curas meas aliquid fore leyatas. Czemuż, gdym słowa te czytał, włosy zjeżyły mi się na głowie i krew zastygła w mych żyłach?

Zapukano z lekka do drzwi biblioteki i, bładny jak przybysz z tamtego świata, wszedł na palcach służący.

Oczy miał obłąkane przerażeniem i rzekł mi coś głosem bardzo cichym, drżącym i zdławionym. Co mi powiedział? Posłyszałem kilka zdań na chybił trafił wyrwanych. Powiedział, jak mi się zdaje, że straszliwy krzyk zakłócił ciszę nocną – że zbiegła się cała służba, że podążono w ślad za owym dźwiękiem – i w końcu głos jego stał się wyraźny aż do stopnia zgrozy, gdy mówił mi o pogwałceniu grobu, o zwłokach zeszepeconych, odartych z całunu, lecz jeszcze dyszących – jeszcze drgających, żywych jeszcze!

Spojrzał na moje szaty – były zbryzgane błotem i krwią. Nie mówiąc ani słowa ujął mnie za rękę – zdradzała ślady paznokci ludzkich. Skierował moją uwagę na pewien przedmiot tkwiący u ściany. Przyglądałem mu się przez minut kilka: był to rydel. Z krzykiem dopadłem do stołu i pochwyliłem szkatułkę hebanową, lecz zbrakło mi siły, aby ją otworzyć. Wymknęła mi się z drżących rąk, upadła ciężko i stłukła się na kawałki – i wypadło z niej, tocząc się z wrzaskliwym szczękiem żelastwa, kilka narzędzi dentystrycznych, a wraz z nimi trzydzieści dwa drobne białe, barwy kości słoniowej przedmioty, które rozsypały się po podłodze.

Zagłada Domu Usherów

Przez cały dzień pewnej jesieni – dzień zadymką omglony, posepny i oniemiały, gdy chmury ciężko i nisko zwisyły na niebie, przebywałem samopas i konno obszary niezwykle ponurej krainy i wreszcie, w chwili przyływu zmierzchów wieczornych, stanąłem przed melancholijnym Domem Usherów. Nie wiem, jak się to stało, ale od pierwszego wejrzenia, które rzuciłem na ową budowlę, uczucie smutku ponad siły przeniknęło mą duszę. Mówię: ponad siły, ponieważ tego smutku nie koło zgoła najmniejsze źdźbło owego nastroju, któremu istota poezji nadaje niemal barwy rozkoszy, a który zazwyczaj ogarnia duszę wobec najposepniejszych widoków natury, pełnych spustoszenia i zgrozy.

Oglądałem przeciwległy mi krajobraz i nic, jeno dom i charakterystyczna perspektywa tej miejscowości, mury chłodem przesycone, okna, podobne do oczu, które patrząc nie widzą – kilka kęp jędrnego sitowia oraz kilka pni zbielałych i spróchniałych drzew – samym swym widokiem zdziałały, że doznałem owego całkowitego pognębienia ducha, które wśród uczuć ziemskich najtrafniej można przyrównać tylko przedocknieniowym majaczeniom palacza Opium – jego bolesnym do codzienności powrotom – straszliwemu a niechętnemu pierzchaniu z jego oczu zasłony. Była w tym – drętwota serca, znękanie, niemoc – niepokonany smutek zadumy, której żaden bodziec wyobraźni nie mógł ożywić ani spotężnić.

Cóż to za przyczyna – myślałem w duchu – cóż to za przyczyna tkwi w moim wzruszeniu na widok Domu Usherów? Była to tajemnica zgoła nieodgadniona i nie mogłem oprzeć się pochmurnym przecuciom, które gromadziły się we mnie podczas rozmyślań. Byłem zmuszony uciec się do tego niezbyt wystarczającego wniosku, że istnieją bardzo proste zestawienia szczegółów natury, posiadające władzę wzruszenia nas w ten sposób, i że analiza tej władzy leży w tej dziedzinie rozważań, gdzie myśl nasza zgubiłaby wszelki wątek. Być może – myślałem – że prosta odmiana w układzie przedmiotów krajobrazu, w poszczególnych częściach całości zdołałaby złagodzić, a nawet zniścić ową władzę narzucania uczuć bolesnych – i, stosując się do tej myśli, skierowałem konia ku urwistemu brzegowi czarnego i żałobnego stawu, który na kształt nieruchomego zwierciadła tkwił przed budynkiem. Atoli z przenikliwszym jeszcze, niż poprzednio, dreszczem strachu oglądałem odbite i odwrócone widma szarawego sitowia, złowieszczych pni drzewnych i okien podobnych do oczu, które patrzą, aby nie myśleć.

A wszakże w tym właśnie przybytku melancholii zamierzałem spędzić kilka tygodni. Właściciel jego – Roderick Usher – był jednym z bliskich mi przyjaciół dzieciństwa, lecz lat kilka upłynęło od czasu naszego ostatniego spotkania.

Wszakże niedawno w dalekim zakątku kraju zaskoczył mię list jego – list, którego obłądnie naglące słowa nie dopuszczały innej odpowiedzi, jak osobiste moje przybycie. Pismo nosiło ślady nerwowego niepokoju. Autor listu mówił o ostrej niemocy fizycznej – o gnębiącym go rozstroju umysłowym i o żarliwej chęci widzenia się ze mną, jako najlepszym i naprawdę jedynym przyjacielem, w tej nadziei, iż radość obcowania z moją osobą sprawi poniekąd ulgę jego cierpieniom. I właśnie ton, nadany tym wszystkim i wielu jeszcze innym zdaniom, oraz błagalna szczerłość serca wzbronily mi wszelkich namysłów. Skutek był taki, że niezwłocznie uległem tym nawoływaniom, które wszakże uważałem za bardzo osobliwe.

Chociaż w dzieciństwie żyliśmy w ścisłej przyjaźni, znałem mimo to mego druha jeno bardzo pobieżnie. Odznaczał się zawsze wyjątkową niechęcią do wynurzeń. Wiedziałem jednak, że jest potomkiem bardzo starego rodu, który od czasów niepamiętnych wyróżniał się niezwykle tkliwością serca.

Tkliwość owa poprzez wieki skierowała się w swym rozwoju ku licznym dziełom najczystszej sztuki i przejawiała się od dawien dawna w częstych uczynkach miłosierdzia tyleż szczodrego, ile bezimiennego oraz w żarliwym ukochaniu raczej trudności, niż tak łatwo zawsze dostępnych zrozumieniu klasycznych powabów sztuki muzycznej. Dowiedziałem się też o tej wielce znamiennej okoliczności, że genealogiczne drzewo rodziny Usherów, aczkolwiek tak chwalebnie starożytnej, nigdy, w żadnym okresie czasu nie wydało gałęzi rozłożystych, czyli innymi słowy cały ród utrzymywał się jeno w linii prostej, pomijając kilka bardzo nieznacznych i bardzo przelotnych wyjątków.

Ten to właśnie brak, myślałem, oddany całkowicie zadumie o doskonałej zgodzie charakteru miejscowości z przysłowiowym charakterem rodu i rozważaniom wpływu, który w długim następstwie wieków ród i miejscowość wzajem na siebie wyrzeć mogły – ten to zapewne brak gałęzi bocznych oraz nieustanny przekaz z ojca na syna ojcowizny i nazwiska przyczynił się z biegiem czasu do tak spójnego utożsamienia obojga, że pierwotne miano dóbr zapodziało się w dziwnej i dwuznacznej nazwie Domu Usherów, nazwie rozpowszechnionej wśród ludu, a która w jego pojęciu zdawała się zawierać zarówno ród, jak i siedzibę rodu.

Nadmieniłem, że jedynym skutkiem mej nieco dziecinnej próby – mianowicie zajrzenia do jeziora – było pogłębienie pierwszych, a tak osobliwych wrażeń. Nie wątpię, że świadomość wzrastającego we mnie zabobonnego strachu – czemuż go nie mam nazwać po imieniu – głównie przyczyniła się do przyspieszenia jego wzrostu. Wiedziałem od dawna, że jest to paradoksalne prawo wszystkich uczuć osnutych na strachu. I był to zapewne jedyny powód, który zdziałał, że gdy me oczy odwrócone od widm stawu wzniosły się ku samemu domowi, dziwna myśl powstała mi w głowie – myśl, doprawdy, tak pocieszna, że wspominam o niej tylko dla wykazania żywotnej siły tłoczących mnie wrażeń. Wyobraźnia moja działała taj? mocno, że wierzyłem naprawdę w to, iż wokół domostwa i całej miejscowości szerzy się atmosfera wyłącznie im i najbliższym okolicom przyrodzona – atmosfera nie spokrewniona z przestworem niebiosów, lecz wyziona przez spróchniałe drzewa, siwy mur i niemy staw – opar tajemniczy i dżumny, zaledwo widzialny, ciężki, nieruchomy i ołowianego zabarwienia.

Stroniłem duchem od tego, co mogło być jeno majakiem, i uważniej jałem badać rzeczywistą postać budynku. Główną jego cechą była, zda się, wyjątkowa zamierzchłość. Czas aż nadto go odbarwił. Drobne lizaje przesłoniły całą ścianę zewnętrzną i, poczynając od dachu, powlekły ją jakby zwiewną, wyszukanie haftowaną tkaniną. Ale to wszystko wcale nie było wynikiem szczególnego zniszczenia. Żadna część muru nie runęła i zdawała się istnieć dziwna sprzeczność pomiędzy ogólną, nienaruszoną tężyzną wszystkich jego części a poszczególnym stanem spróchniałych kamieni, które mi przypomniały najzupełniej pozorną całkowitość starych boazerii, przez czas długi próchniejących w jakiejś zapomnianej piwnicy, z dala od podmuchu świeżego powietrza. Prócz tej oznaki dozczętnego zniszczenia budowla nie zdradzała żadnych znamion kruchości. Być może, iż oko drobiazgowego badacza wykryłoby zaledwo pochwytną szczelinę, która, poczynając od dachu fasady, kreśliła wzdłuż muru znak zygzakowaty i zanikała w posępnych wodach stawu. Zauważywszy te szczegóły, przebyłem konno krótki

gościńiec, który mnie przywiódł do domu. Lokaj ujął mego konia i wstąpiłem pod gotyckie sklepienie przedsiönka. Służący chyłkiem i w milczeniu zaprowadził mnie poprzez mnóstwo ciemnych i zawitych korytarzy do pokoju swego pana. Sporo przedmiotów, napotkanych po drodze, przyczyniło się, nie wiem czemu, do wzmożenia chwiejnych uczuć, o których już mówiłem.

Przedmioty dookolne – jak rzeźby sklepień, ciemne obicia ścian, czarne hebany posadzki i fantastyczne sztandary herbowe, które szumiały za każdym moim stąpieniem – wszystko to były dobrze mi znane rzeczy. Za czasów dzieciństwa przyzwyczyłem się do widoków podobnych i

choć bez wahania stwierdziłem w nich przedmioty znajome, podziwiałem jednocześnie, jak niezwykle zadumę budziły we mnie te zwykłe obrazy.

U jednych wschodów spotkałem domowego doktora. Twarz jego, jak mi się wydało, miała wyraz nikczemnej drwiny z domieszką zakłopotania. Szybko ominął mnie i przeszedł. Służący otworzył właśnie drzwi i wprowadził mnie do pokoju swego pana.

Pokój, w którym się znalazłem, był bardzo obszerny i bardzo wysoki. Długie, wąskie okna tkwiły na takiej odległości od czarnej dębowej podłogi, że zgoła były niedostępne oku. Słabe promienie karmazynowego brzasku torowały sobie ujście poprzez zakratowane szyby i dość rozwidniały główne przedmioty otoczenia, pomimo to oko nadaremnie usiłowało dojrzeć dalekie zakątki pokoju lub zagłębienia okrągło sklepionego i rzeźbionego sufitu. Pospępne draperie oblekały ściany. Sprzęty przeważnie były dziwaczne, niewygodne, starożytne i zniszczone. Stosy ksiąg i narzędzi muzycznych leżały w bezładnym rozproszeniu, lecz obecność ich nie mogła ożywić ogólnego tła. Czuję, że oddycham atmosferą smutku. Fale uciążliwej, głębokiej, nieuleczalnej melancholii szerzyły się wszędy i przenikały wszystko. Na mój widok Usher podniósł się z kanapy, na której leżał wzdłuż wyciągnięty, i powitał mnie z zapalem, mającym – takie przynajmniej było pierwsze wrażenie – nieodparte pozory przesadnej serdeczności – pozory wysiłku człowieka znudzonego, a czyniącego zadość okolicznościom. Atoli rzut oka na jego twarz przekonał mnie o bezwzględnej szczerości. Usiedliśmy i przez chwil kilka, gdy trwał w milczeniu, przyglądałem mu się na wpół z litością, a na wpół z przerażeniem. Doprawdy, nikt nigdy nie uległ zmianie tak straszliwej i w tak krótkim czasie, jak Roderick Usher! Z wielkim jeno trudem mogłem wyczuć tożsamość człowieka, którego miałem przed oczami, z towarzyszem mego dzieciństwa. Charakter jego twarzy był zawsze wybitny. Cera trupia, wysoko rozwarte, omglone i nieporównanie połyskliwe oczy – wargi nieco wąskie i bardzo blade, lecz przedziwnie pięknej fali – nos hebrajskiego kształtu, bardzo wytworny, lecz z szerokimi nozdrzami, które rzadko towarzyszą tego rodzaju kształtom – podbródek czarownie zarysowany, lecz brakiem wydatności zdradzający brak woli – włosy miększe i zwieńczone, niż tkanina Arachny – wszystkie te cechy z dodatkiem nadmiernej wybujałości czoła składały się na całość, którą niełatwo było zapamiętać. Lecz obecnie w jednolitym spotęgowaniu charakteru tej twarzy i w jej zwykłym wyrazie zaszła taka zmiana, że nie poznawałem człowieka, z którym mówię. Przede wszystkim uderzyła mnie, a nawet przeraziła błądność twarzy, która już stała się błądnością widmową, i połysk oczu, który już stał się połyskiem nierzeczywistym. Ponadto bezwiednie pozwolił swym włosom na rozrost nieograniczony i ponieważ ta cudaczna zamieć pajęczynowych włókien raczej powiewała, aniżeli spadała wokół twarzy, nie mogłem nawet przy najlepszych chęciach znaleźć w tej dziwnej gmatwaninie arabeskowej nic pokrewnego zwykłej istocie ludzkiej.

Uderzył mnie na początku pewien bezład, pewna niezgoda ruchów mego przyjaciela, i wkrótce wykryłem, że przyczyną tego jest nieustanny zarówno słaby, jak dziecinny wysiłek stłumienia nałogowej drgawki – nadmiernej ruchliwości nerwowej. Spodziewałem się zresztą czegoś w tym rodzaju i dał mi przedsmak w tym kierunku nie tylko jego list, lecz i wspomnienie niektórych cech z lat dziecinnych oraz wnioski, wysnute na mocy osobliwej jego budowy fizycznej tudzież usposobienia. Jego ruchy były na przemian bystre i powolne. Głos błyskawicznie przerzucał się od chwiejnej niepewności, gdy władze życiowe zdają się zgoła nieobecne – do tego rodzaju energicznych skrótów, do tych nagłych, krzepkich, przerywanych i z głębi dobytých dźwięków, do tych gardłowych i szorstkich a doskonale równoważonych i cieniowanych tonów, które się zdarzają u zawodowych opojów lub niepoprawnych palaczy opium w okresach najwyższego podniecenia.

Tym, właśnie tonem mówił o moich odwiedzinach, o płomiennej żądzy widzenia się ze mną i o pocieszę, której się spodziewał ode mnie. Rozwodził się nad tym dość obszernie i tłumaczył po swojemu treść swej choroby. – Jest to, mówił, choroba dziedziczna, choroba organiczna, choroba, dla której nie mam nadziei znalezienia lekarstwa, zwykły rozstrój nerwowy – dorzucił niezwłocznie – którego bez wątpienia wkrótce się pozbędę. Rozstrój ów przejawia się całą ciżbą nadzmys-

łowych wrażeń. Niektóre z nich podczas jego opisu zaciekały mnie i stropiły. Wszakże bardzo być może, iż zawdzięczałem to przeważnie rodzajowi wysłowień oraz tonowi jego opowiadania. Cierpiał dotkliwie na chorobliwe zaostrenie zmysłów. Znosił jedynie najprostsze potrawy. W zakresie ubrania mógł używać niektórych tylko tkanin. Dusił go wszelkie wonie kwiatów. Nawet najśłabsze światło sprawiało męki jego oczom. I jeno kilka wyłącznych dźwięków, a mianowicie strunowych, nie przejmowało go przerażeniem. Postrzegłem, że był ślepy m niewolnikiem pewnego rodzaju nadprzyrodzonych sił strachu.

– Umrę – rzekł – umrzeć muszę pod wpływem tego oplakanego szaleństwa. Zginę tak właśnie, a nie inaczej. Przeraża mnie przyszłość nie sama przez się, lecz w swych skutkach. Drzę na myśl o jakimkolwiek trafie, który może przyprawić mego ducha o to niezdane wzruszenie. Nie boję się właściwie niebezpieczeństwa, boję się wyłącznie jego bezpośredniego tworu – strachu. W tym stanie rozdrażnienia, w stanie godnym politowania, czuję, że prędzej czy później nastąpi chwila, gdy życie i rozum opuszczą mnie jednocześnie w jakiejś nierównej walce ze złowieszczym widmem – Strachu!”

Dorywczo, dzięki bezładnym zwierzeniom, półsłówkom i napomknieniom dowiedziałem się o innym szczególnie jego stanu duchowego. Opętały go pewne wycucia zabobonne, związane z gmachem, w którym mieszkał, a z którego od kilku lat nie śmiał wychodzić, związane z wpływem, którego domniemane źródło tłumaczył mi w słowach zbyt ciemnych, abym je tutaj przytaczał – z wpływem, który na umyśle jego, dzięki chorobie, wywierały pewne szczegóły w samym kształcie i w budulcu dziedzicznego pałacu – słowem, treść fizyczna szarych murów, baszt i czerniawego stawu, gdzie się cały gmach zwierciedlił – wycisnęły po pewnym czasie swą pieczęć na treści duchowej jego istoty.

Nie bez wahania dopuszczał wszakże, że przeważną część osobliwej a gnębiącej go melancholii można przypisać bardziej naturalnej i o wiele rzeczywistszej przyczynie, a mianowicie okrutnej i już przedawnionej chorobie, a wreszcie jawnie bliskiej śmierci głęboko ukochanej siostry, jedynej jego towarzyszkii od lat wielu, ostatniej i jedynej krewnej jego na ziemi.

– „Śmierć jej – rzekł z gorczyzą, której nigdy nie zapomnę – osamotni mnie – słabego i zrozpaczonego ostatniego potomka starożytnego rodu Usherów”.

Gdy to mówił, lady Magdalena, tak jej było na imię, krokiem wolnym przeszła w oddalonych komnatach i znikła, nie zauważywszy mojej obecności. Przyglądałem się jej z wielkim zdziwieniem, w którym tkwiło nieco strachu, lecz zdanie sobie sprawy z mych uczuć wydało mi się niemożliwe. Przytłoczyło mnie uczucie drętowego zdumienia, gdym patrzył w ślad za jej odejściem. Gdy wreszcie drzwi się za nią zamknęły, wzrok mój bezwiednie i ciekawie podążył ku twarzy jej brata, lecz ten pogrzyżył twarz w dłoniach, i mogłem jeno stwierdzić, że bardziej niż zwykle bladeść rozlała się po jego wychudzonych palcach, poprzez które sączyła się rosa łez żarliwych.

Choroba lady Magdaleny przez czas długi urągała wiedzy jej lekarzy. Uporczywa apatia, stopniowy zanik sił i częste aczkolwiek krótkotrwałe ataki niemal kataleptycznego charakteru były bardzo dziwnymi oznakami tej choroby. Dotychczas mężnie znosiła brzemień choroby i nie poddawała się jeszcze musowi trwania w łóżku, lecz ku końcowi wieczoru w dzień mego przybycia do pałacu, jak powiedział mi nocą jaja brat z niewysłownym wzruszeniem, uległa miazdzącej potędze klęski, i zrozumiałem, że spojrzenie, którym ją ogarnąłem, było zapewne ostatnie, i że nigdy, a w każdym razie żywej tej pani nie zobaczę.

Przez kilka dni następnych ani ja, ani Usher nie wymienialiśmy jej imienia. W tym okresie wyczerpywałem wszelkie sposoby, aby ulżyć melancholii mego druha. Spędzaliśmy czas na wspólnym malowaniu i czytaniu lub też nasłuchiwałem, jak we śnie, jego dziwnych improwizacji na dźwięcznej gitarze. W ten sposób, w miarę jak coraz ściślejsze węzły przyjaźni przyczyniały się do coraz ufniejszego odsłaniania mi głębi jego ducha, coraz boleśniej stwierdziłem nadaremność moich wysiłków ku odnowie jego istoty, z której noc, jak nieodłączna jej cecha, na wszelkie przedmioty cielesnego i duchowego świata zionęła nieustanną łunę ciemności. Zawsze zachowam w pamięci wielokrotne a uroczyste godziny, które spędziłem sam na sam z właścicielem Domu

Usherów. Lecz nadaremnie starałbym się określić dokładny charakter studiów lub zajęć, do których mię nakłonił lub wskazał drogę. Płomienny, nadmierny, chorobliwy idealizm udzielał wszystkiemu swych siarkowych pobrzasków. Jego długie i żałobne improwizacje wiecznie będą brzmiały w mych uszach. Między innymi wspominał boleśnie pewną osobliwą parafrazę, odwrócenie na wspak, już i pierwotnie dziwnej bardzo melodii ostatniego walca Webera. Co się tyczy obrazów, wyłonionych z jego czynnej wyobraźni, a które z każdym pędzla pociągnięciem wkraczały w nieokreśloność budzącą we mnie dreszcz – dreszcz tym przenikliwszy, żem drżał, nie wiedząc czemu – co się tyczy obrazów tak życiem dla mnie tchnących, że kształty ich dotąd jeszcze mam w oczach – daremnie bym usiłował wybrać odpowiednią próbkę, której by mogło sprostać słowo pisane. Bezwzględna prostota, nagością rysunku przykuwał, ujarzmił uwagę. Jeśli kiedykolwiek śmiertelnik pędzlem na płótnie oddał myśl, tym śmiertelnikiem był Roderick Usher. Dla mnie przynajmniej – w danych okolicznościach – czyste abstrakcje, które hipochondryk potrafił rzucić na płótno, zionęły natężoną, nieodpartą zgrozą, jakiej nawet cienia nie zaznałem przy oglądaniu majaczeń samego Fuselego, bez wątpienia świetnych, ale jeszcze zbyt konkretnych.

Wśród cudacznych pomysłów mego przyjaciela znalazł się jeden, którego duch abstrakcji nie ogarnął tak wyłącznie, i który można, chociaż w słabym stopniu, oddać opisem słownym. Był to mały obraz, przedstawiający wnętrze piwnicy czy też podziemi niepomiernie długich, prostokątnych, o murach niskich, wygładzonych, białych, bez żadnych ozdób, bez żadnych przerw. Pewne szczegóły dodatkowe kompozycji ułatwiały zrozumienie tego, że ów tunel znajduje się niezwykle głęboko pod powierzchnią ziemi. Nie widać było, żadnego wyjścia w całej jego olbrzymiej rozciągłości. Nie widać było żadnej pochodni, żadnego źródła sztucznych światel, a mimo to wylew wezbranych promieni snuł się od końca do końca i zatapiał wszystko fantastycznym i niepochwytym blaskiem.

Już wspominałem o chorobliwym stanie nerwu słuchowego, dzięki któremu chory nie znosił żadnej muzyki prócz niektórych dźwięków stronnych. Zapewne ten ciasny zakres, w którym uwięził swój talent przymusem do gry na gitarze, przeważnie nadał jego utworom fantastyczne cechy. Lecz co się tyczy płomiennej lotności jego improwizacji, nie można ich w ten sam sposób rozważać. Trzeba najwidoczniej uznać, że improwizacje owe mogły być i w rzeczy samej były, tak w muzyce, jak w słowach jego dziwnych utworów fantastycznych – ponieważ często improwizowanymi i rymowanymi słowami dopełniał swej muzyki – były w rzeczy samej wynikiem usilnego skupienia i tego zogniskowania władz umysłowych, które zdarza się, jak już powiedziałem, w wyjątkowych razach najwyższego podniecenia sztucznymi środkami. Przypominam sobie z łatwością słowa jednego z tych rapsodów. Być może, iż wywarł na mnie wrażenie silniejsze, gdy mi go autor pokazał, ponieważ wydało mi się, że w wewnętrznej i tajemniczej treści utworu wykryłem po raz pierwszy, iż Usher posiada zupełną świadomość swego stanu, iż czuje, jak jego wysoki umysł chwieje się na swym tronie. Wiersze owe, które nosiły tytuł Zamku Opętanego brzmiały z bardzo małymi odmianami tak, jak je tu podaję:

W najzieleńszej z naszych dolin
Od aniołów zamieszkały
Promienisty i pogodny
Niegdyś zamek był wspaniały
Tam – w krainie władcy Myśli
Stał świetlany zamek ów:
Żaden seraf nie nakreśli
Skrzydłem takich cudnych snów.

II

Kołysał się tam na dachu

Szereg złotych fal bogaty:
Ach – to wszystko było dawno,
Przed dawnymi bardzo laty.
Z wietrzykami, co igrały
W posłoneczne owe dnie,
Przez omszone, jasne wały
Wonny eter w sale mknie.

III

Wędrownicy w tej dolinie
Przez dwa okna jaśniejące –
Widzą duchy – w takty liry
Melodyjnie kołujące,
Wokół tronu, lśnić wspaniale
Iście, jak porphyrogen,
W należytej widniał chwale
Świetny zamku władca ten.

IV

Promiennymi od rubinów
Świetlanymi zamku wroty
Płyną – płyną – ciągle płyną
Muzykalne ech istoty,
Których słodkim było losem
Wciąż królowi nucić śpiew –
Ponad wszystko cudnym głosem
Wiedzy ludów niosąc śpiew.

V

Aż ci naraz w czarnych szatach
Spadła chmura klęsk obfita;
Płacz, bo nigdy złota zorza
Już nad zamkiem nie zaświta.
I ów pałac, co jaśnieje
Dotąd chwałą – w mroki padł
I straszliwe jakieś dzieje
Z niepamiętnych dźwiga lat.

VI

A wędrowcy dziś w dolinie
Przez dwa okna krwią płonące
Widzą kształty rozdźwięczone
Fantastycznie kołujące –
I, jak rzeki wir szalonej,
Rój zgrzytliwych płynie ech –
Poprzez wrota – wykrzywiony
Bez uśmiechu w wieczny śmiech.

Przypominam sobie bardzo dokładnie, że nastrój, wywołany balladą, pchnął nas w odmęt myśli, w którego zakresie zaznaczył się pewien pogląd Ushera. Przytaczam go nie tyle dla jego no-

wości – i inni⁴⁸ bowiem mieli poglądy podobne, ile dla owej stanowczości, z którą Usher przy nim obstawał. Pogląd ów w ogólnych zarysach był jeno wiarą w zdolność czucia wszystkich istot roślinnych. W zboczonej wyobraźni Ushera pogląd ów nabrał cech jeszcze zuchwalszych i wkra-
czał pod pewnymi względami w dziedzinę świata nieorganicznego. Brak mi słów, aby wyrazić całą rozciągłość, całą powagę, całą bezoporność jego wiary. Wiara ta wszakże była, jak już napomknąłem, związana z siwymi kamieniami domu jego przodków. W tym razie zdolność czucia powstawała, jak mu się roilo, w warunkach zależnych od metody, która budową kierowała – od stosownego rozkładu tak kamieni, jak wszelkich przesłaniających je liszajów, i od spróchniałych drzew, które tkwiły naokół – lecz przede wszystkim od niezmienności tego układu i od jego od-wzorów w sennych wodach stawu. – „Dowodem widocznym tej czuciowości, mówił Usher, a jam go słuchał z niepokojem, było stopniowe, lecz stanowcze zgęszczanie się ponad wodami i wokół murów właściwej im atmosfery.” Odnośny skutek – dorzucił – przejawiał się w tym milczą-cym, lecz nieodpartym i straszliwym wpływie, który od wieków, rzekłbyś, kształtował przeznaczenie jego rodu i który z niego uczynił człowieka takiego, jakiego mam obecnie przed oczami – takiego, a nie innego. Tego rodzaju poglądy nie wymagają wyjaśnień i nie mam zamiaru ich wy-jaśniać. Wspólnie przez nas czytane książki – książki, które od lat wielu stanowiły przeważny podkład duchowego istnienia chorego – jak łatwo zgadnąć, odpowiadały ściśle jego wizyjnemu usposobieniu. Zgłębialiśmy wspólnie utwory takie, jak VertVert i Kartuzja Gresseta, Belphegor Machiawela, Cuda niebiosom t piekiel Swedenborga, Podróż podziemna Nicholasa Klimma Hol-berga, Chiromancja Roberta Fludda, Jana d'Indagine'a i De la Chambre'a, Odjazd w błękitność Tiecka i Miasto Słońca Campanelli.

Jedną z jego ulubionych książek było małe wydanie w ósemce dzieła dominikanina Eymerica De Gironne'a pt. Directorium inquisitorium oraz zdarzały się w dziełach Pomponiusza Meli ustępy o starożytnych satyrach afrykańskich i egipianach, nad którymi Usher rozmyślał całymi godzinami.

Główną rozkoszą jego ducha było czytanie wydanego in quarto, w stylu gotyckim, niezwykle rzadkiego i ciekawego zbioru zasad jakiegoś zapomnianego kościoła pt. Yigiliae Mortuorum secundum Chorum Ecclesiae Maguntinae. Zastanawiałem się mimo woli nad dziwnym rytuałem, zawartym w tej księdze, i nad jej możliwym wpływem na melancholika, gdy pewnego wieczoru, podawszy mi nagłą wiadomość o tym, że lady Magdalena już istnieć przestała, wyjawiał chęć przechowania zwłok przez dni piętnaście do czasu ostatecznego pogrzebu w jednym z licznych podziemi, ajdujących się pod ciężkimi murami zamku. Powód, którym popierał to dziwne postępowanie, był tego rodzaju, że nie czułem prawa do zaprzeczeń. Mówił mi, że jako brat powziął to postanowienie wobec niezwyklej cechy zmarłej, wobec pewnej zbyt natarczywej i niepowścią-gliwej ciekawości ze strony uczonych badaczy i wreszcie wobec odległego i bardzo widocznego położenia rodzinnego grobowca.

Wyznam, że, przypomniawszy sobie złowrogi wyraz twarzy człowieka spotkanego na schodach w dniu mego przybycia do pałacu, straciłem chęć przeciwienia się tego rodzaju środkom ostrożności, które bez wątpienia uważałem za niewinne i stanowczo za bardzo uzasadnione.

Na prośbę Ushera udzieliłem mu pomocy osobistej w przygotowaniach do tego tymczasowego pochówku. Zawarliśmy ciało w trumnie i we dwóch ponieśliśmy je na miejsce spoczynku. Podziemie, w którym złożyliśmy zwłoki i które było zamknięte od tak dawna, że nasze pochodnie, na wpół stłumione dławiającym zaduchem, nie pozwoliły nam zbadać miejsca – było małe, wilgotne i nie dawało światła dziennemu żadnego dostępu; tkwiło bardzo głęboko pod tą częścią budynku, gdzie znajdowała się moja sypialnia. Za dawnych czasów feudalnych przeznaczone było zapewne na straszliwy użytek więzienia, a w czasach późniejszych na piwnicę do przechowywania prochu lub innych łatwo palnych materiałów, część bowiem gruntu i wszystkie ściany wzdłuż sieni, którą przebyliśmy, aby tam dotrzeć, były szczelnie pokryte miedzią. Drzwi z ciężkiego żelaza były tak

⁴⁸ Watson, Pereiyal, Spallanzaci, a przede wszystkim bl&kup de LandaM – patrz Badania chemiczne, tom V (E. A. P.)

samo środkiem ochronnym. Gdy ten ciężar olbrzymi zakołysał się na swych zawiasach, rozległ się dziwnie ostry i zgrzytliwy dźwięk.

W tym więc przybytku zgrozy złożyliśmy na marach nasze brzemie żałobne. Uchyliłmiś nieco wieka trumny, która nie była jeszcze zabita, i zajrzeliśmy w twarz trupa. Uderzające podobieństwo pomiędzy bratem a siostrą przykuło przede wszystkim moją uwagę, i Usher, zgadując być może moje myśli – mruknął kilka słów, z których wywnioskowałem, że oboje – zmarła i on – byli bliźniętami, i że pomiędzy nimi istniała niewytłomaczona niemal zgodność dusz. Wszakże spojrzenia nasze niedługo tkwiły na zmarłej, gdyż nie mogliśmy oglądać jej bez przerażenia.

Choroba, która lady Magdalenę w pełni młodości strąciła do grobu, pozostawiła, jak to zazwyczaj się zdarza we wszystkich chorobach czysto kataleptycznego pochodzenia, słaby, niby na drwinę, rumieniec na piersi i na twarzy oraz udzieliła wargom tego dwuznacznego i drętowego uśmiechu, który przeraża, gdy przynależy śmierci. Zasunęliśmy wieko i zabililiśmy je, po czym zamknąwszy drzwi żelazne, wróciliśmy znużeni do wyżej położonych komnat, gdzie nie mniejsza ponowała melancholia.

Wówczas po uływie kilku dni, pełnych najboleśniejszego smutku, stała się zmiana widoczna w objawach chorobliwego stanu ducha mego przyjaciela. Zwykle jego nałogi pierzchły. Zaniedbał i zapomniał swych zajęć codziennych. Błąkał się z pokoju do pokoju krokiem porywczym, nierównym i bezcelowym. Bładość jego twarzy nabrała być może bardziej jeszcze widmowych odcieni, lecz połysk, właściwy jego oczom, zgasł całkowicie. Nie słyszałem już tych ostrych tonów głosu, do których dawniej uciekał się chwilami, i drzenie, sprawione, rzekłbyś, najwyższym strachem, cechowało zazwyczaj jego mowę. Czasem doprawdy przychodziło mi do głowy, że nieustannie zaniepokojony umysł jego trawia jakież zdławione tajemnice i że nie może zdobyć się na niezbędną odwagę odsłonięcia tych tajemnic. Kiedy indziej byłem po prostu zmuszony podejrzewać go o niewytłomaczone wybryki szaleństwa, ponieważ widywałem go wpatzonego całymi godzinami w próżnię, w ruchu najusilniejszej baczności, jakby nasłuchiwał dźwięków urojonych. Nie dziw przeto, że stan jego przerażał mnie, a nawet zarażał. Czulem, jak dziwny wpływ jego fantastycznych i zaraźliwych zabobonów przenika mnie stopniowo, lecz nieodparcie.

Była właśnie noc siódma lub ósma od chwili, gdyśmy lady Magdalenę złożyli w grobowcu – był czas bardzo późny, gdy przed udaniem się na spoczynek nocny odczułem nagle całą przemoc tych wrażeń. Sen nie chciał zbliżyć się do mego łóża. Godziny jedna za drugą mijały, mijały nieustannie. Starłem się wytłomaczyć sobie nerwowy niepokój, który się we mnie panoszył. Usiłowałem wmówić w siebie, że to, czego doznaję, zawdzięczam, jeśli nie całkowicie to częściowo urocznym wpływom melancholijnego umeblowania komnaty oraz ciemnych poszarpanych drapeirii, które, poruszane podmuchem nadchodzącej burzy, chwiały się konwulsyjnie na ścianach, szumiąc boleśnie wokół ozdób łóża.

Wszakże wysiłki moje były nadaremne, niepokonany strach przeniknął stopniowo całą moją istotę, i wreszcie trwoga bezimienna, istna zmora przytłoczyła mi piersi. Dyszałem gwałtownie, zrobiłem wysiłek i dopiąłem tego, żem się z niej otrząsnął. Wyprostowany na poduszkach, żarliwie przenikałem okiem gęsty mrok komnaty. Nie umiałbym powiedzieć dlaczego, chyba pod wpływem instynktownego nakazu – jałem nasłuchiwać jakichś cichych i niejasnych dźwięków, wybiegłych nie wiadomo skąd, a dolatujących mnie w długich przerwach, poprzez nacichania burzy. Opanowany natężonym uczuciem niewytłomaczonego i nieznośnego strachu, wdziałem pośpiesznie ubranie – ponieważ czulem, że nie będę mógł tej nocy zasnąć – i wielkimi krokami chodząc po pokoju, starałem się pozbyć rozpaczliwego stanu, w którym się znalazłem. Zaledwie kilka razy przeszedłem się po pokoju, gdy nagle uwagę moją przykuł odgłos lekkich kroków na schodach sąsiednich. Poznałem wkrótce, że są to kroki Ushera. W chwilę potem z cicha zapukał do drzwi i wszedł z lampą w dłoni. Na twarzy jego trwała, jak zawsze, bładość trupia, lecz ponadto w oczach jego tkwił wyraz niezrozumiałej szaleńczej uciechy, a ruchy jego były zaprawne rodzajem najwidoczniej tłumionej hysterii. Przeraził mnie jego widok, lecz wołałem wszystko niż samotność, którą znosiłem tak długo, i obecność jego sprawiła mi ulgę.

– „A tyś tego nie widział? – rzekł zniecała po kilku chwilach milczenia i po rzucie wokół siebie uporczywych spojrzeń – nie widziałeś tego? Zaczekaj! Zobaczysz zaraz!”

Mówiąc to i pilnie osłaniając dłonią lampę, rzucił się do jednego z okien i rozwarł na oścież w burzę.

Rozpędna wściekłość wichury uniosła nas niemal z ziemi. Była to zaiste noc burzliwych a czarownych lęków, noc jedyna i dziwna w swej zgrozie i swym pięknie. Zamięć skupiła się snadź w naszym pobliżu, gwałtowne bowiem były i częste przerzuty wichru, a niezwykła gęstwa chmur, które w tej chwili tak się zniżyły, że wisały niemal na basztach zamkowych, nie wzbraniała naszym oczom pochwycenia ruchliwej szybkości, z którą pędziły nawzajem ku sobie ze wszystkich oddali widnokregu, zamiast pierzchać w przestworach. Ich wyjątkowa tężyzna nie przesłaniała naszym oczom tego zjawiska, chociaż nie widzieliśmy ani żdźbła księżycowych lub gwiazdnych światła, i ani jedna błyskawica nie miotła swych olśnień. Wszakże wśród tej obszernej gromady rozedrganych oparów oraz wszelkie przedmioty ziemskie, tkwiące w obrębie dostępnego naszym oczom widnokregu, tliły się nadprzyrodzoną jaśnią lotnych wyziewów, które zwisały nad domem, spowijając go w świetlisty niemal i dokładnie widoczny całun.

– „Nie powinieneś patrzeć na to zjawisko! Nie powinieneś go oglądać! – zawołałem do Ushera drżąc na ciele, i nieznacznie a przemocą odciągnąłem go od okna ku fotelowi. – Zjawisko, które cię pozbawia przytomności, jest zjawiskiem czysto elektrycznym i bardzo zwykłym lub też być może, iż zawdzięcza ono swe żałobne pochodzenie gnojnym miazmatom stawu. Zamknijmy to okno. Powietrze jest groźne i niebezpieczne dla twego zdrowia. Oto jeden z twych ulubionych romansów. Będę go czytał, a ty będziesz słuchał i w ten sposób spędzimy tę noc straszliwą.”

Stary szpargał, który wziąłem do rąk, był utworem Sir Lancelota Canninga pt. Trzst opętany, uświetniłem go jednak nazwą ulubionej książki Ushera dla żartu. Żart smutny, ponieważ w rzeczywistości niedorzeczna i barokowa rozwlekłość utworu niewiele dostarczała stawy dla wysokiej umysłowości mego przyjaciela. Była to wszakże jedyna książka, którą miałem tuż na podorędziu, i łudziłem się płonną nadzieją, że niepokój, który dręczył melancholika, znajdzie ulgę (historia bowiem chorób umysłowych pełna jest tego rodzaju wybryków) w samej przesadzie szaleństw, o których miałem mu czytać. Sądząc z dziwnie natężonej uwagi, z którą słuchał lub udawał, że słucha ich opowieści, mógłbym powinszować sobie dobrych skutków mojego wybiegu.

Dotarłem do tej tak słynnej części opowiadania, gdy Etheired, bohater książki, nadaremnie starając się przedostać po przyjaźni do przybytku pewnego pustelnika, czuje się zmuszony wejść tam przemocą. W tym miejscu, jak czytelnik sobie przypomina, autor mówi te słowa:

– „I Etheired, jako że od urodzenia walecznego był serca, a obecnie słuszna, iż pod wpływem pochłoniętego wina, pozyskał moc okrutną, nie tracił przeto czasu na układy z owym pustelnikiem, który zaiste ku uporowi i ku złemu duchem się skłaniał, lecz, pluchę plecyma wyczuwszy tudzież bojąc się natarcia wichury, uniósł małowiele swej maczugi i uderzeń kilkorgiem utorował wkrótce, poprzez deski drzwi, drogę swej dłoni, żelazną rękawicą strojnej – za czym ona dłoń ku sobie ściągając, zdziałał, iż wszystko jęło trzaskać, kruszyć się i drzazgami pierzchać naokół tak, iż wrzask suchego i echem dzwoniącego drzewa zagrzmiął jak na trwozę, aż ci go bór od końca do końca odgłosem powtórzył”.

Przy końcu tego zdania zadrzałem i zamilkłem, ponieważ mi się wydało – chociaż niezwłocznie zmiarkowałem, że jest to skutek przywidzenia – wydało mi się, iż z bardzo odległej części domu doleciał niejasno mych uszu dźwięk, który z powodu ścisłego podobieństwa był, rzekłbyś, stłumionym, zamarłym echem owego trzasku i łomu, który tak pilnie opisał Sir Lancelot. Oczywiście to, co przykuło mą uwagę, było jeno zwykłym zbiegiem okoliczności, ponieważ wśród potrzaskiwań ram okiennych oraz wszelkich zawikłanych odgłosów wciąż wzrastającej burzy, dźwięk ów sam przez się nie miał doprawdy nic takiego, co by mogło mnie zastanowić lub zatrwożyć. Jałem czytać dalej:

„Atoli Etheired, rycerz nieugięty, przekroczywszy odrzwia, wielkiego doznał gniewu i zdumienia, nie widząc nijakich śladów złośliwego pustelnika, jeno na jego miejscu tudzież w zastęp-

stwie ujrzał potwornych kształtów smoka pokrytego łuską, z długim jęzorem ognistym, który to smok trwał na straży złotego pałacu o srebrnej podłodze, zaś na murze wisiała połyskliwa tarcza mosiężna z takim oto wyrytym na niej napisem:

Kto tu wejść potrafi, ten zwycięzcą będzie – Kto zabije smoka, ten tarczę posiędzie.

Naówczas Etheired podniósł maczugę i uderzył po łbie smoka, który padł u jego stóp i wyzionął swe tchnienie dżumne, zaprawiając je porykiem tak straszliwym, tak ostrym i tak jednocześnie przenikliwym, że Etheired był zagniony do zatkania dłońmi uszu, aby im przydać środków ochronnych przeciwko tym dźwiękom tak, ale to tak straszliwym, że nigdy dotąd podobnych nie słyszał”.

W tym miejscu nagle znowu zamilkłem i tym razem z uczuciem gwałtownego zdumienia, ponieważ nie mogłem nawet o tym wątpić, że posłyszałem naprawdę (nie zdołałem odgadnąć – w której stronie) dźwięk nadwątlony i jakby daleki, lecz mimo to ostry, przeciągły, nadzwyczaj przenikliwy i zgrzytliwy – ścisły odpowiednik nadprzyrodzonego krzyku smoka, opisanego przez autora romansu, w tej postaci, jaką mu wyobraźnia moja już nadała.

Pomimo, iż pod wpływem tego potwornego a wielce niezwykłego zbiegu okoliczności najwidoczniej tłoczyło się we mnie tysiące sprzecznych wrażeń, wśród których górowało zdziwienie i strach bez granic, zachowałem wszakże dość przytomności umysłu, aby jakąkolwiek uwagą nie poruszyć nerwowej czujności mego towarzysza.

Wcale nie byłem pewien, czy zauważył wspomniane odgłosy, chociaż bezwarunkowo w jego zachowaniu w ostatniej chwili zaszła dziwna zmiana. Dotąd siedział naprzeciwko mnie, teraz powoli przesunął swój fotel tak, że twarzą był zwrócony do drzwi komnaty w ten sposób, iż nie mogłem widzieć rysów całej twarzy, chociaż zauważyłem dobrze drżenie jego warg, jak gdyby szepczących coś niepochwytnego. Głowa zwisała mu na piersi, wiedziałem jednak, że nie śpi. Oko, które widziałem w profilu, było rozwarte i nieruchome. Zresztą ruch jego ciała też zaprzeczał takiemu przypuszczeniu, ponieważ kołysał się na strony ruchem bardzo nieznacznym, lecz nieprzerwalnym i jednostajnym. Szybkim spojrzeniem ogarnąłem to wszystko i znowu jałem czytać opowieść sir Lancelota, która w dalszym ciągu brzmiała, jak następuje:

– „I wówczas rycerz zuchwały, uszedłszy straszliwym gniewom smoka, przypomniawszy sobie tarczę mosiężną tudzież tę okoliczność, że zakłęcie, które w niej tkwiło, pierzchnęło – usunął trupa z drogi i po srebrnej posadzce pałacu zbliżył się śmiało do owego miejsca muru, gdzie wisiała tarcza, która zaiste nie czekała, aż rycerz zgoła do niej się zbliży, jeno spadła do jego stóp na srebrną posadzkę z potężnym a straszliwym rozdzwiękiem”.

Zaledwom tych słów ostatnich domówił, gdy nagle, jakby właśnie tarcza mosiężna spadła na srebrną posadzkę, posłyszałem wyraźnie głucho, metaliczne echo, pełne rozdzwięku, lecz jakoby zgłuszonego. Byłem do głębi poruszony. Porwałem się na nogi, lecz Usher nie przerwał swych miarowo rozkołysanych ruchów. Rzuciłem się ku fotelowi, na którym wciąż siedział. Oczy miał utkwione prosto przed siebie, a cała twarz jego stężała w kamiennym zeszywnieniu. Wszakże, gdy dłoń położył mu na ramieniu, gwałtowny dreszcz przebiegł całe jego ciało. Chorobliwy uśmiech drgnął na jego wargach i stwierdziłem, że mówi cicho, bardzo cicho, szeptem pośpiesznym i zmaconym, jakby nie był świadom mej obecności. Schyliłem się wręcz ku niemu i jałem wreszcie chłonać uchem straszną treść jego słów:

– Nie słyszysz? Słyszę za to ja, słyszałem od dawna – od dawna, od dawien dawna, od wielu chwil, od wielu godzin, od wielu dni, słyszałem, lecz nie śmiałem – o, biada mi nieszczęsnemu tchórzowi! – nie śmiałem – nie śmiałem powiedzieć! Pogrzebaliśmy ją żywcem w mogile! Czyż nie mówiłem, że mam zmysły aż nazbyt czujne? Mówię ci w tej chwili, że słyszałem jej pierwsze słabe poruszenie na dnie trumny. Słyszałem już sporo dni temu, sporo dni, lecz nie śmiałem – nie śmiałem powiedzieć!

A teraz – tej nocy – Etheired – ha, ha! – drzwi do pustelni złamane – i rżenia smoka – i rozdzwięk tarczy! Powiedz raczej: pochrzest łamanej trumny i zgrzyt żelaznych zawias jej więzienia i straszliwa walka w sieni mosiężnej! O, dokąd uciec? Czyż nie zjawi się tu za chwilę? Czy nie

zdążyć, aby mi wyrzucić mój pośpiech? Czyliż nie słyszałem jej kroków na schodach? Czyliż nie rozróżniałem straszliwego i ciężkiego bicia jej serca? Szalony!

Tu ze wściekłością porwał się na nogi i, jakby chciał ducha wyzionąć w tym ostatnim wysiłku, zawył te słowa:

– Szalony! Powiadam ci, że ona w tej chwili jest tam, za drzwiami!

W tej samej chwili, jak gdyby nadludzki wysiłek jego słów pozyskał wszechpotęgę zakłęć, szerokie i starożytne skrzydła, które wskazywał Usher, powoli rozwarty swą ciężką hebanową paszczękę. Był to skutek wściekłego uderzenia wichury, lecz za tymi drzwiami trwała właśnie smukła, spowinięta w całun postać lady Magdaleny Usher. Na jej białych szatach widniała krew i cała jej wynędzniała osoba nosiła widoczne ślady jakiejś straszliwej walki. Przesz okamgnienie trwała drżąca i chwiejna w progu, potem z żalonym i głuchym krzykiem upadła ciężko przed się – na brata i w gwałtownej a ostatecznej agonii pociągnęła za sobą na ziemię już trupa i ofiarę własnych, z góry i zawczasu powziętych obaw.

Uciekłem z tej komnaty i z tego pałacu, zdjęty strachem. Burza jeszcze szalała w całej pełni, gdy wkroczyłem w starą aleję. Zmienacka dziwne światło padło na drogę i odwróciłem głowę, aby zobaczyć, skąd mogła wytrysnąć jasność tak osobliwa, ponieważ za sobą miałem tylko obszerny pałac wraz ze wszystkimi jego cieniami. Brzask pochodził od pełni księżycowej, która zachodziła, krwawo purpurowiejąc, i przeświecała teraz jaskrawo poprzez zaledwo ongi widoczną szczelinę biegnącą, jak nadmienilem, zygzakiem wzdłuż budynku od dachu aż do podstawy. Gdym się przyglądał, szczelina owa rozszerzyła się szybko. Raz jeszcze nadbiegł wicher, raz jeszcze zakłębił się wir szalony – i cały krąg księżyca załśnił mi nagle w oczy. Doznałem zawrotu głowy, gdym ujrzał, jak potężne mury rozpadły się na dwoje. Zahuczało coś przeciągle, zagrzmiało głucho jak odgłos tysiąca wodospadów – i głęboki spleśniały staw, u stóp mych tkwiący, posepny w milczeniu zawarł swe fale nad szczątkami Domu Usherów.

Studnia i wahadło

Impia tortorum longos his turba furores,
Sanguinis innocui non satiata, aluit.
Sospite nunc patria, fracto nunc juneris antro,
Mors ubi dira fuit vita solusque patent⁴⁹.

(czterowiersz przeznaczony dla bramy rynku, który miał powstać na miejscu klubu jakobinów w Paryżu).

Zmiażdżyła mnie, Śmiertelnie zmiażdżyła ta długotrwała agonია i gdy nareszcie pozbawiono mię więzów i pozwolono przybrać postawę siedzącą, uczułem, że tracę zmysły. Wyrok – okrutny wyrok śmierci – był ostatnim, z umysłu dobitnie wymówionym zdaniem, które dosięgło mych uszu. Po czym wydało mi się, iż brzmienia głosów inkwizytorskich grają się w bezbrzeżnej gęździe majaczeń. Ów zgiełk narzucił mej duszy poczucie kołowrotu – zapewne z tej przyczyny, że go marzeniem przysnuł do koła młyńskiego. Ale to trwało jedno okamgnienie, gdyż oto nagle zanisłyszaleam. Zachowałem jednak przez czas pewien jeszcze zdolność widzenia, lecz jakże straszliwie zolbrzymioną! Widziałem wargi sąsiadów, sędziów czarno ubranych. Jawiły mi się – białe, bielsze niż papier, na którym kreślę te słowa, oraz wąskie aż do śmieszności, tak je zwęził skupiony wyraz okrucieństwa – niewzruszonych postanowień – i nieugiętej wzgardy dla ludzkiego cierpienia. Widziałem, jak rozkazy, skierowane ku temu, co było odwzorem mych Przeznaczeń, sączyły się świeżo z tych warg. Widziałem, jak się kurczowo sposobią do wygłoszenia słów śmiertelnych. Widziałem, jak zgłoska po zgłosce – klecąc moje imię – i dreszcz mię przeszył, gdym oto stwierdził, że żaden dźwięk nie towarzyszy poruszeniom tych warg. Widziałem jeszcze przez kilka mgnień obłądnego strachu – miękkie i niemal niepochwytnie falowania draperii czarnych, które przesłaniały ściany ? komnaty. A potem wzrok mój upadł na siedem wielkich świateł, utwierdzonych na stole. Zrazu przybrały postać Miłosierdzia i zjawily mi się jako biali a smukli aniołowie, którzy mi niosą zbawienie. Lecz nagle, ni stąd – ni zowąd, śmiertelna odraza wtargnęła do mej duszy i każde źdźbło mej istoty zadrzało, jakbym się zetknął z drutem stosu Wolty – i kształty anielskie przedzierzgnęły się w widma bez znaczenia, w posiadaczy łbów ognistych, i zrozumiałem, że nie mogę od nich oczekiwać żadnej pomocy. I wówczas do mej wyobraźni, na kształt zbyt kownej nuty muzycznej, wsnuła się myśl o wybornym spoczynku, który nas czeka w mogile. Myśl ta przyszła ciszką i ukradkiem, i wydało mi się, że niemało czasu zużyć muszę na to, aby jej do dna pokosztować. Lecz w tej samej chwili, gdy duch mój zaczął nareszcie głęboko wyczuwać i wypieszczać myśl ową, twarze sędziów szczyły jak na skinienie różdżki magicznej, w nic się rozwiały wielkie płomienie, ich światło wygasło doszczętnie, nastala ciemność ciemności – wszelkie czucia zdawały się chłonać wzajem bez reszty jak podczas szaleńczego i zawrotnego nura, którego daje dusza w Hadesie. I nic nie zostało z wszechświata prócz nocy, milczenia i bezruchu.

Zemdlalem – nie powiem jednak, abym zatracił wszystką świadomość. Próżno byś się starał określić lub nawet opisać to, co mi z niej zostało. Lecz – koniec końcem – nie wszystko było stracone. W śnie najgłębszym – też nie wszystko! W obłądnie – nie wszystko! W zemdleńiu – nie wszystko! W śmierci –nie wszystko! Nawet w grobie nie wszystko bywa stracone! W przeciwnym razie zabrakłoby nieśmiertelności dla człowieka. Budząc się z najgłębszego snu, rozrywamy tkaninę pajęczą jakiegoś widzenia. Lecz po chwili – (tak kruchą zapewne jest owa tkanina) – nie pamiętamy o naszej przynależności do widzeń. Powracając po utracie zmysłów do rzeczywistości, kroczy my po dwóch szczeblach – na pierwszym doznajemy istnienia myśli i ducha, na dru-

⁴⁹ Nikczemny tłum oprawców niesyty krwi niewinnej przez długie czasy dawał tu żer swym szalom. Dziś, gdy ojczyzna pozyskala spokój – dziś, gdy pokruszono pieczarę grabarzy – życie i zbawienie jawią się tam, kędy śmierć złowroga panowała.

gim – istnienia ciała. Gdybyśmy, stanawszy na drugim szczeblu, mogli odtworzyć doznania pierwszego, wykrylibyśmy w nich według wszelkiego, zda się, prawdopodobieństwa wszystkie zasoby wymownych wspomnień o zaświatowej otchłani. Czymże jest owa otchłań? Do jakich uciekniemy się sposobów, aby odróżnić przynajmniej jej cienie od cieniów mogilnych? Wszakże doznania tego, com nazwał pierwszym szczeblem, jeśli nie powracają na skinienie woli, czyliż natomiast nie jawią się po dłuższej przerwie – zgoła nieproszone – podczas gdy się dziwimy, skąd im przybywać dano? Nie ten, co zmysłów nigdy nie stracił, odkrywa dziwne pałace i cudacznie znajome twarze w żuźlach gorejących. Nie jemu dano oglądać – snujące się w powietrzu – melancholijne sny, których człowiek gminny dostrzec nie potrafi. I nie jemu dano rozmyślać o woni jakiegoś nieznanego kwiecica ani też obłąkać swej myśli tajemnicą rytmu, który dotąd jeszcze nie udzielił się jego uwadze.

W czasie częstych i natężonych prób usilnego zdążania do wytropienia stanu pozornego niebytu, kędyna był duchem przeniknął, zdarzały się chwile, że roilem spełnienie mych zamiarów. Zdarzały się przelotne mgnienia, gdy wyczarowywałem pokłady wspomnień, które mój rozum, rozjaśniony w następnym okresie czasu, nieodparcie spokrewnia! ze stanem ducha, zabarwionym na pozór zanikiem świadomości. Cienie owych wspomnień jednoczą się dla mnie bardzo wyraźnie z wielkimi postaciami, które mię dźwignęły wzwyż i niosły ku padołom – i raz jeszcze ku padołom – wciąż niżej ku padołom, aż do chwili, gdy potworny zawrót głowy ogarnął mnie na samą myśl o nieskończoności owego opadania. Cienie owe wiążą się jednocześnie w mej pamięci z jakimś trudnym do pochwycenia, nieokreślonym lękiem, którego doznałem w sercu z powodu właśnie nadprzyrodzonych tego serca uciśnień.

Potem następuje uczucie nagłego znieruchomienia wszystkich istot dookolnych, jak gdyby dźwignacze mej osoby – istny orszak widm! – przekroczyli w swym zniżeniu kres bezkresu i przystanęli, pokonani bezcelowym dłużeniem się swych wysiłków. Następnie pamięć moja stwierdza dotyk czegoś oślizgłego i wilgotnego, aż w końcu wszystko staje się tylko obłędem – obłędem pamięci, która się miota u źródeł wstępu.

Z błyskawiczną nagłością powracają do mnie – dźwięk i ruch – ruch niespokojny serca i odgłos jego uderzeń w mych uszach. Potem – przerwa, w której wszystko pierzcha. Potem znowu – dźwięk, ruch i dotyk – niby namacalne drganie, nurtujące moją istotę. Potem gminne poczucie własnego istnienia – bez myśli – stan, który trwa długo. Potem – przenagle – myśl i strach śmiertelny – i zapalczywy wysiłek rzeczywistego zrozumienia tego, co się ze mną dzieje. Potem gwałtowna żądza ponownej utraty zmysłów. Potem nagłe odrodzenie duszy i udana próba poruszenia ciałem. I wreszcie całkowite przypomnienie sądu, draperii czarnych, wyroku, mojej niemocy i mego zemdlenia. Wszystko, co nastąpiło po owej chwili, pochłoneło najzupełniejsze zapomnienie: dopiero w czasie późniejszym, dzięki wznowionym do najwyższego stopnia wysiłkom, zdołałem to odtworzyć mgliście w pamięci.

Dotychczas nie rozwarłem oczu, czułem, że leżę na wznak i bez więzów. Wyciągnąłem dłoń – i upadła ciężko na jakąś wilgoć i stwardniałość.

Pozwoliłem jej wypocząć w ten sposób przez minut kilka, usiłując odgadnąć, gdzie jestem i czym się stałem. Spieszno mi było do korzystania z mych oczu, a te nie śmiałem. Bałem się pierwszego spojrzenia po dookolnych przedmiotach, nie dlatego, że się obawiałem widoku rzeczy potwornych, jeno dlatego, że się przeraziłem przypuszczeniem, iż nie zobaczę nic zgoła. Po upływie pewnego czasu z bezrozumną rozpaczą serca otworzyłem oczy zniechęca. Sprawdziło się moje straszliwe przypuszczenie. Otaczała mnie ciemność nocy wiekuistej. Zrobiłem wysiłek, aby westchnąć. Zdawało mi się, że brzemień mroków tłoczy mnie i dławi. Powietrze było nieznośnie ociążałe. Leżałem nadal bez ruchu i zrobiłem wysiłek, aby pobudzić myśl do działania.

Przywiódłem na pamięć praktyki inkwizycji i, poczynając od tego punktu, starałem się zeń wysnuć – moje położenie obecne. Wyrok zapadł – i zdawało mi się, że od owej chwili upłynęło sporo czasu. Mimo to nie przypuszczałem ani na jedno okamgnienie, że jestem martwy naprawdę.

Tego rodzaju przypuszczenie – wbrew wszystkim wymysłom literackim – jest zgoła nie połączone ze stanem rzeczywistego istnienia. Gdzież tedy byłem i w jakim stanie? Wiedziałem, że na śmierć skazani giną zazwyczaj na autodaje. Jeden z takich uroczystych obrzędów spełniono właśnie wieczorem – w dniu zapadnięcia mego wyroku. Wtraconoż mnie z powrotem do więzienia w tym celu, abym wyczekał dnia kolejnej karności, który miał nastąpić dopiero po upływie kilku miesięcy? Postrzegłem od razu, że jest to niemożliwe. Wyrok skazańców podlega natychmiastowemu wykonaniu. Prócz tego więzienie moje, jak wszystkie cele skazanych na śmierć w Toledo, miało podłogę kamienną i światła niezupełnie wzbraniało dostępu. Nagle straszliwy domysł spłoszył mą krew tak, że falami uszła do serca, i na chwil kilka straciłem znowu przytomność. Odzyskawszy zmysły, jednym rzutem zerwałem się na równe nogi, drżąc konwulsyjnie na całym ciele. Bezrozumnie wyciągnąłem dłonie i wwyż – i wokół – i gdziekolwiek. Bałem się wszakże kroku jednego uczynić; lęk mię chwycił, że utkwię na ścianach mego grobowca. Pot występował ze wszystkich szczelin mego ciała i wielkimi, zimnymi kroplami wzbierał na mym czole. Śmiertelna męka niepewności, dłużąc się, stawała się czymś nie do zniesienia, i jałem baczenie posuwać się przed się, wyciągając dłonie i wyważając oczy z oczodołów w nadziei pochwycenia nikłego choćby promyka światła. Zrobiłem kilka kroków, lecz wokół była – ciemność i próżnia. Westchnąłem swobodniej. Ostatecznie przekonałem się, że los, który mi zgotowano, nie był tym – najpotworniejszym. I wówczas, gdy w dalszym ciągu posuwałem się ku przodowi, tysiące niejasnych pogłosek o okropnościach Toledo stłoczyły się bezładnie w mej pamięci. Opowiadano sobie o tutejszych więzieniach rzeczy niestworzone, które zawsze uważałem za bajki – a jednak tak niestworzone i tak straszliwe, że tylko półgłosem można je było oznajmiać.

Czy przeznaczono mi śmierć głodową w tym podziemnym przybytku cieniów, czy też czeka mię, być może, los jeszcze okrutniejszy? Znałem zbyt dobrze zwyczaje mych sędziów, abym wątpił o tym, że rozwiązaniem zagadki ma być śmierć – i na domiar śmierć poprzedzona męczarnią wyszukaną. Rodzaj śmierci i jej godzina – oto wszystko, co mię dręczyło i pochłaniało myśli. Moje wyciągnięte przed się dłonie trafiły po pewnym czasie na mocny opór. Był to mur ciosany, zda się, w kamieniu – bardzo śliski, wilgotny i zimny. Posuwałem się dalej wzdłuż muru, stąpając z baczną nieufnością, powziętą z pewnych opowieści zamierzchłych. Czynność ta nie dostarczyła mi bynajmniej żadnego sposobu sprawdzenia rozmiarów mego więzienia, gdyż mogłem obejść jego wnętrze i powrócić bezwiednie do miejsca, skąd wyszedłem – taki bowiem stopień nieskazitelnosci zdawała się osiągnąć jednorodność muru! Dlatego też sięgnąłem po nóż, który miałem w kieszeni wówczas, gdy mnie stawiano przed trybunałem, lecz noża zabrakło, gdyż ubranie moje zastąpiono szatą z grubej szarży. Powzięłem myśl wbicia ostrza w jakąkolwiek maluczką szparę muru, aby niezbitnie ustalić punkt mego wyjścia. Tak czy owak – miałem dość niezłożoną trudność do zwalczenia, na razie jednak wydała mi się niepokonaną z powodu zamętu mych myśli. Zerwałem część obrębu mej szaty i położyłem go na ziemi w całej jego rozciągłości i pod kątem prostym do muru. Po omacku krocząc dalej obwodem mego więzienia, nie omieszkałbym chyba, dopełniwszy koła, trafić powrotnie na ów łachman. Miałem przynajmniej taki zamiar, lecz nie wziąłem pod uwagę rozmiarów mego więzienia czy też raczej mojej niemocy. Grunt był wilgotny i śliski. Kroczyłem chwiejnie czas pewien, potknąłem się wreszcie i upadłem. Ostateczne znużenie zdziało, że z ziemi nie podniosłem i – tak poległego – ogarnął mnie wkrótce sen.

Ocknąwszy się ze snu, wyciągniętą przed się dłonią namacałem – chleb i dzban wody. Zbyt byłem wyczerpany, aby się zastanowić nad tym szczegółem, lecz chciwie jałem gasić głód i pragnienie. Po upływie małej chwili – ponowiłem mą podróż naokoło więzienia i z wielkim trudem dotarłem do strzępa sukna. Już w chwili mego upadku zrachowałem pięćdziesiąt dwa kroki, zaś ponawiając wycieczkę, doliczyłem jeszcze czterdzieści osiem w chwili zderzenia się z mym łachmanem. Całość tedy stanowiła – sto kroków, zaś licząc w przybliżeniu po dwa kroki na jeden jard, mniemałem, że więzienie moje ma pięćdziesiąt jardów w obwodzie. Napotkałem wszakże sporo kątów w murze i przeto straciłem możność odgadnienia kształtu podziemia, nie mogłem bowiem oprzeć się domysłom, że jest to – podziemie.

Niezbyt wielką wagę przywiązywałem do tych poszukiwań – wiedziałem jedno: żadnej znikąd nadziei, wszakże jakaś nieokreślona ciekawość zniewalała mię do dalszych prób tego rodzaju. Odsunawszy się od muru, postanowiłem przebyć powierzchnię zakreśloną obwodem. W początkach posuwałem się naprzód z najwyższą oględnością, bowiem grunt, mimo pozoroww stałości, był zdradliwy i lgnący. Po pewnym jednak czasie zdobyłem się na odwagę i jąłem kroczyć ufnie, starając się utrzymać na linii możliwie prostej. Postąpiłem mniej więcej dziesięć lub dwanaście kroków, gdy nagle reszta obrębu, zdartego z mej szaty, zgmatwała mi się między stopami. Uniosłem stopy wzwyż i gwałtownie upadłem na twarz.

W popłochu mego upadku nie zauważyłem bezpośrednio pewnej, dość zdumiewającej okoliczności, która wszakże w kilka sekund potem, gdy jeszcze trwał rozpostarty na ziemi, przykuła moją uwagę. Było tak: podbródek mój tkwił na poziomie więzienia, lecz wargi i górna część głowy, chociaż zdawały się znajdować poniżej podbródka, nie stykały się z niczym. Jednocześnie zdawało mi się, że skronie mi opływa jakiś wyziew lepki, i że swoisty zapach starych grzybów dosięga mych nozdrzy. Wyciągnąłem dłoń i struchlałem stwierdzając, że padł na samo pobrzeże okrągłej studni, której rozmiarów w danej chwili zbadać nie byłem w stanie.

Macając podmurze tuż pod ocembrowaniem, zdołałem wyważyć drobny odłamek i cisnąłem go w przepaść. Przez kilka chwil nasłuchiwałem jego odrzutów. Uderzał w swym zlocie w ściany otchłani. Wreszcie dał w wodzie śmiertelnego nura, popartego hucznym odgłosem. W tej samej chwili coś mi skrzypnęło pod głową, jakby ktoś, drzwi uchylwszy, jednocześnie niemal zamknął, podczas gdy nikły promień światła przeszył znienacka ciemności i zgasł prawie w tym samym okamgnieniu.

Ujrzałem jasno zgotowany mi los i winszowałem sobie szczęśliwego trafu, który mię ocalił. Jeszcze krok jeden – a byłbym stracony dla świata. Śmierć owa, w porę usunięta, miała te właśnie cechy, którym uważałem za zmyśloną i niedorzeczną część kleconych o Inkwizycji powieści.

Ofiary jej tyranii miały jeno do wyboru albo śmierć z najokrutniejszą agonią ciała, albo śmierć z najnieznośniejszymi torturami ducha. Zachowano mnie dla tej ostatniej. Długie cierpienie rozluźniło mi nerwy do takiego stopnia, że drżałem na dźwięk własnego głosu i stałem się pod każdym względem doskonałym przedmiotem tych tortur, które mię czekały.

Drżąc na całym ciele, po omacku odszperałem drogę powrotną do muru – godząc się raczej na śmierć, aniżeli na stawianie czoła zgrozom owych studni, których ilość wyobraźnia moja mnożyła teraz w pomrocach więzienia. W innym stanie ducha – odważyłbym się na przerwanie mej udreki – od razu – za pomocą nura w jednej z tych otchłani, lecz w danej chwili byłem najnikczemniejszym tchórzem. Ponadto – nie mogłem zapomnieć o tym, co czytałem z powodu tych studni, a mianowicie – że piekielny geniusz, który tu uknuł swe pomysły, pilnie usunął możliwość śmierci nagłej i niespodziewanej.

Niepokój ducha przez długie godziny zmuszał mię do czuwania, lecz w końcu zmroczył mię sen ponowny. Budząc się ze snu, znalazłem u boku, jak za pierwszym razem – chleb i dzban wody. Trawiło mię skwarne pragnienie, i opróżniłem dzban jednym tchem. Widocznie woda była zaprawiona ziołami, gdyż niezwłocznie po wypiciu zasnąłem nieprzezwyiężenie. Sen mię ogarnął głęboki – sen, podobny do snu wiekuiatego. Nie wiem, jak długo trwał, lecz w chwili, gdy znowu oczy otworzyłem, rozwidniły się wokół przedmioty. Osobliwe, siarkowe światło, którego źródeł wykryć nie mogłem, pozwalało mi oglądać rozmiary i postać mego więzienia. Poblądziłem wielce w ocenie jego objętości. Obwód murów wynosił najwyżej dwadzieścia pięć jardów. Odkrycie to przez minut kilka było dla mnie przedmiotem bezbrzeżnej trwogi – trwogi – zresztą – aż nadto dziecinnej, wpośród bowiem straszliwych okoliczności, które mnie obsaczyły, cóż mogło mniej zaważyć od rozmiarów mego więzienia? Lecz umysł mój przypisywał drobiazgom dziwną doniosłość, toteż z całych sił starałem się zdać sobie sprawę z błędu, który popełniłem w wymiarach.

Pewnej chwili oczywistość odśloniła mi się z szybkością błyskawicy. W czasie pierwszej próby moich badań zliczyłem pięćdziesiąt dwa kroki aż do chwili mego upadku – znajdowałem się

wówczas zapewne o krok lub dwa od strzępu sukna – zaś w rzeczywistości dopełniłem niemal całego okręgu podziemia. Zasnąłem i po ocknięciu trafiłem powrotnie na drogę już przebytą, snując w ten sposób koło po dwakroć bez mała większe od istotnego. Zamęt myśli nie pozwolił mi postrzec, że przy rozpoczęciu mej wycieczki miałem mur – na lewo, zaś przy ukończeniu – na prawo. Z tego też powodu pomyliłem kształty więzienia. Idąc po omacku, trafiłem na mnóstwo węglów i stąd wysnułem wniosek o zupełnej nieprawidłowości – tak dalece bowiem mrok całkowity oddziaływa na tych, którzy zbywają się letargu lub snu! Węgły owe powstały po prostu na mocy kilku drobnych wklęsłości lub skrytek, rozmaicie od siebie odległych. Ogólny kształt więzienia był – kwadratowy. To, com uznał za mur, okazało się teraz żelazem lub innym metalem w ogromnych płytach, których szwy i wiązania tworzyły pozór wklęsłości. Całą powierzchnię tej metalicznej budowy zasnuły plamiście bohomazy wstrętnych i pokalanych godeł, które spłodził mogilny zabobon mnichów. Postaci demonów, pełne groźby – o kształtach kościotrupów i inne, rzeczywistsze potwory kaziły szczelnie całą rozciągłość murów.

Postrzegłem, iż kontury owych monstrów były dość wyraźne, lecz barwy – zblakły i odmieniły się w sobie niby pod wpływem wilgoci. Zauważyłem wreszcie grunt pod nogami: był kamienny. W samym środku ziała okrągła studnia, której paszczy uszedłem, nie było wszakże w więzieniu więcej nad jedną.

Ujrzałem to wszystko niewyraźnie i nie bez wysiłków, ponieważ w czasie snu w położeniu mego ciała zaszła zmiana szczególna. Leżałem obecnie, jak długi, na plecach, mając pod sobą rodzaj zrębu bardzo niskiego drzewa. Byłem doń przywiązany rzetelnie za pomocą długiej szarfy, podobnej do pasa. Szarfa owa kilkakroć okalała mi członki i kibić – pozostawiając jeno swobodę – głowie i lewej dłoni; musiałem mimo to uciec się do najwyższego wysiłku, aby zdobyć jadlo zawarte w glinianym, półmisku, ustawionym w pobliżu – na ziemi. Postrzegłem z przerażeniem – że dzbana już nie było. 2 przerażeniem – powtarzam – ponieważ trawiło mię pragnienie nieznośne. Pomyślałem, iż moi oprawcy zamierzili między innymi aż do oblędu rozjątrzyć owo pragnienie, jadlo bowiem, zawarte w półmisku, było mięsem zapalczywie przyprawionym.

Uniosłem oczy ku górze i jałem badać strop mego więzienia. Był trzydziestu lub czterdziestu stóp wysokości i budową wielce przypominał boczne ściany. Tkwiąca na jednej z jego płyt, osobliwie cudaczna postać przykuła całkowicie moją uwagę. Była to – pędzlem robiona – postać Czasu, jak go się zazwyczaj wyobraża, z tą jeno różnicą, że zamiast kosy dzierzył przedmiot, który na pierwszy rzut oka wziąłem za rysunek olbrzymiego wahadła, jakie spotyka się w starych, pradawnych zegarach. Było jednakże w tym narzędziu coś, co mię zmusiło do przyglądania mu się z większą uwagą. Śledząc je na wprost, z oczyma utwionymi w górze – ponieważ znajdowało się właśnie ponad mną – uroiłem sobie, iż widzę jego poruszenia. W chwilę potem urojenie moje okazało się rzeczywistością. Średnica jego wahań była krótka i ruch, ma się rozumieć, powolny. Baczyłem na nie przez minut kilka, nie bez pewnego rodzaju podejrzeń, lecz przede wszystkim ze zdziwieniem. Znużony wreszcie czuwaniem nad jego żmudnym ruchem, przenieśliem oczy na inne przedmioty więzienia.

Wąty szmer pociągnął moją uwagę – i, skierowawszy wzrok ku ziemi, postrzegłem kilka, biegnących po niej, olbrzymich szczurów. Wynikły z otworu widocznej mi na prawo studni. W chwili właśnie, gdym je oglądał, wzbierały gromadnie, na wyścigi, żarłocznie zerkając, zwabione poswędem mięsiwa. Zużyłem sporo wysiłków i bacności, aby je stamtąd odegnać.

Upłynęło zapewne pół godziny lub nawet godzina – mogłem bowiem czas miarkować jeno bardzo niedokładnie – gdy znów rzuciłem wzrok wzwyż – ponad siebie. To, com, wówczas ujrzał, zmaćło mi myśli i znieruchomiło przerażeniem. Rozmachy wahadła o jard niemal zwiększyły się w średnicy, stąd bezpośrednio wynikała zarówno zwiększona szybkość. Główną wszakże przyczyną mego niepokoju była myśl, że wahadło znacznie się zniżyło.

Nadaremnie bym opisywał przerażenie, z którym podpatrzyłem, że jego dolną kończynę stanowi, połyskujący stalą, półksiężyc długości mniej więcej jednej stopy – od rogu do rogu. Rogi wzwyż się wspinały, zaś dolne zakrzywienie było widocznie tak ostre, jak brzytwa. I jako brzy-

twa zdawał się ciężki i tęgi oraz, poczynając od kończyn, szerzył się w kształt płaski i nieugięty. Przystosowany był do ciężkiego, miedzianego pręta, zaś całość, kołysząc się na przekrój przetrzeni, wydawała poświst.

Nie mogłem dłużej wątpić o losie, który mi zgotowała okrutna wynalazczość mnichów.

Nie uszło domysłów straży inkwizycyjnej wykrycie przeze mnie studni – studni, której okropności zachowano dla tak zuchwałego, jak ja, heretyka – studni, odwzoru piekiel, którą zdanie ogólne uważało za Ultima Thule wszelkiej kaźni tutejszej! Uniknąłem nura dzięki najmniej spodziewanemu zbiegowi okoliczności, a wiedziałem, że sztuka przedzierzganania męki w zasadzkę i niespodziankę stanowiła poważną gałąź tego całego fantastycznego układu potajemnych kaźni.

Tedy, chybiwszy mej zaguby w otchłani, zamiar szatański wyłączał strącenie mię tam wbrew woli. Poślubiono mię przeto – i tym razem bez możliwości wyboru – śmierci odmiennej i łagodniejszej! Uśmiechnąłem się niemal w mej męce na myśl o szczególnym

użytku, którym zrobił z tego słowa.

Po cóż mam mówić o długich, zbyt długich godzinach prerażenia, w których czasie liczyłem rozedrgane kołysania się stali. Piędź po piędzi – źdźbło po źdźble – dokonywała stal stopniowego opadania, pochwytnego zaledwo w przerwach czasu, które mi się zdawały wiekami – i wciąż się opuszczała – wciąż niżej – wciąż niżej. Minęły dni – dni kilka, być może, minęło, zanim stal owa jęła się kołysać do tyła w moim pobliżu, że muskał mię jej dech ostry. Zapach szlifowanej stali wnikał do mych nozdrzy. Błagałem niebo – znużyłem je swoim błaganem – by mi zwoliło szybszego znijscia tej stali. Bezrozumny, oszalały – siłłem się unieść z miejsca, by iść na spotkanie tej straszliwej, przepełnionej ruchem szablicy. A potem zapadałem się nagle w wielką ciszę – i trwałem – rozpostarty, uśmiechając się do błyskotliwej śmierci, jak dziecko uśmiecha się do jakiejś kosztownej zabawki.

Nastąpił ponowny okres zupełnej utraty zmysłów – okres zbyt krótki, gdyż powróciwszy do przytomności, nie zauważyłem, ażeby wahadło zniżyło się zbyt znacznie. Mimo to stać się mogło, iż ów okres czasu był długi, czułem bowiem obecność demonów, które postrzegłszy moje zemdlenie, mogły wedle zachcianek powstrzymać ruch wahadła. Przytomniejąc, doznałem niemocy – o, niewymownej niemocy i znużenia jak na skutek długiego głodu. Nawet wobec trwającej rozpaczy natura ludzka zebrała posiłku. Z dotkliwym natężeniem wyciągnąłem lewą dłoń tak daleko, jak pozwoliły na to więzy, i zawładnąłem ową drobną resztą, którą szczury raczyły mi zostawić. Gdy męś do ust unosił, błysnęło mi w duszy jakieś bezkształtne przecucie radości – nadziei. Atoli – cóż było wspólnego pomiędzy mną a nadzieją? Było to, jak rzekłem, przecucie bezkształtne. Każdy z nas miewa takie przecucia, które się nigdy nie kształtują. Czułem, że jest to myśl o radości – o nadziei, lecz jednocześnie czułem, że jest to myśl martwa w samym zarodku. Na próżno starałem się ją doksztaltować, pochwyć. Długotrwała męka zniściła niemal zwykłe moje zdolności myślenia. Zgłupiałem, zidiociałem.

Ruch wahadła odbywał się w płaszczyźnie, która tworzyła kąt prosty z linią mego ciała. Postrzegłem, że półksiężyc umiejscowiono tak, aby przecinał okolicę mego serca. Zawadzi o sukno mego ubrania – potem powróci i powtórzy swą czynność – jeszcze raz – i jeszcze. Pomimo przerażających rozmiarów zakreślanego łuku (coś w rodzaju stóp trzydziestu, a może i więcej) i pomimo pełnego poświstu rozpędu opadania, który by wystarczył nawet dla przecięcia tych ścian żelaznych, koniec końcem, w przeciągu minut kilku, zawadzenie o moją szatę było wszystkim, co mógł uczynić ów półksiężyc. Na tej myśli zatrzymałem się chwilowo. Nie śmiałem iść dalej poza kres tego rozważania. Utkwiłem na jego szczelbu z uporczywym skupieniem, jak gdybym mógł, dzięki tej uporczywości, na tym samym szczelbu powstrzymać opadanie stali. Staralem się rozmyślać o dźwięku, który „wytworzy półksiężyc, przecinając moje ubranie – o osobliwym wrażeniu, które wywrze na nerwach tarcie tkaniny. Rozmyślałem o tych błahostkach dopóty, dopóki nie doszedłem w tym kierunku do punktu zupełnego zdrętwienia.

Spuszczał się niżej – i jeszcze niżej – i nieustannie niżej. Z zapamiętałą rozkoszą jałem porównywać szybkość jego opadania z szybkością ruchów poprzecznych.

W prawo – w lewo – a potem w dal, w dal – a potem, skomląc jak duch pokutujący powracał ku memu sercu zaczajonym krokiem tygrysa! Śmiałem się i wyłem na przemian w miarę zwyczajstwa tej lub innej myśli.

Coraz niżej – nieodmiennie, bezlitośnie niżej!

Drgał na odległość trzech piędzi od mej piersi! Zrobiłem gwałtowny, szaleńczy wysiłek, aby wyzwolić lewe ramię. Było wolne na przestrzeni pomiędzy łokciem a dłonią. Mogłem przenosić dłoń od stojącego u boku półmiska do ust, z wielkim wysiłkiem – i nic ponadto. Gdybym mógł zerwać więzy powyżej łokcia, pochwyciłbym wahadło i spróbowałbym je zatrzymać. Z takim samym zresztą skutkiem mógłbym próbować powstrzymania lawiny!

Wciąż niżej – nieprzerwalnie – nieuchronnie niżej! Dyszałem ciężko i wilem się wobec każdego drgnienia. Małałem kurczowo przy każdym rozkołysaniu. Oczy moje śledziły wahadło w jego locie wzwyż i w dół z zapalcząwością oglupiałej doszczętnie rozpaczcy – w chwili jego opadania mrużyły się spazmatycznie, pomimo że śmierć byłaby ulgą – o, jakże niewymowną ulgą! A jednak od stóp do głów drżałem na myśl o tym, że wystarczy owemu narzędziu o jeden karb się obniżyć, aby mi zwalić na piersi ten ostry, połyskliwy toporzec. Nic innego, jeno właśnie n a d z i e j a przyprawiła me nerwy o drganie, a całą moją istotę – o kurczenie się w sobie – nic innego, jeno właśnie nadzieja – nadzieja, która triumfuje nawet ca ławie katowskiej – która szepce do ucha skazańcom, nawet w więzieniach Inkwizycji. Stwierdziłem, że mniej więcej dziesięć lub dwanaście kołysań bezpośrednio zderzą ostrze z moją szatą, i z chwilą tego postrzeżenia duch mój wypełnił się bolesną i skupioną ciszą rozpaczcy. Po raz pierwszy od szeregu godzin – od szeregu – być może – dni jałem myśleć. Przyszło mi do głowy, że taśma czy też pas, który mię okalał, był jednolity. Krępował mię sznur z jednego motka. Jedno ukąszenie brzytwy półksiężycą w byle jakim miejscu pasa – winno było rozluźnić go o tyle, że zyskałbym możliwość odmotania go do reszty z mego ciała lewą dłonią.

Ileż grozy w tym razie miała bliskość ostrza! Jakże śmiertelnym w swych skutkach było najłżejsze drgnięcie! Czy liż istniało zresztą prawdopodobieństwo, ażeby braciszkwieoprawcy nie przewidzieli i nie zapobiegli owej możliwości? I czyż można się było spodziewać, ażeby więzy przekreślały mi pierś w kierunku ruchów wahadła?

Drżąc na myśl o zawiedzionej, aczkolwiek wątpliej i prawdopodobnie ostatniej nadziei, dźwignąłem głowę do tyła wzwyż, że ujrzałem wyraźnie moje piersi. Pas ściśle spowijał mi członki i kibić we wszystkich kierunkach prócz drogi, wytkniętej zabójczemu półksiężycowi.

Zaledwie przywróciłem głowie położenie pierwotne, gdy nagle uczułem rozbłysk czegoś, co mogę jeno określić jako niedokształtowaną połowę tej myśli o wyzwoleniu, o której już napomknąłem, a której jedna tylko połowa mgliście świeciła mi w mózgu wówczas, gdym pokarm do warg spalonych unosił. Obecnie myśl w całej pełni zjawiała się przede mną – niepewna, zaledwo do życia powołana, zaledwo ukształtowana, lecz w każdym razie całkowita. Niezwłocznie, z rozpaczliwym wysiłkiem przystąpiłem do jej wykonania.

Od kilku godzin bezpośrednio poblize wzniesienia, na którym leżałem, roilo się po prostu od szcurów. Zgiełkiwe, zuchwałe, żarłoczne – przesywały mię czerwonym ślepiem, jakby wyczekując jeno mego znieruchomienia, aby swój łup ze mnie uczynić. Jakież to pokarm – myślałem – dawała im zazwyczaj ta studnia? Prócz małej odrobiny pożarły wbrew usilnie czynionym przeze mnie przeszkodom – zawartość półmiska. Dłoń moja nabyła nałogowego krążenia tam i z powrotem oraz kołysania się nad półmiskiem – i, po pewnym czasie, machinalna jednostajność ruchu pozbawiła go skutecznego działania. Plugastwo to, gnane żarłocznością, częstokroć kły ostre grążyło mi w palcach.

Ochłapami przesiąglego oliwą i korzeniami mięsa mocno namaściłem więzy – wszędzie, gdziekolwiek mogłem dosięgnąć, po czym cofnąwszy dłoń z ziemi, trwałem bez ruchu i z tchem zapartym.

W pierwszej chwili żarłoczne zwierzaki stropiły się i przeraziły zmianą: zamarciem ruchu. Doznały popłochu i pierzchły precz. Niektóre schroniły się do studni. Trwało to jeno okamgnie-

nie. Niedaremnie liczyłem na ich żarłoczność. Zważywszy, iż trwałem bez ruchu, jeden lub dwa, co zuchwalsze, wpęzły na wzniesienie i jeły węszyć pas. Było to, zda się, hasłem powszechnego natarcia. Nowe stada wychynęły ze studni. Czepiały się drzewa, wbiegały po nim jak po drabinie i secinami płaśły po powierzchni mego ciała. Zgoła ich nie trwożył miarowy ruch wahadła. Unikały jego przelotu i pilnie przykładają zębów do omaszczonego rzemienia. Spieszyły się – rojąc się i pagórzyście kupiąc się na mnie bez ustanku. Zwijały się wokół mego gardła. Ich zimne wargi szukały moich. Zadławił mię na poły ich wzmożony ciężar. Wstręt, któremu jeszcze nazwy nie nadano, wezbrał mi w piersiach i przyprawił o zimne poty, jak przy gwałtownych wymiotach. Jeszcze chwila, a czułem, że skończą się potworne zabiegi. Czułem dobitnie rozluźnienie więzów. Wiedziałem, że zostały przecięte więcej, niżli w jednym miejscu. Z nieludzką stanowczością trwałem – nieruchomy. Nie omyliły się moje rachuby – męki moje nie spełzły na niczym. Po pewnym czasie uczułem – zem wolny. Pas zwiślał strzępami wokół mego ciała. Wszakże wahadło w swym biegu już dotarło do mych piersi. Już przecięło sukno mej szaty. Już przebodło pod nią – koszulę. Jeszcze dwa przeloty – i uczułem ból ostry, przenikający wszystkie moje nerwy. Lecz wybiła godzina zbawienia. Na jedno skinienie mej dłoni – tłum mych oswobodzicieli pierzchnął zgłębliwie. Ruchem spokojnym i stanowczym – obmyślonym a nieznacznym – wymknąłem się – powolny i spłaszczony – kleszczom rzemienia i ciosom szablicy. W tej chwili przynajmniej byłem wolny.

Wolny! – w szponach Inkwizycji! Zaledwo opuściłem mój barłóg przerażeń, zaledwo dałem kilka kroków po ziemi więziennej, a ustał ruch piekielnego narzędzia i niewidzialna siła dźwignęła je wzwyż poprzez pułap. Była to przestroga, która przepełniła mi serce rozpaczą. Każdy mój krok śledzono nieodparcie. Wolny! Śmierci pod postacią męki – wydarłem się jeno po to, aby stać się łupem czegoś, co – ukryte pod jeszcze inną postacią – przerastało śmierć samą. Na myśl o tym pobnąłem kurczowo oczyma wzdłuż ścian żelaznych, które mnie spowiły. Rzecz szczególna – zmiana, której na razie nie mogłem określić dokładnie – odbyła się w komnacie – zmiana niezaprzeczona. Po kilkuminutowym, majaczeń i dreszczów pełnym roztargnieniu, jałem się gubić w nadaremnych i luźnych domysłach. W tym właśnie czasie po raz pierwszy postrzegłem źródło światła siarkowego, które rozwidniało celę. Światło owo wynikało ze szczeliny mniej więcej pół cala szerokości, szczelnie okalającej więzienie u podstaw murów, które w ten sposób zdawały się i naprawdę były całkowicie oderwane od ziemi. Próbowałem, lecz, ma się rozumieć, zgoła na próżno – zajrzeć do tego otworu. Gdym, zniechęcony, powstał – tajemnica przeobrażenia się komnaty odsłoniła się zniennaacka mym domysłem.

Zauważyłem, że chociaż zarysy postaci ściennych były dość wyraźne, barwy za to zdawały się zatarte i niepewne. Barwy te nabrały przed chwilą i co chwila jeszcze nabierały wyraźniejszego i bardziej skupionego połysku, nadającego owym fantastycznym i szatańskim postaciom pozór, który mógłby przyprawić o dreszcz nerwy o wiele od moich mocniejsze. Drapieżnie i złowieszczo migotliwe ślepie demonów wpijały się we mnie z tysiąca zakątków, gdzie się pierwotnie nie spodziewałem ich obecności, i płonęły grobowym zarzewiem ognia, który koniecznie, lecz na próżno chciałem uważać za – urojony.

Urojony! – Dość mi było odetchnąć, aby przywiał nozdrzom wypar rozgrzanego żelaza! Dławiący zaduch szerzył się w więzieniu! Coraz wewnątrzniejszy żar trwał się w ślepiach, utkwionych w mej męce. Coraz możniejsza purpura utwierdzała się na powierzchni tych potwornych, krwawych malowideł! Zbrakło mi tchu! Dyszałem z trudnością! Nie mogłem wątpić o zamiarach mych katów – o! najnielitościwszych – o! najdemoniczniejszych na ziemi! Odkoczyłem daleko od rozżarzonego metalu – ku środkowi więzienia. Wobec grożącej mi zagłady w ogniu myśl o ochłodach studni skusiła mą duszę jak woń balsamu. Rzuciłem się na oślep ku jej śmiertelnym obrzeżom. Wpiłem się wzrokiem w jej głębie.

Blask płonącego sklepienia rozwidniał najtajniejsze jej zakamarki. Lecz oszołomiony przez mgnienie rozum mój wzbraniał się zadumie nad treścią tego, com zobaczył. W końcu – owo ujrzane – wdarło się do mej duszy – przemocą, zwycięsko! Ognistymi zgłoskami wyryło się w

mym przerażonym umyśle! O, stów, słów, aby to wypowiedzieć! O, co za zmora! O! wszelkie zmyły, prócz tej tam jedynej! Z krzykiem odrzuciłem się wstecz od ocembrowania i, ukrywając twarz w dłoniach, płakałem rozpaczliwie.

Upał wzmagął się pośpiesznie – i raz jeszcze dźwignąłem wzwyż oczy, dygocąc jak w febrze. Jedna jeszcze zmiana odbyła się w celi, i tym razem owa zmiana uwidoczniła się kształtem. Początkowo, jak za pierwszym razem, nadaremnie starałem się określić lub zrozumieć to, co się odbywało. Lecz niedługo pozostawiono mnie w mej niewiedzy. Zemsta Inkwizycji, po dwakroć zboczona z drogi, dzięki sprzyjającym mi wypadkom, szła teraz na przełaj i nie było już żartów z Władką Zmór! Komnata więzienna miała kształt kwadratu. Postrzegłem, że dwa z jej kątów żelaznych były teraz – ostre, a przeto dwa inne – rozwarłe. Straszliwa odmiana dopełniała się szybko – z głuchym jękiem i grzmieniem. W okamgnieniu komnata przeobraziła się w czworobok skośny. Lecz nie na tym był koniec przemiany. Nie pożałowałem, nie spodziewałem się końca. Te mury rozżarzone wdziałbym chętnie na pierś moją jako szatę wieczystego uciszenia.

– „Śmierci – rzekłem w duchu – jakiegokolwiek śmierci prócz tej, która w studni czyha!” – Bezrozumny! Jakże się stało, że nie pojąłem, iż studnia jest niezbędna – i że tylko ta studnia uzasadnia obecność płonącego ognia, który mnie oblega. Czyż mogłem się przeciwzić jego żarom? A gdyby nawet tak się zdarzyło – czyż mogłem oprzeć się jego ciśnieniu? A teraz właśnie skośny czworobok zwęzał się, zwęzał z szybkością, która mi nie pozostawiała czasu do namysłu. Jego środek, położony na linii największej szerokości, przypadał właśnie na otchłań ziejącą. Chciałem się usunąć, lecz zwężające się mury nacierały na mnie nieodparcie. Wreszcie nadeszła chwila, gdy poparzone i pokurczone ciało moje zaledwo mogło znaleźć niezbędny dla siebie kęs przestrzeni w chwili, gdy na ziemi więziennej starczyło zaledwie miejsca dla mej stopy. Poniechałem walki, lecz duch mój wyzionął całą swoją mękę w jednym, wielkim, długim, ostatecznym krzyku rozpaczcy. Uczułem, że się chwieję nad brzegiem otchłani – odwróciłem oczy...

I nagle coś, jakby zgłębienie poważnych głosów ludzkich! Wybuch, huragan surmowych dźwięków! Ryk potężny jak ryk piorunów tysiąca! Jakaś dłoń wyciągnięta pochwyciła dłoń moją, gdym – nieprzytomny – zapadał się w otchłań. Była to dłoń generała Lassalle'a.

Armia francuska wkroczyła do Toleda.

Inkwizycja była w rękach swych wrogów.

Król Dżumiec

(opowieść zawierająca pewną alegorię)

Bogowie znoszą i potwierdzają w królach czyny, które są źródłem ich przerażeń, gdy je popełnia motloch.

Buckhurst: „Ferrex et Porrex”.

W noc październikową, około północy, za dostojnego panowania Edwarda III, dwaj majtkowie należący do załogi „FreeandEasy”, kupieckiego dwumasztowca, który kursował pomiędzy Ekluzą (w Belgii) a Tamizą i który w tym czasie zarzucił kotwicę w tej rzece, upajali się swym pobytem w sali pewnej oberży, w parafii św. Andrzeja, w Londynie – która to oberża miała za godło konterfekt – wesołego wilka morskiego.

Sala – mimo lichej budowy, mimo szerniałości od dymu, niskiego pułapu i podobieństwa do wszystkich zresztą karczem onej epoki, w oczach dziwolężnych gromadek rozrzuconych tam i ówdzie opojów, wcale niezgorzej odpowiadała swemu przeznaczeniu.

Wśród owych gromadek dwaj nasi majtkowie tworzyli – najciekawszą, jeśli nie najbardziej godną uwagi.

Ów, co się zdawał pierwotniejszy i towarzysza swego charakterystycznie Udźcem przezywał, niepomiernie też wzrostem owej dwójcy przodował. Miał – bez mała sześć i pół stóp wysokości i nałogowe pochylenie ramion było snadź nieodpartym wynikiem tak niesłychanej postawy. Jego naddatek wzwyż był – bardziej niż zrównoważony innymi skądinąd niedoborami. Był wyjątkowo szczupły – i, zdaniem swych przyjaciół, mógł z powodzeniem zastąpić po pijanemu wstęgę bandery na wierzchole masztu, zaś na czczo – drzewce trójkątnego żagla. Wszakże te i tym podobne żarty nigdy nie poruszały mięśni śmiechu wilka morskiego. Pomimo wybitnych policzków, olbrzymiego i krogulczego nosa, obciętego podbródka, pomimo wreszcie osunięcia się dolnej żuchwy i wypuklizny przeogromnych, białych oczu – wyraz jego oblicza, aczkolwiek napiętnowanego pewną odmianą mrukliwej dla wszechrzeczy obojętności, był nad wszelki opis i nad wszelkie naśladownictwo – uroczyście i poważny.

Młodszy wiekiem majątek całokształtem zewnętrznego wyglądu zgoła wyodrębnił się i odzwajemniał swemu towarzyszowi.

Dwoje nóg kabłąkowatych i przykucliwych dźwigało jego ciężką i krepą osobę, zaś osobliwie krótkie i grube ręce, zakończone pięściami nieprzeciętnych pomiarów, zwisały, kołysząc się na strony, jak łapy żółwia morskiego. Skrzyły się drobne, nieokreślonego koloru, głęboko we łbie osadzone ślepia. Nos znalazł swój stały pochówek w bryle cielska, które oblekało gębę okrągłą, pulchną i czerwoną, a gruba górna warga wygodnie spoczywała na jeszcze grubszej dolnej z wyrazem osobistego zadowolenia, które właściciel obojga zwiększał nałogiem zwilżania swych warg od czasu do czasu jęzorem. Ten, popatrując na swego sąsiada, już to słupiał, już to uśmiechał się szyderczo. I czasem, gdy spojrział mu oko w oko, purpurowiał jak słońce, gdy przed zachodem spogląda ze szczytów skał BenNerisu.

Toć urozmaiconą i przypadków pełną była w pierwszych godzinach nocnych pielgrzymka dostojnej dwójki po oberżach okolicznych. I najsutsze zasoby pieniężne nie przetrwają wieków,

toteż do oberży, o której mowa, przyjaciele nasi pokwapili się z pustą kieszenią. Ni mniej, ni więcej, jeno, w chwili gdy się właściwie opowieść nasza zaczyna, Udziec i jego towarzysz Hugh Tarpaulin siedzieli w pośrodku sali i, wsparłszy obydwaj łokcie na obszernym, dębowym stole, ukryli twarze w dłoniach.

Udzieliwszy bezpiecznego schroniska zawartości okazałej butli nie opłaconego zgoła hummingstuffu, nie bez zdziwienia i nie bez oburzenia zerkali ukosem na złowieszcze wyrazy: „Nic na kredę”, kreślone na ścianie kredą – tą bezczelną kredą, która ma śmiałość zaznaczenia swej nieobecności.

Nie dlatego, iżby zdolność czytania kreślonych liter, uchodząca wśród ówczesnego tłumu za nieco mniej kabalistyczną od sztuki onychże kreślenia – mogła być, ściśle biorąc, policzona za winę obydwom wychowańcom morza, lecz, mówiąc po prawdzie, była w kształcie liter jakowaś pokrętność, a w całości rodzaj trudnego do opisanie – wykolejenia, które, zdaniem obydwu marynarzy, zapowiadały jakąś przekłętą klęskę i słotę i wobec których postanowili natychmiast obydwaj – według metaforycznej umowy Udźca – czuć przy pompach, zwinąć żagle i dybać przed się wbrew wiatrom. A zatem, wysączywszy resztę ale'u i gruntownie zapiawszy swe kubraki, porwali się ostatecznie ku drzwiom. Tarpaulin, co prawda, po dwakroć nawiedził wnętrze kominika, nie odróżniając go od drzwi, lecz koniec końcem ucieczka powiodła się szczęśliwie i w pół godziny po północy dwaj nasi bohaterzy paradowali na wietrze, raźnie krocząc poprzez ciemną uliczkę w kierunku schodów Sw. Andrzeja, ścigani z zapalem przez oberżystkę Wesołego Wilka Morskiego.

Na wiele lat przed i po epoce, w której odbywa się ta opowieść dramatyczna, w całej Anglii, a przede wszystkim w stolicy, rozlegał się okrzyk złowrogi:

Dżuma! Stare Miasto było po większej części wyludnione i w tych straszliwych, z Tamizą sąsiadujących dzielnicach, wpośród zaułków i przecznicy ciemnych, wąskich a brudnych, które Demon Dżumy, jak wówczas przypuszczano, obrał na miejsce swoich narodzin – nie można było, nawet krocząc jak najdumniej, spotkać nic prócz Przerazeń, Lęków i Zabobonów.

Dzielnice owe z rozkazu króla zostały wyklęte i nie wolno było nikomu – pod karą śmierci – przenikać do ich okropnych samotni.

Mimo to – ani dekret monarchy, ani olbrzymie zapory, wznoszone w progach ulic, ani możliwość potwornej śmierci, niemal w okamgnieniu pochłaniającej zuchwalca, którego żadne niebezpieczeństwo nie mogło zniechęcić do przygód – nic nie powściągało dłoni nocnych opryszków od ogałacania pustych i bezludnych domostw z żelastwa, miedzi, ołowiu i wreszcie ze wszelkiego rodzaju przedmiotów, które mogły stać się źródłem jakiegokolwiek zysku.

Co zima, przy dorocznym usuwaniu zapór, stwierdzano szczegółowo, że zamki, rygle i skrytki podziemne zbyt niedostatecznie strzegły sutych zapasów wina i likierów, które – wobec trudności i niebezpieczeństw towarzyszących zmianie miejsca – spora część pewnych kupców – posiadaczy sklepów okolicznych pod musiem konieczności na czas wygnania powierzyła tak niedostatecznej poręce.

Wszakże mało kto wśród zdjętego przerażeniem motłochu uważał owe czyny za dzieło rąk ludzkich. Duchy i Gobeliny moru, Demony febry były zdaniem tłumu rzeczywistymi sprawcami klęski, i raczono się wzajem a nieustannie mrozącymi krew baśniami o nich, tak iż całe mnóstwo napiętnowanych budynków zgroza na czas długi osnuła na kształt całunu, sam zaś opryszek, częstokroć zmartwiały od zabobonnego a własnymi grabieżami wywołanego strachu, obszerny okręg wyklętej dzielnicy pozostawiał na pastwę – ciemnościom, milczeniom, dżumie i śmierci.

Właśnie u jednej ze straszliwych a wyżej już wspomnianych zapór, która przekleństwem znaczyła przestrzeń poza sobą, Udziec i czcigodny Hugh Tarpaulin, którzy na łeb na szyję wtoczyli się w zaułek, spotkali nagłą swym poskokom przeszkodę. Nie było nawet mowy o odwrocie, a nie było czasu do stracenia – ze względu na tę okoliczność, iż pogoń wisiała im niemal nad karkiem. Dla rdzennych marynarzy wdrapanie się na z gruba ciosaną ścienicę znaczyło tyle, co splunięcie od niechcenia. Podjudzeni dwoistym zagrzewkiem gonyty i likierów, odważnie przeskoczyli na

tamtą stronę, po czym, ponawiając swój bieg pijany z dodatkiem krzyków i ryków, zaprzepaścili się wkrótce w onych zawitych i wyziewnych otchłaniach.

Gdyby nie to, iż byli pijani aż do utraty najniezbędniejszych zmysłów, groza położenia sparaliżowałaby im chwiejne kroki. Chłód i mgła trwały w powietrzu. Na wysokiej i tęgiej murawie, która sięgała im po kostki, bruk wyważony leżał w bezładzie piekielnym. Zwaliska domów zagradzały ulice. Najsmrodliwsze i najśmiertelniejsze wyziewy panoszyły się wszędy – i dzięki owej bladej jaśni, która nawet o północy wysnuwa się zawsze z atmosfery oparnej i dżumnej, można było rozpoznać – poległe w alejach i zaułkach lub gnijące w domostwach bez okien – ścierwo opryszków nocnych, których dłoń dżumy znieruchomiła w chwili spełniania ich czynności.

Wszakże takie oto obrazy, wrażenia i przeszkody nie były w mocy powściągnąć biegu dwóch drabów, którzy w ogóle, a tej nocy szczególnie odważni, pełni po gardła otuchy i hummingstuffu, nieustraszenie wtoczyliby się w samą paszczę śmierci po linii tyle prostej, ile na to stan ich obecny przyzwalał. Przodem – wciąż przodem biegł złowrogi Udziec, budząc echa uroczystej pustki porykiem, podobnym do straszliwego, wojennego wycia Indian, zaś u jego boku – wciąż i wciąż toczył się przysadzisty Tarpaulin, uczepiony do kubraka zręczniejszego odeń towarzysza, i prześcigał nawet najwaleczniejsze tego ostatniego wysiłki w sztuce wokalne – za pomocą kontrabasowych porykiwań, dobytých z suteren swych płuc gromowładnych.

Dotarli oczywiście do samego gniazda dżumy. Z każdym krokiem, a raczej z każdym koźlim skokiem świat przed nimi stawał się coraz groźniejszy i coraz bardziej zapowietrzony, a ścieżki coraz węższe i coraz bardziej zwiłkane. Olbrzymie kamienie i bele spadały od czasu do czasu ze skołatanych dachów, aby swym ciężkim i bolesnym upadkiem świadczyć o niezwykłej wysokości budynków dookolnych, i gdy trza było sił przyłożyć dla utorowania drogi poprzez częste usypiska gruzów, zdarzało się nieraz, iż dłoń ich zmacała szkielet lub ugrzęzła w pognitych zwłokach.

Wtem – ni stąd, ni zowąd – marynarze nasi potknęli się o próg obszernego budynku o wyglądzie złowieszczym.

Przenikliwszy, niż dotąd, poryk wyrwał się z gardzieli oczajduszy Udźca, a zawtórzyl mu od wewnątrz pośpieszny, niezwłoczny wybuch dzikich, demonicznych okrzyków – niemal pogrzmień śmiechu.

Nie ulekłszy się owych dźwięków, które samym swym rodzajem w podobnym miejscu i w podobnej chwili zdołałyby zmrozić krew w piersiach objętych mniej cokolwiek bezpowrotnym pożarem, dwaj nasi opoje podanym ku dołowi łbem ubodli drzwi, wyważyli je i runęli w sam środek czegoś nieokreślonego, klnąc przy tym niemilosiernie.

Sala, do której wpadli, okazała się spichrzem przedsiębiorcy uroczystości pogrzebowych, lecz rozwarta w narożu podłogi, w pobliżu drzwi, kłapa ukazywała cały przestrzał piwnic, których zagłębła, jak głosił brzęk tłuczonych butelczyn, były godnie zaopatrzone w swą tradycyjną zawartość. Na środku sali sterczał stół, na środku stołu tkwiła przesadnie wielka waza, pełna, według wszelkiego prawdopodobieństwa, ponczu. Butle wina i likieru na równi z garncami, dzbanami i lampkami wszelakiego kształtu i wszelakiego rodzaju obficie były rozrzucone tu i ówdzie po stole. Wokół stołu na kobyłkach spod trumien siedziało towarzystwo z sześciorga złożone osób. Postaram się opisać je po kolei.

Naprzeciw drzwi i nieco powyżej reszty towarzystwa siedziała osobistość, mająca pozory przodownika uczyty. Była to istota odarta niemal z ciała, olbrzymiego wzrostu, i Udziec osłupiał, ujrzawszy wręcz większego od siebie chudziaka. Twarz onej istoty była żółta jako szafran. Żaden atoli rys, z wyjątkiem jednego – jedyne, nie był tak wybitny, aby zasługiwał na opis poszczególne. Owym rysem jedynym było czoło, tak anormalnie i tak potwornie wysokie, iż można je było przyrównać czepcowi lub obręczy mięsnej, przyłataney do głowy rzeczywistej. Wyraz upiornego ugrzecznienia fałdował jej koślawiącą się gębę, a ślepie, jak ślepie wszystkich biesiadników, jarzyły się ową osobliwą szklistością, o którą przyprawia wypar pochłoniętych trunków. Odziany był ów jegomość od stóp do głów w płaszcz z czarnego, suto haftowanego aksamitu, który nie-

dbale falował wokół jego postaci na kształt hiszpańskiej opończy. Głowę miał obficie najeżoną karawaniarskimi pióropuszcami, którymi potrzasał w przód i w spak z nieporównanie przesadną chępliwością, zaś w prawej dłoni dzierżył kość udową ludzką olbrzymich rozmiarów, którą właśnie przed chwilą, jak się zdaje, zdzielił jednego z członków zgromadzenia na znak, iż go do śpiewu powołuje.

Naprzeciwko onego jegomości, plecami do drzwi zwrócona, tkwiła jejmość, która mu zgoła nie ustępowała cudacznością swego oblicza. Choć wzrostem dorównywająca opisanej przed chwilą osobistości, nie miała wszakże powodów do uskarżania się na przeciwną przyrodzeniu chudość. Najwidoczniej była w ostatnim okresie puchliny wodnej i kształt jej wielce przypominał olbrzymią baryłę paździenikowego piwa, która – z odbitym u góry dnem – stała tuż obok jej boku, w zakątku komnaty. Twarz jej była osobliwie okrągła, czerwona i obrzmiała, i ta sama odrębność, a raczej brak odrębności, o którym już nadmieniałem z powodu przodownika uczyty, piętnował jej oblicze – mianowicie jeden tylko rys jej twarzy zasługiwał na opis szczegółowy.

Stało się, iż przenikliwy Tarpaulin zauważył niezwłocznie ogólną oznakę, którą można było zastosować do wszystkich członków towarzystwa: każdy zdawał się zagarniać na wyłączną własność jeden ułamek twarzy. Dla jejmości, o której mowa, ułamkiem owym była – gęba, gęba, która poczynając od prawego ucha, szerzyła się aż do lewego, zakreślając po drodze przeraźliwą otchłań tak, że jej nazbyt krótkie zausznicze zwilżały się co chwila w owym przepastnym otworze. Jejmość wszakże nie szczędziła wszelkich ze swej strony zabiegów, aby ustom przestrzegać domknięcia i zachować godność swej postaci. Strój jej stanowił – świeżo nakrochmalony i odprasowany kir, który jej sięgał aż do podbródka, oraz marszczona kryza z powiewnego batystu.

Po jej prawym boku siedziała tycia młódka, która się zdawała przewodniczyć zebraniu.

Ta zwiewna, drobna istota – drzeniem przesmutklonych palców, sińcami warg i przejrzystym, gorączkowym wypiekiem, piętnującym jej ołowianą skądinąd cerę, zdradzała widoczne oznaki rozszałanych suchot. A jednak znamię dostojnego wykwintu jaśniało w całej jej postaci. Z wdziękiem i zgoła niewymuszenie nosiła na sobie obszerny i nadobny całun z na wskroś wytwornego, indyjskiego samodziału. Warkocze falą kędziorów spływały jej na karczek. Słodki uśmiech igrał na jej ustach, lecz nos bezgranicznie wydłużony, cieniuchny, węzowo skrętny, gibki i opryszczony zwisał o wiele poniżej dolnej wargi. I ów ryjek, mimo powabu, z jakim go przemiejscowiwała od czasu do czasu i usuwała językiem już to na prawo, już to na lewo – nadawał jej twarzy wyraz wcale niedwuznaczny.

Po drugiej stronie – po lewicy jejmości, dotkniętej wodną puchliną, siedział kusy staruch – obrzmialec, astmatyk i podagryk w jednej osobie. Policzki jego wylegiwały się na ramionach jak dwa wielgaśne bukłaki wina z Oporto. Z dłońmi skrzyżowanymi, z jedną nogą, zasobną w opatrunek i gwoli spoczynku złożoną na stole – miał snadź – pozór człowieka, który czuje prawo do pewnego szacunku. Najwidoczniej czerpał sporo dumy z każdego cała swej przyrodzonej powłoki, lecz osobliwych zadowoleń dostarczało mu ściąganie uwagi powszechnej na swój jaskrawej barwy surdut. Surdut ów niezaprzeczenie kosztował go niemało pieniędzy i samym swym rodzajem sprawiał, że mu w nim było wielce do twarzy. Użyto nań jednej z tych jedwabnych, po mistrzowsku haftowanych tkanin, stanowiących przynależność chwalebnych godeł, które w Anglii i w innych krajach wieszają w miejscu łącno widocznym, ponad domami wielkich rodzin, w czasie ich nieobecności.

W pobok niego, po prawicy przodownika uczyty, tkwił jegomość w długich, białych pończochach i bawełnianych majtkach. Całą jego osobą wstrząsała smieszliwie drgawka nerwowa, którą Tarpaulin przeżywał śmiertelną ciągotę pijaństwa. Jego świeżo wygolone żuchwy krępował ściśle bandaż muślinowy, a ręce, w ten sam sposób przewiązane w napiąstkach, ujmowały mu swobody osobistego posługiwania się zastawą likworów, którą to przezorność, zdaniem Udźca, uzasadniał osobliwie zbydlęciały wyraz jego twarzy hulaszce. Mimo to para niezwykłych USZU, których bez wątpienia nie mógł trzymać na uwiesi, prężyła się ku górze i od czasu do czasu podrygiwała spazmatycznie na odgłos każdego strzelającego s butli korka.

Przeciwny mu – szósty a ostatni osobnik miał wzór osobliwej drętwy i, dotknięty paraliżem, czuł lię chyba nieswojo w nazbyt niedogodnej szacie. Był rzydziany (przydzwiek zapewne jedyny w swym rodzaju) w powabną trumnę ze świeżego całkiem maloniu. Na czasce jego – na kształt hełmu – wspieał się kraniec wieka i przysłał go, jak rodzaj kapura, nadając twarzy wyraz trudnej do opisanja zalotności. Rękawy zastąpiono wydrążonymi z dwu stron utworami, tyleż dla wygody, ile dla elegancji. Lecz ubiór ten chwilami wzbraniał nieszczęsnemu strojnikowi tkwić prosto na swym miejscu na wzór reszty towarzyszóv i, ponieważ przystawiono go do kobyłki w pochyleniu pod kątem czterdziestu pięciu stopni, tedy obydwie jego obszerne a wybaluszone źrenice – wywracały się i miały swe straszliwe, białawe gomóły ku pułapom, jakby do cna zdumione własnym ogromem.

Przed każdym biesiadnikiem w zastępstwie kielicha stał półczerep ludzki. Nad ich głowami wisiał kościotrup na sznurze, przewiazanym wokół jednej z jego nóg i przytwierdzonym do pierścienia tkwiącego w suficie. Druga noga, wolna od podobnej uwięzi, pod kątem prostym odstrychnęła się od całości, zniewalając pogmatwany i dygotliwy szkielet od pługów i piruetów, ilekroć powiew wiatru torował sobie ujście przez salę. Czaszka onego straszdyła zawierała niezbędną małość płonących żuzli, które na wszystką dookolność rzucały światło migotliwe, lecz silne. I trumnice, i wszelki dobytek przedsiębiorcy pogrzebowego, spiętrzony wokół komnaty i u okien, nie pozwalał żadnemu promieniowi wysliznąć się na ulicę.

Na widok tego dziwaczego zgromadzenia i jeszcze dziwaczniejszych sprzętów, dwaj nasi marynarze nie zachowali całkowitego poloru, którego można było po nich się spodziewać. Udziec, wsparłszy się o ścianę, popod którą był się znalazł, opuścił dolną żuchwę jeszcze niżej, niż zazwyczaj, i swe olbrzymie oczy rozwarł, ile mógł, na oścież, podczas gdy Hugh Tarpaulin, pokładając się aż do zrównania poziomu swego nosa z płaszczyzną stołu i uczepiwszy się dłońmi za własne kolana, wybuchnął zgoła zbyt czynnym i niewczesnym śmiechem, który to śmiech był raczej pełnym dalszych ciągów, hucznym a ogłuszającym porykiem.

Wszakże, nie zrażony tak wyjątkowym nieokrzesaniem, wybujały przodownik uczył powitał nieproszonych gości wielce uprzejmym uśmiechem, obdarzył ich pełnym godności skinieniem czarno upierzonej głowy i, powstawszy, ujął każdego pod ramię i zaprowadził do siedliska, które właśnie przed chwilą reszta pozostałych biesiadników sporządziła ku ich potrzebie. Udziec niczemu się bynajmniej nie opierał i usiadł tam, gdzie mu wskazano, podczas gdy zalotny Hugh, usuwając swą kobyłkę z honorowego za stołem miejsca, przeniósł wspomniany przybór do poblizka drobnej, w całun'wystrojonej suchotnicy, z tęgą radością grzmotnął się tuż obok niej na siedzenie i, czerwonym winem napelniwszy czerep, wyłopnął go do dna na cześć najściślejszej znajomości. Lecz owo napomknienie sprawiło, iż sztywny jegomość w trumnicy okazał coś w rodzaju szczególnego a najwyższego rozdrażnienia. Mogłyby stąd wyniknąć poważne następstwa, gdyby przewodniczący, grzechocząc po stole swym berłem, nie skupił uwagi obecnych następującą przemową:

– Szczęśliwa sposobność, która się nadarza, obowiązuje nas...

– Słuchaj no, ty! – przerwał Udziec, niezmiernie poważniejąc w twarzy – słuchaj no krztynę czasu, coc gadam, i powiedz nam, co wy za jedni jesteście, u kaduka, i dokoła jakiej roboty krzątacie się tam, postrojoni niczym czarci z kałuży, i żłopiący niezgorszą gorzałę naszego czcigodnego druha, Willa Wimble'a – karawaniarza – oraz wszystkie jego, na zimowe leże uciulane, zapasy!”

Wobec tej nie do wybaczenia próbki złego wychowania, całe dziwaczne zgromadzenie na wpół porwało się z siedzeń i pośpiesznie wygardłowało huf diabelskich okrzyków, podobnych do tych, które pierwotnie przykuły uwagę marynarzy.

Przewodniczący wszakże pierwszy odzyskał zimną krew i po chwili, z wielką godnością zwracając się do Udźca, rzekł:

– Jedynie w drodze najwyższej naszej łaski zadośćuczynimy słusznej ciekawości tyle znamienitych, aczkolwiek nieproszonych gości. Niechże wam tedy będzie wiadomo, iż jestem monarchą

tego państwa i panują tu bezpodzielnie pod imieniem króla Dzumca Pierwszego. Sala niniejsza, którą zbyt niesłusznie posądzaście o przynależność pod postacią kramu Willowi Wimble'owi, przedsiębiorcy uroczystości pogrzebowych – istocie, nam nie znanej, a której plebejuszowskie nazwisko nigdy – aż do nocy obecnej – nie uraziło naszych uszu królewskich – sala mniejsza, powtarzam, jest Salą Tronową naszego Pałacu przeznaczoną na miejsce obrad naszego królestwa oraz na inne czynności świętej a wyższej dziedziny.

Dostojna Pani, która naprzeciwko zasiadła, jest królową Dżumą, naszą Jaśnie Oświeconą Małżonką. Inne prześwietne oczom waszym dostępne osoby z naszego są rodu i w swych czcigodnych imionach noszą oznakę królewskiego pochodzenia: Jego łaskawość Arcyksiążę ZaDzumieniec, Jego łaskawość książę PoMór, Jego łaskawość książę MuchoMór i jej Wysokość Jaśnie Oświecona Arcyksiężna AMorowa. Co się zaś tyczy – dodał – waszego pytania odnośnie do spraw, nad którymi tu obradujemy, niechże nam wolno będzie odrzec, iż należą one do naszych królewskich i osobistych zabiegów i, nie mając innej przynależności, nikogo prócz nas stanowczo nie obchodzą. Lecz, zważywszy owe względy, których moglibyście żądać jako goście i cudzoziemcy, raczmy nadto wam wyjaśnić, iż tej nocy, zasobni w głęboką wiedzę i sumienne badania, zebraliśmy się gwoili doświadczenia, analizy i określenia raz na zawsze niepochwytniej treści, niepojętych zalet oraz istoty wewnętrznej owych nieocenionych skarbów podniebienia, jakimi są wina, ales'y i likiery tej tu przewybornej stolicy – i ażeby, tak oto czyniąc, nie tylko dokonać powziętego zamiaru, lecz i zwiększyć jednocześnie rzetelne zyski owego władcy, który nie z tego jest świata, który nam wszystkim króluje, którego państwo nie ma granic, a którego imię jest – Śmierć!

– Którego imię jest Davy Jones! – zawołał Tarpaulin, podając pobliskiej damie pełen czerep likieru i nalewając sobie – drugi.

– Nieuk, do niczego! – rzekł przewodniczący, zwracając z kolei uwagę na czcigodnego Hugh'a. – Nieuk i wisus szkaradny! Otośmy rzekli, iż uwzględniając owe prawa, do których pogwałcenia nawet w tej nikczemnej osobie zgola nie byliśmy skłonni, raczyliśmy odpowiedzieć na twe nieokrzesane i niewczesne zapytanki. Wszakże sądzimy, iż wobec bezprawnego z waszej strony wściubstwa do przedmiotu naszych obrad obowiązkiem z naszej strony jest – skazanie was obu – ciebie i twego towarzysza – na karę przelknięcia jednego dla każdej gardzieli cebrzyka blacfestrap'u, który wychylicie za dobrobyt naszego królestwa – jednym tchem i na klęczkach, po czym niezwłocznie wolno wam będzie – jednemu i drugiemu – wyruszyć w dalszą drogę lub pozostać i korzystać w przywilejów naszego stołu, wedle osobistych a stosownych upodobań.

– Uważałbym za bezwzględnie niemożliwość – odparł Udziec, któremu postawa i godność króla Dzumca Pierwszego narzuciły widocznie uczucie niejakiego szacunku i który, powtarzamy, wsparł się na stole w chwili, gdy ów przemawiał – uważałbym, nie urażając Waszej Królewskiej Mości, za bezwzględną niemożliwość obładowanie mojej kajuty nawet ćwiercią onego likieru, o którym Wasza Królewska Mość wspomniała. Pomijając milczeniem wszelaki nabytek, którego na kształt balastu – przysporzyliśmy skoro świt naszym pokładom, i nie wymieniając przeróżnych ales'ów i likierów, w które – skoro zmierzch – zaopatrzyliśmy się w rozmaitych przystaniach, dźwigam na razie obfity ładunek hummingstuffu, pobrany a nadający się do opłatyw gospodzie „Pod Wesołym Wilkiem Morskim”. Niechże Wasza Królewska Mość raczy być tyle łaskawą, aby uwzględnić ową okoliczność. Nie mogę bowiem i nie chcę pod żadnym pozorem przelknąć jednej nawet ponad miarę kropli, tym bardziej kropli onych nikczemnych mętów dna okrętowego, którym godnie mogę przyrównać blackstrap.

– Zamknij no gębę! – przerwał Tarpaulin, tyleż zdumiony dłużyzną tyrady, ileż rodzajem odmowy swego przyjaciela. – Zamknij no gębę, marynarzu wód przaśnych! Prędkoż zakneblujesz swą sopluczkę,

Jak ci rzekę, Udźcze? Moja barka jeszcze jest lekka, chociaż co do ciebie – wyznaję, iż mi się wydajesz zbyt nieco od wierzchołka przeciążony. Wracając zaś do ładunku – nuże! Za czym pozbawiać się jednego ździebła, znalazłbym dlań raczej miejsce na swym pokładzie, ale...

– Tego rodzaju układ – przerwał przewodniczący – zgoła przeczy literze wyroku lub też potępienia, które w swej istocie jest po medyjsku bezpowrotne, niezmiennie i nieodwołalne. Albo warunki, przez nas podane, będą spełnione dosłownie i bez chwili zwłoki, albo – w przeciwnym razie rozkażemy związać was razem za szyję i za pięty i utopić jako rozkoszan w tej tam beczce piwa październikowego!

– Oto – wyrok nad wyroki! – Co za wyrok!

– „Słuszny, sprawiedliwy wyrok!” – „Dekret iście chwalebny!” – „Wielce godne, wielce bezzaradne i wielce świątobliwe pokaranie!” – wrzasnęli wszyscy razem członkowie rodziny Dżumców. Król uświetnił swe czoło niezliczonymi fałdami. Karzełkowaty a leciwy podagryk odął się jak miech. Dama w samodzielnym całunie – rozważała swój nos w prawo i w lewo. Jegoć w majtkach wprawił swe uszy w podrygi. Jejmość w kirze rozwarła pysk jak ryba w chwili śniecia, zaś osobnik w trumnie mahoniowej jeszcze bardziej zeszywniał i wyrzucił oczy ku pułapom.

– Hu, hu! – ryczał Tarpaulin, zanosząc się od śmiechu bez względu na ogólne zamieszanie. – Hu, hu, hu! – Hu, hu, hu! – Toć rzekłem przed chwilą, gdy właśnie król Jegomość Dżumiec wściubił swoje trzy grosze, iż różnica dwóch lub trzech cebrzyków poniżej lub powyżej miary jest drobiażdżkiem dla takiej jak ja, przedniej i rzetelnej barki, ile nie jest zbyt przeładowana – lecz, gdy chodzi o wychylenie kieliszka za zdrowie (odpuść mi, Boże!) Diabła i o trwanie na klęczkach wobec pokalanego a obecnego tutaj Majestatu, o którym wiem tak samo dobrze, jak o własnej przynależności do cechu rybackiego, iż nie jest zawołał drobnoustrojowy podagryk. jęknęła Arcyksiężna AMorowa. wycedził jegomość z przewiazanymi

niczym innym, jeno błaznem Tomkiem Hurlygurly, o! w takim razie – inna to zgoła sprawa, która przechodzi moje siły i moje rozumienie.

Nie dane mu było spokojnie dokończyć przemowy. Na dźwięk imienia Tomka Hurlygurly wszyscy biesiadnicy porwali się z miejsc.

– Zdrada! – zawył Najjaśniejszy król Dżumiec Pierwszy.

– Zdrada! – zawołał drobnoustrojowy podagryk.

– Zdrada! – jęknęła Arcyksiężna A-Morowa.

– Zdrada! – wycedził jegomość z przewiazanymi zuchwami.

– Zdrada! – mruknął osobnik w trumnie.

– Zdrada, zdrada! – wrzasnęła Jej Królewska Mość – niewiasta z paszczą – i, ułapiwszy za tylną portek okolicę nieszczęsnego Tarpaulina, który się właśnie zakrzętał wedle napęnienia likierem czerepu ku własnej potrzebie, sprężyście uniosła go do góry i z pominięciem wszelkich względów wrzuciła do pakownej, otwartej beczki, pełnej po brzegi ulubionego przezeń ale'u. Szamocząc się przez kilka chwil, jak jabłko w wazie todody, Tarpaulin koniec końcem dokonał całkowitego zniknięcia w rozkłębach piany, którą szereg jego wysiłków utworzył, ma się rozumieć, w płynie, już z przyrodzenia łatwo pienistym.

Wszakże marynarzobrzyd nie pogodził się z widokiem porażki swego druha. Cisnąwszy króla Dżumca na złamanie karku do rozwartych drzwi piwnicznych, waleczny Udziec zatrzasnął gwałtownie drzwi nad nim, klnąc na przydatek, i rzucił się w sam środek sali. Tam – zrywając szkielec zawieszony ponad stołem, pociągnął go ku sobie z taką siłą i z tak dobrym skutkiem, że zdołał w tej samej chwili, gdy zgasły na sali ostatnie promienie światła, zmiażdżyć łeb kusemu podagrykowi. Poskoczywszy ku nieszczęsnej beczce, pełnej październikowego ale'u i Tarpaulina, wyrzucił ją w okamgnieniu tak, iż się potoczyła. Zionął stąd potop likieru tak wściekły – tak rozrukany, tak wszechogarniający, że zalał salę od ściany do ściany, wyrzucił stół wraz z całą zawartością, kobyłki spod trumien zwałił – jedną na drugą – wazę ponczu pogrążył w kominku, a damy – w spazmach. Stosy sprzętów pogrzebowych poszły w rozsypkę. Kielichy, dzbany i butle w plecionkach z sitowia pogmatwały się w straszliwym bezładzie, zaś flasze, łożyną opatulone, zderżyły się z łagwiami, opancerzonymi szpagatem. Człeczyna z ciągotą z miejsca w falach utonała – drobny jegomość paralityk – wygodnie płynął w swej trumnicy, a zwycięski Udziec, w pół

porwawszy otyłą jejmość w kirze, wyskoczył wraz z nią na ulicę i posterował wprost w kierunku „FreeandEasy”, pilnie przestrzegając prądów wiatru i holując straszliwego Tarpaulina, który, trzykroć lub czterokroć kichnąwszy, sapał i dyszał tuż za nim w towarzystwie Arcyksiężnej AMorowej.

Maska śmierci szkarłatnej

Śmierć Szkarłatna od dawna pustoszyła ową krainę. Nigdy dzuma nie bywała tak nieodparta, tak straszliwa. Jej oznaką widomą była – krew – czerwień i szkarada krwi. Towarzyszyły jej bóle ostre, nagły zawrót głowy, a potem – obfity przez wszystkie pory wyciek potów i rozłaka z życiem.

Purpurowa plamistość ciała, a szczególnie twarzy – usuwała ofiarę poza koło żyjących, pozabawiając jej wszelkiej pomocy i wszelkiego współczucia. Napad, rozwój i skutek choroby były sprawą półgodzinnych zabiegów.

Atoli ksiązę Prospero – szczęśliwą miał gwiazdę, nieustraszone serce i umysł przenikliwy. Gdy dzuma na wpeł wyludniła jego obszary, zwołał tysiąc dzielnych, chwackiego przyrodzenia druhów płci obojej, wybranych spośród rycerzy i dworak jego świty, i wraz z nimi usunął się od świata w ustronną samotnię jednego ze swych warownych opactw. Był to obszerny i wspaniały budynek, twór iście książęcy, w stylu cudacznym, a wszakże godnym podziwu. Tęgi a wysoki mur przysparzał mu obwodu. Ów mur spizową miał bramę. Świta, zaledwo przedostawszy się do wnętrza, z pomocą pieców i krzepkich młotów zalutowała rygle. Postanowiono zawarować się przeciw nagłym zakusom rozpaczy od zewnątrz i zamknąć wszelki odwrót weselnym szalom od wewnątrz. Opactwo było suto zaopatrzone w żywność. Dzięki tym środkom ochronnym dwór księcia mógł drwić z zarazy. Ludność po tamtej stronie muru wedle sił i możliwości krzątała się dokoła swego zbawienia. Cokolwiek miało się zdarzyć, wszelka troska i wszelka zaduma była obecnie – szaleństwem. Ksiązę wszystkim dostarczył źródeł uciechy. Byli tam wesołkowie, byli zonglerzy, tancerze, grajkowie, był czar pod wszelką postacią, było – wino. Wewnątrz – zbiór wszelakich cudów i bezpieczeństwo. Zewnątrz – Śmierć Szkarłatna. Na schyłku piątego czy szóstego miesiąca swego pobytu w warownych zaciszach, a w chwili najzapalczywszego po tamtej stronie murów srożenia się kłęski – stało się, że ksiązę Prospero uraczył tysiąc swych druhów płci obojej balem maskowym niesłychanego przepychu.

Co za rozkoszna to była maskarada! Lecz niechże mi wprzód dane będzie opisać komnaty, w których się spełniła. Było ich siedem – w głównym przestrzale pałacu.

W wielu zamkach ten szereg komnat tworzy długą, w prostej linii perspektywę, gdy skrzydła drzwi są na oścież, aż do zetknięcia się z obojgiem ścian rozwarte, tak że wzrok biegnie bez przeszkód do końca. W danym razie było zgoła inaczej, jak można się tego było spodziewać po księciu i po jego pochopnym do dziwów umyśle. Komnaty miały rozkład tak nieprawidłowy, iż oko nie mogło naraz ogarnąć więcej nad jedną. W odstepie dwudziestu lub trzydziestu jardów zjawiał się nagły zakręt – i przy każdym zakręcie – widok nowy. Po prawej i lewej stronie – w pośrodku każdej ściany wysokie a wąskie okno gotyckie wychodziło na ślepy korytarz, żłobiący się zgodnie z zawiłym rozkładem komnat. W każdym oknie tkwiły szyby o barwach, zastosowanych do głównego tonu w ozdobach komnaty należącej do okna. Na przykład – komnata we wschodnim skrzydle zamku miała obicie błękitne i okna z ciemnego błękitu. Drugą z kolei zdobiła i oblekała purpura, tedy szyby były purpurowe.

Trzecia – do cna zielona z zielonymi oknami. Czwartą w stroju pomarańczowym – pomarańczowe rozwidniały okna. Piąta – biała. Szósta – fioletowa.

Siódmą komnatę sztywnie oblekał czarny aksamit, przesłaniając całe sklepienie i mury, i ciężkimi zwojami opadając na dywan z teje tkaniny i tej samej barwy. Atoli w tej wyjątkowej komnacie barwa okien nie odpowiadała wnętrzu. Szyby były szkarłatne, o skrzęcej barwie krwi.

Tedy – w żadnej z siedmiu komnat – wśród gęstwy obficie rozrzuconych lub przypiętych do lamperii ozdób ze złota – nie było ani lampy, ani kandelabrow. Ani lamp, ani świec. Ani śladu jakichkolwiek w tym rodzaju rozwidnień w całym długim szeregu tych komnat. Wszakże w okalających je korytarzach, tuż pod każdym oknem tkwił olbrzymi trójnog z płonącym zarzewiem, którego promienie przenikały poprzez barwne szyby, rześnistym brzaskiem olśniewając komnatę. Stąd był dostatek mieniących się barwą i fantastycznych widoków.

Wszakże oświetlenie komnaty zachodniej, owej czarnej komnaty, kędy brzask zarzewia przez krwawe szyby strumieni! się po czarnych aksamitach, było złowieszczostraszliwe i przydawało twarzom zabląkanych do wnętrza śmiałków wyraz tak dziwny, że szczupła jeno garstka tancerzy zdobywała się na odwagę postawienia swej stopy w magicznym przybytku tej komnaty.

W tej samej właśnie komnacie – u zachodniej ściany – stał olbrzymi zegar hebanowy. Wahało jego kołysało się z głuchym, ciężkim, jednostajnym tykaniem i gdy wskazówka minutowa dokonała swego wokół tarczy obiegu, a godzina miała zadzwonić, z mosiężnych płuc olbrzyma dobywał się dźwięk czysty, donośny, głęboki i nad wyraz melodyjny, lecz o tonie tak swoistym i tak napiętym, że grajkowie kapeli co godzina musieli zaprzestawać na mgnienie swych akordów, aby słuchać gry godzin – tancerze wbrew woli poniechiwali swych wirowań. Chwilowy popłoch ogarniał wesołą gromadę – i widziano, jak przez cały czas brzmienia kurantów najzuchwalsi – bledli, a najstarsi wiekiem i najdojrzałsi umysłem prowadzili dłonią po czole niby w zadumie lub w gorączkowym majaczeniu. Lecz gdy ostatnie echo zamarło, skrzydlaty śmieszek przelatał po całym zgromadzeniu. Grajkowie spoglądali po sobie i, uśmiechając się na myśl o własnej wrażliwości i nierozsądku, ciszką przyrzekali sobie nawzajem, że następny śpiew kurantów nie wyrze na nich podobnego wrażenia, a później – po upływie sześćdziesięciu minut, brzemienych trojgiem tysięcy i sześciorgiem dziecin sekund dopełnionej godziny, następował nowy śpiew nieodpartych kurantów i powtarzał się ten sam popłoch, ten sam dreszcz, te same majaczenia.

Wszakże na przekór tym przerwom, orgia odznaczała się wesołością i przepychem. Upodobania księcia były zgoła osobliwe. Miał oko wprawne w dziedzinie barw i efektów. Pogardzał wszelkim decorum mody. Jego zamiary były zuchwałe i dzikie, a pomysły olśniewały przepychem barbarzyńskim. Byli tacy, którzy go posądzali o szaleństwo. Jego dworzanie czuli dobrze, iż tak nie jest. Wszakże trzeba było słyszeć go, widzieć i obcować z nim bezpośrednio, aby się upewnić, iż tak nie jest.

Ze względu na tak wielką uroczystość, sam przeważnie zarządzał doborem ruchomych sprzętów w siedmiu komnatach i nakaz jego upodobań osobistych narzucił styl przebraniom. Doprawdy, były to pomysły dziwolężne. Było to wprost – wspaniale, olśniewające! Była w tym – pokusa i fantazja – wiele z tego, co potem ujrzano w Hernanim. Były postacie całkiem arabeskowe, postrojone nedorzecznie, ukształtowane na przekór wszelkim prawidłom – dziwne potworne jak majaki. Było tam pod dostatkiem czaru, rozpusty i wybryków – źdźbło zgrozy i obfitość szkarady. Słowem, była to cizba zmór, które kroczyły napuszyć się – po siedmiu komnatach. I zmory owe wyprawiały wszelkiego rodzaju łamańce, brocząc barwami komnat – i rzekłbyś, iż spod ich stóp wysnuwały się dźwięki muzyki i że dziwaczne akordy kapeli były echem ich kroków.

A od czasu do czasu z komnaty aksamitnej dolatał rozdzwoniony śpiew hebanowego zegara. I wówczas – na okamgnienie wszystko nieruchomiało – wszystko milkło prócz głosu zegara. Zmory stygły, drętwiały w swych ruchach.

Lecz oto – echa kurantów zamierały – ich śpiew trwał jeno chwilę – i zaledwo pierzchły, a już skrzydlaty i nie dotłumiony śmieszek trzepotał się wszędy. I znowu grzmiała kapela, i ożywiały się zmory – i kurczyły się w tak wesołych podrygach, jak nigdy, przyswajając sobie barwy okien, poprzez które strumieni! się pożar trójnogów.

Lecz żadna z masek nie śmiała już zabląkać się do komnaty, która tkwiła tam – na samym zachodzie – noc się bowiem zbliżała, i wzmożone w swej czerwieni światło napływało od przekrwionych szyb, a kruczość żałobnych draperii nabrała grozy. I dla śmiałka, który dotknął stopą

żałobnych dywanów, zegar hebanowy rozbrzmiewał cięższym i uroczyściej potężnym śpiewem kurantów, niżli dla uszu masek wirujących w beztroskiej oddali pozostałych komnat.

Komnaty owe roły się od ludzi i życie tętniło w nich gorączkowym wrzieniem. Wir wesela trwał nieustannie, aż wreszcie północ wybiła na zegarze. Wówczas, jak już rzekłem, kapela zamarła. Kołowrotny rozpęd tancerzy – ustał i, jako dawniej, wszystko zaprawiło się trwożnym znieruchomieniem. Jeno tym razem krtań zegara miała dwanaście do wydzwonienia uderzeń – tedy łącno stać się mogło, iż więcej myśli wkradło się do zadumy tych, którzy wśród ciżby uczujących podejmowali się – myślenia. I zapewne dla tej samej przyczyny niektóre z ciżby osoby, zanim jeszcze ostatnie echa ostatniego uderzenia rozfajały w ciszy, zdążyły wypatrzeć obecność maski; która dotąd zgoła nie ściągnęła na siebie uwagi. I gdy szeptem podano sobie dokoła wieść o tym najściu, powstał wśród ciżby porozumiewawczy zgiełk i pomruk zdziwienia i niezadowolonia – a po nim nastąpił w końcu dreszcz strachu, zgrozy i wstrętu.

Trzeba było niewątpliwie aż nazbyt niezwykłego zjawiska, aby wywrzeć takie wrażenie na ciżbie takich, jak je opisałem, widziadeł. Swoboda zapustna tej nocy była wprawdzie bez mała nieograniczona, lecz osobistość, o której mowa, prześcignęła pomysły Herodowe i przekroczyła względne skądinąd granice nakazanych przez księcia pozorów. W sercu ludzi najbardziej nieczułych są struny, które lada dotyk porusza.

Nawet w duszy najbezpowniejszych zatraceniów – tych, dla których śmierć i życie jest zarówno igraszką, tkwi coś, z czym grać nie można. Całe zatem zgromadzenie zdawało się do głębi wyczuwać niesmaczność i niewłaściwość zachowania się oraz ubioru nieznanego gościa. Osobistość była smukła i chuda, od stóp do głów opatulona w całun. Maską tającą oblicze tak trafnie wyobrażała twarz zeszywniałego trupa, że najszczegółowsze badanie z trudem wykryłoby fortel. Mimo to – wszyscy rozbawieni hulajdusze mogliby, jeśli nie pochwalić, w każdym razie ścierpieć ów żart potworny. Wszakże maska posunęła się aż do przyswojenia godeł Śmierci Szkarłatnej. Jej ubiór był pokalany krwią, a jej wysokie czoło oraz wszystkie zarysy twarzy były zbryzgane straszliwym szkarłatem.

Gdy oczy księcia Prospera padły na tę postać widmową, która ruchem powolnym, uroczystym i napuszonym, jakby dla utrzymania się w roli, kroczyła tu i tam wpośród tancerzy, zauważono w pierwszej chwili, że pokurczył go gwałtowny dreszcz strachu czy też wstrętu, lecz w mgnieniu potem – czoło jego spurpurowiało od gniewu.

Kto śmie – zapytał głosem ochryplym stojących w pobliżu dworzan – kto śmie nam uragać tymi bluźnierczymi drwinami? Pochwyćcie go i pozbawcie maski, abyśmy poznali, kogo – skoro świt – mamy na murach stryczkiem pokarać?

A gdy to mówił, znajdował się książę Prospero w komnacie wschodniej, czyli błękitnej. Słowa jego donośnie i wyraźnie zabrzmiały po wszystkich siedmiu komnatach, gdyż książę był nieugięty i krzepki W sobie, zaś kapela zamarła na jego skinienie.

A stało się, że w komnacie błękitnej przebywał książę mając po bokach świtę pobladyłych dworzan.

Początkowo, gdy mówił, świta nieznacznym ruchem pokwapiała się ku natrętowi, który przez chwilę był dostępny, a który obecnie krokiem śmiałym i majestatycznym zbliżał się coraz do księcia. Atoli pod wpływem jakiejś nieokreślonej trwogi, która ogarnęła całe zgromadzenie na widok niedorzecznego zuchwalstwa maski, nie było nikogo, co by dłoń na niej położył, tak że nie znajdując żadnych przeszkód zjawiony przeszedł tuż o dwa kroki od księcia i podczas gdy niezliczone tłumy, jakby jednakiemu posłuszne odruchowi, odplynęły od środka komnaty ku murom, szedł dalej – bez przerwy – tym samym uroczystym i miarowym krokiem, który go przed chwilą cechował, z komnaty błękitnej do komnaty purpurowej – z komnaty purpurowej – do komnaty zielonej – z zielonej do pomarańczowej – z owej do białej – z tej zaś do fioletowej, zanim poruszono się, aby go stanowczo zatrzymać.

Wówczas jednak stało się, że książę Prospero, rozjątrzony gniewem i wstydem chwilowego tchórzostwa, rzucił się na oślep poprzez sześć komnat, dokąd nikt za nim nie pośpieszył, gdyż

strach śmiertelny o władnął całym tłumem. Potrząsając obnażonym mieczem, zbliżył się na odległość trzech czy czterech kroków do uchodzącego zjawu, gdy nagle ów ostatni, dotarwszy do krańca komnaty aksamitnej, odwrócił się zniemacka, stawiając czoło swemu prześladowcy. Rozległ się krzyk przenikliwy – i miecz, błysnąwszy, ześliznął się na żałobne dywany, gdzie księżę Prospero padł martwy w chwilę potem.

Wówczas, zdobywając się na ślepą odwagę rozpacz, tłumy masek rzuciły się społem do czarnej komnaty – i schwyciwszy nieznajomego, który na kształt wyniosłego posągu trwał wyprostowany i nieruchomy w cieniu hebanowego zegara, doznały strachu bez nazwy stwierdzając naocznie, że pod całunem i pod trupią larwą, których pochwycenie kosztowało je tylu nadludzkich wysiłków żaden kształt namacalny nie ma swego pobytu.

Rozpoznano wówczas obecność Śmierci Szkarłatnej. Przyszła jako złodziej nocny. I wszyscy biesiadnicy – jeden po drugim – padli w komnatkach hulaszczym, skropionych rosą krwawego chrztu, i każdy skonał w rozpaczliwych odruchach swego upadku.

I życie w zegarze hebanowym zamarło wraz z życiem ostatniego z tych wesołych chwatów. I żary trójnogów wygasły. I Ciemność, i Ruina, i Śmierć Szkarłatna rozpostarły wszędy swą władzę nieograniczoną.

Hop-Frog⁵⁰

Nigdy nie znałem nikogo, kto by miał większy zapał i popęd do żartów niż ów dzielny król. Najpewniejszą drogą do zdobycia jego łaski było wygłoszenie⁵⁰ przedniej dykteryjki o błazeńskim pokroju i wygłoszenie umiejętnie. Dla tej właśnie przyczyny siedmiu jego ministrów wyróżniało się krotochwilnym usposobieniem. Wszyscy byli ukształtowani wedle królewskiego pierwowzoru – rozumiej: przestronną tuszę, dostatnie otłuszczenie i nieporównaną do błazeństwa zaprawność. Czy krotofilność tuczy, czy też przeciwnie – tłuszczyk zawiera w sobie jakowąś do krotofilności pochopność – jest to kwestia sporna, której nigdy nie mogłem rozstrzygnąć raz na zawsze, atoli pewnik to nieprzeparty, iż dowcipnemu chudziakowi przynależy się miano *rara avis in terris*⁵¹.

O wszelakie odcienie lub chuchnięcia umysłu, jak je sam przeżywał, król dbał mało. Darczył żart osobliwym podziwem za rozmach wszecz i znosił nawet rozrost wzdłuż przez miłość dla samej sztuki. Nużyły go domyślniki. Bardziej mu dogadzał Gargantua Rabelais'go aniżeli Zadig Woltera, zaś ponad wszystko figle czynne o wiele jeszcze więcej, niż żarty słowne, przypadają mu do serca.

W czasach, do których opowieść niniejsza należy, wesołkowie zawodowi niezupełnie wyszli z obiegu na dworach. Niektóre z wielkich potęg kontynentu, zachowywały jeszcze swych śmieszeków – byli to nieszczęśliwcy w pstrokatych szatkach, strojni kołpakami z brzękadłami, którzy musieli zawsze mieć w pogotowiu trafne a wytworne słówka, aby ich dostarczyć na skinienie w zamian za ochłapy spadające ze stołu królewskiego.

Nasz król posiadał, ma się rozumieć, swego wesołka.

Niezaprzeczenie czuł on potrzebę czegoś w rodzaju szalu – gwoli zapewne zrównoważenia ociężałej mądrości siedmiu rajców, którzy byli jego ministrami, że pominę tu własną jego osobę.

Wszakże jego głupi Janek, jego wesołek zawodowy nie był tylko głupim Jankiem. Wartość jego miała potrójną doniosłość w oczach królewskich 2 powodu, iż był jednocześnie karłem i kulawcem. W onych czasach karły były na dworach tak samo w użyciu, jak głuptaskowie, i niejednemu monarsze spędzanie czasu wydałoby się nazbyt utrudnione (czas na dworach Jest rozciąglejszy niż gdzie indziej) – bez błazna, który by go do śmiechu pobudzał, i bez karła, który by śmiał się z tego śmiechu. Atoli właściwością wszystkich owych błaznów, jak to już zaznaczyłem, była – otyłość, okrągłość i ociężałość, toteż dla króla naszego niewyczerpanym źródłem dumy stało się posiadanie w osobie HopFroga – tak się nazywał wesołek – potrójnych skarbów w jednym zespole.

Sądzę, iż imię HopFroga nie miało nic wspólnego z tym, którego mu na chrzcie udzielono, lecz było jednogodnie nadane z ramienia siedmiu ministrów z powodu, iż nie potrafił kroczyć zwykłym trybem ludzkim. I rzeczywiście HopFrog mógł się jeno poruszać w zakresie czegoś, co można nazwać marszem z przerywnikami! – coś pośredniego pomiędzy drygiem a skurczem – rodzaj truchtu, który dla króla był niewyczerpaną rozrywką i, ma się rozumieć, źródłiskiem uciechy, gdyż mimo wydatnego kałduna i tykwiaatego od przyrodzenia łba król w oczach całego dworu uchodził na niezwyklego piękniusia.

⁵⁰ HopFrog znaczy Żabi Skok.

⁵¹ *Rara avis in terris* (łac.) – rzadki ptak na ziemiach.

Wszakże, chociaż HopFrog wskutek krzywizny nóg z wielkim jeno trudem mógł kroczyć po ziemi lub wzdłuż posadzki, przedziwna krzepkość mięśni, którymi natura, jakby gwoli odszkodowania nieudolności dolnych części jego ciała, obdarzyła jego dłonie, pozwalała mu na niejedyn pokaz podziwu godnej zręczności wobec takich przeszkód, jak drzewa, powrozy lub cokolwiek dostępnego pochwyceniu rąk. W chwili tych ćwiczeń miał raczej pozór wiewiórki lub kusej małpy aniżeli żaby.

Nie umiałbym powiedzieć na pewno, skąd HopFrog pochodził. Przybył bez wątpienia z jakiejś krainy barbarzyńskiej, o której istnieniu nie było nawet słyów – z krainy niezmiernie odległej od dworu naszego króla. HopFroga i pewną młodą dziewczkę, mniej nieco od niego karłowatą, lecz nadzwyczaj kształtną i doskonałą tancerkę – pozbawił ognisk domowych w prowincjach ościennych i przesłał w darze królowi jeden z jego ulubionych zwycięskich wodzów. Nic więc dziwnego, że w takich okolicznościach ścisła przyjaźń powstała pomiędzy obojgiem niewolników. I rzeczywiście – stali się wkrótce dozgonnymi przyjaciółmi. HopFrog pomimo usilnego oddania się sztuce błazeńskiej zgoła nie zdobył wziętości i przeto nie mógł Tripecie zbyt znacznych udzielać przysług, lecz ona dzięki swym urokom i niepokalanej piękności karlicy uzyskała powszechny podziw i tkliwą opiekę, posiadała tedy spore wpływy i nigdy – byle sposobność – nie omieszkała z nich korzystać na rzecz swego ukochanego HopFroga.

Z powodu, nie wiem już jakiej, ale bardzo doniosłej uroczystości król postanowił wyprawić bal maskowy, zaś ilekroć na dworze zdarzały się maskarady lub inne w tym rodzaju zabawy, tylekroć talentom Hop

Froga i Tripety dawano nieodzowne zastosowanie. HopFrog w szczególności był tak wynalazczy w dziedzinie zdobnictwa, tworzenia nowych larw i ubiorów maskaradowych, że zdawało się, iż bez jego udziału nic udać się nie może.

Nadeszła noc na zabawę przeznaczona. Pod okiem Tripety ozdobiono wspaniałą salę, nie szczędząc wszelkiej możliwej pomysłowości, aby przydać blasku maskaradzie. Cały dwór trwał w gorączkowym oczekiwaniu. W sprawie ubiorów i ról każdemu, jak łatwe zgadnąć, pozostawiono wybór wolny. Sporo osób na tydzień lub nawet na miesiąc z góry określiło rodzaj upatrzonogo dla się przebrania i koniec końcem nikt się nie ociągał i nie namyślał zbytnio prócz króla i jego siedmiu ministrów. Czemuż się wahali? Nie umiałbym odpowiedzieć na to pytanie – chyba że był to jeszcze jeden naddatkowy fortel uknutej zabawy. Prawdopodobnie trudno im było pochwycić w lot swe pomysły, ile że byli tak wybitnymi otylcami! Tak czy owak – czas upływał i, uciekając się do ostatniego środka, posłali po Tripetę i HopFroga.

Dwaj mali druhowie, stawiając się na rozkaz króla, stwierdzili, iż ten ostatni po królewsku chłonie wino z pomocą siedmiu członków swej poufnej rady, mimo to monarcha zdawał się zdradzać brak humoru.

Wiadomo mu było, że HopFrog unika wina, gdyż ów trunek przyprawiał biednego kulawca o stratę zmysłów, zaś strata zmysłów zgoła nie jest wesołym środkiem trafego samopoczucia. Król jednak lubował się we własnych swoich wybrykach i powziął ucieszny zamiar zniewolenia HopFroga do wypitki czyli, jak zwykł mawiać, do zjednania w e s o łości.

– Pójdź tu, HopFrog! – zawołał w chwili, gdy błazen wraz ze swoją towarzyszką wkroczył do komnaty – żłopnij no mi tę oto szklenicę za zdrowie nieobecnych przyjaciół waszych – (tu HopFrog westchnął) – i obsłuż nas swoją wyobraźnią! Brak nam typów – charakterów, mój chłopcze! Brak czegoś nowego – niezwykłego! Znużyła nas ta wieczna jednostajność. Nuże, pij! Wino rozżarzy twój geniusz.

HopFrog usiłował swoim zwyczajem odrzucić trafne słówko ku rozbrojeniu króla, lecz wysiłek był ponad możność. Był to właśnie dzień urodzin nieszczęsnego karla i rozkaz picia za zdrowie nieobecnych jego przyjaciół wycisnął mu łzy z oczu. Kilka sporych a gorzkich kropli skapnęło do kielicha, który pokornie przejmował z rąk swego tyrana.

– Cha, cha, cha! – zaryczał ten ostatni, gdy karzeł z odrazą kielich opróżnił. – Widzisz, czemu podola jedna lampka dobrego wińska? Juści – ślepie twoje już się żarzą!

Biedne chłopaczysko! Jego szerokie źrenice skrzyły się raczej, niż żarzyły, gdyż wino na ten pobudliwy umysł działało zarówno krzepko, jak niezwłocznie. Drżącą dłonią utwierdził kubek na stole i powiódł po obecnych wzrokiem niemal obłądnym. Całe zgromadzenie zdawało się bawić na schwał pomyslnym wynikiem królewskiego konceptu.

– A teraz – do roboty! rzekł pierwszy minister, otylec niepomierny.

– Tak! – pochwyił król – Nuże, HopFrog, udziel nam twej pomocy! Typów, piękny chłopcze! Charakterów! Pożądamy charakteru! Pożądamy wszyscy! Cha, cha, cha!

I ponieważ tkwiły w tych słowach poważne zabiegi dokoła kalemburu, tedy wszyscy siedmiu zawtórzili chórem śmiechowi królewskiemu. Zaśmiał się też i HopFrog, lecz słabym i roztargnionym śmiechem. – Prędeż, prędeż! – naglił król zniecierpliwiony. – Czyż na żaden pomysł nie wpadasz?

– Usiłuję wpaść na jakiś pomysł niepowszedni wybąkał karzeł jak nieprzytomny, gdyż wino zgoła go obłąkało.

– Usiłujesz? – wrzasnął tyran drapieźnic. – Co rozumiesz pod tym słowem? A! pojmuję... Jegomość się dąsa, jegomość jeszcze wina się napiera! Masz, złopnij to!

I król znowu kielich napełnił i – napełniony po brzegi – podał kulawcowi, który spozierał i dychał jak zziąjany.

– Pij, powtarzam! – gwałtował potwór. – Lub na szatana!...

Karzeł wahał się... Król spurpyrowiał od wściekłości. Dworzanie uśmiechali się okrutnie. Tri-peta trupio blada zbliżyła się aż do siedliska monarchy i, padłszy przed nim na kolana, jęła błagać, aby oszczędził jej przyjaciela.

Tyran przez chwil kilka mierzył ją wzrokiem, osłupiały zapewne na widok takiego rozzu-chwalenia. Nie wiedział, zda się, co ma rzec i co uczynić ani też – jakich słów doborem nastarczyć swemu oburzeniu. Wreszcie, nie uroniwszy ani jednego słowa, z całą przemocą odepchnął ją precz od siebie i bluznął jej w twarz zawartością pełnego po brzegi pucharu.

Biedna karlica z wysiłkiem powstała na nogi i, nie śmiejąc nawet westchnąć, powróciła na swe miejsce u podnóża stołu.

Przez pół minuty trwała cisza śmiertelna, wśród której posłyszałbyś spadanie liścia lub pierza. Ciszę ową przerwał rodzaj głuchego, lecz rdzawego i długiego zgrzytu, który się zdawał wylęgać ze wszystkich naraz kątów pokoju.

– Dlaczego – dlaczego – dlaczego tak hałasujesz? – spytał król z rozszalałym gniewem zwracając się do karła.

Ten ostatni zdawał się poniekąd trzeźwieć i tępo, lecz ze spokojem patrząc twarz w twarz tyranowi, zawołał z prostotą:

– Ja? – Ja? – A skądże takie przypuszczenie?

– Zdaje roi się, iż dźwięk od zewnątrz dolata zauważył jeden z dworzan – mam wrażenie, że to papuga w oknie ostrzy dziób o sztaby klatki.

– Masz słuszność – odpowiedział monarcha z oznaką wielkiej ulgi wywołanej owym domysłem – wszakże, na mój honor rycerski przysięgam, że ów nędznik tak pozgrzytywał zębami. Na te słowa karzeł jął się zaśmiewać (król był zbyt ślepym miłośnikiem żartów, aby pomyślał czymkolwiek śmiechem) – i wyszczerzył szeroki, potężny i groźny sznur zębów. Co więcej – oświadczył, iż gotów jest wysączyć dowolną ilość wina. Udobruchał się monarcha, zaś HopFrog bez najmniejszego przymusu pochłonawszy jeszcze jedną szklenicę, zakrzętał się natychmiast i z zapalem dokoła pomysłów maskaradowych.

– Nie mogę wytłumaczyć – zauważył bardzo przytomnie, jakby mu wino nigdy w głowie nie szumiało – jak się ów zbieg myśli odbywa, lecz bezpośrednio po tym, jak Wasza Królewska Mość zdzieliła pięścią karlicę i twarz jej winem oplwała – bezpośrednio po tym, jak Wasza Królewska Mość dokonała wspomnianego czynu, oraz w chwili, gdy papuga na dworze wytwarzała ów zgiełk osobliwy, przyszedł mi do głowy figiel przedziwny, który stanowi jedną ze zwyczajowo-

wych mego kraju zabaw, a z którego częstokroć korzystamy dla naszych maskarad, tu zaś będzie on bezwzględna nowością. Niestety – figiel ów wymaga towarzystwa z ośmiu złożonego osób, więc...

– Tam do licha, jest nas ośmiu! – zawołał król, podkreślając śmiechem swój wytworny wynalazek. – Ośmiu – bez reszty! Ja – i siedmiu moich ministrów. Nuże, cóż to za figiel?

– Nazywamy to – rzekł kulawiec – ósemką skutych orangutangów – i jest to zaprawdę gra czarująca, o ile trafi na przednich wykonawców.

– My ją osobistym obdarzymy wykonaniem – odrzekł król prostując się i mrużąc oczy.

– Czar tej zabawy – ciągnął dalej HopFrog – polega na popłochu, który szerzy wśród niewiast.

– W to nam graj! – ryknęli chórem monarcha i jego ministerium.

– Nikt inny jeno ja przebiorę was za orangutany – mówił dalej karzeł – zaufajcie mi na ślepo we wszystkim. Podobieństwo będzie tak dokładne, iż wszystkie maski wezmą was za rdzenne bydłeta i, ma się rozumieć, zdradzą tyleż przerażenia, ile podziwu.

– O, to wprost porywające! – zawołał król – HopFrog, wy kierujemy cię na ludzi!

– Kajdany mają na celu – wzmożenie rozgardiaszu swym szczękiem. Najlepiej w tym razie odpowiada wam pozór zgrai, która wymknęła się dłoniom swych pogromców. Wasza Królewska Mość nie może sobie wyobrazić owego zamętu, który ósemka skutych orangutangów, prawdziwych dla większości zgromadzenia zwierząt, wytworzy na balu maskowym swym pełnym dzikich poryków rozpędem poprzez tłumy zalotnie i zbytkownie postrojonych mężczyzn i kobiet. Kontrast, który nie ma sobie równego.

– Niechże tak będzie! – rzekł król, i rada – ponieważ było już późno – powstała pośpiesznie z swych miejsc, aby przystąpić do wykonania pomysłu HopFroga. Pomysł przeobrażenia tych wszystkich ludzi w orangutangi był wielce prosty, lecz aż nadto odpowiadał jego celom.

W czasach, o których mowa w niniejszej opowieści, rzadko widywano tego rodzaju zwierzęta w tych lub innych częściach cywilizowanego świata i ponieważ larwy, przez karła zmajstrowane, były pod dostatkiem drapieżne i bardziej niż pod dostatkiem wstrętne, tedy zdaniem wszystkich można było zaufać stopniowi podobieństwa.

Króla i jego ministrów wtłoczono najpierw w giezła i trykoty obcisłe. Potem – otynkowano ich smołą. W tym okresie kolejnych zabiegów ktoś z gromady poddał myśl opierzenia. Wszakże myśl tę bez ogródki odrzucił karzeł, który niezwłocznie i pogłądowo przekonał dostojną ósemkę, iż len o wiele wierniej naśladuje sierść takich jak orangutang zwierząt. Na tej więc zasadzie do pokostu smoły dodano gruby pokost lnu. Zaopatrzono się wówczas w długi łańcuch. Po czym okolono nim biodra królewskie i pozbawiono króla władzy. Następnie przerzucono łańcuch na innego członka ósemki i również pozbawiono go władzy, po czym kolejno i w ten sam sposób obezwładniono resztę. Gdy ukończono ową z łańcuchem mitręgę, wszyscy ośmiu utworzyli koło, usuwając się nawzajem od siebie na możliwie sporą odległość i, dla dopełnienia pozorów, HopFrog pozostałą resztę łańcucha przeciągnął poprzez obwód koła w kształcie dwóch pod kątem prostym skrzyżowanych średnic – zgodnie z obyczajem, który po dziś dzień uprawiają w Borneo łowcy szympansów lub innego grubego zwierza.

Olbrzymia sala, gdzie bal się miał odbyć, była komnatą okrągłą, bardzo wysoką, a której promieni słonecznych udzielało jedno tylko okno w suficie. Noeą (sala była wyłącznie na nocny przeznaczona użytek) oświetlano ją przytwierdzonym łańcuchami do środka ramy olbrzymim pajakiem, który podnosił się lub opuszczał za pomocą zwykłych ciężarów. Te ostatnie, aby nie psuć wytwornej całości, znajdowały się poza sklepieniem, na dachu. Zdobnictwo sali pozostawiono dozorowi Tripety, która w kilku szczegółach Uległa, zda się, milczącym nakazom swego druhakarła. Za jego to poradą dla obecnej uroczystości ściągnięto pajak ku górze. Nieuniknione w tak zagrzewnej atmosferze upływ wosku dotkliwie by uszkodził bogate stroje gości, którzy wobec przeludnienia sali nie mogliby ominąć jej środka, czyli podwładnej pajakowi dziedzi-ny. W rozmaitych częściach sali utwierdzono nowe kandelabry opodal tłumem zajętej przestrzeni

i po jednej wonnym kadzidłem dymiącej pochodni przydano do prawicy każdej z owych kariatyd, które piętrzyły się popod murami, a których Ogółem było pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt.

Ósemka orangutangów, posłuszna radzie HopFroga, cierpliwie odraczała swój występ na chwilę, gdy sala po brzegi wypełni się maskami, to znaczy – na godzinę północną. Nie zdążył wszakże zegar dokonać swych uderzeń, a już członkowie ósemki wpadli, a raczej wtoczyli się pokotem – niektórzy bowiem dzięki pętom łańcucha poupadali, wszyscy zaś zaznaczyli swe wejście potykaniem się o własne nogi. Wzruszenie masek było – niesłychane, i serce królewskie na ów widok rosło z radości. Zgodnie z przewidywaniem pokaźna ilość gości uwierzyła, iż te istoty o pyskach drapieźnych, jeśli nie są czystej krwi orangutangami, należą wszakże do określonego skądinąd rodzaju zwierząt prawdziwych. Niektóre niewiasty pomdlały z przerażenia, i gdyby król nie wzbronił zapobiegliwie wszelkiego oręza, i on, i jego zgraja przypląciłaby krwią własny figiel. Słowem – powstał gromadny natłok ku drzwiom. Król wszakże dał rozkaz, aby drzwi zamknięto natychmiast po jego wejściu, zaś klucze – zgodnie z poradą karła – oddano mu do rąk własnych.

Podczas gdy zgiełk doszedł do szczytu, a każda maska jeno o własnym przemyśliwała ocaleniu, ponieważ – koniec końcem – w tym popłochu i w tej ciżbie niebezpieczeństwo stało się rzeczywistością, ujrzano nagle, iż łańcuch, na którym wisiał pajak, a który zgoła wściągnięto, opuszcza się i opuszcza aż do chwili, gdy jego w hak zagięta kończyzna dosięgła trzech stóp odległości od ziemi.

W chwilę potem, król i jego siedmiu druhów, kłębem przebiegłszy salę we wszystkich kierunkach, znaleźli się wreszcie w jej środku i w bezpośredniej z łańcuchem styczności. Podczas, gdy tak właśnie trwali, karzeł, który nieustannie szedł za nimi w ślady, upominając, aby się strzegli zbyt wstrząsów ciałem, pochwycił ich łańcuch w miejscu skrzyżowania dwóch jego po średnicy przewiązanych części. Wówczas z błyskawiczną szybkością umocował doń bak, na którym zazwyczaj wisiał pajak, i w okamgnieniu, jakby niewidzialną siłą porwany, łańcuch wzbił się ku górze o tyle, że hak stał się niedosiężny i, ma się rozumieć, pociągnął za sobą cały zespół orangutangów – tkwiących – twarz w twarz – jeden naprzeciw drugiemu.

Tymczasem maski zaniechały poniekąd swego popłochu i, ponieważ jeły patrzeć na to wszystko jak na zręcznie uknuty figiel, wybuchły przeto gromkim śmiechem na widok zajętego przez małpy stanowiska.

– Mnie ich jeno powierzcie! – zawrzasnął wówczas HopFrog, a jego głos przenikliwy górował nad zgiełkiem. – Mnie ich jeno powierzcie! Zdaje mi się, że znam ich osobiście. Niech no j a tylko dobrze się im przyjrzę, a powiem wam natychmiast, co to za jedni!

Tedy, nogami i rękami kłusując po głowach ciżby, dosięgnął tym trybem muru, po czym, porwawszy pochodnię z rąk jednej z kariatyd, tym samym trybem powrócił na środek sali, z małpią zwinnością wskoczył na łeb królowi i wpelznął po łańcuchu na wysokość stóp kilku, nachylając pochodni dla zbadania zgrai orangutangów i wrzeszcząc nieustannie:

– Odgadnę wkrótce, co to za jedni!

I podczas gdy całe zgromadzenie, nie wyłączając małp, skręcało się od śmiechu, błazen zagwizdał przeraźliwie.

Natychmiast łańcuch uleciał ku górze na stóp mniej więcej trzydzieści, porywając za sobą przerażone orangutangi, które wszczęły po drodze jakiś spór wzajemny, i udzielając im trwania w powietrznym zawieszaniu pomiędzy stropem a ramą. HopFrog, uczepiony za łańcuch, wraz z nim pomknął w górę i, zachowując niezmiennie swoje względem ośmiu maszkar stanowisko, wciąż chylił ku nim pochodnię, jakby usiłując zgadnąć, co to za jedni być mogą?

Na widok owego wniebowzięcia wszyscy obecni tak osłupieli, że wynikłe stąd uroczyste milczenie trwało mniej więcej minutę. Przerwał je wszakże dźwięk głuchy, rodzaj zgrzytu rdzawego jako ów, który już raz zadrasnął uwagę króla i jego rady, gdy ten pierwszy winem oplwał twarz Tripety. Atoli warunki obecne zgoła nie nastęrczały sposobności badaniom, skąd ów dźwięk pochodził.

Wydierał się spomiędzy zębów karła, który zgrzytał swymi kłami, jakby je pragnął utrzcć na miał

w spienionej paszczęce, i z obłądną wściekłością sztyletował skrzącymi ślepiami króla i jego siedmiu kompanów, których twarze były ku niemu zwrócone.

– Aa! – rzekł wreszcie rozwścieczony karzeł – Aa! zaczynam się teraz domyślać, co to za jedni!

I pod pozorem dokładniejszego przyjrzenia się królowi zbliżył pochodnię do Inianego przyodziewku, który oblekając króla rozfalował się natychmiast w pokrowiec wzburzonego płomienia.

W przeciągu mniej niż pół minuty ósemka orangutangów płonęła już zapamiętałe wśród wrzasków ciżby, która gapiała się z dołu zdjeta przerażeniem i niezdolna najmniejszej podać pomocy.

Po pewnym czasie ogień, wybuchając ze zwiększoną wściekłością, zagnął błazna do wdarcia się wyżej po łańcuchu, ponad kres, dla ognia dosiężny – i podczas gdy wykonywał tę czynność, tłum raz jeszcze znieruchomiał w milczeniu.

Karzeł skorzystał ze sposobności i znów przemówił.

– Teraz – rzekł – widzę wyraźnie, jakiego pokroju są owe larwy. Widzę potężnego króla i jego siedmiu doradców poufałych – króla, który bez namysłu uderza dziewczynę bezbronną, i jego siedmiu doradców, którzy go do okrucieństw zagrzewają. Co do mnie – jestem po prostu błaznem HopFrogiem – zaś to, co się stało, jest ostatnim moim figlem błazeńskim!

Dzięki niezmiernej zapalności przedzy konopnej i smoły, do której przylgnęła, dzieło pomsty dopełniło się pierwiej, nim karzeł dokończył swej krótkiej przemowy. Ósemka trupów kołysała się na łańcuchu – raczej miazga zwikłana, smrodliwa, żużłowata i potworna. Kulawiec cisnął pochodnią w ową miazgę, dosięgnął bez wysiłku stropu i znikł poza rusztowaniem.

Mówią, że Tripeta, czatując na dachu owej sali, była swemu druhowi współniczką wykonania owej zemsty pożarnej i że oboje uciekli do swej ojczyzny, nigdy ich bowiem odtąd nie widziano.

Diabeł na wieży

Która godzina?

Stara zapytanka

Każdy z nas wie mniej więcej o tym, że najpowabniejszym zakątkiem świata jest – lub był – niestety – gród holenderski Vondervotteimittiss. Atoli ze względu, iż kęs przestrzeni, dzielący ów gród od wszystkich szerokich traktów, przyprawia go w położenie – rzecz można – wyjątkowe, tedy zapewne garść jeno szczupła moich czytelników gród ów nawiedzić zdołała. Sądzę, iż wniknięcie w niektóre szczegóły onego przedmiotu nie będzie od rzeczy gwoli wynagrodzenia tych, którzy nie byli mocni wspomnianych odwiedzin popełnić. Jest to – doprawdy – tym niezbędniej, że, jeśli zamierzam dać rysopis dotkliwych przypadków, które ostatnimi właśnie czasy zwały się na terytorium rzeczzonego grodu, czynię to w nadziei zwerbowania dla jego mieszkańców sympatii powszechnej. Nikt z tych, którzy mię znają, nie zwątpi, że do wypełnienia powziętego na się obowiązku przyłożę wszelkich, na jakie mię stać, uzdolnień, oraz tej bezstronności nieugiętej, tego sumiennego sprawdzenia faktów – tych wreszcie żmudnych a porównawczych zestawień autorytetów, które wymienić zawsze przystoi każdemu, ktokolwiek ubiega się o miano dziejopisa.

Pomoc łączna numizmatów, rękopisów i napisów upoważnia mię do twierdzenia stanowczego, że gród Vondervotteimittiss od czasu swego powstania zachował bez zmiany ten sam tryb istnienia, który jeszcze po dziś dzień oglądać można. Wszakże – co się tyczy toku owego powstania – przykro mi, iż mogę jeno rozważać go z nieskończenie małym błędem, błędem, do którego niekiedy uciekają się z musu matematycy dla nowych formuł algebraicznych. Rok ów, że pozwolę tu sobie użyć tego wyrażenia – ze względu na swą wybitną zamierchłość – nie może się zawrzeć w liczbie mniejszej niż jakakolwiek, byle pochwyceniu dostępna.

W sprawie etymologii nazwy Vonderwotteimittissn przyznaję się, nie bez bólu, do luki. Wśród natłoku zdań, dotyczących tej drażliwej okoliczności, część nader uczonych zasię, część wreszcie do za dość sprzecznych, żadne atoli, według moich postrzeżeń, nie może ujść za – wystarczające. Chyba pomysłowi Grogswigga, zbiegającemu się z pomysłem Kroutaplenttena, natęży oddać pierwszeństwo z zastrzeżeniem. Pomysł ów tak się oto przedstawia: Vondervotteimittiss – Vonder legę Donder – Votteimittis, quasi und Bleitzitz – Bleitzitz, obsoletum pro Blitzen. Mówiąc rzetelnie, etymologię ową w dość znacznym stopniu potwierdzają te i owe poszlaki fluidu elektrycznego, dotąd jeszcze widzialne na wierzchole wieżycy ratuszowej. W każdym razie ani mi w głowie narażenia własnej osoby na śmieszność w sprawie do tyła poważnej, toteż upraszam ciekawego szczegółów czytelnika o udanie się do Oratiunculae de Rebus PraeterVeteris Dundergutza. Patrz zarówno Bluderbuzzarda De Derwatwnibu.s, od strony 27 do strony 5010, ira folio, wydanie gotyckie, litery czerwone i czarne, z przenośnikami i bez numeracji alfabetycznej – porównaj też we wspomnianym dziele własnoręczne uwagi na marginesach Stutfundpufta z podkomentarzami Gruntundguzzella. Pomimo mgły, spowijającej rok powstania Vondervotteimittissu oraz etymologię jego nazwy, nie można powątpiewać, iż – jakom już nadmieniał powyżej – był on zawsze taki, jakim go obecnie oglądamy. Najstarszy gród obywatel nie pamięta najmniejszej odmiany w widomej powłoce tej lub innej połaci swej ojczyzny i – zaiste – sam nawet dopuścił myśli o możliwości istnienia podobnych zakusów uważano by owdzie za policzek. Gród się znajdował w dolinie wzorowo okrągłej, której obwód wynosił mniej więcej ćwierć mili, a którą

szczelnie otaczały wzgórze nadobne, mieszkańcy jednak nigdy nie zdobyli się na odwagę dotarcia do ich wierzchołków. Swe zachowanie się popierają doskonałym skądinąd uzasadnieniem, a mianowicie niewiarą w istnienie czegokolwiek po tamtej stronie.

Wokół obrębu doliny (która jest zgola jednostajna i na całej przestrzeni zasnutą brukiem płaskich dachówek) dłuży się nieprzerwanym szeregiem sześćdziesiąt tych domów. Te zadem wspierają się na wzgórzach i wszystkie, ma się rozumieć, poglądają ku ośrodkowi doliny, który to ośrodek przypada nieomylnie na odległość sześćdziesięciu jardów od przodkowych drzwi każdej siedziby. Każdą siedzibę poprzedza tycki ogród z przydatkiem alei okólnej, zegara słonecznego i dwudziestu czterech głów kapusty. Budowle zaś są tak wzorowo tożsame, iż jednej od drugiej odróżnić nie można. Z powodu nadmiernej zamierchłości architektura posiada styl z lekka zdziwaczały, lecz właśnie z tego powodu zyskuje na tym znamiennejszej małowniczości. Rzeźbione domostwa zbudowano z tych cegieł, mocno w ogniu hartowanych, czerwonych z czarnymi okrajkami tak, iż mury upodobniły się do wielce przestronnej szachownicy. Poddasza wysunęły się na czoło domów, a gzymsy u wybrzeży dachów i nade drzwiami frontowymi przerosły swym rozmiarem resztę budowli. Wąskim i wklęsłym oknom przydano tyckie szybki w krzepkich ramach. Dach jest pokryty mnóstwem krokwi z rurkowanymi nadwyżkami. Kadłub domów odznacza się posepnym wszędy zabarwieniem, wielkim nakładem pracy, lecz małą różnorodnością rysunku, ponieważ od czasów niepamiętnych mistrze rzeźbienia w drzewie miasta Vondervotteimittisu potrafili jeno dwóm podolać wycioskom, a mianowicie – zegarowemu tudzież kapuścianemu. Urabiali je za to na podziw i na schwał doskonale i swą rozrzną twórczość stosowali wszędzie, gdziekolwiek dłużyło się wścibić mogli.

Domostwa tak zewnątrz, jak wewnątrz, są wzajem sobie podobne i umeblowane wzorowo na jednym pierwotypie. Podłoga wykładana kwadratowymi płytami, krzesła i stoły z czarnego drzewa posiadają nogi pokrętne, smukłe i zwężające się ku dołowi. Szerokie tudzież wysokie kominki nie tylko obarczono rzeźbionym ornamentem zegara i kapusty na przedzie gzymsów, lecz na domiar przydano im do dźwigania na środku policy prawdziwy zegar, czarownie wydzwaniający swe tiktak, oraz dwie donice, z których każda zawiera jedną głowę kapusty, tkwiącą u brzegu jak czatownik lub dozorca. Pomiędzy każdą głową kapusty a zegarem znajduje się ponadto mały dziwołazek z porcelany chińskiej z obrzmiałym kałdunem i z dostatnią w pośrodku dziurą, odsłaniającą tarczę zegara. Wnętrza kominków są pakowne i głębokie – z drapieżnie i pokrętnie plecionymi wilkami. Trwa tam niezmiennie okazały ogień, zaś ponad nim – przesadnie wielki, kapustą i wieprzowiną upchany gar, nad którym czuwa nieustannie wytrawna gospoia. Jest to otyła, wiekowa i tycka jejmość o błękitnych ślepiach i czerwonych policzkach, w czepcu niepomiernym, podobnym do głowy cukru, a wdzięczącym się purpurowymi i żółtymi wstęgami. Suknię ma z pomarańczowego samodziału, wielce obfitą od tyłu i wielce krótką w innych kierunkach, gdyż nie dosięga do połowy łydki. łydki, jako też i kostki, są nieco za tęgie, lecz obleczone w piękną parę zielonych pończoch. Jej czerwonoskóre trzewiki wiąże kokarda z żółtych wstążek, rozpowiniętych i pogmatwanych w kształt kapusty. W lewym ręku jejmość dzierży ciężki a tycki zegarek holenderski, zaś w prawym miętosi olbrzymią warzachew, przeznaczoną dla kapusty i wieprzowiny. U jej boku trwa tłusty kot łaciaty, dźwigający na ogonie klejnotowy zegareksamograj z pozłacanej miedzi, który mu chłopcy do owego miejsca uwiązali do zabawy. Co do samych chłopców – są właśnie wszyscy trzej w ogrodzie i czuwają nad maciorą; każdy ma dwie stopy wysokości. Noszą kapelusze trójgraniaste, kamizele purpurowe, do ud niemal podupadłe, portki ze skóry danielowej, pończochy czerwone o wygładzie sukienym, ciężkie buty z ogromnymi, srebrnymi sprzączkami i wydłużone kubraki z przestronnymi guzami z perłowej macicy. Każdy ponadto trzyma fajkę w gębie i tycki brzuchaty zegarek w prawej ręce. Kłęb dymu – rzut oka na zegarek, rzut oka na zegarek – kłęb dymu – tak spędzają czas. Maciora – tłusciocha i prózniačka – poświęca się już to zbieraniu pokłosa z liści niczyich, które głowom kapusty odpadły, już to wierzgliwym dąsom na złożony zegarek, zarówno przytwierdzony przez tychże łobuzów do ogona jejmości, a to w celu podniesienia jej wyglądu do wyżyn owego piękna, których już kot dostąpił.

Jakbyś wymierzył – na wprost wejścia, w fotelu z wysokim oparciem, z pogłębieniem skórzanym i z nogami pokrętnymi a smukłymi jak nogi Wspomnianych stołów ugruntował się stary właściciel samego domostwa. Jest to wiekowy, tyci jegomość, nadzwyczaj odęty, posiadacz sporych, okrągłych ślepi i przestronnego a podwójnego podbródka. Zachowanie się jego podobne jest do zachowania się młodych chłopców – do słów tych chyba nie mam potrzeby nic dodawać. Cała różnica polega na tym, że ma faję sporszą nieco od nich i może z niej dobywać większych zasobów dymu. Tak samo zresztą jak oni posiada zegarek, lecz nosi go w kieszeni. Po prawdzie mówiąc, miał coś niecoś pilniejszego do roboty niż zagłądanie do zegarka – zaś co to było – pragnę właśnie wyjaśnić. Siedzi oto, założywszy prawą nogę na lewe kolano, z wyrazem powagi w twarzy i nieustannie jedno co najmniej ze swych ślepi trzyma w stanowczym utkwieniu na pewnym niezmiernie uwagi godnym przedmiocie, który się znajduje w pośrodku równiny.

Przedmiot ów ma swój pobyt na dzwonnicy ratuszowej. Wszyscy członkowie rady są to ludzie wielce mali, wielce okrągli, wielce otłuszczeni, wielce inteligentni, z oczyma okazałymi na kształt salaterek i z przestronnymi a podwójnymi podbródkami, mają zaś szaty o wiele dłuższe i sprzączki u trzewików o wiele sutsze aniżeli zwykli obywatele Vondervotteimittissu. Od czasu, gdy w owym ogrodzie zamieszkał, odbyli kilka posiedzeń nadzwyczajnych i uchwalili te trzy doniosłe wnioski:

I

Zbrodnią jest odmiana starego błogostanu.

II

Poza granicami Vondervotteimittissu nie ma nic godnego przyswojenia.

III

Poprzysięgamy wierność dozgonną naszym zegarom i naszym kapustom.

Ponad izbą posiedzeń tkwi dzwonnica, zaś na owej dzwonnicy czy też na wieży tkwi i tkwiła od czasów niepamiętnych chluba i cud waszego miasta – olbrzymi zegar miejski Vondervotteimittissu. Ten ci jest przedmiot, ku któremu zwrócone są oczy starych jegomościów, utwierdzonych w fotelach ze skórzanym siedzeniem. Wielki zegar ma tarcz siedem – po jednej na każdej z siedmiu ścian dzwonnicy, tak iż ze wszystkich dzielnic można go oglądać do syta. Obszerne i białe są tarcze, ciężkie i czarne – wskazówki. Wieży owej przydany jest człek, którego jedyną czynnością jest dbałość o wieżę, wszakże ta czynność należy do najdoskonalszych synekur, ile że zegar Vondervotteimittissu, jak pamięć ludzka sięga, nigdy nie wzywał pomocy. Aż po dni bieżące – samo przypuszczenie podobnego przypadku uważano by za herezję. Od epok najbardziej zamierzchłych, wzmiankowanych w archiwach, wielki dzwon sprawnie wydzwaniał godziny. I rzeczywiście – udzielała się ta sprawność zarówno i innym zegarom, i zegarkom grodu. Nigdy w żadnym zakątku świata czas nie był tak dokładnie i z takim taktem odmierzany. Gdy wielki dzwon rozważał, iż nastąpiła chwila, aby orzec: południe – wszyscy posłuszni poddani, jednocześnie rozwarłszy swe gardziele, wtórzili mu zgodnym echem. Słowem, dostojni mieszczanie tracili głowy z miłości dla swej kapusty, lecz przedmiotem ich dumy były – zegary.

Ktokolwiek pozyskał synekurę – bywa też pozyskiwany dla mniej lub więcej znamiennych zaszczytów. Ponieważ jegomość z wieży Vondervotteimittissu posiada najdoskonalszą synekurę, tedy najdoskonalej jest czczony przez wszystkich śmiertelnych. Jest on naczelnym burgu dygnitarzem i nawet wieprze we własnej osobie przyglądają mu się z uczuciem pokłonnym. Tren jego szaty jest o wiele dłuższy, jego faja, sprzączki u jego trzewików, jego oczy oraz brzuch przewyższają o wiele rozmiary pomienionych przedmiotów jakiegokolwiek innego starego jegomością z miasta – co się zaś tyczy podbródka – ten przestał być tylko podwójnym – jest ci – potrójny.

Podaję opis Vondervotteimittissu w stanie szczęśliwości – niestety! co za szkoda nieodżałowana, że obraz tak czarowny dnia pewnego został skazany na doznanie zmiany okrutnej!

Od dawien dawna rozpowszechnione wśród najmędrszych obywateli przysłowie brzmi: nic poza kresem wzgórz dobrego nie ma już i – zaiste – trzeba przyznać, że w słowach tych tkwi coś proroczego.

Pozawczoraj, gdy pięciu minut właśnie brakowało do południa, na samej łysinie górskiego wierzchołka, od strony wschodu zjawił się przedmiot dziwnego pozoru. Nie dziw, że taki wypadek powszechną ściągnął uwagę i każdy leciwy a tyci jegomość, siedząc w fotelu ze skórzanym obiciem i słupiejąc od przerażenia, jedno z dwojga oczu skierował ku zjawisku, drugiemu zaś z tychże dwojga dochował nieustannego tkwienia na zegarze dzwonnicy.

Było trzy minuty po dwunastej, gdy postrzeżono, iż osobliwy a wspomniany przedmiot był zgoła tycim młodzieńcem, cudacznie upostaciowanym. Schodził ze wzgórza z tak błyskawiczną szybkością, że wkrótce każdy obywatel mógł się w nim łącznie rozejrzeć. Nigdy Vondervotteimittiss nie miał sposobności oglądania tak wytwornej i tak leciuteńkiej osoby. Miał ci liczko czarne jak tabaka, nos długi i zakrzywiony, ślepie jako ziarnka grochu, gębę olbrzymią i olśniewający szereg zębów, które się zdawał ukazywać zazdrośnie w śmiechu od ucha do ucha. Dorzucając do tego baki i wąsy, wyczerpiemy, zda się, wszystko, co postać ona godnego miała uwagi.

Głowę miał obnażoną, a czuprynę zaplecioną w loki. Na ubiór jego składały się: czarna, obcisła, w jaskółczy ogon ku dołowi rozwinięta szata, zaopatrzona w długi, z jednej kieszeni zwisający róg białej chustki do nosa, pludry z czarnego kaźmirku, czarne pończochy i zwiewne trzewiki, podobne do półbutów, z olbrzymimi kokardami z czarnych, satynowych wstążek zamiast sznurówek. Pod jedną pachą dźwigał obszerny szapoklak, zaś pod drugą – pięciokrotnie niemal większą od siebie skrzypkę. W lewej jego dłoni tkwiła złota tabakierka, z której czerpał nieustannie niuchy z nieporównaną godnością, podczas gdy schodził ze wzgórza za pomocą koźlich skoków i zakreślał nogami wszelkie rodzaje fantastycznych zygzaków. Boże Miłosierny! Takiego tylko widoku nie dostało oczom sławetnych mieszczan Vondervotteimittissu! Bądźmy dokładni: pomimo śmiechu – miał nicpoń zuchwałę i złowieszcze rysy w swej twarzy i podczas gdy prosto do miasta zdążał galopkiem, sama już stożkowatość jego obuwia wystarczała dla obudzenia tysiąca podejrzeń. I niejedyn obywatel, który nań onego dnia poglądał, dałby to lub owo za jedno zerknięcie w głąb chustki z białego batystu, która tak nieźnośnie zwisała z kieszeni jego szaty o jaskółczym trenie. Lecz przede wszystkim słuszne wywołała oburzenie ta okoliczność, że ów nikczemny chłystek, wzorzyście wywodząc nogami już to fandanga, już to piruety – nie zachowywał w tańcu żadnych prawideł i nie miał najmniejszego pojęcia o tym, co znaczy – jak to ntówią – maszerować wedle taktu.

Tymczasem nie zdążyła jeszcze pocziwa ludność grodzka rozewrzeć oczu na oścież, gdy nagle punkt o pół minuty do dwunastej – ów urwipoleć – czy dacie wiarę mym słowom? – rzucił się rozpędnie w sam środek sławetnego zgromadzenia, czyniąc tu jedno chasse, owdzie – jedno balance – po czym, wykonawszy jeden piruet i jeden zwrot zefirowy, gołębim lotem pofrunął ku wieżycy Ratusza, kędy gwardian zegarowy z fają w gębie osłupiał w poczuciu własnej godności i własnego przerażenia. Atoli tyci nicpoń w te pędy zdzielił go w nos pięścią, potrząsnął owym nosem, pociągnął za ów nos, przyrzucił na bakier głowie gwardiana olbrzymi szapoklak, wtłoczył mu go aż po oczy i aż po gębę – potem wzniesioną ku górze ogromniastą skrzypką jął go tłuc tak długotrwale i tak jędrnie, że – zważywszy na odętość gwardiana i na wielkość oraz próżnię skrzypki – można było przysiąc, iż cały regiment tęgich bębnow grał pobudkę diabelską na dzwonnej wieży Vondervotteimittissu.

Nie wiadomo, do jakich rozpaczliwych czynów zemsty mogłaby doprowadzić mieszkańców owa napaść, godna oburzenia, gdyby nie ta wielce poważna okoliczność, iż do południa brakowało jeno pół sekundy. Dzwon za chwilę miał wydzwonić godzinę, zaś było to sprawą bezwzględnej i wyższej konieczności, aby każdy miał na oku swój zegarek. A tymczasem stało się

oczywistością, że właśnie w tej chwili zuchwalec, zapodziały w dzwonnicy, ma coś przeciwko dzwonowi i wtrąca się nie do swoich rzeczy.

Lecz, ponieważ dzwon zaczął dzwonić, nikt nie miał czasu na śledzenie ruchów zdrajcy, gdyż każdy natężył uszu gwoli rachowania uderzeń.

– Raz! – zawołał dzwon.

– Rass – odpowiedział z głębi każdego, obitego skórą fotela każdy wiekowy a tycki jegomość z Vonderyotteimittissu.

– Rass – pochwycił zegarek onego jegomości

– Rass – powtórzył zegarek jego malszonki.

– Rass – orzekły zegarki chłopców i tycich połączanych klejpotów, przytwierdzonych do ogona kota i maciory.

– Dwa – ciągnął dalej wielki dzwon. – Tfa – powtórzyły wszystkie mechaniczne odgłosy.

– Trzy – cztery – pięć – sześć – siedem osiem – dziewięć – dziesięć – gadał dzwon.

– Tszy – szteri – piens – szes – szedejm oszim – zewens – zesens – odpowiedziały echa. y, – Jedenaście! – rzekł olbrzymieć. – Jeidenazce – potwierdziła lilipucia gromada zegarków kieszonkowych.

– Dwanaście! – rzekł dzwon.

– Tfanaszce – odpowiedziały wspomniane zegarki, doskonale wyćwiczone i w takt miarowo dzwoniące.

– J już jesd tedy – południe! – orzekli wszyscy leciwi a tycki jegomoście, przywracając zegarki swym kieszeniom, lecz wielki dzwon nie zakończył swej pracy jednocześnie z nimi.

– Trzynaście! – zawołał nagle.

– Diabli dopust! – westchnęli ciężko tycki staruszkowie, blednąc i wypuszczając z ust fajki oraz usuwając prawe nogi z lewych kolan.

– Diabli dopust! – jęczeli nadal. – Tszynassie! Tszynassie! Mój Boże! Wybiła godzina tszynasta!

Mogęz się targać na opis straszliwej sceny, która właśnie nastąpiła? Cały Vondervotteimittiss, jako jeden mąż, uderzył w lament zgiefkliwy.

– Co ja posznę z mym pszuchem! – skomlał ród tycich chłopów – jestem głodny od goziny!

– Co ja posznę z moją kapustą! – wołały wszystkie malszonki. – Jusz od goziny pominą być w ukropie!

– Co ja posznę z moją jajka? – zaklęli tycki staruszkowie. – Pioruny i blyskafice! Jusz od goziny powinna była być zgaszona!

I z gwałtowną zapalczywością nabili znowu fajki i, pograżywszy się w fotelach, jęli pykać tak szybko i tak zawzięcie, iż całą dolinę przepęłnił natychmiast obłok nieprzenikniony.

Tymczasem wszystkie głowy kapuściane spłonęły jaskrawym szkarłatem i zdawało się, że sam Diabeł ze starego pieca zawładnął wszystkim, cokolwiek miało kształt zegara. Zegary, rzeźbione na meblach, rozpląsały się jak pod wpływem czarów, podczas gdy inne przynależne kominkom, zaledwo mogąc się powściągnąć w swej wściekłości, zapamiętały się w tak uporczywym wydzwanianiu owego: Trzynassie! Trzynassie! Trzynassie! i tak się zawzięły w trzepocie i rozruchu swych wahadeł, że widok ów był naprawdę przerażający! Lecz – co gorsza – kocury i wieprze nie mogły ścierpieć nadal wybryków ze strony przypiętych do ogona tycich zegarkówsamograjów i okazały niezadowolenie za pomocą gromadnego wymarszu ku placowi z przydatkiem wzajemnych kuksańów i szturchańców – pokrzyków i poryków – istny i przeraźliwy sabat miauczeń i kwiczeń! – a nadto skacały do twarzy przechodniom i zaprzepaszczaly się od spódnicami, wytwarzając harmider najstraszliwszy, jaki tylko mogłaby dopuścić do swej wyobraźni istota rozsądkiem obdarzona. Zaś nikczemny a tycki lalaco, utwierdzony na dzwonnicy, dokładał najwidoczniej wszelkich starań, aby doprowadzić wszystko do stanu, którego widok rozdzierałby serce!

Zdołano od czasu do czasu wypatrzeć złoczyńcę spoza kłębow dymu. Trwał zawsze – tam, na wieżycy – w postawie siedzącej na wieżycowym jegomościu, poległym wzdłuż – na plecach. W

zębach swych dzierzył – niegodziwiec – sznur od dzwonu i za przyczy na nieustannych na lewo i na prawo wstrząśnień głową urabiał taki zgiełk, że uszy moje na samą myśl o tym podzwaniają dotąd jego odgłosem. Na jego kolanach spoczywała przeolbrzymia skrzypka, na której oburącz bez składu i ładu rzępolił i w ohydny sposób udawał – błazen niegodziwy – że gra arię z Judy O'Flannagana i Paddy O'Raferty'ego!

Na widok tak nieszczęsnego stanu rzeczy ze wstrętem porzuciłem plac i teraz oto zwracam się do wszystkich miłośników dokładnych godzin i dobrze przyrządzonej kapusty. Wyruszmy gromadnie ku miastu i przywróćmy ład dawny Vondervotteimittissowi, zrzucając małego wisusa na łeb, na szyję z dzwonnicy.

Nota

Edgar Allan Poe, znakomity amerykański poeta, pisarz i krytyk urodził się 19 stycznia 1809 r. w Bostonie, jako syn aktorów. Osieroconym bardzo wcześnie chłopcem zaopiekowało się bezdzietne małżeństwo w Richmond.

W latach 1815–1820 przyszły poeta przebywał z przybranymi rodzicami w Anglii, gdzie uczęszczał do szkoły m. in. Mr Bransby'ego, upamiętnionej później w świetnym opowiadaniu William Wilson. Dalszą edukację pobierał Poe w szkołach w Richmond i, około roku, w Uniwersytecie Wirginijskim w Charlottesville, gdzie zabłysnął zdolnościami. Po dwuletniej służbie wojskowej, na którą Poe zdecydował się, z braku dostatecznych środków utrzymania, wstąpił na Akademię Wojskową w West Point, zaś po zerwaniu z przybranym ojcem Allanem postanowił poświęcić się karierze pisarskiej. Wyjechał do Bostonu, gdzie ukazał się pierwszy tomik jego wierszy pt. *Tamerlane and other Poems* (1827), a w dwa lata później nowe wydanie rozszerzone jako *Al Aaraaf Tamerlane and Minor Poems*, po czym niebawem opublikował *Poems* (1831).

Zdobycie pierwszej nagrody w konkursie literackim za opowiadanie *Rękopis znaleziony w butli* (1833) zwróciło na poetę uwagę pisarza J. P. Kennedy'ego, który pomógł mu w uzyskaniu posady redaktora pisma „*Southern Literary Messenger*” w Richmond. Mimo wielkich zdolności i niewątpliwych sukcesów poeta ustąpił z tego stanowiska (1837), wyjechał do N. Yorku, a stamtąd do Filadelfii (1839–1844), gdzie widzimy go jako współpracownika „*Gentlemana Magazine*” E. Burtona (1839–1840) i „*Graham's Magazine*” (1841–1842). Niektóre z opowiadań pisarza wydawanych w tym magazynie wyszły zebrane w 2 tomach jako *Tales of the Grotesque and Arabesque* (Opowieści groteskowe i arabeskowe, 1839).

W tym czasie poeta pasjonował się rozwiązywaniem szyfrów – na takim wątku oparte jest doskonale nagrodzone jego opowiadanie *Złoty żuk* (1843). Wczesniej (1842) napisał świetną detektywistyczną opowieść *Morderstwo przy rue Morgue*, którą zapoczątkował nowy gatunek literacki, okazując się prekursorem Co'«cn Doyle'a, Oscara Wilde'a i całej plejady pisarzy.

Małżeństwo Poego z kuzynką Wirginią Clemm (1836) stało się dlań pasmem udęki. Ukochana żona wkrótce zapadła na nieuleczalną chorobę i poeta przeżywał nieustanne kryzysy nadziei i rozpacz. Z żoną i jej matką przeniósł się z kolei do N. Yorku, gdzie widzimy go jako współpracownika „*Evening Mirror*”, wreszcie wydawcę i posiadacza od dawna upragnionego własnego pisma „*The Broadway Journal*”. Tam ukazał się wspaniały wiersz Poego *Kruk* (1845), który zyskał mu sławę w kraju i poza granicami ojczyzny. W N. Yorku, powstała również praca krytyczna *The Literat! oi New York City* – portrety literackie współczesnych mu pisarzy.

W tym samym czasie (1845) ukazują się *Tales of the Grotesque and Arabesque* (opowiadania), *The Raven and other Poems*, a z kolei (1848) poemat prozą *Eureka*, oparty na lekturze kosmogonii.

Niektóre najlepsze opowiadania i wiersze Poego zostały po raz pierwszy opublikowane w „*Southern Literary Messenger*” (1835) inne ukazały się w „*Graham's Magazine*”.

Po śmierci żony (1847) pisarz zamierzał powtórnie wstąpić w związek małżeński. Był w drodze do N. Yorku; w tajemniczych okolicznościach znaleziono go nieprzytomnego na ulicy w Baltimore. Nie odzyskawszy przytomności zmarł tamże w szpitalu siódmego (niektóre źródła podają ósmego) października 1849 r.

Takim tragicznym epilogiem zakończyła się równie tragiczna egzystencja genialnego pisarza i poety – nieszczęśliwego wskutek choroby (nałóg alkoholizmu, narkomania), niedostatku, nadmiernej wrażliwości i porywczego temperamentu, co w niemalym stopniu utrudniało mu walkę o byt.

Spuścizna literacka Poege obejmuje przeszło 60 opowiadań, kilkadziesiąt wierszy, prace krytyczne, z których najważniejsze są *The Principles of Poetry* (Zasady poezji) i *The Philosophy of Composition*, o dużym znaczeniu dla literatury europejskiej.

Twórczość amerykańskiego pisarza odznacza się ogromną oryginalnością i siłą wyobraźni, której źródła można dopatrywać się w równie zadziwiającej umysłowości Poege, stanowiącej rzadką syntezę bujnej wyobraźni poety i drobiazgowej wnikliwości analityka i psychologa. Stąd zadziwiająca skala zainteresowań pisarza i różnorodność wątków niezrównanych jego opowiadań. Obok *Ligei*, będącej właściwie poematem prozą, *Eleonory*, *Berenice* i *Morelli* – przypominających senne wizje – zdumiewa nas subtelna psychologia Williama Wilsona, wspaniale z wnikliwością analityka napisane: *Morderstwo przy rue Morgue* oraz *Tajemnica Marii Roget*.

Poege pociągała również wiedza okultystyczna, mesmeryzm, magnetyzm, metempsychoza, które to wątki odnajdujemy w takich opowiadaniach jak *Metzengerstein* czy *Prawdziwe fakty w sprawie p. Waldemara*. Motyw śmierci pozornej – obsesji pisarza – występuje w kilku opowiadaniach, m. in. *Upadku Domu Usherów*, jednym z najbardziej cenionych przez krytyków. Z wierszy poety największą sławę zyskały: *Kruk*, *Lenore*, *Ulalume* i onomatopieczne wspaniale *Dzwony*.

Poetycki geniusz wielkiego amerykańskiego romantyka trafnie określił inny wielki poeta, Bolesław Leśmian, w przedmowie do swoich przekładów opowiadań Poege, pt. *Opowieści nadzwyczajne*:

„Utwory Poege to – szalenie uprawdopodobnienie zaledwo pochwytnej wizji, w których gorączkowa równoległość snów i ocknień przetapia atrybuty rzeczywistości w tęczę marzeń. Marzenie graniczy z rzeczywistością, rzeczywistość z marzeniem. Zresztą – różnica pomiędzy nimi znika radośnie w chwili, gdy je pochłania wiecznie zagadkowa a niepodzielna całość”.

Niniejszy wybór zestawiono s przekładów przede wszystkim Bolesława Leśmiana oraz kilku Stanisława Wyrzykowskiego, starając się przedstawić Czytelnikom opowiadania uznane za najwybitniejsze, bądź też reprezentatywne dla kilku powtarzających się w nowelistycznej twórczości pisarza wątków.

Przypominamy z całym przekonaniem przekłady Bolesława Leśmiana, gdyż pewna pokrewność poetyckiego talentu – siła wyobraźni, upodobanie do fantastyki i dziwności uważanej przez obu autorów za nieodzowny element poezji wydaje się szczególnie predestynować wybitnego poetę Młodej Polski jako odtwórcę sennych wizji i makabrycznej groteski największego romantyka amerykańskiego.